

KRZYSZTOF KOTOWSKI

KAPŁAN



Copyright © by Krzysztof Kotowski
Copyright © by CAT BOOK

Kontakt i oficjalna strona autora
www.krzysztofkotowski.pl

Projekt okładki
Ewa Łukasik

Ilustracje na okładce
CORBIS
Emilia Czechowicz

Redakcja
Bogumiła Widła

Redakcja techniczna
Elżbieta Szczepańska

Korekta
Elżbieta Jaroszuk
Krystyna Śliwa
Malwina Łozińska

ISBN 978-83-926468-0-8

Wydawnictwo CAT BOOK 2008

Wyłączny dystrybutor
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91 Ożarów Mazowiecki
t./f. 022-535-05-57; 022-721-30-11/70-07/70-09
www.olesiejuk.pl



Skład i łamanie
zapis
Gdańsk tel. 058-347-64-44

Druk i oprawa
Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN

CZEŚĆ PIERWSZA

NOC KAPŁANÓW

*Ja jestem Achilles i Hektor,
Antoniusz i Oktawian,
Napoleon i Nelson,
Chrystus i Omen.
I pamiętam wszystko!
Czy może być coś straszniejszego?*

Krzysztof, pacjent numer 92
X Oddziału Szpitala Psychiatrycznego w Warszawie

PROLOG

Malia, Kreta, rok 1692 p.n.e.

- Znaj chwilę stosowną, a od młodości obieraj mądrość za towarzyszkę życia, ze wszystkich dóbr ona najpewniejsza - powtórzył spokojnie Tacjades, obserwując chłopca.

Niesforny dziesięcioletek wciąż ciskał kamienie w morze, udając, że nie słyszy. Rozczochrane, ciemne włosy wpadały mu do oczu, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi. Opadł na kolana i rozpoczął gwałtowne poszukiwania odpowiedniego odłamka skalnego do kolejnej próby. Kamień miał się odbić od powierzchni wody co najmniej trzy razy.

- To nudne, Tacjadesie - jęknął wreszcie dzieciak, wyczuwając, że tym razem nie ucieknie od rozmowy.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie wiem. Po prostu nudne. Po co mam się tego uczyć?

- To nie lekcja, Hezonie, jestem twoim ojcem, nie nauczycielem. - Tacjades postanowił jeszcze trochę być wyrozumiały. - Nie możesz bez przerwy poświęcać czasu na agony¹ z synami Filandra i zawody w ciskanie kamienia mi w morze. Przynajmniej kilka chwil dziennie poświęć własnemu umysłowi, nie jesteś fellachem ani zeugitą.

- Od tego są lekcje, Astarte², a... - chłopak przerwał w pół zdania, rozumiejąc, że się zagalopował. Zerknął ostrożnie w stronę ojca, ale on patrzył na niego wciąż spokojnie i cierpliwie, lekko tylko marszcząc brwi.

- Przepraszam - powiedział cicho. Wstał z kolan i czekał na reakcję Tacjadesa.

Ojciec wciąż jednak milczał, przyglądając się rozbieganym, ciemnym oczom dzieciaka.

- Znowu Hollas straszył cię piratami? - spytał wreszcie z troską w głosie.

- Kiedy dorosnę, będę potężny jak Amenemhat³ - odparł dumnie Hezon, jednak nie zdołał ukryć przed ojcem lęku, który jak na złość teraz wyraźniej dało się wyczuć w głosie chłopca.

- Jesteśmy Eteokreteńczykami, a nie Egipcjanami. Wystarczy, że będziesz mężny jak Filander. I nie kpij więcej przy mnie z Astertusa, to nauczyciel.

- Lecz nudny, Tacjadesie. Wszyscy nazywają go Astarte.

¹ Agony - starożytne greckie zapasy.

² Astarte (Astoreth) - bogini księżycy, niebios, wojny i miłości, czczona przez Fenicjan, Asyryjczyków i Babilończyków.

³ Amenemhat III - władca Egiptu od 1853 p.n.e., XII dynastia.

- Brawo, obrażają nie tylko nauczyciela, ale i cudzych bogów. Bierz z nich przykład! Jak Astoreth przyjdzie kiedyś do ciebie we śnie i poprosi o rozliczenie, zobaczymy, jaki będziesz bohaterski.

Hezon wyraźnie się wystraszył. Patrzył szeroko otwartymi oczami na ojca, czekając na jakieś wyjaśnienie. Tacjades podszedł do niego szybko i mocno przytulił.

- Żartowałem, maluchu. - Uśmiechnął się do niego. - Ale nie wyzbywaj się szacunku do żadnego człowieka, jeśli nie jesteś absolutnie pewien, że racja jest po twojej stronie.

- A kiedy mogę być tego pewien?

- Jak dorośniesz, być może twój umysł pozwoli ci dostrzegać różnice między ludźmi. A jeśli jeszcze raz Hollas będzie paplać o piratach, powiedz mu, że poproszę kapłana, aby nasłał na niego Molocha⁴. Nie żartuj! To nie są tematy do rozmów młodzieńców.

- Moloch to też nie nasz bóg - jęknął nieśmiało dzieciak.

- Wiem, ale dla celów wychowawczych możemy go sobie pożyczyć z za morza!

Przez chwilę nic nie mówili. Szum morza jakby przycichł i wyraźniej słychać było ze wzgórza pomruk potężnego pałacu, widocznego stąd jak na dłoni. Dziesiątki postaci krzątających się między wszechobecnymi czerwonymi kolumnami na wszystkich kondygnacjach niczym w labiryncie Dedala gotowały się do wieczornych zajęć: narad, modłów, spotkań lub pracy przy pitosach, w ogromnych kuchniach czy przy remoncie skrzydła wschodniego, który trwał już od wiosny. Choć z tego miejsca do pierwszych polythyr⁵ trzeba było iść co najmniej trzy stadiony, ta niezwykła, monumentalna, asymetryczna kompozycja z najprzeróżniejszej wielkości bloków, sześcianów i prostokątów składających się na apartamenty, megarony, perystyle, łaźnie czy baseny nawet o tej porze dnia, kiedy słońce miało się ku zachodowi - pyszniła się szczegółami, kolorystyką i fantazją zrodzoną niegdyś w umysłach wielkich inżynierów z Malii. Potężna bryła pałacu być może nie była aż tak ogromna jak w Knossos, a całość tak bogata jak w Fajstos, ale musiała nowych przybyszów przygniatać już samym swoim wyglądem niczym uśpiony cyklop zastygły w skałach.

Tacjades dostrzegł drobną postać biegnącą w ich stronę. Po chwili rozpoznał Tiksa - jednego z chłopców roznoszących drobne wiadomości wśród prythanów⁶ i ich rodzin.

- Panie! - krzyczał z daleka. - Straszne wieści! Straszne wieści! Panie!

- Spokojnie, chłopcze - rzekł Tacjades, gdy posłaniec w końcu go dopadł. Wiedział, że dzieciak często zbyt aktorsko przekazuje rozprawiane wiadomości. - Mów po ludzku.

⁴ Moloch - bóstwo czczone przez Asyryjczyków, Fenicjan i Kartagińczyków; składano mu ofiary z ludzi, czasem nawet z niemowląt.

⁵ Polythiry - ściany przebite otworami, charakterystyczne dla starożytnych kreteńskich pałaców.

⁶ Prytanowie - członkowie wielkiej rady sprawującej władzę nad miastem.

- Czcigodny Filander kazał natychmiast cię znaleźć, panie. Zaraz narada u króla!

- A co w tym takiego strasznego?

Tiks przez chwilę znieruchomiał, jakby obliczał coś w swojej rozgrzanej łepetynie.

- Tak dokładnie to nie wiem - przyznał ze wstydem. - Ale wiem, że coś się stało. W pałacu wielki niepokój i pośpiech.

Tacjades przez moment się zastanawiał. Poprawił na ramionach swoją szatę przypominającą nieco męski peplos i roztarł dłonie, jak to zwykle czynił, gdy chwila wymagała rozważnej decyzji. Jego szczupła sylwetka, mimo młodego jeszcze wieku, miała w sobie naturalną dostojność. Zaczynał łysieć, ale nie robił z tego problemu. Ciemne, lekko przymrużone oczy nigdy nie gubiły wrodzonego spokoju, choć tym razem tliła się w nich zapowiedź ostrzegawczej myśli, że może jednak dzisiaj Tiks niewiele mija się z prawdą.

- Hezonie, wracaj do matki - rzucił w stronę syna cicho, ale na tyle zdecydowanie, aby tamtemu szybko wyparowały z głowy jakiegokolwiek buntownicze pomysły. - I włóż coś na siebie, nie biegaj tak nago, robi się zimno.

Chłopcy pomknęli szybko w stronę pałacu, ale Tacjades został jeszcze przez chwilę nad brzegiem morza.

Wbił wzrok daleko w horyzont, zaciskając mimowolnie dłonie.

- O Demeter, chroń nas! - wyszeptał. - Oby to nie było to, co myślę.

- To łotry, penisy⁷, raby⁸ gówniane! - cedził przez zęby Filander, potężny, wysoki, imponująco umięśniony blondyn idący obok przyjaciela długim korytarzem wzdłuż dziedzińca oddzielonego od nich portykiem. Świeżo odmalowane na ciemnoczerwono kolumny pachniały jeszcze farbą.

- Ciszej! - skarcił go Tacjades. - Nie wzbudzaj paniki. Kto jeszcze o tym wie?

- Nie mam pojęcia, posłowie są u króla. Jutro będziemy chyba jechali do Knossos.

- A tamci już wiedzą?

- Posłowie mówią, że tak.

Zaniepokojony Tacjades pokręcił głową.

- Ale Fajstos?! Rozumiem, że napadali na niewielkie miasteczka, lecz porwać się na taki pałac...

⁷ Penisy - tu: pogardliwie i wulgarnie o wrogach

⁸ Rab - starożytny niewolnik

- Coraz bardziej są rozzuchwaleni, chcą prawdziwych bogactw, rosną w siłę. Niechby ich Megera potopiła w wirach! - pomstował Filander. - Od lat mówię, że powinniśmy mieć oddziały z prawdziwego zdarzenia, jak Egipcjanie, a nie tę bandę śpiewaków i tupaczy, którzy udają Hyksosów⁹.

Tacjades zatrzymał się na chwilę, gniewnie spoglądając na przyjaciela.

- Pamiętasz jakąś wojnę na wyspie?

- No i co z tego?

- Mój ojciec, dziad i przodkowie, których znam, też nie pamiętają! To nie Cyrenajka czy Argolida! My nie znamy wojen! Nie umiemy ich prowadzić! Nie ma kto nas uczyć! Naczytałeś się i napatrzyłeś na Egipcjan, i prężysz mięśnie, a jak chcesz to zrobić?!

- Byliśmy tyle razy w Egipcie - upierał się Filander.

- Ale po to, by handlować! Wiesz, co będzie, jak się dowiedzą, że chcemy się zbroić?!

- Jesteśmy zagrożeni!

- To tylko piraci! - przerwał mu zdecydowanie Tacjades. - Zapuścili się za daleko i dostaną nauczkę, na to mamy siłę. Fajstos jest kiepsko ufortyfikowane i pewnie dlatego tam uderzyli, ale pamiętaj - to tylko bandy byłych rabów.

- I byłych żołnierzy - dopowiedział Filander.

- Wiesz coś o stratach?

- Odparli ich, jednak podobno nie jest dobrze. To dla nich wielki szok.

- Jak to po napadzie. Ilu ludzi zginęło?

- Nie wiem.

- A majątek?

- Nie wiem. Tacjades machnął ręką.

- To przestań histeryzować, bo cię chłopcy usłyszą! Mój syn już chodzi cały rozdygotany, bo Hollas zachowuje się jak ty. Pójdziemy zaraz na radę i opanujemy sytuację. Kiedy mamy być u króla?

- Przyślą po nas.

- Dobrze, idę na razie do siebie, może zdążę się jeszcze umyć.

Tacjades dotknął ręką czoła i oparł się o ścianę.

⁹ Hyksosi - gr. forma egipskiego określenia semickich przywódców szczepowych, pochodzących z Azji, którzy uzależnili od siebie w XVII w. p.n.e. cały Egipt.

- Co ci jest? - spytał Filander, widząc jego wykrzywioną twarz.

- Głowa mnie rozboleła, pewnie od tego twojego biadolenia - odparł, jakby bagatelizował sprawę, ale po chwili aż syknął z bólu i zacisnął mocno oczy.

- Lepiej poślę po lekarza, żebyś u króla był w formie.

- Jeśli mógłbyś... może rzeczywiście. Pójdę się na chwilę położyć.

- Lostis czy Alaraster?

- Obu nie lubię. Przyślij kogokolwiek. - Tacjades machnął ręką i poszedł wolno w stronę swojego apartamentu.

Hezon biegł dziedzińcem najszybciej jak tylko potrafił, by wreszcie dopaść drzwi, a następnie wspiąć się na schody. Tam spodziewał się zastać Filandra, który, choć wciąż zaaferowany wieściami z Fajstos, nie mógł się oprzeć, aby nie poklepać po pośladkach dwóch nagich służek przemykających korytarzem. Hezon, nie zważając na wymianę uśmiechów między nim a dziewczętami, dopadł do olbrzyma i mocno pociągnął go za tunikę.

- Uważaj, Hezonie! - Filander się uśmiechnął. - Podrzesz mi ubranie, a nie mam ciała takiego jak te syreny! - Widząc jednak przerażenie w oczach chłopca, szybko spowaźniał. - Co znowu?! - spytał z niepokojem.

- Mój ojciec!

- Jest u siebie - odparł Filander.

- Wiem! Ale coś się stało... Dopadły go duchy z Hadesu! Wydierają mu serce! Ratuj go!

- Przyłóż sobie coś zimnego do czoła, głuptasie, ponosi cię.

- Błagam, Filandrze, biegnij ze mną do niego!

- Nie żartuj ze mnie, Hezonie. - Olbrzym pokiwał groźnie palcem. - Ja też w dzieciństwie czytałem bajki cyrenajskie, ale nie robiłem o to tyle hałasu!

Łzy w oczach dzieciaka wydały mu się jednak autentyczne.

- Zaraz jest narada u króla, ale... no, dobrze, tylko szybko. Jeśli to żart, powieszę cię do góry nogami na drzewie przy dziedzińcu! - mruknął ostrzegawczo.

Gdy dobiegli do łoża, Tacjades był przytomny. Miał spocone czoło, szeroko otwarte, nieobecne oczy, rozszerzone źrenice, a ciałem dziwnie regularnie wstrząsały dreszcze, jakby był

rzeczywiście poważnie chory. Przerażony lekarz stał przy nim, nieśmiało spoglądając co pewien czas na gniewne oblicze Filandra.

- Wiem, że nie lubisz lekarzy, ale to już przesada - wyszeptał przyjacielowi prosto do ucha olbrzym. - Co ci się stało, stary brachu?

Tacjades jakby nie usłyszał tych słów. Patrzył spokojnie, choć tępo w sufit, nie reagując.

- Powiedz coś, podstępny Sylenie¹⁰, bo naprawdę zaczniemy się bać. Trzeba iść do króla - jęknął Filander.

Chory zerwał się nagle i mocno złapał szatę przyjaciela tak, że nawet on miał kłopot z nabraniem tchu.

- Dalekie krainy! - krzyknął Tacjades prosto w jego twarz. - Nieznani ludzie, nieznani bogowie i wojny! Jestem tam, Filandrze! Jestem tam teraz! Zabierz mnie z tego Hadesu, bo umarli idą po mnie!

- Ciągłe to krzyczy - wyjąkał lekarz z trwogą.

- Powinno się tu zabronić czytania wierszy Cyrenajczyków; poważni prythanowie już nawet chorują w poetyckim stylu. - Filander próbował się uśmiechnąć, ale po chwili spochmurniał, zniżył głos i nachylił się nad przyjacielem. - Nie wygłupiaj się, stary brachu, nie jest tak źle, nie wiedziałem, że ci piraci zrobią na tobie aż takie wrażenie.

Tacjades złapał kilka głębszych oddechów i zaczął mówić, ale już znacznie ciszej.

- Ja nie żartuję - szeptał przerażony. - Widzę dalekie przestrzenie, tak jak ciebie tutaj. Widzę strach, jaki trudno wyobrazić sobie śmiertelnikowi. Coś wciąga mnie niczym wir morski i wiem, że już nie puści, a ty nie jesteś w stanie tego zobaczyć. To przecież nie jest śmierć!

Filander mocno przygarnął do siebie Tacjadesa.

- Po prostu nagle się rozchorowałeś, może coś ci zaszkodziło, może nawąchałeś się tych dziwnych roślin z wybrzeża, może chłodny wiatr od morza przyniósł z tymi rabami jakieś świństwo, ale to z pewnością nie śmierć - uspokoił go, sam drżąc coraz bardziej.

- Wiem, że to nie śmierć - odparł chory prawie normalnym tonem. - Ale lęk rozdziera mnie na strzępy, bo czuję, że to coś znacznie gorszego.

Okolice Jelling, kraj Danów rok 987

¹⁰ Sylen - bożek płynącej wody, który nauczył Dionizosa pić wino. Często upijał się, aby filozofować

Konie Devirka i Desgeara gnały przez las tak szybko, że nie sposób było zatrzymać spojrzenia choć na chwilę na jakimkolwiek drzewie czy zwierzyńcu, z rzadka umykającej z drogi przed jeźdźcami. Zaczęło świtać już jakiś czas temu, jednak mimo że pół nocy jechali, nadal nie zwalniali tempa, mknąc wciąż na południe.

Devirk - młodszy o kilka lat od Desgeara i jakby drobniejszy, twarz miał delikatniejszą i mniej surową, ale włosy dłuższe, jasne jak zboże, niezwiązane niczym. O pół konia z przodu jechał Desgear, ubrany stosownie do podróży - w ciepłe spodnie wąskie na łydkach i szerokie, gęsto plisowane od kolan w górę, koszulę wełnianą i wygodny kaftan ze skóry. Włosy splecione w regularne warkocze nie przeszkadzały mu w szybkiej jeździe, choć gdyby ktoś teraz zajrzał mu w rozpalone oczy i dostrzegł zaciśnięte usta - z pewnością nie uciekłyby od trwogi i widok ten musiałby zapamiętać na długo.

Devirk wyglądał nie tylko na spokojniejszego, ale nawet pozbawionego jakichkolwiek emocji. Jechał za starszym bratem jakby w półśnie, tępo wpatrzony w kłęb jego konia, nie mówiąc nic i nie narzekając na zimno, choć miał na sobie tylko długą koszulę i lekkie spodnie. Na szczęście heyannir¹¹ łagodny był tego lata i chłód nie dokuczał dotkliwie, choć właśnie o zdrowie brata teraz, kiedy zgubili już pogoń, Desgear martwił się najbardziej. Z przodu po prawej stronie błysnęło między drzewami jezioro i starszy brat postanowił zwolnić.

- Widzę jakieś domostwo! - krzyknął do tyłu, ale Devirk nie zareagował. Jechał wciąż za Desgearem, jakby obojętne mu było, dokąd go zaprowadzi.

Chata wyglądała na rybacką, mocno nadgryzioną zębem czasu, zaniedbaną i chyba opuszczoną, więc skręcili w jej stronę, ale jadąc już ostrożniej. Zanim jednak zatrzymali konie, z ciemnego wnętrza wyłonił się siwy starzec bez broni i - jak szybko dostrzegł Desgear - także bez oznak strachu na twarzy, czym na pierwszy rzut oka zyskał sobie jego sympatię. Strój starca wydał się obu braciom dość dziwny, niepraktyczny i nazbyt kolorowy: pełen ozdób, pętelek i osobliwych sznurków. Wszystko to było dziwaczne, bo nijak taka postać nie pasowała do rozwalającej się chałupy. Starość raczej nie nadwreżyła jeszcze jego tężyzny i - jak wynikało z wyrazu twarzy - także nie zaraziła umysłu. Tylko siwe włosy i poorane bruzdami czoło wskazywały na podeszły wiek.

- Jestem Desgear, syn Denawała, karl¹², a to mój brat Devirk - przywitał się uprzejmie starszy z jeźdźców, cały czas uważnie obserwując starca. Na wszelki wypadek.

¹¹ Heyannir - nazwa jednego z miesięcy staronordyckich, według zwyczajów wikingów „czas zbierania siana”.

¹² Karl - w społeczeństwie Normanów wolny człowiek.

Ten uklonił się, ale choć odpowiedział wolno i starał się mówić jak najwyraźniej, Desgear nie rozumiał ani jednego słowa. No, może tylko *heil!*, co pewnie miało oznaczać powitanie. Chwilę niezręcznej ciszy przerwał spokojny, zmęczony głos Devirka.

- Mówi językiem Ludolfingów¹³, jest z kraju Ottonów.

- A skąd ty to możesz wiedzieć?! - zbeształ go Desgear.

Devirk ponownie nie zwrócił uwagi na jego słowa, tylko - bez najmniejszego zresztą problemu - wypowiedział kilka niezrozumiałych dla starszego brata zdań, na które z kolei starzec zareagował z ogromnym entuzjazmem, rewanżując się kolejnym zbiorem syczących, szeleszczących i bełkotliwych - jakby szczekał pies - głosek.

- Mówi, że jest podróżnikiem i kronikarzem - wyjaśnił Devirk. - Przybył tu z synem, który poszedł chyba coś upolować. Bardzo jest rad, że nas spotkał i że rozumiemy jego mowę.

- Widzę - warknął rozdrażniony Desgear. - Japa mu się cieszy, jakby wygrał worek złota w nefatavl¹⁴.

Zeskoczył z konia, uśmiechając się możliwie najszczerzej do starca, ale szybko spoważniał, kiedy podszedł do wciąż tkwiącego na koniu brata.

- Skąd znasz jego język?! - syknął z wyraźnym niepokojem.

- Nie wiem - odparł obojętnie Devirk. - Zostajemy tu?

- Na wszystkich Azów i Wanów, co się z tobą dzieje, bracie?!

- Zostajemy tu? On nas zaprasza.

Desgear zacisnął mocniej usta z bezsilności.

- Powiedz mu, że zostajemy, jeśli pozwoli - rzekł z irytacją.

Devirk szepnął do starca kilka słów, a po otrzymanej odpowiedzi zgramolił się z konia i niemal natychmiast upadł na ziemię.

- Mój brat jest chory! - rzucił Desgear do Niemca, ale tego nikt nie musiał tłumaczyć. Tamten szybko podszedł do nich, aby pomóc przenieść młodego do chaty.

W środku położyli go na starym, drewnianym wyrze i dopiero teraz Desgear miał czas, aby się rozejrzeć.

- Co za brudas z tego Ottina, ten chlew nie nadaje się nawet dla zwierząt - jęknął, przykrywając brata swoim kaftanem,

- To nie jest jego dom, przyjechał tu wczoraj i dzisiaj wyjeżdża - odparł Devirk, otwierając zamknięte przez dłuższy czas oczy. - Nie wie, czyj to dom.

¹³ Język Ludolfingów - tu: język niemiecki, od nazwy dynastii saskiej, z której pochodzili cesarze niemieccy, między innymi Otton I, II i III.

¹⁴ Nefatavl - popularna wśród wikingów gra planszowa.

- Odpoczywaj.
- Widzę, że trudny czas obudził w tobie starych bogów.
- Nie trzeba ich zapominać, nawet wyznając Christa. Szczególnie teraz.

Starzec, widząc, że bracia chcą porozmawiać, wyszedł z chaty. Chwilę później wikingowie znów usłyszeli to dziwne szwargotanie, którym przywitał ich „gospodarz”, po czym jakaś wielka głowa z nienaturalnie krótkimi włosami zajrzała do chaty, aby się przywitać i szczeknęła oczywiście - *Heil!* Uśmiech zdradził brak kilku kluczowych dla urody zębów, ale widać syn kronikarza nie miał kompleksów. Bracia przerwali rozmowę. Na ich oko młody Niemiec, w wieku około trzydziestu lat, wyglądał trochę głupkowato, więc tylko uprzejmie mu się odклонili i przestali zwracać na niego uwagę.

- Nie martw się tak - powiedział wreszcie Devirk, widząc wciąż zasmucone oblicze brata. - I tak podróż była nam sądzona.

- Podróż?! - oburzył się Desgear. - W środku nocy, niemal bez niczego, z sakwą na życie i jazdę może nawet do vetr¹⁵, musieliśmy uciekać przed mieczami Tveskæga¹⁶, bo tobie zachciało się romansowania z córką Dagome¹⁷? To nazywasz „podróżą”?!
- Ona nie jest jego żoną i być może nigdy nie będzie - odparł spokojnie Devirk.

- I jeszcze to! Teraz, kiedy zmogła cię ta straszna choroba! - warknął przez zęby Desgear, nie chcąc jednak, aby szwargoczący przed chatą Niemcy go usłyszeli.

- Kocham cię, bracie, ale nie prosiłem, abyś mnie ratował.

- Stul dziób, młokosie! Miałem pozwolić, by roznieśli cię na mieczach? Od tygodnia jesteś półprzytomny. I tak wyglądasz, jakbyś umierał.

- Co chcesz teraz zrobić?

Desgear nabrał głęboko powietrza, aby się uspokoić.

- Chcę dotrzeć do Truso¹⁸. Słyszałem, że w tym mieście żyją w zgodzie i pokoju Słowianie, Danowie, Fryzowie, a nawet Sasi. Tam mamy szansę. Zapomnimy, kim jesteśmy, zaczniemy od początku.

¹⁵ Vetr - miesiąc rozpoczynający w kalendarzu wikingów zimę.

¹⁶ Tveskæg - Swen Widłobrody, przywódca buntu przeciwko swojemu ojcu Haraldowi Sinozębemu - władcy Jutlandii, Fionii, Zelandii i ziem dzisiejszej pd. Szwecji, późniejszy król Danii, Norwegii i Anglii.

¹⁷ Dagome - polski książę Mieszko I, zwany tak na Zachodzie i wśród Normanów. Jego córka, siostra Bolesława Chrobrego, Gunhilda (Sygryda) wyszła za Swena Widłobrodego.

¹⁸ Truso - miasto nad jeziorem Drużno w okolicach dzisiejszego Elbląga.

- Widziałem, jak zapomniałeś, kim jesteś. - Devirk uśmiechnął się z trudem. - Wypaplałeś temu Otтинowi wszystko już w pierwszym zdaniu.

- Tutaj to co innego. Jesteśmy w swoim kraju. Zanim się rozniesie, co się stało, otworem staną przed nami wszystkie drzwi.

- Może jednak pójść za jarlem¹⁹?

- Jarl jest zgubiony. Tylko na południu będziemy bezpieczni. Odpoczywaj.

- Ból głowy mija, słabość powoli też.

- Widziałem. Z konia zeskoczyłeś jak Tyr.

- To chwilowe, wiem, co mówię. - Devirk oparł się na łokciu - Nie rozumiesz tego, bracie.

- Tak! Nie rozumiem! - Desgear wpił gniewny wzrok w młodego. - Nie wiem, jakie to czary i kto ci to zrobił, a choć znasz mnie, lękam się. Przez tyle dni w łożu krzyczałeś o bogach, dalekich krainach, szeptałeś w niezrozumiałych językach, teraz rozmawiasz jak ze swoim z tym Otтинem. Powiedz mi prawdę! Nie opuszczę cię, ale powiedz, co się dzieje?

- Sam tego nie pojmuję i wierz mi, że życie chciałem sobie odebrać jeszcze niedawno, jednak teraz próbuję... - głos Devirka wreszcie stracił obojętność. - Od pacholących lat pływam z tobą po świecie i dużo już widziałem, ale to jest... jak wszystko na raz. Jak spojrzenie boga, większego od Walfadra, o którym Bestii marzyć nie mogła.

- Skąd znasz język Ludolfingów?!

- Znam języki ludów Karola i dawnych cesarzy²⁰. Znam krainy tak dalekie, że bracia o nich nawet nie marzyli. Znam istnień tysiące i śmierci tysiące, bo ktoś rozwarł przede mną jakąś bramę straszną i piękną, a pamięć otworzyła się na wszystkie czasy. Bracie, ja żyję tu i wszędzie jednocześnie, a jedyne, czego nie wiem, to kim naprawdę jestem i dlaczego jestem.

Devirk opadł z powrotem na łóżko, aby odpocząć.

- No, skromności to ci raczej nie przybyło - mruknął Desgear.

W głębi serca był przerażony. Objął dłońmi głowę i próbował się uspokoić. Podszedł chwiejnym krokiem do wyjścia, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, stanął w progu i ciężko oddychał, jakby to on biegł pół nocy zamiast koni. Stary Niemiec zbliżył się do niego, gadając po swojemu, jednak wiking nie reagował. Chciał wierzyć, że jego brat chwilowo postradał zmysły i że to minie w podróży, ale szaleńcy nie mówią językami ludów, których nigdy wcześniej nie poznali.

¹⁹ Jarl - najwyższy kapłan i sędzia, ale tu Devirkowi chodzi o Haralda Sinozębego, przeciwko któremu wystąpił Swen Widłobrody

²⁰ Język dawnych cesarzy - łacina

Niemcy pożegnali się około południa. Zrobili to na migi z Desgearem, któremu udało się wymachać uprzejmą prośbę, aby nie budzić brata, bo jest chory i przyda mu się kilkugodzinny odpoczynek. Wcześniej starzec zapisał kilka zdań w swojej księdze, po czym wyprowadził z synem z małej przybudówki w tylnej części chałupy wóz, na którym umieścił niewielki dobytek oraz własną, szanowną osobę. Ciekawostką było to, że do wozu zaprzął osła, bo konia miał tylko szczerbaty olbrzym. Desgear odetchnął z ulgą, widząc, że wędrowcy nie kierują się w stronę Jelling, a raczej w stronę Zelandii. Wiking odprowadzał wzrokiem dwójkę dziwaków, aż zniknęli między drzewami, a następnie wrócił do środka, gdzie od kilku już godzin Devirk spał tak mocno, że nie zbudziły go nawet hałasy pakowania kolejnych tobołków dwumetrowego, potężnego jak tur, za to wiecznie uśmiechniętego syna kronikarza. Ojciec, jak zorientował się Desgear, kilkakrotnie zwracał mu uwagę, by robił to ciszej, ale szczerbol wyraźnie nic nie mógł na to poradzić, że urodził się z rękami wyciosanymi z dębowin najciemniejszego saskiego lasu i - niestety - subtelnością Polifema²¹.

Devirk obudził się dopiero pod wieczór, ale już po kilku chwilach poczuł dziwny, nieodparty niepokój. Siły wyraźnie mu wróciły i - jak ocenił po pewnym czasie Desgear - fizycznie właściwie przypominał młokosa sprzed kilku tygodni, gorzej było z tym, co brat dostrzegł w jego oczach.

- Na jak długo starczy ci tym razem sił? - spytał na wszelki wypadek.

- Teraz już będzie tylko lepiej - odparł Devirk, wyraźnie czegoś nasłuchując.

Podszedł ostrożnie do wyjścia, usiadł przy nim na minutę i dał znak Desgearowi, aby zamilkł. Oczy młodego wikinga błyszczały w mroku jak ślepie sokoła szukającego zdobyczy. Jego ruchy - ciche, spokojne, przypominające bratu skradającego się wilka lub szakala z kraju Maurów, podarowanego niegdyś przez tamtejszego księcia Kamaala Sinozębemu, do którego tylko jarl mógł podchodzić i karmić go z ręki - znów obudziły stary lęk Desgeara.

- Coś słyszysz? - zagadnął szeptem z wyraźnym niepokojem.

Devirk poprosił gestem, aby brat milczał jeszcze przez moment, po czym poświęcił kilka chwil na zastanowienie. Opuścił głowę i zamknął oczy. Nie na długo jednak. Nie czas było teraz odpoczywać. Otworzył więc powieki i wbił wzrok w drzwi wejściowe.

²¹ Polifem - mit. potężny cyklop występujący m.in. w *Odysei* Homera. Polifem uwięził w swojej jaskini Odyseusza i jego towarzyszy, zamykając wejście wielkim głazem, a następnie pożarł kilku z nich. Odyseusz jednak zdołał upić go winem, a kiedy olbrzym zasnął, wypalił mu rozżarzoną drągami jedyne oko.

- Co się dzieje?! - spytał wciąż szeptem, ale już bardziej zdecydowanie Desgear.

- Jak tu przyjechaliśmy, z tyłu, za domem widziałem starą łódź rybacką. Kiepską i wolną, ale to jedyna szansa - Devirk mówił to, nie spuszczać z oka wejścia do domu. - Musisz przepłynąć na drugą stronę jeziora. Tam się spotkamy.

- Czyś ty postradał zmysły?! - oburzył się nie na żarty Desgear. - Myślisz, że znaleźli nas?

- Nie myślę, tylko wiem, że nas znaleźli, ale nie ci, o których myślisz.

- Na Thora²²! Kiedy ich usłyszałeś?

- Otoczyli dom, są w promieniu stu kroków od chaty.

- Skąd to wiesz, może ci się wydaje? Ja ich nawet nie usłyszałem, a ty wiesz, gdzie oni są?! To może powiesz jeszcze, ilu ich jest?

- Czterech.

- O Boże Chrście! Pomóż! - Desgear złapał się za głowę. - Albo ty jesteś szalony, albo czeka nas walka, a miecz mam tylko ja. Twojego nie zdążyliśmy zabrać. Skąd wiesz, że jest ich czterech?

- Wiem. Posłuchaj teraz. - Młody wiking przeniósł wzrok na brata. - Tak nie damy rady, musisz zrobić to, o co prosiłem.

- To znaczy uciec?! - Desgearowi nie mieściło się to w głowie. - I zostawić ciebie, młokosa, na pastwę tych czterech, jak mówisz, zbirów. Kompletnie już postradałeś zmysły!

- Wybacz mi bracie - prosił dalej Devirk. - Ale skoro widziałeś już tyle dziwnych rzeczy związanych ze mną, to uwierz mi, błagam, jeszcze tym razem, inaczej zginiemy.

- Chcesz z nimi walczyć sam?

- Ty nie dasz im rady.

- Przecież to ja cię uczyłem walki! Nie ma lepszego ode mnie w Jelling!

- W Jelling tak, lecz takich jak oni nigdy jeszcze nie miałeś przed sobą. W normalnych warunkach pięciu naszych nie dałoby rady nawet jednemu z nich.

Desgear cofnął się o krok pod ścianę i lekko otworzył usta, starając się za wszelką cenę ukryć przerażenie.

- Skąd wiesz?!

- Mówi mi to coś, co przybyło do mojego umysłu kilka dni temu i czego się tak lękasz.

Wiem, kim są ci ludzie, i wiem, czego chcą. Przy nich psy Tveskæga to dzieciaki z różgami.

²² Thor - skandynawski bóg o ogromnej sile, przyjazny ludziom, opiekun domostw.

- Jeśli mamy zginąć, to razem.

- Oni nie przyszli po ciebie, ale po mnie. Ciebie zabiją tylko wtedy, jeśli staniesz im na drodze.

- Dlaczego chcą właśnie ciebie?

- Bo wiedzą, kim jestem. Chcą tego, co mam teraz w głowie. Nie wiedzą tylko, na ile zdążyłem nabrać sił. - Devirk przerwał na chwilę, aby Desgear dokładnie go usłyszał. - Dam im radę, jeśli wsiądziesz na tę łódź i zdołasz uciec. Nie będą cię gonić.

- Dwóch to lepiej niż jeden!

- Nie tym razem. Natychmiast cię zabiją albo wykorzystają przeciwko mnie.

- Dość, Devirk! Nie mam zamiaru tego słuchać. Pójdę razem z tobą. - Desgear wyjął miecz gotów do walki.

- Mamy tylko jeden miecz - zauważył spokojnie młody wiking.

- Jest tu trochę żelastwa, użyjemy go jako broni, może uda się im coś odebrać.

- Desgearze! - przerwał zdecydowanie Devirk. - Kończy nam się czas. Jeśli mnie nie posłuchasz, odbiorę ci miecz, a jeśli będę musiał, odbiorę ci też przytomność, abyś nie mógł przeszkodzić.

- O czym ty mówisz, bezczelny dzieciaku?! - roześmiał się po raz pierwszy od wielu dni starszy brat. - Nie potrafiłeś mi nigdy zadać żadnego ciosu nawet drewnianym mieczem, a to nie zabawa. To jest metal; zabija, a ty nigdy jeszcze nikogo nie zabiłeś!

Zanim Desgear skończył, Devirk już był przy nim. Niemal niezauważalnym, precyzyjnym ruchem podbił w odpowiednim miejscu nadgarstek brata, wyjął mu z tak rozluźnionego na chwilę chwytu miecz i przystawił błyskawicznie ostrze do szyi Desgeara.

- Ja nie żartuję - szepnął bratu prosto do ucha Devirk. - Zrobisz, o co proszę, czy pogrzebiesz swym uporem nas obu?

Nastała krótka chwila ciszy. Niewielka strużka potu przemierzyła policzek Desgeara.

- Zrobię, co powiesz - odparł wolno starszy wiking. Mimo że brat oddał mu już miecz, nadal stał jak wryty na środku chaty. - Na Odyna! - szepnął, czując, jak łzy napływają mu do oczu. - Jeśli nawet bogowie są w moim bracie, jak mam go opuścić? Dan tego nie potrafi...

- Tylko tak możesz mi pomóc. Przedostań się na drugą stronę jeziora. Miecz weź, może być ci potrzebny. - Devirk podbiegł do wyjścia, po czym zniknął za nim niemal bezszelestnie.

Cisza dochodząca zewsząd do uszu Desgeara była nieznośna. Jeśli nawet w lesie jego brat walczył teraz na śmierć i życie, nie była to walka, którą Dan znał z dotychczasowego życia. Nikt nie krzyczał, nie ścierał się mieczem z wrogiem, nie upadał pokonany na ziemię, co Desgear na pewno by usłyszał. Tylko czasem jakiś krótki świst, złamana gałązka, jakby wiatr na chwilę wniknął między drzewa i znowu cisza. Mimo strachu narastającego coraz chłodniejszym cieniem w sercu, które, wydawać by się mogło, zamarło w przerażeniu - dumny wiking nie potrafił uciec. Ścisnął broń mocno w dłoni i wyszedł przed chatę, czekając na to, co nieuchronne. Dopiero teraz usłyszał, jak miecze spotykają się ze sobą. Ale czyniły to tak niesłychanie szybko, że żaden normalny człowiek dokonać by tego nie potrafił. Nagle na tle ściany lasu pojawił się człowiek ubrany w ciemnozieloną sukmanę, niczym mnich, niemal natychmiast padając na ziemię po straszliwym ciosie. Leżał przez moment, nie mogąc się ruszyć, ale po chwili ciężko wstał i podniósł z ziemi sztylet, który wypuścił z rąk. Wtedy zza drzew wyłonił się Devirk. Jego wilcze spojrzenie jeszcze bardziej przeraziło Desgeara i tak już odchodzącego od zmysłów w tę diabelską noc. Młody wiking trzymał w rękach czyjś miecz. Trochę inny niż zwykła broń Danów, bardziej zakrzywiony, przypominający italski. Wolno, spokojnie zbliżał się do rannego. Z lasu wyłonił się kolejny mnich. Szedł, zataczając się szeroko. Desgear wiedział, że jest śmiertelnie ranny. Ostatkiem sił umierający zdołał zdjąć z ramienia łuk, sięgnąć po strzałę i wymierzyć w Devirka.

- Nie!!! - wrzasnął na całe gardło stojący przy chacie bezradny wiking.

Trzej walczący natychmiast spojrzeli w jego stronę. Mnich, który podniósł się właśnie z ziemi, błyskawicznie sięgnął pod sukmanę po nóż i rzucił nim płynnym ruchem. Z pewnością trafiłby Desgeara, gdyby nie Devirk, który w ostatniej chwili zdołał podbić wrogowi rękę i zaraz potem zadać trzy ciosy mieczem tak szybko, że jego starszy brat, obok którego świsnął przed chwilą rzucony sztylet, nie umiał tego nawet dostrzec. Ułamek sekundy później z łuku drugiego mnicha wyleciała strzała w stronę młodego Dana. Znowu nadludzko szybki i dokładny ruch mieczem i przepołowiona strzała spadła bezużytecznie na ziemię. Drugi mnich padł na ziemię nieprzytomny, a Devirk schylił się po odcięty grot strzały i przyjrzał mu się uważnie. Dopiero teraz groźnie spojrzął na brata i rozkazująco wskazał ręką łódź. Tym razem Desgear, nie czekając, szybko pobiegł w stronę jeziora. Devirk odprowadził go wzrokiem, a gdy tamten znikł, ponownie zaczął iść w stronę lasu.

ROZDZIAŁ 1

Warszawa, rok 2007

Doktor Błażej Kulawik - rzeński czterdziestolatek z kartoflastym nosem, twarzą okrągłą jak wiejski bochenek chleba, ale za to z kobieco uroczymi, jak twierdziła większość pielęgniarek, niebieskimi oczami, uśmiechnął się od ucha do ucha z niekłamano radością i - trzeba przyznać - wdzięcznością, że doktor Aleksandra Sambierska raczyła z łaski swojej wrócić wreszcie z urlopu. Gdy więc ujrzał ją w drzwiach gabinetu, mógł spokojnie zwalić swoje co najmniej o trzydzieści kilo za ciężkie ciało z powrotem na wygodny fotel i odetchnąć z ulgą.

Kolega Kulawika, jego rówieśnik, zresztą kumpel ze studiów - Zenon Jabłoński, lekarz sumienny, dokładny i wnikliwy, ale nijak nieumiejący pozbyć się abnegackiego wyglądu, przysypiał na kanapie pod ścianą. Machnął niedbale ręką, reagując oszczędnie na powrót koleżanki do pracy i zaszczycając ją tylko krótkim: „Cześć, Marchewa!”, na powitanie.

Rudowłosa, drobna, niska pani doktor była uwielbiana przez ordynatora, bardzo lubiana przy tym - co może trochę dziwne - przez kolegów i zwykle szanowana przez pacjentów. Przynajmniej tych, którzy choć trochę łapali, o co dookoła chodzi. Jako psychiatra znana była z odczytania, dociekliwości i nieuleczalnej miłości do przypadków ciekawych i trudnych. Pewien wyjątek poniekąd stanowił tu jej mąż - przypadek klasycznie ciekawy i trudny, który dwa lata temu wymienił ambitną żonę lekarzkę na dziewiętnastoletnią absolwentkę szkoły zawodowej w Koluszkach o kierunku kulinarnym czy żywieniowym - w każdym razie jakimś związanym z żarciem. W tym przypadku diagnoza i rokowanie były raczej niepomysłne. Żyje im się od tej pory podobno wspaniale - ona jako zastępczyni bufetowej dba z poświęceniem o żołądek nowego męża, on rewanżuje jej się tym, że stosunkowo rzadko truje o filologii klasycznej, ograniczając się do wykładów na uczelni. Samotna pani doktor przeboleła już stratę, ale od tego czasu żaden poważny mężczyzna w jej życiu się nie pojawił. Podobno...

Obchodząc ostatnio swoje trzydzieste piąte urodziny, nikogo nie zaprosiła, nie urządziła przyjęcia, a tylko kupiła sobie dobry koniak i przepijając do lustra, udawała, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Koledzy uważali, że prześliczne piegi i uroczy uśmiech nadal ją zdobiły, a kretyn mąż może się schować! Choć niewdzięczny filolog klasyczny nigdy nie mówił, że odchodzi, bo żona nie może dać mu dzieci, ale jakoś tak się złożyło, że pani bufetowa w ciążę zaszła niemal natychmiast i bobas miał już prawie rok. Ktoś ze wspólnych znajomych go podobno

widział, więc szybko doniesiono opuszczonej zdradziecko Oli, że dziecko jest brzydkie, czerwone i wiecznie drze mordę. Trochę pomogło.

- Jak było? - spytał wstępnie Kulawik.

- Znośnie. Pobiegałam trochę po górach. - Ola padła na fotel po drugiej stronie jego biurka.

- A co u was?

- Ciekawie. Nawet Zenio tak twierdzi.

- Widzę - prychnęła z przyjacielskim zresztą uśmiechem.

Zenio nadal przysypiał na kanapie.

- Weź się jakoś zachowuj ! - skarcił go Kulawik.

- Spadaj, grubasie! - mruknął, nie otwierając oczu Jabłoński.

- Chcemy o nim pogadać, jełopo! - nalegał.

Zenio otworzył oczy i pokręcił głową okazując niezadowolenie.

- Nie daj się zrobić w bambuko, Marchewa - ostrzegł zdradziecko, posyłając koledze rewanżystowski uśmiech.

- Podniecacie mnie, łobuzy! Tamten już naopowiadał mi przez telefon, że macie coś, czego jeszcze nie widziałam. Gadajcie, do cholery!

Zenio przyjął powoli postawę siedzącą.

- Przyjechał do nas z neurologii - zaczął Kulawik. - Mężczyzna, dwadzieścia osiem lat, do tej pory nie wykazujący żadnych odstępstw od normy. Trzy tygodnie temu stracił nagle przytomność, zaczął gorączkować, nie można było nawiązać z nim sensownego kontaktu. Przewieziono go do szpitala na Sobieskiego. Wyglądało na ostre zapalenie mózgu.

- No i? - spytała przepisowo Ola.

- To nie było zapalenie mózgu. - Kulawik wyjął z otwartej teczki jeden z dokumentów i podał koleżance. - Tu masz badania płynu mózgowo-rdzeniowego. Zrobili jeszcze rezonans, EEG i też guzik.

- Co to znaczy „guzik”?

- Rezonans czysty - wtrącił Jabłoński. - A w EEG tyle było artefaktów, że nie mogli niczego stwierdzić.

- Od kiedy jest u nas? - spytała Ola.

- Od dwóch tygodni - odparł Kulawik. - Przyjechał niedługo po tym, jak wyjechałaś.

- I chcesz, żebym go teraz przejęła? Po takim czasie? Co naprawdę stwierdziliście?

- Wszystko - mruknął znudzonym tonem Jabłoński.

- Pytam poważnie, Zeniu.

- A ja ci poważnie odpowiadam. Przerobiliśmy z nim tu chyba wszystkie możliwe psychozy. Jakby jaja sobie z nas robił.

Sambierska spojrzała powątpiewająco na Kulawika.

- O czym wy gadacie?

- Olu, nigdy czegoś takiego nie widziałem - oświadczył śmiertelnie poważnie Kulawik. - Można było u niego stwierdzić objawy parafreniczne z wszelkimi możliwymi omamami i urojeniami, paranoją prześladowczą, paranoję wynalazczą, rozszczepienie osobowości, schizofrenię zdeorganizowaną, katatonię, osobowość wieloraką, co tylko chcesz, codziennie co innego.

- Niemożliwe - przerwała mu Ola. - To musi być jakieś oszustwo.

- Szkoda, że tego nie widziałas. - Zenio również stał się kamiennie poważny.

- Mówcie, co po kolei. - Sambierska rozłożyła ręce.

- U nas zaczął od silnych stanów pobudzeniowych i lękowych - ciągnął Kulawik. - Widział Boga, diabła, anioły, historię świata, cytując: „tysiące istnień”, czasy pradawne oraz te mniej pradawne i tak dalej. Później był po kolei jakimś urzędnikiem królewskim na starożytnej Krecie, następnie wojownikiem rzymskim, wikingiem, a nawet jednym z pułkowników Władysława IV. Doraźnie jechaliśmy na benzodiazepinach i obserwowaliśmy, bo żadnej terapii nie mogliśmy zastosować u kogoś, komu codziennie stawialiśmy inną diagnozę.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze się coś zmieniło?

- Potem się trochę uspokoił i zaczął mówić w jakichś obcych językach, i nie mówię tu o angielskim czy francuskim, ale takich, których by chyba żaden poliglota nie zrozumiał. Udawał karatekę albo kogoś takiego.

- Uuu... Jest unieruchomiony?

- Nie, nikomu nie robił krzywdy. Ograniczył się do „treningu”. Odosobniliśmy go na pewien czas, ale nie było z tego punktu widzenia kłopotów, więc wrócił do normalnej sali, pod okiem sanitariusza.

- Jak bystry?

- Ja za nim nie nadażam, a ty? - mruknął do Zenia.

Jabłoński machnął tylko ręką.

- Może poczekać na starego? - zaproponowała wreszcie Ola.

- Stary wraca za dwa tygodnie ze Stanów, to raczej nie wchodzi w grę - odparł Kulawik.

- No dobra, od kogo go przejmuję?

- Od nikogo.

- Słucham?

- No, powiedzmy ode mnie - bąknął Kulawik. - Nie postawiono ostatecznej diagnozy, więc nie przydzieliłem go jeszcze nikomu, czekałem na ciebie. Dość dokładnie opisałem historię choroby, w teczce masz badania i wszystko, co zdołaliśmy zgromadzić.

Ola pokiwała głową, wstała z fotela i wolno przeszła się po gabinecie.

- Te urojenia z osobami, z którymi się identyfikował... może on przerabia swoje poprzednie wcielenia? Może wierzy, że...

- Raczej nie - przerwał koleżance Zenio.

- Dlaczego?

- Był rycerzem imperium karolińskiego i jednocześnie rzymskim kupcem. Podawał nam nawet dokładne daty. Żyli niemal równocześnie.

- Jak on to wyjaśnia?

- Nie wyjaśnia. - Kulawik rozłożył ręce. - Nie wie, dlaczego go to spotkało.

- To już coś - mruknęła z zadowolenia Ola. - Ma szansę się jakoś odbić. Może nawet wykorzystam te wcielenia...

- Będzie ciężko, to katolik.

- Dziewięćdziesiąt procent Polaków tak mówi, z czego połowa nie pamięta, kiedy ostatni raz była w kościele.

- Ten dokładnie pamięta.

- Jesteś pewien?

- Ponad wszelką wątpliwość. - Kulawik zamknął teczkę pacjenta i przesunął na drugą stronę biurka, aby Ola mogła się z nią dokładnie zapoznać.

* * *

Ksiądz Krzysztof Lorent spokojnie wstał z łóżka. Postanowił, że przejdzie się po korytarzu i jeszcze raz uporządkuje nowe myśli.

- Masz papierosa? - spytał jak zwykle Jacuś, pacjent z sąsiedniego łóżka. Był o kilka lat młodszy od Lorenta, chorobliwie chudy i wiecznie przygarbiony. Spotkał się z nim wzrokiem na bardzo krótko i nie czekając na odpowiedź, pobiegł gdzieś w pośpiechu.

Krótki, urywany śmiech starszego człowieka z trzeciego łóżka zawisł nagle w powietrzu. Krzysztof ruszył wolno do otwartych przed chwilą przez Jacusia drzwi. Wyszedł na korytarz i skręcił w lewo, w stronę okratowanego na końcu przejścia. Niewysoka lekarka, która szła naprzeciwko, ujęła Krzysztofa ciepłym, uroczym uśmiechem.

- Mogę zająć księdzu kilka minut? - spytała uprzejmie, gdy już się spotkali.

- Oczywiście - odparł, przytakując lekko.

- Może usiądziemy? - Wskazała wolną ławkę stojącą pod ścianą

Krzysztof, usiłując puścić ją przodem, zatrzymał się na chwilę, ale instynkt doświadczonego psychiatry natychmiast zareagował: „nigdy nie stawać do pacjenta tyłem”. Wzięła go więc z uśmiechem pod ramię i tak dobrnęli do ławki.

- Nazywam się Aleksandra Sambierska - przedstawiła się. - Nie znamy się jeszcze, pracuję na tym oddziale.

- Przydzielono panią do mnie? - spytał nieśmiało Krzysztof

- „Przydzielono” to może niezbyt dobre słowo, proszę księdza, ale będziemy często się spotykać i ze wszelkimi problemami proszę zwracać się do mnie.

- Pani jest katoliczką?

- Nie - odparła szczerze - Jestem niewierząca.

- Mówi pani o Bogu?

- Nie rozumiem.

- Mówiąc, że jest pani niewierząca, miała pani na myśli wiarę w Boga?

- Oczywiście.

- Nie zawsze to takie oczywiste. Jean Paul Sartre twierdził, że znacznie więcej wiary należy z siebie wykrzesać, usiłując uwierzyć w materialny początek świata, a potem w teorię ewolucji, niż starając się uwierzyć w istnienie potęgi duchowej, która ten świat powołała do życia.

- Ciekawe, że ksiądz się na niego powołuje. Jeśli dobrze pamiętam, Sartre był lewicowym ateistą.

- No właśnie - Krzysztof tajemniczym uśmiechem przyznał jej rację. - Co jest w takim razie dla pani podstawą do optymizmu? - spytał, zakładając nogę na nogę.

- Życiowego?

- Tak. Co sprawia, że chce pani codziennie rano się budzić, działać, stawiać przed sobą zadania?

- Właśnie to. Samo przez się. Warto żyć dla codziennych małych kłopotów, dla dobrej herbaty i smacznego śniadania, dla pracy i pożytecznych działań, dla oglądania nieba codziennie nad sobą i cieszenia się słońcem. Warto.

- Pani jest samotna... - wtrącił cicho Krzysztof.

- Nie czuję się samotna - skłamała lekarka, zaskoczona lekko tą uwagą. - Biorę to, co daje mi świat. A skoro Bóg stworzył świat, więc musi być on najdoskonalszym z możliwych. - Roześmiała się wesoło.

- Bardziej bym panią podejrzewał o cytowanie Woltera niż Leibniza.

- Liczę, że wykaże ksiądz trochę zrozumienia i tolerancji, współpracując ze mną.

- To już terapia?

- To po prostu rozmowa - skłamała ponownie Ola.

- Proszę mnie tak nie nazywać - poprosił uprzejmie pacjent.

- Jak?

- Proszę nie tytułować mnie księdzem. Odgrywam tu zupełnie inną rolę.

- Jak się księdzu wydaje, jaką?

- Pacjenta. I chyba niewiele się w tej kwestii myślę - odparł spokojnie.

Lekarka roześmiała się szczerze.

- No tak. Myślałam, że ksi...

- Krzysztof.

- ...że coś innego możesz mieć na myśli, Krzysztofie. Ja wprawdzie odgrywam tu rolę lekarki, ale mów do mnie Aleksandra. I jeśli pozwolisz, zadam ci kilka pytań. Niektóre mogą się wydawać trochę głupie, ale taka jest tu procedura.

- Proszę - zgodził się gładko.

- Wiesz, dlaczego się tu znalazłeś?

- Oczywiście.

- Przypomnisz mi?

- Mam objawy kilku ciężkich psychoz.

Ola, mimo że przyzwyczajona do profesjonalnego zachowania wobec pacjentów, nie potrafiła ukryć zdziwienia.

- Znasz się na psychiatrii? - wybrnęła niezbyt mądrym pytaniem.

- Na tyle, na ile ksiądz się powinien na tym znać. Zaskoczyło cię, że zdaję sobie sprawę ze swojego stanu?

Lekarka przez chwilę milczała.

- Nie, zastanawiam się, czy moglibyśmy porozmawiać o twojej pamięci...

- Chętnie porozmawiam na ten temat, ale nie teraz.

- Dlaczego?

- Chyba oboje nie jesteśmy jeszcze na to gotowi, na pewno nie jesteśmy wobec siebie szczerzy, a to warunek konieczny do takiej wymiany myśli.

- Nie jesteśmy szczerzy? - powtórzyła Ola.

- W rozmowie ze mną skłamałaś przynajmniej pięć razy, ja tylko raz. To niesprawiedliwe.

Lekarka postanowiła nie zaprzeczać.

- Idę teraz na obchód. - Uśmiech nie zniknął z jej ust. - Przemyślę, co mi powiedziałaś, i wrócę za kilka godzin, zgoda?

- Zgoda.

Grupa lekarzy wolno weszła do kolejnej sali. Zanim jednak Kulawik zdążył zacząć, jeden z asystentów podszedł szybko do niego i szepnął mu coś na ucho. Lekarz skinął na Jabłońskiego, aby poprowadził obchód dalej, klepnął w ramię Sambierską i oboje wyszli na korytarz. Przeszli kilka metrów w stronę jego gabinetu, kiedy nagle się zatrzymał.

- Nie zdążyłem zapytać. - Rozejrzał się po pustym korytarzu. - Jak ci z nim poszło?

- Mądrała straszny - mruknęła Ola.

- Dasz sobie z nim radę?

- Poczytam trochę Tatarkiewicza i powinnam opanować sytuację. - Uśmiechnęła się zdawkowo.

- Pytam poważnie.

Ola rozłożyła ręce i zastanowiła się przez chwilę.

- Lubi mieć kontrolę. Urządził sobie seans, na którym czułam się jak pacjent, i pewnie o to mu chodziło. Na pierwszy rzut oka chyba mnie polubił. Przygotowuje mnie.

- Do czego?

- Do tego, aby powiedzieć kilka rewelacji, w które mam uwierzyć. Chce mnie przekonać, że nie jest chory.

- Od czego zaczniesz?

- Od schizofrenii paranoidalnej.

- Ostrożnie. - Kulawik zajrzał jej głęboko w oczy. - Nie dopasowuj własnych teorii do pacjenta.

- Spokojnie, czytałam to, co mi dałeś. Rzeczywiście bardzo nietypowy przypadek, szczególnie gdy się weźmie pod uwagę przebieg pierwszej fazy ataku choroby, ale na początku chcę właśnie to wykluczyć. W przeciwnym razie zaproponuję terapię w tym kierunku.

Kulawik spojrział w stronę sali, z której właśnie wyszli lekarze, aby przejść do następnej.

- Jego proboszcz jest w moim gabinecie - powiedział po chwili.

- Mam iść z tobą?

- Tak.

Chatillon, południowa Francja, rok 2007

Aureil zamknął oczy i opuścił głowę. Milczał bardzo długo. Luigi Balea był przekonany, że mistrz się modli. Nie śmiał mu przerywać, więc czekał. Złożył ręce jak do rozmowy z Bogiem i obserwował wychudzoną, drobną, ale wciąż wzbudzającą w nim lęk postać nauczyciela.

- Czy to pewne? - odezwał się po dłuższym czasie Aureil.

- Wszystkie znaki na to wskazują - odpowiedział Luigi, schylając nisko głowę i nie chcąc spotkać wzroku starca.

Aureil niespiesznie przebiegł dłonią po siwych włosach.

- Tyle razy już myliliśmy się... - mruknął cicho, jakby do siebie.

- Teraz to naprawdę zupełnie co innego, ojczu.

- Krótko żyjesz, chłopcze. - Starzec pokręcił głową. - Przypomnij mi, ile masz lat?

- Dwadzieścia siedem.

- Hm. - Na ponurym obliczu Aureila przez sekundę zagościła zapowiedź ledwie zauważalnego, ale jednak uśmiechu. - Sześćdziesiąt lat temu, kiedy byłem w twoim wieku, też już kilka razy myślałem, że go znalazłem, że w końcu się pojawił... I jak do tej pory zawsze się myliłem, podobnie jak mój ojciec i jego ojciec...

- Musimy spróbować! - zdobył się na odwagę Luigi, podnosząc głos, jednak wyczuł na sobie karcące spojrzenie mistrza, więc zamilkł.

- Nie mam swoich dzieci. - Aureil zaczął wolno przechadzać się po sali. - Mam tylko was i tę straszliwą wiedzę, którą przekazywano przez pokolenia. Muszę jej uczyć. Wy jesteście następni. Takie jest nasze przeznaczenie. Zamek, w którym mieszkamy, ma ponad czterysta lat. Jest tu wszystko, co zgromadziła przez ten czas moja rodzina. Wiesz, co by było, gdyby jakikolwiek nierozważny ruch zakłócił nam spokój?

- Wiem, ojcze, zdaję sobie z tego sprawę - jęknął cicho chłopak.

- Wiesz, jaka ciężka na nas odpowiedzialność?

- Tak, ojcze!

- I dalej uważasz, że go znaleźliście?! Luigi odważnie podniósł wzrok.

- Tak, ojcze!

Starzec zmarszczył brwi i znów przez kilka minut milczał.

- No dobrze - odezwał się wreszcie. - Przygotujmy się więc. Niełatwo będzie się z nim zmierzyć. Aha, i na razie trzymaj Iosifa z dala od tego.

- Tak, mistrzu.

- Zostaw mnie teraz samego.

- Przygotowywałem się na to całe życie! - nie ustępował Luigi.

- Ale krótkie życie - westchnął smutno Aureil. - Bardzo krótkie życie. Wyjdź i zostaw mnie samego.

Ksiądz proboszcz Alojzy Demel wydusił z siebie prawie uprzejmy uśmiech, kiedy Ola i Kulawik pojawili się w drzwiach gabinetu, choć wyraźnie przyszło mu to z trudem. Doktor Błażej - jak nazywali go chyba wszyscy, nawiązując do słynnego niegdyś *Szpitala na peryferiach*, z satysfakcją zauważył, że duchowny jest jeszcze grubszy od niego i nawet obszerna sutanna nie

zdołała tego ukryć. Takie momenty poprawiały mu zwykle humor i radośniej nastrojały do rozmowy.

- Witam księdza! - Wyciągnął rażno dłoń. - Herbaty, kawy?

- Nie, dziękuję - odparł uprzejmie, ale dosyć chłodno gość.

- Usiądźmy - zaproponował Kulawik i wskazał duchownemu kanapę.

Oli nie podobało się protekcyjne spojrzenie i drażniący, jej zdaniem, sposób bycia klechy, jednak na razie postanowiła nie dawać tego po sobie poznać.

- Przejdę od razu do rzeczy - zaczął Demel, przymrużając oczy. - Jak długo to może potrwać?

- Rozumiem, że chodzi o pobyt księdza Krzysztofa w szpitalu? - upewnił się Kulawik.

- Oczywiście.

- Przy takich schorzeniach to bardzo trudne do określenia - wyznał szczerze lekarz. - Może kilka tygodni, może wiele lat.

- Jak to?! - Na duchownym wyraźnie ta wiadomość zrobiła piorunujące wrażenie. - Przecież go leczycie!

- Tak, ale to nie takie proste. - Kulawik pokręcił głową. - Ksiądz Krzysztof nie ma grypy ani anginy. Obawiamy się, że zapadł na ciężką psychozę i możliwe, że będzie się z nią zmagał do końca życia.

Nawet Olę nieco zdumiał stanowczy ton doktora Błażeja.

- To znaczy, że nie wróci do nas? - spytał drżącym głosem proboszcz.

- Nie wiemy.

- Czy jesteście państwo katolikami? - Ksiądz wyraźnie starał się opanować.

- Przepraszam - wtrąciła Ola. - Jakie to ma znaczenie w tym momencie?

- Chcielibyśmy, aby lekarz prowadzący księdza Krzysztofa był wyznania rzymskokatolickiego - wyjaśnił proboszcz tonem wyraźnie nieznoszącym sprzeciwu.

- To szpital państwowy - podjął wyzwanie Kulawik. - Od naszego personelu nie wymagamy zaangażowania religijnego, tylko profesjonalizmu. Ksiądz Krzysztof jest nie tylko kapłanem, ale także obywatelem tego kraju i podlega przede wszystkim prawu, które narzuca nam ustawa. Nie ma tam ani słowa o obowiązku bycia członkiem jakiegokolwiek wspólnoty religijnej.

- W takim razie przeniesiemy księdza Krzysztofa do innej placówki - odparł chłodno proboszcz.

- Nie wyrażamy na to zgody - oświadczył spokojnie lekarz.

- Chory ma chyba prawo do wyboru placówki, w której jest leczony!

- Nie w tym stanie. O zmianie szpitala może zadecydować tylko sąd na podstawie wniosku rodziny.

- Jedyną rodziną księdza Krzysztofa jesteśmy my.

- Rozumiem, ale z prawnego punktu widzenia to nie jest wiążące. Została wydana decyzja o ubezwłasnowolnieniu tego pacjenta na czas nieokreślony. Oznacza to, że do odwołania nie może on kierować własnymi poczynaniami.

- To nie do przyjęcia - jęknął ksiądz.

- Przykro mi.

- To bardzo niezręczna sytuacja dla naszej parafii. Dlaczego państwo jako lekarze nie chcą z nami współpracować?!

- Na razie słyszę żądania, a nie chęć współpracy. - Kulawik ani na moment nie stracił zimnej krwi.

Proboszcz odczekał chwilę, którą najprawdopodobniej zużył na tłumienie w sobie gniewu, i spróbował jeszcze raz.

- Co, jako parafia, możemy zrobić dla Krzysztofa? - spytał prawie spokojnie.

- To, co związane z potrzebami religijnymi, staramy się pacjentom zapewnić. Nasza kaplica jest czynna cały czas.

Myślę jednak, że teraz potrzebny mu przede wszystkim spokój.

- Możemy go swobodnie odwiedzać?

- W wyznaczonych godzinach, tak.

Duchowny spuścił głowę. Stracił rezon i nagle zrobił się smutny.

- Możemy księdzu zadać kilka pytań? - wtrąciła Ola.

- Proszę - mruknął cicho.

Sambierska spojrzała kontrolnie na kolegę. Kulawik nieznacznie przytaknął głową.

- Wiem, że to dość ogólne - zaczęła - ale jaki ksiądz Krzysztof był przed chorobą? Wyglądał raczej na introwertyka czy człowieka otwartego? Na smutnego, wesołego, pogodnego... no, chodzi o wszystko, co ksiądz pamięta?

Ten temat wyraźnie się proboszczowi spodobał. Wyduśił z siebie nawet uśmiech, splótł palce i spojrzął na chwilę w górę, co chyba pomagało mu w skupieniu.

- Krzysztof to młody duchowny. Przepelniony wiarą i miłością. Otwarty, radosny... Z pokorą przyjmujący smutki.

Rany boskie... - jęknęła w myślach Ola - gdzie oni się tego uczą?

- Proszę księdza - powiedziała na głos. - Jesteśmy lekarzami, a to jest szpital, w którym leczymy ludzi, a nie odprawiamy rekolekcje ignacjańskie.

- Nie rozumiem. - Gniew powoli wracał na oblicze proboszcza.

- Proszę powiedzieć coś o pacjencie! Coś, co może nam się przydać. A nie oficjalną formułkę o tym, jak powinien wyglądać idealny duchowny.

- Pani chyba rzeczywiście dawno nie była w żadnej świątyni.

- Jestem ateistką - odparła zniecierpliwiona.

- Nigdy nie wpuściła pani Chrystusa do serca?

- Nie rozmawiamy na mój temat. - Ola nigdy nie przepadała za księżmi, ale ten wyjątkowo ją drażnił.

- Co jeszcze można o nim powiedzieć... - Proboszcz rozłożył ręce.

- Jak ksiądz myśli, dlaczego nasz pacjent został duchownym? Jest wysokim, przystojnym mężczyzną. - Ola postanowiła, że czas podręczyć klechę.

Kulawik rzucił jej subtelne, ale jednak bardzo krytyczne spojrzenie. To było głupie i niepotrzebne. Popisy pani doktor tylko dodatkowo rozdrażnią i tak niełatwego rozmówcę, leczenie utknie w martwym punkcie, a czas naglił.

- Proszę sobie wyobrazić, że jest coś więcej niż przyziemność i materialna pustota - rzucił nieprzyjemnym tonem proboszcz. - Podejrzewam, że trudno to pani zrozumieć, lecz Krzysztof czuł powołanie od wczesnego dzieciństwa. Wiem to od jego świętej pamięci rodziców. Później bezgraniczna wiara pogłębiała w nim potrzebę służenia Bogu i Kościołowi.

- Ksiądz Krzysztof naszym zdaniem posiada rozległą wiedzę filozoficzną i historyczną - wtrącił Kulawik, próbując uciąć ten do niczego nieprowadzący spór. - Czym, pomijając oczywiście duszpasterską posługę, nasz pacjent szczególnie się interesował?

Proboszcz dopiero po dłuższym czasie przeniósł wzrok z Oli na jej kolegę.

- Był wyjątkowo zdolnym klerykiem. Jest bardzo czytany. Ma pan rację, interesuje się filozofią, co u duchownych nie jest niczym wyjątkowym. O jego zainteresowaniach historycznych nie wiem. Ale mogę śmiało powiedzieć, że mimo tak młodego wieku, już teraz wielu przełożonych postrzega go jako myśliciela o bardzo obiecującej przyszłości.

- Rozumiem. - Lekarz kiwnął głową. - A jego osobowość? Proszę teraz być szczerym, czy miał miłe usposobienie, czy...

- Czy takie jak ja? - przerwał proboszcz, w którego uśmiechu tym razem wyraźnie można było dostrzec ironię.

- Nie to chciałem powiedzieć. - Kulawik starał się być maksymalnie uprzejmy.

- Bywam surowy - odparł wyniośle ksiądz. - Ale przede wszystkim w stosunku do siebie. Posługa duchowa wymaga dyscypliny, to nieodzowne. Krzysztof nigdy nie dawał powodów do upomnień. Choć rzeczywiście - był i jest ciepłym człowiekiem, cieszącym się wyjątkową sympatią i poważaniem wśród wiernych.

- A czy... - lekarz zastanowił się przez chwilę. - Wiadomo coś księdzu o niepokojach naszego pacjenta? Lękach, myślach, które go w jakiś sposób prześladowały przed przyjściem tutaj?

Proboszcz uniósł do góry brwi, stając się na chwilę jednym wielkim znakiem zapytania.

- Prawie każdy ma takie myśli, tyle tylko że u zdrowych ludzi szybko mijają. Natomiast u niektórych... nie mijają i stają się czymś na kształt obsesji - wyjaśnił Kulawik. - Zapowiedź choroby eksponuje się właśnie w taki sposób.

- Krzysztof nie miał tego typu myśli. Był skupiony na pomocy innym. Nie miał zbyt wiele czasu dla siebie - odparł krótko proboszcz, skutecznie omijając wzrok lekarza.

- To znaczy... ksiądz nie zauważył takich objawów - wtrąciła Ola, wyraźnie akcentując słowo „ksiądz”.

Gniewne spojrzenie klechy wywołało złośliwą satysfakcję Sambierskiej.

- Nie mam już nic do dodania - powiedział oficjalnie proboszcz i uniósł się dostojnie z kanapy. - Nie mam także zbyt wiele czasu, a chciałbym odwiedzić księdza Krzysztofa. Czy to możliwe w tej chwili?

- Oczywiście - odparł szybko Kulawik.

- Jest chyba w swojej sali - dodała Ola.

Duchowny, lekko skłaniając głowę, bez słowa wyszedł z gabinetu.

Kulawik natychmiast przeniósł spojrzenie na koleżankę. Nic nie mówił, ale gdyby miał do dyspozycji gromy Zeusa, nie wahałby się zesłać ich na Sambierską.

- No co? - odezwała się wreszcie Ola.

- No, gównu! - warknął przez zęby lekarz. - Mogłabyś czasem puknąć się w głowę albo przebadać hormony?

- Nie lubię takich durniów jak on.

- To jest ksiądz! Duchowny, kapłan!

- I co z tego?!

- A to jest szpital! Twoja przeszłość nie może mieć wpływu na pracę! Jeśli wciąż nie umiesz zapanować nad tym, co się wtedy stało, zabieram ci tego pacjenta.

- Ten pacjent to co innego.

- To też ksiądz.

- Jest inny.

- I wiesz to po kilku minutach rozmowy z nim i paru kartkach dokumentów?! - Kulawik zmarszczył gniewnie czoło.

- Czuję to.

- Czujesz to?! - Lekarz pokręcił głową, jakby nie dowierzał. - Co to jest?! Film o amerykańskich gliniarzach, że masz „przecucia”?!
- Przepraszam, dopiero wróciłam z urlopu, zapomniałam się. - Ola uniosła pojednawczo do góry rękę.

- Uspokoisz się?

- Tak.

- Przystaniesz szaleć?

- Ja nie szaleję.

Kolejne gniewne spojrzenie Kulawika przywołało ją do porządku.

- Dobra, dobra! Od tej chwili wzniosę się na wyżyny obiektywizmu i niezależności, dobrze już? - jęknęła zrezygnowana Ola.

- Idź do domu, zaczniesz od jutra. - Lekarz machnął ręką.

- Przecież jest dopiero jedenasta...

- Więc weź jego papiery i popracuj w domu. Ale zejdz z oczu temu proboszczowi!

* * *

Sala ćwiczeń drżała od uderzeń drewnianych mieczy. Luigi Balea, stojąc oparty o ścianę, przypatrywał się obojętnie, jak Iosif Punin bezlitośnie okłada czterech młodych alumnów. Jego ruchy zaskakiwały regularnością i konsekwencją, jakby tańczył według określonego z góry schematu. Żaden krok, unik, uderzenie nie było przypadkowe, a szybkość - tak niewiarygodna, że pozwalała na „ustawianie” sobie przeciwników w najdogodniejszy sposób, nie zostawiając im chwili wytchnienia. Kiedy Punin uznał wreszcie, że trening dobiega końca, bez trudu powalił na dębową podłogę każdego z podopiecznych w odstępie dosłownie ułamków sekund, ciosami niegroźnymi, ale bolesnymi i kończącymi się przynajmniej minutą na podłodze. Iosif się wyprostował. Był ubrany tylko w czarne, luźne spodnie do treningu. Całe jego złane potem ciało, potężnie umięśnione, bez grama zbędnego tłuszczu, lśniło światłem z lamp. Miał rzadkie, jasne włosy, małe, sine, chytre oczy i nazbyt wystające kości policzkowe.

Rzucił w kąt drewnianą atrapę miecza i zbliżył się do Luigiego.

- Co powiedział mistrz? - spytał, nie zważając na jęczących cicho uczniów na podłodze. Jego oddech szybko powrócił do normy.

- Przygotowujemy się - odparł z powagą Balea.

- Wspaniale. - Punin zacisnął pięści z pasją.

- Ty na razie zostajesz - dodał obojętnie Luigi.

- Co?!

- Taka jest decyzja.

- Jestem w twoim wieku i żyję tu jak ty, od dzieciństwa! Jestem lepszy od ciebie, wiesz o tym! - Jego nos zatrzymał się centymetr od twarzy Luigiego.

- Milcz! - mruknął cicho Balea. - Tu są studenci.

- Wyjdźcie! - wrzasnął w ich stronę wściekły Punin.

Czwórka obolałych chłopców, z których najstarszy miał najwyżej dziewiętnaście lat, szybko zebrała się z podłogi i w pośpiechu opuściła salę, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

- Przestań wreszcie knuć za moimi plecami! - warknął Punin. - Nie pozbędziesz się mnie. To ja znalazłem tego Polaka!

- Nie ty, Iosifie, tylko ludzie, których tobie przydzielono. - Luigi nawet na chwilę nie stracił zimnej krwi. Jego obojętny wyraz twarzy wydawał się tak naturalny jak śnieg na Syberii.

Punin z wściekłością cisnął zielonym habitem o podłogę, wydobywając z siebie wrzask, który z pewnością było słyhać nawet za drzwiami.

- Ty głupcze! - rzucił z pogardą Balea i ruszył w stronę drzwi.

- Dlaczego?! - wrzasnął za nim Iosif. - Dlaczego ciągle ty?!

Luigi nie zamierzał dłużej tego słuchać. Otworzył drzwi i szybko za nimi zniknął.

Aureil wyłączył podgląd sali treningowej i zasunął ogromny obraz Joakima Skovgaarda, za którym znajdowały się ekrany. Podszedł do biurka i nacisnął zielony przycisk po prawej stronie. Kiedy usłyszał głos strażnika, nachylił się nad mikrofonem.

- Przyślij do mnie Iosifa Punina! - rozkazał.

- Masz papierosa? - spytał Jacuś.

- Nie mam - odparł cierpliwie Krzysztof i zamknął oczy, usiłując odpocząć. Leżał na swoim łóżku na wznak w szlafroku.

Jacuś podszedł nieśmiało do niego, drapiąc się prawą ręką w lewe ucho.

- Źle się czujesz? - spytał, nie otwierając oczu Lorent.

Wyczuł chłopaka bez problemu, ale wiedział, że nie umie być agresywny ani w żaden inny sposób niebezpieczny czy groźny.

- Mój organizm wymaga uspokojenia.

Krzysztof otworzył oczy.

- Coś się stało?

Jacuś rozłożył bezradnie ręce.

- Niestety, wciąż jestem śledzony - stwierdził. - Ponad wszelką wątpliwość.

- Rozumiem - odrzekł spokojnie Lorent. - A nie uważasz, że fakt przebywania w tym szpitalu trochę cię jednak chroni?

Jacuś zrezygnowany machnął ręką i przysiadł nieśmiało na łóżku księdza.

- Co oni tu mają za ochronę! Wiesz, co to dla nich przeniknąć przez takie drzwi czy bramę na dole? To pestka! Nic! Masz papierosa?

- Wiem, że musisz się uspokoić, ale akurat w tym pokoju raczej jesteś bezpieczny. Wszyscy możemy być w razie czego świadkami; ja, pan Alojzy. - Krzysztof wskazał na leżącego pod ścianą katatonika.

- Pan Alojzy?! On nawet nie wie, o co w ogóle chodzi!

- A ja?

- Myślisz, że mógłbyś ich zauważyć? - spytał Jacuś z nadzieją.

- Jestem sługą bożym - Krzysztof powiedział to niechętnie, ale rozumiał, że trudno o lepszy argument.

Chłopak zamyślił się, chowając twarz w dłoniach.

- Gdyby nie te cienie... - jęknął płacząco po chwili. - Wiesz, jak to jest... jestem zmęczony.

- Tak, wiem. Połóż się, popilnuję otoczenia. Na pewno teraz się nie odważą.

- Lubię kolor zielony. I panią Karpińską, mieszka naprzeciwko mamy - wyznał szczerze Jacuś. - A ty lubisz na przykład Beatlesów?

- Nie zgadzam się z niektórymi rzeczami, o których śpiewali, ale... raczej tak.

- Johna śledzili i w końcu go zabili 8 grudnia o 22.50. George'a otruli...

- George Harrison zmarł na raka gardła i krtani.

- 29 listopada 2001 roku - uzupełnił chłopak. - Ale to tylko wersja oficjalna. Dwa lata wcześniej już próbowano go zabić, nie sądzisz?

- Napadł go zwykły rabuś - odparł cierpliwie Krzysztof.

- Boże, jaki ty jesteś naiwny! - zachnął się Jacuś i zerwał z łóżka. - Nie potrafisz wyjść poza te zwykłe pięć zmysłów! Świat szumi, mówi, kołysze się, straszy, pociesza, morduje, jednak nikt tego nie słyszy. Nikt nie słyszy tych głosów. A jak stajesz się wyjątkowy, wtedy przeklinasz tę chwilę i nie chcesz... Masz papierosa?

- Nie mam. - Krzysztof ponownie zamknął oczy.

- Ile razy rozmawiałeś z Bogiem? - nie dawał za wygraną chłopak. - Przyznaj się. Ile razy słyszałeś jego głos?

- Codziennie.

- Co codziennie?

- Codziennie rozmawiam z Bogiem. Po prostu czuję w sobie jego wolę i głos.

- Tak dosłownie?!

- Umiem się na to otworzyć.

- I to nie wyobrażenie?

- Nie.

- Ale słyszysz go tak jak mnie teraz? W taki sposób?

- Nie w taki sposób.

- To z nim nie rozmawiałeś! - zawyrokował Jacuś.

Krzysztof otworzył oczy i usiadł na łóżku. Był wyraźnie znudzony, ale uznał, że chłopakowi należy się wyjaśnienie.

- Jacku... nie jesteś Bogiem. Jesteś człowiekiem. Nie możesz rozmawiać ze Stwórcą jak z ludźmi. Z Bogiem rozmawia się językiem wiary. Wpuszcza się go do swojego serca i dzięki temu uczy się pokory, miłości, czasem poświęcenia, czasem cierpienia. Ci, którzy „słyszą” Boga w sposób, w jaki my tu rozmawiamy, ulegają zwykłej ułudzie i najczęściej są chorzy. - Lorent uśmiechnął się do chłopaka, usiłując złagodzić ciężar ostatnich słów.

- Przebywam w tym szpitalu, bo jestem inny, a nie chory. To znaczy jestem chory, ale... jestem tu, bo mam takie... lęki i trudno mi być wtedy samemu... - głos chłopca stał się płaczliwy. - Dlaczego ja?! Dlaczego nie mogę być zwykłym studentem?!

- Spokojnie, wszystko dobrze. Po prostu masz gorszy dzień... - Ksiądz nieśmiało próbował wyciągnąć do niego rękę.

Jacusz zacisnął mocno usta, stał przez chwilę, szukając odpowiedniego słowa, po czym nagle wybiegł z sali.

- Jacek! - zawołał Krzysztof, ale chłopak był już daleko na korytarzu. - Przepraszam...

Spuścił głowę. Dotknął czubkami palców czoła i pozostał tak w bezruchu kilka chwil. Po minucie, może dwóch, usłyszał na korytarzu kroki, a następnie skrzypnięcie drzwi, lecz nie był to żaden chory ani nawet lekarz. Tym razem pojawiła się w nich zwalista postać księdza Demela.

- Jak się czujesz? - spytał z niekłamana troską w głosie proboszcz.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, nieźle - odparł niemal pogodnie Krzysztof. - A co u ciebie, wujku?

- Trochę pusto.

Lorent wydusił z siebie uśmiech.

- Chyba nie zaniedbujesz wiernych?

Tym razem, co może wydać się niewiarygodne, uśmiechnął się proboszcz.

- Rozmawiałem z tutejszym personelem - nagle spoważniał, kiedy tylko wypowiedział te słowa.

- To chyba nie był najlepszy pomysł - skomentował szybko Krzysztof.

- Dlaczego?

- Wybacz, że to mówię, ale nie sądzę, abyś znalazł z nimi wspólny język.

- Nie rozumiem...

- Rozumiesz - odparł ciepło, jednak bez cienia wątpliwości Lorent.

- Znowu zaczynasz. - Proboszcz pokręcił głową, okazując niezadowolenie. - Możesz mieć mnie za oschłego, lecz nie za ograniczonego. Staralem się nawiązać z nimi odpowiedni dla naszej sytuacji kontakt.

- I jak wam poszło? - spytał, znając odpowiedź, Krzysztof.

- To nie chodzi o mnie, ale o ciebie. Nie zapewnią ci tu takiej opieki jak trzeba.

Ksiądz Demel zaczął chodzić po sali w tę i z powrotem, mrugając śmiesznie oczami. Długo przy tym milczał, jednak widać było, że zbierał się do dłuższej przemowy. Głośno oddychał, rozcierał dłonie, co kilka sekund spoglądając na swojego wychowanka.

- Nie denerwuj się - uspokoił go Lorent. - Nie są tacy źli.

Proboszcz ponownie pokręcił głową.

- Nie powinieneś tu być - upierał się. - Wyraźnie ci się poprawia, czujesz się coraz lepiej, a ta atmosfera zatruwa twój umysł!

- To szpital dla umysłowo i psychicznie chorych, wujku. Jaka ma być tu atmosfera? Modlitewnego skupienia?

- Przeszły ci już te... przywidzenia, prawda?

- Tak - skłamał Krzysztof, ale Demel wyraźnie go do tego zmusił.

- To co tu jeszcze robisz? Mój ojciec miał w pięćdziesiątym trzecim zapalenie mózgu. Po pewnym czasie wszystko wróciło do normy i przeżył jeszcze sporo pięknych lat...

- Nie planuję umrzeć - zapewnił Lorent.

- No, ja myślę. Chciałbym z tobą porozmawiać, jak zorganizować twój powrót.

Krzysztof nieznacznie drgnął. Znów lekko dotknął czubkami palców swojego czoła, jakby zastanawiał się, czy przypadkiem nie warto przemilczeć tego, o czym właśnie chciał powiadomić przełożonego. Przymknął oczy, aby łatwiej się skupić i wyrównać oddech, zakłócony nieco myślami, które opanowały jego umysł i rozpraszały spokój. Do rozmowy na ten temat przygotowywał się już od kilku dni, mimo wszystko nastąpiła chyba zbyt szybko.

- Ja już nie wrócę, księżo proboszczu - powiedział cicho, ale nawet taki ton podziałał na Demela, jakby ktoś rzucił w niego stukilowym odważnikiem.

- O czym ty mówisz?! Przecież przed chwilą...

- Nie wrócę już do kapłaństwa - wyjaśnił krótko i treściwie Lorent.

Nastąpiła dość długa i kłopotliwa cisza. Szeroko otwarte oczy proboszcza zdradzały bezradność i niedowierzanie.

- Nie rozumiem...

- Jeśli mnie stąd wypuszczą, wujku, odejdę z Kościoła. Przestanę być księdzem.
- Ale... dlaczego?! Jak to w ogóle możliwe?
- Nie sądzę, abym potrafił ci to teraz wytłumaczyć.
- Może jednak spróbuj - głos proboszcza wyraźnie się załamał.
- Myślę, że Bóg... czuję to... wyznacza mi teraz inne zadania. Ja muszę w tej chwili robić

coś innego.

- A co można robić lepszego dla Boga, niż mu służyć?!
- Nie mówię, że to, co zmuszony jestem robić, będzie lepsze. Mówię tylko, że to konieczne.

Demel ukrył twarz w dłoniach.

- Nie mogę tego słuchać. Mówiłeś, że jest ci lepiej, że zdrowiejesz.
- Nigdy nie byłem chory - odparł śmiertelnie poważnie Krzysztof, zaglądając głęboko w oczy proboszczowi. - Ani oni, ani ty nie jesteście w stanie tego zrozumieć, choć to prawda.

- Wszyscy pacjenci w tym szpitalu tak mówią! - Demel nie wytrzymał.

- To nie ma sensu. - Lorent zrezygnowany pokręcił głową. - Porozmawiajmy kiedy indziej.

- Uspokój się. Mam głęboką wiarę, że to minie i wszystko skończy się dobrze.

- Nic nie minie.

- Ja wiem swoje.

- Nie zmienię zdania, wujku.

Demel uśmiechnął się, jakby kompletnie nic się nie stało.

- No, chyba rzeczywiście pora na mnie. Przyjdę jutro.

- Nie wierzysz mi?

- Jutro porozmawiamy. - Proboszcz chwiejnym krokiem podszedł do drzwi. - Oby Bóg miał cię w swojej szczególnej opiece i zesłał na ciebie błogosławieństwo zdrowia i głębokiej wiary.

Aureil przywitał Punina dobrotliwym, starym uśmiechem.

- Zbliź się, chłopcze! - Wskazał mu miejsce na drewnianym krześle, metr od biurka, za którym siedział.

- Wybacz, ojcze, nie zdążyłem jeszcze wziąć kąpieli. - Iosif schylił nisko głowę.

- Nie szkodzi, nie będę cię długo zatrzymywał. Mistrz wstał i wolno zaczął chodzić po komnacie.

- Wszystko w porządku, chłopcze? Zdrowie dopisuje? - spytał pogodnie.

- Jak najbardziej, ojcze.

- Postępy w treningach?

- Zadowolające, ale wciąż czynię wysiłki, aby wykorzystać maksimum możliwości.

- To dobrze, dobrze...

Aureil wolno pogładził swoją siwą czuprynę, spacerując przez chwilę w milczeniu.

- Wiesz, jak kocham swoje gołębie? - zapytał nagle.

- Tak, mistrzu, wszyscy to wiemy.

Starzec rozłożył ręce, jakby borykał się z problemem, którego nie potrafił rozwiązać.

- Mam z nimi ostatnio sporo zmartwień.

- Coś się stało? - spytał niepewnie Punin.

- Od dobrych kilku dni zachowują się niespokojnie. Mniej jedzą, odnoszę nawet wrażenie, że ich społeczne zachowania straciły na sile. - Zakłopotanie na twarzy Iosifa nie wywołało żadnej reakcji starca. - Legendy o tym, że łączą się w pary na całe życie, są prawdziwe - ciągnął. - Samiec wybiera sobie partnerkę i zostaje z nią do końca, chyba że zdarzy się jakieś... - Aureil przeniósł wzrok na młodzieńca i zmarszczył brwi. - Czasem jednak nie jesteśmy w stanie odgadnąć, co może wpędzić w nieszczęście tak wrażliwe stworzenie. Gruboskórni, arogancy homo sapiens dawno już utracili cechującą ich jeszcze kilkaset lat temu empatię w stosunku do natury, nie sądzisz?

- Tak... to możliwe - odparł nieśmiało Punin.

- Gołębom być może wystarcza samo przecucie nieszczęścia... - Aureil znowu charakterystycznym gestem pogładził swoje włosy. - Może wyczuwają niepokój u innych? Nie bez przyczyny są symbolem pokoju, bo właśnie wtedy, gdy milknie nienawiść, zazdrość, zawiść... gdy podłość zostaje zwyciężona przez miłość, jak wykazują liczne przesłanki, wtedy gołębie są najszcześniejsze. Dają się dotykać ludziom, płodzą liczne potomstwo, mają apetyt...

- Tak, tak. Też o tym słyszałem.

- Jak myślisz, Iosifie, czy jest możliwe, że w naszym otoczeniu mogło zdarzyć się coś, co niepokoiłoby nawet tak nieświadome zwierzęta jak moje gołębie? Wiesz... one są jak najczulsze urządzenia. - Starzec się uśmiechnął.

- Nie zauważyłem, aby w zamku... to znaczy w naszej społeczności, miały ostatnio miejsce jakieś niepokoje. Natychmiast bym o tym ojca powiadomił - oświadczył pewnym głosem Punin.

- Rozumiem. To mi wystarczy. Możliwe przecież, że to ta nowa karma, którą przywiózł z Paryża Claude.

- Czy mogę odejść? - spytał z nadzieją Iosif.

- Oczywiście. Przepraszam, że cię niepokoiłem. Wiesz, jak to jest; stary człowiek czasem musi wylać swoje żale.

Młodzieniec uklonił się z szacunkiem i ruszył w kierunku drzwi.

- A, jeszcze jedno! - dogonił go głos Aureila.

- Tak, mistrzu?

- Skoro już mnie odwiedziłeś... zapytam - a ciebie nic nie martwi? Masz wszystko, czego ci trzeba?

- Nie mam wielkich wymagań, ojczu - odparł z dumą Punin.

- Wiem, ale mów śmiało - zachęcił starzec.

Iosif przez chwilę walczył z myślami.

- Wszyscy przygotowujemy się na spotkanie z Kapłanem. Staram się oczywiście zachować należyty spokój, ale... jestem tym podniecony i wiele sobie po tym obiecuję.

- To oczywiste. Doskonale cię rozumiem. Dla każdego z nas to wielkie przeżycie - przyznał dobrotliwie Mistrz. - Musimy się dobrze przygotować.

- Tak, ojczu.

- Jak uczy nas historia, cierpliwość jest jedną z najpotężniejszych, ale i, niestety, najrzadziej spotykanych cnót. Jej brak strącał już z piedestału największe potęgi tego świata. Najmężniejsi herosi ginęli, popełniając ten błąd. A na historii znamy się tutaj chyba szczególnie dobrze, prawda, chłopcze?

- Tak, mistrzu.

- Tak a propos historii... wiesz, jakie słowa wypowiedział wielki Ajaks pod Troją, gdy na polu bitwy zobaczył Hektora?

- „Oto wreszcie człowiek, którego warto zabić”.

- Właśnie. I co uczynił?

- Ruszył na Hektora...

- ...i zginął - dopowiedział Aureil. - Wielki, niezwykły Ajaks stojący u wrót miasta swoich marzeń, w najstraszniejszej bitwie wszech czasów, której każdy bohater miał przejść do historii. I właśnie w tej, najważniejszej chwili, taki heros nie potrafił zrozumieć, że jeszcze nie czas. Ze bogowie wyznaczyli Hektorowi inny moment na śmierć.

Starzec zbliżył się do Punina i położył mu na ramieniu dłoń.

- Całą sztuką życia, mój chłopcze - ciągnął mistrz - jest umiejętność znalezienia w sobie wiedzy nie tylko na swój temat, lecz także na temat własnego przeznaczenia. To również dotyczy nas - Aureil ponownie zmarszczył mocno brwi.

- Wiem, jak to trudne, ojcze - powiedział cicho Iosif.

- Na pewno? - Palce starca zacisnęły się na ramieniu Punina, aż chłopak poczuł wzbierający ból.

- Staram się, mistrzu! - jęknął.

- Nie zawsze śmierci da się uniknąć - kontynuował Aureil, nie zwalnając uścisku. - Ale nigdy ona nie może być pozbawiona sensu.

- Tak, mistrzu!

- Achilles, ulubieniec bogów, niemal nieśmiertelny rycerz, zanim wybrał się na tę wojnę, przyszedł do matki, prosząc o radę. „Jeśli nie pojedziesz tam, będziesz żył długo - odparła. - Ale gdy prochy twoje znikną pod ziemią, zginiesz na zawsze. Jeśli jednak przybędziesz tam, już nie wrócisz, ale w umysłach ludzi będziesz żył wiecznie”. Co wybrał, wiemy wszyscy. Tylko czy mądrze? - Aureil jeszcze mocniej zacisnął palce.

- Nie wiem, ojcze... - jęknął chłopak, czując, jak zaczyna się trząść z bólu. Żelazne imadło precyzyjnie uciskające nerw promieniowy powodowało trudne do wytrzymania cierpienie.

- Dobrze! - odparł łagodnie starzec i lekko zwolnił uścisk. - Tylko on mógł znać prawidłową odpowiedź na to pytanie. My nie dowiemy się już nic więcej, co najwyżej możemy być mu wdzięczni za jego wielkość.

- Tak, ojcze.

- Czy obiecasz mi, że w modlitwach i indywidualnej medytacji poświęcisz więcej czasu temu zagadnieniu?

- Tak, ojcze!

- Czy zajrzysz w głąb siebie, dokładając wszelkich starań, aby wydobyć prawdę?

- Taaak, ojcze... - Iosif wciąż nie mógł powstrzymać drżenia ciała.

- Wracaj do siebie, rycerzu. Jeśli Bóg cię wybrał, będziesz o tym wiedział - zakończył spokojnie mistrz, zdejmując rękę z jego ramienia.

Punin był przerażony.

ROZDZIAŁ 2

Kryzys narastał i komisarz Michał Kępiński - lekko łysiejący czterdziestolatek, którego stroskane oblicze wyraźnie zdradzało zmęczenie po długiej walce - zaczął tracić nadzieję. Wyjął chusteczkę z kieszeni i przetarł spocone czoło. Nie zdążył się jeszcze dzisiaj ogolić, ale mimo „bandyckiego zarostu” twarz wciąż wyglądała łagodnie. Było w jego spojrzeniu coś chłopięcego, z czego nigdy nie wyrósł i czego nigdy nie zmieniło nawet piętnaście lat służby w policji. Charakterystyczne dla filmowych glin wyniszczenie pracą raczej go nie dotyczyło, a codzienny stres potrafił odpowiednio przekuć w satysfakcję i... - czego się nie wstydził - prawdziwe poczucie misji. Nie miał złudzeń - ciężko byłoby mu wykonywać inny zawód, a już na pewno nie teraz, kiedy zabrnął tak daleko i kiedy, mówiąc banalnie, lecz szczerze, praca stała się bardzo istotną częścią jego życia.

W tym jednak momencie, gdy sytuacja wydawała się coraz trudniejsza i wyraźnie wróżyła porażkę, komisarz przyznał w duchu, że jest bezradny. Nie wiedzieć czemu, w takich chwilach miał zwyczaj klepania się po brzuchu dla dodania sobie otuchy. Był wciąż szczupły, dbał o kondycję i „mięsień piwny” z pewnością mu nie groził, ale widać nie tylko grubasy znajdują w tym frajdę.

Ponieważ żadne spokojne argumenty nie przynosiły już od co najmniej godziny efektu, zdecydował się na radykalniejsze kroki i tym razem mocno uderzył w drzwi.

- Otwierać! Policja! - rozkazał groźnie.

- Odejdź od drzwi, bo jak wyjdę, wszystkich was pozabijam! - usłyszał rozpaczliwy, zdesperowany damski głos. I znów cisza.

Michał osunął się powoli na podłogę.

- Kochanie... - jęknął ostatkiem sił. - Zuzia naprawdę żałuje, że nazwała cię pękata, stukilową beką, ale nie widziała cię jeszcze w tej sukience i...

- Nazwała mnie rudym mastodontem! - przerwał mu krzyk zza drzwi.

- To było później, kiedy już... trochę się zagubiła i nie wiedziała, jak przeprosić.

- Podła świnią! Przebrzydły paszczak! Jak jej nie zastrzelisz, nie wyjdę z tej łazienki!

- Kochanie... nie mogę zastrzelić ze służbowej broni własnej córki, nawet jeśli śmiertelnie zgrzeszyła wobec swojej siostry. Kasiu...

- Teraz to, Kasiu! A godzinę temu naśmiewałeś się ze mnie razem z nią!

- To niesprawiedliwe - zaprotestował Michał. - Chciałem tylko załagodzić sytuację.

- Powiedziała, jak nie odejdziesz od drzwi, pozabijam was wszystkich!!! Ja, ciebie i

Prezia!

- Prezio nic ci nie zrobił. To tylko niewinny kot.

- Jej kot!!!

- Kasiu, proszę... wyjdź z łazienki. Dziś jest niedziela, mieliśmy iść na koncert.

- Nigdzie nie idę!

- Nie pójdziesz na Pidzamę Porno?

- Nie.

Michał uderzył ze złością pięścią w podłogę.

- Zużka! - warknął groźnie do rozbawionej dwunastolatki siedzącej na kanapie pod oknem w pokoju. - Przepróż ją natychmiast!

Przez cały czas, kiedy dobijał się do łazienki, widział małą, jak pęka ze śmiechu, starając się jednak robić to tak cicho, aby siostra nic nie usłyszała.

- Bądź rozsądna... - westchnął znowu z nadzieją w stronę drzwi. - Masz piętnaście lat, jesteś przecież od niej mądrzejsza.

Zuzi zniknął uśmiech z twarzy i zastąpiło go oburzenie. Michał jednak dał jej szybko rozpaczliwymi gestami sygnał, że gada tak tylko dla picu.

- Niech tu przyczołga się pod drzwi i odszczeka! - oświadczyła wspaniałomyślnie Katarzyna, co miało oznaczać początek kompromisu.

Kępiński rozkazująco machnął głową do Zużki.

- Nie! - odparła bezgłośnie dziewczynka, szeroko otwierając usta, aby ojciec mógł zrozumieć.

- W tej chwili! - burknął, grożąc nie na żarty palcem.

Mała zmarszczyła brwi, założyła nogę na nogę i cały czas tkwiła na kanapie.

- Myślałem, że może pójdziemy do mamy jeszcze przed południem - powiedział wreszcie głośno Michał. Był to argument absolutnie poniżej pasa i stosował go wyłącznie w sytuacjach, które kompletnie źle rokowały. Kłopotliwą chwilę ciszy po tym komunikacie przerwał dźwięk telefonu Kępińskiego.

- Tak - mruknął cicho, odbierając komórkę. Słuchał chwilę tego, co do niego mówiono, kiwając głową, jakby rozmówca mógł go zobaczyć. Wreszcie skrzywił się, a to wyraźnie zwiastowało kolejne kłopoty.

- No dobra - westchnął. - Ale tylko na dwie godziny... Nie. Nie trzy... dwie. Obiecałem córkom po południu koncert...

Rozłączył się i na dłuższy czas zamknął oczy. Otworzył je dopiero wtedy, kiedy skrzypnęły drzwi łazienki.

- Wychodzisz?! - spytała cicho Katarzyna. Jej głos w pewnej chwili załamał się, jednak łzy jakoś nie popłynęły, za co Michał był jej zdecydowanie wdzięczny.

- Tylko dwie godziny, muszę zastąpić kolegę.

- Dwie godziny... - burknęła Zuzia. - Już to widzę.

- Obiecuję - odparł Kępiński. - Jeśli tylko się nie pozabijacie, pójdziemy wszędzie, gdzie zaplanowaliśmy. OK?

Tym razem kłopotliwa cisza trwała znacznie dłużej.

Ola Sambierska szła szybko korytarzem, gdy nagle, mijając salę numer trzy, pomocny jak zawsze instynkt kazał jej cofnąć się kilka kroków i zajrzeć do środka. Pacjent numer 63 - zarośnięty do granic możliwości pięćdziesięciolatek - trzymał w dłoni szydełko, którym próbował wydziergać coś z motka wełny. Ola podeszła spokojnie do łóżka, na którym siedział.

- Panie Stasiu... - zagadnęła delikatnie, aby go nie przestraszyć. - Skąd pan ma to szydełko?

Pacjent przeniósł skupiony wzrok na lekarkę.

- Robię tu właśnie pompona, w związku z tym, że pompon jest przeze mnie robiony - odparł dumnie.

- Ach, tak. Jak długo pan go robi?

- Jeszcze nie powstał.

Sambierska nabrała głęboko powietrza do płuc i wyszła, szybko kierując się do pokoju sanitariuszy. Wkroczyła tam zdecydowanie, zastała jednak tylko chudego, pryszczatego praktykanta, z którym personel użerał się od miesiąca. Wyglądał jeszcze jak dziecko. Zmęczona trądzikiem twarz sprawiała wrażenie wiecznie spoconej, a cielece oczka doprowadzały do furii zwłaszcza Olę - wyjątkowo wrażliwą na punkcie pierdołowatości olewaczy, których ofiarą padali pacjenci.

- Gdzie są wszyscy? - spytała rozdrażniona.

- Pan Andrzej jest w sali telewizyjnej. Pilnuje, jest tam kilku chorych. Pan Janek w rehabilitacyjnej, pani Zosia na wybiegu...

- A ty nie miałeś być na korytarzu?

- No, miałem właśnie wychodzić...

Ola przerwała mu, podnosząc zdecydowanie rękę do góry.

- Możesz mi powiedzieć, skąd pacjent numer 63 ma szydełko?

- Mama mu przyniosła.

- Mama mu przyniosła. - Lekarka zacisnęła z wściekłości zęby. - Czy wiesz, że kiedy tu przyjechał, musiano mu operacyjnie usunąć z przewodu pokarmowego dwadzieścia agrafek?

- Ale to szydełko jest plastikowe - stęknął płacząco praktykant. - Ostatnio dobrze się czuł... Poza tym pilnuje go prezydent.

- Jaki znowu prezydent?!

- No... pan Lesio, leży z nim na sali. Pacjent doktora Jabłońskiego. Ten mały, przysadzisty, do którego przychodzi brat bliźniak. Nazywamy go tak, bo ciągle twierdzi, że jest prezydentem.

- Chory pilnuje chorego?!

Praktykant zerwał się z wersalki.

- To ja pójdę mu zabrać...

- Niczego mu nie zabierzesz, bo nie uspokoilibym go do wieczora. Pójdiesz tam i będziesz pilnował pacjenta, aż zaśnie. Zrozumiałeś?

- Tak, pani doktor. - Wystraszony wzrok pryszczatego wciąż biegał po wszystkich ścianach pokoju.

- No to na co czekasz?!

Chłopak wyleciał z pokoju w tempie gazeli. Ola rozdrażniona pokręciła głową i wyszła energicznie za nim. Przechodząc obok „trójki”, zerknęła jeszcze do środka, czy wszystko gra, i pomaszerowała do pokoju, gdzie czekał na nią Krzysztof Lorent. Siedział spokojnie na łóżku wpatrzony w ścianę, nie reagując początkowo na jej wejście.

- Krzysztof... - zagadnęła delikatnie Ola.

- Tak? - Odwrócił się wolno w jej stronę i zaprezentował pogodny uśmiech.

- Chciałeś ze mną rozmawiać.

- Usiądziesz? - Wskazał krzesło stojące przed łóżkiem. W sali oprócz pana Alojzego, który nie zmienił pozycji na swoim łóżku od kilku dni, nie było nikogo innego. Gdyby nie starania

sanitariuszy, jego odleżyny znajdowałyby się w tragicznym stanie. Sambierska usiadła na krześle, próbując jak najszybciej odgadnąć nastrój i formę pacjenta. Wyglądał na spokojnego, choć skupionego. On również przyglądał się jej przez dłuższy czas, zanim zaczął mówić.

- Dobrze, że przyszłaś teraz. Jacek jest na spacerze - poinformował ją cichym głosem.

- To coś tajnego? - Uśmiechnęła się kusząco.

- Tak. - Krzysztof nadal przyglądał jej się uważnie, ale nie zrezygnował z pogodnego wyrazu twarzy.

- Słucham. - Ola rozłożyła ręce na znak zaciekawienia.

- Musisz mnie stąd zabrać - zaczął prosto z mostu, wbijając wzrok w jej oczy.

- Dokąd?

- Na zewnątrz. Gdziekolwiek. Nie mogę tu zostać.

- Krzysztof... - Ola zamknęła na chwilę oczy, aby się lepiej skupić. - Według mnie twój stan pozwala na otwartą rozmowę o chorobie. Mimo omamów, urojeń i lęków, które opisywałeś, umiesz pragmatycznie ocenić swoje położenie. A ja jestem od tego, aby ci w tym pomóc.

- Mówisz nie na temat.

- Zdecydowanie na temat. Nie możesz w tej chwili stąd wyjść. Mimo swojej inteligencji i wiedzy wymagasz stałej opieki. Przynajmniej na razie.

- Rozumiem. - Lorent spoważniał, ale nie było w nim nawet cienia agresji czy oburzenia. - Skoro jest tak, jak mówisz, dlaczego nie dostaję żadnych leków, oprócz benzodiazepin, które łyka każda gospodyni domowa, gdy ją zdenerwuje mąż? Dlaczego nie podjęliście żadnej terapii? Dlaczego siedzę tu od tygodni i nic się nie dzieje?

- Mylisz się. Badamy uważnie twój przypadek, aby nie popełnić błędu.

Krzysztof wyczuł niepewność w głosie Sambierskiej.

- Bzdura - odrzekł bezceremonialnie. - Nie wiecie, co mi jest, prawda?

- Już mówiłam. Badamy twój stan jak najdokładniej, aby nie popełnić błędu. To nie matematyka. W psychiatrii problemy są bardzo złożone. To, co odczuwasz, to projekcje...

- Co to za sofizmaty?! - przerwał bezlitośnie, obnażając bezradność lekarki.

Nie była przygotowana na taki atak i teraz zrozumiała swój błąd.

- Muszę iść. - Jej uśmiech wyglądał już na tyle sztucznie, że uznała to za jedyne wyjście. - Ale po południu możemy do tego wrócić.

Gdy wstawiała, Lorent silnie chwycił ją za nadgarstek. Przez moment rozważała wezwanie sanitariusza, ale szybko sobie przypomniała, że nie ma nikogo na korytarzu.

- Puść moją rękę, Krzysztof! - rzuciła zdecydowanie.

- Nie atakuję cię. Chcę, abyś przez chwilę posłuchała.

Sambierska zastygła, starając się jakoś zapanować nad sytuacją.

- Dobrze. Ale obiecaj, że ty również mnie uważnie wysłuchasz.

- Oczywiście - zgodził się gładko.

- Chcesz wyjść - spróbowała jeszcze raz. - To normalne, lecz teraz niemożliwe. Nie mam tu takiej władzy, aby o tym zdecydować.

- Masz klucze do wszystkich drzwi.

Lekarka otworzyła szeroko ze zdziwienia oczy. Tym razem nie miała zamiaru ukrywać odczuć.

- Krzysztof, słyszysz, co mówisz?! - spytała podniesionym tonem. - Chcesz, abym pomogła pacjentowi w ucieczce z oddziału zamkniętego, narażając na niebezpieczeństwo jego, siebie i Bóg wie kogo jeszcze?!

Lorent powoli przysunął się do niej, kiedy znowu usiadła na krześle. Gdy dzieliło ich najwyżej kilkanaście centymetrów, zaczął mówić niemal szeptem, ale spokojnie i wolno.

- Jest akurat odwrotnie. Jeśli nie pozwolisz mi stąd wyjść, narazisz na niebezpieczeństwo wszystkich na tym oddziale, łącznie z personelem.

- Możesz mi to wytłumaczyć?

Krzysztof bez trudu wyczuł w jej głosie strach.

- Wiem, że to brzmi jak kolejny atak paranoi, ale spróbuj się otworzyć i wyczuć, co jest projekcją, halucynacją, a co może być prawdą.

Jego głos był spokojny, wyważony, bez cienia fałszu czy neurotycznego podniecenia.

- Od tego tu jestem - przypomniała służbowo.

- Przyjdą po mnie ludzie... - spróbował, ale szybko przerwał, zdając sobie sprawę, jak to brzmi.

Po chwili jednak zaczął od nowa:

- No trudno, niezależnie od tego, jak to odbierzesz, jeśli usłyszysz, co mam ci do powiedzenia, istnieje pewna szansa, że będziesz lepiej przygotowana.

- Na co?

- Jak wspomniałem, przyjdą po mnie pewni ludzie. - Zignorował jej pytanie. - Bardzo groźni ludzie. Jeśli nie zmienili metod, dotrą do mnie bez względu na przeszkody. Nie zawahają się przed niczym. Jeśli ktoś stanie im na drodze, wszystko tu spłynie krwią.

- Nie zmienili metod? - Ola postanowiła, że jednak wysłucha go do końca. Szczególnie po usłyszeniu: „wszystko tu spłynie krwią”.

- O ich przeszłości opowiem ci kiedy indziej.

- No dobrze. Dlaczego ci ludzie chcą się do ciebie dostać?

Lorent kiwnął głową zadowolony, że lekarka wreszcie podjęła rozmowę, choć wiedział, że z pewnością nie traktuje tego w najmniejszym choćby stopniu poważnie.

- Bo posiadam w tej chwili wiedzę, której szukają od wielu lat.

- W porządku. - Sambierska ponownie wypogodniała. - Wysłuchałam uważnie tego, co mi powiedziałeś, a teraz ty wysłuchaj mnie, zgoda?

- To nie wszystko, ale oczywiście zamieniam się w słuch.

- Prosiłeś, abym spróbowała się wczuć w to, co mówisz.

- Tak.

- Teraz ja proszę ciebie, żebyś zrobił to samo w stosunku do mnie.

- Zgoda.

- Więc spróbuj, choćby teoretycznie dopuścić myśl, że to, co wydaje ci się absolutnie realne, zgodne z rzeczywistością, może... oczywiście nie musi, ale może i, jak sądzę, tak jest - rodzić się w tobie, nie na zewnątrz. Jesteśmy wyposażeni tylko w pięć mało sprawnych zmysłów, a każdy z nich płata codziennie figle, i to nie tylko tobie. Mnie również. Każdemu. Tyle że jednym bardziej, drugim mniej. Tym, którzy mają poważniejszy kłopot, trzeba starać się pomóc, ale tak naprawdę nikt z nas nie zna prawdziwej, obiektywnej rzeczywistości. Pomyślałeś, że tak może być?

- Oczywiście - odparł spokojnie.

- To już pierwszy ważny krok.

- Jasne. Mam tylko kilka pytań pomocniczych.

- Chętnie na nie odpowiem - zachęciła ochotczo.

- Dlaczego od kilku tygodni posługuję się płynnie około sześćdziesięciu językami, w tym narzeczem Tuaregów - niemal wymarłym dialektem arabskim sprzed wieluset lat? Do tej pory oprócz łaciny radziłem sobie - i to średnio - wyłącznie z angielskim. Dlaczego umiem przyrządzać

setki najbardziej wymyślnych trucizn z ogromnej liczby roślin, których łacińskie nazwy mam w małym palcu? Trochę dziwne, jak na młodego współczesnego księdza, nie sądzisz? Dlaczego jednym ruchem potrafię obezwładnić człowieka, zabić lub spowodować, że straci przytomność na przykład na dziesięć minut? Jestem tego pewien, choć w życiu jeszcze nikogo nie uderzyłem. Dlaczego mogę wyjąć szpilkę z twoich włosów lub igłę z identyfikatora tak szybko, że nie zorientujesz się nawet, o co chodzi, i wbić w takie miejsce szyi, że nie będziesz w stanie ruszyć żadną z kończyn, mimo że z zewnątrz będą do ciebie docierały impulsy równie wyraźnie jak do tej pory?

- Ccco... ty mówisz?! - Lekarka znowu rozejrzała się z niepokojem, ale po pierwszym szoku natychmiast się opanowała.

- Powiedzmy, że wspomniałem o tysięcznej tego, co mam w tej chorej - jak twierdzisz - głowie i jeśli można, prosiłbym teraz o diagnozę, pani doktor. Jak ta choroba się nazywa?!

- Ile języków?

- W tej chwili sześćdziesiąt trzy i wciąż przypominam sobie nowe. Ty znasz chociaż jeden?

- Pomijając łacinę - nieźle francuski i trochę hiszpański. Dobrze angielski.

- To może pokonwersujemy w ten sposób? „Co ty na to, aniele wybawicielko dusz”? - spytał, przechodząc płynnie na francuski.

- No, to nawet ładne i poetyckie - przyznała Sambierska, uspokajając zdecydowanie przyspieszony oddech. - Trochę może nie ta gramatyka...

- Ta. - Krzysztof uśmiechnął się. - Tyle tylko że z trzynastego wieku. Ostatnie zdanie to cytat z *Rozmów z wybawicielką*, dzieła Deskreville'a, którego nie znasz, bo zaginęło w czasie wojny stuletniej i nigdy go już nie odnaleziono. Tak przy okazji - wiem, gdzie ono jest.

- Krzysztof, ale...

- Przyznasz, że takich rzeczy raczej nie uczą w seminarium?

- To, co mówisz, jest raczej trudne do udowodnienia.

- Nie tak bardzo. - Lorent nie spuszczał z niej wzroku. - Może eksperyment z igłą?

- Nie! - niemal krzyknęła Ola. - W porządku. Poczekaj... ale skąd się o tym wszystkim dowiedziałeś? Jak to się znalazło w twojej... głowie?

- Tego akurat jeszcze nie wiem, wiem natomiast, że nie jestem sam. Jest wielu ludzi, którzy zdają sobie sprawę z moich możliwości, i sporo w przeszłości, którym przytrafiło się to samo.

- Zostawmy na razie tych ludzi. Jak to praktycznie odczuwasz?

- Jak wiesz, to się stało nagle. Przez pierwszych kilkanaście dni często traciłem przytomność, gorączkowałem, miałem wieczne zaburzenia świadomości, galimatias. Jakbym oglądał w umyśle tysiące filmów na raz. Nie umiałem tego objąć. Zacząłem przypominać sobie miliony rzeczy, które nie dotyczyły mojego życia. Jakbym był w umysłach dawno nieżyjących już ludzi.

- To jak... reinkarnacja?

- Nie, nie... Mimo że jako katolik nie wierzę w reinkarnację, również brałem pod uwagę i taką możliwość, ale to nie to. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Skąd wiesz? - Ola gładko weszła w zaproponowany przez Lorenta styl rozmowy i wyglądało na to, że się trochę uspokoiła. Teraz dosłownie pożerała ją ciekawość.

- Czuję, że to nie byłem ja. Widziałem życia tych ludzi, ale to z pewnością nie byłem ja. Być może w mózgu każdego z nas są ukryte miliardy informacji, z których nasz umysł w ogóle nie czerpie. To cała spuścizna naszych przodków. Zamknięte na klucz i już. Dla bezpieczeństwa. Jako psychiatra wiesz, że wykorzystujemy na co dzień tylko niewielką część naszego mózgu - reszta to zagadka. Aż tu pewnego dnia coś, może ktoś... przekręca kluczyk i wszystko dostaje się do świadomości. I mamy kłopot.

- Twierdzisz, że posiadasz wiedzę wszystkich swoich przodków?

- Nie wszystkich... to trochę bardziej skomplikowane. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale nie wszystkich. W każdym razie wielu. Czasem nawet ludzi, którzy z pozoru nie tylko nie są moją rodziną, ale pochodzą z innego kraju i nie mieli pojęcia, że ze współczesnym im największym wrogiem łączy ich linia genetyczna z przeszłości. Mówiliśmy o wojnie stuletniej. Pamiętam przeżycia licznych zarówno Anglików, jak i Francuzów z tego czasu. Żyli równocześnie, a więc to nie reinkarnacja. Tyle tylko że oni wszyscy, z czego nie zdawali sobie sprawy - wiele lat później dzięki szczęśliwemu bądź nie splotowi wypadków stali się wspólnymi moimi przodkami. Wszystko zatoczyło krąg. I tak informacje z ich umysłów, które zapisali sobie w genach, przekazywane przez pokolenia dotarły do mnie. A po drodze rycerze, wojowie, mistrzowie walk, szermierze, naukowcy, przyrodnicy, poszukiwacze, złodzieje, bandyci, politycy... Tak przez tysiące lat... Nie tylko ich wspomnienia, przeżycia czy wiedza, ale głównie u m i e j ę t n o ś c i .

Pamięć to przede wszystkim umiejętność. Ci ludzie umieli walczyć, uciekać, tropić, tworzyć, odkrywać... A wyobraź sobie, kim się stanę, jak mój umysł będzie potrafił to zsumować i uporządkować...

Ola patrzyła na Krzysztofa jak urzeczona.

- To niesamowite tak pamiętać wszystko...

- Tak myślisz? - Pacjent wyraźnie posmutniał, ale nadal miał w oczach jakiś niezwykle silny spokój i opanowanie.

- To marzenie każdego. Umieć jak najwięcej. Wszyscy jesteśmy sumą doświadczeń.

- Ale nie umiemy być samotni.

- Nawet księży?

- Oczywiście. Bez Boga każdy z nas wysechłby do cna. Bylibyśmy niczym. A samotność zjadłaby nas żywcem. Bóg opiekuje się nami, jest wzorem, księgą, z której możemy czytać, największym przyjacielem, który nigdy nie zdradzi. W dodatku czeka na nas. A kiedyś się z nim spotkamy, na zawsze.

Lorent spuścił głowę.

- A wyobraź sobie - ciągnął - że nagle budzisz się na planecie, na której nikt nie mówi twoim językiem, nikt nie potrafi podzielić się z tobą czymkolwiek, rozszerzyć twojej wiedzy, zaciekać cię, nawiązać twórczy kontakt, bądź tylko choćby... zaopiekować się tobą. Wyobraź sobie, że jesteś wyposażona w absolutnie nieporównywalną z nikim wiedzę, a na żadne twoje pytanie nikt nie może odpowiedzieć. Wiesz mi, nie chciałabyś być Bogiem, szczególnie że cała twoja natura krzyczy, iż jesteś człowiekiem. A nawet być człowiekiem, ale najmądrzejszym na całym świecie... czy może być coś straszniejszego?

Wieczór zapadał wolno, ale chmury zasnuły niebo i zrzuciły na miasto nieprzyjemną i zimną siność. Ola poczuła się senna i choć była po wielu godzinach pracy, wolała przespać się na kanapie w szpitalu, niż zachrzaniać swoją rozwalającą się skodą na Ursynów. Doktor Błażej Kulawik spóźnił się, ale, mówiąc szczerze, była mu za to wdzięczna. Korzystając, że jest w pokoju sama, wyciągnęła się bezwstydnie i jeszcze na chwilę zamknęła oczy. Spać spokojnie na dyżurze nie potrafiła, lecz wyuczona, czujna drzemka relaksowała wystarczająco. Skrzypnięcie drzwi, zwiastujące pojawienie się zmiennika, nastąpiło zaledwie dziesięć minut po czasie. Za mało. Urażona lekarka kompletnie olała przeprosiny kolegi i zareagowała dopiero na pytanie o pacjenta.

- Co z naszym księdzem? - Kulawik zdjął czarny kapelusz a la Johnny Rokita i powiesił go na wieszaku. Palto rzucił chwilowo na stół, aby jak najszybciej przebrać się w fartuch, co znamionowało poczucie winy i natychmiastową gotowość do dyżuru.

- Jest niezwykle - przyznała Sambierska.

- Wiem. Co znowu dzisiaj wymyślił?

Lekarka uśmiechnęła się do siebie i usiadła na kozetce.

- Jego wyobrażenia są niesamowite. To jak... opowieści z tysiąca jednej nocy. Trzeba naprawdę bardzo się pilnować, aby w nie... nie uwierzyć. Gdyby to choć trochę było prawdopodobne, wysłuchałabym go uważnie i przerzuciła się na pisarstwo. Science fiction z mrocznych odmętów historii - rozmarzyła się, wyrzucając dramatycznie przed siebie ręce jak w starogreckim teatrze.

- Mam nadzieję, że, tak czy owak, uważnie go wysłuchałaś? - spytał Kulawik, unosząc brwi.

- Oczywiście. Przecież żartuję. Gdyby nie jego lęki, chętnie zamieniłabym się z nim na choroby.

- A na co ty chorujesz?

- Na nieodwzajemnioną miłość do życia. Ty nie?

Błążej padł na krzesło.

- Niedziela dzisiaj, tak? - spytał, ziewając bez żenady.

- Uhm.

- Pusto już na ulicach, ludzie jakoś nie balangowi w tych czasach.

- Nie chce mi się wracać do domu.

- Idź, prześpij się.

Ola wstała i przeszła się po pokoju.

- Lorent za wszelką cenę chce wyjść.

- Czasem tak jest. - Kulawik sięgnął do szuflady biurka po zostawioną wczoraj torebkę cukierków.

- U pacjentów lękowych to rzadko się zdarza.

- Jak to argumentował?

- Ma wrażenie, że tropi go jakaś grupa ludzi. Sekta, tajne stowarzyszenie, coś w tym stylu.

- Coś w tym stylu - powtórzył z ironicznym uśmiechem lekarz. - Bardzo profesjonalna synteza. I co jeszcze?

- Nie czepiaj się, grubasie - burknęła Ola. - Jest chorobliwie pochłonięty lękiem o pacjentów i personel na tym oddziale. Uważa, że oni przyjdą i wszystkich tu pozabijają. Tylko jego zniknięcie może odwrócić ich uwagę od nas.

- Myślę, że powoli trzeba będzie podążać w kierunku schizofrenii paranoidalnej. Nawet jeżeli temu coś towarzyszy, uważam to za sygnały osiowe.

- Zmusił mnie, abym potraktowała to śmiertelnie poważnie.

- Zapodałaś mu *gnóthi seautón*²³ w swoim stylu?

- Tak. Ale potrzeba mi więcej czasu.

- Coś mu obiecałaś?

- Że poważnie rozważę z tobą ten problem.

- I co on na to?

- Prosił, żeby nikomu nic nie mówić, dla bezpieczeństwa. Dał mi do jutra czas do namysłu.

- A potem?

- A potem będzie problem.

Kulawik ciężko wypuścił powietrze z płuc.

- Nie kupi tego, jest za inteligentny. Wie, że mi powiesz. Przewidział to. Na pewno ma jakiś plan. Trzeba go odizolować.

- Cholera! - Ola pokręciła głową niezadowolona. - Taki fajny facet... chociaż ksiądz.

- Przestań wreszcie z tym swoim antyklerykalizmem, jestem katolikiem! Nie mogę już cię czasem słuchać. Nie każdy jest idiotą takim jak ten proboszcz.

Ola przytaknęła przepaszająco głową i otworzyła szafę, aby wyjąć płaszcz.

- Idę. Przemyślę Lorenta w domu, rano pogadamy.

- Rano?

- Zadzwoń. Chcę naprawdę coś wymyślić. On ma rację, stoimy w miejscu.

Błażej machnął ręką, wyganiając koleżankę do domu.

Po wyjściu z pokoju lekarzy zrobiła zaledwie kilka kroków, kiedy po drugiej stronie kraty zobaczyła leżącego na podłodze sanitariusza. Nie zdążyła sięgnąć po klucze, gdy w głębi

²³ *Gnóthi seautón* - delficka maksyma: „poznaj samego siebie”.

korytarza zauważyła kolejnego mężczyznę, tym razem strażnika, spoczywającego nieruchomo na podłodze. Zamarła na chwilę i poczuła, jak strach szybko opanowuje jej umysł. Stała przez kilka sekund, jakby ktoś przykleił jej stopy do podłogi.

- Chyba nie mamy czasu do jutra - usłyszała nagle za plecami spokojny głos Lorenta.

Odwróciła się raptownie. Stał wyprostowany kilka metrów za nią, ubrany w dżinsy i sportową bluzę. Na szczęście reszta chorych była w salach.

- Jak to zrobiłeś? - jęknęła, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. Nie potrafiła opanować drżenia rąk.

- To nie *Gwiezdne wojny*. Nie potrafię obezwładnić nikogo na odległość. Są za kratą. Nie widzisz?

- Widzę, ale... no tak... zauważyłeś, jak to się stało?

- Nie.

- Dzwonię na policję.

- Nie radzę.

Ola mimo wszystko wyjęła telefon komórkowy.

- Krzysztof, wróć spokojnie do sali! - rozkazała. - Załatwię to.

- Nie załatwisz. - Lorent był perfekcyjnie spokojny. - Myślisz, że gdyby chcieli, nie dostaliby się do środka? To znak dla mnie. Albo wyjdę na zewnątrz, albo oni wejdą tutaj. Co wybierasz?

- Już mówiłam, dzwonię na policję.

- Jeśli zaczniesz wykręcać numer, to tak, jakbyś weszła z karabinem maszynowym do sal.

Czy wreszcie teraz mi wierzysz?

Lekarka w końcu oderwała się od komórki.

- Czy oni... nie żyją?

- Myślę, że żyją.

- Ale jak...?

Skrzypnęły drzwi i na korytarz wytoczył się Kulawik.

- Ty jeszcze tutaj? - spytał, kolejny raz ziewając. Dopiero teraz zobaczył nieprzytomnych strażników.

Lorent błyskawicznie podbiegł do lekarza i trzema palcami chwycił od tyłu jego szyję. Po sekundzie Błazej osunął się na podłogę.

- Tak - wyjaśnił Krzysztof, odpowiadając na jej pytanie. - Nie martw się, nic mu nie będzie. To tylko chwilowa blokada impulsów płynących do mózgu. Za parę minut odzyska przytomność. Nie może z nami iść.

- Z nami?! - wydukała płaczliwie Sambierska.

- Odprowadzisz mnie do wyjścia i wrócisz. Musisz wezwać pomoc i zaopiekować się ewentualnymi rannymi.

- Dość tego! - Zaczęła znowu wystukiwać numer na komórce.

- Mam ci zabrać te klucze czy otworzysz sama? - spytał chłodno Lorent.

- Chcesz zrobić mi krzywdę?!

- Jak widzisz, nie muszę, aby wziąć to, czego potrzebuję. - Wskazał leżącego na podłodze lekarza. - Ale i tak bym się nie zawahał. Wolę jedną ofiarę niż cały oddział trupów. Połóż komórkę na podłodze, zabierzesz ją po powrocie.

Ola wciąż stała bez ruchu.

- Nie poproszę drugi raz. - Krzysztof wbił w nią zimny wzrok.

Szybko odłożyła telefon na podłogę.

- Idziemy! - rozkazał.

Lekarka wyjęła klucze i podeszła do kraty. Ledwo trafiła do dziurki. Ręce drżały jej jak na syberyjskim mrozie, ale otworzyła zamek. Chwilę później podbiegła do nieprzytomnego sanitariusza. Z tyłu jego szyi błysnęło coś niewielkiego, metalicznego.

- Cholera - westchnął Lorent. - Znają numer z igłą...

- On słyszy, co mówimy?!

- Idziemy!

- Powiedz!

- To punkt *fu-nung*, a nie *fu-chi*. Jest zupełnie nieprzytomny, dopóki ktoś nie wyjmie mu z szyi *aku*, to znaczy... tej igły.

Ola przez kilka sekund patrzyła wyczekująco na Lorenta.

- No to mu wyjmij! - Nie wytrzymała.

- Nie teraz, to może zrobić ktokolwiek. Nie stanie mu się krzywda. Idziemy, oni nie będą czekać.

Sambierska poświęciła jeszcze chwilę na opanowanie strachu i ruszyła szybko korytarzem. Nikt im nie przeszkadzał. Albo nikogo nie było, albo natykali się na leżących, nieprzytomnych

sanitariuszy czy strażników. Lekarka prawie biegła. Wciąż nie mogła powstrzymać drżenia rąk, a gdyby teraz się zatrzymała, to pewnie nie zapanowałaby i nad całym ciałem.

- Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć! - jęknęła płaczliwie.

Krzysztof zerknął na nią lekko zgorzony, ale nic nie odpowiedział. Cały czas lustrował drogę, wyłapując wszystko, co mogło im zagrozić lub przeszkodzić. Drobna, ruda, przestraszona lekarka szybko przebierała nogami, skręcając to w lewo, to w prawo. Klucze, jak się okazało, nie były potrzebne. Wszystkie drzwi pootwierano jak na zamówienie. Szli korytarzem, który sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą przetoczył się tamtędy huragan. Po zejściu schodami dwóch pięter i kolejnym zakręcie Lorent dostrzegł wreszcie zielony napis „Wyjście”.

- Dokąd to prowadzi? - spytał, chwytając ją delikatnie za ramię.

Kobieta drgnęła, jakby złapał ją prąd.

- Na małe podwórko wewnętrzne. Chyba nie chcesz wychodzić główną bramą?

- Nie chcę. Na pewno tu właśnie czekają. - Wskazał drzwi.

- To może jednak spróbujemy uciec inną drogą?

Krzysztof uśmiechnął się dobrotliwie.

- Ty wracasz.

- Nigdzie nie wracam! Idę z tobą!

- Po co?! Przecież ledwo żyjesz ze strachu.

- Wydaje ci się, czuję się świetnie.

Lorent zajrzał jej w oczy, próbując dostrzec cokolwiek poza paniką.

- Co chcesz zrobić?

Lekarka uniosła wysoko brodę, usiłując odzyskać fason, poprawiła ramiączka sukienki pod płaszczem i przełknęła ślinę, zyskując w ten sposób trochę czasu.

- Wydostaniemy się stąd, odciągniemy ich od pacjentów, pomogę ci, a później zawiadomimy policję - odparła hardo.

Krzysztof stał przez chwilę jak zamurowany. Poczuł, że właśnie rozpoczęły się prawdziwe kłopoty. Nie lękał się tego, co spotka za drzwiami. Wiedział, czego się spodziewać, i był na to przygotowany. Ale na niesforną, neurotyczną lekarzkę, która właśnie postanowiła w przyływie energii zbawić świat - niestety, nie.

- Ola... - przerwał na sekundę, chwytając ją delikatnie za rękę. - Ja się zajmę odciągnięciem ich od chorych i zawiadaniem kogo trzeba, zgoda?

- Nie.

- Błagam cię... to nie zabawa. - Choć trudno mu było w to uwierzyć, zaczął wpadać w panikę. - Jeśli nie posłuchasz to... no wiesz, numer z igłą. Nie pozwolę ci stąd teraz wyjść.

Sambierska jak na zawołanie uniosła dłonie do góry.

- W porządku, przekonałeś mnie. Wracam teraz na górę, ale musisz mi obiecać, że natychmiast dasz znać, jak będziesz w bezpiecznym miejscu.

- Obiecuję.

- Próbowałam - przypomniała.

- Wiem.

- No to... powodzenia.

- Dziękuję.

- No to... idę.

- Tak, lepiej idź.

- Uważaj...

- Czas na mnie. - Krzysztof odwrócił się i szybko odszedł w stronę wyjścia. Drzwi lekko zaskrzypiały, gdy je delikatnie pchnął.

Podwórze wydawało się puste. Odszedł dwa kroki od ceglanej ściany szpitala i czekał. Z trzech stron ograniczały go wysokie mury, z czwartej - dwumetrowa siatka, za którą ciągnął się rozległy trawnik. Bloki na horyzoncie nikły w ciemnościach. Podwórze nie było oświetlone i panował na nim mrok. Nieliczne, ale rozłożyste drzewa zasłaniały dodatkowo poświatę nocnego nieba, jednak Krzysztof mógł dostrzec właściwie każdy szczegół, który go interesował. Między wschodnim murem a siatką wiodła wąska ścieżka. Właśnie na niej pojawił się przed chwilą wysoki mężczyzna ubrany w coś na kształt zgniłozielonego habitu z peleryną. Głowę przykrywał kapturem. Szedł wolno, dostojnie, choć czujnie. Jediną teraz drogą ucieczki dla Lorenta mogło być tylko wejście do szpitala. Drugiego mężczyznę, ubranego niemal identycznie jak pierwszy, ujrzał ukrytego za jednym z drzew.

- Wiesz, kim jesteśmy? - spytał po włosku ten, który wyłonił się zza muru przy siatce.

- Tak - odparł spokojnie Krzysztof.

- Wiesz, po co przyszliśmy?

- Chcemy, żebyśmy z wami poszedł.

- Nikomu nie stanie się krzywda. Nikt nie musi ginąć. Chcemy tylko, żebyś się do nas przyłączył.

Lorent złożył ręce jak do modlitwy i roztarł lekko dłonie.

- Nie wydaje mi się, abyś darował życie komukolwiek, kto cię zobaczy - w głosie Krzysztofa nie było cienia emocji. Mówił chłodno, spokojnie, cicho.

- Twoja pamięć sięga naszych dawnych przodków. Wiele się od tego czasu zmieniło. Wszystko ci powiemy, tylko chodź z nami.

Skrzypnęły drzwi. Ku przerażeniu Lorenta pojawiła się w nich Ola.

- Dzień dobry - przywitała się uprzejmie.

- Jestem kretydem... - mruknął pod nosem Krzysztof, prosząc w duszy Boga o pomoc.

Mężczyzna stojący za drzewem wyjął błyskawicznie miecz, który miał pod sutanną, ale krótki gest jego towarzysza go powstrzymał.

Sambierska zamarła ze strachu.

- Wszystko w porządku! - rzucił szybko do lekarki Lorent.

- A ten zielony, jebany Zorro?! - jęknęła. - Też jest w porządku?!

- Kobieta nie może nas pamiętać - powiedział po chwili mężczyzna ze ścieżki.

Mnich spod drzewa błyskawicznie ruszył w jej stronę. Krzysztof spodziewał się tego. Przeciął mu drogę i padł na ziemię, podcinając jednocześnie napastnika. Zanim tamten zdążył się podnieść, chwycił jego dłoń, a drugą pięścią uderzył silnie w krtań. Zręcznym, niemal niewidocznym ruchem wytrącił mężczyźnie miecz i kiedy zaatakował go drugi mnich, Lorent był już gotowy, aby odbić uderzenie jego miecza. Walczyli w ciszy. Ola oparła się o mur i przerażona przycisnęła dłonie do ust. Nie mogła krzyczeć, wzywać pomocy ani wypowiedzieć choćby słowa. Krzysztof poruszał się tak szybko, że trudno uwierzyć, iż ktokolwiek może wyrobić w sobie tak niezwykłą zręczność. I choć mnich walczył z ponadludzką, jak wydawało się Oli, precyzją, w pewnym momencie zamarł, widząc, jak miecz Lorenta przebił jego klatkę piersiową i po ułamku sekundy doszedł do serca. Nie było chwili do zastanowienia. Jego ranny towarzysz zdążył już wyjąć długi nóż i próbując złapać oddech, podniósł się ciężko z ziemi. Tym razem cięcie Krzysztofa było krótkie, ale znów prawie niewidoczne dla oka. Z tętnicy rannego trysnęła krew. Padł na kolana, wypuścił nóż z dłoni i osunął się na ziemię. Obaj już nie żyli, kiedy na ścieżce pojawił się trzeci mnich, biegnąc z mieczem w kierunku Lorenta. Tym razem walka trwała bardzo krótko. Po odbiciu ciosu napastnika, Krzysztof z rozpędu ciął głęboko powłoki brzuszne i zatrzymał się, opierając kolano na ziemi. Zamarł na moment w tej pozycji.

- Jest jeszcze jeden! - krzyknęła lekarka, widząc czwartego mnicha, który wyłonił się zza muru. Lorent podniósł się. Stał do przybysza tyłem, ale wiedział, że mężczyzna tam jest.

- Nic nam nie zrobi - odparł spokojnie.

- Jak to?!

- Daj mi rękę. - Krzysztof uśmiechnął się ciepło, choć był w jego spojrzeniu czający się głęboko smutek. Widząc, że kobieta jest zbyt zszokowana, żeby wykonać jakikolwiek ruch, wyjął z kieszeni chustkę i wytarł z miecza, którym walczył, krew. Ukląkł na chwilę i się przeżegnał. To samo zrobił mnich stojący do tej pory na ścieżce.

- Daj mi rękę - powtórzył Lorent, wyciągając do lekarki dłoń.

Ola wykonała polecenie. Zaczęli iść w stronę dróżki, mijając nieruchomego mężczyznę, który nawet nie wyjął miecza.

- Dlaczego nas nie atakuje? - spytała szeptem Sambierska. - Gdzie jest reszta?

- Zawsze jest ich czterech - odpowiedział Krzysztof. - Jeśli trzech zginie, czwarty nie walczy, aby zaopiekować się ciałami poległych. Taki zwyczaj.

- Nie zastrzeli nas?

- Nie używają broni palnej. Odkąd tylko ją wynaleziono, strzelanie uważają za dyshonor.

Wyjdziemy tędy?

- Tak. Co on zrobi z ciałami?

- Mają swoje sposoby. Gdzie jest twój samochód?

- Trochę śmierdzi - powiedział mrukliwie komisarz Michał Kępiński.

- Siarka jaka czy co... - przyznał Guccio Załuska, przez chwilę tracąc nawet charakterystyczny dla siebie jełopowaty wyraz twarzy.

Michał rozejrzał się jeszcze raz po podwórzu.

- Ewa, to jakiś idiotyzm! - krzyknął do koleżanki stojącej na ścieżce między murem a siatką. Mówiła coś do swojej krótkofalówki. Miała około trzydziestu lat, była chuda jak patyk i ostrzyżona na Sinead O'Connor, no... może na Annie Lennox. Ostre rysy, wąskie usta i zacięta twarz sugerowały osobowość jędzy, ale w rzeczywistości bił z niej spokój, równowaga i rzeczowość. Dużo klęła, lecz robiła to dość wytwornie, a do tego stosunkowo niewiele w porównaniu ze swoimi kolegami dokuczała Załusce. Nie wnikając w szczegóły, można by stwierdzić, że Guccio był duży i głupi, ale możliwe, iż wielu go krzywdziło. Miał dwadzieścia pięć lat, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto kilo wagi i kilkumiesięczne zaledwie doświadczenie w wydziale. Ewa brała to pod uwagę i postanowiła, że da mu jeszcze czas.

- Nie wiem! - odpowiedziała, gdy skończyła tokować do krótkofalówki.

- Gdzie są ci świadkowie? - spytał, podchodząc do niej.

Wzruszyła ramionami.

- Tu. - Wskazała na budynek.

- To jest dom wariatów - przypomniał Michał.

- Szpital psychiatryczny - poprawiła policjantka.

- Ewa... - Komisarz skrzywił się. - Większość z tych ludzi codziennie widuje Elvisa i

Johna Lennona!

- Przynajmniej ich wysłuchaj - poprosiła z uśmiechem. - Popytaj lekarzy...

- Mówiłaś, że lekarze nic nie widzieli.

- Ale opowiadają dziwne rzeczy. Popytaj.

- A czego ty się dowiedziałaś?

- Nie uwierzyłybyś, sam z nimi pogadaj.

- Ale o co chodzi? - włączył się zdeorientowany Gucio.

- Może jego wyślemy? - zaproponował złośliwie Kępiński, wskazując na Załuskę.

- Zaginęła lekarka i jeden z pacjentów, więc może przestań pierdolić, tylko rusz dupę na górę. Spóźniłeś się, to drałuj - odparła spokojnie i jak zwykle rzeczowo.

Dwóch mundurowych skończyło obchód po podwórzu i zbliżyli się do oficerów, by zameldować, że nic nie znaleźli. Kiedy podeszli, Michał spojrzał błagalnie na koleżankę.

- Proszę cię...

- Szukamy odcisków palców? - spytał znowu Gucio.

- Tak, zbieramy odciski z chodnika, drzew i piasku, po którym depczesz - warknął w jego stronę. - Pomożesz?

- Przestań! - przerwała Ewa.

- To daj mi cokolwiek! Pójdę tam, tylko daj mi coś!

- Świadcowie...

- To znaczy tutejsi pacjenci?

- Zamkniesz się?

- Przepraszam.

- Świadkowie twierdzą, że niska, ruda kobieta i dość wysoki facet wyszli na to podwórko, gdzie spotkali się z kilkoma księżmi, mnichami, cholera wie i...

Przerwała, rozglądając się dookoła i gasząc w sobie zakłopotanie.

- I? - zachęcił Kępiński.

- I zaczęli ze sobą walczyć... na miecze.

- Na miecze - powtórzył Michał.

- Na miecze. Wyglądało na to, że bronili wejścia.

- Jasne. Co dalej?

- Facet zabił trzech z nich i uciekł z kobietą, a czwarty mnich podszedł do ciał, posypał je czymś, potem polał, nakrył jakimś materiałem i podpalił.

- A gdzie zwęglone ciała?

- Podobno ogień był niezwykle gwałtowny. Po kilku minutach pozostał z nich popiół, który on sprzątnął, a resztę rozwiały wiatr. Może znajdziemy resztki.

Nastąpiła bardzo długa cisza.

- I oddalił się z miejsca zdarzenia? - wypalił Guccio.

- Chyba na głowę upadłaś - odezwał się wreszcie Michał, oczywiście ignorując Załuskę. - Mam z czymś takim iść na górę i pytać lekarzy?!

- Oni ci opowiedzą jeszcze ciekawsze rzeczy.

- Słuchaj, bywało już dziwnie, ale to mnie przerasta. Mam podpisać raport o polskich księżach ninja, atakujących szpital psychiatryczny, którego bohaterstwo bronił paranoik, a następnie nie wiadomo dlaczego uciekł z lekarką? Na jego miejscu przynajmniej odebrałbym medal. Nie ma ciał, nie ma śladów, tylko bajka o jakimś proszku i płynie, który rozpuścił trzech mnichów?

Ewa rozłożyła ręce.

- Kurwa, ja chyba śnię! - jęknął Kępiński.

- Drałuj, tylko zostaw procę. Tu nie wolno wnosić broni bez specjalnego pozwolenia, nawet nam - mruknęła spokojnie.

Michał zdjął kaburę z pistoletem i wręczył ją policjantce. Odetchnął głęboko i wszedł do budynku. Jeden z mundurowych już na niego czekał.

- Poprosiliśmy, aby świadkowie zebrali się w jednym z pokojów lekarskich - zameldował.

- Dobrze, gdzie to jest?

- Poprowadzę.

- No to chodźmy.

Doszli szybko do schodów i wspięli się na drugie piętro. W jednej z sal znaleźli czwórkę lekarzy wyraźnie czekających na kogoś, kto ich przesłucha. Siedzieli na krzesłach, jakby przygotowali się do zwykłego zebrania. Byli jednak wyraźnie zmieszani, przestraszeni i niepewni.

- Witam panów. - Michał przebiegł wzrokiem po obecnych. Sami faceci, jeden łysawy, gruby, drugi siwy, dwaj pozostali trochę młodszy, co najwyżej trzydziestolatekowie - blondyn i kędzierzawy brunet. Bez zwykłej dla lekarzy pewności siebie, zakłopotani.

- Nazywam się Kępiński, prowadzę tę sprawę, jestem komisarzem policji państwowej.

Gruby wstał, odpowiadając na ukłon policjanta.

- Nazywam się Błażej Kulawik, zastępuję w tej chwili nieobecnego ordynatora, to jest doktor Zenon Jabłoński. - Wskazał na szpakowatego. A koledzy Rosłoniak i Bartnik przyszli do nas z neurologii. Pana koleżanka już tu u nas była...

- Wiem, wspominała. Spróbujmy jednak wszystko uporządkować. Może od początku. - Michał dał znak mundurowemu, żeby wyszedł i dopilnował spokoju.

- Może ja to wezmę na siebie. Wszyscy mieliśmy podobne przeżycia... - zaczął Kulawik.

- Przeżycia? - zdziwił się Kępiński.

- Trochę dziwnie mi o tym mówić, ale część chorych...

- Z chorymi porozmawiamy później - przerwał policjant. - Co panowie pamiętają?

Zakłopotany lekarz podrapał się w głowę.

- O to chodzi, że właściwie... nic - wydukał.

- Słucham? - Michał wolno usiadł na najbliższym krześle.

- Kilku kolegów... nie wszyscy są obecni. W tym szpitalu nie można pozostawić chorych bez opieki nawet na chwilę. Ale większość jest na terenie.

- Rozumiem. Jednak dlaczego powiedział pan, że nic nie pamięta? Był pan tutaj cały czas?

- Tak. I nie tylko ja nic nie pamiętam. Nikt niczego nie pamięta, oprócz kilku chorych.

Komisarz zanurzył twarz w dłoniach. Po chwili opuścił ręce, jego spojrzenie powędrowało do Kulawika, a następnie do pozostałych lekarzy.

- Panowie, nie wiem, czy dobrze rozumiem. Macie zbiorowy zanik pamięci?

- Większość z nas obudziła się na podłodze - wyjaśnił jeden z neurologów.

- O... - Michał otworzył szeroko oczy.

- Szedłem korytarzem i... potem obudziłem się po prostu, leżąc na podłodze - powiedział ten sam lekarz.

- Ja pamiętam, jak chory... ten, który zniknął, zbliżył się do mnie - wtrącił Kulawik. - I, podobnie jak kolega, następną rzecz, którą pamiętam, było odzyskiwanie przytomności na podłodze.

- Wszyscy jednocześnie zemdleli w tym szpitalu? - upewnił się policjant.

- Tylko ci będący na korytarzu prowadzącym do wyjścia na podwórko - mruknął niedbale Zenio Jabłoński, który do tej pory nie powiedział jeszcze ani słowa.

- Czyli na drodze, którą pan... - Michał sięgnął po kartkę do kieszeni. - Krzysztof Lorent uciekł ze szpitala?

- Ksiądz Krzysztof Lorent - poprawił Kulawik.

- O...

- Trafił tu z podejrzeniem schizofrenii paranoidalnej. Silne omamy, wizje, lęki depresyjne.

- OK. - Komisarz podniósł do góry ręce, co, jak wierzył, pomagało mu w uporządkowaniu myśli. - Facet porywa lekarkę z oddziału psychiatrycznego, po drodze unieszkodliwia wszystkich, na których się natyka, jednocześnie wymazując im pamięć. Wyskakuje na podwórze, gdzie walczy na miecze z kilkoma mnichami, których akurat tam spotkał. Nie miał swojego miecza, więc, jak rozumiem, pożyczył go od kolegów z innego zakonu i zniknął wraz z panią doktor... - Tu ponownie zerknął na kartkę. - Aleksandrą Sambierską, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu. Dobrze zrozumiałem?

- Chce pan nam pomóc? - spytał Jabłoński, którego niespecjalnie rozbawiła tyrada komisarza.

- Oczywiście. Po to tu przyjechałem - odparł Michał. - Tyle tylko że ja nie jestem z *Archiwum X*. Jestem zwykłym, prostym gliną i być może wynika to z mojego niedoświadczenia, ale nie mam wprawy w ganianiu szermierzy hipnotyzerów w habitach. Nie mam pojęcia, jak schizofrenik mógł otworzyć trzy bramy z krat, które tu po drodze minąłem, oraz w jaki sposób umówił się na pojedynek z konkurencyjną parafią. Gdzie się podziewali strażnicy i sanitariusze? Skoro był tak niebezpieczny, dlaczego chodził bez opieki po korytarzu? Jednym słowem, panowie - nie kupuję tej historii. Może będę zbyt obcesowy, ale powiem to: proszę wreszcie zacząć mówić

prawdę, bo na razie nic się nie trzyma kupy. Chyba się ze mną zgodzicie, że jak zwali się tu prokurator, będą poważne kłopoty. A więc: co tu naprawdę się zdarzyło?!

- Przyszedłem, kiedy było po wszystkim - zaczął od nowa Jabłoński. - Strażnicy i lekarze leżeli na korytarzu. Kraty były otwarte. Może pan wierzyć w to lub nie, ale taka jest prawda. A teraz najlepsze: wszyscy, z wyjątkiem Błażeja, mieli powbijane igły do akupunktury w tylną część szyi. Kiedy zacząłem im je wyjmować, natychmiast odzyskiwali przytomność. A teraz aresztuj nas pan albo puść do pracy, ale weź się do szukania doktor Sambierskiej, bo bez wątplenia nie wyszła z tego szpitala z własnej woli. A w powietrzu z pewnością się nie rozplynęła.

- Z pewnością? - spytał zaciekawiony tą „pewnością” komisarz.

- Ola ma... - zaczął Kulawik, jednak zatrzymał się i przez chwilę rozważał, czy w ogóle poruszać ten temat - ...niechętny stosunek do katolickich duchownych.

- Słucham? - spytał z jeszcze większą ciekawością Kępiński.

- Ma osobisty uraz, wolałbym o tym nie mówić poza jej plecami.

- Czy to możliwe?

- Oczywiście, że możliwe. Wiadomo, że nasi duchowni prezentują bardzo nierówny poziom - włączył się Zenio.

- Nie, nie. Czy możliwe, aby przy użyciu akupunktury pozbawić kogoś przytomności?

Jabłoński rozłożył ręce.

- Nie wiem. Jestem psychiatrą.

- Ale panowie są neurologami. - Komisarz wskazał na dwóch młodych lekarzy.

- Teoretycznie tak, to możliwe - odpowiedział niepewnie blondyn. - Chińska medycyna zna przypadki, kiedy za pomocą akupunktury pozbawiano nawet życia, ale musiał to być ktoś o niesamowitej wiedzy. Takie rzeczy się zdarzają raczej w średniowiecznych legendach, a nie we współczesnej medycynie.

- Skąd pan o tym wszystkim wie?

- Mój profesor ze studiów spędził wiele lat w Chinach, mogę podać do niego kontakt.

- Bardzo bym prosił. A pan. - Tu komisarz wskazał na Kulawika. - Nie miał igły w szyi?

- Nie.

- I jest pan pewien, że zaatakował pana ten pacjent?

- Tak. Tyle pamiętam.

- Żaden z panów nie ma śladów uderzenia w głowę lub innych ran?
- Nie - odparł Kulawik.
- Na pewno?
- Jesteśmy lekarzami - mruknął niecierpliwie Zenio.
- No tak... Pozostaje pytanie, jak on otworzył wszystkie kraty?
- To nie on - stwierdził Kulawik.
- A skąd pan wie?
- Zanim straciłem przytomność, widziałem leżącego strażnika po drugiej stronie. Wtedy

bramka była na pewno zamknięta.

- A więc ktoś mu pomógł? - Michał zadał pytanie, na które właściwie nie oczekiwał odpowiedzi.

- Może ci mnisi - podjął niepewnie blondyn neurolog.
- A potem próbowali go zabić na podwórzu? - spytał komisarz.

Wszyscy umilkli.

- Mogę dostać kartę tego chorego? - Michał skierował wzrok na Kulawika.

- Musi mieć pan specjalne pozwolenie z sądu - odparł lekarz. - Nie możemy udostępnić dokumentacji choroby psychicznej osobom postronnym, nawet policji. Michał znacząco zatrzymał wzrok na Kulawiku.

- Koledzy powinni wracać do pracy. - Doktor Błażej uśmiechnął się. - Jeśli to wszystko...
- Na razie tak. Proszę mi zostawić, jeśli to nie sprawi kłopotów, swoje wizytówki.

Neurologzy i Zenio Jabłoński podnieśli się i ku swojej uldze szybko opuścili gabinet. Kulawik powędrował za biurko i usiadł na fotelu. Wysunął jedną z szuflad i wyjął z niej kartkę maszynopisu.

- Nie jest pan zbyt cierpliwy - podsumował lekarz.
- Zaginęła lekarka porwana przez chorego psychicznie pacjenta.
- Wiem, ale ludzie, których pan przesłuchiwał, też się najedli strachu. - Błażej podsunął policjantowi kartkę. - Napisałem tu panu nazwiska wszystkich poszkodowanych lekarzy oraz chorych, którzy coś widzieli.
- Nie pokaże mi pan karty choroby?
- Nie.

- Wie pan, ile będzie kłopotów, jak zacznie tu węszyć prokurator i ludzie z ministerstwa?

- Dopiero nabawię się kłopotów, jak nielegalnie udostępnię panu dane pacjenta.

- A nieoficjalnie?

- Nieoficjalnie możemy porozmawiać. - Kulawik uśmiechnął się zdawkowo. - Ale nie może pan tego użyć w żadnym sądzie ani traktować jako dowodu.

- Zgoda.

- Robię to, bo chcę, aby znalazł pan Olę... to znaczy doktor Sambierską, jak najszybciej. Powiem panu tylko to, co uważam za ważne dla sprawy.

- Może sobie pan nie zdawać sprawy z tego, co ważne.

- Jednak zaryzykuję.

- Panie doktorze. - Michał nie chciał, aby ryba, która właśnie sama połknęła haczyk, uciekła w najbardziej istotnym momencie, jednak spróbował. - Ja nie uczę pana budowy mózgu, więc niech pan mi zaufa w tym, na czym ja się znam.

- Przykro mi, odpada - odparł bez namysłu lekarz. - Albo się pan zgadza, albo nie było rozmowy.

Kepiński wstał z krzesła i wsunął ręce do kieszeni. Przeszedł się po gabinecie, aby nabrać trochę dystansu.

- W porządku, niech pan mówi.

ROZDZIAŁ 3

Jechali szosą krakowską przynajmniej od godziny. Większość trasy pokonali w milczeniu, oswajając się z sytuacją, uspokajając myśli i dając sobie czas na ułożenie istotnych pytań. Ola zdążyła przynajmniej częściowo uporządkować mętlik w głowie, a co najważniejsze - opanować strach. Coś jej podpowiadało, że musi zaufać temu dziwnemu facetowi, który do niedawna był księdzem, a teraz posiadał wiedzę każącą mu robić to, co robi. Najlepiej oczywiście byłoby się natychmiast obudzić, ale skoro chwilowo stało się to niemożliwe, należało przystosować się do sytuacji. To, co zrobił przed szpitalem, było cholernie przekonujące. Tego rzeczywiście nie uczą w seminarium, a urojenia chorych z pewnością nie materializują się w postaci żywych, jak ona sama, ludzi.

- Co teraz? - spytała, przerywając długą ciszę.

- Musimy się ukryć.

- Przed tymi mnichami?

- Nie tylko.

- Nie rozumiem.

Mimo że Krzysztof prowadził, odwrócił się na chwilę w kierunku Oli, licząc na to, że ją uspokoi. Wyglądała jednak na wyciszoną. Pytała rzeczowo i bez cienia podejrzliwości czy panikarstwa.

- Będzie nas szukać policja - stwierdził Lorent.

- Może warto zaufać policji.

- Jeśli nas znajdą, to tak, jakbyśmy napisali ogłoszenie, gdzie i kiedy mają przyjść po nas aurelici.

- Ci z mieczami? - upewniła się Sambierska.

- Tak tych ludzi dawniej nazywano. Od imienia pierwszego z nich - niejakiego Aureliusza Marcellina.

- I o nim, jak zgaduję, też sporo wiesz?

- Był człowiekiem z otoczenia cesarza Konstantyna Wielkiego.

- Trochę dawno.

- Trochę tak.

Ola wyjęła z torebki lusterko, aby poprawić włosy i sprawdzić, jakie spustoszenie w jej urodzie spowodowały wypadki ostatnich godzin. Mimo tych wszystkich ciężkich do zrozumienia zdarzeń nie wypuściła torebki z rąk nawet na chwilę.

- Kim tak dokładniej był ten Marcellin? - spytała, gdy w miarę opanowała sytuację.

- Uczonym, badaczem, poszukiwaczem i... ambitnym politykiem.

- On był... taki jak ty?

- Tak. Jeśli myślisz o tym, na co mnie leczyłaś. - Krzysztof uśmiechnął się, dając sobie i jej szansę na rozluźnienie atmosfery.

- Masz w sobie... jego pamięć?

- Nie. Był z innej linii. O to właśnie w tej całej zabawie chodzi. On wiedział, że nie jest jedyny, że jest nas więcej. Ale chciał osiąść wiedzę wszystkich nas.

- Skromniś.

- Ani ja, ani wielu moich przodków nie potrafiło tego zrozumieć. Zachłanność, nawet na władzę i wiedzę, musi mieć swoje granice, ale widać człowiek ma nieskończone możliwości.

- Człowiek, który przekracza naturalne granice swojego umysłu - westchnęła Ola - właściwie przestaje być człowiekiem.

- Dziękuję - odparł gorzko Lorent.

- Nie to miałam na myśli, ja... zresztą nieważne, przepraszam.

- Mów - zachęcił Krzysztof. - Nie sądzę, abyśmy specjalnie różnili się poglądem na ten temat.

- Chodzi mi tylko o to, że natura zaprogramowała nas tak, żebyśmy mogli przetrwać i funkcjonować wśród innych, nie zaburzając praw przyrody. To prawda, wykorzystujemy tylko niewielką część swojego mózgu, ale tak ma być. Jeśli sięgamy po coś więcej...

- Podważamy doskonałość boskiego stworzenia i podnosimy rękę na dzieło Stwórcy, a przez to na niego samego - dokończył Lorent.

- Nie wierzę w Boga. Lecz wierzę w medycynę. Wiem, co nami kieruje i co zakłóca porządek rzeczy. To już nie zwykłe niszczenie przyrody, mordowanie milionów zwierząt dla futer i trofeów czy zatruwanie środowiska naturalnego. To zamach na własną naturę. Jestem pewna, że to, co wystąpiło u ciebie, da się cofnąć, może nawet wyleczyć.

Ku swojemu zaskoczeniu, usłyszała nagły wybuch śmiechu Krzysztofa.

- Co cię tak bawi? - spytała urażona.

- Trochę się zapędziłaś. Nie jestem jakimś X-manem czy rycerzem Jedi. Nie zabijam wzrokiem ani nie fruвам w przestworzach. Tylko po prostu... wiem trochę więcej, niż chciałbym.

- Uroczo to ująłeś. Żebyś widział siebie przed szpitalem!

Lorent zmrużył oczy, jakby chciał dostrzec za szybą szczegół, który wydał mu się zbyt mało wyraźny.

- Pamięć ludzka to w dziewięćdziesięciu procentach umiejętności, a nie - jak by się wydawało - fakty. Masz około trzydziestu lat. Ile tak naprawdę z tego pamiętasz?

Nawet nie kojarzysz, jak nazywali się twoi nauczyciele w podstawówce, prawda? Pamiętasz od początku do końca jakąś lekcję? Klasówkę?

- Niewiele.

- Właśnie. Jeśli jesteś zwykłym człowiekiem, twoja wiedza nie jest aż tak wielka. Skupiasz się na tym, co potrzebne ci do życia. Umiesz wyrysować wzory cosinusów, sinusów, wzór strukturalny na przykład alkoholu etylowego?

- Alkoholu etylowego tak, z sinusami gorzej.

- Jesteś lekarzem, wiadomo. Ale ludzie zapominają większość wiedzy, którą kiedyś posiadli. Nie jest im potrzebna. Ja też jej nie pamiętam. Nie dziedziczę jej po przodkach. Jeśli oni coś zapomnieli, mnie również trudno sobie to przypomnieć, lecz umiejętności... to zupełnie co innego.

Ola pokiwała głową, uśmiechając się.

- Chodzimy, jeździmy na rowerze, na łyżwach.

- Na łyżwach... nie wszyscy. Ale masz rację. Codziennie wykonujemy tysiące czynności, z których nie zdajemy sobie sprawy. Dziecko nie umie nawet samo jeść, a później jako dorosły człowiek jest całkowicie samowystarczalne. Nasze życie to suma umiejętności. A mnie dano ich trochę więcej, niż się należało. I tyle.

- No i na nieco wyższym poziomie.

- Ludzie w przeszłości musieli przez całą właściwie historię walczyć o życie, stąd się wzięły umiejętności fechtunku, walki wręcz, instynkt przetrwania. A u mnie zsumowały się po prostu doświadczenia wielu, wielu osób. Dlatego jestem w tym chyba niezły. Właściwie... zdaję sobie sprawę z tego, że to głupie, jednak sam do końca nie wiem, co umiem, a czego nie umiem robić. Na razie... uczę się siebie. Reszta to instynkt.

Ola niespodziewanie położyła rękę na ramieniu Lorenta, patrząc na jego skupioną twarz. Zawstydzona cofnęła ją szybko i podobnie jak on zaczęła obserwować widok za przednią szybą.

- Czego chcą ci ludzie? - spytała cicho.

- Aurelici?

- Tak.

- To dość skomplikowane.

- Mamy chyba trochę czasu?

- Moja wiedza na ich temat kończy się na siedemnastym wieku. Nie wiem, jak to robią teraz, ale kiedyś mieli ogromne wpływy na dworach, wśród władców, w wojsku, w ważniejszych instytucjach, wszędzie. Nie sądzę, aby to się specjalnie zmieniło. Dlatego nie możemy dać się schwytać policji.

- Myślisz, że aż tak? Że to ma taki zasięg?

Krzysztof przez kilka sekund nie odpowiadał. Wyprzedził ciężarówkę i delikatnie zwolnił.

- Przez setki lat aurelici byli radykalnie elitarnym bractwem, ale o ogromnych wpływach - wyjaśnił, znów na moment zerkając w stronę Oli. - Ich szpiedzy w większości wypadków nie znali nawet jednej dziesiątej tajemnic swych pracodawców, ale sowicie wynagradzani i świadomi surowych kar za zdradę opletli całą ówczesną Europę swoimi mackami. Byli i, jak sądzę, dalej są potężni. Popatrz, jak szybko dowiedzieli się o moim istnieniu. Już w kilka tygodni po... no, wiesz. Czekali gotowi pod szpitalem, a - jak mniemam - zdawali sobie ze wszystkiego sprawę znacznie wcześniej. Myślę, że lustrują i analizują całą światową prasę, szpitale psychiatryczne, więzienia, badają wszelkie skandale i odstępstwa od normalnego porządku społecznego, gdziekolwiek by to się zdarzyło.

- Przestań, Krzysiek! - krzyknęła nagle Ola i odwróciła się w stronę bocznej szyby. - Nie chcę już tego słuchać, chcę odpocząć. Dokąd jedziemy?

- Tak jak mówiłem, w bezpieczne miejsce - odparł spokojnie Lorent.

- Czyli?

- Do przyjaciela.

- Jeśli do twojego przyjaciela, to szybko nas tam znajdą.

- Nie sądzę. U tego przyjaciela raczej nie będą szukali.

Sambierska zrezygnowana machnęła ręką.

- Nie sądzę, aby cokolwiek nam mogło teraz pomóc.

Krzysztof uśmiechnął się tajemniczo.

- Pomoże nam. Taki jeden... Bzdet.

- Co?!

Kiedy skręcili z głównej drogi, zrobiło się zupełnie ciemno. Wiejska droga doprowadziła ich wertepami, muldami i koleinami zapomnianej przez gminę, poszerzanej ścieżyny do przedziwnego domu, stojącego na skraju lasu. Z daleka wyglądał na zwykłą chałupę, ale gdy podjechali bliżej, nawet nocą uderzały w oczy dziesiątki kolorowych esów-floresów wymalowanych na biało, czerwono i zielono po wszystkich ścianach, których tło było... różowe. Dach przypominał raczej obraz Pollocka²⁴ niż powierzchnię służącą do ochrony przed deszczem, ale nie on wzbudził największy niepokój Oli Sambierskiej, a raczej - kto pod czymś takim może mieszkać?!

Gospodarz nie kazał długo na siebie czekać. Gdy tylko Lorent zatrzymał się przed bramą, z drzwi wejściowych wyłoniła się chuda jak szczapa postać, zakończona niepokojąco podłużną głową z fryzurą nasuwającą skojarzenie z nierówno obcięty mopem. Mężczyzna szedł śmiesznie, wydłużając krok, jakby mijał kałuże. Gdy niespodziewani goście wyszli z samochodu, ujrzeli zdziwioną twarz dwudziestokilkulatka, z niezliczoną liczbą agrafek, kolczyków, a nawet ćwieków w różnych częściach uszu, nosa i brwi. Niewiarygodnie kolorowe spodnie i chłopska koszula dopełniały całości, na której widok każda cnotliwa panna z dobrego domu powinna natychmiast przepisowo zemdleć.

- Krzychu?! - wydusiło z siebie dziwadło. Miało głos wesołej owcy po mutacji.

- Cześć, Bzdet. - Lorent się uśmiechnął.

Ola dostała nagłego ataku kaszlu, ale szybko opanowała sytuację.

- Coś się stało? - spytał gospodarz.

- Mam kłopoty, potrzebuję twojej pomocy.

- Ty masz kłopoty?!

- Tak, właśnie uciekłem ze szpitala psychiatrycznego.

- *Cool!*²⁵ - przyznał z szacunkiem chuderlak. - Wyrabiasz się. - Nagle spowaźniał. - A tak właściwie... to co ty robiłeś w kwadracie dla trwale uśmiechniętych?! - spytał z niepokojem.

- Odpoczywałem od powołania. Wszystko ci opowiem w domu. Jesteście sami?

²⁴ Jackson Pollock (1912-1956) - malarz amerykański, przedstawiciel ekspresjonizmu abstrakcyjnego. Rozwinął własny styl tworzenia z charakterystycznym kapaniem farbą na płótno i jej rozpryskiwaniem (tzw. *action painting*, czyli „malarstwo gestu”).

²⁵ *Cool* (czyt. kuul) - w slangu angielskim: „kapitałnie”, „czadowo!”

- Tak. - Gospodarz śmiało wyciągnął dłoń do Sambierskiej. - Bzdeta jestem! - przedstawił się z entuzjazmem.

- Ola - odparła odważnie lekarka. - Sambierska. Cześć... Bzdeta.

- Cipucha! - wrzasnął punk w stronę domu.

Ola spojrzała błagalnie na Krzysztofa, wyrażając silną potrzebę ucieczki lub przynajmniej puszczania pawia.

- No?! - odpowiedziała piskliwie gospodyni.

- Żarcia trzeba dać więcej, Krzysiek przyjechał!

- Zajeście! - wyraźnie uradowała się Cipucha. Wskoczyła również przed dom, aby rzucić się na szyję Lorentowi. Była niemal idealnym damskim odpowiednikiem stylu Bzdety, choć chyba jeszcze chudszy. Nosiła ogrodniczki, tyle tylko że zapomniała włożyć jakkolwiek bluzkę, więc niewielkie piersi przykrywały jedynie paski od spodni.

- Mój księżulo kochany! - Zawisła na Krzysztofie.

- Otworzę bramę, wjedź na podwórze - rzucił Bzdeta do Lorenta.

- Wolałbym, abyś wprowadził go do garażu - poprosił gość, uwalniając się z uścisków Cipuchy.

- Stoi tam moja gabłota.

- Tego samochodu najpewniej szuka już policja.

Punk zdębiał.

- Hej, koleś, oddaj ciało mojego przyjaciela i powiedz, gdzie on jest!

- Wiem, że to dziwne, ale wszystko ci wyjaśnię. Schowaj ten samochód.

Nastała chwila niezręcznej ciszy, w czasie której, o dziwo, nawet Cipucha przestała rechotać.

- Pójdę po kluczyki - zdecydował wreszcie Bzdeta i ruszył do domu. Dziewczyna pobiegła za nim.

- Rany boskie... - jęknęła cichutko Ola, gdy gospodarze zniknęli w chałupie. - Co do jednego masz rację, nie powinni cię tu szukać.

- Nie przejmuj się, to wspaniali ludzie - uspokoił ją Krzysztof. - Może są trochę ekscentryczni, ale wiesz... artyści.

- Trochę ekscentryczni?! Trochę ekscentryczni są działacze PiS-u i Samoobrony, kiedy udają uczciwe i poważne partie, a ci... to Marsjanie!!!

- Nie przesadzaj. - Poklepał ją dobrotliwie po ramieniu - Bzdet to świetny muzyk punkowy, a Cipucha... zobaczysz, bombowa dziewczyna.

- Krzysztof, przecież ty jesteś... byłeś... księdzem! Skąd znasz takich czubów?

- Z podwórka, wychowywałem się z nim na jednym osiedlu. Potem wybraliśmy inne drogi, jednak... nie zerwaliśmy kontaktów. Bzdet raczej rzadko odwiedzał mnie w seminarium, ale... - Przyjrzał się uważnie Oli. - Jak ty sobie wyobrażasz posługę? Myślisz, że księża stworzeni są tylko dla leciwych babć i bogobojnych matek Polek? Nie. My jesteśmy dla wszystkich, także dla takich ludzi jak oni.

Punk zdążył już wejść do garażu i odpalić swojego zielono-żółto-pomarańczowego trabanta.

- Bzdet... - mruknęła z niedowierzaniem lekarka.

- On należy do ruchu punkowego - przyszedł jej z pomocą Krzysztof. - „Punk” to w dosłownym tłumaczeniu „śmieć”. Ironiczna kontestacja zakłamanego i egoistycznego, pozbawionego miłości i duchowej wspólnoty układu społecznego. Nasz gospodarz nawet poprzez swój pseudonim włącza się w ten bunt, walcząc o przyszłość, pokój i miłość między ludźmi - zakończył uroczyście.

- A Cipucha spaliła pewnie na demonstracjach już wszystkie staniki, tak że nie został jej żaden na dzisiejszy wieczór? - westchnęła z zadumą Sambierska.

- Oj, czepiasz się! - Lorent uśmiechnął się i pomaszerował w stronę domu. - Idziesz? - spytał na wszelki wypadek.

Opowieść zajęła Krzysztofowi ponad pół godziny. Ku zdziwieniu Oli, nie opuścił żadnego szczegółu i trzymał się faktów, nawet tych najbardziej dziwnych. Bzdet i Cipucha ku jej jeszcze większemu zdumieniu nie przerywali, słuchali z uwagą i właściwie nie zmieniali wyrazu twarzy. W pewnym momencie punk zaczął, co prawda, poprawiać się z lekkim zakłopotaniem na krześle i drapać się prawą ręką w lewe ucho, ale trzymał fason do końca, a dziewczyna bohatersko mu w tym towarzyszyła. Lorent opowiadał, jak zwykle spokojnie, wyważonym, głębokim tonem, nie unosząc się ani nie egzaltując. Gestykulował oszczędnie, a o walkach na miecze wspomniął z przejściem równym opowieści o zakupach w warzywniaku. Kiedy skończył, sięgnął po przygotowaną przez Cipuchę herbatę, pociągnął łyk i czekał na jakąś reakcję.

- Nooo, to stary rzeczywiście odjechałeś. Miałem zaproponować wszystkim skręta, ale w takiej sytuacji chyba nam starczy - stwierdził Bzdet.

- I poważnie umiesz teraz... tym mieczem i w ogóle? - spytała rzeczowo Cipucha.

- Obawiam się, że tak - potwierdził Krzysztof.

- I jesteś tak obkuty, że nikt ci nie podskoczy? - upewnił się punk.

- No właśnie dlatego wielu będzie próbowało.

- Ale łeb masz jak sklep - rozmarzyła się gospodyni. - Będzie się działo... Masz gdzieś ten miecz?

- W samochodzie. Zabrałem jednemu z nich.

- I gliniarze kupili tę historię? - spytał Bzdet.

- Nie wiemy, ale zaginęła lekarka. Nie sądzę, aby odpuścili, nawet jeśli stwierdzą, że to stek bzdur.

- A Ola nie może wrócić?

- Nie przeżyłaby nawet jednego dnia. Jest świadkiem istnienia tajnego stowarzyszenia, które przez wieki nie tylko miało ogromny wpływ na wielką politykę, ale też umiało pozostać w cieniu. Ślady obecności jego członków w opowieściach pacjentów i niczego niepamiętających lekarzy - to brzmi jak niedorzeczna historia, jednak Ola widziała wszystko. - Lorent uśmiechnął się, starając uspokoić atmosferę. - Damy radę, ale bardzo potrzebna nam wasza pomoc.

Bzdet rozłożył bezradnie ręce.

- Stary, dla ciebie wszystko, ale co mamy robić? Na razie trochę mi to nie styka pod sufitem...

- Szuka nas policja i aurelici. Gazet nie musimy się bać. Prędzej napisaliby o lądowaniu Marsjan, niż zaryzykowałiby coś takiego. Ale nie możemy na razie się wychylać, choć musimy dowiedzieć się kilku rzeczy. I w tym możecie pomóc. Ja wam powiem, gdzie i czego szukać, a wy nas na pewien czas ukryjecie.

- No to gra gitara! - zapiszczała Cipucha. - Przyjaramy?

- Innym razem - odezwał się lżejszym już tonem Krzysztof. - Muszę teraz odpocząć, pomodlić się... Wybaczcie, robię co mogę, aby tego nie było widać, ale prawda jest taka, że trochę mnie to przerosło.

- Strunczko, pościelisz Krzysiuwi na górze? - spytał błyskawicznie gospodarz.

- Okej! - Dziewczyna wyprężyła się i wesoło popiskując, wbiegła na górę. - Chodź, chodź księżulku, zdążysz się umyć i będzie gotowe!

Lorent uklonił się uprzejmie Oli i punkowi, a następnie wszedł wolno po schodach na górę.

- Posiedzisz jeszcze chwilę? - spytał Bzdet lekarki.

- I tak bym nie zasnęła.
- Masz rodzinę?
- Byłą. Nie mam do kogo zadzwonić, jeśli o to pytasz.
- Chyba lepiej na razie nie dzwonić w ogóle do nikogo.
- Wierzysz nam? - spytała nagle Ola.

Gospodarz uśmiechnął się, jakby odpowiedź była oczywista.

- Wiesz... - przerwał na moment. - Znam go od dzieciaka. Był takim... frajerem podwórkowym. Wszyscy z niego robili balona, dawał się wkręcać jak jemioł. Tylko ja chciałem się z nim przyjaźnić. Między innymi dlatego, że nigdy nie kłamał. Nie umiał. Był jak kaleka. Po prostu nie potrafił kombinować. Mówił, co myśli, i to wszystkich... no wiesz, śmieszyło. Więc gdyby nawet przyszedł tu i powiedział, że właśnie widział krasnoludka przelatującego na koniku, też bym mu uwierzył.

- Jaki on jest?
- Ale pytanie! - roześmiał się głośno Bzdet. - Kręcą cię „czarni” albo „ping-pongi”?
- Nie znoszę księży i jeszcze bardziej zakonnicy - przyznała zaskakująco szczerze Ola. -

Mam swoje powody.

- Z pewnością, ale wiesz... w każdym środowisku są glisty i wielcy ludzie. Jak by ci to powiedzieć... no, nie uogólniałbym.

- Wiesz, co to jest zakon kontemplacyjny, zamknięty?

Bzdet wzruszył ramionami.

- No, siedzą, modlą się, tracą bezsensownie czas i chcą być święci.
- A więc guzik wiesz.

Punk zauważył, jak Sambierska nerwowo zacisnęła usta i dopiero po chwili zaczęła mówić dalej.

- Moja starsza siostra trafiła do czegoś takiego, gdy miała piętnaście lat.
- Po co?
- Matka ją tam oddała.

Gospodarz uniósł ręce do góry.

- Spoko, nie chcę być wścibski.
- Nie robię z tego tajemnicy. Gdybym mogła, opisałabym jej historię we wszystkich gazetach, żeby ludzie wiedzieli.

Bzdet nie chciał, by jego gość w jakikolwiek sposób miał powody do stresu większego niż to konieczne w zaistniałej sytuacji, ale wzburzenie w jej spojrzeniu nie pozwalało mu przerywać. Chciała się wygadać? OK.

- Marzyła, aby zostać, jak to powiedziałaś, świętą - ciągnęła z pasją Ola. - Kiedy zobaczyła w tym klasztorze uduchowione, ubrane na biało siostry, modlące się, czyste, zapragnęła być taka jak one. Była szczęśliwa. Wstawała, jak kazała reguła, o piątej rano, szła się myć, oczywiście tylko w zimnej wodzie, bo inaczej nie wolno, potem z resztą sióstr modliła się, czytała księgi ascetów, ale tylko te dozwolone. Później w planie dnia był rachunek sumienia - klęczenie godzinami z powrozem na szyi, by zmasać grzechy. Następnie obiad w ciszy, znów modlitwa i wreszcie najbardziej beztroski moment - tak zwana rekreacja, w czasie której wolno rozmawiać! Ale... - Tu Sambierska uniosła palec, naśladując złośliwie gesty duchownych. - Tylko o wybranych świętych. Nie wolno jej było kontaktować się osobiście z rodziną ani otwierać listów od nas, bo najpierw musiała przeczytać je przełożona. Nie rozumiałam tego, miałam wtedy sześć lat.

- Przepraszam - wtrącił Bzdet. - Ale trochę trudno mi w to uwierzyć, od średniowiecza minęło sporo czasu.

- Nie, kolego. To dwudziesty wiek, Polska. - Ola pokręciła głową z wyraźną złością. - Świętość stanowiła jedyny cel, a dojść do niej można tylko poprzez cierpienie. A więc kiedy ciężko zachorowała, przełożona doradziła jej, żeby była cicho, bo cierpieć należy w milczeniu. Gdy jedna z sióstr potajemnie przyniosła jej lekarstwa, została dotkliwie ukarana przez przełożoną. Wiesz, co to jest „dyscyplina”?

- Rozumiem, że poza oczywistym znaczeniem tego słowa?

- To taki pejcz z pięcioma supłami do biczowania się. Wszystkie siostry zakonne musiały codziennie okładać się jak najczęściej, a w czasie tak zwanego *miserere mei Deus*, w czasie bicia dzwonów, nie godziło się przerywać nawet na chwilę, bo mógłby wtedy wstąpić w którąś z nich szatan. Każda przyjemność, nawet w myśli, była straszliwym przestępstwem, wymagającym pokuty za pomocą... dyscypliny. Każda myśl o wolnym świecie, zielonej łące, zapachu lasu to grzech, za który trzeba zapłacić... dyscypliną. We śnie również nie należało szukać przyjemności. Na twardych deskach, w ubraniu, spało się tylko dlatego, że sen był koniecznością. Przyśniło ci się coś „nieprzepisowego”? Musisz pędzić do przełożonej po karę. Nie daj Boże odezwałaś się zbyt wcześnie - biczowanie.

Ola otarła oczy, aby punk nie zauważył, że są mokre.

- Chciała malować, śpiewać... - ciągnęła. - Przełożona powiedziała, że jest zbyt zmysłowa i, niestety, ma w sobie szatana, i musi więcej cierpieć, aby go z siebie wypędzić, więc zaczęła się dodatkowo biczować. Gdy traciła siły, prosiła inne siostry, o ile pozwolono się jej odezwać, by pomogły w tym biczowaniu. Ciągłe było mało: upokorzeń, włosiennicy, dyscypliny... Skórę miała tak zrogowaciała, że już nic nie czuła i nagle... po piętnastu latach, któregoś dnia po prostu wstała i wyszła stamtąd. Jakby nigdy nic. Wróciła do nas. Weszła do swojego pokoju i położyła się na łóżku. Nie mówiła nic przez ponad miesiąc. Zachowywała się jak dzikie zwierzę. Nie znała świata, nie potrafiła chodzić ulicami, cud, że w ogóle trafiła do domu. Miałam dwadzieścia jeden lat, ona trzydzieści, właściwie nawet się nie znałyśmy. Ojciec już nie żył, matka zmarła rok później. Zostałyśmy same. Omijała kościoły z daleka, a ja pilnowałam, aby w domu nie pojawiały się żadne symbole religijne. Teoretycznie, bardzo powoli, wszystko wracało do normy. Zaczęła mówić. Opowiadała. Całymi dniami, godzinami opowiadała. Może dobrze, że nasza bigoteryjna matka tego nie dożyła. I tak miała swego czasu skaranie boskie, bo ze mnie nijak świętej się zrobić nie dało.

- Co się z nią stało? To znaczy z twoją siostrą? - spytał cicho Bzdet.

- Żyje. - Ola wypila do końca herbatę.

- Utrzymujesz z nią kontakt?

- Przez pewien czas była moją pacjentką, ale szybko zrezygnowała. Zabroniła do siebie dzwonić, nie chce przyjeżdżać na święta. Dowiaduję się od sąsiadów, co się z nią dzieje. I co teraz powiesz o wspaniałych duchownych i ich religii?

- Ciągłe to samo. Odróżniam głupotę i fanatyzm od tego, co naprawdę warte zachodu. Są zakonnice i zakonnice. Są księża i księża. Niektórym ludziom kojarzą się głównie z kazaniem wyrzyganymi głosem umierającego pedała, debilnym moralizowaniem, wygrazaniem palcem wolnomyślicielom, by później obmacywać ministrantów na plebanii. Ale są i byli tacy wielcy duchowni, jak ksiądz Tischner, Jan Twardowski, Arek Nowak, właśnie Krzysztof i wielu innych zajebistych facetów. Tak po prostu jest, ludzie to ludzie.

- Słuchaj, czy ty chodzisz w ogóle do kościoła?

Punk przymrużył zawadiacko oczy.

- Widzisz, ja mam swój kościół tutaj. - Popukał się w czoło. - W moim łbie. I wiele z tego, co tam poukładałem, zawdzięczam Krzyškowi. On przerastał nas wszystkich już w dzieciństwie, a ja dumny jestem, że potrafiłem to zauważyć. A ty jak go poznałaś?

- W szpitalu psychiatrycznym.

- A, no tak. - Przypomniał sobie. - Ale też dobrze. Romantycznie. Lekarka i geniusz, którego trzeba wyleczyć z mądrości i przystosować do dzisiejszego świata.

Ola spojrzała w stronę schodów, aby gospodarz nie widział jej oczu.

- Jak sądzisz, o czym on może teraz myśleć? - spytała, udając obojętność.

- Pewnie zadaje sobie pytanie, czy lepiej być szczęśliwym, czy mądrym.

- Może chce być po prostu normalny?

- Nie ma czegoś takiego - odparł poważnie punk. - Normalność to erzac, miara wymyślona przez hipokrytów dla załatania strachu szarych przeciętniaków. Pierdołę hipokrytów, a życie bym oddał za takich jak on. - Pokazał palcem w kierunku schodów, którymi kilka minut temu wspiął się Krzysztof. - Napijesz się czegoś jeszcze?

Luigi Balea siedział w milczeniu na ławce. Podwórze otoczone było ze wszystkich stron wysokim murem, więc sprzyjało rozmyślaniam. Stare ściany zamczyska gdzieś porastały rozczapierzone pnącza, strzyżone regularnie, ale chyba niezbyt sprawiedliwie. Na wschodniej stronie potraktowano je wyraźnie surowiej, karcąc każdą próbę wybicia się do słońca, podczas gdy południowa ściana żyła zielenią. Przebijały przez nią tylko niewielkie okna w gotyckich kształtach, pilnując, by powaga tego miejsca nie przeistoczyła się w chłodny i ponury smutek. Starzec po chwili wahania zbliżył się do młodzieńca i położył mu delikatnie dłoń na ramieniu.

- Napawa cię to smutkiem - stwierdził, nie zadając nawet pytania.

- Tak, ojciec - odparł cicho Luigi.

- Niepotrzebnie. Tak należało zrobić.

Balea rozłożył ręce.

- Jak mamy go pokonać, nie zwracając niczyjej uwagi. Nie mogę wysłać więcej niż czterech braci.

Aureil pokiwał głową.

- Nie próbuj go pokonać. Mów do niego. - Starzec usiadł na ławce.

- Teraz tak się ukryje, że nigdy go nie znajdziemy. A czekaliśmy na to całe życie.

- O nie, mój chłopcze. - Aureil uśmiechnął się dobrotliwie. - Mylisz się tym razem, choć coraz rzadziej ci się to zdarza. On wie doskonale, że już nigdy się nie ukryje. Prędzej czy później przyjdzie do nas sam, ale cały czas musimy mówić do niego.

- Trzy dusze odeszły w jednej chwili - szepnął ze smutkiem Luigi. - Jakby był nadczłowiekiem. To byli wspaniali rycerze, szkoleni latami...

- Wiem, chłopcze, lecz nie odeszli na darmo. Przynajmniej mamy już pewność, że to on, wiemy, że istnieje. A mimo całej swojej potęgi, Kapłan również zdaje sobie sprawę, że nie opuścimy go nigdy. Potrzeba tylko czasu. Czekaliśmy tyle lat, możemy poczekać jeszcze trochę.

- Martwię się też o Iosifa. Wczoraj w gniewie pobił dotkliwie kilku uczniów. Na treningu. Nie mówi nic i nie chce z nikim rozmawiać, ale coś rozdziera go od wewnątrz.

- Nie martw się Puninem - uspokoił go starzec. - Chyba go przekonałem, aby nie stawał ci na drodze.

- Nie staje, choć sam jest jak chodzący wulkan.

- Taaak. - Aureil dał sobie chwilę na refleksję. - Iosif jest dumny i nieskromny.

- Ale najlepszy.

- Takie odnosisz wrażenie, bo jest w nim gniew, a miecz słucha jego ręki. Wszelako pamiętaj, gdyby teraz stanął naprzeciwko Kapłana, nie miałby najmniejszych szans. Pozwolimy mu ruszyć, kiedy nadejdzie czas.

- Kapłan będzie rósł w siłę.

- Jednak teraz już bardzo wolno. Pamiętaj, jego umysł jest potężny, ale ciało - niewyćwiczone. Każdy wysiłek, taki jak ten w Warszawie, bardzo go wyczerpuje. Zanim zorientuje się, jak wiele musi włożyć pracy w dostosowanie siły swojego ciała do siły umysłu - minie wiele czasu.

- Co mam robić, ojcze?

Aureil był zadowolony. Najukochańszy uczeń nigdy go nie zawodził. Zawsze błądził, szukał i pytał, tak jak tego oczekiwał jego mentor. Jeszcze raz pogładził opiekuńczo głowę młodzieńca.

- Teraz poczekamy. Bądźmy jednak czujni. Kapłan albo ktoś, kogo wysła, pokaże się prędzej czy później. Na wszelki wypadek jednak zadzwoń do Pietrowa.

- Jak bardzo mam być ostrożny?

- Oszczędź mu szczegółów, ale powiedz, że być może potrzebna nam będzie jego osłona, wpływy w Polsce, no i... satelita.

- Zanim to załatwi, minie sporo czasu.

- Jeśli się dowie, że Kapłan jest wśród nas, pośpieszy się.

- Tak, mistrzu.

- Niech Bóg cię błogosławi, chłopcze, i nie smuć się. Nasze dni już nadchodzą.

Michał Kępiński wsiadł do samochodu i padł ciężko na fotel pasażera. Siedząca przy kierownicy Ewa Nowicka postanowiła, że nie będzie go na razie dręczyć. Nie zapalała jednak silnika, czekając na jakąś relację.

- Może ta lekarka to przekupiona jakaś, co? - wydedukował z tylnego siedzenia Gucio.

Michał sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu gumisiów.

- Masz. - Ewa podsunęła mu swoją paczkę. - Co powiedzieli?

- Lekarze zachowują się, jakby ostro przyjarali, a stukniętym jeszcze bardziej odwaliło - wysapał, wydłubując z paczki dwa misie.

- A tak trochę poważniej?

- Nie wiem, czego się złapać. Kiedy przycisnąłem tego ordynatora, opowiedział mi trochę o księdzu. Klecha trafił do nich, bo ubzdurał sobie, że jest nadczłowiekiem i nagle „posiadł wiedzę wszech czasów”. Leczyli go antypsychotycznie, ale - jak widać - swoje urojenia zmaterializował. Jedź, w firmie opowiem ci resztę.

Ewa zapaliła silnik.

- A ci pacjenci? - Nowicka ruszyła i wolno podjechała do bramy.

- Opowiadają, że przed szpitalem odbyła się śmiertelna walka. No, tak jak mówiłaś - ciągnął Kępiński. - Trójka mnichów chciała chyba zabić tę lekarkę, on stanął w jej obronie, trochę porozmawiali sobie, ale chyba się nie dogadali, więc odesłał ich do nieba. Przyszedł czwarty, posprzątał. Jeszcze jedna taka opowieść, a sam się tu zgłoszę na leczenie.

- Odjechali jej wozem - dodała spokojnie Ewa.

- Dałaś to na tapetę?

- Dałam, choć sędzę, że i tak za późno. Zanim chłopcy dostali bibułę, ten ksiądz na pewno schował już samochód. Chyba że to kretyń, ale z tego, co mówił Kulawik, akurat jest cholernie bystry.

Michał niedowierzająco pokręcił głową.

- Bystry wariat, tego jeszcze nam było trzeba - mruknął posepnie.

- Co robimy z tą porwaną?

- Nie jestem pewien, czy ją porwano.

- No mówilem! - wystrzelił radośnie Gucio. - Dostała pieniądze i zorganizowała cały ten spisek!

- Pacjenci opowiadają, że uciekła z nim z własnej woli - ciągnął Michał. - Mało tego, jeden z nich twierdzi, że słyszał, jak on ją namawiał, żeby została.

- O Matko Boska... - jęknęła Ewa. - Nie ma porwania, nikt nie zgłosił i pewnie nie zgłosi morderstwa. Co my tu robimy?

- Tak czy owak, lekarka zaginęła. Nie mogę opierać się na zeznaniach pacjentów psychiatryka. Poszukamy jej.

- Jak chcesz, to twoja akcja. Co mam robić?

- Daj do lizaków laurkę, zdobądź obrazki i jedziemy popytać sąsiadów. Jak się wychyli, to będziemy go wyjmować.

- A telewizory?

- Nie, na razie nie dawaj do telewizorów. Niech przycichnie. Może ta mała zadzwoni, jeśli sama uciekła. Może tylko boi się tych... mnichów. I trzeba odnaleźć jak najwięcej ludzi znajdujących się wtedy w okolicy. Nie przyfrunęli tu przecież na miotłach. Jakoś musieli przyjechać, może ktoś ich widział.

- Dobra, jedźmy do firmy i rozpiszmy to wszystko.

- Ja mogę zebrać zeznania sąsiadów podejrzaney - zaoferował się Gucio.

- Dasz radę wystukać numer na telefonie? - spytał Michał.

- No, panie komisarzu...

- To zadzwoń do Stepana, żeby zdobył pozwolenie na wejście do mieszkania doktor Aleksandry Sambierskiej.

- Tak jest.

Przez minutę jechali w milczeniu. Michał zamknął oczy, aby odpocząć. Ewa zajęła się jazdą. Po chwili jednak Kępiński, widząc, jak rozradowany Gucio wgapia się beczynn timer w sufit, odwrócił się w jego stronę.

- No i co?!

- Jak to co?

- Miałeś zadzwonić.

- Teraz?

- A kiedy? Jutro?

- No, tak... to dzwonię. Ale... znaczy się... jaki tam jest numer?

Boże mój, Stwórczo wszystkiego, Przyjacielu zbłąkanych... Sen nie minął, a więc muszę dalej iść. Coś podpowiada, że chwile stały się inne, mniej tajemne, a bardziej nieświęte. Nie wolno już być niewinnym. Teraz trzeba bronić, pozbawiać życia i przetrwać. Czy mam rację? Niby ciało takie same, a nieproste i niepojęte. Ten ból głowy... Pojawia się zbyt nagle, chociaż rzadziej. Coraz bardziej ta wyjątkowość układa się i chyba jest już obłąskawiona. Ale oni umarli i tego nie pojmuję, a przecież starczyło sił, aby to zrobić. Gdzie jest teraz grzech? Gdzie niebo gwiazdziste nade mną, gdzie prawo moralne we mnie? Czy to Ty mówisz do mnie, czy szatan - Światło, największy Urzędnik, Poborca zaległych podatków, Piękny Anioł nieszczęścia i łatwych dróg. Oddałeś mu aż tyle władzy... dlaczego? Nie czuję się winny... dlaczego? Wiedza jest niczym bez zrozumienia rzeczy. Siedzę w ciemnościach i wszystko słyszę. Nie... Jest inaczej. Ja nie widzę, ale we mnie bije wszystko jak potężne oślepiające snopy światła. Jak w ciemnej piwnicy, gdy ktoś z wielką latarką zaskoczy cię i pyta - co tu robisz? Boże mój... co ja tu robię?

- Krzysiek?! - przez uchylone drzwi dobiegł go głos Oli.

- Tak. - Lorent wstał z kolan.

- Nie śpisz jeszcze? Mogę?

- Tak, oczywiście. - Krzysztof wciąż był ubrany.

- Coś się nowego stało?

- Modliłem się - odparł cicho.

Sambierska weszła nieśmiało i rozejrzała się dookoła. Pokój na poddaszu, niemal całkowicie drewniany, miał w sobie znacznie więcej spokoju niż reszta domu. Możliwe, że zaplanowano go dla gości i tu artystyczne zapędy gospodarzy zwolniły tempo. Był ponadto skromny jak cela mnicha - tylko łóżko, mały stolik i krzesło.

- Mój pokój jest podobny. - Lekarka się uśmiechnęła.

- Wystarczy nam. - Odpowiedział uśmiechem na uśmiech. Spojrzał w jej oczy, jak zwykle z urzekającym spokojem, łagodnością i zamyśleniem, niepodobnym do niczego, z czym Ola do tej pory miała do czynienia.

- Nie znajdą nas tu? - spytała niepewnie.

- Przez pewien czas - nie. Potem spróbujemy ruszyć dalej.

- Dokąd?! Jak długo będziemy uciekać? Nigdy już nie wrócę do normalnego życia?

- Mnie o to pytasz? - wyszeptał Krzysztof. - Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym wrócić do tego, co było dawniej. Patrzę przez okno, rozmawiam z wami, modlę się, a kilka godzin temu zabijałem... ludzi.

Pierwszy raz dostrzegła, jak w jego oczach skromna żarówka zwisająca z sufitu śmieiej zaczęła odbijać światło, w miarę jak stawały się coraz bardziej wilgotne. Zasłonił twarz dłońmi i usiadł na łóżku.

- Bronieś mnie! - natarła niemal z gniewem, bojąc się nawet chwili jego zwątpienia.

- Przeraza mnie...

- Śmierć?

- Nie. To, że coś wewnątrz mówiło mi, że tak trzeba. Że to jest zaplanowana kolej rzeczy, której muszę się poddać. Nie umiem teraz czuć się winny. I to mnie przeraza.

Ola stała bezradna jak dziecko. Tego nie uczyli na studiach, a nawet w życiu. Ona nie miała Boga ani anioła stróża. Miała tylko jego.

- Krzys, nie zostawiaj mnie teraz - szepnęła, zaciskając bezradnie dłonie.

Lorent wstał z łóżka, podszedł do niej i mocno przytulił.

- Nie mogę być już księdzem. Ale nie tego akurat się lękam. Wiem, że Bóg tak chce. Jestem tu teraz między innymi po to, aby cię bronić. I wiesz co? Czuję, że chyba mi to będzie dobrze wychodziło, więc - jak mówił kiedyś wielki człowiek - ty też się nie lękaj.

ROZDZIAŁ 4

- No i jak profesorze? - spytała uroczyście Anita, śliczna studentka o buzi jak pełna brzoskwinia, jasnoniebieskich, wielkich oczach i dłoniach niczym z obrazów Marguerite Gérard²⁶.

- Nie zgadzam się z populistycznym poglądem mówiącym, że nie ma głupich pytań. Właśnie zaprezentowałaś przykład - odparł obojętnie profesor Bogdan Wilecki, wybitny historyk kultury, etnograf, antropolog, arogant, buntownik i podrywacz.

- Skoro właśnie przeleciałaś swoją studentkę, chyba nie od rzeczy będzie spytać, jak bardzo ci się to podobało? - nie rezygnowała dziewczyna.

- Nie rozmawiam o antropologii behawioralnej zbliżeń płciowych bez gaci - ofuknął ją oburzony. - A bez podstawy historycznej nie mogę podjąć się dyskusji na ten temat.

Anita podniosła się z łóżka i podeszła do okna.

- W takim razie odmawiam prowadzenia dalszych badań w tym kierunku - rzuciła bezlitośnie, wyglądając na zewnątrz. - Etap empiryczny - jeśli chodzi o mnie - masz za sobą.

- Zdzira!

- Pedofil!

- Masz dwadzieścia trzy lata!

- A ty dwa razy więcej! Uwiodłeś mnie, bezbożniku!

- Odejdź od okna, ktoś cię zobaczy - prychnął śmiechem Wilecki.

Anita podeszła do łóżka, usiadła okrakiem na profesorze i wplotła palce w jego włosy. Chwilę patrzyła na rozbawiony wyraz twarzy swojej ofiary, po czym mocno wpiła się w jego usta, całując mocno, odważnie i brutalnie.

- Niszczysz moje narzędzie pracy - obruszył się, dotykając palcami lekko skaleczonej wargi. Na opuszku pojawiła się plamka krwi.

- To odpowiedz, czy ci się podobało! - Dziewczyna zmrużyła uwodzicielsko oczy.

- Jasne, do cholery! Mało nie połamałaś mi żeber, a łóżko mogę oddać na złom!

Jego „oburzenie” zbiegło się z nagłym i głośnym pukaniem do drzwi.

²⁶ Marguerite Gérard (1761-1837) - malarka francuska, uczennica J. H. Fragonarda. Malowała sceny rodzajowe, portrety, głównie kobiet.

Iosif Punin mocno zacisnął schowane za plecami pięści. Spuścił wzrok i uspokoił oddech. Przypomniał sobie nagle błogo ludyczne lekcje medytacji, które perwersyjnie kochał, znajdując w nich potęgę i siłę nieporównywalną z żadną cielesną rozkoszą. Rozluźnił wreszcie ciało, i przywołał na twarz pogodę, choć chłodu z oczu nie wydłubałby mu nawet sam diabeł. Zdobył się na odwagę i spojrzał na starca. Aureil wolno spacerował po komnacie, czytając dostarczone mu dokumenty. Punin, jak zwykle w takich momentach, wykorzystywał każdą sekundę na studiowanie jego zachowania, wyrazu twarzy, niedoścignionego opanowania. Potem godzinami w swoim pokoju ćwiczył kolejne zaobserwowane gesty, spojrzenia, pozornie tylko nieważne ruchy.

Iosif nigdy nie czuł się porzuconym sierotą. Opowieści o tym, że znaleziono go na śmietniku zaplątanego we własną pępowinę, traktował ze wzruszeniem ramion. Był silny, przeżył. Lekarz, który nadał mu imię i nazwisko zmarłego tego samego dnia bezdomnego, oddał go swojemu potężnemu przyjacielowi z dalekiej Francji. Jednak długa podróż do Chatillon trwała aż pięć lat. Mądry starzec pozwolił, by chłopiec otworzył oczy na świat w Giocorno na południu Włoch, w zakonie u surowej siostry Peracci. Tam, co prawda, odnalazł w sobie sens pokory i cierpienia, lecz przede wszystkim - z czego zdał sobie sprawę wiele lat później - bunt przeciwko jednemu i drugiemu. Podświadomie nauczył się ważyć opłacalność kary lub nagrody oraz wykształcił w ciele i umyśle stałą gotowość na każdą z nich. Gdy miał prawie sześć lat, przybył do zamku. Przywitał i przytulił go po raz pierwszy w jego krótkim życiu zagadkowy człowiek - mądry i potężny ojciec Aureil. Dziwne to było uczucie. Duszna szata starca nie pozwoliła chłopcu przez dłuższy czas oddychać, nie wiedział, co zrobić z rękami, jednak starał się z całych sił pokonać strach. Ojciec robił to później wiele razy - głaskał po głowie, chwalił, po męsku przytulał, czasem całował w czubek głowy. Okazało się, że to nie jest groźne i nie trzeba się bać. Aureil uśmiechał się, jednak siostra Peracci też kilka razy się uśmiechnęła. Raz nawet na Boże Narodzenie dostał prezent - piękną Biblię. Już trochę zniszczoną, bo odziedziczył ją po zmarłej siostrze Pinni, ale czuł radość. Szybko nauczył się rozpoznawać szczęście. Było tyle przyjemnych chwil - mycie w ciepłej wodzie, spacer po łąkach dookoła klasztoru, wspaniałe ryż rozplywający się w ustach, zabawa raz w tygodniu na skakance. Prawdy o zasadach cnotliwego życia siostra Peracci nie ukrywała przed Iosifem nigdy, lecz chłopiec, dopiero będąc nastolatkiem, docenił jej wysiłek. Potrzeba wyrzeczeń, cierpienia, pokuty i powagi dawała prawdziwą siłę, a siła, potęga ciała i umysłu - to był cel, do którego młodzik dał się przekonać niemal natychmiast. Tego jednak uczyć umiał prawdziwie tylko ojciec Aureil. Iosif trenował więc ciało i uczył się pilnie z ksiąg mistrza, posłusznie wymagając od siebie największego możliwego poświęcenia. To było szczęście. Gdy skończył szesnaście lat, Jean Paul, złośliwy, starszy brat, opowiedział mu jego

historię, by na koniec spytać: „Co byś zrobił swoim naturalnym rodzicom, gdybyś ich teraz spotkał?” Iosif nic nie czuł i nie miał pojęcia, jak zareagować. Nie wiedział przecież, kim są ci tak zwani naturalni rodzice, a ojca miał jedynego i prawdziwego. Nic więc nie odpowiedział złośliwemu bratu, zbywając go jak zwykle wzruszeniem ramion. W swojej celi myślał jednak o tym długo i rozumiał, że te obce osoby, które zostawiły go w tak niegodnym miejscu, zachowały się tchórzliwie i próbowały go poniżyć. Z dumą odkrył, że mistrz zdążył już go nauczyć wspaniałomyślności oraz wielkoduszności. Gdyby teraz spotkał ich, nie pozwoliłby cierpieć, zabiłby ich szybko, bez zadawania bólu.

- Rozumiem cię, Iosifie - powiedział łagodnie Aureil. - Jestem pod wrażeniem twojej odwagi, wytrwałości i chęci działania.

- Błagam cię, ojcze. - Punin padł na kolana. - Pozwól mi jechać! Zrobię wszystko, co rozkażesz, podporządkuję się każdemu poleceniu, nigdy już ci się nie przeciwstawię! - Spuścił głowę, prosząc Boga o pomoc.

Starzec nie śpieszył się z odpowiedzią. Patrzył uważnie na potężnego rycerza błagającego go na kolanach o niemal pewną śmierć.

- Nie mogę pozwolić ci umrzeć, mój synu - odparł wreszcie, odkładając raport na wielki stół.

- Nie zginę, ojcze! Przygotowywałem się na to całe życie. - Iosif nie wstawał z kolan.

Aureil pokiwał głową, zrozumiałwszy, że tym razem żadna argumentacja nie da rezultatu.

- Obiecuję ci, chłopcze, że nie zostaniesz pominięty. Twój czas przyjdzie, i to niedługo. Nasi ludzie szukali go na całym świecie, teraz pozostała już tylko kwestia roztropnej polityki.

- Wiem, że zabrał ze sobą miecz Maruttiego - przyznał ryzykownie Punin.

- Wiem, że wiesz - odrzekł spokojnie starzec. - Kazałem przekazać ci tę wiadomość.

Iosif spojrzał na niego zdumiony.

- Chciałem wiedzieć, na ile jesteś gotowy - przyznał mistrz. - Widzę, że nasze nauki nie poszły na marne.

- Dziękuję, ojcze! - Punin podbiegł do Aureila, ukląkł i pocałował jego szatę.

Starzec dobrotliwie poklepał go po głowie.

- Pamiętaj, co przyrzekałeś. Twoje emocje nie mogą wydostać się poza kontrolę umysłu.

- Tak, mistrzu.

- Bez najmniejszego sprzeciwu wykonasz każdy rozkaz, który ode mnie nadejdzie.

- Tak, mistrzu.

- Swoje umiejętności poświęcisz dla dobrej sprawy, nigdy dla własnej tylko chwały.

- Tak, mistrzu.

- Wstań. - Aureil podszedł do biurka i usiadł w ogromnym fotelu. - Na razie nie zlokalizowano jeszcze sygnału. Wiemy jedynie, że miecz zabrał ze sobą. Dopóki będzie go miał, nie zdoła się ukryć. Wyruszysz, jak tylko dostaniemy wiadomość o sygnale. Pomogą ci nasi bracia w Polsce. Mimo że pochodzisz ze wschodu, nie znasz tamtych języków. Może trochę się przydać twój niemiecki. Po włosku i francusku nikt tam nie mówi. A teraz zadanie.

Punin znowu zacisnął pięści za plecami, tym razem ze szczęścia.

- Po pierwsze - ciągnął mistrz - nie wolno nawiązywać z nim bezpośredniego kontaktu. Twoim obowiązkiem jest wnikliwa obserwacja i osąd, kto mu pomaga, od kogo jest uzależniony, jakie ma możliwości. To podstawa do późniejszej próby sprowadzenia go do nas. Unikaj przemocy i walki z kimkolwiek. Na razie musisz być niewidzialny.

- Tak, ojciec.

- Czekaj na dalsze rozkazy.

- Tak, ojciec.

- Wyjedziesz, jak tylko nadejdzie sygnał. Przygotuj się.

- Dziękuję, ojciec. - Podszedł do wielkiego biurka mistrza i ucałował jego pierścień.

Gdy wyszedł z komnaty, jego ręce wciąż drżały. To jest prawdziwe szczęście. Iosif potrafił je rozpoznać. To jest prawdziwe szczęście.

Bogdan Wilecki otworzył drzwi i oniemiał. Stał przed nim jakiś niedomyty punk - chudy, potargany i zakolczykowany na amen.

- Kim pan jest, młody człowieku? - spytał dość protekcyjnie.

- Czy pan Wilecki?

- Tak, czym mogę służyć? Jest pan moim studentem? Ciężko pana nie zauważyć w tłumie, raczej bym zapamiętał.

- Nie, nie jestem studentem. Mam do pana bardzo ważną sprawę.

Profesor przez tych kilka sekund rozmowy doszedł do wniosku, że punk jednak nie był niedomyty, a włosy na głowie miał wyjątkowo starannie ułożone, choć gust jakim się posłużono,

nie odzwierciedlał jego poczucia piękna. Nie znaczyło to oczywiście, że zamierzał poświęcić gościowi czas, szczególnie że w jego łóżku wciąż tkwiła bezwstydnie Anita.

- Jeśli ma pan jakąś sprawę, proszę przyjść na mój dyżur na uczelni, tutaj jest moje prywatne mieszkanie. Kto panu dał ten adres?

- Ksiądz Krzysztof Lorent.

- Nie znam takiego duchownego.

- Chodził kiedyś na pana zajęcia - upierał się punk.

- Być może, nie pamiętam wszystkich studentów. Nie mam także pojęcia, skąd ksiądz Lorent mógłby mieć mój adres.

- Proszę mnie wysłuchać - nalegał niespodziewany gość.

- Jak pan się nazywa?

- Bzdet.

- Słucham?

- Używam pseudonimu. Moje tak zwane imię i nazwisko odrzuciłem jako wyraz sprzeciwu wobec przyporządkowania do nienaturalnego, sztucznego i katastrofalnie zindustrializowanego tworu, jakie wytworzyła współczesna populacja tego narodu - wyjaśnił niedbale Bzdet. - Ale nie o tym chciałem z panem porozmawiać...

- Co za ulga. - Wilecki zerknął za siebie, czy przypadkiem jego niesforny gość nie wygramolił się z sypialni. - Jak jednak wspomniałem, panie Bzdet, to jest moje prywatne mieszkanie. Nawet gdyby przysłał tu pana Gotfryd z Bouillon²⁷, też odesłałbym pana na dyżur.

- A Aureliusz Marcellin?

Profesor zamilkł, jakby ktoś go nagle zaczarował.

- Skąd pan zna to nazwisko? - spytał, gdy już go odetkało.

- Od księdza Krzysztofa Lorenta.

Wilecki zmarszczył brwi. Był zaskoczony i właściwie nie wiedział, jak zareagować.

- Niech pan mówi - mruknął niechętnie.

- Tutaj? - Bzdet rozejrzał się po klatce schodowej.

- Tak, tutaj - odburknął rozdrażniony profesor.

²⁷ Gotfryd z Bouillon (1060-1100) - jeden z przywódców pierwszej wyprawy krzyżowej, obwołany władcą Jerozolimy (odmówił przyjęcia korony), ogłosił się Obrońcą Grobu Świętego.

- Jak pan chce. - Punk wzruszył ramionami i sięgnął po zawinięty w grubą szmatę miecz, który uprzednio położył pod ścianą, aby nie przestraszyć naukowca.

Gdy chłopak pokazał Wileckiemu broń, ten złapał go szybko za ramię, wciągnął do mieszkania i zatrzasnął drzwi.

- Rany boskie! Skąd pan to ma?! - wycedził jak rażony prądem.

- Już mówiłem, od księdza...

- No dobrze, już dobrze - profesor przerwał mu po raz kolejny i przez kilka sekund się namyślał. - Niech pan chwilę zaczeka w tamtym pokoju. - Wskazał palcem pracownię. - Jest u mnie... siostrzenica, muszę się z nią pożegnać, zaraz przyjdę.

Profesor zniknął za drzwiami sypialni, a Bzdet rażno wkroczył do gabinetu naukowca. Podparł się mieczem jak laską i krytycznie zlustrował całe pomieszczenie.

Pustota i próżność jajogłowych nie zna granic. Ściany niemal całkowicie wypełniały zdjęcia, na których widniał zawsze gospodarz i ktoś, kim mógł się w kontekście tła, na którym stali, pochwalić. Jakiś dziki Murzyn, facet z brodą po kolana, kobieta o szyi jak żyrafa, zasłoniętej mnóstwem tajemniczych obręczy, chasyd oraz Ściana Płaczu i modłów w Jerozolimie (jak on dał się tam sfotografować?!).

Kilka stojaków dźwigało muzealne topory, miecze, narzędzia czarów, a nawet tortur. Biurko ze stylową maszyną do pisania stało na środku, na nim stos przepisowo starych ksiąg, brakowało jeszcze tylko klatki z ptakiem-feniksem na patyku z *Harry'ego Pottera*. Bzdet nie był specjalnie zainteresowany życiem prywatnym profesora, więc nie zwrócił uwagi na podniesione głosy świadczące niezbitnie o jakimś nieporozumieniu z „siostrzenicą”. Przyciągnął jednak jego uwagę... regał z książkami. Kilkanaście tomów o wyprawach krzyżowych, Bizancjum, starożytnym Rzymie, Karolu Wielkim i niemal trzy półki wyraźnie poświęcone historii chrześcijaństwa. Kilka w oryginale.

- *Prieure de Sion* - przeczytał na głos jeden z tytułów. - Coś mi to mówi. - Uśmiechnął się, widząc Wileckiego wkraczającego do gabinetu. - Ksiądz Krzysztof twierdził, że jest pan najlepszym specjalistą.

- Po książce tego Amerykanina z Exeter każdy jest specjalistą z tej tematyki.

- Mówię serio. - Punk spoważniał.

Profesor podszedł wolno do biurka.

- Może rzeczywiście jest pan trochę bystrzejszy, niż by wynikało z wyglądu.

- Potraktuję to jako komplement.

- Mogę obejrzeć miecz?

- Widzę, że jednak pana zainteresowałem.

- Tak czy owak, zapobiegnę w ten sposób zniszczeniu mojej podłogi. To merban, drogi kolego. Bardzo kosztowny.

Bzdet podał broń profesorowi. Ten delikatnie położył ją na biurku, otworzył kluczykiem jedną z szuflad i wyjął notatnik oprawiony w starą skórę. Przekartkował, aż wreszcie trafił na rysunek, którego szukał.

- Niewiarygodne... - jęknął sam do siebie.

- Słucham? - spytał badawczo gość.

- Na osiemdziesiąt procent to oryginał - mówił gospodarz, rozmawiając chyba sam ze sobą, bo na punka w ogóle przestał zwracać uwagę. - Wszystkie szczegóły się zgadzają, rzeźbienia, inskrypcje, kształty i rozmiary. Japoński metal. - Okiem krótkowidza przyjrzał się dokładnie mieczowi. - Z pewnością nie zrobiono go teraz, może mieć ze... dwieście lat. Na Boga, skąd on to ma?! - Teraz dopiero zwrócił się do gościa.

- Od pewnego niemiłego pana w zielonym habicie.

Wilecki uniósł brwi i cofnął się o krok.

- To... to niemożliwe - wyszeptał. - Ostatnie dowody na istnienie aurelitów pochodzą sprzed... stu pięćdziesięciu lat, a i to raczej poszlaki. To musi być jakaś mistyfikacja. Tylko po co?!

- Biorąc pod uwagę wiek tego miecza i wiedzę księdza, za którą ręczę, to chyba ostro zajebista mistyfikacja. - Bzdet miał już dość oficjalnej gadki. Czuł się, jakby połknął kij. - Mój przyjaciel chce się z panem spotkać. Zgadza się pan?

- Oczywiście, ale... dlaczego sam nie przyszedł?

- Szukają go.

- Aurelici?!

- Tak. Musi być ostrożny.

Profesor pokręcił niedowierzająco głową.

- Ciężko mi w to... - przerwał na moment. - To jakiś żart?

- Nie. Nie żart, profesorku. Może pan pomóc człowiekowi, którego ściga średniowieczna banda świrów. To mało śmieszne.

- To nie jest banda świrów - zaprzeczył ponuro Wilecki. - Ale jedno z najstarszych, o ile nie najstarsze tajne stowarzyszenie. Jeżeli legendy nie kłamią, skupia absolutnie oddanych, wyćwiczonych do granic możliwości w walce, fanatycznych mnichów oraz setki ich informatorów na całym świecie.

- Skoro jest ich tak wielu, niemożliwe, aby to wszystko nie wydostało się na światło dzienne.

- Możliwe. O całej prawdzie wie garstka wtajemniczonych. Reszta stanowi tylko system. Gdyby ktoś zdołał się wyłamać, kara byłaby straszna.

- A jaka? - spytał zaciekawiony Bzdet.

Naukowiec machnął ręką.

- To tylko legendy. Nikt nigdy ich nie widział, nie ma żadnych dowodów.

- Widział ich mój przyjaciel. Walczył z nimi i... spuścił im niezły łomot.

- Co?! - Wilecki roześmiał się głośno. - Jeśli te legendy mówią prawdę, to tak, jakby rzucił się z widelcem na słonia. Chcesz mi, kolego, wmówić, że katolicki ksiądz był w stanie przeciwstawić się rycerzom aurelickim? To jeszcze bardziej idiotyczne niż twoja fryzura.

- A niby skąd miałby ten scyzoryk?! - wkurzył się Bzdet. - Dali mu w ramach polsko-włoskiej wymiany kulturalnej?!

- Włoskiej?

- Mówili po włosku.

- Nie po francusku?

- Nie. I nie po łacinie ani po węgiersku. Mówili po włosku i chcieli mu zrobić niezłe kuku.

A teraz pytanie, profesorku, takie moje prywatne: czego oni, kurwa, chcą poza porwaniem mojego najlepszego kumpla?!

- Czego chcą? - Wilecki znowu się roześmiał. - Otóż mój subtelny, nowy przyjacielu, według legend i skromnej wiedzy, którą udało się zgromadzić badaczom, oni czekają na kolejną, tak zwaną... Noc Kapłanów.

- A co to takiego jest?

Profesor przebiegł dłonią delikatnie po ostrzu miecza.

- Niech pan mnie umówi z tym księdzem. Gdzie i kiedy chce. Może pan to zostawić u mnie?

- Tak kazał Krzysztof.

- Proszę mu podziękować. Od razu mówię, że nie mam takiej wiedzy jak profesor Link, ale z pewnością jestem w stanie pomóc.

- A kim jest ten Link?

- Profesor Eberhard Link, Szwajcar, największy autorytet w dziedzinie, o której mówimy.

- Żyje?

- Tego nikt nie wie. Ukrywa się od wielu lat. Zdaniem kolegów z uniwersytetu w Lozannie, zwariował. Jemu też się wydaje, że próbują go zabić aurelici. Nie wiem, gdzie jest, i nie sądzę, aby ktokolwiek wiedział.

- Mówił pan o jakichś kapłanach. Co to za kapłani? Z jakiego klasztoru?

- Z żadnego. To wolne tłumaczenie z łaciny - Kapłani Ścieżki Wiedzy. Ludzie, którzy przez dar od Boga posiadli Wiedzę Pokoleń. Tak mówi legenda.

- A jeśli mój przyjaciel to właśnie jeden z takich Kapłanów?

- Wtedy ja jestem królem Anglii, Jerzym numer trzy. Chociaż... właściwie nie mam nic przeciwko temu.

Pytel przeciągnął się, ziewnął i mlasnął oblesnie. Siedzący na zdezelowanym, skrzypiącym krześle Cichy, skrzywił się z niesmakiem. Pytel tymczasem pieszczotliwie pogładził zakurzoną kanapę, na której uwalil się przed chwilą. Był zadowolony.

- Czegoś taki smutny jak jemioł? - rzucił do kolegi wesoło. - Kasa nadjeżdża. „Pej-dej”, jak mówią w Kanadzie!

- Dlaczego akurat tu się spotykamy?

- Nie chcę, żeby ktoś nas zobaczył z nimi, mówiłem ci. Poza tym ładnie tu jest, lasek, niedaleko rzeczka.

- Brudno. To nie jest miejsce do przyjmowania gości.

Pytel z niesmakiem pokręcił głową.

- To jest moja dacza, człowieku, zbudowałem ją za ciężką krwawicę psa, teraz pora na lepszą.

Cichy zaczął bębnić jakiś rytm na ceracie stolika, który stał między nimi.

- Nie wiem, czy mi się to podoba - mruknął pod nosem. - To jakiś lewy interes.

Pytel rozzłoszczony łupnął pięścią w kanapę, aż kurz wleciał mu do gardła.

- Nie lewy interes, tylko po prostu interes! Co cię napadło?

- Nie znam tych ludzi, nie wiem, kim są...
 - Tym lepiej.
 - Może to jakaś podpucha...
 - Pracuję z nimi od kilku miesięcy.
 - To znaczy, co robisz?
 - Proszę o różne informacje, nic groźnego.
 - Nic groźnego?! My jesteśmy policjantami, a ty za kasę donosisz ludziom z zagranicy!
- Pytel zmarszczył brwi. Zaczęła irytować go ta gadka.
- Jak brałeś od zbójów z Mokotowa, to było dobrze! - warknął gniewnie. - A teraz jęczysz,

choć kasa jest pięć razy lepsza.

- Ale to byli nasi zbójcy, z Polski, rozumiesz? A ty spuszczasz nas na jakąś włoską mafię czy chuj wie co!

- To nie żadna mafia, tylko zwykli biznesmeni. Mówiłem ci, że pracuję z nimi ponad pół roku. Marudziłeś, że potrzebujesz sałaty? Marudziłeś. No to wyświadczam ci przysługę. Zobaczysz, jak będzie, zobaczysz, jak to robię i jeśli ci się nie spodoba, wymiksujesz się z interesu.

- Wybacz, Pytel, ale już mi się nie podoba. To twój interes. Przepraszam, że zawracałem ci głowę, spadam.

Cichy wstał, ale gdy zerknął w stronę wyjścia, wrósł zaskoczony w ziemię, jakby zobaczył ducha. W drzwiach pojawił się wysoki blondyn w eleganckim, ciemnozielonym garniturze. Towarzyszył mu śniady, potężnie zbudowany olbrzym, ubrany w identyczny garnitur, choć chyba o co najmniej pięć numerów większy.

- Pan Pytlicki? - spytał wielkolud.
- To ja - zgłosił się jak na lekcji gospodarz.
- Pan Roman Pytlicki?
- Tak.
- Czy jest pan gotowy na rozmowę z nami?

- Jasne, mam wszystko, co trzeba. To jest mój kolega, zawsze współpracujemy. Pomagał mi trochę.

Blondyn spojrział krytycznie na niespodziewanego współpracownika, ale nie zareagował. Wykonał niemal niezauważalny gest w stronę wejścia i drzwi się zamknęły. Następnie powiedział

coś po francusku do wielkoluda i podszedł do policjantów, choć nie zdecydował się na ubrudzenie garnituru o żaden z mebli. Stał w odległości może dwóch metrów od Cichego, który nadal trwał osłupiały, ale przyglądał się z zaciekawieniem.

- Iosif... - szepnął mu do ucha olbrzym, jednak tak cicho, aby nikt poza nim nie usłyszał. -

Jaka decyzja?

- Porozmawiamy z oboma - odparł Punin znów po francusku. - Emil...

- Tak?

- Nie, nic. Sam się tym później zajmę - odparł po sekundzie namysłu Iosif. - Tłumacz.

- Mój przyjaciel nie zna polskiego - zaczął wielkolud. - Będę wszystko tłumaczył.

- Jesteście cisi i szybcy, trzeba przyznać. - Pytel się uśmiechnął. - Nawet nie zaskrzypiały te drzwi, kurwa, jebane. Miałem je i tak wymienić.

- Proszę mówić na temat, nie mamy zbyt wiele czasu - poinstruował Emil uprzejmie, choć zdecydowanie.

Cichy ku uldze kolegi zdecydował się z powrotem usiąść na krześle.

- Może też usiądziecie? - spytał Pytel, ale jakoś nie zdecydował się na podanie ręki.

- Dziękujemy - odparł chłodno olbrzym.

- No, więc... - zaczął po chwili policjant. - Sprawę prowadzi niejaki Michał Kępiński, komisarz. Nie znam go. Z tego, co wiem, nic nie mają.

Emil tłumaczył niemal symultanicznie.

- Ma pan jego zdjęcie i adres? - spytał Punin.

- Ja nie jestem studio fotograficzne, eleganciku, a adres się znajdzie. - Pytel nie znosił w stosunku do siebie wyniosłości, postanowił więc, że szybko trzeba ustawić tych gogusiów do pionu.

- A wie pan o nim cokolwiek? - ciągnął, nie zmieniając tonu Iosif, kompletnie ignorując arogancję policjanta.

- Pracuje w „ósemce” na Puławskiej. Zwykle z Ewą jakąśtam, nie pamiętam jej nazwiska, i jednym kretyńcem prosto po szkole. Miałem za mało czasu. Parę dni i mogę wiedzieć więcej. Najważniejsze, że nic nie mają o porwaniu tej lekarki. O to przecież wam chodziło, nie?

- Co pan wie o zeznaniach świadków?

- Jakich świadków? - Pytel rozwalił się na kanapie. - To dom wariatów, gadali jakies głupoty.

- A lekarze?

- Nic nie wiedzą. Mówili mi to zaufani ludzie.

Punin westchnął boleśnie i zmrużył oczy.

- Niewiele warte są te pańskie informacje - podsumował Iosif.

Tuż po tym, jak Emil przetłumaczył, Pytel wstał z kanapy.

- Słuchaj no, gogusiu - warknął groźnie. - Nie jesteś we Francji, tylko w Polsce, a tu ja jestem policjantem, a ty obcokrajowcem. - Odsłonił nieco połą kurtki, aby gość mógł zobaczyć broń. - Chciałeś wiedzieć, kto prowadzi śledztwo, czy coś wie, i dostałeś odpowiedź. Teraz forsa albo inaczej pogadamy!

- Proszę się nie denerwować - Punin nawet o ton nie podniósł głosu. - Nie chciałem pana urazić. Czy jest jeszcze coś, co pan wie, a może nam się przydać.

- Skąd mam wiedzieć, co wam się może przydać?! - prychnął Pytel. - Zadzwońcie do mnie za kilka dni, może coś będę wiedział więcej. Ale to wszystko kosztuje, rozumiemy się?

- Oczywiście. Czy to wszystko, co dzisiaj pan wie?

- Nie wiem, gdzie jest moja forsa!

Punin szepnął coś do Emila, czego tamten nie przetłumaczył i niespodziewanie podszedł do stojącego niecałe dwa metry od niego policjanta, chwycił błyskawicznie go za szyję, drugą ręką wprawnie złapał za czoło i zanim ktokolwiek zdążył zorientować się, co się dzieje, skreślił mu kark. Ciało nie zdążyło gruchnąć o podłogę, kiedy Cichy zerwał się z krzesła, usiłując uciec. Punin wydobyl spod marynarki długi sztylet i celnie cisnął nim w szyję policjanta.

- Uważaj na krew - rzucił spokojnie do Emila. Olbrzym zdążył złapać duszącego się Cichego, zanim tamten upadł.

- Zajmij się ciałami - rozkazał lapidarnie Iosif, wyjął telefon, wystukał numer i szybko wyszedł na zewnątrz.

Przy czarnej luncii z zaciemnianymi szybami stał pięćdziesięcioletni mężczyzna. Był tak samo ubrany jak pozostali, łącznie z kierowcą, ale jego dumny wzrok skierowany był gdzieś na czubki okolicznych drzew. Nie spojrzął nawet na Punina, który krótko rozmawiał przez telefon, a gdy skończył - w zimnych oczach aurelity zagościł gniew i złość.

- Tomaszu! - rzucił do mężczyzny Iosif.

- Mieliśmy nie zostawiać po sobie śladów - odparł tamten niedbale, powoli kierując na niego wzrok. - Takie było polecenie mistrza Aureila.

- Nie zostawiamy - rzekł zdecydowanie Punin. - O to nie musisz się martwić. Ale mam też złe wiadomości.

- Na razie nie słyszałem dobrych - chłodno skomentował Tomasz.

Iosif wolno wypuścił powietrze z płuc.

- Ty siedzisz tu, w Polsce, rzadko odpowiadasz przed ojcem. Ja to robię na co dzień. Więc pozwól, że wezmę wszystko na siebie. Od ciebie oczekuję tylko rad dotyczących tego kraju.

- Chcesz rady? Nikt tu nie lubi, jak cudzoziemcy mordują policjantów, nawet skorumpowanych.

- To źródło było nie tylko zbędne, ale przede wszystkim ryzykowne i szkodliwe. Ojciec z pewnością zgodziłby się ze mną. Jeszcze jakieś rady?

- A te złe wiadomości?

- Kapłan oddał miecz jakiemuś profesorowi. - Iosif zacisnął pięści w bezsilnej złości.

- Podaj wszystkie dane, natychmiast weźmiemy go pod obserwację.

- Co za świętokradztwo... - mruczał pod nosem Punin, nie przestając myśleć o tym, co powiedziano mu przez telefon.

Michał zapukał do drzwi doktor Aleksandry Sambierskiej.

- I co myślisz? - spytała zniecierpliwiona Ewa Nowicka. - Że jej chomik ci otworzy?

- Taki przepis, najpierw trzeba zapukać - odparł Kępiński.

- Jasne. Właściwie bardzo przepisowo to załatwiamy. Ale nie uważasz, że może trochę ważniejsze byłoby zezwolenie niż pukanie do pustego mieszkania?

- Gucio załatwia.

- Wiesz, jaki jest powolny i biurokratyczny. Gdyby wypadł z okna, doleciałby do ziemi po dwóch dniach!

- Ale w końcu załatwi. Jeśli to porwanie, nie mamy czasu na zabawę - upierał się komisarz.

Wyjął niezbędnik i zaczął otwierać zamek.

- Nie mogę uwierzyć... - jęknęła Ewa.

- Nie biadol.

Drzwi dość szybko ustąpiły ku zdziwieniu nawet Michała.

- Jezu, można te zamki otworzyć agraftką! Ja mam lepsze nawet w piwnicy.

- Miły blok, czysto, na dole strażnik. - Nowicka wzruszyła ramionami.

- Który spał, kiedy go mijaliśmy - dokończył Kępiński.

Oboje jeszcze raz uważnie się rozejrzeli i weszli do środka. Mieszkanie nie wyglądało na klasyczne lokum samotnej kobiety. Brakowało obrazków, bibelotów, babskich robótek na drutach i miliona szafeczek z szufladeczkami. Surowe wnętrze zawstydzalo praktycyzmem i logiką. Na pierwszy rzut oka trudno było znaleźć tu coś niepotrzebnego, niewspółgrającego z całością. Doktor Sambierska okazała się właścicielką dwóch pokoi, z których pierwszy, mniejszy, stanowił pracownię (biurko, fotel, biblioteczka, i tyle), natomiast w większym znajdowało się łóżko, regał z telewizorem oraz niewielka szafa bieliźniana. W zabudowanym przedpokoju stało kilka par butów, wisały dwa płaszcze, dwie kurtki w tym jedna... skórzana.

Jedynie, co nadawało się do przeszukania, to oczywiście biurko w pracowni i regał w większym pokoju. Szybko zabrali się do pracy, nie mając zresztą kłopotów z dotarciem do wszystkiego, co tylko mogło się przydać. Żadnych zamków, żadnych tajemnic, żadnego rozsądku zabezpieczającego przed nieuczciwością. Mniej więcej po półgodzinie mieli już właściwie jasność, że oprócz drobiazgów i ogólnego charakteru znalezisk obnażających zwyczaje i gust właścicielki, w sprawie może się przydać tylko gruby zeszyt, w którym pani doktor prowadziła - jak się okazało - dość dokładne notatki. Sporo miejsca poświęciła Krzysztofowi Lorentowi, co stanowiło dla policjantów dowód na to, że lekarka w czasie krótkiej znajomości z księdzem niemal natychmiast dała się omotać jego urokowi. Tak przynajmniej im się wydawało.

- Zakochała się w nim, czy co? - Michał się skrzywił. - Zboczona jakaś?

- Jak widać, umiał robić wrażenie.

- Przecież to pacjent!

- Ty! - Ewa spojrzała na kolegę z politowaniem. - Ile ty masz lat?

- Zabieramy te notatki. Tak czy owak, mamy tu faceta jak na dłoni. Ksiądz nie ksiądz, trzeba go traktować jak innych.

Ewa przybrała na chwilę refleksyjną pozę i zdecydowała się na głęboką myśl.

- Nie widzę tu przyciągania erotycznego. Była po prostu pod wpływem oryginalności i atrakcyjnej umysłowości podejrzanego.

- Taaa - zadumał się z kolei Michał. - Koniecznie to zapiszmy, bo zapomnimy.

Dostał za to zeszytem po głowie, ale stwierdził w duchu, że warto było. Dzień bez prztyczka dla Ewy był dniem straconym.

ROZDZIAŁ 5

- Zatrzymaj tam. - Krzysztof pokazał palcem pobocze. Cipucha wykonała polecenie i zaparkowała samochód.

- Wsiądę i dalej pójdę na piechotę. Nie stój w jednym miejscu dłużej niż to niezbędne - ciągnął. - Pokręć się dookoła, przejedź się, ale nie zatrzymuj nigdzie wozu na dłużej. Dam ci komórką sygnał, kiedy będę wracał. Jeśli nie pojawię się za dwadzieścia minut, jedź do domu i nie czekaj.

- Jaja se robisz? - Cipucha uniosła brwi ze zdziwienia.

- Nie. Mówię najzupełniej poważnie.

- Myślisz, że cię tu zostawię?

- Po prostu zrób, o co proszę. Jeśli nie wrócę, być może będę tak zajęty, że... Nie martw się, nie dam sobie zrobić krzywdy.

Cipucha głęboko westchnęła.

- Wiesz, zwykle nie obrażam się, kiedy ktoś mówi do mnie jak do idiotki, ale teraz chyba przegiąłeś.

Lorent pokręcił z bezradności głową.

- Albo zrobisz to, o co proszę, albo wracamy i nigdzie nie idę.

- OK, OK! - Dziewczyna podniosła do góry ręce, jakby się poddawała. - Jak chcesz. Ty tu jesteś ten mądry.

- Będziesz jeździła tak, jak prosiłem?

- Tak - odparła pewnym głosem.

- Wrócisz do domu, kiedy minie dwadzieścia minut?

- Tak - skłamała gładko.

Krzysztof przez chwilę zatrzymał na niej wzrok, usiłując w ten sposób wyrzucić dodatkową presję, i wysiadł z samochodu.

Iosif Punin zerknął na Tomasza. Elegancki pięćdziesięciolatek, bez śladu siwizny na wypiełgnowanych, gęstych włosach, imponujący męską posturą i zadbanym zarostem, mruknął

coś do swojego zegarka. Minęli halę targową przy placu Defilad i zatrzymali się na chwilę. Bezchmurne niebo sprowadziło nad miasto upał i senną atmosferę.

- Nie idzie dalej, usiadł na ławce. Emil ma go na oku. - rzucił krótko Tomasz do Punina.

- Ma miecz?

- Raczej nie. Jest ubrany w lekką marynarkę, nie ma płaszcza. - Mężczyzna poprawił słuchawkę w uchu. - Możliwe, że na kogoś czeka.

- To dobrze - powiedział cicho Iosif.

- A jeśli zjawi się Kapłan? Co wtedy zrobimy? Punin nie odpowiedział i odwrócił się w stronę Pałacu Kultury.

- Kto wybudował to ogromne straszidło? - spytał z niesmakiem.

- Rosjanie.

- Po co?

- To był prezent dla narodu polskiego. Tyle tylko że za nasze pieniądze.

Iosif zwrócił się w stronę swojego towarzysza i zmarszczył brwi.

- To żart - wyjaśnił Tomasz. - Choć dość głęboko osadzony w faktach.

- Co za kretyński kraj. - Punin wzruszył ramionami. - Odkąd tu jestem, widzę same idiotyzmy. Jak tutaj mógł się urodzić Kapłan?!

- Nie oceniaj tego, czego nie znasz - mruknął uprzejmie, ale zdecydowanie Tomasz. - To kraj Kopernika, Chopina i Marii Curie. Kraj, który w 1939 roku dwa razy dłużej się bronił przed hitlerowcami niż Francja, przetrwał komunizm i powojenną okupację Sowiec. Przez całą historię ściśnięty między Niemcami a Rosją potrafił zachować tożsamość i wolność. Istnieje ponad tysiąc lat, będąc w czasach, kiedy w Ameryce rządili Indianie, jednym z najsilniejszych mocarstw w Europie. Więc... trochę więcej szacunku, rycerzu.

Iosif pokiwał z uznaniem głową.

- Imponuje mi twoja miłość do własnej ojczyzny. Wybacz, bracie, że wypowiedziałem się w taki sposób. Sprawy nie idą tak jak powinny i stąd moje rozdrażnienie.

- Kapłan... - Tomasz odetchnął głęboko i zaczął przyglądać się przechodzącym ludziom.

- Nie wstydzę się lęku przed nim - podjął niespodziewanie Punin. - Do tej pory wydawało mi się, że nie boję się niczego, a respekt budzi we mnie tylko ojciec. Aż do teraz. Z tego punktu widzenia czuję się szczęśliwy, Tomaszu.

Mężczyzna przytaknął głową. Usłyszał cichutki sygnał w zegarku i szeptem wymienił z Emilem kilka zdań.

- Cały czas na kogoś czeka. Patrzy na zegarek, rozgląda się - rzucił w stronę Iosifa.
- Czekaj na niego - odparł cicho Punin. - Czuję to. Każ Emilowi szybko się wycofać.
- Teraz?!
- Tak, jeśli nie jest za późno.

Łzy płynęły jej już ciurkiem po policzkach.

- No i co, kurwa?! No i chuj z dupą, kurwa!!! Przejebane! - Cipucha po raz kolejny łupnęła niemal z całej siły w kierownicę. Zatrzymała wreszcie samochód na pętli autobusowej między Dworcem Centralnym a Pałacem Kultury. Bezradnie patrzyła na wyświetlacz komórki i wciąż klęła najwymyślniej jak tylko potrafiła, wpadając w coraz większą panikę. Wystukała wreszcie numer do Bzdeta.

- Nie ma go! - wywrzeszczała mu na cały głos, zanosząc się płaczem.

- Ile czasu upłynęło? - spytał nerwowo punk.

- Czterdzieści minut.

- Przecież kazał ci wrócić po dwudziestu!!!

- A ty byś go zostawił, łysolu jebany?!

- Uspokój się, Niuńka. Weź się w garść i wracaj. On tak chciał i na pewno wiedział, co robi.

- Pieprzony czarnuch, żeby go tak przerobili na hot dog! Wcale mi go nie szkoda!

- Czy ty słyszałaś, co do ciebie mówiłem?

- Słyszałam.

- I którego słowa nie rozumiesz? - warknął groźnie Bzdet. - Masz wracać! Zapalasz silnik, kurwa, i jedziesz! A jak nie będzie cię tu za godzinę, to jak Bóg miły, wkręcę ci cycki w wyżymaczkę, wezmę kawał dechy i przerobię cię na Pigmejkę!

- Niuniek, oni mu coś zrobili!

- Nic mu nie zrobili - Bzdet starał się to powiedzieć spokojnym, wyważonym głosem. -

Widocznie zmienił plan. Czy coś się tam dzieje? Czy jedzie jakaś policja? Czy ktoś krzyczy?

- Nie.

- To wracaj! Mam nadzieję, że nie próbowałaś do niego dzwonić?

- Nie. Zabronił...

- To nie próbuj, bo możesz go wpakować w kanał i dopiero będzie. Po prostu zrób, o co prosił.

- Może w stresie zapomniał numeru...

- Nie bój się, on pamięta więcej niż mumia Tutenchamona i wszyscy dalejlamowie razem wzięci. Bierz dupę w troki i do domu!

- Jadę... - jęknęła płaczliwie Cipucha. - Tylko już nie wrzeszcz.

- No coś ty... - mruknął pieszczotliwie. - Jesteś moją Niuniczką kochaną, Żabeczką, Skarbeczkiem, Bzdecik cię kocha jak nikogo.

- Też cię kocham, Mopiku mój śliczny!

- No już nie bój i jedź do domu. Tylko ostrożnie.

Kiedy podbiegli do ławki, siedział na niej tylko Emil. Jego potężne ciało lekko ugięło drewniane oparcie, a głowa zwisała bezradnie, jakby spał. Iosif zacisnął z bezsilności usta, rozglądając się dookoła niczym dzikie, rozdrażnione zwierzę.

- Boże, jak on to zrobił?! - szepnął kompletnie zbity z tropu Tomasz.

- Niepotrzebnie filozofowałem - mruknął cicho, jakby do siebie, Punin. - Sam tu powinienem być.

- Obserwowało go łącznie z Emilem czterech ludzi!

- I gdzie oni teraz są?

Tomasz jeszcze raz spróbował ich wywołać.

- Żaden nie odpowiada.

- Jasne, jakżeby inaczej. - Iosif usiadł ciężko na ławce obok potężnego Polaka i wyjął mu z karku igłę. Emil po chwili ocknął się zaskoczony.

- Co jest? Co?! - spytał, rozglądając się nerwowo.

- Przymknij się - warknął Punin, nie odwracając nawet głowy w jego stronę. Zamknął tylko oczy i ciężko odetchnął. Dotknął lekko dłońmi do czoła i wsłuchał się w gwar spacerujących dookoła przechodniów. Ich kroki zlały się po chwili w jeden rytmiczny, kłasterowy, zagłuszający myśli dźwięk. Nienawidził tego miejsca.

Szli szybko, ale Krzysztof pilnował, aby nie wyróżniali się z tłumu, jednak gdy tylko profesor próbował biec, Lorent chwycił go ostrzegawczo za rękaw marynarki i przypominał o ostrożności. Wilecki zatrzymał się wreszcie pośrodku stacji metra i nerwowo rzucił okiem w kierunku wyświetlacza, gdzie widniał czas odejścia ostatniego pociągu. Nie potrafił opanować drżenia rąk, ścisiku w żołądku i bólu głowy, który pojawił się dość nagle, dosłownie kilka minut temu. Wstydził się, że trochę spanikował, ale chyba, do cholery, miał powody. Ubrany absolutnie po cywilnemu klecha był niewzruszony niczym dąb Bartek, jakby codziennie robił takie numery jak przed chwilą i jakby kompletnie olewał, czy dorwie go ta banda prehistorycznych świrów, czy nie. Prawda jednak była taka, że on również zachował czujność, obserwował cały peron, wsłuchiwał się uważnie w każdy podejrzany dźwięk i niecierpliwie czekał na pociąg. Mieli z pewnością co najmniej kilka minut przewagi. Zanim tamci przykapują, co się stało, uporządkują to jakoś i pomyślą, co robić dalej, minie trochę czasu. Możliwe, że w ogóle zrezygnują i na razie odpuszczą. Trzeba jednak jak najszybciej opuścić to miejsce i nie ryzykować. Krzysztof, zerknąwszy na spoconego i roztrzęsionego profesora, poklepał go uspokajająco po plecach. Pociąg ku uldze uciekinierów wreszcie był uprzejmy wjechać na peron. Niedziela tuż po południu raczej nie obfitowała tłumami w metrze, więc bez problemu znaleźli miejsce, aby odpocząć.

- Jak ksiądz może być taki spokojny?! - spytał chyba trochę za głośno Wilecki.

- Proszę tak do mnie nie mówić - odparł Lorent.

- A jak mam mówić?

- Na imię mam Krzysztof.

- Ma ksiądz rację, bez sensu te ceregiele. Jestem Bogdan. - Podał mu rękę, mając nadzieję, że to choć trochę unormuje sytuację.

Lorent nie zareagował na kolejnego „księdza”, ale zadowolony był, że facet jakoś współpracuje.

- Przejedźmy kilka stacji, później pojedziemy w bezpieczne miejsce - zaproponował powściągliwie.

- Mam nie wracać do domu?

- Przepraszam, nie spodziewałem się, że cię znajdą. Zrobiłem błąd z tym mieczem. Gdzie go masz?

- W domu.

- To dobrze.

- Jak ty to zrobiłeś?

- Co?

- Z tymi facetami tam przed Pałacem.

Krzysztof uważnie przyjrzał się twarzy profesora. Pot wciąż ściekał mu po skroniach, ale rozmowa chyba go uspokajała.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Nie wiem... - Profesor zastanowił się chwilę. - Może trochę lepiej.

Dojeżdżali do Politechniki. Lorent wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, mógł znowu złapać zasięg. Wystukał szybko SMS-a.

- Co robisz? - spytał Wilecki.

- Sprowadzam transport.

- Tylko nie mów, że tego punka...

- Nie, jego dziewczynę. Ale wygląda podobnie. Nie chciałem go brać, żeby w razie czego nikomu się nie skojarzył, lecz, jak widać, to i tak nie ma znaczenia. Spodziewałem się przy tobie raczej policji niż aurelitów.

- Jak się zorientowałeś, że to oni?!

- Nie wiem. Po prostu wiedziałem.

- Jasne, idiotyczne pytanie - jęknął załamany profesor. - Ja jestem tylko głupim Ziemianinem. Ten rozczochraniec mówił nawet, że już raz spuściłeś im porządne manto.

- Żadna frajda. Potem ci się tym pochwalę. Teraz udawajmy spokojnych, a może jakoś z tego wyjdziemy.

Wilecki znowu rozejrzał się dookoła. Wyglądało na to, że kilku pasażerów, którzy podróżowali z nimi wagonem, miało gdzieś ich rozmowę, kłopoty, wreszcie ich samych.

Postanowił pomilczeć kilka minut. Zebranie myśli jednak ciągle stanowiło poważną trudność, więc skupił się na próbie przypomnienia sobie najistotniejszych faktów, które będą potrzebne do analizy sytuacji. Noc Kapłanów, aurelici, Eberhard Link, skarb *unius oculi*... ale o tym powie mu później.

Wysiedli na Służewie nad Dolinką. Zapłakana Cipucha czekała przy wyjściu z metra.

- Już jechałam z powrotem, podły klecho!!! - wywrzeszczała, witając uprzejmie Krzysztofa i jego towarzysza wsiadających do samochodu.

- Jedź szybko do domu - odparł spokojnie Lorent.

- Nie mogłeś wcześniej dać jakiejś wiadomości?!

- Byłem zajęty.

- Był zajęty! - jęknął Wilecki, błagając Boga w myślach, by wreszcie to czupiradło uruchomiło samochód i odjechało stąd w cholerę.

Dojechali bez przeszkód. Krzysztof upewnił się, że nikt ich nie śledzi i szybko ułożył w myślach wstępny plan. Aurelici nic nie wiedzą o ich kryjówce, w przeciwnym razie dawno już by się tu pojawili. Znaleźli profesora, a więc źródłem kłopotów był miecz. Cokolwiek w nim jest, co naprowadziło tamtych na trop Wileckiego, stało się groźne od niedawna. Przecież miecz był także i tutaj. Niezależnie od wszystkiego, trzeba szybko opuścić dom Bzdeta. Narażanie jego i dziewczyny nie ma sensu. Profesor i lekarka aż nadto starczą. Trzeba zniknąć. W którąkolwiek stronę by się zwrócili, zawsze będzie ktoś na nich czekał - policja, aurelici, nie daj Boże jakiś wścibski dziennikarz, nie wiadomo, kto jeszcze.

- Witam króla Jerzego! - Bzdet uśmiechnął się z niewątpliwą ulgą, gdy tylko wysiedli z samochodu.

Wilecki machnął tylko ręką i z przerażeniem ogarnął wzrokiem dom. Ola stała w progu. Była zdenerwowana jak wszyscy, ale nic nie mówiła. Profesorowi na jej widok dość niespodziewanie zaczął wracać rezon. Co instynkt, to instynkt. Z pewnością już dobrych parę lat temu skończyła studia, ale zawsze to kobieta, w przeciwieństwie do Cipuchy.

- Nic się tu nie działo? - spytał na wszelki wypadek Krzysztof, mijając punka.

- Dwa niewielkie zawały serca, reszta w normie. Lepiej jej spytaj, jak było fajnie, kiedy zniknąłeś. - Wskazał Sambierską.

- Zapędź wszystkich do stołu, musimy pogadać. Ja skoczę na górę i za chwilę zejść.

Wszedł po schodach, zamknął za sobą drzwi i ukląkł, składając ręce w modlitwie. Potrzebował na to chociaż minuty.

- Musimy dzisiaj, najdalej jutro, stąd odejść, nie chcę ryzykować.

- A dokąd chcesz odejść? - spytał Bzdet. - My i tak już w tym siedzimy.

- Mogę dostać szklanek wody? - jęknął Wilecki, opierając bezradnie łokcie na stole. -

Powoli dochodziła do niego przerażająca prawda o tym, w jakie kłopoty właśnie się wpakował.

- Przepraszam, teraz dopiero zdałem sobie sprawę, w czym tkwimy - zwrócił się do niego Krzysztof. - Nie wiedziałem, że cię narażam. Staralem się być ostrożny, wysłałem Bzdeta, byłem pewien, że zgubiliśmy policję i aurelitów. Dla mnie to też jest nowe i... trudne. Ale teraz twoja wiedza może być absolutnie niezbędna.

- Jaka wiedza?! - Profesor roześmiał się gorzko. - Jestem wykładowcą historii sztuki i mitów kultury! A to, o co chcesz mnie pytać, traktowałem do tej pory jak bajki. Czego ode mnie wymagasz? Wiedzy o wilku z *Czerwonego Kapturka*? W życiu się nie pozbedziemy tych pomyleńców!

- Lepsze to niż nic - upierał się Lorent.

- Rzeczywiście byłeś moim studentem?

- Słuchałem kilku twoich wykładów. Już jako duchowny. Interesowałem się trochę właśnie mitami kultury krajów romańskich. Teraz, kiedy - ogólnie rzecz biorąc - wiem trochę więcej, jestem przekonany, że możesz pomóc.

- Trochę więcej... - prychnął Wilecki. - Jeśli ten chłopak mówił prawdę, encyklopedia to przy tobie notatki ucznia z podstawówki.

- Niezupełnie tak.

- A jak? Jak to w ogóle możliwe?

- Nie wiem, mogę tylko podejrzewać.

- I co podejrzewasz?

- Człowiek wykorzystuje jedynie niewielką część swojego mózgu. To, co da się zrobić z resztą, pozostaje tajemnicą. Może tam mamy złożoną wiedzę poprzednich pokoleń, zabezpieczoną i zamkniętą dla świadomości. Tyle tylko że u mnie właśnie wszelkie zabezpieczenia zawiodły.

- Wszystko pamiętasz? - Nawet na pierwszy rzut oka widać było wątpliwości profesora.

- Jeśli ci powiem, pomożesz nam?

- Jak tylko będę mógł najskuteczniej - zapewnił Wilecki.

Krzysztof rozejrzał się po twarzach zaniepokojonych, ale i zaciekawionych starych i nowych przyjaciół. Szczególnie Bzdet dawał najwyraźniejsze znaki, że trzeba nawijać, i to na całego.

- Już mówiłem, wszystko pojawia się nagle - zaczął. - Na pierwszy rzut oka wygląda, jakbyście przypomnieli sobie po prostu coś, co zapomnieliście, tyle że jest tego więcej. Na początku kłębi się w głowie straszny nieporządek, psychika nie może sobie poradzić, odnosi się

wrażenie obłędu i niewyobrażalnego strachu. Potem, powoli, wszystko nabiera jakichś kształtów. No i zacząłem się do tego jakby... przyzwyczajać. Część rzeczy ciągle sobie przypominam, a część, o których wiem, że przez chwilę je znałem, wylatuje mi z głowy i na razie ich nie pamiętam. Ta cała wiedza jest... ruchoma.

- Pamiętasz wszystkich swoich przodków? - spytała Cipucha.

- Na początku odnosiłem takie wrażenie, ale oczywiście nie. Mam świadomość wielu, lecz istnieje masa wspomnień ludzi, z których nie zdaję sobie sprawy. Dam wam przykład: o moich rodzicach, a nawet dziadkach nie wiem nic ponad to, co sami mi przekazali. Pierwsze te „nowe informacje” pochodzą sprzed ponad stu lat. Nie pojmuję dlaczego. Ludzi, z którymi jestem w jakikolwiek sposób związany krwią, były tysiące. Wyobraźcie sobie - ktoś za czasów Chrystusa miał kilku synów, oni znowu swoich, każdy z tych potomków założył rodzinę, oni też mieli dzieci, i tak do dzisiaj, jak w postępie geometrycznym.

- To niewyobrażalne - wtrąciła wreszcie Ola.

- Tak - przyznał. - Wierzcie mi, nie życzę wam tego w żadnej formie. Ale choć zdaję sobie sprawę, że pamiętam zaledwie ułamek wspomnień stosunkowo niewielu z tych ludzi, to i tak ich liczba jest ogromna. Ale nie to jest najważniejsze.

- A co może być ważniejszego? - spytał profesor.

- Umiejętności. Podświadoma i świadoma możliwość robienia perfekcyjnie ogromnej liczby rzeczy. To daje mi przewagę nad aurelitami.

- Ja chyba śnię - jęknął znowu profesor.

- Straszny maruda z ciebie - zauważyła zgryźliwie Ola.

- A koleżanka jest...?

- Jego psychiatrą - wyjaśniła dość dumnie, wskazując brodą na Lorenta. - Aleksandra Sambierska, możesz mi mówić po imieniu.

- I tak od razu, jak go poznałaś, droga Aleksandro, było to dla ciebie takie zwykłe i normalne?

- Nie, nie od razu. Ale nie zaczynałam przynajmniej każdego zdania od „ja”. Ciągle jęczysz, że wpadłeś w kłopoty, i nie wiesz, co się dzieje, a wszyscy mamy podobny problem!

- Jestem profesorem uniwersyteckim, trochę więcej szacunku! - obruszył się Wilecki.

- Spokojnie - przerwał im Krzysztof. - Damy sobie radę, zobaczycie. Mam tylko do was prośbę, nie pytajcie mnie ciągle o te rzeczy. Nie wiem, jaki był początek świata, skąd się wziął człowiek, choć jestem przekonany, że to dzieło boże. Najwcześniejsze moje wspomnienia

pochodzą... - przerwał na chwilę, robiąc wrażenie, jakby sam szukał odpowiedzi - ...z Krety... - dopowiedział ze zdziwieniem w głosie. - Nazywał się... - Lorent zaczął mówić jak w transie, jakby z każdym zdaniem przypominał sobie nowe szczegóły. - Tacjades... był doradcą króla Malii. Był... taki jak ja. Wiem na pewno, że pamiętał, jak ja, swoich przodków, ale nie mogę sobie poza nim nikogo wcześniej przypomnieć...

Nastąpiła cisza, którą przerwał dopiero Wilecki.

- Trochę szkoda - przyznał praktycznie. - Mielibyśmy kilka problemów egzystencjalnych z głowy.

Krzysztof nie śpieszył się z komentarzem. Sięgnął po herbatę i wypił ją niemal do końca, po czym zamiast kontynuować oczekiwane przez wszystkich dalsze wyjaśnienia, zadał po prostu pytanie:

- Kto to jest profesor Eberhard Link?

Wilecki spojrział przelotnie na Bzdeta.

- Historyk kultury, językoznawca, badacz mitów, legenda środowiska - wyjaśnił krótko.

- Taki nasz Kopaliński? - upewniła się Ola.

- Niezupełnie. Profesor Stefczyk, czyli Władysław Kopaliński, to raczej leksykograf. Zajmuje się teorią i praktyką opracowywania słowników. Oczywiście on również poszukuje, ale Link to przede wszystkim odkrywca. Taki trochę Indiana Jones, tyle że mniej przystojny, starszy i bardziej... ludzki. Nie umie wywijać mieczem i nie chodzi po wodzie, ale zapewniam - miałby ci dużo do zaoferowania. - Spojrzenie profesora spoczęło w końcu na Krzysztofie.

- Dobrze go znałeś?

- Spotkałem go dwa, może trzy razy w życiu. Głównie wymienialiśmy korespondencję. Kontakt mi się urwał jakies... pięć lat temu. - Wilecki rozłożył ręce. - Skoro - jak widać - nasz drogi gospodarz wyposażył cię w wiedzę, którą mu przekazałem, to pewnie zdajesz sobie sprawę, że zniknął.

- I nie wiesz, jak go znaleźć?

- Ja nie. Ale jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, to ty wiesz.

Zaciekawione spojrzenia wszystkich utkwily w Lorencie.

- Nie wiem - odparł zdziwiony.

- Skarb *unius oculi* - rzucił szybko profesor i przymrużył oczy.

- Skąd o tym wiesz? - Zdziwienie Krzysztofa było z pewnością szczere.

- Boże... - Wilecki pokręcił głową zaciekawiony. - Zaczynam naprawdę w to wierzyć.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie. Jak to możliwe, że wiesz o czymś, o czym nikt z żyjących obecnie ludzi nie ma prawa wiedzieć?

- Od Linka. Ale rozczaruję cię. Dla mnie to tylko hasło. Nie mam pojęcia, co to jest. Po prostu jeden z jego ostatnich listów brzmiał, jakby autor naprawdę popadał w obłąd. Ostrzegwał mnie przed aurelitami, zalecał, aby porzucić badania i trzymać się od legendy Nocy Kapłanów jak najdalej.

Profesor pociągnął kolejny łyk herbaty.

- Oczywiście nie pozwoliłem się zbyć i bombardowałem go mailami, aż odpowiedział - ciągnął. - Wtedy zdradził mi, że musi wyjechać i skontaktuje się ze mną, jak przyjdzie czas. Do dzisiaj tego nie uczynił. Jego ostatni list brzmiał następująco: „Jeśli ktokolwiek przyjdzie kiedyś do pana i powie, że jest Kapłanem Wiedzy, proszę mu powiedzieć, że odpowiedź znajdzie w skarbie *unius oculi*”. Brzmiało to jak dziecinada. Nie potraktowałem tego poważnie. A ty wiesz, o co chodzi?

- Wiem - odparł krótko Krzysztof. - Ale są rzeczy, o których nie powinienem rozmawiać nawet z wami. Jeśli wiedział o tym profesor Link, najprawdopodobniej już nie żyje. Chyba... że istnieje obecnie jeszcze jeden Kapłan lub on sam nim jest.

Okazała willa stojąca trochę dalej od drogi, za dużym podwórzem, ginęła w otaczających ją drzewach. Wierzby na prywatnych posesjach w Warszawie i w okolicach stanowiły raczej rzadkość, ale dom był stary i od czasu swojego powstania na początku dwudziestego wieku pozostawał praktycznie w rękach jednej rodziny. Przez co najmniej trzydzieści lat niewiele zmieniano w okolicy, a podobne wille nie powstawały w sąsiedztwie od czasów wojny. Ludzi jak dawniej, tak i teraz nieczęsto stać było na tysiącmetrowe posesje na potwornie drogiej ziemi. Dygnitarze starej i nowej władzy upodobali sobie inne miejsca, choć mieszkało tu kilka tak zwanych wpływowych lub znanych osób, ale były to raczej osoby k i e d y ś wpływowe lub k i e d y ś znane. Jakiś piosenkarz jednego sezonu, eksdyrektor ogromnej fabryki - dziś bezrobotny. Były dziennikarz, który kiedyś w mundurze czytał dziennik telewizyjny, a teraz, wychodząc na ulicę, zakłada ciemne okulary do złudzenia przypominające te należące do jego dawnego głównego szefa. Od wielu lat nikogo biedaczek już nie interesuje, nikt jakoś nie chce go rozpoznawać, z niczego rozliczać, o nic pytać. Nikt, co najgorsze, nawet nie chce go już

nienawidzić. Jego samotność jak dusza Eleanor Rigby²⁸ szuka dziś niemal codziennie odpowiedzi w pobliskim kościele, gdzie kilka lat temu odnalazł wiarę i oddał się jej bez reszty.

W wielkiej willi, pośród rozplakanych jak po każdym mijającym lecie wierzb, Iosif Punin stał w salonie przy oknie, oczekując na obiad. Nie był głodny, mimo że właściwie od rana zdążył zjeść tylko dwa suchary popite zieloną herbatą. Kiedy już wydawało mu się, że opanował złość i gniew, za chwilę zły duch znowu dawał o sobie znać i ścisnął aurelicie pięści aż do bólu.

Drzwi się otworzyły, a młody chłopak w zielonym habicie wniósł tacę z jedzeniem i postawił na wielkim stole. Punin nie poświęcił temu specjalnej uwagi. Wbił wzrok w nieistniejący punkt za oknem i bezskutecznie przywracał umysłowi spokój. Chłopak szybko zniknął za drzwiami, ale pojawili się w nich Tomasz i Emil.

- Won, za drzwi! - mruknął cicho w ich stronę, nie odwracając wzroku.

Emil spojrzał zaskoczony na towarzyszącego mu starszego aurelitę, szukając jakiejś odpowiedzi.

- Opanuj się, młody człowieku! - upomniał go spokojnie, ale zdecydowanie Tomasz.

- Won!!! - wrzasnął na całe gardło, podchodząc szybkim krokiem do obu.

Emil, widząc gniew Iosifa, starał się zasłonić przed uderzeniem, lecz Punin był znacznie szybszy. Z zaskakującą łatwością dwoma błyskawicznymi ciosami powalił na ziemię olbrzyma, odpychając próbującego go chronić Tomasza. W drzwiach pojawiła się jednak trzecia postać. Wściekłość Iosifa skierowała się teraz przeciwko niej, ale przeciwnik okazał się znacznie zręczniejszy od dwójki Polaków. Zablockował uderzenie i wewnętrzną częścią dłoni potężnie uderzył Punina prosto w splot słoneczny, a precyzyjnie przyłożona siła przedramienia podwoiła efekt. Punin cofnął się i ukląkł na kolano, nie mogąc złapać tchu. Po chwili zaczerpnął powietrza. Doskonale wiedział, jak szybko i najefektywniej niwelować skutki takich ciosów, w tym momencie jednak zajęło mu to znacznie więcej czasu niż zwykle. Spojrzał powoli na przeciwnika. Już wcześniej go poznał, ale teraz upewnił się, czy rzeczywiście miał rację. Luigi Balea stał spokojnie nad nim, mierząc go chłodnym, choć spokojnym wzrokiem.

- Nigdy... więcej... tego... nie rób - powiedział wolno przez zęby Punin.

- Będę robił to, co uznam za stosowne - odparł z wyraźną pogardą w głosie Luigi.

Gdyby Iosif miał przy sobie miecz, najchętniej pozarzynałby wszystkich na tej sali i porozdzierał ich ciała na strzępy. Na szczęście dość szybko doszło jednak do niego, że rzucanie

²⁸ Eleanor Rigby - tytułowa bohaterka słynnej piosenki angielskiej grupy rockowej The Beatles z przełomowego - zdaniem wielu socjologów i badaczy - w historii muzyki rozrywkowej albumu *Revolver*.

się teraz na Baleę, z pustym żołądkiem, po wyczerpującym dniu i w takim stanie ducha byłoby samobójstwem. Nie tym razem. Jeszcze kiedyś przyjdzie na to pora.

Luigi nie chciał poniżyć Punina bardziej, niż to było konieczne. Wzrokiem poprosił Tomasza i ocierającego sobie krew z twarzy Emila, aby zostawili ich na chwilę samych.

- Po co przyjechałeś? - warknął Iosif.

- Miałem pozwolić na to, żebyś zrobił tu rzeź i skierował przeciwko nam polską policję?

- Robię tylko to, co konieczne!

- Zamordowałeś dwóch ludzi, nie upewniając się, czy komukolwiek powiedzieli, z kim idą się spotkać! - Luigi po raz pierwszy podniósł głos.

- Nie ma po nich śladu!!! - wrzasnął Punin. - Nie wiedzieli, z kim byli umówieni!!! Nie mieli o nas pojęcia!!! Mistrz wierzy temu Kasjuszowi i Brutusowi?! - Wskazał na drzwi, za którymi zniknęli Polacy.

- Powiadomili mnie, i takie było ich zadanie, a ojciec o niczym nie wie - odparł spokojnie Balea.

- Nie wie? - Iosif był kompletnie zaskoczony.

- Nie - potwierdził Luigi. Założył ręce z tyłu i przeszedł się po salonie.

Punin roześmiał się nerwowo.

- Pupilek mistrza zaczyna sięgać po więcej... no, no, no. Przyznam, że nawet mnie to zdumiewa.

- Mylisz się, bracie. I niech ci nie przychodzi do głowy, że mógłbym w jakikolwiek sposób zdradzić ojca. Ale zależy mi na tej sprawie, a on z pewnością natychmiast ściągnąłby cię z powrotem.

- Jestem ci potrzebny.

Luigi nabrał głęboko powietrza do płuc.

- Wybieraj. Działamy razem i nie sprzeciwiasz się albo wracasz - podsumował zdecydowanie.

Twarz Iosifa powoli się rozpogadzała. Zdołał już wyrównać oddech, umiejętnie rozmasował nadbrzusze.

- Zjedźmy obiad. - Wskazał na stół.

- Z chęcią. Każ podać jeszcze jedno nakrycie.

Kiedy Bzdet stanął w drzwiach, Lolo nadal nie wiedział, czy dalej przecierać oczy ze zdumienia, czy może tylko śmiać się w duchu z ironii losu. Jego okrągła jak księżyc twarz zajaśniała satysfakcją. Małe, blisko osadzone oczka szukały odpowiedzi na zagadkę, ale na razie bezskutecznie. Lolo pogładził ręką resztki swego owłosienia i wpuścił dawno niewidzianego klienta do środka. Wylał rękę o znoszony, wyciągnięty sweter, wskazał krzesło - stare i brudne, ale jedyne przy zagraconym stole.

- Tyle lat minęło - szepnął cicho, udając grobową powagę. - A jednak! - wrzasnął wesoło i klasnął w dłonie z satysfakcją.

- Nie obiecuj sobie za wiele - mruknął Bzdet. - To nie to, co myślisz.

- Jasne, czy ja coś mówiłem? Pukniesz rolkę?

- Nie, dziękuję.

- To co? Ścieżynkę?

- Nie po to przyszedłem. Wiesz, że skończyłem z tym - odparł punk chłodno.

- A jednak tu jesteś. - Lolo uniósł brwi. Z jego oblicza niewątpliwie biła ironia, ale chyba jednak bardziej zaniepokojenie.

Bzdet podszedł do krzesła i pokonując niechęć do brudu, usiadł ostrożnie.

- Cały czas masz syf w tym garażu - stwierdził, lekko się krzywiąc.

- Jestem tradycjonalistą - podsumował uroczyście Lolo, rozkładając teatralnie ręce. Przeszedł się dookoła stołu, korzystając z okazji, aby jeszcze dokładniej przyjrzeć się gościowi. - Jak zadzwoniłeś, przyznam, że oniemiałem.

- Przykro mi - odparł Bzdet niechętnie.

- No, dobra. Odezwałeś się po latach, jesteś tu. Co teraz? Mówiąc szczerze, nie mam dzisiaj za wiele czasu na coś innego niż interesy.

Bzdet poprawił się na krześle. Na wszelki wypadek sprawdził, jak bardzo ubrudził już spodnie, i po raz pierwszy chyba odwrócił twarz w stronę gospodarza.

- Mam interes.

- No proszę. - Lolo zachichotał.

- Potrzebne mi dokumenty. Paszporty. I to dobre. Nie te od Fikołka.

- Fikołek już nie robi, zachorował.

- Na co?

- Kiepsko kapował, jaki jest układ, i nogi mu się połamały. A potem źle zrosły.

- I już nie wyzdrowieje?

- Ma szlaban. Wpakował na granicy ludzi z Mokotowa. Dał im takie bibuły, że ślepy by tego nie kupił.

- Muszę mieć oryginały.

- Po co ci? Teraz przez granicę można przechodzić jak przez jezdnię. A oryginały ostro kosztują. Będę musiał pójść do Ministra.

- Słyszałem, że Minister siedział.

- Krótko. - Lolo uśmiechnął się tajemniczo. - Takich pleców jak on nie ma nawet Osama bin Laden. Wolałbym mu nie zawracać głowy głupotami.

- To nie są głupoty. Potrzebne są trzy paszporty dla bardzo ważnych ludzi. Sam nie dostanę się do Ministra.

- To potrwa.

- Mają być na jutro.

- Chyba żeś się z fiutem na głowy pozamieniał! - wybuchnął Lolo. - A niby jak mam to zrobić? Jest już druga!

- Dzwoni. - Bzdet wskazał na leżącą na stole komórkę.

- Pięć złotych.

- To chyba tobie przeżarło łeb dragami. Mogę ci dać najwyżej połowę tego. Dwa i pół tysiąca. Koniec negocjacji.

- Odpada. - Lolo ostentacyjnie wsadził rękę do kieszeni.

- Twój brat też ma dojście do Ministra, za tę kasę da mi oryginały, a z wdzięczności jeszcze zatańczy i zaśpiewa. A wiesz, jak o to trudno ostatnio.

- To było poniżej pasa - zauważył z rozżaleniem Lolo.

- Nie rań więc moich uczuć wyższych i bierz się za telefon.

- Masz zdjęcia?

- Dobry żart. - Bzdet uśmiechnął się sztucznie. - Masz załatwić od Ministra bibuły, a wlewkę ze zdjęciem zrobisz na miejscu. Potem pójdziesz do kibla, ja w tym czasie wpiszę nazwiska i skasuję pliki.

Lolo przymrużył oczy i zmierzył z sarkazmem punka od góry do dołu.

- Bzdociu... w co ty się wpakowałeś? To nie brzmi dobrze.

- Jutro zadzwonię na pięć minut przed przyjściem.

- Nie dzwoń przed jedenastą.

Bzdet wstał i poklepał Lola po ramieniu.

- Dobry z ciebie kumpel. Ale nie przekombinuj. Jeśli nadwerezysz naszą dawną przyjaźń, możesz zachorować bardziej niż Fikołek.

- Bzdociu, co się z tobą stało? Dlaczego tak do mnie mówisz? - Lolo był tym razem szczerze rozżalony.

- Na wszelki wypadek. - Punk podszedł do wyjścia.

- Nigdy cię nie zdradziłem, pieprzony gnoju - przypomniał z irytacją w głosie gospodarz.

- Ludzie się zmieniają - rzucił przez ramię Bzdet, zamykając za sobą drzwi.

Ewa przez chwilę wahała się, ale w końcu uległa.

- Są dziewczynki? - spytała na wszelki wypadek.

- O tej porze? - Michał spojrział na zegarek. - Jeszcze w kinie. Mamy przynajmniej godzinę, aby się napić.

- Jesteśmy wykończeni, zachlamy się i jutro będziemy na kacu.

- Należy nam się. Daj spokój, nie chce mi się siedzieć samemu.

Ewa przymrużyła oczy zalotnie.

- Przecież z tobą nawet przespać się nie można - prychnęła.

- Ale chlać umiem za dwóch - zapewnił Michał. Pocałował koleżankę uroczyście w czoło i wyjął klucze. Otworzył drzwi mieszkania i puścił ją przodem. Zapalił światło w przedpokoju, zdjął kurtkę, pomógł Ewie powiesić płaszcz na wieszaku i, niestety, dopiero teraz zauważył mężczyznę siedzącego w półmroku na fotelu pośrodku pokoju.. Był elegancko ubrany i z zaciekawieniem przyglądał się parze policjantów. Miał nie więcej niż dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Oboje szybko sięgnęli do kabur, ale uprzedził ich inny mężczyzna, który nie wiadomo skąd się wziął i gdy tylko wyjęli pistolety, niemal niewidocznymi dwoma ruchami pozbawił ich broni. Stali przez chwilę w ciszy, nie tyle przestraszeni, ile przede wszystkim zdumieni.

- Jak to zrobiłeś? - wydukał wreszcie Michał, spoglądając na jasnowłosego napastnika.

Siedzący na fotelu Luigi Balea jeszcze przez chwilę badawczo przyglądał się dwójce Polaków, po czym spytał wzrokiem postać stojącą przy oknie, o co chodzi. Policjanci dopiero teraz zobaczyli pięćdziesięciolatka opartego o ścianę przy balkonie.

- Dziwią się, jak Iosif to zrobił - odparła spokojnie postać.

Ktoś z korytarza klatki schodowej zamknął za nimi drzwi.

- To jakaś mafia sycylijska, kurwa, mówią po włosku - jęknął Michał.

- To zajebicie, nie ma jak mocny akord na koniec dnia.

- Co oni tu robią?

- Ty się lepiej martw, jak się z nimi dogadamy. Nie zastrzelili nas jeszcze, więc chyba chcą się z nami lepiej poznać - szepnęła teatralnie policjantka.

Balea przeniósł wzrok na Kępińskiego.

- Nie znam polskiego - powiedział spokojnie z oksfordzkim akcentem. - Możemy porozmawiać po angielsku?

- A moglibyśmy po niemiecku? - odpowiedział nieśmiało i raczej niepoprawnie Michał. Niezbyt mocno czuł się w angielskim, ale niemiecki znał płynnie.

Luigi kiwnął głową zadowolony i dał znak starszemu mężczyźnie, że może wyjść.

- A ja co?! - warknęła prosto w ucho Kępińskiemu Ewa. - Mam tu stać jak na tureckim kazaniu?

- Trzeba się było uczyć języków - odparł, cały czas obserwując uważnie „gości”.

- Ale się mądry odezwał. Gdybym jak ty miała babkę z Austrii, też bym była taka elokwentna. Co ty chcesz, żeby cię po hitlerowsku przesłuchiwali?!

- Nie mamy złych zamiarów - odezwał się równie swobodnie po niemiecku, jak przed chwilą po angielsku, Balea, odprowadzając wzrokiem Tomasza, który właśnie zniknął za drzwiami.

- Jasne. - Michał uśmiechnął się z przymusu.

- Musi pan nam wybaczyć najście oraz to, że nie możemy się przedstawić, ale chcemy tylko chwilę porozmawiać i zaraz znikamy.

- To trochę dziwna sytuacja... - odparł niecierpliwie Kępiński.

- Dziwna stanie się dopiero wtedy, kiedy wrócą pańskie córki - zauważył Luigi, nieznacznie świdrując policjanta wzrokiem.

Michał z przerażeniem spojrział na ścienny zegar. Poczuł, jak zimna strużka potu zaczyna spływać po jego szyi. Wiedzą o dziewczynkach, przyjechali z zagranicy, są szybcy, sprawni, świetnie zorganizowani. On i Ewa nie mają szans.

- Negocjujesz nasze uwolnienie? - spytała dla porządku Nowicka.

- Nastrajam się - rzucił przez zęby w jej stronę. - Czego od nas chcecie? - mruknął do intruzów.

- Tak jak mówiłem. Tylko porozmawiać.

- O czym?

- O Krzysztofie Lorencie, katolickim księdzu, z którym bardzo chciałbym się spotkać.

- Ja też go szukam - przyznał policjant. - Ale nie mam pojęcia, gdzie jest.

- Pana żona zginęła w tajemniczych okolicznościach dwa lata temu, prawda?

Kepiński mocno zacisnął powieki.

- Nie było w tym nic tajemniczego. Lekarska pomyłka w czasie operacji nerek. Nie obudziła się z narkozy.

- No tak. - Luigi pokiwał głową. - Współczuję panu. - Jak pan sobie radzi?

- Na ten temat też mamy rozmawiać? - Michał zdecydowanie podniósł głos.

Włoch wyczuł strach, który zaczął opanowywać policjanta.

- To pański wybór - rzekł pogodnie Balea. - Nie chce pan z nami współpracować, więc po prostu bawię pana rozmową w oczekiwaniu na pańskie córki. Może jak one przyjdą, zyskamy inną płaszczyznę do dyskusji.

- Nie... - Michał był naprawdę przestraszony. - Porozmawiajmy gdzie indziej, nie tutaj. Zabierzcie nas, dokąd chcecie, ale dzieciaki nie mają o tych sprawach zielonego pojęcia. Nie ma potrzeby...

- Gdzie jest Lorent? - spytał bardziej już zdecydowanym tonem Luigi.

- Przysięgam, że nie wiem. Aresztowałbym go przecież.

- Tak od razu?

- Jest oskarżony o porwanie, a być może morderstwo, tu nie ma żartów.

Balea niezmiennie świdrował Kepińskiego wzrokiem. Odczekał jednak chwilę, zanim zadał następne pytanie.

- Co o nim pan wie?

Michał zawahał się, spojrzał na Ewę, zdając sobie sprawę, że nawet ona zrozumiała pytanie. Policjantka kiwnęła jednak głową, wyrażając zgodę. Nie było sensu chojrakować. I tak mieli raczej małe szanse, aby wyjść z tego żywi, ale może Włosi odejdą, zanim dziewczynki wrócą.

- Katolicki ksiądz, nigdy nienotowany, przykładny duchowny - rozpoczął Kępiński. - Około dwóch miesięcy temu ciężko zachorował na, jak podejrzewają lekarze, zapalenie mózgu. Inna wersja mówi, że to gwałtowny objaw schizofrenii paranoidalnej, z której do tej pory nie zdawał sobie sprawy nawet sam chory. Spędził w szpitalu ponad miesiąc. Uciekł w tajemniczych okolicznościach, porywając lekarkę.

- W tajemniczych okolicznościach? - Luigi zerknął za zegarek.

- Ktoś mu pomógł. Sam nie dałby rady. Świadkowie opowiadają, że ci sami ludzie, którzy wyciągnęli go ze szpitala, później na zewnątrz zaatakowali księdza, ale nie mam na to dowodów. Nikt nie zgłosił morderstwa lub zaginięcia, nie ma śladów, są tylko zeznania chorych.

- A lekarze?

- Nikt z nich niczego nie widział. Większość została obezwładniona przez napastników. Nie jesteście ze służb specjalnych?

- Rzeczywiście dziwna historia. - Luigi zignorował pytanie policjanta. - Trudno w nią uwierzyć. Ale niech pan kontynuuje.

- To właściwie wszystko.

Luigi ponownie znacząco spojrzał na ścienny zegar.

- No dobrze, byliśmy jeszcze u tej lekarki. Znaleźliśmy notatki o księdzu.

- Gdzie pan je ma?

- W pracy.

- Chciałbym to zobaczyć.

- Panowie... zmuszacie mnie do przestępstwa...

- Zgłosimy się do pana - mruknął Balea, wstając z fotela. - Proszę nikomu nie mówić o naszej rozmowie. I być gotowym.

- Tak... - Michał tępo patrzył na przeciwległą ścianę. Idąc do wyjścia, Luigi zatrzymał się jeszcze na chwilę przy policjantach.

- Herr Kępiński - szepnął mu niemal prosto do ucha. - Wygląda pan na miłego, dobrego człowieka, więc zdradzę, co się stanie, jeśli nie dotrzyma pan słowa. - Balea odczekał chwilę. -

Odszukamy pana i pozbawimy życia. Najpierw jednak znajdziemy pańskie córki, nawet jeśli je pan ukryje, wyrwiemy im paznokcie, połamiemy palce, zebra i nogi, wypalimy gałki oczne. Zadamy im ból, ale dopiero po długim czasie pozwolimy umrzeć. Pojedziemy również do Koszalina, gdzie ma pan rodzinę siostry, i ich także zgładzimy. Na końcu odwiedzimy tę miłą panią, która stoi obok.

Michałowi nie drgnęła nawet powieka, gdy Włoch mówił to wszystko spokojnym, niemal obojętnym tonem.

Powróciła rutyna. Nie wątpił, że tak zrobią. Wiedział, że nie żartują, i był przekonany, że mają możliwości przełamujące jakąkolwiek próbę oporu z jego strony. Uspokoił się. Trwał bez ruchu, czekając, aż wyjdą.

Punin i Balea zeszli po schodach do stojącego przed blokiem samochodu. Przy kierownicy siedział Emil; Tomasz otworzył drzwi.

- Twoja metoda to błąd? - Iosif uśmiechnął się, co u niego było raczej rzadkie.

- Nie blefowałem - odparł spokojnie Luigi.

- Nie byłbyś w stanie tego zrobić. Nie jesteś mną - prychnął Punin.

Balea odwrócił się spokojnie do towarzysza i zajął mu głęboko w oczy. Iosif spowaźniał, zatrzymując się na chwilę. Instynkt, który do tej pory raczej go nie zawodził, teraz sprawił mu zawód. Wyrachowany, nieludzki chłód, jaki bił z twarzy Luigiego, przeraził nawet twardego jak skała Iosifa. Ta myśl, która przez kilka sekund przejęła go wstydem, dała niemal natychmiast do zrozumienia porywczemu aurelicie, że nie znał swojego brata w ogóle, choć przecież dorastali razem tyle lat pod okiem dobrego i mądrego ojca. Ile jednak tajemnic jeszcze krył przed nim Luigi, nie mógł się nawet domyślać.

Michał ciężko usiadł na kanapie.

- Ile z tego zrozumiałaś? - spytał głucho Ewę.

- Piąte przez dziesiąte, raczej średnio uważałam na szwabskim w szkole.

- Jeśli nie zrobię tego, czego chcą, zabiją nas wszystkich. Moją rodzinę, a może i twoją.

Ewa mocno chwyciła Kępińskiego za marynarkę.

- To tylko pamiętnik! - wybuchła z pasją. - Kto o nim wie? Nikt. Jest na dole w samochodzie. Trzeba było go od razu im dać. Prokuratorowi powiemy, że nic nie znaleźliśmy.

- Nie dzwoniłaś do Gucia?

- Nie.

- Nikt na pewno nie wie o notatniku?

- Nie.

Michał odetchnął głęboko. Szukał w umyśle wszystkiego, co mogłoby się teraz przydać.

- A co będzie, jak znajdziemy Lorenta - spytała nagle Ewa.

- Nie znajdziemy.

Nowicka pokręciła głową, wyrażając w ten sposób poważną wątpliwość.

- Ukrycie pamiętnika to jedno, ale sabotowanie śledztwa to już co innego. Nie damy rady tego ukryć.

- Nie musimy. Widziałaś tych facetów?!

- No i co z tego? Michał puknął się w czoło.

- Myśl! Jak oni mnie znaleźli? Skąd wiedzieli o mojej rodzinie?! Tego nie ma w gazetach!

Wiedzieli nawet, kiedy moje córki wracają.

- Mogli usłyszeć. Gadałeś o tym przed wejściem do mieszkania, jakbyś miał w gardle megafon.

- Nie znali polskiego.

- No dobrze. - Ewa rozłożyła ręce. - Mają swojego agenta w kinie.

- Nie rób sobie jaj! - warknął Kepiński. - Tu chodzi o życie moich córek!

- OK, mają spore możliwości, zaskoczyli nas.

- Właśnie! - Michał klasnął w dłonie. - O to chodzi!

Nowicka spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Jesteśmy przy nich jak dzieci - ciągnął Michał. - Widziałaś, jak zabrali nam broń? Jakby facet był jakimś pieprzonym Davidem Cooperfieldem!

- Chcesz zrobić nastrój?! Jestem już wystarczająco wystraszona!

- Nie o to chodzi. Mówię ci, że nie musimy sabotować śledztwa. Oni po prostu znajdą go szybciej. I nic na to nie poradzimy. Będziemy nadal robili swoje, ale mamy to jak w banku, oni będą zawsze krok przed nami. My tylko musimy im pokazać ten notatnik. Może go nam nawet nie zabiorą. Czekaj... - Pomysł, który mu wpadł do głowy, ożywił nagle jego gestykulację.

- Co jest?

- On będzie grał dla nas. Dajmy mu szansę.

- Jak?

- Prędzej czy później będzie chciał uciec przez granicę.

- Za późno. Rozesłaliśmy zdjęcia i dane.

- Ale nieoficjalnie. Przecież jest blokada na prasę. Tylko okularnicy to mają. Zwykli pogranicznicy nie. Przejedzie. Nie jest idiotą i nie wygląda mi nawet na chorego, da sobie radę. A co dalej? Trzeba dopilnować, żeby to się nie dostało do Interpolu.

- To akurat żaden problem. Szef myśli, że to pierdółka niewarta uwagi. Wszystko spuścił na nas. Tylko co mu powiemy, jak się dowie o tej blokadzie na pismaków?

- Że chcemy bronić dobrego imienia pacjentów. Kupi to. A nam chodzi tylko o trochę czasu.

- A tamci?

- Tamci jeszcze nas o poproszą. Im też nie zależy na reklamie, a gliniarze szukający tego księdza po całej Europie tylko by im bruździli.

Ewa usiadła na fotelu i ukryła twarz w dłoniach. Słysząc było, jak głęboko i ciężko oddycha.

- Kim oni są? - jęknęła, stukając palcami w czoło.

- Na pewno nikt od nas. Mogli zgrywać cudzoziemców, blefować, ale nie wierzę, że to ktoś z miasta.

- Spece? Czarni?

- Nie ich metody. Zresztą po co? Nie musieli mnie straszyć w mieszkaniu, mogli przyjść na komendę. Co to, kurwa, jakaś ukryta kamera?

- Myślisz to, co ja? - spytała po kilku sekundach ciszy Nowicka.

- Że podobni magicy byli pod szpitalem?

- Właśnie.

- Tamci ponoć też nie owijali w bawełnę. Chcą tego gościa po prostu zabić. Spróbujemy uratować mu życie.

- Uwierzyłeś w te bajki z wariatkova?

- Próbuję przykapować, co jest grane, to wszystko. Myślę, że jeśli nie będziemy zachowywali się jak słonie w składzie porcelany, może przeżyjemy. To nie o nas tu chodzi. Chcesz się napić? - Michał podszedł do barku.

- Tak.

- Co?

- Harcerzyka.

- Jasne. - Kępiński nalał do szklanki wódkę z colą i podał koleżance.

- Dlaczego tak cholernie im na nim zależy? - Ewa pociągnęła dwa łyki ze szklanki.

- To proste. Dowiedział się czegoś niebezpiecznego, pewnie o nich. Być może symulował chorobę psychiczną, aby się ukryć w szpitalu. Kiedy już go i tam znaleźli, nie miał innego wyjścia i uciekł. Reszta to fantazje świrów.

- A lekarka?

- Może wie to, co on. Od niego. Chciał, żeby mu pomogła i ją wtajemniczył. Teraz musi uciekać razem z nim. Dlatego wyglądało na to, że współpracuje. Nie docenili go. Załatwił ich cyngla, a może nawet dwóch, którzy na niego czekali przed szpitalem. Teraz mają kłopot.

Ewa znowu pokręciła niedowierzająco głową.

- Nie kupuję tego.

- Ta teoria ma może kilka dziur, ale brzmi w miarę wiarygodnie.

Nowicka zajrzała koledze głęboko w oczy.

- Co brzmi wiarygodnie? Ze młody ksiądz, znany w swojej parafii z łagodności i tolerancji, okazuje się zaplątany w sprawy jakiejś mafii? Że zachowuje się jak James Bond i jest cwańszy nie tylko od nas, ale i od nich? A może to, że - jak mówisz - „załatwił ich cyngli”? - Policjantka machnęła zniecierpliwiona ręką. - Właśnie widziałam jednego z tych „cyngli”, mógłby wykładać w klasztorze Shaolin - zakończyła gorzko.

Zgrzyt klucza w zamku wejściowym przerwał ich rozmowę.

- Ani słowa dziewczynkom - rzucił szybko Michał. Ewa potwierdziła skinieniem głowy.

- Wrócę do firmy i sprawdzę, gdzie klecha był za granicą przez ostatnich kilka lat - szepnęła, widząc, że drzwi już się otwierają.

Widok córek przywrócił uśmiech na twarz Michała, a piekący ból w mostku stał się jakby mniej dokuczliwy.

ROZDZIAŁ 6

Boże mój! Twórco nieznanych dróg... Daj mi pewność i wiarę, że czynię dobrze, lub zawróć mnie z tej ścieżki i pozwól odejść. Postępuję, tak jak chcesz, i będę wierny do końca. Głos Kapłanów z przeszłości mówi już do mnie i słyszę go wyraźnie. Za dużo jednak robię błędów, grzeszę lękiem, wątpliwościami, przywiązaniem do spraw nieistotnych. Dziękuję Ci, że przeprowadziłeś nas szczęśliwie przez tyle granic i nie pozwoliłeś przy tym nikogo skrzywdzić. Dziękuję Ci za przyjaciół, których poświęcenie jest cenniejsze niż oddech i dar bicia serca. Dziękuję Ci za łaskę, obdarzyłeś bowiem nią tych, z którymi podróżuję, i otocz ich Swoją opieką, by nie musieli cierpieć za innych. Błagam Cię, choć nie jestem godzien. Tylko Tyś jest Panem, tylko Tyś najwyższy, Jezu Chryste, zbaw nas od złego. Amen!

Krzysztof podniósł się z kolan i spojrzał na parking przy autostradzie. Przy samochodzie stali, opierając się o dach, Ola i Wilecki. Lekarka pociągała z butelki colę, profesor skupił się na rozmyślaniach o... samym sobie. Lorent podszedł do towarzyszy podróży. Autostradą hałaśliwie przemykały kolejne wozy.

- Jak to zrobimy? - spytała rzeczowo Sambierska, bekając cichutko po wypiciu ostatniego łyka.

- Tak jak powiedział ten człowiek od Bzdeta.

- Tak po prostu? - spytał, udając obojętność Wilecki.

- Musimy zaryzykować. To już nie jest polska granica, nie trzeba wyprawiać tych wszystkich kretyństw. Tu nikt nie powinien nas rozpoznać. Jeśli źródła tego człowieka mówią prawdę, za granicą nikt nas nie szuka.

- Trochę dziwne. - Ola wzruszyła ramionami.

- Wcale nie dziwne - prychnął profesor. - Jak niby polska policja miałaby to zlecić Interpolowi? Rycerze, miecze, czary-mary, ksiądz cudotwórca... Samemu wciąż jeszcze trudno mi w to uwierzyć.

- Chyba nie tylko o to chodzi - mruknął cicho Krzysztof.

- Co masz na myśli? - ożywiła się Sambierska.

- Aurelitów - odparł krótko Lorent.

- Ale jak...

- Nie jestem pewien, jednak coś mi mówi, że będą trzymali policję z daleka od nas.

- To nie takie proste, nawet dla nich - zauważył profesor.

Krzysztof przytaknął, choć niezbyt przekonująco. Podeszedł do jednego z pobliskich drzew i przyjrzał się konarom, jakby badał ich wiek.

- Zauważcie, że nikt się z tym nie reklamuje - westchnął głęboko. - Nie ma tego w radiu, w telewizji, nawet w prasie brukowej. Przecież zawsze jakiś dziennikarz znajdzie sposób na to, aby dotrzeć do takiej informacji.

Profesor pokręcił ze zniecierpliwieniem głową.

- Bo z ich punktu widzenia to jedna z tysiąca spraw. Ze szpitala uciekł schizofrenik, zaginęła lekarka, i już - cała filozofia. O czym tu mówić w telewizji?!

- Na przykład o trzech trupach pod szpitalem - zauważyła beznamiętnie Ola.

- Nie ma trupów pod szpitalem! - wyakcentował każdą sylabę Wilecki. - I nigdy nie było. Nikt przy zdrowych zmysłach nie widział tam żadnych ludzi, żadnej walki i żadnych ofiar. A dam sobie „prof.” uciąć przed nazwiskiem, że nikt nie zgłosił morderstwa.

- Dlaczego nie mówisz nam, dokąd jedziemy? - spytała z innej beczki Ola.

- Bo tak jest bezpieczniej - odparł Lorent.

- Ale jesteśmy już pięć kilometrów od granicy słowacko-austriackiej, teraz chyba możesz?

- Jeszcze daleko.

- Rany boskie! - Sambierska trzepnęła ze złością rękami o spodnie i wsiadła do samochodu, ale widząc, że żaden z nich nie reaguje, zmarszczyła brwi. - Ty, Casanova! Możesz dalej mnie podrywać, niewykluczone, że dzięki tobie podróż była trochę mniej nudna, wsiadaj wreszcie! Robi się ciemno. A ty, Krzysiek, chrzań się! - Trzasnęła drzwiami.

Lokal Pod Słoniem był zadymiony do tego stopnia, że sala dla niepalących straciła właściwie rację bytu. Przy niewielkim stoliku na piętrze od kilku już godzin tkwiła chuda, ostrzyżona na Sinead O'Connor, a może na Annie Lennox - kobieta oraz towarzyszący jej mężczyzna, lekko łysiejący czterdziestolatek, w tym oświetleniu i dymie może nawet trochę przystojny. Między nimi stała butelka coca-coli, sok pomidorowy w kartonie, dwie szklanki i opróżniona prawie do końca butelka siwuchy. Druga. Pierwszą kelnerka zabrała godzinę temu. W pewnym momencie, pod koniec przedłużającej się chwili ciszy, głowa chudej kobiety dość raptownie opadła na drewniany stolik i tam już pozostała. Jej właścicielce blat wydawał się cudownie miękki i wygodny, choć przede wszystkim praktyczny. Towarzyszący damie dżentelmen bohatercko trzymał pion i nawet nie chciało mu się rzygać, więc jeszcze raz uniósł

uroczyście szklanę i z wyczuciem policjanta po służbie zaintonował - *Krew naszą długo leją katy...* Nadludzkiem wysiłkiem kobieta uniosła głowę. Był to czyn tyle mężny i heroiczny, co przede wszystkim - altruistyczny, miał bowiem w swojej genezie troskę.

- Sssórki sprawdziłeś? - wypowiedziała się ze szczerą turbacją.

- Są już u dziadków. - Mężczyzna nabrał głęboko powietrza. - Spwdziłem - zameldował z niemałym trudem. - Tełllefonsznie.

Myśl o bliskich zawisła nad nimi tak gęstą, ciemną chmurą, że nie zauważyli, iż nad stolikiem z kolei zawisła postać kobieca (choć na pierwszy rzut oka bez biustu), ubrana dyskotekowo, w żywe kolory. Trzeźwa.

- O! - wydobyła z siebie kolejną myśl siedząca przy stoliku kobieta, znajdując wzrokiem nowo przybyłą.

Ta jednak, nie wiedzieć czemu, zwróciła się do mężczyzny.

- Dzień dobry, nazywam się Monkiewicz-Swięcicka primo voto... - Niestety, ostatniego członu jej rozbudowanego nazwiska siedzący przy stoliku nie dosłyszał.

- Srasznie dłuhe nazwisko - zauważył refleksyjnie. - A imię?

- Nazwisko powinno chyba panu powiedzieć, z kim pan rozmawia - głos paniusi wiszącej nad stolikiem stał się piskliwy.

- No, nie mófi - przyznał mężczyzna.

- Jestem dziennikarką, pracuję w tygodniku...

- Spierdalaj - zaproponowała wstępnie siedząca przy stoliku kobieta, z wysiłkiem utrzymując głowę nad blatem.

- To skandaliczne zachowanie jest nie do przyjęcia! - syknęła paniusia. - Przyszłam porozmawiać z komisarzem Michałem Kepińskim lub z podkomisarz Ewą Nowicką!

- Spierdalaj - zachęciła ponownie Ewa. Mimo pokażnej ilości alkoholu we krwi policjantki, głos pani Monkiewicz-Święcickiej, primo voto coś tam, wdierał się do jej głowy nieznośnie dźwięcznie. Najgorsze jednak było to, że żurnalistce śmierdziało z ust tak przejmująco, że żaden alkohol złagodzić tego nie był w stanie.

- Nie wolno odmawiać państwu rozmowy z prasą! - ogłosiła przez zęby dziennikarka.

- Jesteśmy po służbie - odparł oficjalnie Michał.

Ewa z trudem podniosła wzrok.

- Jesssu, jaka ty jesteś brzydka - westchnęła ze szczerą troską policjantka.

- Obafiam się - kontynuował oficjalnym tonem Kępiński - że nie możemy pani w naszym pomós.

- Państwa kolega, podkomisarz Załuska, jest innego zdania.

Michał dość nagle zyskał chęć natychmiastowego wytrzeźwienia.

- Ewa - zwrócił się do koleżanki, usiłując jak najszerzej otworzyć oczy. - Gucio dał tej pani wywiad.

Wzrok Nowickiej stał się gniewny.

- Szego chcesz kaszalocie? - buchnęła parą zmieszaną z alkoholem w stronę dziennikarki, srogo rewanzując się za cuchnący oddech.

- Z szacunkiem proszę! - wyskrzeczwała wkurzona do granic możliwości pismaczka. - Szukam informacji o zaginionej lekarce ze szpitala psychiatrycznego. Państwo prowadzą to śledztwo!

- Myli się pani - odparł uprzejmie Michał. - Nis o takiej sprawie nie syszeliśmy.

- Ty, primo voto, mówiłam ci, żebyś spierdała? - zapytała dla porządku Ewa.

- Mówiłaś - przypomniał Kępiński. - Ale ta pani się po prostu pomyliła.

- Nic nie pomyliłam! - włączyła się pani Monkiewicz-Swięcicka. - Pan podkomisarz zdał mi sprawozdanie oraz pomógł mi państwa znaleźć! Żądam informacji albo w krótkim czasie sprawię, że pożegnacie się z posadami!

- A w jak krótkim? - zainteresowała się Ewa, ale, niestety, nie starczyło jej sił i osunęła się z powrotem na stolik, zasypiając niemal natychmiast.

- Pani chyba nie rozumie - wyręczył niedysponowaną koleżankę Michał. - Podkomisarz Gucio mija się z prawdą i nie możemy pani pomós.

Uśmiech ukazany przez policjanta pod koniec tego zdania był przejmująco miły.

- Państwa postawa jest skandaliczna! - niepotrzebnie uniosła głos pani primo voto coś tam.

- Zgłoszę to odpowiednim organom! Nie są w stanie państwo nawet trzeźwo rozmawiać!

Obserwujący od pewnego czasu zdarzenie pan Zenek, szerokobarczysty ochroniarz, podszedł do stolika.

- Czy ta pani państwu przeszkadza? - spytał oficjalnie.

- Obawiam się, że tak - przyznał Kępiński.

- Proszę natychmiast opuścić lokal. - Wzrok pana Zenka skierowany w stronę dziennikarki był groźny i zdecydowany.

Paniusia prychnęła z oburzenia, ale szybko wycofała się i podreptała w stronę drzwi.

- Chamstwo, drobnomieszczaństwo i prymitywizm! - pomstowała, znikając za oparami dymu.

Pan Zenek nachylił się nad policjantem.

- Michał, kontaktujesz jakoś?

- Kiepsko - przyznał Kępiński.

- Mam kogoś wysłać, żeby ją przepytał?

- Nie, ale sprawdź, czy ktoś za nią poszedł.

- Załatwione.

- I każ mi przynieść mocnej kawy.

- Co?! - Bogdan Wilecki z wrażenia prawie usiadł na chodniku. Stali przed katedrą wiedeńską o nieocenionej austriackiej wartości historycznej, pokrytą dziwnym, niezrozumiałym, a zdaniem wielu - idiotycznym dachem. - Targałeś nas przez pół Europy, żeby teraz lecieć do Skandynawii?!

- Taki był plan - odparł szczerze Krzysztof.

- Po co nas narażałeś na telepanie się samochodem taki kawał, skoro to nie miało sensu? - spytała spokojnie, ale jednak głosem niepozbawionym niepokoju Ola.

- Miało - odparł Lorent. - Tak było naprawdę najbezpieczniej. W skrytce na tutejszym dworcu kolejowym czekają na nas bilety na samolot i pewne dokumenty. Lecimy za trzy godziny.

- Nie pytam nawet, co to za dokumenty - westchnęła Ola.

Profesor osunął się w końcu na najbliższą ławkę i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie bój, Boguś. - Lekarka poklepała go po ramieniu. - W czasie podróży byłeś tak rześki, że przeżyjesz.

- Nienawidzę latać! - warknął przez zęby Wilecki.

- Jak ty się ślicznie złościsz. - Posłała w jego stronę zalotny uśmiech.

- Przecież jesteś naukowcem, musisz latać - zdziwił się Krzysztof.

- Staram się unikać.

- Boisz się? - spytała rozbawiona Ola.

- Nie boję się latać! Boję się spadać! - wycodził przez zęby Wilecki.

- Tym razem nic się nie stanie - oznajmił spokojnym i pewnym głosem Lorent.

- A ty skąd to wiesz?

- Wiem. Możesz mi zaufać. - Twarz Krzysztofa była elegijnie poważna. - Mówi do mnie mądrość wieków.

Profesor podniósł głowę i uważnie zmierzył wzrokiem Krzysztofa.

- No dobrze, jak trzeba, to trzeba. - Wstał i otrzepał ręce. - Wstąpmy jednak może do jakiegoś sklepu i kupmy chociaż ubrania na zmianę, to naprawdę dość krępujące... ta nieświeżość.

Lorent uśmiechnął się dobrotliwie.

- Na to z pewnością mamy pieniądze.

- No więc idziemy. - Wilecki wstał i rażno pomaszzerował w stronę ulicy.

Ola podeszła dyskretnie do Krzysztofa

- Skąd wiesz, że z tym samolotem będzie wszystko w porządku? - spytała szeptem. - Masz wizję czy coś w tym stylu, zdolności, które...?

- Boisz się latać? - przerwał Lorent.

- Nie.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, co się stanie z nami za pięć minut, a co dopiero podczas lotu, ale to jedyny pomysł, jaki mi wpadł do głowy. Widzisz, jaki szczęśliwy? - Wskazał na idącego kilka metrów przed nimi profesora. - W życiu przecież by nie wsiadł do tego samolotu.

- Dokąd lecimy?

- Do Kopenhagi, resztę powiem ci w drodze.

- A do grobowców cesarzy zdążymy?! - krzyknął z oddali przez ramię Wilecki.

- Jasne! - Lorent uśmiechnął się. - Jeszcze ci się znudzą krypty i grobowce - dodał cicho pod nosem, ale Sambierska go usłyszała. Bała się jednak zapytać, co miał na myśli.

Trzy godziny później samolot wystartował o czasie z całą trójką na pokładzie. Nie popsuł się, nie odpadły mu skrzydła, a co najważniejsze, ponad wszelką wątpliwość nie spadł. Nie mieli także kłopotów z odprawą paszportową. Wszystko szło na razie dobrze, więc nawet nieznośny profesor stał się spokojniejszy. Gdy tylko samolot wpadał w niewielkie turbulencje, Wilecki natychmiast spoglądał na Lorenta, ten dawał mu znak, że wszystko idzie zgodnie z przeznaczeniem, więc opierał z powrotem głowę o fotel i uśmiechał się, choć za bardzo nie wiadomo do kogo.

Ola siedząca przy oknie wciąż patrzyła w dół, Krzysztof cicho się modlił, a profesor... się uśmiechał.

- A więc? - spytał wreszcie Wilecki.
- Tak? - Lorent wyrwany ze skupienia spojrzał pytająco na profesora.
- Miałeś powiedzieć, dokąd lecimy.
- Do Kopenhagi.
- A dalej?
- Do Roskilde, to trzydzieści kilometrów od lotniska.
- Wiem, gdzie jest Roskilde - mruknął niecierpliwie profesor.
- A ja nie wiem. - Ola wreszcie odwróciła się od okna. - Skoro już lecę z jajogłowymi mądralami, może ktoś mi wyjaśni.

Błysk w oku Wileckiego dał do zrozumienia Krzysztofowi, że ma przez pewien czas siedzieć cicho, aby dać szansę mu się popisać.

- To pierwsza stolica Danii - wyjaśnił łaskawie, nie rezygnując z uwodzicielskiego uśmiechu. - Już w epoce wikingów to był ważny ośrodek władzy. Pierwszy chrześcijański król, Harald Sinozęby, ufundował tam drewniany kościół, w którym zresztą został pochowany. Potem zastąpiono go pierwszą w Skandynawii budowlą murowaną. Wkrótce tamtejsze biskupstwo stało się najbogatsze i najpotężniejsze w całym kraju. A od czternastego wieku w katedrze byli i są chowani władcy duńscy. Na pewno znajdziemy czas, aby ją zwiedzić, pokażę ci... - nagle przerwał i spoważniał, po czym spojrzał na Lorenta.

- Dobrze mówisz - upewnił go Krzysztof, z uznaniem kiwając głową i nie zwracając uwagi na duszącą się ze śmiechu za plecami Wileckiego, Olę.

- Skarb... *unius oculi*... - profesor zaakcentował każdą sylabę. - Czy to jest to, co myślę?!
- Możliwe - odparł spokojnie Lorent.
- A moglibyście tak bardziej po ludzku? - burzyła się Sambierska.

Wilecki odwrócił się w jej stronę.

- Skarb *unius oculi*, czyli...

- Znam łacinę, jełopo, jestem lekarką - mruknęła gniewnie. - Skarb Jednego Oka, to tylko nazwa. No i co z tego?

- To nie tylko nazwa. - Profesor uśmiechnął się, nie zważając na ściągnięte brwi i jej ślicznie zaciśnięte, jak uważał, usteczka. - Jak podejrzewam, nasz drogi ksiądz, przepraszam, były ksiądz, wiezie nas do katedry w Roskilde do grobowca Chrystiana IV, mam rację?

Krzysztof przytaknął z uznaniem, a Ola zamieniła się w jeden wielki znak zapytania.

- Gdzie jest ten skarb? - spytał rozemocjonowany naukowiec. - W grobowcu, gdzieś obok?

- Pod podłogą w pobliżu jego trumny - wyjaśnił spokojnie Krzysztof.

- Jakiego Chrystiana?! - Sambierska się buntowała.

- Poczekaj chwilę! - upomniał ją profesor i odwrócił się do Lorenta. - Jak chcesz się do niego dostać? Przecież uzyskanie pozwolenia zajmie całe tygodnie!

- Nie poczekam! - oświadczyła zdecydowanie Ola.

- Chrystian IV - wyjaśnił niecierpliwiej lekarce Wilecki - w bitwie ze Szwedami w Zatoce Kilońskiej w 1644 roku stracił oko. Duńczycy nawet śpiewają o tym w swoim hymnie. Pod jego trumną ukryto skarb, tylko co w nim jest?

- Teraz sam nie wiem - przyznał Krzysztof. - Skoro powiedziałaś, że profesor Link o tym wiedział, liczę na jakąś wiadomość od niego. Nie mam tylko pojęcia, jak to możliwe...

- W tym ci nie pomogę. Wiem, że zasugerował taką właśnie „skrzynkę kontaktową”. Być może zostawił tam po prostu swój adres.

- A więc ma do nas ważny interes.

- Ma do ciebie ważny interes - poprawiła Ola. - Ja tylko miałam cię wyleczyć ze schizofrenii, a on powinien dalej podrywać swoje studentki. Wciąż nie mogę uwierzyć, że siedzę w tym samolocie.

- Ale ci się zebrało... - skrzywił się Wilecki. - A właśnie! - Uniósł palec, jakby przypomniał sobie coś szczególnie ważnego i znów spojrzał na Lorenta. - Nie odpowiedziałeś na pytanie. Jak chcesz zdobyć pozwolenie na rycie podłogi w największym zabytku Skandynawii?!

- Nikomu nie możemy o tym powiedzieć - przyznał spokojnie Krzysztof. - Nie będzie żadnego występowania o pozwolenie.

- Nie... - Szczęka opadła profesorowi tak spektakularnie, że jego miny w żaden sposób nie można było określić mianem inteligentnej. - Nie myślisz chyba...

- O włamaniu? - upewnił się Lorent. - Właśnie o tym myślę - dokończył beztrąsko.

Kac na tyle mocno dawał się we znaki, że nie obyło się bez stosownych proszków. Michał zwłóknął się z kanapy i niepewnym krokiem doszedł do sypialni. Ewa w ubraniu i w butach spała na łóżku jednej z jego córek. Kępiński podszedł do policjantki i potrząsnął lekko za ramię.

- Ewa...

- No? - chrapnęła, niechętnie się budząc.

- Właściwie jest rano - powiadomił ją, spoglądając dla pewności przez okno.

Zasłona była tylko częściowo zasunięta i prześwitywało przez nią słońce.

- Jest niedziela, darujmy sobie - rzekła z wysiłkiem. - Twoje córki są u dziadków, mamy dziś wolne.

- Niezupełnie - przyznał markotnie Michał. - Trochę się boję o tę dziennikarkę.

- Nie rozumiem.

- Śledzili ją. Nas zresztą też.

- To oczywiste, a czego się spodziewałeś?

Michał poszedł do kuchni, aby nalać sobie szklanek zimnej wody, pociągnął dwa łyki i wrócił do sypialni.

- Pamiętasz, z jakiego tygodnika była ta kobieta?

- Nie. W ogóle jej nie pamiętam.

- Trzeba zadzwonić do firmy.

- I co im powiesz? Ze chroniąc własne tyłki, spowalniamy śledztwo i oddajemy dowody przestępcom?

- To niekoniecznie musi być tak. - Michał raptownie złapał dłonią za czoło. Gwałtowny ból na szczęście po chwili minął.

Ewa pokręciła tylko z dezaprobatą głową.

- Wiem! - wybuchnął nagle Kępiński. - Zadzwonimy do firmy i poprosimy do telefonu Gucia. Nie na jego komorę czy nawet do pokoju, tylko do „szklarni”, do dyspozytora.

- A jak nas po prostu połączy?

- To znaczy, że wszystko jest OK. Umówimy się z tym jemiółem i zmusimy jakoś do milczenia. Jeśli dziennikarce coś się stało, z pewnością wszyscy już będą o tym wiedzieli.

- A jak nie?

- Gdyby coś jej zrobili, na pewno postaraliby się, abyśmy się szybko o tym dowiedzieli. W ten sposób próbują nas szantażować.

- Pewnie tak - przytaknęła Nowicka. - Ale jeśli ta dziennikarka wyszła ze wszystkiego cała, zacznie szaleć i wtedy leżymy.

- W razie czego znajdziemy ją.

- I przyznasz się?

Michał podniósł krytyczny wzrok na koleżankę. Do tej pory wpatrywał się w podłogę, próbując coś wymyślić, ale teraz destruktyny kac Ewy zaczął go wkurzać.

- Czego trujesz?! Przecież nawet jej nie pamiętasz! -zauważył cierpko.

- Pamiętam pytania, a to wystarczy. - Machnęła ręką. - No dobra, dzwoń.

Michał podszedł do telefonu i wystukał numer. Gdy się połączył, usłyszał znany mu głos Karola Pędzicha, często dyżurującego w „szklarni”.

- Hej Karol, jak żyjecie? - spytał, udając bez troskę.

- Będziecie dzisiaj?

- Co jest grane?

- Gucio jest w szpitalu. Michał bezradnie zwiesił głowę.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś? - jęknął, zaciskając zęby.

- Wszyscy wiedzą, że wczoraj ostro łykaliście. Po cholere wasze mordy miały obsmarować telewizory?

- Teraz jesteśmy trzeźwi. Mów, gdzie on jest!

- Na Stępińskiej.

- O mój Boże... w tym śmietniku?! Dlaczego nie na Wołoskiej? Jak jest?

- Nieźle. Tylko trochę poturbowany, wyjdzie za dwa, trzy dni.

Michał ciężko wypuścił powietrze z płuc.

- Jedziemy do niego - rzucił do Pędzicha i rozłączył się. - Słyszałaś?

- Głuchy by usłyszał - mruknęła Ewa. - Gada, jakby miał megafon w gardle.

- Wsadź łeb pod kran i zapieprzamy do gnoja.

- A dziennikarka?

- Zgadnij, co się z nią mogło stać, skoro Gucio leży w szpitalu, a ona ganiała po mieście z wypisanym na czole nowym tematem?!

Krzysztof zszedł z pomostu, przy którym stała pięknie odrestaurowana, długa, czarna łódź, z żółtawym pokładem. Kiwała się na wietrze, udając prawdziwy normański okręt, radując zwiedzające muzeum dzieci i Japończyków z aparatami. Prawdziwe jednak muzeum zaczynało się za przystanią w wielkim budynku Vikingskibsmuseet. Tam właśnie skierował się teraz Lorent, idąc w skupieniu, milczący i jakby smutny. Ola przyglądała mu się od dobrych paru minut, nie

miała jednak odwagi o cokolwiek zapytać. Dreptała tylko za nim, bojąc się odstąpić nawet o krok. Profesor biegał oczywiście po wszystkich chatach zrekonstruowanych na potrzeby turystyczne i z łapczywością ciekawego wszystkich szczegółów dziecka zapisywał w kajeciku każdą myśl, komentarz, uwagę dotyczącą ekspozycji. Najwięcej jak do tej pory czasu spędził w chacie, gdzie rzemieślnik rzeźbił zamówione przez gości pamiątki, a nawet - jak się okazało - był w stanie ze swoim zespołem wybudować całą łódź, jaką zażyczył sobie pewien bogaty przemysłowiec z Francji. Wilecki wbiegł potem do szalasu z sieciami, grotami i mapami, a następnie przemaszerował po pomoście, gdzie stały przycumowane repliki, ale oczywiście siedział przy każdej z nich pół godziny dłużej niż reszta.

- Roskilde - mruknął cicho Krzysztof.

- Byłeś tu kiedyś? - spytała niepewnie Ola.

- Dawno temu - odparł smutno.

- Jesteś jeszcze młody. - Lekarka próbowała rozładować atmosferę. - Nic nie może być aż tak dawne, żeby wywoływało smutek.

Lorent przeniósł wzrok na Olę i uśmiechnął się delikatnie.

- Może - powiedział po chwili, odwracając się ponownie w stronę fiordu.

Ola ważyła w myślach opłacalność następnego pytania. Dać mu spokój, co być może odsunie na pewien czas bolesne wspomnienia, czy zaspokoić potworną ciekawość, ryzykując pogorszenie stanu pacjenta? Niemal natychmiast wybrała zdecydowanie mniej szlachetną opcję.

- Jak dawno temu tu byłeś ostatni raz? - spytała odważnie.

Krzysztof ponownie zamyślił się. Odczekał chwilę, zanim odpowiedział.

- To było niezwykle - zaczął wreszcie. - Nie zrozumiesz. - Jego wzrok ponownie utkwił gdzieś pośrodku fiordu.

- Daj mi szansę i opowiedz wszystko! - podjęła z pasją. - Zrozumiem.

- Nie sądzę.

- Sprawdź mnie, chyba wreszcie nadszedł czas, żebyś mi zaufała!

- No dobrze... - zgodził się, popadając znowu w coś w rodzaju melancholii. - Gildenlów...

Hallgren...

- To twoi przyjaciele z czasu Normanów?! Byli wikingami?!

- Nie - odparł spokojnie. - Są członkami grupy rockowej Pain of Salvation, mojej ukochanej. Grali tu na Roskilde Festival dwa lata temu. To było przeżycie... Ta niesamowita gitara Hallgrena, śpiew Daniela Gildenlöwa. Mówiłem, że nie zrozumiesz....

- Ty potworze! - Rzuciła się wściekła z pięściami na Lorenta. - I ty byłeś księdzem?!

Nienawidzę cię!

Krzysztof roześmiał się, bohatersko odpierając ciosy.

- Żałuj, że nie byłaś. Przyjechałem tu z bratem Albertem Ponudzkim i oczywiście z Bzdetem. Ale oni woleli Opeth. Szczególnie kawałki z płyty *Damnation*.

Zajęta okładaniem swojego pacjenta, Sambierska nie zauważyła, jak dołączył wreszcie do nich profesor.

- Dlaczego go bijesz? - spytał rzeczowo.

- Jego poczucie humoru właśnie zważyło mnie z nóg, więc odzyskuję formę - warknęła przez zęby.

- Idziemy tam? - spytał z nadzieją, wskazując wielki, białawy i raczej biurowato wyglądający budynek głównego muzeum, po czym, nie czekając na odpowiedź, rażno ruszył w tamtym kierunku.

- *Animae partus*²⁹ - mruknął pod nosem Krzysztof, gdy już darowano mu resztę kary i podążył za Wileckim.

Słoneczna, letnia pogoda sprzyjała sielskiej atmosferze i zapominaniu o kłopotach. Przynajmniej na pewien czas. Pieniądze Bzdetu powoli kończyły się, ale nikt nie śmiał odmówić profesorowi kupna biletów, choć sporo kosztowały. Zapłacili prawie dwieście koron, ale przerwa w przynudzaniu była z pewnością warta znacznie więcej.

- Tyle razy miałem tu przyjechać - wzdychał Wilecki, chodząc między gablotami z pozostałościami broni, ubrań, a nawet szkieletów wikingów. - Nigdy nie starczyło czasu...

- Srrutututu - burknęła pod nosem wciąż rozdrażniona Sambierska. - Jak by się chciało, to by się przyjechało, zamiast pieprzyć studentki w przerwach między modlitwami do własnego portretu.

- A oto i słynne statki! - wyrecytował profesor, który na szczęście nie usłyszał uwagi pani doktor. Wyszedł na coś w rodzaju balustrady, na piętrze, gdzie zebrano większość drobnych eksponatów, i wskazał ręką na dół. Z tego miejsca, kilka metrów ponad salą okrętów, doskonale było widocznych pięć wraków łodzi normandzkich, każdy z nich innej wielkości, wszystkie jak na swój wiek nieźle zachowane. Drewno szerniało, wyschło, ale w wielu miejscach zachowało oryginalny kształt, jaki nadali mu mistrzowie sprzed dziesięciu wieków. Na szczęście ręce konserwatorów nie zniszczyły tego, co najwartościowsze, nie odebrały, nachalnym uzupełnianiem

²⁹ *Animae partus* (łac.) - w wolnym tłumaczeniu - Część (mojej) duszy. Ale tu Krzysztof jednocześnie cytuje tytuł utworu zespołu Pain of Salvation otwierający płytę *Be*.

brakujących elementów, pierwotnego charakteru okrętów, nie starały się być mądrzejsze od historii. Na szczęście.

Zgodnie z przewidywaniami, profesor, schodząc po schodach, przejął rolę przewodnika.

- Te statki wydobyto na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, a w 1969 roku udostępniono je zwiedzającym - zaczął wesoło. Humor miał wyśmienity, nie było sensu mu nawet dokuczać, bo i tak dzisiaj by tego nie zauważył. - Przez całe lata uważano, że zatoneły w pobliskiej zatoce w czasach Małgorzaty³⁰, w tajemniczych okolicznościach. Później jednak odkryto prawdę. - Profesor zawadiacko uniósł brwi. - Statki powstały i poszły na dno znacznie wcześniej, bo w jedenastym wieku. Dziś już także wiemy, dlaczego zatoneły. Zapobiegając atakowi Norwegów z tej strony fiordu, celowo to zrobiono, aby stworzyć barierę ochronną. Gdzie je zbudowano, też już dokładnie wiemy - przerwał na sekundę, aby odpowiednio uwypuklić znaczenie ostatniego zdania. - W 1042 roku na Islandii.

- No i widzisz, jakie to proste? Stworzyć i dostosować do odpowiednich teorii, pasujących robiącym akurat wtedy doktoraty naukowcom, historię, która będzie obowiązywała przez wieki. - Krzysztof uśmiechnął się, choć niezbyt entuzjastycznie.

- To poparte dogłębnymi badaniami teorie. Można już je potraktować jako fakty historyczne. - Wilecki zmarszczył brwi.

- A jeśli ci powiem, że te statki są jeszcze starsze i nie zatopiono ich ze strachu przed Norwegami? Że zbudowano je tu, no może z wyjątkiem jednego, o tamtego. - Lorent wskazał na trzydziestometrowy wrak.

Wilecki skrzywił się, ale ciekawość była silniejsza od chęci wdawania się w sprzeczkę.

- Rzeczywiście sprowadzono go z Islandii - ciągnął Krzysztof. - Ale nie w 1042, a w 966 i należał do świty samego wielkiego Haralda Sinozębego. Stary król uwielbiał ten statek jak swojego mauretańskiego szakala.

- Jakiego szakala? - zdziwił się profesor.

- Nareszcie - szepnęła do siebie Ola i słuchała jak urzeczona, licząc, że Wilecki w końcu się zamknie i przestanie przeszkadzać.

- Nieważne. - Lorent uśmiechnął się. - Harald wprowadził chrześcijaństwo na te ziemie, uczynił Danię potężną, wielką i posłuszną Bogu. A kiedy tego dokonał... zdradził go własny syn. Chciał całej władzy jeszcze za życia sędziwego ojca. Pragnął panować w Danii, Norwegii i

³⁰ Małgorzata I - królowa duńska w latach 1387-1396. Doprowadziła do unii kalmarskiej, jednoczącej pod jednym berłem Danię, Szwecję i Norwegię.

Szwecji, a nawet na ziemiach Anglów i Sasów. Ich konflikt na całe lata zatrul krew wielu braci, aż wreszcie tu, w miejscu, w którym stoisz, Tveskæg, syn Haralda, został ostatecznie ojcobójcą. Kazał zatopić stojące w Roskilde statki, aby nikt nie mógł uciec, i podstępnie wymordował niemal wszystkich, którzy stali tej nocy przy królu. Garstce wikingów cudem udało się uciec i schronić w Jumne, mieście na wyspie dzisiaj zwanej Wolinem.

Na twarzy Lorenta pojawił się nigdy niewidziany przez profesora i lekarkę gniew.

- Co było dalej?! - spytał niecierpliwie Wilecki.

- Stary król przebywał wśród uciekinierów. Ciężko ranny dotarł do Jumne, gdzie zaopiekowali się nim Słowianie. Byli jeszcze poganami, ale dusze mieli szczerze i szlachetne. Niektórzy historycy mówili później, że ta garstka Normanów założyła tam miasto Jomsborg. To oczywiście nieprawda. Królowi, nawet jeśli tego chciał, nie starczyłoby życia. Wkrótce umarł z wycieńczenia i ran. Jomsborg to po prostu imię szakala, ukochanego zwierzaka Haralda, podarowanego mu przez księcia Maurów. Wierny sługa Godfred sprowadził w tajemnicy ciało swojego pana z powrotem do Roskilde, a nie - jak myśli wielu - do Jelling, i pochował. Tveskæg dowiedział się o tym tydzień później, ale nie śmiał ruszyć grobu. Harald spoczywa tu do dziś. Jednak już wtedy istnieli słudzy szatana na Ziemi. Straszny Palnatoke, niegdyś nauczyciel Tveskæga, a później najbliższy doradca, odnalazł Godfreda i z zemsty zgładził go, przybijając do krzyża. Palnatoke nienawidził chrześcijan i wszystkiego, co chrześcijańskie. Od wczesnej młodości księcia wpajał mu niechęć do nowej religii, aż wreszcie doprowadził do buntu przeciwko ojcu. W rezultacie na pewien czas sprowadził na dwór władcy dawnych bogów. Nikt tak naprawdę nie ma pojęcia, skąd pochodził, ale bez wątplenia nie był wikingiem. Wielu historyków, z tego, co wiem, nie ma nawet pewności, czy w ogóle istniał. Ale istniał. W domu Bzdeta przeczytałem w Internecie, że badacze podejrzewają, iż przybył z Polski. *Toke Pallesen, den Polske tolke* - w wolnym przekładzie „tłumacz z Polski”. To oczywiście nonsens. Nazwa „Polonia”, a później „Polska” pojawiła się ponad sto lat później. Mówimy dziś o plemionach Polan i Wiślan. To także uproszczenie, dwa największe plemiona tych ziem również nosiły oczywiście trochę inne nazwy. Palnatoke rzeczywiście przybył z Polski, skąd wypędzono go, podejrzewając o szpiegowanie na rzecz Niemców. Nawet ja nie wiem, czy to była prawda. Gdyby przybocznik Mieszka mieli co do tego pewność, drań nie uszedłby z życiem. Palnatoke nie był Polakiem. Pochodził ze wschodu, z ziemi Rusów, ale skąd dokładnie, nigdy nikomu nie powiedział.

- A ty? - spytała nieśmiało Ola.

- Ja?

- Tak, ty. Skądś przecież to wiesz...

Krzysztof zszedł wolno po schodach i usiadł na drewnianej ławce naprzeciwko jednego z wraków. Nabrał głęboko powietrza do płuc i utkwiał wzrok w podziurawionej jak sito burcie.

- Pewien młody wiking - zaczął ponownie, lecz trochę jakby ciszej - wychowany na dworze Haralda, wiódł beztroskie życie, pełne zabaw, malowniczych wypraw, romansów.

Świat był prosty, kolorowy, bujny i pusty... aż pewnego dnia do Jelling zjechała świta młodej żony króla Szwecji Eryka VIII - Sygrydy. W jego umyśle, znudzonym zbyt spokojnym życiem dworskim i nieistotnymi miłośkami z prymitywnymi dziewczętkami z okolic Jelling, pojawiła się nieznana mu do tej pory... iskierka. Bóg chciał, by nigdy już nie zgasła.

Sygryda była córką Dagome, czyli... Mieszka, księcia Polaków. Przyjechała, aby zawrzeć sojusz przeciwko Norwegii, a w rezultacie wyjść za Tveskæga, gdy Eryk odejdzie już z tego świata, na co potajemnie godził się stary i schorowany szwedzki władca, lecz ona... pokochała rycerza króla Haralda. Dla tej miłości młody wiking poświęcił wszystko; dotychczasowy spokój, przywiązanie do króla, a nawet... honor. A więc kiedy wybuchła wojna między ojcem i synem, młody wiking opuścił swojego starego króla, aby być bliżej ukochanej. Dla tej siedemnastoletniej bogini spalił wszystko, na czym opierał się cały jego dotychczasowy świat. Patrzył, jak niszczone wielkiego Haralda, jak niweczono jego dzieło, i nie zrobił nic. Sprawiedliwe przeznaczenie przygotowało jednak dla niego straszliwą karę. Tveskæg dowiedział się o potajemnej miłości kobiety, która miała zostać jego żoną, i młody wiking musiał uciekać przed jego gniewem. Pomógł mu kochający go nad życie starszy brat, szczególnie że rycerz od ponad tygodnia ciężko chorował. Co mu było?

Lorent uśmiechnął się smutno.

- Ktoś wszechpotężny otworzył przed nim jakąś bramę, straszną i piękną, a pamięć sięgnęła wszystkich czasów. Zaczął żyć tam i wszędzie jednocześnie, a jedyne, czego nie wiedział, to kim naprawdę był i dlaczego...

Kapłan wstał i wolno poszedł w stronę wyjścia. Ola i profesor tkwili jeszcze przez pewien czas nieruchomo przy ławce, nie wiedząc, co zrobić ani o co zapytać.

- Kochałem ją... - szepnął cichutko do siebie Krzysztof, znikając w tłumie turystów. Ale nawet jeśli ktoś go usłyszał, z pewnością nie miał szans niczego zrozumieć. Powiedział to w starym języku Danów.

Białe, brudne ściany szpitalne, nieodnawiane od wieków, straszły szpetotą nie tylko pacjentów, ale przede wszystkim członków odwiedzających ich rodzin. Coś śmierdziało od strony korytarza, i to raczej nie lekami, lecz Ewa i Michał mieli poważniejszy problem. Z okutaną bandażami głową, z nogą w gipsie na wyciągu, patrzył na nich jeszcze bardziej niż zwykle głupkowskim spojrzeniem wciąż wystraszony podkomisarz Załuska. Leżał na sali sam, choć trudno powiedzieć, jak to załatwiono, ważne, że mogli dzięki temu spokojnie porozmawiać.

- Jak leci? - spytał bez sensu Kępiński, ale wiedział, że Gucio bez „gry wstępnej” w życiu niczego nie wyduka.

- No... tak... nie za dobrze, panie komisarzu. Potknąłem się...

- A tak na poważnie?

- Ja nic nie widziałem. To jakieś łobuzy pewnie, dużo ich było i ciemno było. Właściwie nic nie pamiętam. I broni nie zdążyłem wyjąć...

- Na twoje szczęście - mruknął do siebie Michał.

Ewa zauważyła, że ręka Gucia spoczywająca na prześcieradle po ich stronie coraz wyraźniej mu się trzęsie, a rozbiegany wzrok wskazuje, że jeszcze chwila i zsika im się tu ze strachu.

- Spokojnie. - Uśmiechnęła się przepisowo. - Czasem tak się zdarza, nieważne. Ważne, że żyjesz. Mamy tylko do ciebie jedno pytanie.

- Ale ja nic nie wiem! - wyskamlął gwałtownie Gucio.

- Jeszcze nie zadałam ci pytania.

- Ale ja i tak nic nie wiem, wydaje mi się, że coś mi w głowę zrobili, myli mi się wszystko, nic nie pamiętam...

- Weź się w garść do cholery! - przerwał groźnie Michał. - Skup się i odpowiedz jak najprościej: co powiedziałeś dziennikarce?

- Jakiej dziennikarce?

- Srakiej! Takiej, która trafiła dzięki tobie do nas do Słonia! Młoda, upierdliwa i bystra mniej więcej tak jak ty. Przypominasz już sobie?

- Chciałbym, ale nic nie pamiętam - jęknął Załuska.

- Guciu - podjęła łagodnie Ewa. - Tu chodzi o jej życie. Musimy ją znaleźć i ostrzec.

Olbrzym wyglądał komicznie w przykrótkim łóżku i koszuli, która opinała potężne ramiona policjanta niczym skafander pletwonurka. Patrzył teraz bezradnie to na Michała, to na Ewę i, jak zgadywali, trawił wszystko w swojej wielkiej, biednej, skołatanej łepetynie.

- Nic nie wiem - rzekł po chwili, odwracając głowę do okna.

Bogdan Wilecki najpierw stał się purpurowy, potem siny, później nawet trochę zielony, a na końcu klasycznie poczerwieniał.

- Nie, nie, nie, nie, nie!!! - wydusił, wszystkimi kończynami oraz głową podkreślając swój sprzeciw.

- Ciszej! - upomniał go Krzysztof, rozglądając się konspiracyjnie dookoła. - Jesteśmy w domu bożym.

- Jesteśmy w jednym z najważniejszych zabytków Europy! - warknął przez zęby „krzyżącym” szeptem. - A ty chcesz mnie namówić, abyśmy tu przyszli w nocy, rozborowali czterystuletnią posadzkę, zbeczęścili grób Chrystiana IV i ukradli stąd coś, co ty uważasz za swoje?! Chyba naprawdę do końca ci się pomieszało w głowie!

- Sam przecież mnie tu doprowadziłeś, mówiąc mi o skarbie Jednego Oka.

- Nie miałem pojęcia o tym, co to jest! Jesteś pomyłony tak jak Link! Obaj macie nie po kolei pod sufitem! Zabierz go z powrotem do szpitala, nic tu się już nie da zrobić! - Spojrzał błagalnie na Olę. - A ja idę utopić się w fiordzie Roskilde. Przynajmniej zginę śmiercią bohatera naukowca w miejscu jak najbardziej mnie godnym!

- Wiesz, że nie ma innego wyjścia - odparła spokojnie Sambierska. - Inaczej nie znajdziemy profesora, a bez niego ani rusz!

Lekarka rozejrzała się po katedrze Domkirke, pośrodku której stali.

- Naprawdę tu ładnie. - Pokiwała głową z uznaniem.

- Ładnie?! - oburzył się Wilecki. - Tu spoczywa trzydziestu dziewięciu władców normañskich i duñskich. To miejsce kultu od ponad tysiąca lat! Ołtarz, który tam widzisz - wskazał w stronę prezbiterium - powinien od prawie pięciuset lat być w Polsce! W 1560 roku płynął z Antwerpii statkiem do Gdañska, ale w Helsingør jakiś kretyn celnik wymyślił sobie, że kapitan chce go oszukać, zaniżając wartość arcydzieła, i skonfiskował wszystko. Jakoś do dzisiaj sprawy nie odkręcono. W kaplicy Chrystiana IV, przypomnę, że to właśnie ta, którą mamy okraść, jest unikatowy posąg władcy, dłuta Thorvaldsena³¹. Fenomenalny, bo nie upiększający, jak to

³¹ Bertel Thorvaldsen (1770-1844) - duñski rzeźbiarz klasycystyczny. Twórca między innymi *Herkulesa* dla rezydencji królewskiej w Christiansborgu, *Adonisa*, *Triumfującego Amora*, *Hebe*, *Siedzącego pastuszka*

zwykle bywało, ale całkowicie realistyczny. Dzięki temu wiemy, jak wyglądał! Na sarkofagu Małgorzaty I...

- O! Tu jest fajnie - przerwała mu karygodnie Ola, wchodząc do pierwszej po prawej stronie kościoła kaplicy. Stała naprzeciwko ogromnego nagrobka z białą rzeźbą jakiegoś króla, leżącego z dłońmi złożonymi do modlitwy. Grób otaczały liczne kolumny, wyrzeźbione w różnych stylach. Cztery z nich, frontowe, przypominające układ dorycki, z fioletowo-białego marmuru, cztery podwójne, czworokątne, grafitowe, wspierały marmurowe zwieńczenie, na których osadzonych było kilka białych rzeźb. Czyich? - Ola nie miała pojęcia. Obok wyrastał bardzo podobny grobowiec, równie okazały i piękny.

- Kaplica Trzech Króli - przyszedł oczywiście z pomocą profesor, podążając za lekarką. - To grobowce Chrystiana III i Fryderyka II. Oba z drugiej połowy szesnastego wieku.

- Naprawdę niezłe. A gdzie ten trzeci król?

Wilecki roześmiał się pod nosem. Sambierska umiała poprawić mu humor w każdej sytuacji, nawet jak mu dokuczała.

- Nie przejmuj się trzecim królem - zaproponował dobrotliwie. - Lepiej zwróć uwagę na to. Podszedł do brązowej marmurowej kolumny stojącej niemal pośrodku kaplicy.

- Przez całe lata mierzono tu znamienitych gości. Taki zwyczaj - wyjaśnił. - Popatrz, czerwoną farbą zaznaczono wzrost na przykład Piotra I, cara Rosji, rycerza z Edynburga - Marka, wielkiego władcy Syjamu, czyli Tajlandii, Bhumibola, który - jak widać - taki wielki nie był...

- W przeciwieństwie do Piotra - zauważyła z uśmiechem Sambierska.

- Miał prawie dwieście dziesięć centymetrów wzrostu w butach, ale nawet on musiałby zadzierać głowę, gdyby chciał pogadać z Chrystianem I. Facet mierzył prawie dwieście dwadzieścia centymetrów. Nie sądzę, aby dorównywał mu którykolwiek z dzisiejszych koszykarzy.

- Małgorzata Dydek - wtrącił Krzysztof, wolno wchodząc do kaplicy.

- Kto?

- Nasza koszykarka. Ma dwa metry dziewiętnaście centymetrów wzrostu, i to bez butów na koturnach.

Wilecki machnął ręką i ponownie wpadł w zły humor. Widok Lorenta i wspomnienie planowanego „skoku” na katedrę każdorazowo powodowało dotkliwy ścisk w żołądku.

- Kiedy żył ten Chrystian? - spytała wesoło Ola, próbując za wszelką cenę rozładować atmosferę.

- W piętnastym wieku. - Profesor uśmiechnął się łaskawie. - Nie mogli się znać z Piotrem Wielkim. Rosjanin urodził się blisko dwieście lat po śmierci Duńczyka.

- Pomożesz nam? - spytała znienacka.

- I ty Brutusico?! - oburzył się Wilecki.

- Mówiłam ci, nie mamy wyjścia. Tylko tak możemy uratować życie.

- Akurat! Złapią nas i wsadzą do więzienia na wieki. Wolę skoczyć w wody fiordu Roskilde! - zadeklarował dramatycznie profesor.

- Odwdzięczę się - zaproponował Krzysztof ze śmiertelnie poważną miną.

- No, wspaniale! - jęknął Wilecki. - Ta Ewa wciska mi jabłko, udając zainteresowanie sztuką, ale to jeszcze nic, okazuje się, że mamy do pomocy węża kusiciela, i to księdza! Tylko mi nie mów, że byłego! Ksiądz to ksiądz! A wszystko się rozgrywa w jednej z najznamienitszych katedr świata! Nie dam rady dotrzeć do fiordu, zaraz tutaj padnę trupem!

- Nie udaję zainteresowania sztuką! - oburzyła się Ola. - Jestem dumna, że mogę tu być!

- Dam ci wiedzę, o której nawet ci się nie śniło - kusił dalej Lorent.

- I co z nią zrobię?! Zabiorę, jak ty, do grobu? Nie rozumiesz, że nigdy nikt poważny ani tobie, ani mnie nie uwierzy bez dowodów?! Jesteś tylko wybrykiem natury, pomyłką, a dla wszystkich, którym będziesz chciał opowiadać te łzawe historie o wikingach, pozostaniesz wyłącznie szaleńcem!

- To prawda - zgodził się Krzysztof. - Ale wiedza nie służy tylko chwale i sławie. Pomyśl, będziesz wiedział! Tylko ty. To, czego nikt nigdy już się nie dowie. Nie warto dla czegoś takiego popełnić maleńkiego przestępstwa?

- Dla czegoś... No, na przykład dla czego? - spytał nieśmiało.

- Za to, co tutaj zrobisz, zdradzę ci na przykład... skąd przybył do Polski Mieszko I, pasuje?

- Mieszko I?

- Tak. Pierwszy władca Polski. Mieszko numer jeden.

- A skąd miał przybyć? Był na ziemiach polskich od urodzenia. Tam urodzili się jego ojciec i dziad.

- Czyżby? - Krzysztof zawadiacko przymrużył oczy.

Żołądek profesora ponownie dał znać o sobie, mimo że Ola od pewnego czasu starała się znieczulić obolałą duszę Wileckiego, głaszcząc go opiekuńczo po głowie.

Michał wyszedł na korytarz i ze złością kopnął rozwalającą się listwę przypodłogową.

- Co tu się robi?! - podniosła wrzask starszawa pielęgniarka gotowa ciałem i duszą, co widać było od pierwszego wejrzenia, do „robienia porządku”. Jej twarz zdradzała nieograniczoną miłość do władzy, choćby tej najskromniejszej, poprawiania świata i karania nieposłusznych.

Wyniosły wzrok miał z miejsca wzbudzać strach i podkreślać, kto tu jest górą. Warto sobie uzmysłować, ile szczęścia zafundował ciężko pracującej funkcjonariuszce kulejącej służby zdrowia taki gość jednym, niefrasobliwym kopnięciem w ścianę, akurat kiedy tędy przechodziła. Nudny dzień natychmiast nabrał kolorów.

- Ja będę to później naprawiała?! - kontynuowała pokaz siły pielęgniarka. - I co teraz będzie?! Natychmiast do pokoju przełożonej pana proszę! Proszę szybko!

- Niech pani nam wybaczy - poprosiła Ewa. - Mamy ciężki dzień.

- A co mnie to obchodzi?! Do pokoju proszę, bo ochronę wezwę!

- Już wychodzimy, nie chcemy kłopotów - uspokajała Ewa.

- Czy ja nie powiedziałam?! - Pielęgniarka założyła ręce na biodra i jeszcze raz zmierzyła wzrokiem swoje ofiary. - A pani to się uczesać powinna! Nie wstyd tak chodzić jak czupiradło?! I młodzież patrzy!

Ewa westchnęła głęboko, bo, niestety, wiedziała, co się dalej stanie. Mogłaby scenariusz następnych kilkudziesięciu sekund napisać teraz na kartce i raczej bez ryzyka wszystko by się zgadzało. Zamknęła więc na chwilę oczy, licząc, że starucha jakoś przeżyje.

Michał wysunął się przed koleżankę.

- I co?! - warknęła pielęgniarka. - Na co pan czeka?

- Zamknij się, starucho... - Kępiński zaczął cedzić przez zęby słowa.- Bo jak powiesz jeszcze jedno słowo, wetknę ci szczotkę, która stoi tam pod ścianą, w tę twoją obleśną dupę, a następnie wyczyszczę tobą sufit. Zrozumiałaś, jędzo?

- Ja... ja... - Przerazenie w oczach pielęgniarki zmieszało się z nieopisaną wściekłością. - Ja wezwę... policję...

Zabrakło jej słów, więc zaczęła nerwowo tupać nogami.

- Daj spokój, Michał - próbowała powstrzymać kolegę Ewa. - Ona zaraz zacznie toczyć pianę, a nie chcę na to patrzeć.

- Zrozumiałaś?! - wrzasnął nagle na cały korytarz, aż niektórzy chorzy się obudzili.

- Poooliicjaa! - wycharczała starucha, wciąż tupiąc ze złości.

Kepiński szybko wyjął z kieszeni legitymację i podsunął pielęgniarce tuż pod nos.

- Ja jestem policja, czarownico! I lepiej zejdz mi z oczu... - Michał zaczął iść w jej stronę, więc, chcąc nie chcąc, funkcjonariuszka służby zdrowia musiała się cofać. - W tym szpitalu zmarła moja żona, przez takich jak ty! - kontynuował z pasją Kepiński. - Ktoś coś źle podłączył, ktoś nie podał narzędzia, ktoś zaniedbał... Módl się od dzisiaj, żebym nie sprawdził, czy akurat nie miałaś wtedy dyżuru, stara jędzo, bo wiem, gdzie trzymacie skalpele, a wielu biednych ludzi czeka na narządy...

- Ratunku!!! - zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy pielęgniarka, decydując się na natychmiastową ucieczkę. Biegła korytarzem do pokoju pielęgniarek, drąc się, jakby ktoś ją obdzierał ze skóry.

Awantura oczywiście wywołała ciekawość pacjentów, których głowy pojawiły się w kilku drzwiach. Parę metrów dalej dwóch starsuszków obserwujących zdarzenie zaczęło z entuzjazmem bić brawo.

Ewa nie miała zamiaru czekać na kłopoty. Mocno chwyciła kolegę za ramię i wyprowadziła z oddziału. Jak zwykle w takich momentach nie robiła mu wymówek, choć za każdym razem obiecywała sobie, że w końcu, kiedyś tam, zorganizuje mu opierdół, jakiego jeszcze nie przeżył. Michał wiedział o jednym i o drugim i za to szczerze ją kochał. Tak rozumiał przyjaźń i tak rozumiał lojalność.

Wychodząc ze szpitala, byli przekonani, że dzisiaj nic przykrego już ich nie spotka. Nieszczęścia chodzą przecież parami, a nie trójkami czy szóstkami. Jednak, jak to często ostatnimi czasy bywało, tym razem również się mylili.

Plan, który przedstawił Krzysztof, był prosty. Nietrudno się domyślić, że Wileckiemu żaden z elementów nie przypadł do gustu; od punktu: „wchodzimy północnym oknem o 2.30”, aż do punktu: „opuszczamy kościół jak najszybciej i oddalamy się niezauważeni”.

- Ja chyba śnię... - jęczał po swojemu. - To nie ma szans powodzenia!

- Wiem dokładnie, gdzie to jest - przekonywał Lorent. - Wiem, jak to szybko i bez hałasu zabrać.

- To może być dwa metry w tę, dwa w tamtą...

- Bogdan! - przerwał lekko już zniecierpliwiony Krzysztof. - Sam to tam wkładałem. To znaczy, no... nie ja, ale ktoś, kogo myśli pamiętam jak swoje. Nie musimy niczego rozwiercać ani kuć. Wiem, gdzie i co podważyć, jak zdjąć mocowanie...

- To było czterysta lat temu! - nie ustępował profesor. - Wiesz, ile rzeczy mogli od tego czasu z tym zrobić?

- Wygląda na to, że niczego nie ruszali, dobrze się dzisiaj przyglądałem.

- Jesteś pewien?

- Tak - skłamał Lorent, choć nie przyszło mu to z łatwością.

- Bogdan - podjęła Ola. - Potrzebne są nam pieniądze, potrzebny jest nam kontakt z Linkiem, musimy to zrobić!

- A tak w ogóle, nie możemy iść do hotelu? - Wilecki zmienił nagle temat. - Siedzimy na tym kempingu jak jakieś dzieciaki.

- Tak jest bezpieczniej - wyjaśnił nie wiadomo już który raz Krzysztof.

- Co chcesz? Ten domek jest wygodny. - Sambierska się uśmiechnęła.

- Jestem uciekinierem i złodziejem dzieł sztuki, mieszkającym w domku kempingowym - płakał dalej profesor.

- A nie chcesz posłuchać tego, co ci obiecał Krzysiek? - zachęciła Ola, puszczając oko do Lorenta.

- Po co? Żebym się dowiedział, że Mieszko to nie piastowski z dziada pradziada zwycięzca spod Cedyni, tylko jakiś kosmita znikąd?! O nie! Wolę spać spokojnie - oświadczył z godnością profesor, położył się na swoim łóżku, ostentacyjnie odwracając się do ściany.

- Jak chcesz. - Krzysztof wzruszył ramionami.

Nastąpiła błoga, spokojna cisza. Jakieś ptaszyska nieznanymi przybyszom gatunków świergoliły za oknami, wiał delikatny wiatr, a słońce właściwie powinno nastrojać optymistycznie. Jednak nadzieja, że Wilecki przestanie mendzić, umarła bezpowrotnie już po kilku sekundach.

- Było mi tak dobrze - buczał do ściany. - Wykładałem na uczelni jak Pan Bóg przykazał, pisałem sobie książeczki, robiłem sobie badania, Napoleon był cesarzem Francuzów, Leonardo twórcą *Mony Lizy*, a Kaligula obrzydliwym psychopata, i było pięknie, a teraz...? Wszystko się popieprzyło! I komu to przeszkadzało? A miałem przyjaciół...

- I przyjaciółki - dopowiedziała Ola.

- A żebyś wiedziała! - Odwrócił się gwałtownie w jej stronę. - Dajcie mi spokój!

- Żartowałem - odezwał się nagle Krzysztof.

- Nie chcesz już się włamywać?

- Nie. Żartowałem, że mam jakieś rewelacje o pierwszych Piastach. Po prostu chciałem cię namówić na tę nocną wyprawę. Przepraszam... - Lorent podniósł się z krzesła i wyszedł z domku. Odszedł kilka kroków i spojrzał w stronę zatoki. Słońce nadal topiło promienie w wodzie, a kompletnie nieduńska pogoda pozbawiła większość turystów chęci działania. Widać ich teraz było porozkładanych na kocach i materacach na wybrzeżu. Po drugiej stronie zatoki górowała zaś nad miastem sylwetka katedry Roskilde Domkirke.

Po dwóch, może trzech minutach drzwi domku kempingowego ponownie się otworzyły. Profesor zszedł wolno po dwóch schodkach i stanął przy Lorencie. Ola również się pokazała, ale została w progu. Uznała, że tym razem chłopcy muszą sami pogadać. Wkroczy, jeśli sprawy... wymknęłyby się spod kontroli.

- Nie żartowałeś, prawda? - spytał poważnie Wilecki.

- To nie ma sensu, Bogdan. - Krzysztof pokręcił głową. - Masz rację, jestem wybrykiem natury. To, co wiem, nikomu nie jest potrzebne, a tylko wnosi chaos. Kupczę tym jak żebrak, któremu skończyły się rozwiązania i wybory. Nie wiem, jak żyć, Bogdan. Nie wiem, co ze sobą zrobić, a najważniejsze, że nie wiem, jak was uratować.

- Sami się uratujemy - odparł spokojnie, kompletnie zmienionym tonem profesor. - Ty nam tylko trochę pomożesz. Nie przejmuj się mną, dla mnie to też nowe. Ciężko zmienia się miejsce w życiu, każdy z nas to wie. Przejdziemy się?

- Z chęcią.

Ola zmarszczyła brwi.

- Chyba wam odbiło, jeśli myślicie, że to przegapię - mruknęła pod nosem do siebie, zamknęła drzwi i podreptała za „chłopcami”.

Malowniczy kemping Vaddelev, siedem kilometrów od Vikingeskibsmuseet, był ogromny. Zajmował kilkanaście hektarów tuż nad fiordem, ze wspaniałym widokiem na Roskilde po drugiej stronie i dziesiątkami spacerowych ścieżek.

- Znam teorię Schultego i Holtzmanna - zaczął Wilecki.

- Ja nie - przyznał Lorent.

- To hipoteza wysnuta z badań Maciejowskiego, Bielowskiego, Szajnochy i Piekosińskiego, mówiąca o najeździe germańskim, będącym tak naprawdę początkiem państwa polskiego. Na czele najeźdźców stał właśnie późniejszy Mieszko I, który osiadł na naszej ziemi,

przyjął kulturę Słowian i zapoczątkował dynastię. Miał oczywiście inne imię, niż sądzimy, ale jakie, to tylko domysły.

- Widzę, że tworzenie współczesnych teorii historycznych to jak granie w głuchy telefon. - Krzysztof uśmiechnął się. - Ale mów dalej.

Wilecki westchnął ciężko, jednak ciągnął pewnie, wyraźnie pogodzony z losem.

- Albert Brackmann, niezwykle wpływowy mediewista niemiecki, żyjący w czasach międzywojennych, poparł tę teorię. My niezbyt ją lubimy, bo pomijając wątpliwości historyczne - spodobała się ona również nazistom. Udowadniali w ten sposób, że Słowianie nie byli w stanie sami stworzyć własnego państwa. A tu nagle dowiaduję się od ciebie, że być może mieli rację...

- Nie mieli - Krzysztof uśmiechnął się, klepiąc po ramieniu profesora. - Nie mieli...

- Ale nasz pierwszy książę... nie był Słowianinem?

- Był. Ale to nie był Mieszko.

Ola wepchnęła się między „chłopców”.

- Mnie też się należy bajka! - zażądała wesoło.

- Bajka... - prychnął cicho Wilecki.

- Jesteście pewni? - Krzysztof uniósł znacząco brwi.

- Jasne! - krzyknęła niemal natychmiast Sambierska.

- Bogdan? - upewnił się Lorent.

- Myślę, że jestem gotowy. Mogę zaczynać?

- Tak.

- Lestek, Siemomysł, Siemowit, przodkowie Mieszka? Piast, Popiel?

- To raczej legendy. Wiem, że wspomina o nich Gall Anonim, ale zaczerpnął je niemal w całości z Zachodu. Nie wiem, kim dokładnie był Gall, urodził się w czasach, o których z „autopsji” wiem niewiele. Legenda o Popielu, którego zjadły myszy, to po prostu plagiat nadreńskiego mitu o niejakim Hattonie, właśnie zeżartym przez myszy. Życiorys Piasta jest niemal przepisana francuską legendą o świętym Germanie. Siemowit, Lestek i Siemomysł? Nie słyszałem o takich facetach. W tamtych czasach mało kto interesował się rzetelną historią. Oczywiście, książę miał rodziców, dziadów i tak dalej, ale ja pojawiłem się na tamtych ziemiach dużo później i jakoś nigdy nie rozmawiałem z nikim na ten temat. Gdybym wiedział, że znajdę się w takiej sytuacji jak dziś, nic innego bym nie robił, tylko zbierał informacje. Jasne, że przy biesiadach, ucztach czasem opowiadano o dawnych czasach, ale zwykle to były plotki. Nie

istniała żadna tradycja historyczna. Nie dbano o nią. Zachodni i południowi handlarze przybywający na ziemie Słowian przywozili oprócz kramarskich świecidełek także opowieści o starożytnej Grecji, Rzymie czy Karolu Wielkim, lecz słuchano tego tak jak dziś opowieści o Conanie Barbarzyńcy. Może się zdziwisz, jednak bywało, że wielu możnych ówczesnej Polski nawet nie wiedziało, jak nazywał się ich dziad, jeśli go osobiście nie znali. Potem się to oczywiście zmieniło, choć musiało minąć sporo czasu.

- Kto rządził wtedy zjednoczonymi plemionami?

- Książę Czcibor. Jego imię brzmiało prawie tak jak teraz je wymawiam, ale z pewnością zdajesz sobie sprawę, jak bardzo ich język różnił się od współczesnego. Nie dogadałbyś się z ówczesnymi Słowianami.

- Brat Mieszka?

- Nie był bratem Mieszka. To znaczy... nie w sensie dosłownym. Później to wytłumaczę.

- Mieszko...

- Nigdy nie najechał na słowiańskie ziemie.

Profesor zatrzymał się i rozłożył ręce.

- Więc jak? - spytał bezradny.

Krzysztof gestem zachęcił go do dalszego spaceru.

- Czytałeś *Grammaticusa*³²?

- Tak.

- To będzie mi łatwiej. Jego dzieje kraju Danów są oczywiście w większości legendami, szczególnie że o Haraldzie Sinozębym wspomina dopiero w dziesiątej księdze. W pierwszych dziewięciu opisuje ponad pięćdziesięciu jego poprzedników. Musimy jednak zacząć od tej kroniki. Czy nie zastanawiało cię nigdy, dlaczego *Grammaticus* tak wiele miejsca w swoim dziele poświęcił Słowianom? Właściwie przecież nie powinni go obchodzić. Mógł opisywać Polaków ze swoich czasów, choć z pozoru nie było wtedy zbyt zażyłych kontaktów.

- Jakież tam były...

- No, właśnie - przyznał Krzysztof. - I to nie „jakieś”. Ale zacznijmy od początku. Na ziemiach Czcibora w pierwszej połowie dziesiątego wieku była bardzo trudna sytuacja polityczna. Zjednoczony kraj o żyznych ziemiach stanowił obiekt zazdrości i sól w oku sąsiadów. Stosunki z Czechami, którym Czcibor zabrał ziemie po Bug i Styr, układały się fatalnie. To oni chcieli

³² Saxo Grammaticus (ok. 1150-1220) - duński historyk i kronikarz, sekretarz Absalona. Prawdopodobnie urodził się na Zelandii, a nauki pobierał we Francji. Jego szesnastotomowa, spisana po łacinie, historia Danii *Gesta Danorum* opisuje wielopokoleniową historię władców Normanów od czasów mitycznych. Opisał w niej także m.in. życie Słowian nadbałtyckich.

jednoczyć południowych i zachodnich Słowian, a księżę stał im na drodze. Węgrzy, którzy wciąż łupili południowe ziemie księstwa, przysparzali sporo kłopotów, a panowie sascy ostrzyli już miecze na nasze zachodnie tereny. Plemiona pruskie były wtedy małe i słabe, więc nie stanowiły problemu, ale rosnący w siłę Rusini to zupełnie innej wagi problem. Niewiele lepiej działo się w tym czasie w kraju Danów. Wieczne kłopoty z Norwegami, a przede wszystkim z Niemcami, nie dawały spokoju Haraldowi. Trzeba było dogadać się ze Słowianami. Zaczął od Abaterenów³³, ale szybko się okazało, że ten sojusz nie wystarczy. Harald i jeden z jego młodszych braci, Dagr, wpadli na pomysł, aby zwrócić się w kierunku Czcibora. Wiedzieli o nim, że to wyjątkowo roztropny polityk, wiedzieli także, że jego krajowi potrzebna jest pomoc. W wielkiej tajemnicy wszyscy oni spotkali się w Gnieźnie, aby ustalić szczegóły. Czcibor niemal natychmiast przystał na propozycję. Pozostał jeszcze problem, jak zjednoczyć oba kraje. Dagr i Harald córek wówczas nie mieli. Ich siostrę z kolei wydano za króla Norwegii i choć było to niezbyt skuteczne politycznie małżeństwo, to jednak było. Thyra³⁴ dopiero miała się urodzić. Doszło do trochę komicznej sytuacji - zabrakło odpowiedniej kobiety do poślubienia Czcibora. Wtedy Czcibor zaproponował rzecz niesłychaną. Wpadł na pomysł, aby Dagr rządził wraz z nim na wzór rzymskiej republiki, kiedy to swego czasu wybierano dwóch konsulów. Dagr, którego starszy brat często nazywał Björnem, miał na stałe zostać w przyszłej Polsce i znormalizować stosunki z Rusią, Czechami, Norwegią, Szwecją, a przede wszystkim z Niemcami. Mądrość Czcibora na zawsze pozostała w pamięci Haralda. Mało kto w tych czasach potrafił dzielić się władzą, a przecież ten wielki Słowianin zrobił to absolutnie z własnej woli, dla dobra swojego ludu. A więc Dagr, zwany Björnem, został w kraju Lachów jako „brat krwi” Czcibora, a jak się później okazało także założyciel nowej dynastii, bo Czciborowi żadna z żon dzieci nie dała. Nie rozgłaszano tego po Europie. I choć było niemożliwe, aby na dworach krajów ościennych nie dowiedziano się o przymierzu, Czcibor i Dagr zostawili potomnym niewyraźne ślady, których przyszli kronikarze - jak widać - rozszyfrować nie umieli. Najbardziej ten sojusz rozdrażnił cesarstwo, ale tam również zadbano, aby do kronik nie przedostało się to, co stało się w Gnieźnie. Dla nich wygodniejsze było uznawać za władcę tylko Dagra, z którym - jak sądzili - łatwiej im w przyszłości się będzie dogadać. Nowy brat księcia bardzo szybko znalazł wspólny język z przybocznymi drużyny i jej otoczeniem. Nazywano go tu „pocziwym niedźwiedziem” (w języku Danów - Björn znaczy niedźwiedź), czyli Miśkiem lub Mieszkiem. Za granicą jednak znany był tylko jako Dagome, jak w ocalałym do dziś dokumencie *Dagome iudex* - oddającym Gniezno pod opiekę stolicy Piotrowej.

³³ Abatereni - inaczej Obodryci. Plemiona należące do Słowian połabskich.

³⁴ Thyra - ur. prawdopodobnie ok. 950 roku córka Haralda i jego drugiej żony Gyrithe.

Gdy tylko dwaj bracia rozpoczęli rządy, szybko w porozumieniu z Haraldem podjęli starania o przyjęcie chrześcijaństwa w obu krajach, co nastąpiło później niemal jednocześnie. Miśko umiał pozyskać sobie Czechów, żeniąc się wkrótce z ich księżniczką Dobrawą, oraz wykorzystać ich do zlikwidowania uciążliwego awanturnika saskiego, Wichmana. Wreszcie obaj bracia rozprawili się z margrabią Hodonem pod Cedynią 24 czerwca 972 roku, utrwalając władzę i dając w przyszłości synowi Mieszka wielkie możliwości umocnienia państwa. Skutecznie zajęto się również sprawą norweską. Harald przy pomocy Mieszka i Czcibora opanował południową Norwegię, zaczęto starania, aby uniezależnić od cesarstwa i Danii, i Polskę. To temat rzeka, Bogdan. Kiedyś może ci jeszcze o tym poopowiadam.

Profesor zmierzył Lorenta surowym wzrokiem, ale zaraz szczerze się roześmiał.

- I jak teraz? Lepiej, gorzej? - spytał kapłan.

- Może nawet trochę lepiej - przyznał wesoło Wilecki. - Mówiłeś jak polityk. Jakbyś osobiście był blisko związany z tymi sprawami.

- Byłem - odparł z nieodłącznym uśmiechem Krzysztof. - Dobrych parę lat później, ale byłem.

- No, taaak. W każdym razie ciężko będzie dziś w nocy zasnąć.

- Masz rację. Nawet nie położymy się spać - przypomniał Lorent.

Ola, którą zachwycała opowieść Krzysztofa, wołała w kwestii nadchodzącej nocy raczej się nie odzywać.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy wyszli ze szpitala, gorące powietrze późnego popołudnia, zmieszane z dusznym zapachem ulicy, uderzyło w nich jak ruchoma ściana. Nieprzyjemna woń spalin, miękkiego asfaltu i zmęczonego dniem miasta, wykrzywiła twarz Ewy. Michał nie miał czasu na uzalenie się na pogodę. Zauważył, i to dobrych kilka sekund przed Nowicką, stojącego w pobliżu ich samochodu po drugiej stronie jezdni mężczyznę, który dwa dni wcześniej odwiedził go w domu w towarzystwie swoich niemiłych kolegów. Szturchnął łokciem mruczącą coś pod nosem policjantkę i gdy się upewnił, że jest przygotowana, zaczął iść w jego stronę.

Luigi Balea przechadzał się spokojnie po chodniku, udając, że nie widzi policjantów. Jedyne jego elegancki, ciemnozielony garnitur mógł zwracać czyjąś uwagę, poza tym nie wyróżniał się spośród innych przechodniów. Widać było wyraźnie, że chciał, aby policjanci go szybko zauważyli, a jednocześnie nie chciał, aby dostrzegli jego niemiłych kolegów, którzy z pewnością i tym razem mu towarzyszyli. Kępiński, nie bawiąc się w ceregiele, podszedł do samochodu, otworzył go pilotem i czekał, aż elegancki Włoch podejdzie.

- Jeśli pan chce, nie musimy tutaj rozmawiać - rzekł po niemiecku Balea, gdy już się zbliżył.

- Jeśli ktoś miał nas razem zobaczyć, z pewnością już to zrobił. Proszę mi podać rękę na powitanie.

Luigi szybko spełnił prośbę policjanta, wyczuwając w jego dłoni niewielki kluczyk. Zabrał go dyskretnie, nie dając po sobie poznać, że cokolwiek się stało.

- Gdzie znajdę notatki? - spytał, przyjacielsko się uśmiechając.

- Na Dworcu Centralnym, skrytka numer 154.

- Rozumiem i dziękuję. Jeśli miałbym jeszcze jakąś sprawę, skontaktuję się z państwem. -

Tu spojrział na Ewę, która stanęła za Michałem.

Słowa: „...skontaktuję się z państwem”, zabrzmiały jak: „jeśli myślicie, że to koniec kłopotów, to sorry, ale nic z tego”.

- Co się stało naszemu koledze? - spokojnie spytał Kępiński.

- Przykro mi, to nie nasza wina. Usiłowaliśmy z nim porozmawiać bez użycia siły, ale próbował wyjąć broń i nas zaatakować. Staraliśmy się wyrządzić możliwie najmniejsze szkody.

- A dziennikarka? - zaryzykował policjant.

- Nic jej nie jest - odparł Balea, kiwając z uznaniem głową. - Zapewniam pana, na mój honor.

- Spotkaliście się z nią?

- Tak. Nie będzie ani nam, ani wam przeszkadzać. Wykazała znacznie więcej rozsądku niż pański młody przyjaciel.

- Mogła już komuś przekazać jakieś informacje.

- Nie przekazała - upewnił go aurelita. - Jeszcze to sprawdzamy, ale nie sędzę, abym się mylił.

„Jasne, że nie sądzisz...” - pomyślał zgryźliwie Michał. Rozmowę przerwał dzwonek telefonu Luigiego.

- Przepraszam - rzucił Włoch do policjanta i odszedł kilka kroków w stronę swojego auta.

- Tak - powiedział cicho w ojczystym języku.

- Mam ich - usłyszał w słuchawce.

- Mów.

- Są w Kopenhadze, mam zdjęcia z lotniska. On i profesor. Kobiety nie udało się sfotografować.

- Dobrze. Nie mów nikomu.

- Oczywiście. A Pielgrzym?

- Sam się z nim skontaktuję. - Luigi przerwał połączenie. Ponownie podszedł do policjantów.

- Coś z księdzem? - spytał Michał, celowo siląc się na bezczelność.

- Niestety, nie - odparł Balea, poważnie traktując zainteresowanie Kępińskiego. - To zupełnie inna sprawa.

- Czy interesy między nami dobiegły końca?

- Obiecuję nie niepokoić państwa bez potrzeby. Na razie współpracuje nam się doskonale, niepotrzebnie stresował pan swoją rodzinę zbędnymi podróży.

„Gównie cię obchodzi, co ja robię ze swoimi córkami!” - krzyczał w myślach policjant.

- Musimy jechać - rzucił do aurelity, podając mu rękę jakby nigdy nic. Luigi przytrzymał jednak przez chwilę jego dłoń.

- Mam nadzieję, że mogę liczyć na dalszą dyskrecję? - spytał.

- Oczywiście, jakże by inaczej - odparł gorzko Michał i wsiadł do samochodu.

Gdy tylko wóz policjantów zniknął za rogiem, Luigi Balea niemal niezauważalnym gestem przywołał czarne volvo z przyciemnianymi szybami, stojące kilkadziesiąt metrów dalej. Auto podjechało do miejsca, gdzie stał aurelita, tylne drzwi się otworzyły i Luigi wsiadł do środka. Kierowca ruszył bez słowa. Na tylnym siedzeniu obok Balei siedział tylko Tomasz.

- Dobrze poszło? - spytał Polak.

- Tak. Sprawdziłeś, gdzie jest Punin?

- W domu z Emilem, tak jak chciałeś.

Luigi zamyślił się na chwilę.

- Długo nie da się tak zwodzić, musimy się go szybko pozbyć - mruknął cicho.

- Tak jak ustalaliśmy?

- Tak. Mam wiadomość o Kapłanie. Jest mało czasu.

- Co na to Pielgrzym?

- Jeszcze z nim nie rozmawiałem, ale zaraz zadzwonię. Da sobie radę.

- A policjanci?

- Ten mężczyzna jest inteligentny i dość opanowany jak na twojego rodaka. Nie chcę, żeby stała mu się jakaś krzywda. Nie sprawi nam kłopotów. Dlatego przyśpiesz sprawy z Puninem.

- Myślisz, że już się nie przyda?

Balea ponownie wyjrzał przez okno. Długo nie odpowiadał, przyglądając się szarawym blokom Mokotowa.

- Luigi... - przypomniał się Tomasz.

- Nie mamy innego wyjścia - odparł wreszcie.

Profesor Wilecki stał pod oknem, co chwila nasłuchując, czy w środku wszystko idzie zgodnie z planem.

- Co za idiotyzm! - jęczał do siebie płaczliwie. - Co za kretyńska sytuacja! Co ja tu robię?!

Podreptał nerwowo w tę i z powrotem.

- Nie wierzę... - zaczął znowu biadolić. - Złapią nas i zastrzelą albo wtrącą do lochu, i będą mieli rację! - Zacisnął bezradnie pięści. - Szybciej! - teatralnym szeptem rzucił w stronę okna.

Ola i Krzysztof oczywiście nie mogli go usłyszeć. W razie niebezpieczeństwa miał dać sygnał specjalnym biperem, załatwionym jeszcze w Polsce przez Bzdeta. Małe pudełeczko, które profesor dostał, posiadało tylko jeden guzik, którego przyciśnięcie, gdyby coś się zdarzyło nieprzewidzianego, zapalało czerwoną lampkę w odbiorniku Krzysztofa. Proste, łatwe, ciche.

Włamywacze skryli się za szeregiem ławek, czekając na strażnika.

- Jak ci się udało otworzyć to okno z drugiej strony? - szepnęła podniecona Sambierska.

- Cicho bądź - skarcił ją Lorent.

- Otworzyłeś okno od zewnętrznej strony. Jak to zrobiłeś?

- Otworzyłem od wewnętrznej - warknął zniecierpliwiony kapłan. - Tuż przed zamknięciem tylko docisnąłem, bez klamki, aby cichy alarm wyzwolił się, dopiero jak wejdziemy.

- Zrobiłeś to, gdy wyszedłeś do kibla w czasie kolacji?

- Tak.

- Dlaczego nie powiedziałeś?!

- Zamilkнеш, czy mam cię potraktować igłą? - Krzysztof zmarszczył brwi.

- Akurat! I kto ci wtedy pomoże? - Lekarka uśmiechnęła się złośliwie.

- Na razie tylko przeszkadzasz. Cicho! - syknął, przytykając jej usta ręką.

- Może nie przyjdą?

Jednak jak na zawołanie dwóch ubranych po cywilnemu strażników wyłoniło się z mroku, aby przejść w stronę otwartego okna, na górze, przy schodach. Ola wiedziała, że ona i Lorent na ten właśnie moment czekają w ukryciu, ale widok ochroniarzy na tyle ją przestraszył, że ręce zaczęły jej lekko drżeć. Mężczyźni byli spokojni i raczej przekonani, że nic się nie dzieje. Może wiatr, może ktoś nie domknął okna albo czujnik się zepsuł? Otworzyli drzwi, którymi Ola i Krzysztof dostali się do wnętrza nawy głównej, i weszli na spiralne schody. Kiedy zniknęli, Sambierska przeżegnała się i uniosła wzrok ku niebu. Napotkała po drodze przepiękny sufit Domkirke, lecz w duszy błagała niebiosą o pomoc.

- Możemy iść do kaplicy - szepnął jej do ucha Krzysztof.

Profesor dreptał wciąż pod oknem, nie wiadomo, w jakim celu co pewien czas wyciągał biper, jakby ciągle upewniał się, czy go nadal ma. Rozglądał się dookoła, czy przypadkiem nikt

nie idzie, ale w małym miasteczku o drugiej w nocy, w środku tygodnia panowała względna cisza, przerywana spokojnym szumem słabego wiatru, dalekim pogłosem silnika jakiegoś samochodu, ledwie rozpoznawalnymi, pojedynczymi głosami rzadkich w Roskilde balangowiczów.

- Co za amatorszczyzna! - pomstował wciąż Wilecki. - Bez planu, bez porządnego rekonesansu, bez jakichś ustaleń, cholera! Ksiądz, szef bandy, napada na katedrę, a mnie, wybitnego naukowca, stawia się pod oknem, włazi się po moich ramionach, o niczym się nie informuje! Pieprzę taki interes!

Lorent szedł ostrożnie i cicho, cały czas na wszelki wypadek spoglądając w stronę drzwi prowadzących do schodów.

- Idź ostrożnie za mną - szepnął prosto do ucha lekarki. - Tylko dokładnie za mną, bo cię złapią kamery. Są wymierzone w ważniejsze obrazy, rzeźby, relikwie i ołtarz. Tu jesteśmy bezpieczni.

- A grób tego Chrystiana czy jak mu tam?

- Kamery są przy jego posągu i obrazie bitwy w Zatoce Kilońskiej. Damy sobie radę. Dawaj worek ze sprzętem.

Profesor po raz kolejny wyjął biper. Przyjrzał mu się dokładnie, jakby widział go pierwszy raz w życiu. Pokręcił z dezaprobatą głową i wtedy właśnie poczuł chłód długiego sztyletu na swojej szyi.

- *Freeze!* Ani drgnij! - szepnął po angielsku głos z tyłu. - Oddaj pudełko. Jak naciśniesz guzik, zginiesz.

Przeżony Wilecki wolno podał biper napastnikowi. Oddech właściciela sztyletu i wielkość dłoni, która ostrożnie wylądowała na ramieniu profesora, wskazywały, że był to naprawdę potężny gość. Wilecki miał metr osiemdziesiąt wzrostu, przeciwnik z pewnością przerastał go niemal o głowę.

- Prowadź! - zarządził głos.

- Ale dokąd? - spytał głupkowato profesor.

- Do środka.

- Chyba jest zamknięte, a ja tu jestem pierwszy raz, nie wiem, o co chodzi...

- Prowadź do swoich współników.

- Nie mam żadnych współników, proszę pana. Jestem naukowcem, przyjechałem na badania.

Wilecki poczuł, jak druga postać, równie imponujących rozmiarów, chwyta go za drugie ramię i zaczyna prowadzić ku bocznemu wejściu.

- Nie daj się prosić - przekonywał drugi głos.

Krzysztof rozłożył skromne narzędzia. Dłuto, niewielką wiertarkę na akumulator, młotek, mały odkurzacz samochodowy. Zatarł ręce i ostrożnie zbliżył się do grobu Chrystiana IV. Ola przykucnęła przy wejściu do kaplicy. Lorent wymierzył miejsce uderzenia dłuta, ale szybko odłożył narzędzia. Zaniepokojony odwrócił głowę i zaczął nasłuchiwać.

- Co jest? - spytała Sambierska.

- Cicho! - szepnął zaniepokojony Kapłan.

- Strażnicy?

- Nie. - Wstał i szybko podszedł do lekarki. Wyjrzał w stronę północnego wejścia i zobaczył to, czego się obawiał. Dwóch potężnych mężczyzn prowadziło Wileckiego. Dwóch pozostałych, niewiele ustępujących poprzednim posturą, coraz szybciej podążało w ich stronę. Wyjęli sztylety i uważnie wpatrując się w Krzysztofa, planowali w myślach ruchy.

- Znasz ich? - spytała przerażona Ola.

- Jeszcze nie - odparł spokojnie Krzysztof, idąc im na spotkanie.

- Uważaj! - pisnęła Ola.

Lorent nie zareagował. Szedł, jakby śpieszył się na samolot, a nie na spotkanie morderców, z którymi właśnie za chwilę miał stoczyć walkę na śmierć i życie.

- Boże drogi... - szeptała Sambierska.

Gdy mężczyźni się zbliżyli, zaatakowali niemal natychmiast. Szybko, fachowo, bezszelestnie. W mroku, rozświetlonym tylko wpadającym przez okna i witraże światłem księżyca, Ola mogła dostrzec co najwyżej cienie i błyski szybkich ruchów sztyletów.

Walczyli krótko. Po kilku sekundach było jasne, że nie mają z nim szans. Krzysztof zablokował kilka uderzeń obu napastników, wreszcie złapał nadgarstek jednego z nich. Niezauważalnym, szczególnie w ciemnościach, ruchem zabrał mu sztylet. Drugą ręką uderzył jego towarzysza silnie w żebra, z lewej strony, pod pachą. Podciął pierwszego, blokując jakąkolwiek możliwość jego dalszych ruchów. Upadł z nim na ziemię, odrzucił sztylet napastnika daleko na

podłogę i zaatakował kolano drugiego mężczyzny. Ten również runął na ziemię, wiedząc, że dalsza walka raczej nie ma sensu.

- Tak! - usłyszeli nagle donośny głos w prawej strony. Zza kolumny wyłonił się niewielki człowieczek z siwą, niepokazną bródką. Do złudzenia przypominał Johna Hammonda, właściciela Parku Jurajskiego, granego przez Richarda Attenborough, ze słynnego filmu.

Krzysztof raptownie odwrócił się w jego stronę. Był zły na siebie, że zajęty walką tak późno dostrzegł jeszcze jednego gościa w katedrze. Ten z kolei dał znak dwóm mężczyznom, aby natychmiast podczołgali się w jego stronę. Lorent świdrował starca wzrokiem, czekając na wyjaśnienie.

- Wiedziałem, że nie będziesz w stanie zabić w świątyni - odezwał się człowieczek, z satysfakcją kiwając głową.

- Profesor Link?! - teraz dopiero odezwał się Wilecki. Śmiało wyrwał się z objęć olbrzymów i podbiegł, nie zważając na wciąż groźnych drabów. - Ale jak...?!

- Musiałem się przekonać, że to naprawdę on - wyjaśnił, choć raczej nie do końca, Link.

- Przecież pan...

- Zabieram was stąd. Musimy szybko opuścić katedrę. Zostawcie skarb. Przyda się komuś za kilkaset lat.

Aureil odłożył słuchawkę. Przez dobrych kilka minut siedział w milczeniu, wreszcie wstał i przeszedł się po komnacie. Właściwie nigdy nie rozsuwano tu ciężkich, czerwonych zasłon, a skąpe światło zapewniało tylko kilka świeczników. W gabinecie mistrza nie było ani elektryczności, ani światła dziennego. To sprzyjało skupieniu i modlitwie. Nie męczyło wzroku, wprowadzało spokój. Starzec ponownie usiadł przy biurku, westchnął głęboko i nacisnął przycisk interkomu.

- Pierre... - wezwał doświadczonego aurelitę z działu kontaktów z zagranicą.

- Tak, mistrzu.

- Mógłbyś sprawdzić mi jedną informację?

- Oczywiście. Słucham.

- Dowiedz się, co publicznie wiadomo o śmierci lub zaginięciu dwóch policjantów w Polsce. Ostatnio widziano ich w miejscowości Urle pod Warszawą. Ile ci to zajmie?

- Podstawowe informacje do godziny. Pełny raport na dwudziestą trzecią.

- Dobrze. - Aureil przerwał połączenie. Sięgnął po staroświecki, czarny telefon. Przysunął go do siebie i zdjawszy słuchawkę, wykręcił numer.

- Tak, słucham! - usłyszał po polsku.

- Witaj, Emilu! - przywitał go dobrotnie w języku francuskim. - Czy mógłbyś łaskawie poprosić do telefonu Iosifa?

Chwila niepewności po drugiej stronie nie zdziwiła starca.

- Oczywiście, mistrzu! - usłyszał po kilku sekundach.

Punin musiał być w tym samym pomieszczeniu, bo niemal natychmiast przejął słuchawkę.

- Tak, ojciec... - Aureil jak mało kto umiał wyczuć niepokój, nawet w głosie tak wyćwiczonego żołnierza jak Punin.

- Proszę, abyś jutro przybył do Chatillon.

- Ależ... - Iosif był kompletnie zaskoczony. - Ojciec... jesteśmy na tropie Kapłana. Od osiągnięcia celu dzielą nas dni, może godziny!

- Przykro mi synu. Ostrzegałem cię przed błędami.

- Przecież wszystko idzie zgodnie z planem...

- Nie, Iosifie - odparł zimno starzec. - Chciałbym usłyszeć to z twoich ust: zgładziłeś tych policjantów?

Cisza w słuchawce wystarczyła za odpowiedź.

- Ojciec... błagam cię! - Punin mówił z zaciśniętymi zębami, powstrzymując gniew.

- Każdy, kto zabija bez potrzeby, godzien jest potępienia - bezlitośnie kontynuował Aureil.

- Zawiodłeś mnie, synu.

- Mistrzu! Nie było innego wyjścia! Wiesz, że Luigi zawsze robił wszystko, aby podcinać mi skrzydła.

- Nie rozmawiałem z Luigim na twój temat! - przerwał gniewnie starzec. - On również mnie zawiódł, choć w znacznie mniejszym stopniu. Za ukrywanie tego morderstwa poniesie konsekwencje. Ale wiem, że mimo pewnej rezerwy, którą czuje do ciebie, uważa, iż jesteś niezbędny do tego zadania! Niestety, tu różnimy się w sądach. Luigi dokończy misję. A ciebie chcę widzieć jutro rano. Nie radzę zawieść mnie po raz drugi.

Aureil odłożył słuchawkę. Chwilę później aparat wypadł z rąk Puninowi.

- Wypalę ci oczy, wyrwę krtań i będę patrzył, jak zdychasz... - warknął przez zęby.

Odepchnął Emila i wszedł do sąsiedniego pokoju, jakby chciał wyważyć drzwi. Zastał Luigiego jedzącego zupę z lagenarii³⁵.

- Ostrożnie, Iosifie - zwrócił mu uprzejmie uwagę Balea. - Nie jesteśmy u siebie. Poza tym, jak widzisz, spożywam posiłek. Przyłączysz się?

Punin zacisnął pięści i oczy. Szybko się jednak opanował, nie chcąc odpowiadać na zbędne pytania.

- Coś się stało? - spytał mimo wszystko Luigi.

- Nie, nic ważnego. Nie wiesz, gdzie jest Tomasz? Chcę się go o coś poradzić.

- Chyba u siebie w domu. Zegnał się godzinę temu.

- A, tak. Smacznego. Wrócę niedługo, ale nie czekaj z obiadem.

- Chcesz, żebym ci towarzyszył?

- Zjedz spokojnie. Jeśli pozwolisz, po prostu przejdę się. A z Tomaszem porozmawiam jutro, po jego przyjeździe.

- Może zadzwoń?

- Nie, to może poczekać.

- Jak chcesz. - Luigi wrócił do jedzenia.

Iosif wolno wyszedł z domu. Kiedy tylko minął próg, zaczął biec w kierunku postoju taksówek.

Luigi sięgnął po telefon. Odłożył na chwilę łyżkę i wystukał numer Tomasza.

- Tak, słucham? - usłyszał w słuchawce.

- Zbieraj się. Jedzie do ciebie - poinformował spokojnie.

- Już mnie nie ma - odparł Tomasz i przerwał połączenie.

- Podgrzej zupę! - krzyknął Balea do Emila. - Myślę, że Iosif za chwilę wróci!

Weszli do skromnego, ale gustownie i starannie urządzonego domu. Parter i poddasze nie miały w sumie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów. Spory salon na dole, połączony z kuchnią, graniczył z pracownią. Na górze, o czym powiadomił ich już w czasie jazdy profesor Link, były po prostu trzy sypialnie. Całość, zdaniem Krzysztofa, została pomyślana idealnie tak, aby nie rzucać się w oczy.

³⁵ Lagenaria - *Lagenaria leucantha*, inaczej tykwa.

Jak zwykle bywa, kiedy rodzi się zbyt wiele pytań, trwa cisza. Nie powinien więc dziwić fakt, że z wyjątkiem chrząknięć, westchnień czy głębokich oddechów oraz uprzejmych uśmiechów - odkąd wszyscy usadowili się w samochodach - przez pierwszych kilka minut nikt nie odezwał się nawet słowem. Po mniej więcej półgodzinnej jeździe, kilkanaście kilometrów za Roskilde, dwa samochody - biała, duża toyota i ciemnoniebieski nissan primera wjechały na podwórze. Noc stawała się coraz jaśniejsza, ale do wschodu słońca zostało jeszcze trochę czasu. Goście pośpiesznie weszli do domu, a większość chłopców Linka zniknęła na podwórzu, być może sprawdzając, czy przypadkiem nikt za nimi nie jechał, lub po prostu parkując pojazdy w garażu. Tylko jeden z nich wszedł z nimi do domu i zaraz zniknął w kuchni.

- Profesorze, to już trzy lata! - wybuchnął Wilecki, siadając na wskazanej przez gospodarza skórzanej kanapie.

- Chyba tak. - Starzec uśmiechnął się, wyraźnie rozradowany dzisiejszym spotkaniem. Gestem zachęcił pozostałych gości, aby usiedli na fotelach lub kanapie. - Herbata? Kawa?

- Poproszę zimną wodę - odparła zmęczonym głosem Ola.

- A ja herbatkę - zarządził Wilecki.

Lorent wciąż milczał, wpatrzony w jakiś nieistniejący punkt, dwa, może trzy metry przed jego nosem.

- Krzysiek, co jest? - Lekarka szturchnęła go.

- Nie, nic - rzekł, udając uśmiech. - Ja również poproszę wodę.

Link zatrzymał na nim wzrok.

- Nie mogę uwierzyć, że to ty - westchnął, nie potrafiąc ukryć radości. - Wybacz mi ten teatrzyk w katedrze. Musiałem się przekonać. Nie mogło być pomyłki. Obserwowaliśmy katedrę, odkąd się pojawiłeś.

- Odkąd się pojawiłem? - spytał, marszcząc brwi Krzysztof.

- Ja również o tym wiedziałem. Nie tylko aurelici. Jak wypoczniesz, wszystko ci opowiem.

Lorent skinął głową.

- Jak zaplanowałeś ten skok na *unius oculi*?

- Pomógł mi znajomy mojego przyjaciela z Polski. Skontaktował mnie z pewnym człowiekiem z Austrii, który dostarczył plany zabezpieczeń. Czekały na mnie na dworcu w Wiedniu.

- Plany? - roześmiał się głośno profesor. - Musiały być niezłe...

- Nie rozumiem. - Krzysztofa jakoś nie rozbawiła uwaga rozentuzjasmowanego staruszka.

- Po prostu zastanawiam się. Biegaliście przed ekranami jak na pokazie mody, więc... tak pytam.

- Niemożliwe. - Lorent nadal miał kiepski humor. - Miałem mapy...

- To te duże koperty z lotniska? - wtrącił Wilecki.

- Widzę, że nikomu nie ufasz, Kapłanie, nawet przyjaciółom. - Link wciąż patrzył na niego jak urzeczony.

- To nie jest kwestia zaufania - poprawił Krzysztof. - Wolałem te sprawy rozpatrywać w samotności, tak jest bezpieczniej.

Szwajcar uśmiechnął się dobrotliwie.

- Jesteś mistrzem pamięci, ale kiepski z ciebie włamywacz. - Włożył ręce do kieszeni spodni i przeszedł się po salonie. Był jak na swój wiek ubrany dość nowocześnie: w dzinsy, brązową koszulę, welwetową marynarkę.

- Na mapach - bronił się Lorent - miałem wyrysowane ustawienia kamer, są...

- Są wszędzie i z pewnością mysz by się nie prześlizgnęła. Są także niewidoczne i raczej nikt postronny nie wie, gdzie je zamontowano. - Uśmiech nie zniknął z twarzy Linka. - Twoje mapy to jakiś żart, przykro mi. Obserwujemy was od wczoraj, na szczęście nasz wspólny przyjaciel, profesor Wilecki - tu uklonił się dawnemu towarzyszowi twórczych dociekań - niewiele się zmienił i łatwo go było rozpoznać. Dopilnowaliśmy, abyście to okno rzeczywiście mieli otwarte i aby... - przebiegł tajemniczym wzrokiem po wszystkich obecnych - nagrania z wami w roli głównej znikły z odpowiednich komputerów.

- Jak? - spytała wprost Ola.

- Powiedzmy, że nie tylko aurelici mają swoje wpływy.

- Kim pan naprawdę jest, profesorze Link? - dociekał z lekka zniecierpliwiony już Krzysztof.

- Kim naprawdę jestem... - powtórzył jak echo gospodarz. - Nie ufasz mi, Kapłanie.

- Wiedział pan o skarbie Jednego Oka, może pan też jest Kapłanem, może aurelitą, a może tylko ich szpiegiem.

- Wiesz doskonale, że nie. Nie wierzę, żebyś się nie domyślał, skąd mam tę wiedzę.

Wilecki trzymający od pewnego czasu szklanekę z herbatą podaną mu przed chwilą, postawił ją na stole zdecydowanie zbyt głośno.

- Ależ to jest profesor Eberhard Link! - wykrzyknął. - Jak możesz tak mówić, Krzysztofie?!

- Ty sam jeszcze do niedawna twierdziłeś, że staruszek zwariował - przypomniała mu Ola, ale na szczęście szeptem i wprost do jego ucha.

- I co z tego?! - zaczął zbyt głośno Wilecki, ale szybko obniżył ton.

- Mam ci do zaproponowania układ, Kapłanie - powiedział poważnie Link.

- Podobnie jak aurelici - zauważył Lorent.

- Ale oni chcą zmusić cię do uczestnictwa w obrzędzie Nocy Kapłanów, a ja chcę ci zwrócić... wolność. A tego przecież szukasz. Zainteresowany?

Nastała zaskakująco cisza. Wyraz twarzy Krzysztofa nie wskazywał na specjalny entuzjazm.

- Tak bezinteresownie? - spytał po chwili.

- Oczywiście, że nie. Ale ten mój interes zdecydowanie pokrywa się z twoim. Moim interesem są aurelici. Bez ciebie nie dam im rady.

- Niewiele pomogę. Nie mam pojęcia nawet, jak się do tego zabrać.

Profesor usiadł z powrotem na fotelu i uniósł palec do góry.

- Jak, to ja ci powiem. Ty tylko musisz zaufać i wykorzystać swoją potęgę.

- Właśnie widziałem, jaką mam potęgę - zauważył zgryźliwie Krzysztof. - Nie jestem nawet w stanie zabrać mojej własności z katedry, żeby nie zaskoczył mnie siedemdziesięciolatek.

Wilecki już się zbierał do kolejnego protestu, jednak Ola go powstrzymała.

- Czego chcesz, Medeo³⁶! - syknął szeptem do jej ucha.

- Chcę, żebyś raz w życiu nie przeszkadzał. Ty też byś był wkurzony, jakby ktoś zrobił z ciebie idiotę.

- Mówiłem, żeby nie okradał kościoła!

- O czym rozmawiacie? - rzucił nagle w ich stronę Link.

- Aaa, nic. - Wilecki machnął ręką. - Takie tam.

- Zastanawiamy się po prostu, skąd pan wiedział o skarbie - wystrzeliła Ola, wykręcając jednocześnie pod stołem palec Wileckiego, aby nie zdążył zaprzeczyć.

Eberhard Link podniósł do ust szklanę i bez specjalnych wstępów zaczął opowiadać.

³⁶ Medea - mit. gr. Czarodziejka, żona Jazona, przywódcy Argonautów. Namówiła córki uzurpatora Peliasa, aby zabiły swojego ojca, twierdząc, że odmłodzi go, jeśli go pokroją, a kawałki ugotują w specjalnym kotle.

- Skarb w katedrze umieścił Michał Kotwicz, polski szlachcic, poddany króla Władysława IV Wazy. Cesarzem i królem Węgier był wtedy Ferdynand III, w Moskwie panował Aleksy, we Francji Ludwik XIV, w Szwecji królowa Krystyna, a w Danii umarł właśnie Chrystian IV. Wierny laufer³⁷ Kotwicza, Maciej Ezsterhas pochodził z rodziny przybyłej z Węgier. Polak ufał mu niemal bezgranicznie. Tylko Maciej wiedział o „chorobie” Kotwicza i tylko on mógł wiedzieć o ukryciu „skarbu” mającego pomóc następnemu Kapłanowi.

- A aurelici? - spytał Wilecki.

- To chyba jedyny Kapłan z mojej pamięci, o którym aurelici dowiedzieli się bardzo późno - westchnął pośpiesznie Krzysztof. - Kotwicz i Maciej umieli utrzymać wszystko w całkowitej tajemnicy.

- Przecież żona, dzieci. - Ola rozłożyła ręce. - Nie da się takich rzeczy ukryć.

- Da się - zaprzeczył Lorent. - Michał ożenił się zdrowo po trzydziestce, a więc ponad dziesięć lat po pierwszych objawach „choroby”. Mimo swojego wykształcenia, obycia i odwagi, on również długo nie umiał zrozumieć, co się z nim dzieje. Potrafił za to powstrzymać się od fanfaronady charakterystycznej dla ówczesnej szlachty. Nie szukał rozgłosu, sławy, przyziemności. Szukał sprawiedliwości.

Wilecki złożył ręce jak do modlitwy.

- Ideał... - rzekł nabożnie, ale natychmiast otrzymał kuksańca od Oli.

- Nie możesz choć raz się powstrzymać - warknęła w jego stronę, marszcząc brwi.

- Kotwicza zdradziły oczywiście niezwykle umiejętności. Nie dało się tego ukrywać latami - kontynuował Lorent. - W czasie jednej z potyczek w Szwecji zbyt wielu ludzi widziało, co zrobił.

- W Szwecji? - Nawet Ola uznała, że to trochę zbyt wielki skrót.

- Był szpiegiem króla - wyjaśnił bezceremonialnie profesor Link. - Władysław nigdy nie zrezygnował z pretensji do szwedzkiego tronu i potajemnie, poprzez swoich agentów, zaangażował się w wojnę trzydziestoletnią.

A bywało, że popierał nawet Danię w licznych wówczas zatargach ze Szwecją. - Link pokiwał głową, jak to się zwykle robi, gdy godzi się z losem. - Takie to już przeznaczenie większości Kapłanów: szybko zginąć albo samotność zamienić na służbę. Zwróćcie uwagę - tu spojrzął na Olę i Wileckiego - jak wielu z nich w szybkim czasie znalazło się w otoczeniu swojego króla lub księcia. Kotwicz świetnie władał językami, z czego pewnie zdajecie sobie sprawę, a

³⁷ Laufer - sługa, dawn. giermek torujący drogę panu, goniec.

ziemie skandynawskie, zwyczaje i mentalność tamtejszych ludów dobrze znał... także z dalekiej przeszłości. Skarb, zdecydował się ukryć tu, bo...

- Dostyc - urwał cicho, ale stanowczo Lorent. - Już dostyc.

Zachmurzona twarz Krzysztofa przygasiła dyskusję na co najmniej kilka łyków herbaty.

- Wierzyłem mu - odezwał się wreszcie ponuro Kapłan. - Przysięgał, że zabierze tajemnicę do grobu.

- Ezsterhas zrobił to z miłości do swojego pana - powiedział poważnie Link. - Przekazał tajemnicę tylko swojemu najstarszemu synowi, ten z kolei swojemu i tak przez pokolenia aż do mnie. Tradycja nigdy nie pozwoliła zrobić z niej złego użytku, a przygotowanie tych, którzy ją posiadali, było imponujące. Zauważ, aurelici do dzisiaj nie mają o tym pojęcia. Ścigają mnie ze względu na to, czemu się poświęciłem - na moją pracę naukową.

- Srutututu - swoim zwyczajem mruknęła pod nosem Ola. - Ludzie są tylko ludźmi - dodała głośniejszym głosem. - To nie roboty. Ludzie to istoty stadne, mające silną potrzebę dzielenia się uczuciami, informacjami, a już szczególnie takimi rewelacjami jak ta. Chcą być zauważeni, docenieni, zapamiętani!

- A pani, przepraszam bardzo - zwrócił się do niej urażony profesor - skąd tak dogłębnie zna się na ludziach?

Ostatnie zdanie było wypowiedziane dość zgryźliwie.

- Ze studiów, drogi panie profesorze - odparła bojowo. - Ostro na nich wkuwałam. A teraz jestem psychiatrą z ponaddziesięcioletnim stażem. I jestem w tym dobra.

- A uczyli tam panią o świętych tradycjach rodzinnych, dyscyplinie, honorze, przygotowaniu?!

- Właśnie widzę, jaki to był honor. Już pierwszy kolega z tego łańcuszka „głuchego telefonu” zdradził swojego pana i wypaplał wszystko.

Link poczerwieniał ze złości.

- Jestem cicho - zameldował Wilecki, unosząc ręce do góry.

Staruszek dał sobie czas na ochłonięcie.

- Michał Kotwicz pod koniec życia walczył z aurelitami niemal w całej Europie - zaczął ponownie po chwili. - Wymordowali jego rodzinę, a on sam zmarł na cholere. Jego sługa musiał na to patrzeć. Wtedy podjął decyzję. Wiedział, że to się nigdy nie skończy, że przyjdą następni Kapłani i muszą mieć coś, co pomoże im w dalszej misji. Tym właśnie był skarb ukryty przez nich, na kilka lat przed śmiercią Kotwicza! Być może Maciej Ezsterhas potrafił przewidzieć, że

kiedyś dojdzie do takiego spotkania jak to, kiedy nasze rodziny znowu połączą siły. Był tylko zubożałym szlachcicem, ale jego mądrość pozwoliła nam dzisiaj przeciwstawić się najpotężniejszemu bractwu wszech czasów!

- Jak? - przerwał Wilecki.

- Powiem wam.

Krzysztof nie słuchał sporu przy stole. Od pewnego już czasu stał przed domem, przypatrując się czarnej, rozpostartej nad światem przestrzeni, upstrzonej świecącymi punkcikami sprzed wielu tysięcy lat.

- Trzeba odpocząć - mruknął sam do siebie.

Już od wielu dni wiedział, kim jest Link. Teraz tylko dostarczono mu ostateczny dowód. Ale choć przecież minęło ponad trzysta lat, nie umiał pozbyć się nowego, przemożnego, tak dalekiego jeszcze do niedawna uczucia... gniewu.

- Panie Boże... - zaczął szeptać. - Jestem Krzysztof Lorent, twój sługa w habitcie i ten, który musiał habit odrzucić. Nie jestem Tacjadesem - myślicielem i przywódcą nieszczęsnej Malii, nie jestem Godfrydem ani Tytusem Gastulusem. Nie jestem Devirkiem, synem Denavala - duszą Chrobrego, ani Leonardem - malarzem wszech czasów. Nie jestem też Michałem z Kotwiczów, choć jego nieszczęścia odczuwam jak swoje. To tylko wspomnienia... Panie mój! Dlaczego nie umiem ich nie pamiętać? Przyjmę z pokorą każde cierpienie, ale błagam, pozwól mi pozostać sobą!

Iosif Punin od kilku godzin siedział na ławce w ogrodzie, wpatrzony w porośnięty jałowcem płot. Zacięta mina, niezmiennie gniewna od wczoraj, nie znikwała z jego oblicza nawet na sekundę. Pogoda znów dzisiaj dopisała. Gorące lato spadło na miasto już ponad miesiąc temu i z niewielkimi przerwami na skromny deszcz opanowało z pełną potencją aurę. W takie dni Warszawa mogłaby pod tym względem śmiało konkurować z Rzymem czy Barceloną, z tą tylko różnicą, że innego roku z kolei zmienny i kapryśny klimat nadwiślański mógłby równie dobrze upodobnić się do na przykład... moskiewskiego, a wtedy byłoby już znacznie mniej romantycznie.

Romantyzm nie był główną cechą umysłowości i duszy Iosifa Punina. Aurelita wolał od niepewnego i nieokreślonego abstraktu konkret, dyscyplinę i odwagę w działaniu. Nie rozumiał młodych kobiet, ich pretensjonalnej głupoty, lekkomyślności i egzaltacji. Tak. Romantyzm nie jest niczym innym jak zręcznym usprawiedliwieniem nierozumności, złej oceny sytuacji, słabości.

Luigi Balea zamienił kilka słów z Emilem, po czym wyszedł z salonu do ogrodu i podszedł do Punina.

- Co cię trapi, Iosifie? - spytał z niemal szczerą troskliwością.

- Ależ nic. Po prostu czekam, podobnie jak ty.

- Siedzisz tu od szóstej rano. Jest prawie jedenasta.

Twarz Punina nieznacznie wypogodniała.

- Czas poświęcony na medytację nigdy nie jest stracony. - Odwrócił się do Balei. - Tomasz już przyszedł?

- Nie wzywałem go dzisiaj. Kiedy nadejdą wiadomości, na które czekamy, wtedy to zrobię.

- Ach tak... - w głosie Iosifa zabrzmiało coś w rodzaju roztargnienia. - A więc pozostaje nam czekać.

- Podobno rozmawiałeś z ojcem? - spytał spokojnie Luigi, wpatrując się uważnie w oczy Punina. - Emil mi mówił.

- Tak - odparł krótko.

- Mogę wiedzieć, na jaki temat?

- Wolałbym o tym nie mówić, Luigi. Ojciec nie lubi, kiedy jego słowa przekazywane są z „drugiej ręki”. Jeśli miałby ci coś do przekazania, z pewnością porozmawiałby z tobą bezpośrednio.

- Między nami miało nie być sekretów.

Punin odwrócił się i surowo, ale po przyjacielsku, spokojnie poprosił:

- Uszanuj to, Luigi. To nie jest kwestia sekretów. Nasza rozmowa dotyczyła mnie, nie musisz się niczym martwić.

- Jedziemy na tym samym wozie. Tysiące braci na całym świecie czeka na nasz sukces.

- Wiem. Nie zawiodę cię. Obiecuję, że nie zawiodę.

Ciężko to było nazwać porankiem. Wstali niemal równocześnie, ale... około południa.

- Jak spałeś? - spytała Ola.

- Nieźle.

- O czym zwykle śnisz?

- Lepiej nie pytaj.

Krzysztof roześmiał się smutno i posłał jej swoje dawne, łagodne spojrzenie. Sambierska rozparła się na fotelu i założyła nogę na nogę. Nikt oprócz nich nie zszedł jeszcze na dół, tylko po podwórzu i ogrodzie krzatali się znani im już z wczorajszej akcji ochroniarze.

- Ładny dom - stwierdziła. - Skromny, ale ładny. Lubię, kiedy nie ma zbyt wielu mebli, przestrzeń jest wykorzystana i nie chodzę po skórach martwych zwierząt.

- Racja - odparł Lorent, kierując wzrok na schody. Dochodziła z nich rozmowa dwóch profesorów, pełna eleganckich zwrotów, wzajemnych uprzejmości, prowadzona po angielsku, jak wczoraj. Schodzili powoli, gestykulując i, co ciekawe, prowadząc łagodny spór na temat ołtarza z Domkirke.

- O! Nasi przyjaciele już na nogach! - zauważył bystro Wilecki, jakby urwał się nagle z jakiejś powieści Jane Austen.

- Chłopcy podadzą zaraz śniadanie - ogłosił Link. - No, właściwie lunch. Wrażenia pozwoliły zasnąć?

Ola machnęła tylko ręką, a Krzysztof zrobił minę w stylu: „no wie pan, jak to jest...”

- Tak więc, dobrze. - Gospodarz uśmiechnął się do wszystkich i klasnął w ręce. - Siadajmy, jedzmy, pijmy, bo później... pora działać.

Oli i Wileckiemu na dźwięk hasła „pora działać” zrobiło się zimnawo i cokolwiek nieswojo, ale oboje przepisowo trzymali fason.

- Kto jeszcze oprócz nas wie o tym miejscu? - spytała Sambierska.

- Bardzo niewiele osób - odparł profesor, sadowiąc się na fotelu.

Ochroniarze, znani już wszystkim z wczorajszego skoku, występowali dziś równie zręcznie, ale tym razem w roli kelnerów i kucharzy. Na stole szybko wylądowało kilka talerzy z rybami, serami, pieczywem i sałatkami.

- Może nam pan powiedzieć, co to za osoby? - zainteresował się Wilecki.

- Myślę, że na tym etapie trudno byłoby państwu to zrozumieć.

- Ależ dla świata jest pan...

- Wariatem? - dokończył wesoło Link. - To dobrze. Proszę pamiętać, że - jak uczy nas historia - wariaci, głupcy czy ułomni zawsze cieszyli się największym bezpieczeństwem, nawet w tak „miłych” miejscach jak dwory cesarskie.

- Widzisz? Nie masz się czego bać, wyjdiesz z tego - szepnęła Ola do ucha Wileckiego, głaszcząc go kojąco po szyi.

- Proszę się nie śmiać - upomniął dobrotliwie profesor dwójkę flirtującą po drugiej stronie stołu. - Wielki cesarz rzymski - Klaudiusz, z dynastii julijsko-klaudyjskiej, uważany był w dzieciństwie i młodości za opóźnionego, kalekiego głupca, a przecież właśnie dzięki temu przeżył. Niemal całą jego rodzinę wymordowano. Objął tron i na długo stał się najpotężniejszym człowiekiem ówczesnego świata. A przeżyć czasy Kaliguli, będąc arystokratą z rodziny cesarskiej, to była sztuka! Takich przykładów jest sporo.

Wilecki rozłożył ręce.

- No dobrze, panie profesorze, ale co dalej? Jak długo chce pan się ukrywać? Co my mamy robić?

Link skinął na jednego z ochroniarzy i po duńsku zaordynował butelkę wina. Potężny blondyn szybko wrócił z bordeaux rocznik 1985. Wilecki na jej widok pokiwał z uznaniem głową.

- Nie mamy zbyt dużo czasu na długie wstępy - rzekł gospodarz. - Przejdę więc do sedna. Znaleźliście się, chcąc nie chcąc, w centrum potężnego konfliktu między bardzo wpływowymi siłami tego świata.

- Oj... - Sambierska skrzywiła się. - Ostro brzmi.

- Pani - wskazał na nią Link - a nawet pan, profesorze - przeniósł wzrok na Wileckiego - jesteście tu przypadkowo, ale Kapłan - uśmiechnął się do milczącego Krzysztofa - jest sednem tego konfliktu, a my, tak czy owak, musimy odegrać w nim swoją rolę, jeśli chcemy przetrwać.

- Konflikt? - Ola z niedowierzaniem uniosła brwi. - Między kim a kim? Chyba pan nie powie, że między aurelitami a panem! Przy całym szacunku... nie chce pan chyba zadzierać z tymi szaleńcami, mając u boku tylko nas i tę sympatyczną grupę kucharzo-karateków?

- Z wyjątkiem Kapłana, jesteśmy tylko małymi trybikami w tej całej zabawie. Mówiłem, że ciężko będzie to zrozumieć bez pobieżnej choćby próby spojrzenia na całość. Ale spróbujmy. Kim był Aureliusz Marcellin, zakładam, że nawet pani wie?

- Od niedawna.

- Ale już pewnie o tak zwanych brunatnych apokryfach nie wie pani nic?

- Jak... Brunatnych?

- A więc mam rację. O tym nawet z profesorem Wileckim korespondowałem dość oszczędnie. Mam nadzieję, że wybaczysz mi to, mój drogi przyjacielu. - Spojrzał przepaszająco

na towarzysza dawnych dyskusji. - Ale byłoby to zupełnie zbędne narażanie cię na niebezpieczeństwo.

Link wziął do ręki otwartą przez ochroniarza butelkę.

- Kto ma ochotę na lampkę wina?

- Chyba posłucham tego na trzeźwo - zdecydowała Sambierska.

Reszta, ku zdziwieniu gospodarza, pokiwała głowami, zgadzając się z lekarką, nawet Krzysztof mający przez cały ten czas dość obojętną, by nie powiedzieć znudzoną minę.

- No cóż. - Link się uśmiechnął. - Wiele tracie, to rocznik osiemdziesiąty piąty. Może później. Wróćmy do naszych spraw. Źródło tego, o czym mówimy, leży w początkach tworzenia się tak zwanego kanonu wiary Jezusowej. Otóż za czasów Marcellina nie istniało coś takiego jak dzisiejsza Biblia. Krążyło wówczas po świecie tak wiele opowieści o życiu Chrystusa, że sami chrześcijanie nie wiedzieli, co jest prawdą, a co nie. Te opowieści niejednokrotnie były sprzeczne, czasem zupełnie nielogiczne, a co najważniejsze - prawie zawsze wieloznaczne. W czwartym wieku wyznawców Chrystusa było już tak wielu, że stało się jasne, iż z niewielkiej niegdyś sekty rodzi się potężna religia. Zdawał sobie z tego sprawę Konstantyn Wielki³⁸, rozumiejąc, że nie ma gorszej rzeczy niż prawdy religijne, które można interpretować na wiele różnych sposobów. Wierni muszą wierzyć w to samo, tak samo, posługując się takim samym obrządkiem.

- Jasne - mruknęła posepnie pod nosem Ola. - Cóż bardziej niebezpiecznego niż wolność...

Link na szczęście nie usłyszał uwagi lekarki, a Wilecki udawał, że nic nie powiedziała, więc profesor kontynuował.

- Chociaż, jak się podejrzewa, Konstantyn Wielki przez większość życia był poganinem, doprowadził do pierwszych politycznych ruchów w kierunku uporządkowania nowej religii. Możemy oczywiście wierzyć sobie w legendy typu *In hoc signo vinces*³⁹, ale tak naprawdę trzeba było po prostu jasno określić, co jest prawdą, a co nie. Co jest dobre, a co złe. Wreszcie dać ludziom to, bez czego z pewnością nie dałoby się utrzymać żadnej wspólnoty, a mianowicie - święta. Wiecie - Wielkanoc, Wigilia, Popielec i tak dalej. Upraszczam, bo z naszego punktu widzenia ważna jest tylko jedna rzecz - narastający konflikt między cesarzem a jednym z najbardziej wpływowych ludzi na dworze Aureliuszem Marcellinem. Z tego, co wiemy, Aureliusz nigdy nie odważył się przyznać Konstantynowi, że posiada ogromną wiedzę swoich przodków, ale ochoczo z niej korzystał, wpływając na politykę cesarstwa. Sobór w Nicei stał się jednak jego

³⁸ Konstantyn I Wielki, Flavius Valerius Constantinus (ok. 280-337) - cesarz rzymski od 306. Syn Konstancjusza I Chlorusa i Heleny. Po śmierci ojca w Brytanii, obwołany przez wojsko cesarzem Zachodu.

³⁹ *In hoc signo vinces* (łac.) - „pod tym znakiem zwyciężysz”. Legenda mówi, że przed wygraną bitwą z Maksencjuszem w 312 roku, przy Moście Mulwijskim w Rzymie, Konstantyn Wielki miał sen, w którym ukazał mu się na niebie świetlisty krzyż z napisem: *In hoc signo vinces*, co miało być przyczyną jego prochrześcijańskiej polityki przez cały okres późniejszego panowania.

porażką. Tym razem władca przeciwstawił się swojemu doradcy. Doprowadził do pierwszego soboru powszechnego, który nawet dość silnie popierał Marcellin, ale to, co tam się stało, odsunęło na zawsze przyszłego pierwszego wodza aurelitów od Konstantyna.

- Byłam w Nicei - powiadomiła niespodziewanie ogół Sambierska. - Piękne morze, turyści, niewiele tam ostało się z atmosfery mrocznych średniowiecznych księżulów.

- To nie ta Nicea - delikatnie wyjaśnił Krzysztof.

- Słucham?

- Profesor mówi o mieście Nikaia, dzisiaj znanym jako Iznik. Leży w Turcji, a nie we Francji. Tam był sobór.

- Ups... - Ola parsknęła śmiechem, ale na szczęście niezbyt głośno. - Wybaczcie, nie mieliśmy tego na medycynie, a w szkole to olali.

- Nie szkodzi - powiedział dobrotliwie Link.

- Jeśli pójdziesz ze mną do łóżka, wyłożę ci to z najdrobniejszymi szczegółami - szepnął lekarce prosto do ucha Wilecki.

- On mi to zaraz powie - wyszczebiotała zalotnie Sambierska, pokazując brodą Linka - i to za darmo.

- On, to zaraz ci każe być Matą Hari⁴⁰, a ja, moja droga, potrafię udowodnić, jak dalekie potrafią być horyzonty wiedzy i uczuć wyższych...

- Przepraszam - wtrącił nieśmiało gospodarz. - Kiepsko mówię po polsku. - Profesor uśmiechnął się w ich stronę, ale widać było, że delikatnie prosi o ciszę.

- To my przepraszamy - odparł po angielsku Wilecki.

- A więc sobór nicejski - kontynuował Link - zamiast, jak spodziewał się Marcellin, zwycięstwa jego straszliwej, ponurej idei, o której za chwilę powiemy, na plan pierwszy wysunął konflikt między teologiem libijskim Ariuszem a biskupem Atanazym, późniejszym świętym. To miał być przecież jedynie pretekst do zgromadzenia największych umysłów ówczesnego świata chrześcijańskiego i zaszczepienia idei Aureliusza. Cesarz jednak dopilnował, aby nie tylko pomysły jego przyjaciela nie zostały zaakceptowane, ale także by potępiono arianizm w całości, decydując się na kierunek z grubsza panujący do dzisiaj. Tego wymagała polityka i spokój cesarstwa. Konstantyn musiał zaprowadzić względny pokój religijny, nie zaś tworzyć zaczyn

⁴⁰ Mata Hari, właściwie Margaretha Geertmida McLeod z d. Zelle (1876-1917) - holenderska tancerka, dama do towarzystwa oraz szpieg. Znana z urody i przebiegłości. Zdobyła wielką sławę w Europie Zachodniej na początku XX wieku. Rozstrzelana pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec, mimo że nigdy nie udowodniono jej winy.

niekończących się walk między wieloma odłamami ówczesnego chrześcijaństwa. Przyjaźń musiała odejść na dalszy plan. Klęska Marcellina była całkowita.

- A czego chciał ten Marcellin? - spytała poważnie Ola.

Profesor pociągnął spory łyk wina, wytarł delikatnie serwetką usta i przyjrzał się uważnie lekarce, jakby szukał w jej oczach odpowiedzi, czy jest gotowa usłyszeć prawdę.

- Jakiego pani jest wyznania? - spytał wstępnie.

- Na szczęście żadnego - odparła z naciskiem.

- No to chyba pójdzie nam łatwiej. Sądzę, że do wytłumaczenia tego potrzebna mi będzie tylko... pani wyobraźnia.

- Zamieniam się w słuch. - Ola się uśmiechnęła.

- Proszę sobie wyobrazić, że jest pani świadkiem stworzenia przez Boga naszego świata. -

Profesor znacząco uniośł palec do góry. - Jak mówi Biblia, Stwórca zrobił to w siedem dni, a właściwie w sześć, bo siódmego odpoczywał. Świat boski to jednak nie tylko sam Jahwe, ale także całe armie aniołów, w dodatku bardzo różniących się pozycją, siłą i oczywiście nie zawsze ze sobą zgodnych. Liczne pisma zaginione i niezaginione mówią o wojnach aniołów, niekiedy zazdrosnych o miłość Boga, o ludzi lub zbuntowanych przeciwko ich stworzeniu i utracie dawnego idealnego, nieśmiertelnego świata. Najpoważniejszy konflikt w niebie zakończył się - jak wiemy - straceniem do piekieł szatana Lucyfera wraz z jego zwolennikami. Opowiada o tym wiele apokryfów, a nawet objawienie świętego Jana. Każdy z nas o tym słyszał. Ponieważ zarówno pani, jak i ja jesteśmy ateistami, dla nas to tylko legendy. Ale kiedy przyjrzymy się temu trochę dokładniej, nagle okaże się, że moment ten był nie tylko najbardziej przełomowym, oprócz oczywiście śmierci i zmartwychwstania Chrystusa, wydarzeniem od czasu powstania świata, ale przede wszystkim doskonałą pożywką dla bardzo niebezpiecznych idei zrodzonych w umysłach ludzi pokroju Aureliusza.

- To chyba dość charakterystyczny motyw dla mitów i religii wielu wyznań - wtrąciła Ola.

- Zbuntowany i nieposłuszny anioł lub półbóg, heros czy nawet w politeizmie pomniejszy bóg jest karany przez szefa. Nic wielkiego.

- No, niezupełnie - zaprzeczył ostrożnie profesor. - Niech pani zwróci uwagę, że Lucyfer był ulubieńcem Boga, najpiękniejszym aniołem, a nie jak się przedstawia go na malowidłach rogatym i kosmatym straszylem. Jego wyobrażenie miało przez wieki budzić lęk przed grzechem, nieposłuszeństwem i pychą, ale... pisma mówią co innego. Jego potęga przerastała nawet wielkich archaniołów, takich jak Gabriel, Rafał czy Uriel, o czym bardzo dokładnie mówi

zaginiona przed piętnastoma wiekami *Księga wschodnich masoretów*⁴¹, zwana przez aurelitów *Brunatnym apokryfem*. Niestety, ta wiedza przetrwała tylko w umysłach Kapłanów i... mojej rodziny.

Link spojrział kontrolnie na Krzysztofa, ale Lorent nawet nie zareagował.

- A więc ten piękny, potężny ulubieniec Boga musiał upaść - ciągnął profesor. - Jak pani myśli, dlaczego?

- Zbuntował się.

- Czyżby? Przez wieki buntowało się wielu aniołów i Bóg potrafił im wybaczać.

- Był zbyt potężny?

- Jak się okazało, potrafił pokonać go archanioł Michał, bo przecież to on strącił Lucyfera do piekieł. A więc w poczuciu wielkości szatana tkwiła tak naprawdę słabość.

- Odkrył to, czego nie powinien nigdy poznać?

- Tak było z Adamem i Ewą. Przed aniołami Bóg otworzył pełnię wszechwiedzy.

- Więc dlaczego?!

- Bo zbuntował się przeciwko stworzeniu... kobiety. - Profesor uśmiechnął się tajemniczo i dość niepokojąco. - Pierwszej kobiety, Ewy.

Nastała na krótko cisza.

- Był tak mądry - mówił po chwili Link - że zanim pojawiła się ta istota w raju, już widział, że upadać przez nią będą całe potęgi, a najwięksi tego świata skończą na kolanach jako żebracy.

Ola mocno zmarszczyła brwi.

- Proszę pamiętać, to tylko legendy i mity - dodał z uśmiechem Link. - Ksiądz z pewnością nam wybaczy.

Krzysztof z miną pokerzysty sięgnął po kawałek żółtego sera.

- Chce pan powiedzieć, że Lucyfer stał się pierwszą ofiarą kobiety?! - jęknęła Sambierska.

- Oczywiście. Pisze o tym nawet pani rodak, profesor Kopaliński, w swoim zbiorze mitów i tradycji kultury. Wyjaśnia tam przy okazji, dlaczego Lucyfer, mimo że jest księciem ciemności, nosi miano „tego, co niesie światło”. Dosłowne tłumaczenie z łaciny - Lucifer, „nosiiciel światła”. Wielu sensatów kojarzyło jego postawę ze światłem wiedzy, które stało się symbolem obrony wolności, postępu, prawa do buntu. W rzeczywistości to wynik pomyłki. W Biblii Izajasz woła do

⁴¹ Masoreci - (hebr.: panowie tradycji). Żydowski kopiści, którzy starali się przywrócić i zachować pierwotną formę pism biblijnych. Zadanie to było podyktowane zanikającą znajomością języka hebrajskiego, która mogła powodować błędne rozumienie świętych tekstów

Nabuchodonozora pokonanego przez Medów - „Jakżeś nisko upadła z nieba gwiazdo zaranna!” Tę upadłą gwiazdę (najprawdopodobniej Wenus) przetłumaczono później na łacinę jako Lucifer, a z czasem błędnie odniesiono do upadłego anioła.

- Rozumiem - zgodziła się Ola. - Ale dlaczego te mity i wierzenia w rękach Aureliusza były tak groźne?

- Ma pani to jak na dłoni! Ulubieniec Boga, najsilniejszy anioł, potężny przyjaciel archanioła Michała nagle właśnie przez niego jest okrutnie karany, pokonany, wtrącony do piekła, a z pięknego, niemal brata Boga staje się sednem całego zła, czego powodem jest biedna, niewinna niewiasta - Ewa. Nie odnosi pani wrażenia, że to nie trzyma się kupy?

- Profesorze! - nie wytrzymał Krzysztof.

- Poczekaj chwilę, wiesz, do czego dążę! - Profesor zerwał się z fotela.

- To czyste sofizmaty!⁴²

- Oczywiście, ale niech odpowie! Olu? Odpowie pani?

- No... może.

- Właśnie! - Link klasnął w ręce. - Może więc jednak było zupełnie inaczej, a to, co przekazują nam pisma, jest jedną wielką mistyfikacją! Może to Bóg, pełen wiary w dobroć Lucyfera i swojego wielkiego strażnika, Michała, doświadczył tego, że miłość znaczy przede wszystkim słabość?!

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytała zdeorientowana Ola.

- Ze być może na tronie niebiańskim nie siedzi teraz Stwórca świata, ale szatan, który przybrał jego postać, a pierwotny Bóg został podstępem strącony do piekła i uwięziony przez Lucyfera oraz Michała. I właśnie archanioł Michał siedzi teraz po prawicy tego, który wszystkich nas oślepił i szepcze nam do ucha największy fałsz, o jakim słyszała ludzkość - że światem rządzi Bóg!!!

Link nabrał głęboko powietrza.

- Dlaczego świat jest tak okrutny, inny niż ten pierwotnie stworzony? - mówił dalej z pasją. - Dlaczego człowiek ma w naturze zabijanie innego życia w imię egoizmu, pieniędzy, władzy? Dlaczego ludźmi rządzi przemoc, strach i nietolerancja?! Dlaczego umierają nienarodzone dzieci? Dlaczego w ogóle musimy umierać?!

Profesor przerwał na chwilę, by głęboko spojrzeć w oczy Oli, a następnie dokończył niemal szeptem:

⁴² Sofizmat - rozumowanie pozornie poprawne, oparte na wieloznaczności wyrażań i nieścisłości wnioskowania; świadomy błąd logiczny

- Bo uwięziony w piekle Bóg nic temu nie może już zaradzić, a fałszywy Jahwe rządzi całym stworzeniem, przybierając jego imię. Świat to jedna wielka mistyfikacja, a my - ludzie - jesteśmy skazani na samotność i potęgę zła! Nie pozostaje nam nic innego, jak walczyć ze złym i buntować się przeciwko temu światu. Jezus Chrystus, prawdziwy Syn Boży, któremu cudem udało się dostać na Ziemię w ciele człowieka, podjął walkę z szatanem, ale ją przegrał. Lucyfer w końcu złamał jego wolę, zaraził wątpliwością jego duszę i śmierć na krzyżu poszła na marne. Szatan wszedł w umysły proroków i całe dobro głoszone przez Chrystusa służy teraz złemu. Ale walka trwa.

Ola kilka razy głębiej odetchnęła.

- Przyznam, że pana teoria jest... straszliwa, nieprawdopodobna, nie...

- To nie jego teoria - wtrącił spokojnie Krzysztof.

Sambierska skierowała bezradne, pytające spojrzenie w stronę Linka.

- To właśnie jest idea aurelitów, przyniesiona im w darze wszechwiedzy przez Marcellina.

- Profesor padł na fotel i przymrużył oczy. - Mam nadzieję, że wybaczy mi pani tę manipulację, ale obawiam się, że to najlepszy sposób prowadzący do zrozumienia tego, kim on był i jakie jest źródło potężnej władzy aurelitów nad całym systemem, jaki przez wieki tworzyli.

- A więc... to po prostu sekta - powiedziała wolno Ola.

- To coś więcej niż sekta. Sama pani mogła się wielokrotnie o tym przekonać.

- Jak coś takiego mogło przetrwać do dzisiaj?

- Bez najmniejszego problemu - odparł profesor. - Po porażce nicejskiej Aureliusz zgromadził wokół siebie spore grono zwolenników. Byli wśród nich niegdysiejsi oficy, kainicy i wielu innych gnostyków, którzy już dawniej uważali, że świat stworzony przez Boga Starego Testamentu jest zły i dobrze robi ten, kto się przeciwko niemu buntuje. Przecież to kainicy spisali tak zwaną Ewangelię Judasza, przedstawiając zdrajcę Chrystusa jako postać pozytywną, która prowadzi Jezusa ścieżką przeznaczenia, wyznaczając mu drogę do zbawienia świata poprzez cierpienie, a aurelici poszli znacznie dalej. Uznając wiedzę i doświadczenie mistyczne za najważniejszy warunek zbawienia, wierzyli, że tylko bunt i właśnie bezgraniczna, absolutna wiedza mogą uwolnić Boga z piekieł. Tak więc wszystko, co w Biblii uznane jest za złe, oni przedstawiają swoim uczniom jako dobro. Sodoma, Gomora, Judasz, a nawet ofis, wąż, który skusił Ewę. Duch boski wydostaje się czasem z uwięzienia i walczy ze zdrajcą, swoim byłym ukochanym aniołem, choćby w formie wspomnianego węża nakazującego pierwszym ludziom przeciwstawić się złu ukrywającemu prawdę. Adam i Ewa, jako pierwsi ludzie, zbuntowali się przeciwko szatanowi, więc wysłał ich na ziemię, by cierpieli, chorowali, umierali. Lucyfer

nienawidził stworzenia boskiego, a szczególnie kobiet, o czym już wspominaliśmy. To dlatego przez wieki kobieta była przede wszystkim uosobieniem tego, co negatywne, pasywne, symbolizujące chaos, niezgodę.

- Jak tylu ludzi mogło za nim pójść... - Ola zrezygnowana zwiesiła głowę.

- Proszę pamiętać, że ludzie, zwłaszcza nieszczęśliwi, zakompleksieni, słabi, lękliwi bardzo łatwo ulegają manipulacji - podjął profesor. - Pani jest - jak oceniam - osobą dość silną, ugruntowaną w poglądach, trzeźwą w osądach, a jednak stosując określone metody, udało mi się, proszę przyznać, przez kilka chwil pozwozić trochę panią, nieprawdaz?

- Był pan przekonujący. - Lekarka roześmiała się. - Ale chyba nie pękłam.

- Cieszę się, oby tak dalej. Ale dziś aurelici to bardzo nowoczesnie zorganizowane, zdyscyplinowane i - co najważniejsze - niezwykle wpływowe tajne stowarzyszenie. Aureliusz, mający potężną wiedzę przodków, umiał fenomenalnie ją wykorzystać do swoich celów. Wiedział, jak manipulować tłumami, umiał skutecznie i trwale ugruntować pozycję swojej organizacji. Od ponad półtora tysiąca lat aurelickich rycerzy dobiera się w taki sam sposób. Adepti zawsze przyjmowani są przez mistrza jako małe dzieci, wręcz niemowlęta z biednych rodzin lub wprost z ulicy, z przytułków, sierocińców. Wychowane od początku w ich wierze, niekiedy pamiętające okrutny świat, z którego wydobył ich Ojciec-Mistrz, są mu bezgranicznie oddane. Przez lata ćwiczą ciała i umysły do walki, ochrony bractwa, wreszcie do konfrontacji z Kapłanami. Wiedza przechodząca z pokolenia na pokolenie jest konsekwentnie poszerzana i doświadczana. Ich cel stanowi oczekiwanie na kolejnych Kapłanów, by wreszcie osiągnąć taki stopień świadomości, który umożliwi wyzwolenie się ze zła tego świata, dzięki czemu duchowa walka szatana z Bogiem się skończy, Stwórca stanie się wolny i zapanuje ponownie nad światem.

- Noc Kapłanów...

- Właśnie. Wielkie misterium oddania się wiedzy. I choć jego przebieg jest dokładnie opisany w tajnych księgach aurelitów, nikt ze współczesnych go jeszcze nie przeżył. Do tego potrzebna jest nie tylko obecność Kapłana, ale i jego wola. A o to, jak wiemy, bardzo trudno.

- Zdarzali się tacy, którzy ulegali?

- Tak - powiedział nagle, choć dość beznamiętnie Krzysztof. - Zdarzało się. Większość walczyła z bractwem, jednak nie wszyscy.

- Marcellin, kiedy już wpadł w konflikt z Konstantynem, nie był prześladowany? Jego wyznawcy nie spłonęli na stosie? - pytała dalej Ola. - Średniowiecze pełne było takich przypadków!

- O nie, pani doktor. - Link uśmiechnął się dobrotliwie, jak to miał w zwyczaju, gdy rozmawiał z laikami. - Po pierwsze, to jeszcze była starożytność, a chrześcijaństwo raczkowało. Zbliżała się już fala różnorodnych prześladowań religijnych, ale prawdziwe stosy zapłonęły tysiąc lat później. Proszę pamiętać, że nie istniał jeszcze kanon ksiąg prawdy. Wyznawcy mieli dostęp do ponad czterdziestu ewangelii, z których jedne mówiły o ascetycznym, przykładnym życiu syna Boga na ziemi oraz o jego męczeńskiej śmierci w imię odpuszczenia grzechów, inne sugerowały jego związek z Marią Magdaleną, a jeszcze inne miały Judasza za niemal świętego. Wbrew temu, co niektórzy sądzą, to nie na soborze nicejskim dokonano wyboru kanonu Nowego Testamentu, ale ponad siedemdziesiąt lat później na synodzie w Kartaginie w 397 roku. To wtedy uznano, że tylko cztery ewangelie: Marka, Mateusza, Łukasza i Jana, są tymi najprawdziwszymi. Pominęto na przykład ewangelię świętego Tomasza, Filipa, słynną szczególnie w ostatnich latach, choć przecież zawsze znaną - ewangelię Judasza, a nawet, co ciekawe, ewangelię... Marii Magdaleny.

Profesor ponownie się uśmiechnął.

- Tak, tak. Istniała też i taka ewangelia. Ale wybrano tylko cztery, a i one bardzo często były z różnych, najczęściej politycznych, względów zmieniane. Wtedy już zarówno cesarz, jak i Marcellin dawno nie żyli. Ale swoich uczniów Aureliusz wyposażył w ogromną wiedzę, która pozwalała przetrwać oraz sukcesywnie zdobywać wpływy na całym świecie. Ambitny Rzymianin wiedział, że nie może postępować jak większość chrześcijan, którzy najdonośniej jak tylko mogli głosili wszem i wobec peany na temat swojej wiary. On zdecydował się na tajemnicę, dyskrecję i elitarność. Jego stowarzyszenie było zawsze tajne, surowe w obyczajach, skuteczne, ale i bezwzględne. Marcellin był bardzo bogaty. Jego majątek przejęli następcy i wielokrotnie go pomnożyli. Przy całym krytycyzmie dotyczącym aurelitów, trzeba przyznać, że to akurat jest wyjątkowo imponujące. Nie rozkradano, nie nadużywano, a kiedy ktoś próbował imać się oszustwa, bardzo surowo za to karano. Chętnie pracowano też dla nich na dworach całej Europy. Wszędzie można było znaleźć niezadowolonych, zazdrosnych, zawiedzionych, ale ambitnych dworaków. Swoich szpiegów mistrzowie rzadko wprowadzali w zasady ich wiary, ale zawsze świetnie takim „pracownikom” płacono. Dlatego jeśli gdziekolwiek działo się cokolwiek, co mogłoby zainteresować aurelitów, dowiadywali się o tym niemal natychmiast. Prawda, młody wikingu z Jelling? - Profesor przeniósł wzrok na Krzysztofa.

- A więc jaki jest plan? - spytał spokojnie Lorent. Wyglądało na to, że śniadanie dobiegło końca. Link uniósł się wolno, podszedł do kredensu stojącego pod ścianą i wyjął z jednej z małych szufladek fajkę.

- Nie będzie wam przeszkadzało? - spytał na wszelki wypadek.

Cała trójka pokręciła przecząco głowami.

- Pani doktor, a nawet pan profesor Wilecki są tutaj przypadkowo. - Link zappełnił fajkę tytoniem, a następnie zapalił ją. - Byłem pewien, że Kapłan dotrze do mnie samotnie. Ale przemyślałem sytuację i sądzę, że dla każdego znajdzie się rola w tym, co zamierzam wam zaproponować.

Ola poruszyła się niepewnie na krześle, a Wilecki nerwowo zlustrował otoczenie, jakby szukał czegoś, czego nie spodziewał się znaleźć.

- Profesorze - podjął lekko zmieszany. - My nie znamy się na takich sprawach. Ja jestem naukowcem, a pani doktor zajmuje się leczeniem nerwowo i umysłowo chorych. Nie sądzę, abyśmy się mogli tu na coś przydać.

- Też tak uważam - dołączyła się bardzo tym razem zgodna z Bogusiem Ola. - Widział pan, jak wyglądał nasz skok na katedrę!

- Myślę, że oboje państwo się mylicie - zaprzeczył Link. - Ale to będzie wasz wybór. Po prostu mnie wysłuchajcie. Zaproponuję wam rozwiązanie, dzięki któremu będziecie mieli szansę wrócić do pracy, do normalnego życia.

Sambierska i Wilecki spojrzeli po sobie.

- Jeśli to się uda - mruknęła cicho lekarka po polsku do wciąż zakłopotanego sąsiada z fotela obok - pójdę z tobą do łóżka.

Wilecki wstał i podniósł palec do góry, jakby zgłaszał się do odpowiedzi.

- Po przemyśleniu stwierdzam, że pański plan z pewnością jest godny uwagi. Stawiam się do pana dyspozycji! - rzekł głośno.

Luigi Balea wyjął z szafy neseser, a następnie włożył do niego wszystkie uprzednio przygotowane rzeczy. Nie śpieszył się, ale nie zamierzał też tracić niepotrzebnie czasu. Zerknął na zegarek, dyskretnie wyjrzał przez okno i usiadł na chwilę na krześle. Zamknął oczy i postanowił kilka chwil poświęcić medytacji. Do pokoju wszedł Iosif Punin.

- Jestem gotowy - rzucił z progu.

- Wyjeżdżamy za pięć minut. - Balea otworzył oczy i ponownie popatrzył w stronę okna.

- Tomasz nie odpowiada pod żadnym z telefonów - mruknął Punin niedbale, jakby nigdy nic.

- Słucham?! - Luigi sprytnie udał zdziwienie.

- Jego zachowanie jest dziwne, mój bracie. Może powinniśmy go odszukać. I to jak najszybciej. - Aurelita zacisnęła mocno wargi.

Balea przyjrzał się uważnie twarzy Iosifa.

- Wiesz przecież, że musimy natychmiast wyjechać. Mam sygnał, że Kapłan pojawił się w Wiedniu.

- Tomasz nie odbiera telefonu, którego nigdy nie powinien wyłączać. To bardzo niepokojące.

- Sprawdzę go - przytaknął Luigi. - W razie czego wydam odpowiednie rozkazy. My nie możemy teraz się tym zajmować.

- Posłuchaj... - Punin nie dokończył, bo drzwi ponownie się otworzyły i stanął w nich Emil.

- Bracia... - zaczął, ale szybko za nim pojawiła się smukła postać Adera Rode, i Polak zamilkł. Zarówno Luigi, jak i Iosif pamiętali go jeszcze z dzieciństwa. Był ich pierwszym nauczycielem filozofii, walki wręcz, medytacji i sztuki przetrwania w naturze. Starszy od nich przynajmniej o trzydzieści lat, ale czas okazał się dla niego łaskawy. Włosy nawet w części mu nie posiwiały, w oczach nie odbijało się zmęczenie, a ciało jak dawniej było szczupłe, idealnie niemal wyprostowane, dostojne.

Obaj pamiętali jego surowe metody, ale z czasem docenili też wielkość mistrza z Bonn. Chłopcom jeszcze długo po jego wyjeździe śnił się głód w nieprzyjaznym, wielkim lesie, nieludzkie zmęczenie, trudne do opanowania pragnienie.

Rode uczył umiejętności przetrwania w takich warunkach. Pokazywał, jak zespałać się z naturą, czerpać z niej siłę, pożywienie, energię. Jak być niewidzialnym, szybkim, przebiegłym. Gdy na rozkaz ojca powrócił później do Niemiec, dalsza nauka zdawała się już łatwiejsza, bardziej przejrzysta, a nawet bardziej odarta z wzbudzających lęk tajemnic.

- Widać nie byłem na tyle dobrym preceptorem, aby nauczyć was sztuki zachowywania uczuć dla umysłu, a nie malowania nimi całej twarzy - rzekł chłodno, wchodząc do środka. Rzeczywiście, zdziwienie obu aurelitów było ogromne.

- Mistrzu - zaczął Balea. - Twoja obecność tutaj jest dla nas niespodzianką.

- Widzę - odparł Rode. - Nie zatrzymuję cię, Luigi, wiem, że wyjeżdżasz.

- Tak, ale dlaczego... jesteś w stroju... w szkaplerzu? Nosimy nasz strój tylko u siebie, chyba że...

- Walczymy - dopowiedział chłodno Punin.

Balea odwrócił się w jego stronę.

- Coś ty zrobił?!

- Ten zdrajca, Tomasz... - wycedził przez zęby Iosif.

- Jedź, Luigi, czas na ciebie - przypomniał Ader Rode. Za szklanym wyjściem do ogrodu pojawiło się już trzech aurelitów w ciemnozielonych habitach, nakrytych pelerynami.

- Powiedz, mistrzu, co z nim zrobicie, a odejdę.

- Nie sprzeciwiaj się, to rozkaz ojca. Iosif miał być w Chatillon najpóźniej wczoraj rano. Zabił tu dwóch ludzi, naraził na niebezpieczeństwo nas wszystkich i - jak sędzę - miał w zamiarze zdradę.

- Nigdy nie zdradziłem ojca! - wybuchnął Punin. - Ten podły robak, Tomasz, i jemu podobni spiskują przeciwko mnie i wprowadzają w błąd mistrza Aureila. Luigi! Bracie mój! - Rzucił rozognione spojrzenie w stronę Balei. - Pomóż mi! Wiesz, że moje intencje są szczerze!

Nastała cisza. Rode spuścił głowę i nabrał głęboko powietrza. Czekał.

- Tym razem nie mogę ci pomóc, bracie - odezwał się wreszcie Luigi. - Obyś umiał naprawić, co zniszczyłeś. Mam nadzieję, że zobaczę cię jeszcze w dobrym zdrowiu.

Zabrał ze stołu swój neseser i szybko wyszedł.

Ader przeniósł wzrok na Punina.

- Nie musisz umierać, mój uczniu. Mam rozkaz dowieźć cię do Chatillon. Dopiero tam odpowiesz przed ojcem za winy.

- Nie mogę pójść z tobą, nauczycielu - odparł Iosif. - Choć nie lękam się stanąć przed ojcem. Mam misję, która na mnie czeka.

- A więc wybierasz śmierć - rzekł Rode spokojnie, ale głosem niepozbawionym żalu. Powoli wyjął miecz spod mucetu.

- Minęło wiele lat, nauczycielu. Nie sędzę, abyś potrafił mnie dziś powstrzymać. - Iosif sięgnął ręką za głowę i wyciągnął swój miecz, który trzymał zawsze na plecach pod kamizelką i marynarką. - Jeśli dalej będziesz stał mi na drodze, ty znajdziesz tu dzisiaj śmierć.

- Rozpiera cię pycha.

- Duma, nauczycielu, mam prawo do niej. Już dawno cię przerosłem, o czym powinieneś wiedzieć.

Ruszył z furją, zadając ciosy szybkie jak błyskawica, nie zwracając uwagi na upadające wazony i przewracane krzesła. Każde jednak z jego uderzeń Rode skutecznie odpierał. Jego twarz

- chłodna i wciąż spokojna - nie wyrażała niczego, z wyjątkiem skupienia. Czekający w ogrodzie aurelici stali w bezruchu.

- Stój! - rzucił nagle Ader. Podniósł lewą rękę do góry, co Iosif uszanował i natychmiast przerwał walkę. - Nie tu! Wyjdźmy do ogrodu.

- Dobrze. - Punin skinął głową i ostrożnie otworzył szklane drzwi. Aurelici na znak Rodego szybko rozstąpili się, aby zrobić miejsce walczącym.

Nauczyciel dał znak i Iosif znów ruszył, zadając kolejną serię ciosów, nie tylko szybko, ale w nieoczekiwany sposób skoordynowaną, a przy tym wciąż płynną. Ader z coraz większym wysiłkiem odpierał uderzenia, starając się, aby przeciwnik uznał własny styl walki za skuteczny. Wtedy właśnie, gdy Punin już zyskał pewność, że kontroluje wszystko, Rode nagle przykląkł, nietypowo uniósł łokieć do góry i ciał Iosifa przez udo. Cios nie tylko doszedł celu, ale przede wszystkim głęboko ranił młodego aurelita. Krew momentalnie trysnęła z rany, a Iosif padł na trawę. Ader podniósł się i natychmiast zaatakował go z góry, mając pewność, że to już koniec. Wtedy odpierając jeden z prostopadłych ciosów, Punin celowo skierował go na swoje lewe ramię. Ostrze przebiło mięsień i wniknęło w ciało. Iosif wiedział, że to jedyny teraz sposób, aby uratować życie. Podstęp się udał. Na ułamek sekundy Rode zatrzymał się. Ta krótka chwila wystarczyła, aby młody aurelita zadał straszliwy, ostateczny cios w szyję nauczyciela. Zapanowała cisza. Rode padł martwy obok swojego dawnego ucznia. Punin z trudem się uniósł. Był ciężko ranny i wiedział, że jeśli chce pokonać pozostałych przeciwników, musi to zrobić najdalej w kilka sekund. Później całkowicie opadnie z sił. Towarzyszący nauczycielowi młodzi rycerze byli jednak za mało doświadczeni. Gdyby poczekali i grali na czas, Iosif nie potrafiłby ich pokonać. Oni jednak, widząc śmierć swojego mistrza, rzucili się bezładnie na zabójcę, karygodnie zapominając, z kim mają do czynienia. Pierwszy z nich zginął natychmiast od rozległego cięcia, które doszło aż do wątroby i przecięło ją niemal na pół jak jabłko. W tym czasie drugiemu z przeciwników udało się zadać cios w plecy ledwie przytomnego Punina, ale ta rana była zbyt płytka. Odwrócony impetem uderzenia Iosif, trafił ostrzem w skroń młodziutkiego aurelity, który nawet nie zdążył krzyknąć, zanim skonał. Ostatni z uczniów Adera Rode stał według zwyczaju, czekając na wynik pojedynku. Był trochę starszy od reszty młodych przybocznych Niemca, wyraźnie bardziej doświadczony i opanowany. Utkwił wzrok w Puninie, który padł na trawę.

- Nie czekaj na moją śmierć, bracie - wydusił z wysiłkiem Iosif. - Dzisiaj nie umrę. Dzisiaj nie umrę...

Do rannego podbiegł Emil.

- Co mam robić? - spytał cicho.

- Zabierz mnie stąd jak najszybciej.

- Dokąd?

- W bezpieczne miejsce...

Punin stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 8

Profesor Eberhard Link rozłożył mapę na stole. Wyjął z kieszeni srebrny długopis i wskazał zaznaczony wcześniej punkt. Ola, Wilecki i Lorent nachylili się nad blatem.

- To jest Chatillon - zaczął Link, gestem nakazując jednemu z ochroniarzy, aby przyniósł zdjęcia. - Niewielka wioska, w większości własność bardzo starej arystokratycznej rodziny de Rochefort. Centralnym punktem wsi jest średniowieczny zamek, obecnie w rękach Ludwika Gossarda de Rocheforta. Oczywiście odziedziczył wszystko po przodkach, którzy mieszkali tam od 1593 roku. Już w siedemnastym wieku Chatillon był znaczącym ośrodkiem aurelickim, teraz jest centrum, w którym mieszka Ludwik, Wielki Mistrz, wybrany przez Radę ponad czterdzieści lat temu. Podczas tajnej ceremonii został namaszczony, otrzymał dożywotni tytuł i przyjął imię Aureil.

- Co o nim pan wie? - spytał Krzysztof, wciąż pochylony nad mapą.

- Jego rodzina zawsze była ścisłą elitą aurelicką - odparł Link. - Rocheforta wychowano w tym duchu, a jego kariera zmierzała właśnie do tego, aby zostać przywódcą bractwa. Nigdy nie był żołnierzem, pochodził z samej arystokracji stowarzyszenia. Dziś ma ponad siedemdziesiąt lat, ale wciąż jest przebiegły, bezwzględny i bardzo sprawny umysłowo. Coś ci się kojarzy w związku z tym nazwiskiem?

- Nie - przyznał Lorent. - Nie wiem, skąd pan ma te informacje, ale żaden z moich przodków nigdy nie dotarł tak blisko mistrza. Pamiętam, jak byli zorganizowani przed setkami lat, jakie mieli metody, zwyczaje, ale nic poza tym.

- Dziś są podobnie zorganizowani, jak kiedyś - ciągnął profesor. - Jednak świat się zmienił. Kiedyś najdroższe było złoto, teraz najdroższa jest informacja, kiedyś wieści roznoszono konno, dzisiaj to kwestia kilku sekund i przyciśnięcia odpowiednich klawiszy w komputerze. Oprócz mistrza, elitarnej Rady, jej najbliższego otoczenia i żołnierzy, do tajnego stowarzyszenia należą także zwykli z pozoru ludzie. I to oni stanowią o potędze aurelitów. Urzędnicy, politycy, prawnicy... Są wszędzie - w rządach, parlamentach, wojsku i oczywiście w wielkim biznesie. Łączy ich dzisiaj nie tyle idea, ale - jak sądzę - przede wszystkim po prostu interes. Prawda jest taka, że konserwatyści pokroju Aureila, mimo że cały czas są silni, jednak tracą w szeregach bractwa dawną popularność, i to nasza szansa.

- A żołnierze? - wtrąciła Ola.

- Nie mieczami wygrywa się dzisiaj wojny. - Profesor pokręcił głową. - To relikwiry tradycji. Oczywiście, że są niezwykle groźni, wciąż doskonale wyszkoleni i w walce jeden na jednego praktycznie niepokonani, ale została już ich właściwie garstka. Oni, Aureil, Rada i starzy aurelici, potrzebują Kapłana do pokonania szatana, który rządzi światem. Wierzą, że duchowa walka o uwolnienie uwięzionego Boga może być skuteczna tylko dzięki tajemnicom skrywanym w duszach i umysłach ludzi takich jak ksiądz Krzysztof. Ale dla reszty... wiedza oraz ich system to po prostu droga do nieograniczonej władzy, kariery i bogactwa.

- Nic specjalnie odkrywczego - mruknął Wilecki. - Tu akurat nie są oryginalni.

- To prawda - przyznał Link.

- A ta Rada? - spytał Krzysztof.

- W krajach, gdzie aurelici są obecni, a jest ich dużo, istnieją przywódcy mianowani przez mistrza, gdy ich poprzednicy umierają. Wszyscy oni zbierają się tylko wtedy, kiedy umiera „Ojciec”, jak go nazywają, aby wybrać nowego. To jest Rada.

- A Chatillon?

- Oficjalnie to posiadłość ekscentrycznego filantropa, arystokraty, który otoczył opieką wiele sierocińców, szkół, a nawet zakładów poprawczych. Pan de Rochefort współpracuje z całą masą instytucji charytatywnych i łoży na nie sporo pieniędzy. Słowem - ideał. Pilnuje swojej prywatności, ale to jego prawo. Nikt nie ma pojęcia o prawdziwej władzy Ludwika de Rocheforta.

Krzysztof wolno podniósł się znad stołu.

- Z tego, co pan mówi - podjął niezbyt entuzjastycznym tonem - nie mamy najmniejszych szans, choćby pański plan był nie wiem jak sprytny. Nigdy się od nich nie uwolnimy. Wy będziecie stale w niebezpieczeństwie, mnie będą ścigać do końca życia.

- Mylisz się, Kapłanie. - Profesor uśmiechnął się. - Nie powiedziałem wam jeszcze tego, co najważniejsze. Kiedy o tym usłyszysz, szybko zmienisz zdanie.

Telefon Linka dziwacznie wypiszczwał początek V symfonii Beethovena. Gospodarz przeprosił gestem wszystkich obecnych, otworzył drzwi swojego gabinetu i zniknął na dwie minuty. Gdy wrócił, miał zachmurzoną twarz, jakby otrzymał niepomyślną wiadomość. Nie odzywał się jeszcze przez chwilę, analizując być może to, co usłyszał, odetchnął ciężko i spróbował przywrócić na twarz spokój.

- Zdarzyło się coś, co nie pozwala nam czekać - odezwał się wreszcie. - Musimy zaczynać natychmiast. Proszę państwa jeszcze na chwilę do stołu. Chciałem to zrobić później, ale mogę już nie zdążyć, dlatego powiem wam wszystko teraz.

Nieprzyjemnie słodki smak w ustach zbudził Iosifa, ale tylko na chwilę. Nie pamiętał, jak się znalazł w tym miejscu, choć domyślał się, że to Emil zabrał go z willi. Śnił i wiedział, że to nie jawa. Opadał powoli na trawę, ciągnącą się nieskończenie pod horyzont, jakby czas płynął wolniej, aż wreszcie przyłgnął do ziemi i stracił ostatecznie siły. Słyszał budzące strach kroki coraz bliżej i bliżej, ale nie potrafił się podnieść. Ciało stawało się cięższe, aż wreszcie stracił całkowicie nad nim kontrolę. Wtedy nagle znalazł się wysoko ponad bezkresną trawą, by stamtąd zobaczyć siebie, bezradnego jak dziecko. Od horyzontu ciągnęły zewsząd w jego stronę setki, tysiące żołnierzy w czarnych jak noc zbrojach.

- Zwyciężyłeś, szatanie... - szepnął ostatkiem sił.

- Iosif! - usłyszał nad sobą zaniepokojony głos. Otwierał oczy powoli i z trudem. W mglistej postaci rozpoznał jednak Emila.

- Gdzie jesteśmy? - spytał z wysiłkiem Punin.

- Miałeś jakieś koszmary, bredziłeś.

- Gdzie jesteśmy? - powtórzył.

- U mnie.

- Nikt nie widział?

- Nie. Wniosłem cię od garażu. Straciłeś sporo krwi. Opatrzyłem ci rany, ale sam nie dam rady nic więcej zrobić. Jedźcie już lekarz i pielęgniarka.

- Są... - Iosif nagle zakrztusił się, ale po chwili zdołał złapać znowu oddech. - Są nasi?

- Tak.

- Musisz zawiadomić mistrza - szeptał dalej Punin.

- Mistrza?!

- Tak, waszego mistrza, tu w Polsce. Potrzebuję kontaktu z nim. To moja jedyna nadzieja. - Uniósł się z wysiłkiem, ale za chwilę znów opadł na poduszkę.

- Nie mam z nim kontaktu. Nie znam go - odparł bezradnie Emil. - Ja i ci bracia, których znam, otrzymujemy wszystkie informacje, polecenia i finanse od Tomasza.

- O mój Boże... - jęknął Iosif, ciężko oddychając.

- Tomasz nie odbiera telefonu, nie ma go w domu, jakby zapadł się pod ziemię.

- A... jakby... Tomaszowi się coś... stało?

- Wtedy zgłosiłby się inny przełożony, miałby pieczęć, hasło, kody do kont. Wciąż czekam, ale nic się nie dzieje. Może skontaktować się jednak z Luigim?

- Nie... - stęknął z wysiłkiem Iosif. - Nie dzwoń do Luigiego...

Aureil wyszedł ze swojego gabinetu i podążył korytarzem w kierunku podwórza. Twarz miał zachmurzoną, jakby zastygłą. Pozorny spokój, nigdy nieznikający z oblicza mistrza, zyskał dziś skazę, którą trudno będzie wymazać. A więc wielki Ader Rode nie żyje. Nauczyciel większości żołnierzy, mistrz rytuału, ostoja honoru i potężne ramię tradycji. Zginął jako jeden z ostatnich wielkich aurelitów. Nieubłagany czas odda wkrótce los wielkiego posłannictwa w ręce takich synów tego świata jak Iosif Punin. Młodych, niemoralnych, chorobliwie ambitnych, a przecież właśnie dlatego przegranych.

- Pierre... - szepnął cicho, widząc starego mnicha wychodzącego ze swojej komnaty.

- Mistrzu.

- Doszły już do mnie tragiczne wieści, zatem zwolnię cię z ciężaru przekazania ich braciom. Ja się tym zajmę. Powiedz mi tylko, czy wiadomo, co się dzieje z bratem Iosifem?

- Prawdopodobnie również nie żyje. Kiedy Emil, polski diakon, zabierał go ze sobą, był ciężko ranny - odparł Pierre. - Postaram się szybko czegoś dowiedzieć.

- Na razie nie szukaj, zrobisz to potem - powiedział z trudem Aureil. - Nie powiadamiaj nikogo w Polsce i nikogo tam nie wysyłaj. Jeśli żyje, wróci. Taki już jest. Mój grzech polega na tym, że ugiąłem się i pozwoliłem mu na tę misję. To ona wydobyla z niego wszystko, co w nim najgorsze. Szatan znowu zwyciężył, a ja muszę zgładzić mojego ukochanego syna. Czas przechyla szalę na stronę zła. Jeśli Kapłan nie zjednoczy nas wszystkich, będziemy zgubieni.

Pierre spuścił pokornie wzrok i nic nie odpowiadał. Aureil położył rękę na jego pochylonej głowie.

- Dlaczego dusze takie jak my stają się tak poniżająco bezpłodne? - spytał cicho.

Pierre uniósł wzrok.

- Wciąż jesteśmy silni jak kiedyś. Nasza potęga nigdy nie upadnie - rzekł z przekonaniem.

- Potęga, siła i wiara to córki miłości, a tej coraz mniej między braćmi.

- Odpocznij, ojczy, to był trudny dzień.

- Moje sny nie pozwalają mi spokojnie wypoczywać. Zbliża się coś strasznego i nie mogę odgadnąć co. Wiem jednak, że niedługo będziemy musieli stanąć twarzą w twarz ze złem, którego

jeszcze nie znamy i które zniszczy nas lub zostanie pokonane, by wróciła dawna potęga. - Aureil zaczął wolno iść korytarzem.

- Tak będzie, mistrzu.

- Skoro szatan tak łatwo potrafił zdobywać dusze najszlachetniejszych i największych tego świata, może my będziemy umieli zdobyć duszę jednego Kapłana, tak cenną, a przecież tylko człowieczą.

- Oby dobry Bóg zdołał nas wysłuchać. - Pierre pokiwał głową.

- Kapłan już tu podąża. Takie było jego przeznaczenie i on o tym wie. Jeśli otworzy swoje serce - czeka go największa z możliwych łaska boska, a nas zwycięstwo. Jeśli wybierze inną drogę, zostanie tu śmierć, ale nas pograży w długiej nocy. Oby znalazł litość nad sobą i nad nami.

Lekarz podłączył kroplówkę i jeszcze raz spojrzął z niepokojem na Punina.

- Nie jest dobrze, powinienem zabrać cię do szpitala - podsumował, sprawdzając jeszcze raz dawkę leku.

- To niemożliwe - odparł zdecydowanie Iosif. - Powiedz, kiedy będę miał siłę wstać?

- Masz trzy poważne rany. Opatrzyłem wszystko, zszyłem, podałem antybiotyki, mikroelementy, płyny, uzupełniłem ubytek krwi. Zostawię środki wzmacniające i parę leków, które musisz brać, ale powinieneś co najmniej tydzień nie ruszać się z łóżka, a następne dwa - nie wychodzić z domu.

Mówił po francusku, płynnie, bez wysiłku.

- To wykluczone - rzekł bez emocji Punin. - Wymyśl coś.

Lekarz wstał, włożył ręce do kieszeni i zaczął chodzić po pokoju. Dał znak pielęgniarce i Emilowi, żeby wyszli, po czym znowu zbliżył się do łóżka.

- Mam coś, co postawi cię na nogi, ale na krótko - stwierdził po chwili. - Potem będzie jeszcze gorzej.

- Na ile?

- Dwa dni, może nawet krócej. Nie obiecuję, że nie będzie bolało.

- Może starczy. Co to jest?

- Rodzaj silnych ziół. Oszukają twój organizm, lecz ryzykujesz życie.

- Znasz waszego mistrza - bardziej stwierdził, niż zapytał Iosif, unosząc się z wysiłkiem.

- Znam, ale nie mogę cię z nim skontaktować. Chyba że ojciec wyrazi zgodę.

Punin znowu opadł na poduszkę. Nie odzywał się przez kilka minut. W tym czasie lekarz spakował swoje rzeczy.

Nagle rozległo się głośne pukanie i bez pozwolenia do pokoju wszedł Emil. Zanim jednak napotkał na karcący wzrok doktora, zdążył przekazać zaskakującą wiadomość.

- Ktoś chce z tobą rozmawiać, Iosifie!

Punin skierował na niego zaskoczone spojrzenie.

- To ten policjant! - dodał ciszej Emil.

- Policjant?! Skąd znał adres?!

- Nie wiem.

Michał Kępiński nie czekał na zaproszenie. Minął olbrzymą i wszedł do środka. Emil jeszcze spytał wzrokiem Punina, czy ma faceta wyrzucić, ale Iosif uspokoił go ledwie zauważalnym gestem. Lekarzowi wyraźnie nie podobało się, że policjant pozna jego twarz.

- Czego pan chce? - spytał z niepokojem Punin.

- Mam dla pana wiadomość.

- Dla mnie?! Od kogo?!

- Nie wiem. Od kogoś, kto znał ten adres. Posłaniec, który mi to dał, prosił, abym dyskretnie dostarczył kopertę. Wtedy już na zawsze uwolnię się od was i dacie mi spokój.

Iosif z trudem wyciągnął rękę po przesyłkę.

- Dotrzymacie słowa? - upewnił się policjant.

Punin pokiwał głową.

- To żegnam. - Kępiński wyszedł, nie podając nikomu ręki.

- O co tu chodzi? - spytał Emil, gdy niespodziewany gość zniknął na drzwiach.

- Musisz zmienić adres - zawyrokował lekarz. - Jutro się tym zajmiemy.

Iosif otworzył kopertę i zaczął czytać. Na jego zmęczonej twarzy odmalowało się przerażenie.

- O mój Boże... - Zaczął łapać nierównomierny oddech. - Nie...

Ręka opadła mu na łóżko, zacisnął silnie powieki. Emil zauważył, jak ranny cały zaczyna drżeć.

- Co się stało?! - zapytał wreszcie lekarz.

- Pomożesz mi? - Iosif jakby nie zwrócił uwagi na to, co doktor przed chwilą powiedział.

- Zależy w czym.

- Muszę natychmiast wracać do Chatillon.
- Co się stało?! - powtórzył lekarz.
- Wybacz, nie mogę ci powiedzieć, ale pomóż mi!
- Co ci jest potrzebne?
- Samolot.
- A gdzie jest twój?
- Wziął go Balea.
- A kto to jest?
- Nieważne... ktoś, komu ojciec bardzo ufa. Załatwisz mi samolot?
- Zadzwoń, gdzie trzeba, ale nic nie obiecuję.
- Postaraj się. I przynieś mi te zioła.
- Jeśli chcesz, abym ci pomógł, musisz mi powiedzieć cokolwiek, ci mnie przekona. Daj

mi jakiś argument.

- Muszę ratować... - Punin ciężko oddychał.
- Kogo ratować?!
- Ojca i... nas wszystkich... nas wszystkich... - Znow opadł na poduszkę.

Ciężko było zachować beztróskę, spacerując po przepięknym lesie dwadzieścia kilometrów na zachód od Roskilde, gdzie cień i odgłosy wielkiej Kopenhagi ginęły już bezpowrotnie, a czyste jak dziewicze źródło powietrze przepelniało płuca. Niedaleko, za polaną, gdzie wśród urokliwych równin z rozsypanymi niczym klocki lego domkami panował nieskażony i czysty spokój tak typowy dla krajów północy, stała kryjówka profesora Eberharda Linka. Z bramy tej właśnie posiadłości jakąś godzinę temu wyjechał czarny, duży saab z przyciemnianymi szybami, kierując się w stronę lotniska. Nie jechał nim jednak profesor ani Aleksandra Sambierska, polska lekarka, której karierę przerwały wydarzenia trudne do pojęcia przez zwykłego człowieka, lecz Krzysztof oraz tajemniczy mężczyzna, który przyjechał po niego, by według planu zabrać Kapłana w miejsce, gdzie wszystko się miało rozegrać.

Bogdan Wilecki, wybitny historyk kultury, etnograf, antropolog, arogant, buntownik i podrywacz zrezygnował ze spaceru. Postanowił, że zostanie w domu i odpocznie, zanim przyjdzie na niego kolej. Przemyśli, pokona w sobie sceptycyzm i nabierze gotowości.

Ola, spacerując z profesorem Linkiem po wspomnianym lesie, nie myślała o sobie. Ponad wszelką wątpliwość była myślami z człowiekiem, którego poznała w szpitalu, gdzie leczy się szaleńców i nieszczęśliwców o chorych umysłach, któremu tak długo nie ufała, którego przecież nie umiała zrozumieć i którego bardzo kiedyś będzie jej brak.

- Nie martw się - powiedział profesor. - Mogę ci mówić po imieniu?

- Oczywiście.

- On teraz jest naprawdę potężny. Góruje nad nimi pod każdym względem. Nam ciężko nawet zrozumieć, co kryje jego umysł.

- A zna pan jego historię?

Link uśmiechnął się uprzejmie.

- Nikt nie zna jego historii.

- Ale pana rodzina... przekazywaliście sobie przecież wiele opowieści.

- Przecenisz moich przodków, drogie dziecko. To, co wiem, jest kroplą w morzu.

Ola przez pewien czas szła w milczeniu. Wystawiła twarz do wiatru, co dało pewną ulgę rozognionym z podniecenia policzkom, rumianym, pełnym kolorów.

- Opowiadał mi niedawno historię o młodym wikingu, który zdradził swojego króla dla kobiety - odezwała się po chwili.

- „Nie grzeszy ten, kto grzeszy z miłości” - odparł profesor. - Oscar Wilde.

- A jednak zna pan tę historię. - Lekarka zajrzała mu w oczy jak pacjentowi.

- Tę akurat tak.

- Nie dokończył mi jej opowiadać. Chciałabym usłyszeć, czy ten wiking doświadczył wreszcie spokoju, rozgrzeszenia, pojednania ze sobą...

- Spokoju - nie. Rozgrzeszenia - tak. Pojednania ze sobą - może...

Ola pokręciła głową, jakby nie była do końca usatysfakcjonowana odpowiedzią.

- Musiał uciekać z bratem ze swojego kraju. Co było dalej?

Link również przyjrzał się uważnie swojej towarzyszce, uśmiechając się jak zwykle uprzejmie, dobrotliwie i raczej szczerze. Ale ponieważ nie znalazł odpowiedzi na pytanie, które sam sobie teraz zadał, stwierdził w myślach, że może nie było aż tak ważne.

- Dotarli do niezwykłego miasta Truso, na ziemiach księcia Dagome - zaczął wolno. - Tam przybysze z wielu krajów żyli ze sobą w zgodzie. Choć aurelici szybko znaleźli go i po drodze musiał z nimi walczyć, w Truso był bezpieczny. Jego starszy brat - Desgear, osiedlił się tam i

założył rodzinę. Pojął za żonę podobno śliczną jak marzenie (taka była przynajmniej oficjalna wersja) Słowiankę, ale Devirka czekało inne przeznaczenie. Jego ukochana Sygryda odnalazła go i korzystając ze swoich wpływów, przekonała Dagome, by przyjął go na swój dwór. Czciwor, niestety, wtedy już nie żył. W ten sposób wiking znalazł się blisko rodziny księcia i jak miała nadzieję młoda królowa, wkrótce także i blisko niej. Książę jednak był nieprzejednany, wymusił na córce przysięgę, że po śmierci Eryka, jej męża, wyjdzie za Swena Widłobrodego. Taki był warunek i cena za życie Devirka. Sygryda wypełniła wolę ojca. Wyszła za Swena i urodziła mu dzieci, ale dumny król Danii zawsze wiedział, że żona nigdy go nie kochała i nie pokocha. I wreszcie zgodził się na jej wyjazd. Oficjalnie „usunął” ją z dworu, ale tak naprawdę po prostu pozwolił jej odejść. Po trzynastu latach rozłąki Sygryda wróciła do Devirka. Gdy wiele lat później umierał jako starzec, do końca trzymała jego rękę przy swoich ustach.

Ola znów zamyśliła się na dłuższą chwilę, próbując ułożyć sobie w myślach to, o czym opowiedział jej profesor.

- Co ten wiking mógł robić na polskim dworze książęcym?

- Ten wiking?! - Link spojrział na nią z niedowierzaniem. - Jeszcze się nie domyślasz? Dagome nie był głupcem. Szybko się zorientował, z kim ma do czynienia. Oczywiście, nigdy nie dowiedział się, skąd jego młody gość czerpie tak rozległą wiedzę, ale instynkt polityczny kazał mu szybko zaangażować Devirka do nauki swego syna, Bolesława. Początkowo sobie niechętni, z czasem stali się nierozłączni. Bolesław objął władzę w 992 roku. Jak myślisz, dlaczego jego polityka tak odważnie sięgała po cele z pozoru nieosiągalne? Dziś powiemy, że nie liczył się z możliwościami ówczesnej Polski, ale każdy, kto tak sądzi - myli się. Przyjaźń z Ottonem III i twardy opór przeciwko Henrykowi II. Poszerzenie granic do rozmiarów, o których dzisiaj moglibyście tylko marzyć. Milsko, Łużyce, Miśnia. Tron czeski po pokonaniu Bolesława Rudego. Pokonanie Jarosława ruskiego i osadzenie na tamtejszym tronie Świętopelka, swego zięcia. Umocnienie chrześcijaństwa. W rezultacie stworzenie potężnego państwa słowiańskiego, które w przeciwieństwie do wielu uprzednich, nieudanych prób, takich jak państwo Samona⁴³, przetrwało ponad tysiąc lat. Wszystkiego tego dokonał w czasie swojego panowania Bolesław zwany Wielkim lub Chrobrym. Kto mógł być jego najważniejszym doradcą, przyjacielem, a gdy trzeba szarą eminencją? Kto miał tyle wiedzy, siły i doświadczenia setek przodków, by pchnąć go ku celom, o których poprzednikom nawet się nie śniło. Zawsze z tyłu, zawsze w cieniu, ale zawsze, aż do śmierci władcy, przy jego boku. Sam zmarł niecałe dwa lata później - jak już wiesz - w ramionach ukochanej Sygrydy.

⁴³ Samon - twórca i władca pierwszego w historii potężnego państwa słowiańskiego. Pokonał m.in. Dagoberta I, króla Franków w 631 roku pod Wogastizburgiem. Po śmierci swojego twórcy państwo się rozpadło.

- Czy on zawsze musiał zbawiać świat? - szepnęła Ola tak cicho, że profesor lewo usłyszał.

- To nie był Krzysztof tylko Devirk - odparł szybko Link. - Nie myśl o nich, jakby byli jedną i tą samą osobą.

- A jednak są nawzajem częścią siebie - upierała się lekarka.

- Nie wiem. Może... Chodź, musimy wracać. Za dwie godziny wasza kolej.

Mężczyzna przyglądał się Krzysztofowi z zaciekawieniem, ale bez natarczywości. Siedzieli w prywatnym samolocie, urządzone dość surowo, choć bardzo nowocześnie. Wystartowali zaledwie kilka minut temu, lecz pilot zdążył wyrównać już lot i obrał kierunek na południe Europy.

- Napijesz się czegoś? - spytał mężczyzna.

- Wody, jeśli mogę prosić - odparł uprzejmie Lorent. Rozejrzał się dookoła. Właściwie byli sami. Tylko od czasu do czasu uchylały się drzwi od strony kabiny pilota i wchodził do środka lokaj, a może służący; szeptał jakieś krótkie zdania mężczyźnie do ucha, ale potem szybko znikał. Wystrój pomieszczenia, w większości biały lub kremowy, sprawił na gościu wrażenie przede wszystkim sterylnej czystości, ale i gustu oraz umiaru. Oprócz foteli, nie było tu wiele sprzętu. Stoliki na obrotowych wysięgnikach, małe szafki przy półokrągłej ścianie samolotu oraz telefon wiszący pół metra nad nimi.

Mężczyzna i jego gość siedzieli naprzeciwko siebie. Nie mówili wiele. U profesora wyjaśniono właściwie wszystko, co miało się stać i co musieli robić, pozostała tylko wzajemna ciekawość, jednak zaspokojenie jej obydwaj pozostawili na później.

Telefon na ścianie zaczął migać czerwoną lampką, więc mężczyzna wstał. Odbierając wiadomość, właściwie milczał. Wreszcie odłożył słuchawkę i usiadł z powrotem na fotelu.

- Stało się - powiedział krótko. - Teraz już nie możemy się wycofać.

Pierre ostrożnie wszedł do komnaty Aureila.

- Ojczy... - szepnął nieśmiało, widząc, że mistrz się modli.

- Skoro mi przerywasz, musisz mieć coś ważnego do powiedzenia.

- Tak - potwierdził Pierre. - Mamy nowe zdjęcia Kapłana.

- Gdzie jest?

- Na lotnisku w Kopenhadze.

- A więc Luigi miał rację. Zadzwoń do niego. Pora zacisnąć pierścień. Kapłan nie ma już dokąd uciekać. Mamy swoich ludzi na tym lotnisku?

- Tak. W obsłudze i ochronie.

- Skontaktuj ich z Luigim. - Aureil zastanowił się chwilę. - Masz przy sobie te zdjęcia? - spytał, wskazując tekturową teczkę, którą Pierre trzymał pod pachą.

- Tak.

- Pokaż.

- Oczywiście. - Wyjął i wręczył mistrzowi odbitki. Aureil przyglądał się im długo i uważnie, marszcząc przy tym czoło, jakby nie do końca wierzył w to, co na nich zobaczył.

- Nie widać jego twarzy - stwierdził w końcu. - To tylko zdjęcie mężczyzny w kapeluszu.

- Ale wyraźnie widać twarze jego towarzyszy: lekarki ze szpitala i profesora Wileckiego, którego Iosif Punin śledził w Warszawie. Na poprzednich zdjęciach sprzed kilku dni zrobionych na tym samym lotnisku również nie widać twarzy, jednak nasi ludzie z tamtejszej ochrony potwierdzili jego obecność.

- Teraz też potwierdzają?

- Jeszcze nie ma wiadomości.

- No dobrze. - Starzec westchnął głęboko i usiadł na fotelu.

Pierre wziął fotografie, skłonił głowę i skierował się do wyjścia.

- Poczekaj jeszcze chwilę! - rzucił wyraźnie zachmurzony Aureil. - Czy wiadomo, o której godzinie zrobiono te zdjęcia?

- Oczywiście.

- Podaj mi te godziny.

Pierre ponownie wyjął z teczki odbitki i zaczął odczytywać napisy z drugiej strony każdej z nich.

- 17.43, następne 17.50, 18.01, 18.14...

- Pokaż je jeszcze raz. - Mistrz wyciągnął rękę po zdjęcia, a następnie po raz kolejny uważnie je przejrzał. - To mniej więcej z tego samego miejsca?

- Hala odlotów, odprawa... no, właściwie tak.

- Pomyśl. - Aureil groźnie zmarszczył brwi. - Czy na jego miejscu chodziłbyś ponad pół godziny w miejscu naszpikowanym kamerami, nie próbując nawet ukryć się gdzieś do czasu odlotu samolotu? Jak długo byli tam ostatnim razem, kiedy przylecieli?

- Nie wiemy. Zrobiono wtedy jedno, niewyraźne zdjęcie.

- A fotografie z innych lotnisk?

- Nie mamy.

- Nie wystartowali przecież boeingiem z polany w lesie. Musieli przejść odprawę paszportową na innym lotnisku - w Warszawie, może w Berlinie, może w Amsterdamie?

- Tak, ale nie udało nam się ich wtedy sfotografować. Nie wiemy, skąd przylecieli.

- No, właśnie... Zlokalizowałaś Punina?

- Nie. Nie mogę dodzwonić się do Polski.

- Nie możesz dodzwonić się do Polski?!

- Tak, ojciec. - Pierre znowu pochylił głowę. - Telefony mistrza z Warszawy wciąż milczą.

- Niemożliwe - głos Aureila zadrżał.

- To już się zdarzało w przeszłości.

- Na tak długo?!

- Robimy, co możemy. Szybko opanujemy sytuację. Mamy kontakt z innymi braćmi stamtąd.

Starzec wstał z fotela. Niepokój nie zniknął z jego twarzy.

- Połącz mnie z mistrzem z Niemiec, a jeśli ci się nie uda, to z Włoch, potem z Rosji... próbuj do skutku.

- Ale przecież...

- Rób, o co proszę!

Pierre szybko podszedł do telefonu i po kolei zaczął wykręcać numery. Wreszcie przerażony odłożył słuchawkę.

- Nic? - upewnił się Aureil.

- Nic - jęknął aurelita.

Telefon jednak zadzwonił sam. Jego łagodny dźwięk, na co dzień, ledwie słyszalny, teraz spowodował, że Pierre drgnął, jakby zawyła syrena.

- Odbierz - mruknął starzec.

Odebrał.

- To Punin... - zdezorientowany powiedział po chwili.

Aureil wziął do ręki słuchawkę.

- Mów, mój synu - rzekł surowo, ale spokojnie.

- Ojczy. - Iosif ciężko oddychał. - Wiem, że zawiodłem, wybac mi! Długo się wahałem, czy skontaktować się z tobą, lecz teraz błagam... Uwierz w to, co mówię! Błądziłem, byłem pyszny i postępowałem niemoralnie. Zlekceważyłem twój rozkaz, wierząc, że tylko ja mogę stanąć naprzeciw Kapłana! Teraz jednak...

- Mów - powiedział bez gniewu starzec.

Gdy skończył, Aureil padł ciężko na fotel. Nieobecny wzrok mistrza przeraził Pierre'a kurczowo trzymającego pod pachą teczkę ze zdjęciami. Słyszał tylko, jak w opuszczonej na biurko słuchawce Iosif krzyczy wciąż to samo: „Ojczy, ratuj się! Uwierz mi tylko ten jeden raz! Ratuj się!”

- Ilu mamy żołnierzy w zamku? - spytał cicho Aureil.

- Garstkę. Wszyscy zostali rozesłani po całej Europie, tam gdzie tylko mógł pojawić się Kapłan.

Starzec wreszcie podniósł słuchawkę ze stołu.

- Wierzę ci, Iosifie, mój synu. Nigdy nie wątpiłem w twoją miłość, choć roztropności i daru cierpliwości nie potrafiłem cię nauczyć.

- Jestem już w samolocie. Niedługo będę w Chatillon!

- Posłuchaj mnie uważnie i choć raz wykonaj polecenie.

- Tak, ojczy.

- Ukryj się i czekaj cierpliwie. Wygląda na to, że już za późno na twój przyjazd. Przyjdzie jeszcze czas na zemstę. Ale teraz musisz zniknąć. Pamiętaj tylko, co ci mówiłem przez te wszystkie lata, kiedy byłem twoim ojcem. Być może zostaniesz sam i będziesz musiał ocalić to, co trzymało naszych braci w jedności przez setki lat. A teraz żegnaj...

- Dokąd teraz? - spytała Ola.

- Szybko do samochodu - odparł mężczyzna w czarnym, lekkim płaszczu, w jakim zwykle podróżował Krzysztof.

- Boże - jęknął Wilecki. - Czułem się jak cel na strzelnicy. Znajdą nas!

- O to chodziło, ale z pewnością nie zdążą nas dogonić - odparł mężczyzna.

Szli, a właściwie biegli w kierunku parkingu. Wóz wyjechał im na spotkanie i szybko wsiedli do środka.

- Teraz do Polski? - upewniła się Sambierska.

- Tak, choć inną drogą. Nie możemy pojawić się już na żadnym lotnisku - odpowiedział kierowca.

- Kupią taki numer? - spytał Wilecki.

- Na dłużej niż kilka godzin z pewnością nie. Ale ważne, aby dzięki temu Kapłan zyskał choć trochę czasu.

Jechali samochodem od kilkadziesiąt minut. Krzysztof patrzył przez okno, nie myśląc o tym, co go czeka. Mężczyzna, który towarzyszył mu w podróży od domu profesora, również poświęcił większość czasu na milczenie, skupienie, a być może modlitwę. Obaj siedzieli na tylnym siedzeniu czarnego saaba, niemal identycznego jak ten, którym jechali do samolotu w Danii. Czasem wymieniali zdawkowe opinie, ustalając szczegóły planu. Krzysztof czuł, że siła człowieka, któremu teraz zaufał, jest niezwykła, a przy tym uzyskana ciężką pracą, wysiłkiem i najprawdopodobniej cierpieniem. Dar, który dostał on sam, nie wymagał lat umysłowych i fizycznych ćwiczeń, wyrzeczeń i wytrwałości. Był czystą niesprawiedliwością z każdego możliwego punktu widzenia, choć Krzysztof zdawał sobie sprawę, jak wiele niesłuszności jest na tym świecie, w którym dary rozdawane są tak nierównomiernie.

- Tutaj? - upewnił się kierowca, zwracając się do mężczyzny, który właśnie wyjął z kieszeni niewielki woreczek z piaskiem. Potarł nim palce i schował z powrotem do marynarki.

- Tak, omiń zakręt na Chatillon i skręć w następny, do lasu. Za jakieś pięćset metrów powinna być niewielka polana. Tam się spotkamy - odparł spokojnie.

- Co się stało? - spytał Krzysztof.

- Od kilku minut jesteśmy śledzeni.

- Od ponad pół godziny - poprawił Lorent. - Co chcesz zrobić?

- Przepraszam cię. Powinienem wcześniej powiedzieć. Prawdę mówiąc, spodziewałem się tego.

- Pojedzie za nami na tę polanę?

- Tak.

Samochód skręcił z głównej drogi do lasu, a podążająca za nim ciemnoniebieska toyota zbliżyła się na taką odległość, że łatwo można było rozpoznać kierowcę. Gdy oba wozy się zatrzymały, pierwszy z toyoty wysiadł Iosif Punin. Był sam. Zachwiał się na nogach, ale szybko wyprostował ciało, wyjął miecz i wbił wzrok w czarny samochód. Gniew i lęk, którego nie czuł od dzieciństwa, paradoksalnie dodawały mu sił.

Lorent wysiadł z saaba.

- Witaj Kapłanie - powiedział z wysiłkiem aurelita.

Krzysztof skinął lekko głową. Wzrok miał spokojny, może trochę smutny, jednak pozbawiony gniewu czy agresji. Za nim pojawił się mężczyzna, który zatrzasnął drzwi samochodu. Położył rękę na ramieniu Lorenta, prosząc, aby został.

- Sam to załatwię - szepnął cicho i zbliżył się do aurelity.

- Wiedziałem, że kiedyś może się zdarzyć rzecz tak straszna jak dzisiaj. - Iosif roześmiał się ze smutkiem i rezygnacją. - Ale że to będziesz ty, Luigi...

- Wybacz, mój bracie - odparł Balea. - Nie zrozumiałbyś tego, co robię.

- Jak możesz zdradzać wszystko, co cię stworzyło?! - Ku zdziwieniu nawet Luigiego w oczach Punina pojawiły się łzy. - Jak możesz?! Bywały chwile, kiedy czułem zazdrość o to, że ojciec kochał cię bardziej, ale nawet jeszcze teraz, lecąc na spotkanie z tobą, myślałem, że to ojciec przysłał do mnie Adera Rode, a nie ty.

- Mistrz Rode był moim nauczycielem znacznie dłużej, niż myślisz, Iosifie. Podziwiałem ojca od zawsze, ale szybko się przekonałem, że to Ader, a nie on, ma rację. Kiedy zaufał mi pięć lat temu i zdradził swój plan, który dzisiaj się wypełnił, potwornie ryzykował. Lecz wiedział, że czynimy zło. Wiedział, że idea, którą wpajano nam od dzieciństwa jest zła. Wiedział, że ojciec, wysyłając mnie przed pięciu laty, abym zgładził Eberharda Linka, czynił źle. I szybko mnie przekonał, Iosifie. Dotarł do mojego serca. Odtąd poświęciłem wszystko, by spełniło się to, co dzisiaj dokończymy.

- Jesteście tylko garstką buntowników, a Ader Rode zginął od mojego miecza.

- Wiem, dlatego wysłałem ci wiadomość, jak mnie znaleźć. Zginął za wielką sprawę. A „garstka” - jak to ująłeś - to niezbyt trafnie dobrane słowo. Dzisiaj są nas setki. Setki tych, którzy wierzą, że bractwo musi przejść przez czyściec i wykorzystać swoją siłę, by czynić prawdziwe dobro, Iosifie. Prawdziwe dobro!

- Rada ci na to nie pozwoli!

- Dawnej Rady już nie ma. Część mistrzów została odsunięta, część wybrała śmierć.

Gdybym tylko mógł inaczej... ale nie było innego wyjścia.

- A nowa Rada wybierze ciebie - wycedził przez zęby Punin.

- Tak chciał Ader Rode.

Iosif wyprostował się dumnie.

- Zanim zginę... powiedz mi, jak udało ci się zbliżyć do Kapłana?

- Znalazłem go już w Wiedniu, któregoś chciał dotrzeć do skarbu Jednego Oka. Musiałem ukryć wszystkie meldunki z różnych miejsc jego pobytu i chronić, zanim nie dotrze do Pielgrzyma, skąd go zabrałem.

- Na lotniskach, na granicach... wszędzie twoi ludzie.

- Tak, Iosifie. A ty jesteś ostatnim, który może stanąć mi na drodze. Wiedziałem, że nie uciekniesz. Wiedziałem, że przyjedziesz tu, choćby ojciec, z którym, jak podejrzewam, jednak się skontaktowałeś, zabronił ci tego. Nawet ostatniego jego rozkazu nie wykonałeś.

- Bo warto za niego zginąć. - Punin zacisnął wargi i zęby tak mocno, że w rogu ust pojawiła się strużka krwi. - Marzyłem, aby umrzeć z jego ręki. - Wskazał Kapłana. - Ale widać co innego mi pisane.

- Możliwe. Ojciec również będzie czekał na mnie w zamku, choć pewnie błagałeś go, by się ratował. Wbrew temu, co myślisz, kochałem cię jak brata, dlatego mówię o tym wszystkim, zanim spotka nas przeznaczenie.

- Nie, Luigi. Mówisz to, bym jeszcze bardziej cierpiał, i dobrze o tym wiesz. - Iosif podniósł miecz i ruszył z impetem na przeciwnika. Balea skontrował kilka ciosów, ale wiedział, że dzisiaj Punin go nie pokona. Czekał na dogodny moment, sparował kolejne cięcie, cofnął się o krok, korzystając, że osłabiony przeciwnik zachwiał się, i wbił ostrze prosto w serce Iosifa. Gdy tylko aurelita osunął się na trawę, Balea rzucił miecz i objął umierającego żołnierza.

- Wybacz, bracie - szepnął, przytulając jego głowę do siebie. - Ale nie mogę cię zabrać tam, gdzie teraz idę.

Możliwe, że Iosif Punin zdążył jeszcze usłyszeć te słowa.

Kiedy Kapłan skończył modlitwę za duszę aurelickiego żołnierza, za oknami samochodu, na horyzoncie pojawił się czarny, kostropaty zarys zamku Chatillon. Zostało jeszcze najwyżej piętnaście minut drogi.

- Jak wam się udało to zrobić? - spytał nagle Krzysztof.

- Słucham? - Luigi wyrwał się z zamyślenia.

- Jak udało wam się obalić stary porządek, oparty w dodatku na religijnej doktrynie? Tak szybko, w tak zorganizowany sposób, to niezwykle.

Balea uśmiechnął się z dumą.

- Cała historia świata składa się z takich zdarzeń. Podstawowa zasada dziejów - każda wielka potęga musi kiedyś upaść. Starożytna Grecja, Aleksander Macedoński, Rzym, Napoleon, nawet sowiecka Rosja. Władcy i rządy upadały, zastępowały je nowe - bardziej lub mniej postępowe, ale to pchało wszystko naprzód. Jeśli myślisz, że coś, na przykład system władzy, jest tak wielkie, potężne, że nigdy nie da się go pokonać, to właśnie wtedy możesz przyjąć za pewnik, że proces ten nastąpi niebawem. Nauczył mnie tego Rode, a ty, mając wiedzę, o której nikomu z nas się nie śniło, jak podejrzewam, wiesz to najlepiej. Zresztą kraj, w którym się urodziłeś, jest tego dobitnym przykładem. Jeszcze na początku 1989 roku nikomu z was nie wpadło nawet do głowy, że można obalić komunistów. Pod koniec tamtego roku mieliście już sprawę z głowy.

- Wiem, jak upadały potęgi świata - Lorent uśmiechnął się, cierpliwie słuchając tego wykładu. - Ja pytam, jak możliwy był taki przewrót w tajnym bractwie? Nie jesteś arystokratą aurelickim. Twoja rodzina nie pielęgnowała tej idei przez pokolenia, Rode miał do wyboru tylu niezadowolonych, dlaczego akurat ty?

Luigi ponownie wyjął z kieszeni mały woreczek z piaskiem i potarł nim palce.

- To prawda. Ja i Iosif byliśmy tylko żołnierzami. Mnie wzięto z sierocińca, jego znaleziono na jakimś śmietniku. Ale ojciec - w przeciwieństwie do swojego poprzednika - chciał postawić na silnego następcę. Nie na kolejnego starca z wielkiego, aurelickiego rodu. Choć takich chłopców jak my, sposobionych na żołnierzy, było wielu, uznał, że my będziemy najlepszymi kandydatami. Jego zdaniem Iosif i ja byliśmy najzdolniejsi, choć każdy w innym zakresie. Usynowił nas i zaczął uczyć. Oczywiście nie podobało to się innym rodzinom, jednak Aureil umiał zdusić bunt niemal w zarodku. Bardzo uważnie obserwowałem, jak to robi i uczyłem się wszystkiego, czego tylko się dało.

- Wielki Aureil naraził się tym, którzy stanowili o jego sile, a postawił na was? - Krzysztof uniósł brwi z niewątpliwą ironią. - Jednak nie był zbyt przewidujący.

Luigiego nie rozgniewała ta uwaga. Przytaknęła głową, rzucając w stronę zamku chłodne spojrzenie.

- Tak chciała historia i przeznaczenie. Chrystusa zdradzono, by mógł dokonać najważniejszego czynu w dziejach chrześcijaństwa, Cezara zdradzono, by cesarstwo rzymskie mogło rozkwitnąć całą potęgą.

- I Judasz, i Kasjusz, i Brutus działali chyba z innych pobudek.

- Czyżby?

Krzysztof nie chciał zaprzeczać.

- Masz rację. Jestem z linii, która nie była świadkiem tych zdarzeń. Ale nie sądzę, aby ktoś mógł złamać moją wiarę. O to głównie pytam. Jak wielka potrafi być ludzka hipokryzja? Jak setki ludzi mogły odrzucić ideę, w którą wierzyły?

- Jak daleko sięgasz pamięcią?

- Ostatnie wspomnienia?

- Tak.

- Siedemnasty wiek.

Balea ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Cztery lata... no cóż, Kapłanie. Tamtych ludzi już nie ma, a idea, o której myślisz, pozostała wyłącznie w umysłach ścisłej arystokracji. Tej, która swych przodków wywodziła od czasów Marcellina. Skłóconej, niezadowolonej, biernej. To, co dziś nazwiesz wielką tajemnicą, jest największą słabością spadku po Aureliusz. Już od ponad dwustu lat chybiony Bóg, szatan w niebie, pozostał tylko w umysłach garstki wybranych. Zwykły członek bractwa, pracujący na lotnisku, w urzędzie, w parlamencie czy gdziekolwiek, wierzy tylko w to, że chcemy ulepszyć świat. Jest przekonany, że Chatillon i jego otoczenie posiada wiedzę tajemną pozwalającą na walkę ze złem. Wierzy, że obdarzono go wielkim wyróżnieniem i zaufaniem, bo należy do Tajnego Stowarzyszenia Aurelitów. Nic więcej. Chroni tę tajemnicę, jest dumny i czuje się przez to lepszy. W rzeczywistości nie wie nic. Pieniądze i pomoc w karierze ułatwiają mu być wiernym, ale zmiana władzy dla kogoś takiego znaczy tyle, co zmiana prezydenta, którego imienia zresztą nie znał, w dalekim kraju. Tak. - Luigi pokiwał jeszcze raz głową. - To nie szeregowi członkowie mogli nam przeszkodzić, ale arystokracja, mistrzowie, Rada. To im poświęciliśmy pięć lat przygotowań. Byłem tylko przywódcą żołnierzy, lecz odkąd wielki Ader Rode powstrzymał mnie przed zabiciem Pielgrzyma, skromnego szwajcarskiego profesora, który posiadał wiedzę tak niebezpieczną, że kazano mi go wyeliminować, stałem się symbolem końca dawnego porządku.

Luigi znowu wyjrzał przez okno. Zamek był coraz bliżej, zostało najwyżej pięć minut drogi.

- Rode i ja ukrywaliśmy Eberharda Linka i chroniliśmy go przez pięć lat - przyznał, odwracając się ponownie w stronę Lorenta. - Aż pojawiłeś się ty.

- W bardzo nieodpowiednim momencie?

- Niestety, tak. Mógłbyś, chcąc nie chcąc, znów zespolić rozkładającą się strukturę i cały plan by upadł. Ale na szczęście teraz jedziesz ze mną, a nie tkwisz w świątyni Aureliusza i otwierasz księgi Nocy Kapłanów.

- Nie wiesz, co w niej jest? - spytał Krzysztof.

- Nie wolno jej otwierać. Nie robiono tego od pięciuset lat. Arystokraci wierzyli, że misterium tam opisane da im moc zdolną uwolnić dobro z piekieł, a Kapłana zwiąże na zawsze z nimi. Fizycznie i mentalnie. Może teraz łatwiej ci zrozumieć, dlaczego nie bardzo chcieli dzielić się tym przywilejem z setkami członków bractwa na całym świecie. Świat urósł, Azja, a zwłaszcza Ameryka, stały się potęgą i tajemnicę trzeba było ukryć. I tak zrobili.

Wyjechali zza zakrętu i zamek stanął przed nimi w całej okazałości.

Nikt nie przeszkodził im ani w czasie drogi, ani tuż po wjeździe na dziedziniec. Bramy były otwarte, podwórzec wyludniony, wejścia niezamknięte. Zamek czekał dumnie, bez strachu. Nikt nie krzychał, nikt nie błagał o litość. Kapłan i Luigi Balea szli wolno głównym korytarzem. Obaj trzymali w rękach miecze, ale nie robili krzywdy nikomu, kto im nie przeszkadzał. Wreszcie w oddali, na wysokości wielkiej sali Aureliusza zobaczyli stojących przed nią czterech żołnierzy wspartych na swoich mieczach. Czekali. W środku sali, przypominającej bajkową świątynię pełną starych obrazów, wielowiekowych rzeźb i grobów przodków, zgromadzili się najważniejsi aureliccy urzędnicy Ludwika Gossarda de Rocheforta, Wielkiego Mistrza Aureila - Pierre de Fleur, Jean Villoq, Luc Trantignan, ich współpracownicy, uczniowie oraz wszyscy pozostali w zamku żołnierze. Większość jednak mieszkańców zamku pozostała u siebie, modląc się lub medytując i czekając na przyszłość, jaką ześle im opatrzność. Gdy Lorent i Balea doszli do sali, żołnierze wskazali na wnętrze sali.

Luigi stanął w progu i przebiegł wzrokiem po obecnych.

- Nikt nie musi ginać - rzekł krótko. - Kapłan jest z nami, aby naprawić zło. Nie przeciwstawiajcie się mu.

Pierre wyszedł dwa kroki przed wszystkich.

- Wiemy, że choć masz zaledwie dwadzieścia siedem lat, nowa Rada wybierze ciebie. Dopóki jednak to nie nastąpi, obowiązkiem żołnierzy jest strzec tradycji. Nie pozwolimy ci iść dalej.

- Zrozum bracie - głos Luigiego był pojednawczy i proszący. - To już koniec, nic tego nie powstrzyma. Przyłącz się do nas, nikt nie chce rozlewać krwi. Luc, Jean... nic nie poradzicie, a gdy bractwo przejdzie wszystkie niezbędne przemiany, możecie zrobić jeszcze wiele dobrego!

- Kapłan miał nas wyzwolić, a nie przychodzić tu z odkrytym mieczem - nie ustępował Pierre.

- To legenda, aurelito! Wmawiano nam ją przez wieki, ale średniowiecze skończyło się ponad pięćset lat temu! Tkwisz w gusłach, jakbyś nigdy nie otworzył oczu na świat. Wszystko to służyło utrzymaniu władzy nad nami, nigdy tego nie pojąłeś?! Tylko Kapłan może mieć Wiedzę Wieków, a nie my, żadne czary nam w tym nie pomogą. Czy możemy walczyć z szatanem, sami zachowując się jak jego uczniowie?

- Chodzi tylko o to, aby Kapłan przystąpił do nas - powiedział Jean Villoq.

- Jest wolnym człowiekiem, wciąż tego nie rozumiesz? Odrzuć to, co cię zaślepia!

- Nie, Luigi! - krzyknął Luc Trantignan. - Bracia! Tradycję, honor i Boga chcecie zamienić na co?! Na ułudę i kłamstwa uzurpatora?! Mamy nagle zrezygnować z idei, która łączyła nas przez stulecia, w imię pustej i pozbawionej ducha, tak zwanej nowoczesności?

Wyszedł pośpiesznie z sali i stanął obok żołnierzy tkwiących wciąż na korytarzu.

- Nie pozwolę ci przejść! - rzekł dumnie. - Mnie również będziesz musiał zabić, a ta krew pozostanie na twoich rękach do końca życia. I oby ktoś kiedyś obalił cię tak bezlitośnie jak ty dzisiaj Aureila, który - odkąd pamiętam - był naszym ojcem!

Pierre i Jean być może mniej chętnie, ale dołączyli do niego. Luigi spojrział przez ramię.

- Dobrze więc. - Zniecierpliwiony pokręcił głową i wyszedł za nimi na korytarz, zostawiając w sali Krzysztofa i kilkunastu żołnierzy. Wychodząc, zamknął za sobą drzwi. Zanim się zatrzasnęły, wszyscy ujrzeni, jak Kapłan unosi miecz. Niemal natychmiast doszły do nich odgłosy walki i krzyki ranionych żołnierzy. Luigi wbił wzrok w Pierre'a i Jeana.

- Przerwij to! - jęknął Pierre.

- Wiesz, że zabije ich wszystkich, a potem wyjdzie do nas i nikt go nie powstrzyma - rzekł zimno Balea.

- Ty go powstrzymaj!

- Czekam na waszą odpowiedź!

- Luigi!

- Czekam!!! - krzyknął, aż echo rozniosło się po korytarzach.

Dźwięki zza drzwi stawały się coraz głośniejsze i bardziej przerażające.

- Jesteśmy z tobą - jęknął Pierre i spuścił głowę.

- Co ty mówisz?! - oburzył się Trantignan.

- Jeśli jesteś innego zdania, Luc, będziesz musiał odejść - dopowiedział Jean. - On ma rację. Wiem, co czujesz, ale to nieuniknione. Nie skazesz nas wszystkich na śmierć.

- Przecież to nic niewarte. Nie jesteście i nigdy nie byliście godni, by zostać spadkobiercami naszych rodzin! - Spojrzał gniewnie na Luigiego i odszedł w głąb korytarza. Luigi pchnął drzwi i dał znak Lorentowi, aby zaprzestał walki.

- Dokąd on poszedł? - spytał Jean, wskazując na znikającego na schodach Luca.

- Do siebie - odparł Pierre. - Mistrz jest w bibliotece - rzucił do Balei.

- Idź do niego i poproś, aby mnie przyjął.

Luigi wszedł do biblioteki, niosąc złotą tacę, na której stały dwa kieliszki czerwonego wina. Postawił ją na stole i poczekał, aż mistrz przestanie się modlić. Aureil stał tyłem do niego, między regałami książek. Balea jeszcze raz skorzystał z okazji, aby podpatrzeć ojca. Idealnie wyprostowana sylwetka, płynne ruchy, jakby zdjął je ze starych rzeźb filozofów, gdyby nagle ożyły. Duma i elegancja, żadnego fałszu. Najmniejszej oznaki lęku czy obawy przed nieznanym. Ideał, do którego Luigi będzie dążył jeszcze przez długie lata.

Aureil wolno odwrócił się w jego stronę.

- Cieszę się, że cię widzę, mój synu. - Uśmiechnął się smutno.

- Witaj, ojcze. - Balea uklonił się z szacunkiem. Starzec zaczął spacerować wzdłuż regału, od czasu do czasu wyjmując i przeglądając jakąś książkę.

- Przyszedłeś zobaczyć, jak umierają idee, które kiedyś wyniosły mnie tak wysoko? - spytał spokojnie, jakby rozmawiał o pogodzie.

- Nie, ojcze. Przyszedłem napić się z tobą wina. - Wskazał tacę stojącą na stole. Ujął jeden z kieliszków, podszedł do starca i wręczył mu go. Następnie poszedł po swoje bordeaux.

Aureil pokiwał głową i kontynuował spacer wzdłuż regałów. Luigi szedł krok za nim, również przyglądając się starym księgom.

- Lubisz Sofoklesa? - spytał mistrz pogodnie.

- Wolę raczej nowszych autorów.

- Dante?

- Jeszcze nowszych, współczesnych.

Starzec pokiwał z szacunkiem głową i zatrzymał się, spoglądając w oczy Luigiego.

- Myślisz, że aż tak wiele się zmieniło od tamtych czasów?

- My zmieniamy czasy. My, ludzie. A nie bogowie czy ślepy traf. Jeśli coś za wolno się zmienia na lepsze, to tylko nasza wina.

- Może... - Aureil ponownie się uśmiechnął. - Nawet twoje wino jest młodsze, jak sędzę po barwie.

- To prawda, ojcze.

Mistrz patrzył jeszcze przez chwilę na Baleę i ponownie zaczął przechadzać się wzdłuż regału.

- Pamiętasz, jak uczyłem cię w dzieciństwie zasad prawa i zwyczajów starożytnego Rzymu?

- Oczywiście.

- Nawet jeśli na skutek konfliktu któryś z ludzi honoru musiał umrzeć, jego oponent według zwyczaju opiekował się rodziną zmarłego i wszystkim, co było mu drogie.

- Tak - przyznał Luigi. - To mądra tradycja.

- Wspaniałe czasy. Rzymianin wydawał ucztę, zapraszał przyjaciół, kazał im się bawić, pił wino i odchodził w pokoju.

- Dużo bym dał, aby znaleźć się w tamtych czasach choć na chwilę. - Spojrzał na Aureila. - Ale tylko na chwilę.

Obaj się roześmieli.

Mistrz sięgnął po książkę, której szukał. Otworzył i zaczął cicho czytać:

*...Jak ptak w osłonie lubionych gałęzi
Siedzi na gnieździe pośród miłych dziątek,
Kiedy noc jeszcze ziemię w cieniach więzi,
I żeby zebrać pokarmu dostatek⁴⁴*

⁴⁴ Dante Alighieri - *Commedia (divina)* pieśń XIII, tł. E. Porębowicz.

- Moja ulubiona - przyznał.

- Znam tę pieśń. Czytałeś nam ją w dniu, kiedy powiedziałeś Iosifowi i mnie, że któryś z nas kiedyś cię zastąpi. Pamiętam to jak dziś.

- Ja również. Iosifowi Dante nigdy się nie podobał, ale pamiętam, że ty byłeś nim kiedyś oczarowany.

- Kiedyś tak - przyznał Balea.

- A propos. Nie wiesz, gdzie teraz jest mój drugi syn?

- Ostatni raz widziałem Iosifa w Warszawie, ojczu.

Mistrz uniósł kieliszek.

- Zaopiekuj się moimi gołębiami, Luigi. - Starzec spoważniał.

- Oczywiście.

Wypił do dna, postawił naczynie na małym stolyczku stojącym między regałami i ponownie wziął się za lekturę. Luigi wypił swoje wino, podszedł do Aureila, pocałował z szacunkiem jego rękę i wolno wyszedł z biblioteki.

Starzec jeszcze przez chwilę spacerował, czytając pieśń, aż wreszcie zachwiał się i oparł o regał.

- Nie. Jeszcze nie - szepnął, przewracając z wysiłkiem stronę. - Jeszcze jedna linijka...

Książka wypadła mu z rąk, a po chwili on sam osunął się na podłogę. Śmierć przyszła lekko i bezboleśnie.

Pogoda nie była tu tak piękna jak w Polsce. Zachmurzone niebo przyniosło chłodny wiatr i zapowiedź deszczu. Luigi i Krzysztof stali na skarpie, delektując się widokiem na całą dolinę.

- Na pewno chcesz dzisiaj wyjechać? - upewnił się Balea.

- Tak. Muszę jeszcze załatwić kilka rzeczy.

- Jesteś wolny - przypomniał aurelita. - Nikt z nas nigdy już nie będzie cię niepokoił. Zresztą oprócz nielicznej garstki ludzi, którym ufam, nikt nie zna twojej twarzy, a większość braci w Europie i na całym świecie nie ma pojęcia, że w ogóle się pojawiłeś.

- Co z żołnierzami z sali?

- Lekko pokaleczeni. Nic im nie będzie.

- Musisz mi wybaczyć. Powiedziałeś, że mamy głośno krzyżeć i dobrze udawać, a niektórzy z nich zachowywali się jak na pokazie.

- Byli zaszczytzeni, że mogą z tobą poćwiczyć, a że przy okazji miało to niektórych przekonać... To dobrzy chłopcy, może trochę ich poniosło. Wszyscy od dawna byli wtajemniczeni. Postarałem się, aby pozostałych wysłano w odległe rejony Europy.

- Co będzie, jak wrócą?

Balea uśmiechnął się uspokajająco.

- Nie będą mieli wyjścia, dostosują się. To żołnierze. Byłem ich dowódcą, teraz będę mistrzem.

- Gratuluję - Krzysztof powiedział to uprzejmie, ale bez entuzjazmu.

- Nie jestem pewien, czy jest czego. No, cóż... Trochę czasu minie, zanim wejdą w życie nowe zasady, ale kiedyś znowu zapanuje ład.

- Nauczą się żyć bez czekania na kolejnego Kapłana?

- Z czasem zapomną, że w ogóle są tacy ludzie jak ty. Człowiek błyskawicznie przystosowuje się do zastanej sytuacji i szuka nowych wyzwań.

Krzysztof odwrócił głowę w stronę aurelity.

- Nie chcę, abyś źle to odebrał, Luigi, ale wasza idea, właściwie religia...

- Mówiłem ci, że wyznawała ją tylko wtajemniczona elita. Ogromna większość ludzi, którzy dla nas pracowali, nie miała o niczym pojęcia. Utrzymywaliśmy dyscyplinę innymi sposobami. I to już od dawna. Nawet Aureil rozumiał, że dzisiejsze czasy nie pozwolą nikomu zachować tak olbrzymiej władzy, tylko dzięki dość abstrakcyjnej i na dodatek kontrowersyjnej idei. Świat jest zły, ale to my jesteśmy od tego, aby go zmieniać. Nie musimy do tego budzić bogów.

- Nie o to pytałem. Interesuje mnie, w co ty wierzysz? - spytał Lorent.

- Już dawno straciłem wiarę w istoty nadprzyrodzone. Stawało to się powoli i wprost proporcjonalnie do nabierania wiary w człowieka. Wybacz, jeśli ranie twoje uczucia religijne. Powrócisz do kapłaństwa?

- Nie wiem, czy powinienem - odparł Krzysztof. - Z pewnością poświęcę temu zagadnieniu wiele czasu. Chciałbym.

- Rozumiem.

- Mogę liczyć na to, że będziesz wyrozumiały jak Cezar? - Lorent zmienił nagle temat. - Wiesz, o czym mówię. Prowadził politykę wybaczenia nawet swoim wrogom. Historia to zapamiętała i uczyniła go wielkim.

- Wrogowie również mieli dobrą pamięć i uczynili go martwym, ale oczywiście masz rację.

Obaj wstydliwie się roześmieli.

- Mówiłeś, że rozmawiałeś z Aureilem.

- Tak - odparł Luigi. - To mądry człowiek, zrozumiał, że czas na zmianę warty. Przejdzie na zasłużoną emeryturę. Zaopiekujemy się nim. Nie skrzywdziłbym człowieka, który mnie wychował.

- To dobrze. A ten Luc...

- Trantignan.

- No, właśnie.

- On tym bardziej może liczyć na wyrozumiałość. Nie martw się o nich. Oni nie byli tacy jak Punin.

Krzysztof uklonił się aurelicie.

- Czas już na mnie. Bywaj, Luigi! Zamówiłem taksówkę, a samolot mam za dwie godziny.

- Możemy cię odwieźć.

- Nie trzeba. A... widziałem, jak godzinę temu wypuszczałeś gołębie. Słyszałem, że należą do Aureila?

- Tak. Ojciec czasem prosi mnie o to. Lubię to robić.

Krzysztof jechał w milczeniu. Zapadająca noc pogrążała oddalający się zamek Chatillon w ciemnościach. Nie zostało już nic do powiedzenia ani do zrobienia. Wolność i wiara powróciły i choć świat może stał się trochę chłodniejszy, z pewnością także - spokojniejszy. Nawet jeśli Kapłan grzeszył, słuchając wywodów Luigiego Balei, wiedział, że nie nadszedł jeszcze czas prawdy. Nie wszystko jest drogą do zrozumienia i nie wszystko można osądzić. Być może trzeba było pojąć Wiedzę Wieków, by teraz wiedzieć, że to na razie koniec. Niewykluczone, że kiedyś trzeba będzie znów się tu spotkać, ale dzisiaj jest czas na odpoczynek. Na długi odpoczynek.

ROZDZIAŁ 9

Piski dochodzące spod kołdry zmusiły profesora do użycia siły. Rzucił się na kobietę i pomagając sobie poduszką, przylgnął do niej, aby nie mogła już więcej go łaskotać i drapać.

- Udusisz mnie grubasie! - wrzasnęła Ola.

- To przestań. Nie wytrzymam więcej łaskotek! - zaprotestował Wilecki.

- Słowo honoru?

- Słowo.

Uwolnił wreszcie Olę i sam wstał z łóżka.

- Nie mam już siły - przyznał.

- Na nic? - zdziwiła się Sambierska.

- Daj spokój! Robiliśmy to dzisiaj aż trzy razy, później graliśmy w berka dookoła łóżka, a na koniec chciałaś mnie pozbawić życia łaskotkami. Nie mam już dwudziestu lat, poza tym... - nagle przerwał, przerażony.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Ola.

- Ubieraj się! Spójrz na zegarek! - Wilecki wskazał na ścienną kukułkę. - Link!

- Co Link?

- Łąduje za dwadzieścia minut, nie pamiętasz?!

- O rany boskie! - Sambierska złapała się za głowę. - Zapomniałam!

- Masz dzisiaj dyżur w szpitalu?

- Dopiero nocny.

- Wskakuj w cokolwiek i pędzimy!

Po zbiegnięciu ze schodów Ola zauważyła w swojej skrzynce list, więc szybko ją otworzyła.

- Nie mamy teraz czasu! - Wilecki pociągnął ją za rękę.

- Ale to od... Krzyśka.

- To bez sensu, przecież on przylatuje z Linkiem. Umówili się u niego. Potem otworzysz, biegniemy do samochodu!

Ewa Nowicka skrzywiła się z niesmakiem. Siedzieli w samochodzie i z minisłuchawkami w uszach przyglądali się, jak profesor i lekarka wybiegają z domu.

- Zdejmijmy ten podsłuch, to nie ma sensu. - Policjantka pokręciła głową.

- Może masz rację - mruknął Michał Kępiński. Zamknął oczy, jakby chciał się zdrzemnąć.

- Po co nam to wszystko? Lekarka się znalazła, nikt nie zgłosił zabójstwa, wszyscy są szczęśliwi.

- A Lorent?

- Jest za granicą u tego Szwajcara, słyszałeś. Dajmy spokój. Nikt nie chce tego rozgrzebywać, wszyscy chcą zapomnieć.

- Zapomnieć? Łatwo powiedzieć. - Michał wzruszył ramionami. - Skąd mogę wiedzieć, że ci szaleńcy kiedyś nie powrócą i może znowu zaatakują moją rodzinę?

- Nie sądzę, żeby tak się stało. A nawet jeżeli, to najpierw trafią do nich. - Wskazała na odjeżdżający z Olą i Wileckim samochód.

Kępiński potarł dłońmi twarz.

- Dobra - zdecydował wreszcie. - Zdejmujemy. Jutro pójde do szpitala i zamknę sprawę.

- Daj jej chwilę na wymyślenie czegoś, co nadawałoby się do akt.

- Sądzę, że jest gotowa. Odwieź mnie do domu, dziewczynki chyba już wróciły.

Na lotnisku stanęli przed profesorem potargani, w pogniecionych ubraniach, ale wyjątkowo weseli.

- Co wam się stało? - spytał również uśmiechnięty od ucha do ucha Link. - Mieliście tu huragan?

- Gorzej - przyznał Wilecki. - A gdzie Lorent?

Szwajcar stanął jak wryty.

- Przecież jest u was! Przyjechałem między innymi po to, by się z nim spotkać i przedyskutować pewne problemy. Dostałem wiadomość, że jest u was!

- A my, że jest z panem. Depesza z wczoraj - jęknął Wilecki.

Ola pośpiesznie otworzyła kopertę listu, który pół godziny temu wyjęła ze skrzynki.

- No i co? - spytali obaj niemal jednocześnie. Przebiegła wzrokiem kilka razy po kartce, po czym wybuchła śmiechem.

- To do nas wszystkich - prychnęła.
- Czytaj - mruknął wkurzony Wilecki.
- Jak chcecie. - Wzruszyła ramionami i zaczęła wolno, linijka po linijce recytować:

*Wstanę teraz, by pójść ku wyspie Inisfree,
Chatka z gliny i łóż na środku wyspy stanie:
W dziewięciu rzędach groch i ul, i pszczoły, i
Mieszkanie będę miał na pełnej pszczoł polanie.*

*I znajdę spokój tam, gdzie świerszczy śpiewny gwar,
Spokój z poranka mgieł powoli spłynie w końcu;
Północ tam zawsze łśni, błyszczy południa żar
A purpurowy zmierzch pełen jest skrzydeł dzwońców⁴⁵*

- Co to do cholery jest?! - warknął zdezorientowany Boguś.
- Yeats. Jeden z jego ulubionych poetów, a mój ukochany. - Sambierska wciąż zanosila się śmiechem.
- Ale kiedy przyjedzie? - spytał poważnie Link, który nie rozumiał polskiego tłumaczenia. Ola śmiała się nadal.
- Nigdy - wyrechotała.
- Co?! - jęknął Wilecki. - Nigdy? Oszukał nas? Sambierska wreszcie spoważniała i wyrecytowała:

*I bądź jak struna, w szaleństwie
Zmuszana do śmiechu przez barda
Wewnątrz budowli z kamienia,
Bowiem najtrudniej na świecie
Zwycięzać pośród milczenia
I cieszyć się z tego w sekrecie⁴⁶*

⁴⁵ William Butler Yeats - *Wyspa na jeziorze*, tł. Leszek Engelking.

⁴⁶ William Butler Yeats - *Do przyjaciela, którego praca poszła na marne*, tł. Tomasz Wyżyński.

- To też od niego? - wydukał załamany profesor.
- Nie. To ode mnie dla ciebie - powiedziała poważnie Ola.
- Jak mógł to zrobić? - zdziwił się z kolei Link. - To naprawdę trochę niewdzięczne.
- Nie nazwałabym tego tak. Myślę, że planował to od dawna.
- Jak to? - zdziwił się Szwajcar. - Przecież tyle dla niego zrobiliśmy!

- Nie, profesorze. Dzięki Balei jest wolny, ale wiadomo, że przebiegły Luigi zrobił to przede wszystkim dla władzy! Pieprzonej, podstępnej, mrocznej władzy. Kiedyś był zwykłym dowódcą żołnierzy, dziś jest przywódcą największego tajnego bractwa na świecie, a taki Kapłan tylko by mu przeszkadzał. Nadal może na wpływach zarabiać niesłychane pieniądze, wtrącać się w politykę, kierować biznesem, kiedy tylko uzna to za opłacalne, i nic nie możemy na to poradzić. Kapłan również. Ciekawi jesteście, jak daleko może sięgać ludzka hipokryzja? No to macie wszystko jak na dłoni. Jedna władza zastępuje drugą, korzystając z niezadowolenia szarych ludzi. Czaruje, judzi, obiecuje, prószczy w oczy propagandą. Nic wam to nie mówi? Wszystko jest gównem. Nic tak naprawdę się nie zmienia, tyle tylko, że my w tym układzie jesteśmy do przodu. Bala zwyciężył, Krzysztof jest wolny. Super. A my? Myślicie, że jesteśmy lepsi? Wiecie na przykład, kiedy Lorent ma urodziny, imieniny, jak się miewa jego przyjaciel Bzdet i jego urocza małżonka? Jak się po tym wszystkim czuje?

Obaj mężczyźni stali jak wryci, z lekkim zniechęceniem tą tyradą.

- No, właśnie - ciągnęła Ola. - Jak patrzę na wasze zadowolone miny, skręca mnie. Bo chcecie od niego tylko jednego i na tym cała przyjaźń się kończy. Nawet ja go wykorzystałam, choć Bóg mi świadkiem, że nie chciałam.

- Bóg? Tobie? Świadkiem? - zarechotał z kolei Wilecki.

- A żebyś wiedział! To, że w niego nie wierzę, nie oznacza, że on sobie tam gdzieś nie istnieje.

Nastała cisza, po której znów odezwała się Ola.

- Widzicie? Stoimy jak te jełopy. Spotkaliśmy się bez niego, i co? Nawet nie wiemy, w którą stronę iść.

Wilecki z zażenowania pokiwał głową.

- Daj spokój, czy to ważne?

- A więc rzucam monetą w górę - powiadomiła ich Sambierska, nie zwracając uwagi na Bogusia. - Orzeł, idziemy w tamtą stronę. - Wskazała palcem przypadkową ulicę. - A reszka, w przeciwną.

- To trochę niepoważne - zakłopotał się Link.

- Też tak myślę - dopowiedział Boguś.

- Niepoważne?! - parsknęła Ola.

Moneta poleciała wysoko w górę. Wszyscy obserwowali, jak obraca się w powietrzu i mieni w słońcu. Panowie, niestety, nawet na chwilę nie zwrócili uwagi, że tarasują chodnik. Wciąż patrzyli na niesforną dwuzłotówkę, która pokazywała raz jedną, raz drugą stronę i jak na złość wciąż nie chciała spaść. Jakby ktoś zagęścił wokół niej powietrze na tę krótką i podobno nieważną chwilę.

EPILOG CZĘŚCI PIERWSZEJ

Malia, Kreta rok 1690 p.n.e.

Tacjades słyszał w oddali płacz kobiet i dzieci, lecz wciąż patrzył w dolinę, gdzie wielki pałac tonął w ogniu. Wszystko, co było mu drogie w tym życiu, zabierali teraz ci, którzy przybyli od morza, by niszczyć, rabować i nieść śmierć.

Filander stał obok niego i choć wzrok miał pełen złości i nienawiści, nie wstydził się, że po policzkach płyną mu łzy, których nie znał od tak wielu lat.

- Ruszamy dalej - szepnął Tacjades i zszedł ze skały. Filander chwilę jeszcze stał, jakby nie potrafił oderwać oczu od morza spowitego dymem. Może pomogła mu myśl, że nigdy już tu nie wróci, a może drzemała w nim jeszcze siła młodego wojownika jego własnych marzeń, ale wreszcie otarł policzki. Odwrócił się raptownie i poszedł za przyjacielem.

Przed nimi rozciągała się rzeka ludzi - rannych, brudnych, zmęczonych. Szli w góry, szukając nowego miejsca dla siebie, by przeżyć.

- Panie! - usłyszał nagle Tacjades za swoimi plecami.

- Tak, Tiksie? - Dostrzegł chłopca z umorusaną buzią i ręką opatrzoną liśćmi *corpeus*.

- Król cię wzywa.

- Już idę. - Dał znak Filandrowi, aby poszedł na koniec kolumny i pomógł kobietom, dzieciom oraz ochraniającej ich, ocalałej z rzezi straży.

Król leżał na wielkich noszach. Przykryty tkanym pledem lekko drżał. Był zbyt poważnie ranny, aby dało się zachować jakąś nadzieję, ale dumny wzrok władcy nie pozwalał na żadną rozpacz czy smutek wokół jego osoby.

- Tacjadesie... - szepnął z trudem.

- Tak, panie.

- To już chyba nasze ostatnie spotkanie.

Nie śmiał zaprzeczyć, więc milczał.

- Wezwałem cię, by ostatecznie powierzyć ci opiekę nad moim ludem - ciągnął władca. - Dawno już o tym rozmawialiśmy, ale przecież wiadomo, że przerastasz wszystkich umysłem i duchem.

- Panie...

- Nie mam zbyt wiele czasu, więc pozwól mi mówić.

- Tak, panie.

- Zabierz mój lud w góry, gdzie przetrwacie do czasu, gdy bogowie ukarzą tych, którzy tak nas skrzywdzili. Pochowaj moich synów, a ich prochy oddaj niebu. To samo zrób z wszystkimi ciałami naszych braci, które udało się wywieźć z miasta. Zaopiekuj się moją żoną. Znajdź dobre miejsce i bądź władcą, który przywróci nam dumę.

- Całą duszą i ciałem. - Tacjades pokłonił się nisko.

- Kiedy nadarzy się okazja, połącz siły z innymi miastami naszej ziemi, wiem, że spotkało je to, co nas.

- Wędrują w góry, jak my. Posłaniec przyniósł takie wieści.

Król zamilknął na chwilę. Dał znak prytanowi, który cały czas stał u jego wezglowia, aby zdjął mu pierścień i przekazał go nowemu władcy.

- Tacjadesie!

- Tak, panie.

- Pamiętaj, kim jesteś i skąd pochodzisz. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, nasz lud musi wrócić tam, skąd teraz odchodzimy. Może nie nastąpi to za twojego życia ani za życia twojego syna, ale kiedyś przyjdzie ta chwila. To nasz obowiązek. Każ przekazywać moje słowa z pokolenia na pokolenie aż do czasu, kiedy wielka Malia znów będzie dumnie spoglądać w morze z miejsca, w którym bogowie nakazali jej trwać przez wieki.

Niedaleko granicy kraju Danów - rok 987

Desgear jeszcze w wodzie wyskoczył z łodzi, mocno chwycił hak nadziebny i najszybciej jak mógł ukrył w zaroślach przeciekające już czołno. Padł na ziemię, nasłuchując. Możliwe, że walka po drugiej stronie jeziora miała się ku końcowi, a śmierć uciszyła konających. Trzeba było biec na zachodnią stronę jeziora. Jeśli Devirkowi udało się ocalić konie, być może już tam jest...

Zerwał się więc wiking na nogi i nie zważając na gęsty, surowy bór, odgarniając gałęzie i zarośla, biegł przez ciemność, zerkając tylko co pewien czas na księżycowy połysk tafli wody. Las szumiał i mówił do niego głosami nocnych zwierząt, strachem i tajemnicą. Gęstwina chroniła, ale też raniła twarz, dłonie, a nawet szyję. Pozwalała oddychać zapachem wszelakiego życia, lecz przerażała również historią nigdy nieodgadnioną, daleką i obcą.

Dasgear upadł, zanurzając twarz w miękki mech delikatny i wilgotny, choć bogowie nie zsyłali deszczu już prawie od tygodnia. Dasgear usłyszał daleko szelest, ale była w nim pewność, że to człowiek. Uniósł się, gotów do walki. Za późno było na ucieczkę lub zaskoczenie wroga. Człowiek ów nie krył się jednak i nie czynił jakichkolwiek wrogich gestów. Prowadził dwa konie i szedł na spotkanie brata. Kroczył spokojnie, dumnie, jakby nie drasnęła go żadna wroga włócznia, miecz czy sztylet. Smutek i powaga zastąpiły dziecięcą, nieodległą jeszcze niedawno radość, a wywodziły się one z czegoś innego niż walka, którą stoczył niedawno, i miały zostać z nim już na zawsze.

Wielka, drewniana palisada otaczająca gród była niezwykła. Sięgała wysoko na trzech męźów, grubsza od dębów najstarszych była i mocna jak grecki Atlas z opowieści krajów peloponeskich i imperium starych cesarzy. Wikingowie czekali cierpliwie już piąty dzień, aż Rada Starszych wpuści ich do miasta lub zadecyduje, aby odeszli. Rozmawiali codziennie, długo, ciągle to z innymi jej przedstawicielami, tłumacząc i odpowiadając na wszystkie pytania, jakie tamci zadawali. Starszyzna pytała o rozmaite rzeczy, patrząc przybyszom głęboko w oczy i choć żądali wyczerpujących odpowiedzi, męczących prób i wielu deklaracji, nigdy nie zapytali o to, skąd wikingowie przybyli i dlaczego opuścili swój kraj. Wreszcie któregoś dnia, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, brama się otworzyła i siwy, rosły starzec wyszedł naprzeciw nim. Ogłosił, że Rada zdecydowała się przyjąć ich na próbę, a jeśli pokochają miasto jak swoje i uszanują zwyczaje oraz prawa, będą mogli zostać na zawsze.

Zza bramy rozciągał się widok niezwykły. Niebywała liczba domów, ludzi, dróg, gdzie krzątały się dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci. Dasgear nigdy czegoś tak okazałego nie widział. Ani w Jelling, ani w Roskilde, ani nigdzie na świecie, gdy pływał z druhami. Podobno w kraju starych cesarzy, na Czarnym Łądzie czy u Saracenów były kiedyś takie miasta, ale on tam nie dotarł.

- Devirk! - wykrzyknął z radością, rzucając się w objęcia młodszego brata. Ucałował go mocno i długo tulił do siebie. - Zaczniemy nowe życie! Zbudujemy tu swój dom, może pokochamy tutejsze kobiety, a one dadzą nam szczęście i dzieci! Powracasz przecież do zdrowia, ja na pewno przydam się miastu w niejednej robocie. Devirk! Kocham cię, bracie!

Szczęście Desgeara wydawało się nie mieć granic.

Jednak młody wiking, choć jego serce też wypełniła radość, patrzył na północ, gdzie już zapadała ciemność, ale wiatr wciąż przynosił dalekie odgłosy znad fiordów.

CZEŚĆ DRUGA

KAPŁAN I HAIKU

*Stanę na chwilę
wtulona za wodospadem
początek lata*

*Już nikt nie idzie
tą naszą drogą pustą
wszedł zmierzch jesienny*

*Bashó - ze zbioru haiku Sano tayori
oraz Oku-no hosomichi*

ROZDZIAŁ 1

Nowy Jork

- Jakieś trzy lata temu obudziłam się nagle na polu zboża. To było na południu. Dwa tysiące mil stąd. Ściemniało się. Koniec lata. Coś rozsadzało mi głowę od wewnątrz, a plecy paliły dotkliwym bólem, jakby słońce na długie godziny wdarło się pod moją bluzkę. Miałam zakrwawioną twarz. Stali nade mną dwaj mężczyźni. Byli ubrani w brudne, nędzne łachy, jak farmerzy. Patrzyli chciwie. Nie czułam strachu, lecz pustkę. Jakby wszystko ze mnie wyjęto i porzucono na tym polu. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Nigdy wcześniej tam nie byłam, nikogo tam nie znałam, nic nie pamiętałam...

- A teraz... Teraz nie przypominasz sobie, co działo się wcześniej? Nic?

- Wręcz przeciwnie, ale nie tak jak wszyscy. Nie wiem, jak się naprawdę nazywam, skąd pochodzę, kim byli moi rodzice, jak się tam znalazłam, ale moje ciało pamięta tak wiele, że chyba nie jesteś w stanie tego pojąć. To tak jakbyś nagle dostał na własność tysiące innych istnień, ich wiedzę, tajemnice, doświadczenia, jakbyś nagle zaczął umieć to wszystko, co umieli ci, których życie posiadałeś. Nie zrozumiesz...

- Wyglądasz na Japonkę albo kogoś z Dalekiego Wschodu...

- Żaden Amerykanin nie jest w stanie odróżnić Japonki od Chinki czy Koreanki po samej tylko twarzy. Dla was wszyscy żółci są tacy sami.

- Czy to cię obraża?

- Nie. Z założenia każdy ignorant jest obrazą dla samego siebie.

- Czy ci mężczyźni... skrzywdzili cię?

- Usiłowali skorzystać z okazji. Samotna nastolatka, bezradna na polu zboża. Nikogo w pobliżu, znikąd pomocy.

- Jesteś piękna.

- Piękna... Nie sądzę, że daliby mi po tym wszystkim żyć. Chcieli zrobić to i pozbyć się świadka. Tak to wyczułam.

- Zabiłaś ich?

- Ciało samo podpowiedziało mi, co robić, nie zastanawiałam się. Pamiętam, że zdziwiło mnie, jak bardzo ruchy rąk, nóg, całego ciała - były łatwe. Trwało to trzy, może cztery sekundy. Jeden z nich miał nóż, to pomogło. Byli kompletnie zaskoczeni i bezradni. Stałam nad martwymi ciałami, wyprostowałam się, rozejrzałam dookoła. I to była pierwsza rzecz, którą umysł pozwolił mi zapamiętać w moim teraźniejszym życiu.

- Z wyjątkiem śmierci tych farmerów...

- Ich śmierć była nieważna. Nic nie znaczyła. Nie wzbudziła przecież strachu, przerażenia czy współczucia. Nie rozpoczęła niczego nowego. Była tylko koniecznością. Ważne było zboże. Wiatr układał się na nim, jakby chciał coś przekazać, zabawić się albo po prostu zmusić, bym patrzyła. To było naprawdę piękne. Więc zaczęłam iść. Od tamtego czasu minęły trzy lata.

- Często mówisz o przeszłości... Powiedz mi, co będzie jutro?

- Oglądałam wczoraj pewien film. Właściwie niewielki fragment. Stałam na deszczu, a za szklaną taflą, na wystawie sklepu grały telewizory. Na ulicy słychać było dźwięk wzmacniany przez głośniki. Film opowiadał o człowieku, który próbował naprawić przeszłość. Robił to... cofając się dzięki swojej pamięci.

- Nie rozumiem.

- Miał dar. Potrafił zmieniać przeszłość, cofając się do odległych czasów. Kiedy był dzieckiem, często w jego pamięci pojawiały się luki. Nie pamiętał, co się z nim wtedy działo, nie umiał wytłumaczyć, co robił, o czym myślał. Właśnie te krótkie chwile okazały się miejscami, do których mógł wrócić, aby zmieniać to, co złe. Ale za każdym razem, gdy próbował coś ulepszyć, to obracało się przeciw niemu. Naprawiał jedną rzecz, lecz płacił za to jeszcze większymi nieszczęściami. Było coraz gorzej i gorzej. Im więcej pamiętał, tym jego życie stawało się coraz bardziej przerażające.

- Jak to się skończyło?

- Nie wiem. Musiałam iść dalej. Widziałam tylko fragment. Była tam taka scena; bohater siedzi w więzieniu i rozmawia z kolegą z celi. Ten kolega opowiada, co robi, kiedy przychodzą źli ludzie i nie ma dokąd uciec. „Wchodzę głęboko w swoją głowę i szukam miejsca, aby tam się ukryć”. Tak powiedział. Pieprzenie. Nie da się wejść do własnej głowy. Nie da się znaleźć we własnym umyśle czegokolwiek, czego nie znasz. Ostatnim miejscem, gdzie mógłbyś się dostać, jest twój umysł. I to jest prawda. Reszta to bajki. Co musisz zapamiętać - zapomnisz, ale co masz pamiętać, z umysłu nigdy nie zniknie. Zresztą... tak niewiele jest ważnych chwil.

- Przecież masz nie więcej niż 20, może 21 lat. Jest chyba jeszcze trochę czasu, aby zmienić zdanie.

- Czas zawsze jest zdrażliwy.

- Czy umrę dzisiaj?

- Nie. Dzisiaj nie.

- Znów przyjdiesz?

- Tak. Przyjdę, by cię zabić, ale dzisiaj będziesz żył.

- Może zrobię to, czego chcą ci, od których dostajesz zapłatę?

- Nie zrobisz. Odwiedzam cię trzeci raz. Cały czas masz nadzieję, że potrafisz przede mną uciec. Zmieniasz miejsca, domy, zatrudniasz coraz więcej ochroniarzy, skazując ich przez to na śmierć. Masz nadzieję, że w końcu się pomylę lub dorwiesz tych, którzy proszą cię o przysługę. Nie zmienisz się. Nie potrafisz się ugiąć. Rozumiem to i szanuję. Lubię z tobą rozmawiać. Wiem, że czekasz na Craiga i jego ludzi, ale on również ci nie pomoże. Nie żyje od pięciu godzin. A teraz wiadomość od Luc'a. Przekazuję ci ją, choć według mnie niczego to nie zmieni: Ostatnie ostrzeżenie. Daj to, o co on prosi, albo następnych ostrzeżeń już nie będzie. Taniej wyjdzie zgładzenie ciebie i zdobycie kodu inną drogą niż taka strata czasu.

- Inną drogą... Czy kiedyś zastanawiałaś się, o co tu naprawdę chodzi? Czym jest ten kod? Co się stanie, jak ci powiem, gdzie jest ukryty?

- To mnie nie interesuje. Nie próbuj mnie do niczego przekonać. Wykonuję swoją pracę. Jesteś miłym człowiekiem, Damien, ale ja... widzisz... jestem, jaka jestem. Kiedy przyjdzie czas, wbiję w twoje ciało długie ostrze i nie mrugnie mi przy tym nawet powieka.

- Jak możesz tak mówić?!

- *Ishikara-ni, semi ochiikeń, ima-no ame...*⁴⁷

- Nie znam japońskiego.

- „Ucichły nagle cykady wśród kamieni, deszcz spadł w tej chwili”.

- Niewiele mi to mówi. Nie rozumiem także, jak możesz tak po prostu zgładzić kogoś, patrząc mu w oczy, znając jego myśli, może słabości, zdając sobie sprawę, jak wiele dni przeżył, jak były ważne? Każdy człowiek to przecież jakiś tam osobny świat, który powstał z tego, co umysł zdołał przyjąć, zdefiniować, nazwać, przetworzyć. Dla niego jedyny, dla innych praktycznie niedostępny i przecież niepowtarzalny. Ty, ja, każdy z ludzi na ulicy widzimy z

⁴⁷ *Shōha* - haiku ze zbioru *Shundeikushu* (1777).

poзору te same rzeczy, jednak prawdopodobnie inaczej. Skąd wiesz, że kolor, który ty i ja określamy jako czerwony, widzimy tak samo? Może każde z nas dostrzega go inaczej? I nagle, tak bez mrugnięcia okiem, obracasz jakąś część tego wszystkiego wniwecz...

- Nieco górnolotnie, ale trafiłeś w sedno. Wszyscy jesteśmy samotni. Możemy oszukiwać się, udając, że istnieje duch, rozumne przeznaczenie, miłość zdolna przekraczać bariery, by dwoje ludzi mogło stać się jednym. Możemy nawet oszukiwać się, że aramejski cieśla sprzed dwóch tysięcy lat był bogiem i wierzyć w te wszystkie bzdury, ale to tylko strach.

- Co za efronteria i cynizm!

- Co za przywiązanie...

- Słucham?!

- Przywiązanie to według wielu hinduskich filozofów podstawowy grzech. Trzeba kochać, uczyć się, doceniać, ale nigdy nie wolno doprowadzać do przywiązania. Poczytaj dzieła joginów królewskich - *Radża*. Jeśli zdążysz. Bywaj, Damien.

Warszawa Trzy dni później

Podkomisarz Henryk Kuraś lekko zachwiał się na nogach, ale zachował dostojaństwo, na której szczególnie w tej chwili mu zależało. Wolno odwrócił się na pięcie, przeszedł kilka kroków do najbliższego okna, a następnie puścił pawia.

Starszy aspirant Witold Bliski, korpulentny pięćdziesięciolatek dostrzegł to, ale szybko odwrócił wzrok i skupił się na oględzinach. Z zadowoleniem skonstatował, iż reszta chłopców również udawała, że niczego nie widzi. Bliski był doświadczonym, twardym gliną i widział już niejedno, ale reakcje żółtodziobów na świeże trupy niemal zawsze były takie same. Tyle tylko, że Henio Kuraś pracował już prawie rok i nawet w swoim gówniarskim wieku powinien już nieco okrzepnąć. Jako szef sekcji, starszy aspirant Witold Bliski wychował już przynajmniej trzy pokolenia uczniaków, i to z doskonałym skutkiem. Koledzy, przynajmniej ci, którym na to pozwalał, nazywali go Gloters, cholera wie, dlaczego; nawet on sam nie pamiętał już, skąd ta ksywa się wzięła. Miał ostrą, ale sprawiedliwą rękę, był tolerancyjny i hojny, jednak potrafił - gdy tego wymagała sytuacja - wspaniałomyślnie zamienić w budzącą strach konsekwencję, której obawiano się nawet daleko poza granicami jego wpływów.

Jak pan Bóg przykazał, Gloters miał przykłądną rodzinę w postaci dobrze odżywionej i na ogół zadowolonej żony oraz trójki dzieci; dwóch synów, podobnie jak rodzice, odznaczało się

wyraźną nadwagą, ale córka, jak na złość, była chudsza niż przeciętna tyczka od chmielu. Najstarszy syn kończył już technikum, młodszy był w piątej klasie podstawówki, za to chuda córuchna skończyła ledwie dziesięć lat, mało mówiła, była nieśmiała i w ogóle stanowiła niepokojące przeciwieństwo małżeństwa Bliskich. Przez pewien czas z różnych względów martwiło to Glotersa, ale w końcu machnął ręką. Jest, jak jest, przecież nie wszystko musi być idealne. W szkole belfrzy ciągle truli, że mała Kasieńka jest ponadprzeciętnie zdolna i przerasta rówieśników, ale i to niezbyt niepokoiło Bliskiego. Nawet jeśli wyrośnie na dziwaczkę i będzie miała trudności w znalezieniu męża, on przecież jest, kim jest, i załatwi sprawy jak trzeba. Gloters był geniuszem od załatwiania spraw, szczególnie tych, które zapewniały jego rodzinie i przyjaciółom dalekosiężne bezpieczeństwo. Do dyrektora technikum, w którym nauki pobierał najstarszy Adaś, musiał przyjść zaledwie dwa razy i choć pierwsza rozmowa - jak się później okazało - nie była wystarczająco skuteczna, druga całkowicie załatwiła sprawę. Adaś gładko przechodził z klasy do klasy, czyniąc to z siernieżnym wysiłkiem, ale godnie, jak tata nauczył. Nauczyciele najwidoczniej doceniali jego wytrwałość. Młodszy Jasio nie odziedziczył, co prawda, po ojcu słynnej już w rodzinie pracowitości, ale za to wyraźnie przejął spryt i rzadką umiejętność przystosowywania się do wybranych sytuacji, więc jego edukacja na razie nie wymagała interwencji. Rodzice z kolei roztropnie wymagali mocnych trójek i Jasio, jak na razie, te wymagania spełniał. Bywało, że państwo Bliscy musieli przyjść do szkoły, wzywani przez mniej doświadczonych nauczycieli, ale tylko dlatego, że jakieś nierozważne dziecko wypowiedziało pod adresem Jasia brzydkie słowo „grubas” i pani pielęgniarka miała z nieostrożnym impertynentem dużo pracy. Gloters jednak, wykorzystując swój rzadki talent do zjednywania sobie ludzi i przekonywania ich prostymi, mądrymi argumentami, rozwiązywał te małe kłopoty jak zwykle - sprawnie i szybko. Jasio rzadko był niepokojony przez kolegów, raczej w większości wypadków próbowali darzyć go przyjaźnią, a już na pewno nigdy (z wyjątkiem kompletnych osłów) nie wypowiadali przy nim brzydkich słów.

Życie rodzinne Bliskich toczyło się spokojnie, na tyle, na ile spokojna może być rodzina policjanta. Pani domu, Marysia, była żoną dobrą i rozsądną, oczywiście pracowitą i raczej niekonfliktową. Potrafiła zapewnić dzieciom ciepło, mężowi kuchnię na odpowiednim poziomie, spokój po pracy, odpoczynek, a czasem nawet relaks. Z tym relaksem ostatnio nie przesadzali, ale dni były szczególnie wymagające, a co za tym idzie - wyczerpujące. Gloters nigdy nie zamieniłby swojego życia na żadne inne.

- Heniu! - krzyknął w stronę Kurasia. - Skoczysz do samochodu po jeszcze kilka „cyferek”? Pamiętaj o stojaczkach! - dodał łagodnie.

Chciał w ten sposób dać szansę młodszemu koledze na doprowadzenie się do porządku. Henio szybko zniknął za rogiem, zbiegł po schodach i nie było go przez pewien czas.

Willa, w której ekipa dokonywała oględzin zwłok, wyglądała na dużą, nawet jak na Wilanów. Gloters dyskretnie strawił kilka chwil na niegroźne uczucie zazdrości, ale szybko wyrzucił je z umysłu jako niegodne funkcjonariusza. Sprawa sprawiała wrażenie trudnej - bo trupy były aż trzy - oraz nietypowej, ponieważ każdy z nich stracił nie tylko życie, ale i głowę. Nawet jak na doświadczenie Bliskiego widok był okropny, szczególnie że nie wyglądało to na żadną tajemniczą próbę utrudniania identyfikacji. Ciała leżały bezładnie w różnych miejscach salonu, podobnie jak i... głowy.

- Jestem! - zameldował odważnie Henio, który właśnie wrócił. Starał się na razie tylko ukradkiem spoglądać w stronę zwłok, ale po chwili z pewną ulgą odczuł, że organizm pozwolił mu opanować stres.

- Szok, nie? - mruknął Gloters.

- Kto mógł coś takiego zrobić? - jęknął Kuraś.

- No właśnie. - Bliski pokiwał głową z rutyniarską zadumą. - Co widzisz?

- Trzech mężczyzn pozbawionych głów, porzucaną broń, bałagan, głowy...

- No właśnie. Głowy. Jakby ktoś nimi grał w piłkę. Nie wiadomo nawet, która jest od którego ciała. Jedna w rogu salonu, druga pod fotelem, trzecia mało nie doleciała do kuchni.

- Jakiś sadysta. - Henio znowu musiał wziąć głęboki oddech.

- Nie wiem, czy sadysta, ale na pewno zawodowiec i to bardzo nietypowy.

- Dzięki za takich zawodowców.

- Nie rozumiesz, Młody. - Gloters uśmiechnął się dobrotliwie. - Ktokolwiek to zrobił, nie dręczył ofiar ani nie odwał tu żadnego rytuału. Zamiast strzelać, po prostu uciął głowy. Tak trochę, no wiesz... sięgnął do tradycji, kurwa, średniowiecznej.

- Nie mają kul w ciałach?

- Nie.

- Jak mogli tak dać obciąć sobie łby?!

- Ano, właśnie. Dlatego ci mówię, że to zawodowiec albo zawodowcy. - Bliski głośno westchnął. - Ktoś tu przyszedł, wyjął coś ostrego, jakby miecz, i nie zważając na ich broń, poobcinał im...

- O rany boskie...

- Wyobrażasz sobie, jak ktoś taki musiał być sprawny? Każdy z nich się bronił, jebany, biegał po tym salonie, a tamten i tak dorwał ich po kolei, oberznął głowy i nie dostał nawet jednej kuli. Popatrz, jaka dokładna robota. Po jednym cięciu.

Henio niechętnie przyjrzał się jednej z ofiar.

- No fakt - przyznał. - Środek szyi, jak skalpelem. Może było ich kilku?

- Jeden taki fachman czy kilku... Sam nie wiem, co bardziej dziwne.

Gloters wstał z klęczek i wyprostował ręce. Przeciągnął się, ziewnął i podszedł do okna.

- Trzeba poczekać na wyniki - zawyrokował. - Chłopcy skończą, zobaczymy. Zeniu! - Kiwnął do jednego ze śledczych. - Chcę dokładnego lekarza ostatniego kontaktu, może być Smoku.

- Smoku ma urlop. - Śledczy rozłożył ręce. - Ale jest jego młodszy brat, niedawno zaczął pracę, zdolny jest, ambitny, może warto go wypróbować?

- No, może warto - mruknął niespecjalnie przekonany Gloters. - Zapisz, Młody - polecił Kurasiowi - Doktor Smoczyński... jak on ma na imię?! - spytał śledczego.

- Ten młodszy?

- Tak, ten młodszy.

- Lech albo Leszek... czy jakiś Lechosław...

- Dobra. - Aspirant skinął na Henia. - Napisz: L. Smoczyński. Zadzwoń do Zochy, poproś, by go tu zleciła i niech wydzwoni też Charonów. Ale za dwie, trzy godziny.

- Dobra - przytaknął Kuraś, zadowolony, że wreszcie może zająć się czymś innym niż patrzeniem na tę jatkę.

Roman Wydrzycki miał w życiu szczęście. Jego natura pełna aktywnej witalności, chęci działania i optymizmu, choć nie znajdowała specjalnego uznania u rodziców, w biznesie, wśród wspólników i oczywiście w oczach żony, pchała interesy wciąż do przodu. Wywodząc się ze środowiska dość prostych, raczej ubogich - by nie powiedzieć: niezaradnych - robotników z fabryki samochodów na Żeraniu, sam zdołał własnymi rękami dojść do tego, czym teraz mógł bez żenady pochwalić się wszystkim, a dzięki czemu przede wszystkim nie musiał martwić się o przyszłość dzieci.

Mały Roman nigdy nie wiedział dokładnie, czym zajmuje się ojciec, człowiek skryty, nieśmiały i raczej chłodny w stosunku nawet do swoich dzieci. Kiedyś mama powiedziała, że jest

spawaczem w składalni czy czymś takim, a ona pracuje w lakierni. Ojciec był zdania, że sprawy rodziców to sprawy rodziców, a dzieci powinny się uczyć i najlepiej siedzieć cicho. Ostatnie lata ich ciężkiej pracy w zakładzie, który nigdy chyba nie wyprodukował żadnego dobrego, przyzwoitego samochodu, wypadły na czasy, kiedy teoretycznie miało wszystko się zmienić...

Ojciec Romana Wydrzyckiego pamięta jak dziś rok 1957, kiedy to jako niemal dzieciak był świadkiem rozpoczęcia produkcji Syreny 100, wielkiego osiągnięcia polskiej techniki, niezbyt może docenianego za granicą, ale w rodzinnym kraju bardzo oczekiwanego. Dziadek, pracujący na Żeraniu od 1948 roku, który wprowadził ojca Romana do zakładu i długo był jego przełożonym, powiedział kiedyś nawet, że Syrena jest znacznie lepszym samochodem, niż kiedykolwiek mógł być Fiat 1100 - efekt umowy polsko-włoskiej z końca lat czterdziestych. Nigdy oczywiście do produkcji tego Fiata nie doszło, bowiem czujny towarzysz Stalin ostrzegł ówczesne polskie władze przed produkcją zgniłokapitalistycznych samochodów i umowa, poprzedzona wielomiesięcznymi negocjacjami, wylądowała w koszu. Przyjaciele ze wschodu oczywiście szybko przyszlizli zakładowi z pomocą i tak zapadła decyzja o produkcji radzieckiej Pobjedy M-120, nawiasem mówiąc kopii Forda produkowanego wówczas w Detroit. Rodzina Wydrzyckich, identyfikująca się z zakładem od początku jego istnienia, nie była nigdy nawet w dziesięciu procentach tak dumna z teoretycznie polskiej Warszawy M20 czy 201, jak z Syreny. Późniejszy Fiat 125p to już nie było to, szczególnie że generował same kłopoty. Raz to się nazywało Fiat, raz FSO 125p, aż wreszcie Polonez, bo przecież zdaniem ojca Romana to było to samo, tylko z inną blacharką i trochę podrasowanym silnikiem. Kiedy miało się już wszystko zmienić na lepsze, przybyli Koreańczycy, by namieszać i... zbankrutować pięć lat później. Przejęcie FSO przez AvtoZAZ ojciec Romana obserwował już zza murów fabryki. Skądinąd ciekawe, że główny polski zakład samochodowy przejęła firma ukraińska, mogąca poszczycić się takimi osiągnięciami jak słynny Zaporoziec czy Tawria, a nie żaden z interesujących się nimi koncernów japońskich, ale co tam. Pieprzyć ich i te wszystkie lata! Emerytura, z której ledwo starcza na czynsz i rachunki? A niech i będzie Zaporoziec! Oby piorun rozpieprzył im to wszystko!

Tak czasem myślał sobie ojciec Romana, siedząc samotnie w kuchni i patrząc na plac zabaw dla dzieci za oknem lub gotując zupę. Mama nie doczekała emerytury. Zmarła na raka wątroby jeszcze w 1990, ale ożenić się ponownie ojciec już nie potrafił.

Roman Wydrzycki rzadko do niego dzwonił i trzeba przyznać - raczej niechętnie. Ojciec nigdy nie był człowiekiem kontaktowym, a od syna pieniędzy nie chciał. Nawet przez myśl mu nie przyszło radować się sukcesami potomka, nie było o czym pogadać, a kolejne inwestycje Romana zwykle wywoływały w ojcu rozdrażnienie.

Dziś młody Wydrzycki dorobił się własnego, eleganckiego centrum fitness, siłowni, sporego solarium, a przede wszystkim wykwińskiej restauracji, z której szczególnie był dumny. Dokonał tego wyłącznie dzięki własnej inicjatywie, pomysłowości, pracowitości, ale przede wszystkim dzięki oddanym przyjaciołom. Do nich należał między innymi starszy aspirant Witold Bliski, człowiek co prawda wymagający, lecz bardzo zasłużony. Właśnie on oraz jego młody przyjaciel z pracy czekali na Romana na zapleczu, przy wygodnym stoliku zastawionym jedzeniem. Młody zaczął przychodzić od niedawna i trzeba przyznać na pierwszy rzut oka, że nie był jeszcze godnym uczniem starszego kolegi. Miał w oczach coś niepewnego, niepokojącego, w ruchach był jakiś dziwny i w dodatku ciągle chodził zgarbiony, co dodatkowo robiło złe wrażenie. Wyglądali razem trochę jak Flip i Flap - Bliski, człowiek o zdrowym wyglądzie, bujnej czuprynie i spokojnym wejrzeniu, oraz młodzik - chudy jak szczapa z wiecznie nieuczesanymi, rzadkimi blond włosami.

Roman Wydrzycki miał dobrą pamięć, nie zapominał o przyjaciołach, więc specjalnie nie zmartwił się ich wizytą. Podszedł najszybciej, jak mógł, usiadł naprzeciwko i uśmiechnął się profesjonalnie.

- Coraz lepsza kuchnia - przyznał Gloters. - Miło, że tak nas gościsz, bo cholernie ciężki dzień zaliczyliśmy. Wracamy z chałupy, gdzie straszyć będzie jeszcze ze sto lat - wybuchnął śmiechem z własnego dowcipu.

- Czym chata bogata - odparł uprzejmie właściciel. - Może zejdziecie na dół, do sauny albo na solarium? To zdrowe i odprężające!

- Nie dzisiaj, drogi Romanie. Późno już. Załatwimy interesy i lecimy.

- Dziś mam tylko patyka, jutro wrzucę resztę.

- Jutro - rzekł Gloters na razie spokojnie, ale patrząc wyłącznie na jedzenie - to ja mojej córce obiecałem wycieczkę do wesołego miasteczka i na zakupy. Przecież wiedziałeś, że dziś przychodzimy.

Wydrzycki milczał chwilę, bacząc, co ma powiedzieć. Wreszcie po kilku mocniejszych oddechach postanowił wyznać prawdę.

- Kupiłem trochę sprzętu, nie chcę brać z twardego konta.

Gloters uniósł twarz znad talerza. Przyjrzał się uważnie Romanowi, jakby upewniał się, czy ma przed sobą właściwą osobę, i po chwili spokojnie odparł:

- Roman, nie obchodzi mnie, skąd bierzesz kasę ani na jakich kontach ją ukrywasz. Co miesiąc masz mieć gotowe półtora patola. Biorąc pod uwagę, że załatwiłem pozwolenia, z którymi zagrzebałeś się jak kretyn w szufladach tamtych jełopów na całe miesiące, nie mówiąc już o

zezwoleńiu na broń, to niewygórowana cena. - Uśmiechnął się dobrotliwie z właściwą sobie wrażliwością na ludzkie wątpliwości. - Podoba ci się ten ośrodek?

- Tak, oczywiście.

- Jesteś z niego dumny?

- Mhm.

- Jesteś broniony przed zbójami?

- Oczywiście.

- A więc nadal jesteście przyjaciółmi? - Tu Gloters zrezygnował z uśmiechu i wbił we właściciela swoje słynne groźne spojrzenie.

- Jesteśmy, jakżeby inaczej - jęknął Wydrzycki.

Twarz Glotersa znowu wypogodniała. Zrobiło mu się szkoda tego frajera, postanowił więc jakoś podtrzymać go na duchu.

- Z czego mam żyć, Romuś? - spytał łagodnie. - Z pensji psa?

To miało wnieść do rozmowy trochę swojskości i akcentu bardziej ludzkiego. Bliski chciał, aby Wydrzycki miał szansę spojrzeć na całość jak człowiek. Zbyt surowe traktowanie swoich klientów Gloters uważał za niemoralne.

- Oczywiście, rozumiem. - Właściciel skinął głową. - To skandal, jak nasze państwo podchodzi do spraw policji.

- Miejmy nadzieję, że wkrótce to się zmieni - orzekł odkrywco Henio Kuraś, milczący do tej pory jak grób. Ściągnął przez to na siebie dość krytyczne spojrzenie Glotersa, więc ponownie zamilkł.

Bliski wziął się z powrotem do jedzenia, a Kuraś zanurzył usta w coca-coli. Przedłużająca się cisza zaniepokoiła Romana.

- Może coś jeszcze wam podać? Smakuje? - spytał niepewnie.

- Spierdalaj i daj nam spokojnie zjeść - mruknął niespiesznie Gloters, nie odrywając wzroku od tłustych żeberek, pomazanych brązowym sosem.

- To... ja... pójdę pożyczyć trochę kasy - rzucił szybko właściciel i zniknął za drzwiami.

Henio westchnął.

- Ciężko coś dziś idzie... Gloters machnął niedbale ręką.

- Zawsze tak jest, jak się trochę nachapia. Taka ludzka natura. To nic, będzie dobrze.

- Masz więcej doświadczenia, więc pewnie wiesz. Może by mu trochę odpuścić? - zaproponował chłopak. - Później da.

Gloters uniósł brwi, ciekawie przyglądając się młodziakowi.

- Znam tego robola od czasów, kiedy jeszcze byłeś w szkółce. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek nie miał pieniędzy przy sobie. To taki... jak to się nazywa...? Kompleks, o właśnie, z przeszłości. Zawsze trzyma w kieszeni kilka patyków. Zaraz przyniesie, zobaczysz. Ale tak czy owak, może warto, żeby wpadł tu kiedyś... Zdzisław.

Kuraś spojrział na kolegę ze strachem.

- No coś ty? Przecież on tylko trochę tam... Sam mówiłeś, że wszystko jest okay. Po co od razu Zdzisław? Zresztą zapędził się ostatnio, Gloters...

- Jasne, jasne. - Aspirant roześmiał się wesoło. - Żartowałem, wyluzuj i zjedz spokojnie. Jeszcze dwa lokale dzisiaj. Koniec miesiąca zawsze przesrany jest.

*Południowo-Zachodnia Amazonia,
osada Suala, 60 kilometrów od Catunamy*

Strój Giordana Coluneo niezbyt pasował do tego miejsca. Zadymiona do granic możliwości mordownia, w półmroku spocone twarze tubylców i nielicznych przejezdnych nad niedopitymi butelkami, wszystko to musiało przygniatać swoją siermiężną, południowoamerykańską swojskością każdego obcego. Mimo wszędobylskiego brudu i upału Giordano wciąż uparcie chodził w swoim ciemnozielonym garniturze, coraz bardziej zniszczonym, wygniecionym, a ostatnio po prostu przeпоconym. Jako chyba jedyny w tym lokalu nie zamówił żadnej butelki gorzały, tylko poprosił o szklankę wody. Zdjął kapelusz, usiadł wygodniej na skrzypiącym krześle i czekał. Stolik pełen różnokolorowych plam, z pewnością niewycierany od dawna - śmierdział, a ów zapach był nieprzyjemną mieszanką gnijącego drewna i alkoholu. Coluneo zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie. Powietrze w spelunie jakby wirowało w jego oczach, a chrapliwy pomruk klientów, drażniący być może dla wielu, był dla niego niczym daleka ballada nieznanego kraju, nieznanych ludzi. Miał obojętną minę, spokojny, cierpliwy wzrok i pewność siebie wpisaną najwyraźniej w osobowość. Młody wiek - dwadzieścia pięć lat - był dla wielu mylący, bo choć rysy zdradzały, że to niemal dzieciak, jego sposób bycia mógł wskazywać na kogoś nie tylko znacznie starszego, ale także dziwnie nieprzeniknionego.

Johny Woodman, biznesmen, który na tych ziemiach przeżył niejedno i ludzi znał jak mało kto, obawiał się tego człowieka. Nie chodziło o zwykły ludzki strach przed niebezpieczeństwem, który rzadko kiedy doskwierał Johny'emu. Z Coluneo emanowało coś, co u prawie dwa razy starszego obywatela wzbudzało niepokój przed... nieznanym. Przed czymś, co było na tyle inne i dalekie, że nie dało się zamknąć w żadne znane mu ramy. Woodman nie potrafił dotrzeć do tego dzieciaka, zmusić do zdradzenia czegoś bardziej ludzkiego i zwyczajnego niż tylko oszczędność w słowach i chłód. Johny, choć był białym Amerykaninem, działał tu od lat i cieszył się jako takim szacunkiem, więc bez obawy wszedł do speluny, gdzie czekał jego włoski znajomy. Gdy usiadł naprzeciwko, zdjął skórzany kapelusz i położył go na drewnianym, brudnym stole. Giordano niemal nie zareagował. Oczywiście nie było szans, aby Coluneo choć nieznacznym gestem zdradził rozdrażnienie krzykliwym i absurdalnym strojem Amerykanina. Spojrzał tylko na jego czerwoną koszulę, skórzaną, brązową kurtkę, a mając w pamięci sraczkowate spodnie chyba z aligatora, którymi przybyły mignął mu przed oczami, kiedy siadał, biedny Włoch musiał zużyć sporo siły woli, aby powstrzymać mdłości.

- Nie za ciepło ci w taką pogodę? - buchnął wesoło na powitanie Johny.

- I kto to mówi? - cicho mruknął Giordano. - Masz ochotę na któryś ze smakowitych specjałów tutejszej kuchni? - Wskazał na bar.

- O, ho, ho! - ucieszył się Amerykanin. - Poczucie humoru! Chyba pierwszy raz słyszę u mojego europejskiego kolegi!

- Czy możemy mówić ciszej? - poprosił uprzejmie jak zwykle Coluneo. - Zamów sobie coś, ja stawiam.

- Tu nie ma whisky, a ta tutejsza *sekute* nie wchodzi mi do gardła.

- W takim razie co masz dla mnie? - spytał prosto z mostu Włoch.

Johny sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął zabrudzoną kartkę. Rozłożył ją na stole i popukał palcem w słupki wypisanych tam nazwisk.

- Ciężko było to zdobyć. To na razie wszyscy księża i biali zamieszkujący tę część Amazonii w wioskach Indian. Razem z listami, które dałem ci poprzednio, będzie komplet.

Chyba nie zrobiło to specjalnego wrażenia na Giordanie. Uniósł spokojnie wzrok i utkwiał go w twarzy Amerykanina.

- No co?! - obruszył się zmieszany Woodman.

Coluneo wciąż mu się przyglądał.

- Nie da się dotrzeć do osad Indian Kaneczua! - wybuchnął wreszcie. - Ile razy już ci mówiłem? To pewna śmierć. Nawet rząd i przemytnicy to olali!

- Jak uczy nas historia - odparł chłodno Giordano - nie ma miejsc, do których nie da się dotrzeć. A ponieważ płacę ci więcej niż twoi przemytnicy, a także handlarze narkotyków, byłbym za tym, abys wykonywał swoją pracę z większym zaangażowaniem.

Johny rozejrzał się z niepokojem.

- Czyś ty zwariował?! - warknął przed zęby, stłumionym głosem. - Ja nie zajmuję się narkotykami! Co ci wpadło do głowy mówić o tym w takim miejscu?! - Poprawił się na krześle. - Przemysł to co innego. Zwykły biznes. Ja nie pytam, co ty robisz ani dlaczego szukasz tego człowieka.

- Powtarzam jeszcze raz. Chcę wiedzieć, czy w ciągu ostatnich trzech lat ktoś dotarł do Kaneczua. Nikt cię nie zmusza, abys tam szedł. Po prostu powiedz, czy w którejkolwiek wiosce jest jakiś biały. I nie mów, że to niemożliwe, bo obrażasz moją inteligencję, czym wzbudzasz mój gniew.

Johny przełknął głośno ślinę. Coś mu mówiło, aby nie spierać się z tym dzieciakiem.

- Nie obiecuję. Ale to będzie jeszcze więcej kosztować i oczywiście potrwa - wycodził niezbyt uprzejmym tonem.

- Mija już prawie rok - zauważył Giordano.

- Nic na to nie poradzę. To Ameryka Południowa, a nie Mediolan. Tutaj za niewygodne pytanie dostaje się maczetą w głowę, a gdybyś przypadkowo zszedł z głównej ulicy, ktoś szybko zamieniłby ci ten modny garniturek w pętlę na szyję.

Coluneo nie zareagował na ostateczne słowa Woodmana.

- Kiedy możesz być gotowy?

- Prześlę wiadomość.

- Nie chcę cię szukać.

- Nie będziesz musiał. Odezwę się najdalej za trzy tygodnie.

Włoch wstał bez słowa i wyszedł ze speluny. Johny nie zdążył nawet zareagować ani posłać za nim którejs z swoich słynnych, ciętych, pożegnalnych ripost. Machnął tylko ręką i odwrócił się w stronę baru. Skinął na barmana, który po chwili rzucił mu puszkę piwa. Jedyne do czegoś przywiezionego tu w metalowym opakowaniu mógł mieć zaufanie.

Coluneo wyszedł na skapaną słońcem ulicę. Rozejrzał się dyskretnie i ruszył prosto w stronę rudery, która robiła tu za hotel. Starał się nie zwracać uwagi na mijających go ludzi, nie

patrzeć im w oczy ani nie oglądać się za nikim. Ten, kto zajmował się własnymi sprawami i nie wtrącał się w cudze, mógł czuć się w Suali w miarę bezpiecznie. Tego już się nauczył. Mimo że wiatr był bardzo lekki, czerwonawy kurz unosił się w powietrzu i drażnił gardło, dlatego Giordano odetchnął z ulgą, gdy pchnął skrzypiące drzwi hotelu Rozalinda. Nie zatrzymał wzroku na ciekawskim recepcjoniście, wspinał się szybko po schodach, ale przed własnym pokojem zatrzymał się na dłuższą chwilę. Zamknął oczy na kilka sekund, by się skupić, zanim otworzył drzwi. Wiedział, że ktoś jest w jego pokoju, ale wiedział również, że nawet handlarze z karteli nie użyliby w hotelu w biały dzień broni palnej, gdyby można było załatwić sprawę w inny sposób. Jeśli ktoś chciałby go skrzywdzić, musiałby raczej użyć czegoś, co nie robiłoby aż takiego hałasu. Począł do momentu, gdy drzwi się całkowicie otworzą. W głębi pokoju, na krześle siedział potężny drab o indiańskich rysach, ubrany tylko w ciemnożółte spodnie. Odkryty, tłusty tors intruza wzbudził obrzydzenie w młodym Włochu. Indianin od początku nie krył swojej obecności. Opierał się o podłogę olbrzymią maczetą i patrzył z ironicznym uśmiechem w stronę Giordana. Coluneo szybko zrozumiał swój błąd. Dopiero teraz wyczuł, że kilka metrów za nim, za rogiem ściany był jeszcze jeden nieproszony gość, który teraz znalazł się między nim a schodami, uniemożliwiając ucieczkę. Nie zmieniło to jednak wyrazu twarzy Włocha. Rozluźnił ręce i czekał.

- Wejdz, nie daj się prosić! - burknął nieprzyjemnym basem Indianin. Mówił niedbałym portugalskim z silnym chłopskim akcentem.

Coluneo wszedł spokojnie, ale ostrożnie do środka. Okazało się, że na jego łóżku siedzi jeszcze jeden gość. Facet z tyłu wkroczył za Giordanem i zamknął drzwi. Wszyscy trzej byli potężnie zbudowani, mieli czerstwe, spalone słońcem twarze, ale ku uldze Włocha dwóch pozostałych nosiło koszule.

- Co tu robisz? - spytał spokojnie Indianin, obracając w dłoni maczetę wspartą o podłogę.

- Chwilowo mieszkam - odparł uprzejmie, ale chłodno Coluneo.

- Nie pyskuj, tylko odpowiadaj! - mruknął już groźniej intruz. Pozostali milczeli, czekając na znak od Indianina.

- Nie szukam kłopotów.

- To czego szukasz?

- Przyjaciela. Nie sądzę, aby panowie go znali.

- A ja sądzę, że wciskasz nos w nie swoje interesy. Denerwujesz ludzi.

- Nie miałem takiego zamiaru - głos Włocha był wciąż spokojny, nawet obojętny, co w pewnym sensie wyprowadzało z równowagi Indianina. Żadnego strachu, emocji czy choćby niepokoju.

- Kto cię przysłał?

- Jakie profesjonalne pytanie. - Giordano nagle nieznacznie się uśmiechnął. - Macie telewizję? Widziałeś to w jakimś filmie?

Indianin najwyraźniej szybko wpadał w gniew. Zerwał się z krzesła i wymierzył maczetę we Włocha.

- Jesteś idiotą czy tylko strugaszk krety?! Nie wiesz, co się tu dzieje?! Zaraz odpłyniesz do bogów! A twój łeb wrzucę do kibla. Przedtem jednak dobrze się zabawimy, a ty nam opowiesz, kto wcisnął cię w ten garniturek i wysłał tu, byś wścibiał nos w cudze sprawy.

- Widzę, że ciężko panów przekonać - ton głosu Coluneo wciąż się nie zmieniał. - Ale obawiam się jednak, że zaszła istotna pomyłka. Nie jestem policjantem ani żadnym agentem tropiącym waszych zleceniodawców, kimkolwiek są. Szukam po prostu przyjaciela. Niczego nie uzyskacie.

- Niczego nie uzyskamy - powtórzył jak echo Indianin, uśmiechając się cynicznie do kolegów. - Tylko jakie masz szanse wyjścia stąd żywym?

- Powyżej przeciętnej - odparł rzeczowo Giordano.

- O! - Potężny drab obleśnie wydał wargi. - A niby jak chcesz tego dokonać? - Roześmiał się na całe gardło.

Coluneo zmrużył oczy.

- Kiedy już uznasz, że ta rozmowa nie ma sensu, zaatakujesz mnie. Wtedy odbiorę ci maczetę. Następnie zasłonię się tobą przed atakiem faceta, który stoi za mną i złamię ci kręgosłup na wysokości karku. Umrzesz w ciągu kilku sekund. Facetowi za mną zadam cios w szyję, przecinając tętnicę. Ten, który teraz siedzi na łóżku, spróbuje ucieczki, ale nie będę mógł mu już wtedy na to pozwolić. Ostatnia szansa, aby opuścić ten pokój bez niepotrzebnych kłopotów.

W czasie kiedy to mówił monotonnym, niemal obojętnym tonem, nie wykonał żadnego ruchu, który mógłby świadczyć o zdenerwowaniu. Indianin po raz pierwszy poczuł lekki niepokój.

- To też z jakiegoś filmu? - spytał, kiepsko udając pewność siebie.

- No, skoro już zdecydowaliśmy się na taki typ konwersacji...

- Ktoś w filmie powiedział coś tak głupiego jak ty teraz?

- Niedokładnie, ale mniej więcej taki miał styl. Później zrobił karierę polityczną.

Indianin nadal trzymał maczetę wyciągniętą w stronę Włocha, ale widać, że przez chwilę się zawahał i zerknął w stronę towarzysza siedzącego na łóżku. Na to czekał Giordano. Błyskawicznie doskoczył do niego. Chwycił jego nadgarstek, zręcznym ruchem wytrącił mu broń, a kiedy znalazł się już za nim, zaskakująco silnie złapał oburącz głowę przeciwnika i silnie wykręcił ją w prawo, łamiąc kręgosłup. Zanim Indianin upadł na ziemię, Coluneo zdążył chwycić parang i ciąć szyję zaskoczonego kolegi Indianina oraz kończąc, płynnym ruchem umieścił maczetę głęboko w brzuchu trzeciego napastnika, który właśnie zerwał się z łóżka. Ranny w szyję próbował w szoku zatamować rękami krew, ale po chwili również zwałił się na podłogę. Mężczyzna, któremu maczeta przebiła wątrobę, wybałuszył w przerażeniu oczy, patrzył tępo przez kilka sekund na Giordana, wreszcie upadł na kolana, a następnie skonał, osuwając się na bok. Coluneo stał jeszcze przez chwilę, nasłuchując, czy ktoś jest na korytarzu, zerknął na napastników, czy na pewno nie są już groźni, a następnie zaczął się szybko pakować.

ROZDZIAŁ 2

Warszawa

Henryk Kuraś wszedł do swojego mieszkania i ciężko usiadł na kanapie. To był trudny dzień i należał mu się odpoczynek. Wyjął pieniądze, które dał mu Gloters, jeszcze raz przeliczył, a następnie włożył do czerwonego pudełeczka z pierwszej szuflady szafki stojącej między kanapą a fotelem. Tam trzymał forszę zarobioną na mieście, reszta lądowała na koncie, jak zwykle. Gruby dawał mu zaledwie jedną czwartą utargu z miesiąca, ale i tak był zadowolony. Ile niby pracował? Rok? W interesach był zaledwie pięć miesięcy. Sam niczego nie potrafił, wszystkiego musiał się nauczyć od Bliskiego.

Włączył telewizor. Nie lubił ciszy w tym mieszkaniu. Pamiętał, że odkąd je wynajmował, chyba nikogo oprócz niego tu nie było. Żadnego kolegi z pracy, żadnej dziewczyny, po prostu nikogo. Kobiety niezbyt do niego lgnęły, choć - jak uważał - nie był wcale brzydki. Może miał trochę za blisko osadzone oczy, za wąską twarz, ale wzrok miał bystry, przenikliwy i potrafił zajrzeć do duszy dziewczyny. Oczywiście, że nie każdej, ale kto by to potrafił?

Henryk Kuraś kochał wiele razy w życiu, choć musiał przyznać, że jego, szczerze, dziewczyna tak naprawdę kochała raz. Niejaka Marzena Kukła, drużynowa z ósmego szczepu Hufca Śródmieście, była wzorową harcerką. Jej rumiane policzki, wielkie oczy, prześliczny uśmiech i silna osobowość zrobiły na nim piorunujące wrażenie już pierwszego dnia kolonii i jego wielkie uczucie miało się nie zmienić do końca ich burzliwej znajomości. Nigdy się nie dowiedział, dlaczego upatrzyła sobie akurat jego, nieśmiałego chudzinę z drugiej drużyny zuchów, ale też i nigdy nie pytał. Miał przecież dziesięć lat, a ona prawie szesnaście, więc widocznie wiedziała, co robi. Niezależnie od wszystkiego, była pierwszą osobą na świecie, która go tak naprawdę doceniła. Nie był w jej drużynie ani nawet w podobozie, a jednak zwróciła na niego uwagę i umiała znaleźć w nim wiele wspaniałych cech, o których sam do tej pory nie miał pojęcia. Matka - odkąd pamiętał - zawsze uznawała go za idiotę, o czym co pewien czas powiadamiała zarówno jego, jak i ciotkę, jedyną osobę zdolną do wysłuchiwania nieustannych narzekań siostry. Pamiętał matkę jako wiecznie niezadowoloną, bardzo wysoką, szczupłą kobietę, która nigdy się nie uśmiechała, łatwo wpadała w złość i często go karciała. Chyba właśnie po tej kolonii zuchowej jakoś tak się wszystko ułożyło, że zaczął mieszkać z ciotką i tak już zostało. Matkę widywał rzadko i jeszcze rzadziej z nią rozmawiał. Mieszkała stosunkowo niedaleko, ale z

tego, co pamiętał, była bardzo zajęta osobą, a przy tym praktyczną, więc zrozumiałe, że czasu nie mogła mieć zbyt wiele. Ojca nie znał, ale jego twarzy nie pamiętała nawet matka, więc nic dziwnego. To przeszkadzało mu najbardziej. Wszyscy w klasie mieli ojców, a akurat on jedyny nie. Pani wychowawczynie zadbała odpowiednio o to, by nikt mu nie dokuczał z tego powodu, ale - jak już wspomnieliśmy - Henio od dzieciństwa umiał zaglądać do ludzkich dusz i wyczuwać różne uczucia, szczególnie drwinę.

Ciotka była odwrotnością matki. Egzaltowana i przewrażliwiona na punkcie ludzkiego cierpienia, dzieci głodujących w Afryce oraz chorych i biednych, uznała swoje życie za misję i w tym się spełniała. Jako pracownik urzędu podatkowego, była tam ze swoją osobowością i poglądami dość egzotycznym wyjątkiem, ale koledzy i koleżanki wspomniałomyślnie biednej kobiecie to wybaczały, współczując po cichu jej bliskim. Sama nie mając własnych dzieci, całym potencjałem swoich uczuć, wiary w misję i wzorową rodzinę przygniotła jedenastoletniego zaledwie Henia i tak już zostało, do momentu kiedy udało mu się z niemałym zresztą trudem wyprowadzić i zamieszkać samodzielnie. Wujek, ponieważ większość życia spędzał czytając gazetę lub oglądając telewizję, nie przeszkadzał żonie w jej szlachetnych działaniach. O tyle to było dziwne, że przecież będąc portierem, mógł chyba w pracy naczytać się do woli, ale widać miał wobec siebie wysokie wymagania.

Zanim jednak Henio trafił do domu ciotki, w arkana życia wprowadzała go drużynowa Marzena Kukła.

Obóz harcerski oraz kolonia zuchowa sąsiadowały ze sobą nad Jeziorem Charzykowskim; miały jednego komendanta oraz kuchnię. Zajęcia często przebiegały wspólnie, a nierzadko indywidualnie, dokładniej zaś w parach. Starsi harcerze uczyli małe zuchy wielu praktycznych rzeczy, wychodzili z nimi do lasu, pomagali zdobywać sprawności. Te właśnie zajęcia mały Henio lubił najbardziej. Drużynowa Marzena z miejsca polubiła chłopca, chętnie uczyła go wielu rzeczy, łącznie ze sprawami bardziej skomplikowanymi, dotyczącymi dorosłego życia i poważniejszych uczuć. Zdobył z nią sprawność leśnika, miłośnika zwierząt oraz pustelnika, ale już wtedy wiedział, że to, co najważniejsze, nie było objęte kodeksem harcerskim.

Henio ponad wszystko lubił zajęcia z drużynową Marzeną; do tego stopnia, że ciężko mu było wieczorem zasnąć, wiedząc, że następnego dnia będą mieli zajęcia indywidualne. Któregoś dnia nie mógł już wytrzymać i przyszedł do jej namiotu trochę za wcześnie - zastał ją, jak się przebierała. Nikogo oprócz nich nie było w pobliżu, ale drużynowa zamiast go zbesztać, uśmiechnęła się szeroko i puściła oczko. Zdobyła go tym ostatecznie, tak że postanowił być jej wierny do końca życia. Miała wówczas na sobie piękną, szarą spódniczkę harcerską, ale nie

zdażyła jeszcze włożyć niczego na górę. Henio Kuraś pierwszy raz w swoim życiu zobaczył wówczas kobiece piersi. Tego samego dnia - walcząc uprzednio ze sobą przez większą jego część - gdy wreszcie byli sami w lesie, zdobył się na największą odwagę, na jaką go było stać, i poprosił, aby pokazała mu swoje piersi jeszcze raz. Drużynowa, wzruszona tą odwagą, schyliła się, pocałowała zucha leciutko w usta, a następnie rozebrała się, tak że została tylko w samych trampkach, a następnie obróciła się dookoła, aby Henio mógł sobie dokładnie ją obejrzeć. Potem do końca obozu robiła to jeszcze wielokrotnie, pozwalając się nawet dotykać, gdzie tylko chciał, ale ten pierwszy raz był najważniejszy. Nigdy o tym nie zapomniał. Ku jego rozpaczy, po powrocie do domu ich drogi się rozeszły, jednak Henio nigdy już nie był tym samym dziesięcio-, a właściwie jedenastolatkiem, bo w czasie obozu wypadły jego urodziny, które z Marzeną uczcili tak, że mógł zrobić z nią, co tylko chciał. Oczywiście, skorzystał z prezentu, znacząco wzbogacając swą wiedzę, jak tylko najlepiej potrafił.

Nigdy nie poznał równie wspaniałej dziewczyny, jak drużynowa Marzena Kukła z Hufca Śródmieście i zawsze za nią tęsknił.

Zamek Chatillon, południowa Francja

Mistrz Luigi Balea wstał zza biurka i przeszedł się, zwyczajem swojego poprzednika, ojca Aureila, po komnacie. Będąc jeszcze jego uczniem, wielokrotnie go obserwował, ucząc się chciwie najpraktyczniejszych zachowań, jak najdostojniejszej postawy, wreszcie sztuki myślenia, która w rezultacie wyniosła go tak wysoko. Odkąd cztery lata temu Wielka Rada wybrała Luigiego Mistrzem, wiele razy musiał stawiać się w położeniu swojego ukochanego nauczyciela, usiłując przeniknąć przez bariery własnego umysłu, by odpowiadać sobie co pewien nieunikniony czas na pytanie - co wielki Aureil by w tej sytuacji zrobił?

Luigi Balea miał zaledwie trzydzieści jeden lat, więc aby pokonać słabości, musiał czerpać z doświadczeń starego mistrza, a dziś robił to już niemal bezwiednie. Podlegli mu bracia dawno wyrobili sobie zdanie, że bardziej nowoczesny styl zarządzania czy odmłodzone kadry nie zmieniają faktu, iż nowy mistrz jest niemal kopią swego poprzednika, i to nawet w sposobie bycia, nie tylko w przebiegłości, sprycie czy zdrowym rozsądku. Luigi wiedział, że są typy zachowań z pozoru nieistotne, ale tak naprawdę bardzo ważne, które sprzyjają medytacji, modlitwie lub głębokiemu wejrzeniu we własną duszę. Powolny spacer po zaciemnionej komnacie, wolny oddech, spokój w każdym ruchu - należały właśnie do gamy tego typu zachowań.

Dzięki naukom pobieranym od wczesnego dzieciństwa, Balea mógł godnie zastąpić na tym stanowisku Wielkiego Ojca Aureila, który zmarł cztery lata temu nagle, ale jak uznano wielu, szczęśliwie - wśród swych książek, w swojej bibliotece, ze szczęściem wypisanym na twarzy. Bracia, którzy go znaleźli, twierdzili, że twarz zmarłego była pogodna, nawet uśmiechnięta, a otwarte jeszcze oczy patrzyły prosto w niebo, gdzie jego dusza rozpoczęła wędrówkę, by osiągnąć pełny spokój i spełnienie. Logiczne było, że ukochany uczeń Aureila zostanie wybrany przez Radę i tak też się stało.

- Mistrzu! - usłyszał niepewny głos młodego brata Alaina Forteila.

- Tak? - Luigi wyrwał się z zamyślenia.

- Wzywałś mnie.

- A tak, tak, wejź! - Balea ponownie zasiadł przy wielkim biurku. - Słyszałem, że sprawy w Ameryce Południowej się komplikują.

- Giordano Coluneo przysłał kolejną listę, ale rzeczywiście... są kłopoty.

- Jakiego typu? - Mistrz wyciągnął rękę po kartkę, którą Alain trzymał w dłoni. Młody brat zbliżył się do biurka i pospiesznie podał mu papier.

- Włamano się do jego pokoju w hotelu, musiał się bronić.

Luigi prawie niezauważalnie westchnął.

- Mam nadzieję, że szybko stamtąd zniknął?

- Oczywiście, ale czeka na dalsze instrukcje.

- Czy powinniśmy podejrzewać Amerykanina?

- Raczej nie. Ci ludzie wyglądali na gwardzystów z kartelu narkotykowego.

Mistrz z pewnym rozczarowaniem przeczytał nazwiska na liście.

- Niech w takim razie utrzyma kontakt z tym...

- ...Woodmanem.

- Właśnie, z tym Woodmanem, ale niech będzie ostrożniejszy. Za dużo zostawia za sobą śladów, a ci z karteli są szczególnie wrażliwi na punkcie obcych.

- Niestety, nie znalazł tego, czego szukał - dopowiedział cicho Alain.

- I nie znajdzie. - Balea oderwał wzrok od listy. - Nie sądzę, aby on na to pozwolił. Ale pewnie teraz już wie, że ktoś go szuka, i liczę, że sam się znajdzie. W tej intencji kierujemy modlitwy do Stwórcy.

- Tak, mistrzu.

- Wyślij Coluneo wiadomość, żeby zniknął z oczu ludziom z kartelu, ale jednocześnie by pilnował Amerykanina. W ten sposób upewnimy się, o co tu naprawdę chodzi i czy ten Woodman nie zdradził.

- Oczywiście, zaraz go poinstruujemy. - Forteil skierował się ku drzwiom.

- Poczekaj jeszcze chwilę! - zawołał za nim Luigi.

- Tak?

Mistrz wstał i zbliżył się do częściowo odsłoniętego okna. Między ciężkimi, czarnymi kotarami był tylko niewielki prześwit, przez który mogło nieśmiało wpadać do środka światło. Podobnie jak Aureil, lubił półmrok w komnacie. Teraz wyjrzał jednak na zewnątrz, niedbale lustrując podwórze.

- Czy wiemy, gdzie jest... Haiku?

- Jesteśmy pewni, że w tym tygodniu była w Nowym Jorku, ale załatwiła także dwa zlecenia: w Warszawie i w Budapeszcie.

- Na pewno ona?

- Biorąc pod uwagę styl i sprawność, z jaką wykonano zadanie, raczej nie może być wątpliwości. W Warszawie trzech ludzi z grupy Tomasza Świeżych, jeszcze niewyszkolonych, mieli broń.

- Mów do mnie po ludzku - poprosił spokojnie Balea.

Alain spuścił na chwilę wzrok na podłogę i wziął głęboki oddech.

- To byli członkowie tak zwanego gangu mokotws... maktows... motkwoskiego, trudno mi wymówić tę nazwę. Udało się ich pozyskać.

- Karani wcześniej?

- Tak.

- To dobrze. - Balea pokiwał głową i schował listę do szuflady. - Kto prowadzi śledztwo?

- W Warszawie?

- Tak.

- Kieruje sprawą niejaki Witold Bliski, doświadczony policjant, pomaga mu młody oficer, rok po szkole, Henryk Kurasz, czy Kuraż, jeszcze sprawdzę.

- Pracowali kiedykolwiek dla nas?

- Nie. Mamy się tym zająć?

- Nie. - Balea pokręcił głową. - I na razie nie przeszkadzajcie im, niech węszą, to się może przydać. No, chyba że sprawy zajdą za daleko. I na wszelki wypadek... ustalcie, co się teraz dzieje z doktor Aleksandrą Sambierską, wiesz, o kim mówię?

- Oczywiście.

Warszawa

Marzena Kwiatkowska, piękna brunetka, lat 28, szczupła jak modelka, o twarzy lekko opalonej, oczach wielkich, kocich, zabarwionych zagadkową zielenią, ustach miękkich, zawadiacko wydętych, surowo przyciemnionych fioletową szminką, miała powód, by być szczęśliwą. Zaledwie kilka dni zostało do jej ślubu, a wszystko właściwie było już prawie gotowe.

Siedziała teraz przed lustrem, poprawiając makijaż, bardziej zresztą z przyzwyczajenia niż potrzeby. Uśmiechała się do siebie z dumą, sprawdzając jednocześnie, czy przy tej okazji wygląda jednakowo korzystnie z lekkiego prawego profilu... z lewego... z przodu...

Po załatwieniu większości spraw - nie da się ukryć - była trochę znudzona, pozbawiona swojego narzeczonego dopinającego formalności na ostatni guzik. Biegał, nie wiadomo który już raz, do księdza. Gadali, cholera wie o czym, ale że szanowny pan młody był człowiekiem niezłomnym, twardo trzymającym się przykazań wiary, Marzena wspaniałomyślnie nie truła mu głowy wątpliwościami, rozumiejąc i ceniąc szczerze przywiązanie do Kościoła i miłość do Boga, choć sama raczej nie była specjalnie przekonana o jego istnieniu.

Zdzisiu Zakroczy, szczęśliwy narzeczonego, miał prawie czterdzieści lat i nie był zbyt przystojny, wysportowany ani imponująco zbudowany. Twarz miał chudą, raczej poważną, ale szczerze uczciwą i wzbudzającą zaufanie. Braki w urodzie nadrabiał szlachetnością, szarmancją i hojnością, a że miał szczęście być dość (choć bez przesady) zamożnym, szczodrość ta nie była bez znaczenia. Mówiąc szczerze, swobodę finansową zawdzięczał ojcu, zdolnemu biznesmenowi, który umierając dwa lata temu, zostawił w spadku Zdzisiowi dobrze prosperującą agencję pośrednictwa mieszkaniowego. Nie zostawił, niestety, talentu i zaradności w poruszaniu się po świecie obrotu nieruchomości. Zdzisio już pewien czas temu skromnie zauważył, że agencja zarabia tylko dzięki świetnym pracownikom ojca, a on sam najrozsądniej czyni, maksymalnie ograniczając swoją aktywność w tym zakresie. Nie budziło to w nim najmniejszych kompleksów, bowiem w pewnym momencie odkrył w sobie artystę i temu postanowił się poświęcić. Jego dorobek malarski był już nawet dość pokaźny, choć z lekka jednostronny. Zdecydowanie

dominowała w nim sztuka sakralna, z której biło od dawna nieukrywane marzenie poświęcenia swojego talentu Bogu, co najpełniejszy wyraz znalazłoby w przyszłości w postaci pracy dla samego Rzymu. Przyszłością z kolei agencji miała być Marzena, osoba bez wątplenia obdarzona talentem do finansów, tylko z pozoru rzadkim u kobiet. Zdzisio kilka dni temu dopełnił wszelkich formalności dających narzeczonej pełną swobodę w podejmowaniu decyzji biznesowych, co zdjęło mu szczęśliwie z serca wielki ciężar i uczyniło wolnym od trosk.

Komórka Marzeny zaburczała, drżąc na szafce, po czym zaczęła skrzeczeć jakąś dyskotekową melodyjkę.

Kwiatkowska sięgnęła po telefon.

- Tak? - mruknęła odrobinę posepnym głosem.

- To ja, kochanie.

Pierdołowaty głos Zdzisia po raz kolejny rozczulił dziewczynę.

- Kiedy będziesz? - spytała z nieznaczną pretensją.

- Jeszcze muszę coś załatwić, nie sprawiłoby ci kłopotu... no wiesz... dzisiaj...

- Co dzisiaj?

- Nie dam rady do banku, wiesz, że lepiej ci te sprawy wychodzą. Trzeba pogadać z panem Mrówkowskim...

- Mrówczyńskim.

- No tak... właśnie... masz tam wszystko, co trzeba... załatwisz, Misiu? - zaskomlał żałośnie.

- Nie ma problemu, kochanie.

- Trzeba zrobić kilka przelewów, potem...

- Wiem, kochanie - przerwała łagodnie Marzena.

- No tak... wiesz... wiem przecież, że wiesz... to cześć, wrócę za trzy-cztery godziny.

- Nie martw się, skarbie, wszystko będzie załatwione, zanim wrócisz.

- Tak szybko to zrobisz? - zdumiał się przepisowo Zdzisio.

- Aż się zdziwisz, Misiaczku, jak szybko to załatwię.

- No to cudownie.

- Też tak myślę. Pa!

- Pa! Mój Misiaczku kochany!

Zakroczny rozłączył się, a Kwiatkowska wystukała inny numer i ponownie przyłożyła komórkę do ucha.

- Możesz mówić? - spytała chłodno, gdy odebrano połączenie.
- Słucham - odparł mężczyzna, który wyraźnie spodziewał się tego telefonu.
- Dziś kończymy sprawę.
- To dobrze, gdzie czekać?
- Zabierz mnie za dwie godziny z banku naprzeciwko opery.
- W ostatniej chwili. Masz jaja - przyznał mężczyzna z uznaniem.
- W odpowiedniej chwili - poprawiła spokojnie. - Nie ma ryzyka. Później idę na długi

urlop.

Usłyszała w słuchawce rubaszny śmiech.

- Jasne, co tylko chcesz.
- Ostatnio też tak obiecywałeś.
- Teraz dotrzymam słowa.
- Byłoby lepiej - mruknęła dziewczyna z przekąsem. - Muszę kończyć.
- Racja - odrzekł głos w słuchawce. - Spiesz się.

*Poiudniowo-zachodnia Amazonia,
osada Duelo, 180 kilometrów od Catunamy
Dwa tygodnie później*

Giordano Coluneo po raz kolejny spojrzął na zegarek. Johny Woodman nigdy nie był punktualny, ale trzy godziny spóźnienia zwiastowały kłopoty. Człowiek, z którym współpracował tyle miesięcy, na którego wydał masę pieniędzy i czasu, teraz zawiódł lub - co bardziej prawdopodobne - został zgładzony. Jeśli tak właśnie się stało, trzeba się przygotować. Nikt z pewnością nie zabiłby Amerykanina bez wcześniejszej próby wydobycia od niego wszelkich informacji, a to mogło okazać się groźne nawet dla Giordana i co gorsza - dla sprawy. Woodman prowadził wiele ciemnych interesów, w co Coluneo raczej nie wnikał, i to one mogły być źródłem tego, co go najprawdopodobniej spotkało. Nie można było jednak ryzykować.

Młody Włoch wyjął spod łóżka niewielką, drewnianą, płaską walizkę i otworzył ją. W środku, w idealnie dopasowanych zagłębieniach, na purpurowym suknie spoczywało siedem różnej wielkości noży z japońskiej stali. Walizka trochę przypominała podręczny bagaż chirurga, w rzeczywistości stanowiła polisę, z którą aurelita nie rozstawał się nigdy, nawet jeżeli w niektórych miejscach na Ziemi trzeba było sporego wysiłku, by przewieźć ją przez granicę. Dłuższą chwilę Giordano przyglądał się ostrzom, które wyglądały jakby ledwo co wyszły spod ręki mistrza Hamuto. W rzeczywistości, choć mistrz wykonał je pod koniec swego życia, liczyły ponad czterysta lat. Były starsze nawet od miecza Coluneo.

Sięgnął powoli, z szacunkiem po największy z nich i umieścił go w specjalnej, skórzanej kaburze za pasem. Schylił się następnie po kolejne, by pochować je w różnych miejscach, zgrabnie ukrywając każdy z nich pod garniturem. Noże różniły się między sobą kształtem ostrzy, miały inny ciężar, ale wszystkie posiadały podobne, ciemnozielone rękojeści, były starannie wypolerowane i dokładnie naostrzone.

Pukanie do drzwi mimo wszystko go zaskoczyło. Ponad wszelką wątpliwość wyczuł, że po drugiej stronie drzwi nie stoi Woodman. Spotykał się z Amerykaninem już w różnych miejscach; w knajpach, na pustkowiach, w hotelach, a nawet w jednej z jego tutejszych melin, więc bez trudu rozpoznawał słoniowaty, głośny odgłos kroków i ciężką rękę na drzwiach, gdy walił piączę, zamiast grzecznie zapukać, jakby wychował się w dzikim lesie, w rodzinie drwali.

Osoba, która pojawiła się w hotelu Concita na pierwszym piętrze, przed apartamentem Giordana, sprawiała wrażenie prawdziwie niebezpiecznej. Każdy przecież gość hotelu wiedział, że nie dało się pokonać dokuczliwie skrzypiących schodów tak, aby niemal wszyscy goście tego nie usłyszeli, jednak osoba, która zapukała do drzwi, była absolutnie bezszelestna, jakby... unosiła się w powietrzu. Nie mógł być to również żaden z sąsiadów - podłoga skrzypiała równie donośnie za każdym razem, gdy ktoś próbował dostać się do swojego pokoju. Dzięki temu Giordano zawsze wiedział, ile osób prócz niego mieszka na pierwszym piętrze, wiedział także, że w tej chwili powinien być tu jedynym gościem, pozostała dwójka spod numeru 13 i 17 z pewnością wyszła co najmniej godzinę temu. Prócz Woodmana i właściciela hotelu, śpiącego na dole w czymś, co nawet Europejczykowi ciężko byłoby nazwać recepcją, nikt nie mógł wiedzieć, gdzie Coluneo teraz przebywa, a już z pewnością nie mógł to być przyjaciel.

Młody Włoch przygotowywał się przez kilka sekund, rozprostował na moment dłonie, wyjął największy, lekko zakrzywiony nóż i szybko zbliżył się do drzwi, najciszej jak tylko potrafił. Otworzył je gwałtownie, usiłując błyskawicznie przystawić nóż do szyi gościa, którego ujrzał ułamek sekundy wcześniej w progu. Drugą dłoń wyciągnął w kierunku karku mężczyzny,

aby wciągnąć go jak najszybciej do środka. Zrobił to niemal rutynowo, bojąc się co najwyżej, że ktoś może usłyszeć szamotaninę. Tu jednak, po raz pierwszy, trzeba przyznać, od bardzo dawna, popełnił błąd. Przeciwnik okazał się nie tylko szybszy i zręczniejszy, ale także - co kompletnie już zbiło z tropu Giordana - znacznie bardziej opanowany. Jego ruchy były precyzyjne, dokładnie nakierowane na cel, jakby odzwierciedlały efekt starannych przygotowań, a stanowiły przecież zaledwie reakcję na atak Włocha. Mężczyzna z łatwością odbił dwa pierwsze ciosy Coluneo, po czym wymierzył mu lekki, ale bolesny i znów bezlitośnie precyzyjny cios wewnętrzną częścią dłoni w nasadę nosa. Cel był jasny - zniechęcić napastnika do dalszych ataków. Giordano pod wpływem uderzenia cofnął się dwa kroki, ale nóż cały czas tkwił w jego ręce. Mimo bólu ponowił atak i był to kolejny, w tak krótkim czasie, błąd. Tym razem przeciwnik potraktował go poważniej. Cios w przegub został zadany już silniej i znów dokładnie, w dodatku obiema dłońmi jednocześnie. Coluneo poczuł, jakby w jego rękę uderzono potężnymi nożycami. Broń upadła na podłogę. Zaskoczony Włoch próbował jeszcze osłonić szyję, słusznie tam właśnie spodziewając się ataku, ale było już za późno. Mężczyzna chwycił Giordana za krtań, przygważdżając go do ściany. Drugą ręką zamknął cicho drzwi, nie spuszczać wzroku z przeciwnika. Teraz dopiero Coluneo mógł mu się dokładniej przyjrzeć. Miał około trzydziestu lat, biały, raczej Europejczyk niż Amerykanin, szczupły, dość wysoki, twarz spokojna, łagodna, jakby przed chwilą uprawiał poranną gimnastykę.

Z samego wyglądu trudno by mu było wzbudzić w kimkolwiek strach; bardziej pasował fizjonomią do lekarza, inżyniera czy nauczyciela historii. Biła jednak z niego siła, którą młody Włoch natychmiast wyczuł. Zaprzeszał walki, przestał się bronić, czekał. Mężczyzna przez chwilę jeszcze ciekawie mu się przyglądał, po czym zbliżył swoją twarz do oczu Giordana.

- Aurelita? - cichy, ciepły, ale chyba trochę smutny ton głosu zabrzmiał, jakby raczej nie pytał, lecz stwierdzał.

- Tak, Kapłanie - szybko odpowiedział Giordano, natychmiast domyślając się, z kim próbował walczyć. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu można było dojrzeć w jego oczach strach.

- Nie znam cię - głos Kapłana wciąż wydawał się łagodny.

- Kiedy gościłeś w Chatillon, byłem we Włoszech - odparł z trudem Coluneo.

Mężczyzna jeszcze przez pewien czas przyglądał się uważnie aurelicie, po czym nieoczekiwanie puścił go i, co już zupełnie zaskoczyło Giordana, odwrócił się do niego tyłem i zaczął spacerować po pokoju.

- Od jak dawna mnie szukasz? - spytał wreszcie.

- Ponad rok.

Kapłan pokiwał smutno głową, przymykając na chwilę oczy.

- Mów - rzucił cicho, nie odwracając się.

Giordano rozpiął ostatni guzik koszuli i odetchnął głęboko.

- Robię to na rozkaz mistrza Luigiego Balei.

- Domyślam się. Choć może o tyle to przykre, że dał mi kiedyś słowo... - Kapłan przerwał na chwilę i wyjrzał przez okno. - Miał... dać mi spokój.

- To sprawa najwyższej wagi.

- Jasne, a jakże by inaczej. Luigi zajmuje się tylko sprawami najwyższej wagi - mruknął gorzko. - Wracaj do Chatillon.

- Kapłanie! - Coluneo podbiegł do mężczyzny, ale na metr przed nim zatrzymał się z respektem. - Błagam cię, pozwól wyjaśnić mistrzowi, o co chodzi!

- Nie potrzebuje mojej pomocy, sam jest wystarczająco potężny. I przestań z tym „kapłanem”, nazywaj mnie jakkolwiek, ale nie tak...

- ...Pojawił się... inny... Kapłan Wiedzy! - przerwał zniecierpliwiony aurelita.

- Co?! - Mężczyzna odwrócił się raptownie. - Niemożliwe!

- To prawda. - Giordano oddychał szybko. - I nie jest taki, jak ty. Nie postępuje tak, jak ty byś to czynił. Wykorzystuje swoją potęgę, by siać śmierć i spustoszenie!

Mężczyzna pokręcił głową z politowaniem.

- Gdzie oni was tego uczą? Mamy XXI wiek. Mów po ludzku.

- Mówię prawdę! - niemal krzyknął Giordano. - Jestem rycerzem aurelickim i przysięgam, że powiedziałem ci samą prawdę!

- Wiem, kim jesteś. - Mężczyzna znowu przeszedł się po pokoju. Teraz dopiero można było przyjrzeć się całej jego postaci. Miał na sobie miękkie, czarne buty, czarne spodnie i lekką, jasną koszulę rozpiętą pod szyją. Stawiał kroki cicho, ale pewnie, patrząc cały czas w kierunku okna i z rzadka tylko zerkając na Giordana. - Co wiesz o tym... drugim Kapłanie?

- O tym ma powiedzieć ci mistrz i tylko on, taki rozkaz.

Mężczyzna ze zrezygnowaniem spuścił głowę.

- Dlaczego mnie to nie dziwi - mruknął jakby do siebie.

- Błagam, jedź ze mną do Chatillon! - uderzył w jeszcze bardziej egzaltowany ton Coluneo.

- Nie mogę - odparł szybko Kapłan. - W każdym razie nie teraz. Wracaj do Francji. - Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Błagam! - usłyszał za sobą przejmujący krzyk. - Pozwól mistrzowi spotkać się ze sobą. Może przyjechać w każde miejsce na Ziemi!

- Dosyć - rzucił cicho przez ramię mężczyzna. - Dosyć...

Nastąpiła krótka cisza. Kapłan wciąż nie wychodził.

- Co mam powiedzieć braciom?! - jęknął błagalnie Giordano.

- Co chcesz, a najlepiej, żeby w przyszłości dotrzymywali słowa.

- Pozwolisz na spotkanie?

- Nie wiem, ale rozejrzę się, w każdym razie spróbuję. A ty nie spotykaj się już z Johnym Woodmanem.

- Czy on żyje?

- Tak. Przekonałem go jednak, aby przestał już się mną zajmować.

- Woodman jest niegroźny, potrafi być dyskretny.

- Woodman to słoń w składzie porcelany - poprawił spokojnie Kapłan. - Działał tak dyskretnie, że ludzie, którzy mi zaufali, z którymi dzielę teraz życie, czują się, jakby mieli tarcze wymalowane na plecach. Najpierw muszę się nimi zaopiekować i naprawić szkody, a później dopiero zajmę się tym... kapłanem. Jeśli będę potrafił. Nie obiecujcie sobie za wiele. Nie chcę i nigdy nie chciałem być tym, za kogo mnie macie. Liczyłem, że Luigi to zrozumie. Rozczarował mnie. Szkoda, bo... - nie dokończył, ale wciąż nie otwierał drzwi. Stał kilka sekund w milczeniu, aż wreszcie wyszedł równie bezszelestnie, jak przybył. Giordano długo jeszcze nie potrafił wyrównać oddechu.

Warszawa

- Nie rozumiem, cały czas nie rozumiem! - jęknął przez łzy Zdzisio Zakroczny. - Przecież porwano ją, ukradziono pieniądze, szukajcie jej! - Uniósł ponownie chusteczkę, wycierając oczy.

- Czy mógłby pan nie płakać - poprosił łagodnie Gloters. - Nie potrafię się skupić, szczególnie że mogę już pana zapewnić o tym...

- Może to pomyłka - przerwał gwałtownie Zdzisio. - Zdarza się tak, prawda? Pomyłki w zeznaniach, w relacjach...

- Jeśli będzie pan co chwilę przerywał, nie dam rady panu tego do końca wytłumaczyć - zauważył policjant, cały czas starając się ukryć rozdrażnienie.

- Przepraszam, jestem wrażliwy. - Zakroczny wziął głęboki oddech. - Bardzo przeżywam takie rzeczy. - Nieoczekiwanie z całej siły uderzył dłonią w kanapę, na której siedział, aż stojący za Glotsem Henio Kuraś lekko podskoczył do góry.

- Rozumiem. - Policjant pokiwał głową. - Ma pan ładną posiadłość. - Rozejrzał się kurtuazyjnie dookoła, jak zwykle głodny szczegółów, które mógłby wykorzystać we własnym domu.

- Miała być dla niej... - Ku rozpaczy Glotera, Zdzisio znowu zaczął płakać. - Przepraszam, jak pana nazwisko? Zapomniałem jakoś.

- Bliski. Witold Bliski, starszy aspirant.

- A, no tak... Rzeczywiście, przepraszam. To już tak długo trwa.

- Pani Marzena Kwiatkowska nie została ani porwana, ani okradziona - zaczął wyjaśniać policjant, z nadzieją że tym razem skończy. - Dwa tygodnie temu opróżniła część pana kont, sprzedała firmę i natychmiast wyjechała za granicę. Widziano ją na granicy polsko-niemieckiej. W Paryżu wsiadła w samolot do Stanów Zjednoczonych i tu ślad się urywa. Miała wizę. Podsumowując, obawiam się, że już nic nie jesteśmy w stanie zrobić, zbyt późno nas pan powiadomił. Kiedy otrzymaliśmy od pana zgłoszenie, pańska narzeczona mogła już być na przykład w Buenos Aires albo w Meksyku lub zaszyć się w Ameryce Środkowej. Dlaczego dopiero po tygodniu zdecydował się pan na doniesienie?

- Nie wiedziałem o niczym.

- Nie wiedział pan, że zniknęło z pana kont kilkaset tysięcy złotych, a firma nie należy już do pana?

- Nie. Byłem zajęty formalnościami... mieliśmy się pobrać. Marzena zajmowała się finansami.

- I nie zaniepokoiło pana, że nie pojawia się przez kilka dni?

- Dzwoniła do mnie.

- Słucham?!

- Dzwoniła do mnie - powtórzył Zdzisio. - Parę razy. Mówiła, że jej mama telefonowała i prosiła o pilny przyjazd do Koszalina, pytała nawet, czy może pojechać... - Zakroczny ukrył twarz w dłoniach.

- Pan do niej dzwonił?

- Tak, ze dwa razy. Odbierała jej matka, później ona oddzwaniała. Wyglądało, że wszystko jest w porządku.

- To dlaczego nabrał pan podejrzeń, że została porwana? - spytał rzeczowo Gloters.

- Przestała odbierać telefony. Jej matka też. Wreszcie moi pracownicy powiadomili mnie, że firma zmieniła właściciela. Też byli zaskoczeni. Sądziłem, że została do tego zmuszona... nie mogę uwierzyć... Znaleźliście panią Kwiatkowską?

- Nie ma żadnej pani Kwiatkowskiej.

- Eee, co?! Jak nie ma, jak jest?!

- To nie jest jej matka - wyjaśnił bezlitośnie policjant.

- Nie matka?! Nie... a... Przecież odwiedzaliśmy ją, przygotowaliśmy się do ślubu! - Zdzisio po raz kolejny otarł chusteczką oczy.

- Kobieta, którą pan poznał jako matkę pańskiej narzeczonej, to niejaka Zofia Lampka, znana oszustka. Mamy ją w aktach. Współpracowała z Marzeną Kwiatkowską, podobnie jak kilka innych osób. Jej koleżanki, koledzy, matka, siostra.

- Ale przecież...

- Panie Zakroczny - przerwał zdecydowanie Gloters. - Chyba cały czas nie może pan zrozumieć, że padł ofiarą oszustwa, a poprzez pańską opieszałość wszyscy winni kradzieży są już właściwie poza naszą kontrolą i jakakolwiek możliwością interwencji.

- Nie kochała mnie? - spytał idiotycznie Zdzisio.

- To akurat nie jest karalne. - Gloters już miał dosyć tej wizyty.

- Co ja mam teraz robić?

- Sprawa jest u nas w aktach, zajmuję się nią osobiście, ale obawiam się, że z czasem zostanie umorzona. Nie mamy innego wyjścia. Przykro mi. Zostało panu trochę pieniędzy, dom, samochód. Na pana miejscu zacząłbym od nowa. O niej trzeba zapomnieć. Z pewnością tu już nie wróci, a jeśli jakimś cudem by się pokazała, proszę natychmiast do mnie zadzwonić. Mogę zapewnić, że energicznie się wtedy tym zajmiemy. Ma pan to jak niegdyś u ministra Ziobry. A na razie niech pan korzysta z życia. Jest pan jeszcze młody.

- Łatwo panu mówić, sierzancie - w głosie Zakrocznego wciąż pobrzmiwała płacziwa nadzieja, że to tylko sen, choć może z lekka przydługi.

- Jestem starszym aspirantem. - Gloters zmarszczył brwi. - Nielatwo. Ale lepsza najgorsza prawda niż życie w ułudzie.

- Co będzie z moimi pracownikami? Policjant pokręcił głową.

- Nie możemy negocjować tej transakcji. Wszystko sprzedano zgodnie z prawem. Sam pan upoważnił narzeczoną do wszelkich działań związanych z firmą. Biznesmen, który ją kupił, zrobił to w dobrej wierze. Jest dla pani Kwiatkowskiej obcą osobą. Transakcja była całkowicie legalna. Może pan próbować interweniować w sądzie, ale nie przypuszczam, aby cokolwiek udało się panu zdziałać. To wszystko. Dokonamy jeszcze kilku proceduralnych działań i obawiam się, że zamkniemy śledztwo.

Zakroczny patrzył tępo w ścianę za plecami policjantów.

- Musimy już iść. - Gloters wstał i kiwnął na młodszego kolegę. - Jeszcze raz chcę powiedzieć, że bardzo nam przykro. Do widzenia.

Zdzisio wciąż siedział nieruchomo na kanapie. Policjanci uklonili się nieznacznie i wyszli z domu. Na zewnątrz Bliski jeszcze raz rzucił okiem na willę Zakrocznego.

- Ta podmurówka jest fajna - mruknął do Henia.

- No - odparł Kuraś. - Lubię te takie cegły wpuszczone w ten, no... beton.

- Klinkier.

- No, właśnie ten, no...

- Klinkier.

- No mówię właśnie, ale wiesz... szkoda tego frajera.

- Tyle razy mówiłem ci Heniu, nie dla frajerów ten świat. Nic się na to nie poradzi. Ważne, aby być po tej drugiej stronie, mam rację?

- Jasne, Gloters.

- Wsiadaj do samochodu - rozkazał, gdy wyszli za furtkę. - Zadzwoń jeszcze do Wiśni.

- Jasne.

Bliski wystukał numer na swojej komórce.

- Tak? - usłyszał damski głos.

- Cześć, Wisienka. Powoli kończymy. Zniszcz dokumenty, zapłać ludziom, spotykamy się w czwartek, tak jak mówiliśmy. Jak się czujesz?

- Zmęczona. Osiem miesięcy roboty, ciężko było.

- Wiem, ale się opłacało. Teraz przynajmniej półroczny urlop, jak ci obiecałem.

Wyrównasz sobie.

- Co mu powiedziałaś?

- To już moja sprawa, będzie dobrze.

- Pytam o kłopoty, Gloters!

- Nie będzie żadnych kłopotów. Zapomni, to jemioł, jakich mało. Dawno nie było tak dobrego frajera.

- Chcę wyjechać. Załatw mi jakieś dobre papiery. Kwiatkowska... co za idiotyczne nazwisko.

- Nie narzekaj, Wiśnia, mamy sałaty po pachy na grube miesiące. A o papierach przecież gadaliśmy, robią się. Nie dzwoń do mnie aż do czwartku. Muszę zająć się ważnym śledztwem, a to musi przycichnąć. Zajmij się tym, co mówiłem. Wszelki ślad po Marzenie Kwiatkowskiej ma zniknąć.

- Jasne. - Kobieta rozłączyła się.

- Fajna ta Wiśnia. - Henio się uśmiechnął. - Ładna jak cukiereczek.

- Za dużo bierze, cwaniara, ale cenię przedsiębiorczość. Zapalaj, jedziemy robić te obcięte głowy, bo śledztwo stoi i mnie to wkurwia.

- Menel dzwonił dziś rano. Podobno ma coś ciekawego.

- Nie mów tak na niego, bo ci się przy nim wyrwie. Co mówił?

- Że ma gliniarza, który parę lat temu prowadził sprawę na podobny temat.

- Jak się nazywa?

- Jakiś... Kępiński, komisarz ze Śródmieścia.

- Nie znam, ale dobra, poszperamy w papierach, a potem pogadamy z nim.

Biurko komisarza Michała Kępińskiego, stare, wysłużone, ale jak zwykle odkurzone i pedantycznie uporządkowane, zatrzęsło się właśnie pod ciężarem Ewy Nowickiej, chudej jak szczapa kopii Sinead O'Connor - jak mówiono o niej na „mecie” - ale raczej niezbyt subtelnej, delikatnej czy kobiecej. Co jednak najdziwniejsze - wcale nie tak lekkiej, jak by się mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Ewa klęła jak szewc, żarła kilogramy pączków, prócz tego - dwa śniadania, dwa obiady oraz trzy kolacje dziennie i co prawda najczęściej ze wszystkich bywała w

kiblu, ale tak jak była chudziszczem przez wszystkie lata służby, tak nim pozostała. Nie przeszkadzało jej to jednak cieszyć się opinią skutecznej policjantki, dobrej koleżanki i babki „z jajami”, o co - jak ogólnie wiadomo - w tym środowisku niełatwo.

- Co jest, kurwa? - Przywitała go radosnym uśmiechem.

- Jezu, miej litość... - jęknął Michał. - Czy ty nie umiesz normalnie gadać?

- To jest normalnie - podkreśliła słowo „to”. - Masz coś do żarcia?

- Nie. Jak chcesz, możemy skoczyć na jakiś lanczyk.

- Teraz się nie da, idą do ciebie jacyś gliniarze - zamruczała tajemniczo.

- Cholera... na komendzie to rzeczywiście wydarzenie! I co ja teraz zrobię? Nie jestem przygotowany ani uczesany...

- Rób sobie dalej jaja, oni nie są od nas. Znaleźli jakąś naszą starą sprawę i do czegoś się dopierdolili.

- Skąd wiesz?

- Podśluchiwałam. Są u starego.

Michał na chwilę zamilkł.

- Prawie się przejąłeś. - Ewa pstryknęła go lekko w nos.

- Złaż z biurka, ale zostań. W razie czego błysniesz swoim nieokiełznanym intelektem.

- Może to jacyś wewnętrzni?

- Coś ty?! W życiu nie wziąłem żadnych „boków”. - Kępiński na chwilę zawiesił wzrok na koleżance.

- Ja też nie! - ofuknęła go ze złością. - Jak Boga kocham!

Pukanie do drzwi natychmiast przerwało rozmowę. Michał wskazał Nowickiej krzesło. Ewa zeskoczyła z biurka.

- Proszę! - krzyknął komisarz w stronę drzwi. Wzrok grubasa, który pojawił się w progu, z miejsca rozdrażnił Michała. Miał w sobie denerwującą pewność siebie, arogancję i - tak powszechnie znaną - gliniarską pychę. Gówniarz, który wyłonił się zza jego pleców, robił z kolei wrażenie idioty, choć może to tylko krzywdzące go na pierwszy rzut oka odczucie, bo nie było wątpliwości, że w tym tandemie on robił za cień, a grubas kierował sprawami.

- Starszy aspirant Witold Bliski, panie komisarzu! - mruknął wstępnie Gloters, wyraźnie udając uprzejmość. - A to podkomisarz Henryk Kuraś, jesteśmy z Dolnego Mokotowa.

- Chyba nigdy się nie spotkaliśmy? - Kępiński uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Może na jakimś strzelaniu? Gdzie pan ćwiczy?

- Na Gwardii. Mów mi po imieniu, jestem chyba młodszy od ciebie. - Komisarz doszedł do wniosku, że choć niechętnie, ale musi grać równiacę.

- Wyglądasz na najwyżej czterdzieści lat...

- ...Michale

- Właśnie. Michale.

Ewa nie odezwała się nawet słowem, ale uważnie obserwowała obu gliniarzy z Mokotowa. Gdy wzrok gości spoczął na niej, machnęła ręką na powitanie i także uśmiechnęła się, choć również - oszczędnie.

- No mam... trochę więcej. Ale to miło, że tak uprzejmie się pomyliłeś. - Kępiński przejechał dłonią po łysiejacej czaszce. - Co was sprowadza?

- Trudna sprawa. - Gloters odczekał chwilę, aby komisarz miał szansę zaproponować im posadzenie gdziekolwiek tyłków.

- Proszę! - Michał wskazał dwa zdezelowane krzesła stojące pod ścianą tuż przy drzwiach. Pokój był na tyle ciasny, że Kuraś i Bliski, siadając, siłą rzeczy zablokowali wejście.

- Jak mówiłem, ciężką sprawę mamy - wysapał grubas, gdy już się usadowił.

- A co nam do tego?

- Myślę, że sporo - Gloters ponownie przerwał, by wywołać jakąkolwiek reakcję Michała. Tamten jednak nie zmienił wyrazu twarzy ani na jotę.

- Poszperaliśmy trochę w papierach - dopowiedział zaskakująco pewnym głosem Henio Kuraś.

- I wydaje nam się, że kiedyś, kilka lat temu prowadziłeś podobne dochodzenie - dokończył Bliski.

Ewa nerwowo poprawiła się na krześle. Wymieniła krótkie spojrzenia z Kępińskim, a ponieważ rozumieli się bez słów, goście mogli tego nawet nie zauważyć.

- Słucham. - Komisarz spokojnie kiwnął głową.

- Sprawa porwania lekarki, psychiatry. Cztery lata temu. Świadczyli zeznania, że miał wtedy miejsce na podwórku szpitalnym rytualny mord, a następnie jedna z lekarek, pani... Heniu, jak ta pani się nazywała?

- Sambierska. Aleksandra Sambierska.

- No właśnie. Ta lekarka chwilę później zniknęła. Zabito wówczas trzy osoby. - Gloters wyjął z kieszeni kartkę, aby coś z niej przeczytać. - A zabito je... mieczami. - Aspirant podniósł

wzrok na Michała. - To niespotykana broń jak na dzisiejsze czasy, szczególnie w Polsce, nie sądzisz?

- Sądzę. Ale obawiam się...

- ...Witku - przyszedł z kolei z pomocą Bliski.

- Właśnie, Witku. Obawiam się, że nie przeczytałeś uważnie tych akt. To rzeczywiście była dość dziwna sprawa, może nawet trochę tajemnicza, ale gdybyś poświęcił jej trochę więcej czasu, przeczytałbyś, że dochodzenie zostało umorzone z powodu... - tu Kępiński zawadiacko podniósł ton - tego, że wszystko najprawdopodobniej było wyssane z palca, oficjalnie oczywiście z braku dowodów.

- Słucham?! - Grubas otworzył z zakłopotaniem usta. - Nie rozumiem.

- Wszystkie zeznania dotyczące tego - jak to ująłeś - „rytualnego mordu” były złożone przez pacjentów tego szpitala, a więc ludzi ciężko chorych umysłowo. Żaden lekarz nie potwierdził ich wersji, nikt poza tymi chorymi niczego nie widział, nie znaleziono żadnych ciał, nikt poza nimi nie zgłosił morderstwa, a uprowadzenia nigdy nie było. Doktor Aleksandra Sambierska dalej pracuje w tym szpitalu i zaprzeczyła, że ktokolwiek kiedykolwiek ją porwał.

Kępiński rozparł się wygodnie w fotelu i rozłożył ręce.

- Cała tajemnica mnichów-morderców i ich rytualnych mordów - dokończył.

- Nie mówiłem nic o mnichach. - Gloters niemal natychmiast po wypowiedzeniu tego zdania zorientował się, że popełnił błąd. Próbował złapać komisarza na „gorącym uczynku” zbyt wcześnie i w dodatku nieumiejętnie, jednak, co najgorsze, wzbudził teraz jego czujność, a zdradził własne intencje. Był przekonany, że Kępiński kłamie jak z nut, zaś przy aktach sprawy Sambierskiej ostro majdrowano. Kara przyszła oczywiście natychmiast.

- Widzę Witku, że nie tylko nie jesteś ze mną szczery, ale także kiepsko z twoim przygotowaniem. - Michał nadal był spokojny, jednak teraz mógł już pozwolić sobie na bardziej otwarty chłód. - W zeznaniach chorych kilkakrotnie pada słowo „mnich”. Wśród paranoików, psychotyków, schizofreników takie przywidzenia to codzienność. Nie wiem, o co chodzi, ale niestety nie potrafię ci pomóc, choć oczywiście bardzo bym chciał.

Gloters nie mógł teraz zrezygnować. Trudno, musiał brnąć dalej.

- Przepraszam, ta sprawa mnie dobija. - Grubas wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią czoło. - Ktoś podobnie zabija teraz na Mokotowie; tym razem to ja i kilku z pewnością zdrowych na umyśle śledczych widziało ciała, a nie wariaci. Kilka dni temu jakiś pieprzony samuraj poobcinał trójce gangsterów głowy i jak wykazały analizy, z pewnością obcięto je jednym

ruchem, z chirurgiczną precyzją, przy czym nie był to topór, jakiś nóż czy inne znane nam ostrze. Wszystko wskazuje na miecz. To musiał być - ciągnął Gloters - zawodowiec najwyższej klasy. Dekapitacja jednym cięciem jest niezwykle trudna.

Zwykły człowiek w żaden sposób nie jest w stanie tego zrobić. Nawet gdyby kolesie stali bez ruchu. A tu nasz siepacz, nie używając w ogóle broni palnej, dopadł trzech twardzieli, z których każdy miał gnata, a oni nie zdążyli go nawet drasnąć. Przynajmniej na miejscu zbrodni nie znaleziono żadnych śladów krwi innej niż ofiar. Możemy na 90% założyć, że to morderca zza granicy. Nie wierzę, aby w Polsce był ktoś, kto potrafi robić takie rzeczy. Myślę, że ten morderca sprzed szpitala wrócił, a skoro potrafi to, co potrafi, bez problemu z pewnością da sobie radę także z zacieraniem za sobą śladów. Wtedy to zrobił, teraz widocznie doszedł do wniosku, że nie musi lub może nie chce. Takie same okoliczności, taka sama kompletnie nietypowa broń, tyle samo ofiar, ta sama precyzja. Pomóż mi, Michał, a przysięgam, że się odpieprzę. W przeciwnym razie zamieszkać na tej komendzie, a jak mnie wyrzucicie, będę warował przy drzwiach.

- No, dobrze. - Kępiński pokręcił głową, jakby był zmęczony całym tym wywozem. - Chciałbym ci pomóc, ale nie bardzo wiem, jak mógłbym to zrobić. Sprawę umorzono. Mam być mądrzejszy od swoich przełożonych? Sądów? Prokuratury? W twoim śledztwie rzeczywiście stało się kilka dziwnych rzeczy, ale sprawy „porwania lekarki” po prostu nie było. To tylko zbieg okoliczności. Projekcje chorych umysłów. Nigdzie nie pojawia się nawet nikt podejrzany o porwanie, ciężko więc mówić o jakichkolwiek aresztowaniach. Wszystko jest w aktach, bo musi być, ale to ślepy trop, błędne wezwanie policji. I tyle.

- A dlaczego tam nie ma zeznania żadnego z lekarzy? - nie ustępował Gloters.

- Bo żaden z nich nie miał nic do powiedzenia. Nie wierzysz? Jedź i sam ich spytaj.

- Wiesz doskonale, że te akta mają sporo dziur. Nic tam nie trzyma się kupy. Pierwszy świadek mówił, że widział na podwórku jednego z chorych, jak uciekał z lekarką, drugi widział walkę na miecze, w której zginęło trzech ludzi, trzeci twierdził nawet, że to ten chory ich pozabijał. Tylko że nigdzie nie wyczytałem, skąd wzięli się na tym podwórku ci, którzy dali się tak zaszlachtować, o co im chodziło, skąd u chorego umysłowo miecz?! Wreszcie: po co?

- Wymieniono gdziekolwiek nazwisko tego uciekającego chorego?

- Nie, nie byli go w stanie poznać.

- Witek - Kępiński słuchał do tej pory cierpliwie wywozu aspiranta, ale w końcu postanowił zakończyć spotkanie. - Sam słyszysz, jak to brzmi. To idiotyzmy. Walczący na miecze przed szpitalem psychiatrycznym? Paranoik uciekający z lekarką, która później wszystkiemu

zaprzecza? Znikające trupy? Witek... to nigdy nie miało miejsca. Odpuść i wyluzuj, nie tędy droga. Akta tej sprawy pokazujemy świeżakom, jak chcemy się pośmiać, a ty traktujesz takie bzdety na poważnie. Przejdź się po jakimś ładnym parku i przemyśl to sobie jeszcze.

Gloters przez chwilę świdrował wzrokiem Michała, po czym wolno się uniósł, dając znać Heniowi, że koniec wizyty. Wreszcie uśmiechnął się niespodziewanie i klasnął w dłonie

- Wiesz, może rzeczywiście trochę przeginam, ale zrozum, szukam jakiegoś zaczepienia.

- Jasne - odparł Kępiński. - Też bym na twoim miejscu tak robił.

- Trzymajcie się! - rzucił na pożegnanie aspirant i wraz z Heniem wyszli z gabinetu, oddalając się szybko.

- Kurwa mać! - syknęła Ewa. - I co teraz?!

- Nic, uspokój się. Nigdy się nie domyśla, nigdy do niczego nie dojdą, nikt im nie pomoże

- mruknął Michał, zaciskając zęby.

- A Sambierska?

- Zwłaszcza Sambierska będzie trzymała język za zębami i wszyscy lekarze też.

- Ten grubas nie odpuści. Znam takie typy - jęknęła Nowicka.

- I wtedy nabije sobie guza - stwierdził chłodno komisarz. - Tak jak my kiedyś albo...
jeszcze gorzej.

W ciemnym, chłodnym pokoju Haiku budziła się wolno i cierpliwie, nie pozwalając swojemu ciału na żaden gwałtowny ruch, który mógłby wypełnić jej mięśnie i krew niepotrzebną nadwyżką adrenaliny. Niespiesznie otworzyła oczy, przypominając sobie ostatni sen. Był gwałtowny, może nawet przerażający, z pewnością smutny. Wielki gmach, którego nie mogła dostrzec, zapadał się długo, niemal w nieskończoność, czyniąc przy tym dziwny, skowyczący hałas. Za nim następny i następny...

Haiku stała na wielkim wzgórzu gruzów, a widok zasłaniały jej brudne, wysokie mury, strzegące straszliwej tajemnicy. To za nimi zapadały się budowle jedna za drugą, a krzyki ludzi i huk stali zlewały się w niezwykły, przerażający, dziwny dźwięk. W żaden sposób nie była w stanie temu zapobiec. Jej nogi były odrętwiałe, jakby wrosły w ziemię, ręce pozostały nieruchome, oczy stały się nieposłuszne, nie pozwalając dostrzec niczego poza chłodnymi, kostropatymi zlepkami cegieł, stanowiącymi kurtynę dla straszliwego widowiska.

Nie obudziła się jednak z krzykiem, a na czole nie wyczuła ani kropelki potu. Oddychała powoli, dusząc strach w zarodku. Delikatnie zaczęła ruszać palcami, po chwili dłońią, wreszcie uniosła ręce, aby przyjrzeć się ich zarysom w ciemności. Czuła lekkie odrętwienie, które powoli mijało, jakby potężna, nieodgadniona energia wypełniająca jej umysł, dopiero teraz budziła się do działania. Jakby mówiła do niej ponurym szeptem, z wolna, ale drapieżnie i chępliwie. Oddech Haiku stawał się coraz bardziej równy i głęboki. Opuściła ręce na zimny *futon*⁴⁸, którym była okryta, by po chwili unieść głowę i tułów płynnym, lekkim ruchem. Splotła nogi w pozycji lotosu, a ręce złożyła jak do modlitwy. Jej słowa i myśli nie biegły jednak ku Bogu. Bóg już dawno temu opuścił duszę Haiku.

Chatillon

Luigi Balea energicznym ruchem wziął list od brata Forteila.

- I nie wiesz, kto go przysłał? - upewnił się jeszcze raz.

- Chłopcy odebrali przy bramie, dała im go jakaś dziwna, młoda kobieta. Urodą przypominała podobno Indiankę. Może to trochę ekscentryczne, ale... chyba lepiej przeczytać.

Mistrz delikatnie pomacał kopertę.

- W środku coś jest - mruknął, sięgając po nóż do listów.

- Chcesz, abyśmy najpierw sprawdzili to na dole?

- Nie bądź taki przewrażliwiony. - Balea uśmiechnął się. - Coś mi mówi, że to dobra wiadomość.

Luigi delikatnie rozciął papier i zajrzał to środka, po czym radośnie uniósł twarz ku górze.

- Dzięki Bogu!

- Co to jest, Mistrzu? - spytał zmieszany Forteil.

- Znak, mój bracie. Dobry znak.

- Znak... czego?

- Musisz mi wybaczyć, stary druhu, to tajemnica. List zawiera w sobie tylko pęczek ususzonych, związanych w warkocz traw. To starosłowiański symbol żegnania zmarłych. Nie mogę więcej powiedzieć. Ten, kto mi to przysłał, chciał mieć pewność, że list dotrze do moich rąk.

⁴⁸ Futon (jap.) - okrycie do spania, kołdra.

- Zegnanie zmarłych... - powątpiewał Forteil. - To ma być dobra wiadomość?

- Są różni zmarli. - Luigi uśmiechnął się dobrotliwie. - Ci, którzy nas kochali i których my kochaliśmy, lub ci, którzy byli naszymi wrogami. Każ przygotować mi samochód. Bez kierowcy. Sam pojedę.

- Sam?!

- Tak. Nie martw się. Wiem, co robię.

- A ten zmarły, o którego chodzi, był tym, którego kochaliśmy, czy raczej był wrogiem?

Balea wstał od biurka, podszedł do okna i lekko rozchylił zasłony. Twarz dość niespodziewanie mu posmutniała, ale nie chciał, by Forteil to zauważył.

- Akurat ten zmarły był i jednym, i drugim - powiedział niemal szeptem.

ROZDZIAŁ 3

Warszawa

Rafał Lipszyc usiadł przy wolnym stoliku, stawiając przed sobą kufel żywca. Był zmęczony, ale po tak ciężkim dniu, w piątek, co oznaczało wreszcie jakiś odpoczynek, nie przeszkadzał mu nawet gwar w piwiarni czy zbyt wyraźnie słyszalne klótnie na zapleczu. Lubił ten lokal, choć przypominał bardziej klasyczną mordownię niż miejsce, gdzie powinien odzyskiwać siły przewodniczący rady powiatu oraz członek komisji rolnictwa i rozwoju obszarów wiejskich. Dlatego skrzywił się z niesmakiem, nie ukrywając niezadowolenia, gdy dość niespodziewanie przysiadło się do niego dwóch mało zachęcająco wyglądających - jego zdaniem - jegomości. Pierwsze skojarzenie (Flip i Flap) było jednak tak nieodparte, że po kilku sekundach Lipszyc nawet się uśmiechnął, choć trudno było nie odczuć w tym zwykłej kpiny. Obaj faceci chcieli najprawdopodobniej wyciągnąć parę złocisz na piwo lub pogadać o złych żonach czy parszywej robocie. Żadna z tych możliwości nie przypadła panu radnemu do gustu, więc nie zwlekając, zabrał się za spławianie natrętów.

- Nie, panowie - mruknął zmęczonym głosem. - Nie mam kasy na browara ani chęci na gadkę. Dajcie mi spokój.

- Nie jesteśmy spragnieni - odparł trzeźwo grubszy z facetów. - Ale rzeczywiście chcielibyśmy pogadać.

- Jak wspomniałem, na to również nie mam ochoty - przypomniał Lipszyc.

- Będziemy nalegać. - Chudszy uśmiechnął się sztucznie, wyciągając przykładem swojego kolegi legitymację policyjną.

- Co to ma być?! - Radny natychmiast spowaźniał. - Wiecie, kim jestem?!

- Wiemy - potwierdził spokojnie grubszy. - Dlatego tu jesteśmy. Starszy aspirant Witold Bliski, a to podkomisarz Henryk Kuraś. Nie chcemy awantury.

- To się zbierajcie. - Lipszyc zmarszczył brwi.

- Ostrożnie, panie radny - głos Głotersa stał się groźniejszy. - Jestem funkcjonariuszem policji, a pan jest obywatelem, jak każdy w tym kraju. Porozmawiamy, choćby był pan największym ulubieńcem swojego wielkiego przewodniczącego partii, albo będą kłopoty.

- Nie rozumiesz, glino - prychnął z wyższością Lipszyc. - Jeden mój telefon, a obudzisz się na powiatowym posterunku w Wąchocku jako wytrząsacz popielniczek. Zjeżdżajcie stąd, póki jeszcze mam jako taki humor.

Gloters ciężko westchnął i skinął na Henia, by podał mu materiały, które szybko położył przed kłopotliwym rozmówcą na stole.

- Przeczytaj to sobie, wodzu - mruknął chłodno.

Radny niechętnie rozpiął papierową teczkę i wyjął pierwszy dokument. Bliski z satysfakcją, uważnie obserwował, jak ważniakowi zaczynają trząść się ręce, a z trudem ukrywane przerażenie opanowuje całe jego ciało.

- Skąd to masz?! - warknął przez zęby z wściekłością Lipszyc. - To poufne materiały! - Rozejrzał się czujnie dookoła, czy nikt ich nie podsłuchuje. - Jeśli to polityczna prowokacja, jutro obaj wylądujecie w areszcie!

- No i co? Pogadamy, czy dalej pan nie ma dla nas czasu? - Gloters zignorował pogróżki.

- Skąd to wzięłeś?!

- Ja też mam znajomości, panie radny, może nie gorsze niż pan.

- To nielegalne!

- Poważnie? Cholera, zeszczałem się ze strachu!

- Powinieneś.

- No, dobra. - Aspirant wyjął z ręki radnego dokument i włożył go do teczki. - Awantura nic nie da ani nam, ani panu. Te papiery dowodzą, że cztery lata temu w maju był pan pacjentem szpitala psychiatrycznego w Warszawie przy ulicy...

- Ciszej! - jęknął błagalnie Lipszyc.

- Jak pan sobie życzy - odparł uprzejmie Bliski, kontynuując już znacznie ciszej. - Pobił pan do nieprzytomności żonę oraz jedenastoletniego syna. Żonę ledwo udało się odratować, syn stracił słuch w jednym uchu. - Policjant ponownie zajrzał do teczki. - Na procesie udało się panu wykręcić chwilową niepoczytalnością, skierowano pana na oddział zamknięty na obserwację i stwierdzono... zespół obsesyjno-kompulsywny, nerwicę maniako-depresyjną oraz... tricho... tillo... manię, cokolwiek to, kurwa, jest.

Gloters zauważył, że Lipszyc od pewnego czasu trzyma prawą rękę na głowie, jakby chciał pod nią coś ukryć. Teraz już całe jego ciało ogarnęły dreszcze, na razie niezauważalne dla otoczenia, ale policjant nie chciał, aby ktokolwiek zwrócił na nich uwagę.

- Spokojnie, chcemy tylko pogadać.

- Chcecie forsę, coś załatwić? - wyszeptał radny z trudem.

- Chcemy się tylko czegoś dowiedzieć i odejdziemy, a o tych dokumentach zapomnimy.

- Nie zdradzę swojej partii. - Lipszyc zacisnął zęby.

- Nie chcemy, aby pan zdradzał swoją drogocenną partię czy swojego ukochanego wodza-przewodniczącego. Może na was kiedyś zagłosujemy? Nie obchodzi nas nawet, że to jeden z wysokich urzędników tej partii wyciągnął pana ze szpitala, mimo że przejawiał pan - tu znowu zajrzał do dokumentów, bo po raz kolejny wyleciała mu z głowy lekarska formułka - niekontrolowane napady agresji - zakończył z serdecznym uśmiechem.

- To czego chcecie? - wyszeptał próbujący jakoś się opanować radny.

- Chcemy, aby przypomniał pan sobie pewien wieczór 17 maja, właśnie wtedy, kiedy przebywał pan w tym szpitalu - dopowiedział długo milczący Henio.

Rafał Lipszyc szeroko otworzył oczy. Wydawało się nawet, że na chwilę przestał się trząść.

- Chcecie mnie tam z powrotem zamknąć?! - Wyprostował się jak rażony prądem.

- Nie. Potrzebne nam tylko informacje - odparł spokojnie Henio.

- Nie pamiętam, co akurat działo się jakiegoś 17 maja, to było kilka lat temu!

- Chyba jednak pan pamięta - wtrącił Gloters. - To była dość wyjątkowa noc.

- Porwano jedną z lekarek - pomógł Henio. - A na wewnętrznym podwórzu zamordowano trzy osoby.

- O Matko Boska! - Lipszyc ukrył twarz w dłoniach. - Wiedziałem, że w końcu ktoś przydzie, aby o to pytać. Odmówiłem wtedy zeznań, powiedziałem, że nic nie widziałem.

- Ale widział pan? - upewnił się podkomisarz.

- Jeśli okaże się, że widziałem... - Radny zacisnął zęby i spojrzał prosto w oczy Glotersowi. - Co stanie się z tymi nielegalnie zdobytymi dokumentami?

- Zostawię je tu na stole i skończą się pana kłopoty. Będzie pan wolny raz na zawsze. My odejdziemy i nigdy już nie będziemy się pana czepiać.

Lipszyc oparł się na krześle.

- Obudzili mnie inni chorzy - zaczął jak w transie. - Ktoś biegał po korytarzach, słychać było, jakby ktoś upadał, jakby ktoś kogoś gonił.

Radny wyjął papierosa i zapalił.

- Wyszędłem z sali, zobaczyłem leżącego strażnika szpitalnego i otwarte kraty. Coś mi nie grało. Wróciłem do sali i podbiegłem do okna.

- Ten strażnik nie żył?

- Wtedy myślałem, że tak, przestraszyłem się, ale następnego dnia widziałem go całkowicie zdrowego. Chodził, gadał, przypieprzał się jak co dzień. Najwidoczniej tylko stracił przytomność. - Lipszyc otarł dłonią czoło. - Ale najlepsze było to, że wszyscy jego koledzy z niewiadomych względów również jak na zawołanie upadli na podłogę i odzyskali przytomność dobrą godzinę później.

- Ktoś ich uspił jakimś gazem? - spytał Henio.

- A my? Żaden chory nie zemdleł. Nawet na chwilę.

- Więc co?

Radny rozłożył ręce.

- To jeszcze nic. To, co powiem wam dalej... - przerwał na chwilę. - Ja naprawdę jestem już w dobrej formie. Terapia świetnie idzie, biorę wszystkie leki i jest duża poprawa. Nie chcę do tego wracać.

Gloters przysunął się do polityka.

- Wiemy, że tam działy się dziwne rzeczy, proszę śmiało mówić - zachęcił. - Nie weźmiemy pana za wariata.

- Akurat!

Policjanci spojrzeli po sobie.

- To znów się dzieje - wyjaśnił niemal szeptem Henio.

- Co?! To dawno umorzona sprawa.

- Ale morderca wrócił - dopowiedział Bliski.

Lipszyc zmierzył wzrokiem obu policjantów.

- Wy nic o tym nie wiecie.

Gloters zacisnął usta.

- Wiemy, ile trzeba - próbował być przekonujący.

- Nie ma żadnego mordercy. Nie macie zielonego pojęcia, o czym mówimy.

- Co pan gada? - zachnął się Henio. - Świadkowie opowiadali, że były przynajmniej trzy trupy.

- Nie świadkowie, tylko czubki, chorzy umysłowo ludzie. Wiem doskonale, że żaden lekarz nie potwierdził wersji tych świrów. Myślicie, że dlaczego odmówiłem zeznań?

- Co tam się stało? - spytał któryś już raz Gloters. Ton jego głosu był spokojny. Metodycznie, konsekwentnie dążył do celu, nie pozwalając Lipszycowi uciec od odpowiedzi.

Polityk pociągnął łyk piwa. Ręce przestały mu się trząść, szok mijał. Zastąpił go smutek i zrezygnowanie.

- Chcę wreszcie o tym zapomnieć.

- Dzisiaj o tym pan zapomni - zapewnił aspirant. - Chcę, żeby pan tylko raz nam to opowiedział, i nigdy już się nie spotkamy, a dokumenty będą pańskie. Nie potrzebujemy żadnych zeznań przed sądem ani niczego oficjalnego. Chcemy tylko wiedzieć.

Radny nabrał głęboko powietrza do płuc.

- Kiedy podszedłem do okna, zobaczyłem trzech dziwnych mężczyzn. Byli ubrani w jakieś habity, czy jak to się tam nazywa, jak mnisi. Potem doszedł czwarty. Te habity były ciemnozielone, mieli kaptury na głowach. Podwórko wyglądało na stosunkowo niewielkie. Z dwóch stron mur, z trzeciej siatka. Na zachód prowadziła ścieżka przy murze, którą można było dojść do parkingu dla samochodów służbowych. Ściemniało się, słabo było widać. Nagle z tylnych drzwi na podwórko wyszedł on. - Lipszyc nagle przerwał, aby kilka razy odetchnąć. - Nigdy go nie zapomnę.

- Kto? Następny mnich? - dopytywał Henio.

- Nie. Jeden z chorych. Ale to nie był zwykły chory, jak każdy z nas. Widywałem go wcześniej kilkakrotnie i wiem, że kiedyś był księdzem.

- Księdzem?! - jęknął Gloters z niedowierzaniem.

- Tak. Nie było tego w papierach? - Radny prawie się uśmiechnął.

- Zna pan jego nazwisko?

- Oczywiście. Jak wam mówiłem, nigdy faceta nie zapomnę. Nazywał się Krzysztof Lorent. Ksiądz Krzysztof Lorent.

- Jest pan pewien?! Według dokumentów, nikt o takim nazwisku w tamtym czasie tam się nie leczył. Czytaliśmy te materiały dziesiątki razy i zapamiętałbym księdza!

- Nie dziwię się. Te papierki to jeden wielki bełkot.

- Napisano w nich, że chorzy widzieli, jak nieznany sprawca zabił trójkę ludzi czymś, co wyglądało jak miecz, choć żadnych ciał nie odnaleziono, a nikt ich wersji nie potwierdził - to chyba dziwniejsze niż obecność przy tym księdza, chociażby był chory!

- Chyba że to on był zabójcą.

- Słucham?! - Gloters otworzył szeroko oczy.

- Chwilę później na podwórko weszła ta lekarka.

- Doktor Sambierska?

- Tak. Lorent wyraźnie próbował ją namówić, żeby wróciła, ale nie chciała. Nagle jeden z tych mnichów wyjął miecz i rzucił się w jej kierunku.

- Chciał ją zabić?

- Ponad wszelką wątpliwość.

- A ten Lorent?

- Właśnie. - Lipszyc pokiwał głową. - Ten Lorent...

- Co ten Lorent?! - zniecierpliwił się Henio.

Polityk ponownie westchnął.

- Akcja trwała dosłownie kilka sekund. Facet odebrał temu pierwszemu miecz jak dziecku, zabił go, kiedy tamten atakował lekarkę, a gdy dwaj pozostali próbowali go załatwić...

- Co się wtedy stało? - Henio cały czas się niecierpliwił.

- Żebyś to widział, człowieku. - Lipszyc pokręcił głową, jakby sam wciąż nie mógł w to uwierzyć. - Bruce Lee to przy tym gościu dzieciak. Jak on to zrobił! Nigdy czegoś takiego nie widziałem, nawet w telewizji. W mgnieniu oka wszyscy ci trzej mnisi leżeli martwi na ziemi.

- Trzej? - upewnił się Gloters.

- To było właśnie najdziwniejsze. Czwarty stał i nic nie robił. Tylko patrzył. Kiedy wszystko się skończyło, a Lorent z lekarką zniknęli, podszedł do tych martwych, posypał czymś, potem polał i podpalił. Nie wiem, co to były za substancje, ale po mnichach nie zostało dosłownie nic. Kiedy przyjechała policja, wszystko już zdążył posprzątać. Nie wiem, co to było, jakiś kwas czy coś tam, ale paliło się bardzo gwałtownie, cholernie śmierdziało, potem nagle przestało. I pozostał po nich... proszek. Jak to możliwe?!

- Mało możliwe - przyznał Bliski. - A Lorent i lekarka?

- Wzięli się za ręce i spokojnie poszli w stronę parkingu. Tyle widziałem.

- Nie ciągnął jej? Nie używał siły?

- Nie.

- Lekarka poszła dobrowolnie z chorym, który zabił przed chwilą trójkę ludzi?!

- Tak. Mówiłem, że próbował ją nakłonić, aby wróciła.

- Dlatego lekarze nie zgłosili porwania - mruknął Gloters do Henia.

- Zgłosili - wtrącił Lipszyc. - Dlatego w ogóle przyjechała policja. Dopiero na miejscu dowiedzieli się o trupach, po których wszelki ślad zagażał.

- Nie było żadnych śladów osmalenia, pozostałości po ogniu?

- Może i były, ale widocznie za mało, aby potraktować je poważnie.

- Cholera! - mruknął do siebie ze złością aspirant. - Skoro wezwali ich do porwania, dlaczego w papierach niczego o tym nie ma?! Kto powypisywał te głupoty?!

- Ktoś - odparł wolno Lipszyc - komu zależało nie tylko na tym, aby z niewiadomych względów ukryć całą aferę oraz umorzyć sprawę na policji, ale także, by zataić przed światem fakt, że był i żył kiedyś ktoś, kto nazywał się Krzysztof Lorent i raczej nie był zwykłym księdzem. Mogę już dostać to, co mi pan obiecał?

W samochodzie długo panowała cisza. Gloters w zamyśleniu patrzył przez boczną szybę na mijające witryny sklepowe i ludzi na chodnikach. Henio skupił się na prowadzeniu, ale co pewien czas zerkał na koleję, jakby sprawdzał, czy wszystko jest w porządku.

- Dobrze zrobiliśmy, że oddaliśmy te papiery? - spytał wreszcie z wyraźnym sceptycyzmem.

- Człowiek, który mi to załatwił, chciał, aby dokumenty zniknęły. U tego gnoja będą najbezpieczniejsze - mruknął pod nosem Bliski.

- Wierzysz mu?

- Gdybym nie widział tamtych obciętych głów, miałbym go za świra, ale teraz... chuj wie, co o tym myśleć. Dla mnie sprawa śmierdzi na całej linii.

- Zaczynam się trochę bać, Gloters - zwierzył się szczerze Henio.

- Co?!

- Pomyśl - kontynuował odważnie. - Ktoś nie wiadomo po co upycha cholernie groźnego zabójcę w szpitalu dla pierdolniętych, kryją go nie tylko lekarze, gliniarze, ale i - jeśli to rzeczywiście były ksiądz - nawet Kościół.

- Nie wierzę, żeby to był ksiądz, ale mów dalej.

- Jak chcesz, niech ci będzie, ale zobacz, tylu ludzi zataja prawdę; to musi być straszny człowiek.

- Nie gadaj głupot, Młody. - Gloters pokręcił głową. - Nieważne, jak groźny jest zabójca, tylko jak groźni są ci, dla których pracuje. Samemu gównu można zdziałać. Nawet jeśli zdał maturę w klasztorze Shaolin, od kuli nie ucieknie. Dla mnie to tylko chwast, którego trzeba wyrwać.

Obaj roześmieli się jednocześnie.

- Ale chyba masz rację. - Bliski spoważniał. - Ktoś zajebiście wpływowi go chroni i do tego kogoś trzeba dotrzeć.

- Nie za krótko jesteśmy, Gloters? - spytał Henio z jeszcze większym sceptycyzmem niż poprzednio.

Bliski odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

- Nigdy tak, kurwa, do mnie nie mów! - Uniósł groźnie palec. - Albo jesteś policjantem, albo spierdalaj!

- Dobrze już, dobrze - mruknął pod nosem Henio. - Nic nie mówię przecież. Tylko to wszystko jakieś takie pojebane. Ci mnisi, te miecze, lekarka, która idzie z zabójcą jak na randkę, nic tu się nie klei. Może po prostu ktoś próbuje nas wyruchać na szaro i podrzuca jakieś idiotyczne papiery z tego wezwania do szpitala, a my to łykamy.

- Nikt nam ich nie podrzucił, to wiem na pewno.

- Po co w ogóle te papiery były w archiwum? Gdyby rzeczywiście to było takie śliskie, zwyczajnie zabraliby całą teczkę i do pieca.

- To nie takie proste, ale trochę w tym racji jest; skoro mają siłę, aby powstrzymać przed zeznaniami taką armię ludzi, mogą i wymazać akta. Chyba... chyba że wcale tego nie chcą. Chcą tylko, aby ludzie inaczej myśleli i stąd te fałszerstwa. Gdyby Lorent nie wrócił i nie poobcinał głów tym z Mokotowa, nigdy bym tych akt nie potraktował poważnie.

- To żadne akta, to stek bzdur - zachnął się Henio.

- Nieprawda. - Gloters poruszył znacząco palcem. - Podstawą jest meldunek, że zaginęła lekarka, z podejrzeniem porwania przez pacjenta, który zbiegł. Takie przyjęto zgłoszenie. Ten gogus Kępiński pojechał tam ze swoimi, zebrał gadki od wszystkich i zanim skończył, lekarka się znalazła. Są zeznania personelu o niej. Później kontrola pacjentów wykazała, że nikogo nie brak, i

jeszcze do tego są jej przeprosiny za pomyłkę. Wyjaśnieniom chorych nie dano wiary i zakończono sprawę - „nieszczęśliwy zbieg okoliczności spowodował tę pomyłkę”.

- Roztrąbić to w prasie, może pismaki pomogą?

- Tylko nie pismaki! - uciął Bliski. - Gdybym mógł, worki na głowę, wystrzelałbym ich wszystkich i zakopał w głębokim lesie! Poza tym, nawet gdybyś do nich poszedł, co byś im powiedział? Nie ma trupów, nie ma winnych, nie ma porwania. Niczego nie ma!

- To co jest?

- Myślę, że głupek w piwiarni mówił prawdę, przynajmniej częściowo. Tam zdarzyło się coś strasznego i zanim zdołano opanować sytuację, wezwano gliny. W psychiatryku, jeśli lekarz dyżurny ginie z oczu choćby na pięć minut, wzywa się pomoc. To nie jest zwykły szpital, tylko budynek pełen niebezpiecznych świrów. Potem zjawili się ci, którzy stoją za Lorentem i załatwili sprawę. Wtedy machnął dla nich robotę - choć nie mam pojęcia, na kim był ten wyrok wykonany i dlaczego akurat w takim miejscu - po czym zniknął. Teraz wezwali go ponownie i znowu zabija.

- Okej. - Henio skrzywił się. - Jak chcesz ich dorwać?

- Po kolei. Powoli. Bez odpuszczania. Tak jak się, kurwa, należy. Policja jest policją.

Przez dłuższą chwilę znowu jechali w milczeniu.

- Wiesz, że Zdzisław był u Romana Wydrzyckiego? - spytał Henio, gdy minęli kilka przecznic.

Bliski nie odpowiadał, jakby nie słyszał pytania.

- No wiesz, ten od fitness, siłowni...

- Wiem - odparł zdawkowo aspirant.

- Zszywali chłopaka, może jednak trochę przesadził? Mówiłeś, że nie poślesz do niego.

- Wkurwiał mnie. Ile można tłumaczyć?! Nie mam czasu na takie gadki, jak wtedy.

Henio wzruszył ramionami.

- No może masz rację. Mnie też trochę wkurwiał.

Aurelita rozejrzał się dookoła. No polanie szybko dostrzegł samotnego mężczyznę. Siedział na pieńku przodem do grzejącego dokuczliwie słońca. Koniec wiosny definitywnie rozgonił nad południową Francją chmury, co przez ostatni tydzień zapewniło typowo południowy upał. Siedzącemu na pieńku mężczyźnie, ubranemu całkowicie na białą, raczej to nie przeszkadzało. Sprawiał wrażenie medytującego wędrowca, przemykającego od czasu do czasu na

dłuższy czas oczy, słuchającego chciwie natury, będącego, mimo smutnego spojrzenia, oazą spokoju. W dłoni trzymał ładnie oprawioną książkę, ale teraz akurat jej nie czytał.

Luigi Balea szedł w tamtą stronę powoli, wyraźnie radując się na jego widok, choć z niejedną obawą w sercu, jak to zwykle bywa, gdy łamie się dane kiedyś słowo.

- Wiedziałem, że mimo wszystko przyjedziesz, Krzysztofie - powiedział pełnym głosem, gdy zbliżył się do niego. - Witaj i... spróbuj mi wybaczyć. Szybko cię przekonam, że nie miałem innego wyjścia.

Nachylił się i położył na otwartej książce zwinięty kosmyk trawy, który otrzymał w liście.

Mężczyzna podniósł się wolno i lekko skłonił głowę.

- Dobrze wyglądasz, Luigi - odparł cicho. - Widzę, że służy ci to, co robisz.

- Odbiorę to jako komplement. - Balea starał się uśmiechnąć.

Mężczyzna ponownie skinął głową. Rozejrzał się dookoła, mrużąc lekko oczy.

- Cztery lata temu... A ja pamiętam, co się stało w tym miejscu, jakby to było wczoraj.

- Pamięć jest tym, w czym raczej mało kto ci dorówna - zauważył Luigi. - Żałuję, że przeszłość nie zawsze była taka, jaką byśmy chcieli pamiętać, ale Iosif Punin nie zginął na darmo. Paradoks polega na tym, że być może on sam dzisiaj zgodziłby się ze mną.

- Widzę, że niewiele się zmieniłeś. - Krzysztof uśmiechnął się smutno. - Znajdujesz nadzieję nawet w tym, co najbardziej bezpowrotne. Chyba zawsze ci tego zazdrościłem.

- Obawiam się, że ty niczego i nikomu nie zazdrościsz, Kapłanie. Jesteś, kim jesteś, bo tak stanowi przeznaczenie. Między innymi dlatego teraz rozmawiamy.

- Nazywam się Krzysztof Lorent - odparł stanowczo mężczyzna - polski ksiądz, któremu nigdy nie pozwolono zaznać spokoju w domu bożym ani gdziekolwiek indziej, jeśli takie miejsca istnieją. Dlatego teraz rozmawiamy. Jestem sługą bożym, który musiał zrzucić sutannę, nie dlatego że tego chciałem, ale dlatego że tak chciał Bóg. Choć ciągle nie mogę zrozumieć przyczyny. Dlaczego nie chcesz mi dać spokoju, Luigi?

- Bo jesteś Wielkim Kapłanem Wiedzy i są sprawy, które możesz załatwić tylko ty! - odpowiedział zdecydowanie, ale raczej bez patosu w głosie, na co mogłaby wskazywać dość podniosła treść tego zdania.

- A ty jesteś przywódcą aurelitów, najpotężniejszego tajnego bractwa na Ziemi, przy których masoneria to harcerzyki grające w podchody! - odwdzieczył się podobną deklamacją, wyraźnie go przedrzeźniając, Lorent. - Po co ci facet, który chce trochę spokoju, a od innych różni

się tylko tym, że trochę więcej wie i pamięta? Tak naprawdę potężny jesteś ty. Ja umiem tylko kilka sztuczek.

Luigi uśmiechnął się, kiwając przez chwilę głową, ale szybko spoważniał

- Nie żartujmy, Krzysztofie. - Usiadł na trawie i zachęcił Lorenta, by zrobił to samo. -

Pojawił się ktoś bardzo niebezpieczny, kto zabija, i to na zlecenie bardzo groźnych ludzi.

- Czy nie powinna zająć się tym policja? - mruknął nieco znudzony Kapłan, siadając naprzeciwko aurelity.

- Coluneo mówił prawdę - zignorował uwagę Balea. - Chodzi o Kapłana, o prawie takiej mocy, jaką ty masz. Nie powiedział ci tylko, że to... kobieta.

- Niemożliwe - zaprzeczył natychmiast Krzysztof. - Nawet jeżeli jakimś cudem pojawił się ktoś taki jak ja, nigdy nie słyszałem, żeby kiedykolwiek wśród nas pojawiła się kobieta.

- W twojej linii, tak.

- A w linii Aureliusza?! - spytał z niepokojem Lorent.

- Pisma przekazują takie przypadki, chyba że Aureliusz Marcelin lub jego potomkowie kłamali.

- Boże drogi...

Krzysztof położył na trawie książkę, wstał i zaczął przechadzać się po łące.

- Co o niej wiecie? - spytał cicho po chwili.

- Jest zabójczynią na zlecenie. To młoda Japonka, podobno - co szczególnie ciekawe w tym przypadku - z amnezją. Nie pamięta, kim jest, skąd pochodzi, kim byli jej rodzice, ale to, co ty... pamięta tak jak ty. Nie wie nawet, jak się naprawdę nazywa, znana jest jako - Haiku.

- Haiku...

- Tak. Podobno zanim dokona egzekucji, cytuje ofiarom krótkie wiersze japońskie. Nie używa broni palnej, ma miecz *oshido*, oczywiście jest nieprawdopodobnie sprawna. Jest...

- Dla kogo pracuje? - przerwał Kapłan.

Luigi wziął głęboki oddech.

- Dla... Trantignana.

- Co?! - Lorent odwrócił się gwałtownie. - Dla aurelity?! Dla was?!

- Nie dla nas. Luc Trantignan zniknął ponad trzy lata temu. To skomplikowane, ale... wystąpił przeciwko nam. Stał na czele zbuntowanych...

- Mówiąc w skrócie, nie dokończyłeś tego, co wtedy zacząłeś - ponownie przerwał mu Krzysztof. - Masz opozycję, i to... - nagle zamilkł i zaczął świdrować wzrokiem Baleę. - Jasne! - Roześmiał się smutno. - Ona morduje waszych ludzi!

- Tak - odparł zimno Luigi. - Nie mam zamiaru tego przed tobą ukrywać, i tak szybko się zorientujesz.

- Wzywasz mnie, bo ktoś używa jej do mordowania waszych ludzi, i chcesz, żebym stanął po waszej stronie?

Aurelita również się podniósł i podszedł do Lorenta.

- Wiesz, co będzie, jak wszystko wyjdzie na jaw?!

Wszystko, co było jedną z najbardziej strzeżonych tajemnic historii?!

- Wasz koniec?

- Nie, Krzysztofie. Przede wszystkim chaos. Niekończąca się przemoc, żądza odwetu, terroryzm, nienawiść. Nowa wojna kultur, jak ta między Zachodem a światem doktrynalnego islamu. Takich World Trade Center z 11 września będą setki!

- Indianie Kaneczua uznaliby podobnie sformułowany argument za obrazę - podjął bez emocji Krzysztof.

- No dobrze. W takim razie czy mogę wiedzieć, co ty sądzisz?

- Ze mocno przesadzasz. Kwestie religii, przynależności kulturowych, wiary są kwestiami pozanaukowymi i opartymi na zupełnie innych przesłankach. Niezależnie od tego, ile wymyślisz dowodów na nieistnienie Boga, prawdziwych wiernych nigdy nie zniechęcisz. Identycznie jest z takimi jak ja czy Haiku i z wami - aurelitami. Ludzie instynktownie pojmują świat z punktu widzenia ograniczeń, które narzuca im natura. Jeśli nagle spotkają się z czymś, co wykracza poza te granice - odrzucają to i wymażą ze świadomości wszelkimi dostępnymi środkami, nawet oczywistym kłamstwem. Nie uwierzą, nie zaakceptują, nie przyjmą. A politycy, głównie z tego właśnie powodu, staną w pierwszym szeregu, aby ukryć prawdę. Zrobią to sprawnie, bo stanowią władzę, a przez zwykłych obywateli własnych krajów zostaną wybrani za to na następną kadencję. Tak przy okazji; jak już wiesz z naszego wspólnego doświadczenia, żaden szanujący się dziennikarz w obawie przed śmiesznością nie ruszy tego tematu. I tak zakończy się twój wielki kulturowo-społeczny, historiozoficzny skandal.

Przez chwilę patrzyli na siebie w ciszy. Wreszcie Luigi pokiwał wolno głową, nie usiłując nawet podważać wyводу Krzysztofa.

- Nie będę cię już więcej przekonywał. Proszę, abys mi pomógł - powiedział cicho, ale dobitnie.

- Pomogłeś mi kiedyś odzyskać wolność. Ja też spróbuję ci teraz pomóc - odrzekł Kapłan.

- Pomogłem ci wtedy, cztery lata temu, bo to leżało ściśle w moim interesie - przypomniał Luigi. - Pomóż mi teraz, bo tym razem leży to ściśle w twoim interesie i wiesz, że mam rację.

Lorent roześmiał się z uznaniem, ale po chwili poruszył ostrzegawczo palcem.

- Masz rację, wybacz. - Luigi skłonił się przeprasząco. - Ale kiedy zobaczyłem twoją przesyłkę, wiedziałem, że nie zostawisz mnie z tym samego. Pozwól, że przedstawię ci sytuację.

- Innym razem, muszę już iść. - Krzysztof podniósł z trawy książkę i ruszył w stronę drogi.

- Poczekaj! - Luigi znów zbliżył się do Kapłana. - W Polsce wyplęnęła sprawa ze szpitalem, ta sprzed czterech lat.

- Nie była umorzona?!

- Była, wszystko wyczyściliśmy. Ale to nie Kępiński. Jakichś dwóch policjantów grzebie w tym, bo skojarzyli z tobą jeden popis Haiku. Myślą, że ty wróciłeś i zabijasz ludzi.

Lorent odwrócił się raptownie i rzucił gniewne spojrzenie na aurelitę.

- Mówiłem ci. Ona zniszczy nas wszystkich, jeśli jej nie powstrzymasz - nie ustępował Balea.

Lorent spuścił głowę, ciężko wzdychając.

- Czy Ola jest bezpieczna?

- Pilnujemy jej i profesora. Włos im z głowy nie spadnie. Pojedziesz do Polski?

- Skontaktuję się z tobą - rzekł cicho i szybko odszedł w stronę drogi.

- I co ona teraz robi? - spytał Henio, przetykając kanapkę z boczkami.

- Żyje z jakimś profesorem historii czy czegoś tam. Jeszcze nie wiem wszystkiego - odburknął Gloters. Był wkurzony i drażniły go pytania młodego. Drugą godzinę siedzieli w samochodzie, obserwując szpital.

- To może kiedy indziej do niej pójdziemy.

- Dzisiaj ją przesłuchamy i nie wpieniaj mnie.

- O co ci, kurwa, chodzi?! Zrobiłem coś?! Wiem przecież, jak chujowo to idzie, ale coś już wiemy, nie?

- Gówno wiemy! Jak już się wydaje, że więcej wiemy, nagle okazuje się, że wiemy jeszcze mniej niż poprzednio! Wszędzie szlaban! Wkurwia mnie to tak, że jak ktoś mi dziś podejdzie pod rękę, przyjebię, aż pofrunie!

- Tylko nie mnie - na wszelki wypadek zaznaczył Henio.

- Żaden z moich kapusiów niczego nie może wywęszyć albo wszyscy tak srają ze strachu w gacie, że nic od nich nie można wydusić! - kontynuował Bliski, nie zwracając uwagi na Młodego. - Tydzień temu uruchomiłem Raptusa do lekarki i wiesz co?! Przez ten czas dowiedział się, że mieszka z jakimś historykiem kultury, który wykląda na uniwerku! Ale mi wiadomość! Zajebicie przydatna w śledztwie! - Gloters trzepnął ze złością ręką w kierownicę.

- Może rzeczywiście ją przesłuchajmy - mruknął nieśmiało Henio. - Ale jak Szeryf się dowie, co robimy, zajebie nas.

- Szeryf chce wyników śledztwa morderstwa tych trzech z mokotowskiego, nic więcej go nie obchodzi.

- A jeśli obchodzi?

- Zostaw to mnie. Czego biadolisz?

- Bo jak się dowie, że grzebiemy w umorzanej sprawie, mamy przesrane.

- Jest! - wybuchnął nagle Bliski i wskazał wychodzącą ze szpitala Aleksandrę Sambierską.

- Idzie do swojego samochodu, jedziemy za nią!

Henio schował kanapkę i zapiał pas.

- Gdzie ją bierzemy?

- U niej w domu, chcę ją trochę poobserwować.

- Może nas wyrzucić, nie mamy nic na nią.

- Może nie. Zamknij się, jedziemy.

Doktor Aleksandra Sambierska-Wilecka, niewysoka, rudawa lekarka, na oko trzydziestka, w rzeczywistości trochę starsza, jechała swoim oplem dość wolno i ostrożnie. Możliwe, że korzystała z chwili odpoczynku po pracy, relaksując się w czasie powrotu do domu, w którym czekała ją - jak często w życiu kobiet się zdarza - druga praca, czyli dom i obsługa księcia małżonka. Profesor Bogdan Wilecki, za którego wyszła dwa lata temu, niegdyś wybitny historyk kultury, etnograf, antropolog, arogant, buntownik i podrywacz, nie był aż tak życiowo kłopotliwy,

jak głośno ciągnące się za nim referencje, ale co - na szczęście i nieszczęście kobiet - przeważnie zdarza się facetom, był... klasycznym facetem.

Niezależnie od tego, przystopował po ślubie ze zbytnim poświęceniem się karierze (czym niegdyś zgorszył przyjaciół i środowisko), ograniczył obowiązki na uczelni i... postanowił zostać dobrym mężem. Taką wersję przyjął i takiej się trzymał, nie zawsze, co prawda, dotrzymując kroku tej idei, ale nigdy nie podając w wątpliwość przywiązania do żony, którą kochał całym sercem, czego nie sposób było przegapić i co czyniło ich parę coraz nudniejszą towarzysko. Szczęście w małżeństwie jest bowiem cnotą stosunkowo mało cenioną w codziennym, nowoczesnym, społecznym PR⁴⁹, który - jak uczą nowe czasy - żywi się przede wszystkim wszelkimi stawiającymi włosy na głowie potwornościami, a nie, broń Boże, harmonią czy upierdliwym eudajmonizmem. To jednak państwo Wileccy mieli, jak wskazywała ich postawa, ponad wszelką wątpliwość - w dupie.

Można więc śmiało podejrzewać, że obowiązki domowe, które czekały na doktor Sambierską, choć prawdopodobnie trudne i pracochłonne, raczej nie sprawiały jej przykrości, a były źródłem satysfakcji, może nawet inspiracji.

Dlatego gdy po zaparkowaniu samochodu zbliżyła się do drzwi wejściowych swojego bloku, pogrążona w twórczych myślach, poczuła złość na widok dwóch facetów z wyciągniętymi legitymacjami policyjnymi. Widać było wyraźnie, że starają się być uprzejmi, co wyrażali sztucznymi uśmiechami, ale jej instynkt psychiatry uszczypnął ją w policzek i kazał być czujnym.

„Czego do cholery mogą chcieć gliniarze pod moim domem, i to późnym popołudniem, zamiast na przykład o szóstej, kiedy to służby mundurowe najczęściej odwiedzają obywateli tego kraju?” - pomyślała złośliwie, jednocześnie starając się szybko przypomnieć sobie przebieg ostatnich dni. „Coś w szpitalu? Jakies kłopoty Bogusia z cłem tych figur z Barbadosu?”.

- Podkomisarz Henryk Kuraś i starszy aspirant Witold Bliski - przerwał jej rozmyślenia starszy i grubszy z nich. - Możemy porozmawiać?

- A przepraszam, na jaki temat? - spytała rzeczowo.

- Na temat pani pacjenta.

- Na te tematy nie mogę rozmawiać, nawet z policją, bez nakazu sądowego - odparła spokojnie.

- Nie jesteśmy ciekawi jego chorób - mruknął już chłodniej Bliski. - Raczej chodzi nam o jego stosunki z panią.

⁴⁹ PR (ang.) - Public Relation - dosł. „relacja z publicznością”. W reklamie, biznesie i kulturze społecznej - wizerunek publiczny oraz sztuka jego kształtowania przy użyciu środków masowego przekazu i wszelkich innych dostępnych środków funkcjonujących w komunikacji społecznej.

Stojący obok Henio jakby stracił nagle rezon po tych słowach kolegi.

- Poproszę jeszcze raz pańskie nazwisko i numer służbowy - przystąpiła do ataku lekarka. -

I na tym zakończymy tę rozmowę. Chyba że jestem oskarżona i ma pan nakaz aresztowania.

- Na razie rozmawiamy nieoficjalnie - nie ustępował Gloters. - Ale jeśli odmówi pani współpracy, może się okazać, że jest pani oskarżona o współudział w zabójstwie.

Henio miał ochotę zapaść się pod ziemię lub jeszcze lepiej wypierdolić na Madagaskar, gdzie nie dopadną go ci, którzy będą rozliczać ich z tej rozmowy.

- Żegnam. - Sambierska pchnęła drzwi wejściowe i weszła na klatkę schodową.

- Mam świadka, który widział, jak uciekała pani z Krzysztofem Lorentem w chwilę po dokonaniu przez niego potrójnego morderstwa! - wrzasnął za nią wściekły aspirant. - Cztery lata temu!

Lekarka zatrzymała się i wolno spojrzała przez ramię. Policjant trzymał nogą drzwi, aby się nie zatrzęsły.

- Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi - odparła dobitnie, ale wyraz jej twarzy zmienił się nie do poznania. Zniknęły z niej całkowicie wcześniejsze oznaki beztrioski i resztek dobrego humoru.

„Bingo!” - ucieszył się w myślach Gloters.

Szybko się jednak okazało, że stanowczo zbyt wcześnie. Lekarka przymrużyła oczy i pokręciła głową z politowaniem. Stała się zagadkowo opanowana, co zaczęło niepokoić Glotersa, bo przecież na dźwięk nazwiska Lorenta powinna całkowicie zmięknąć!

- Kto panu naopowiadał takich bredni? - spytała znowu spokojnie, choć jej chłodne spojrzenie zdradzało zirytowanie.

- Chciałaby pani wiedzieć, co? - Policjant obleśnie wyszczerzył zęby. - Chętnie to pani powiem, ale najpierw chcę usłyszeć kilka odpowiedzi na moje pytania. Stoi?

Sambierska uśmiechnęła się delikatnie, ale tym razem z zaskakującą troską, jakby Gloters jej właśnie wyznał, że w związku z odkryciem rozmiarów własnej głupoty postanowił rzucić się pod tramwaj.

- Niech pan uważa, panie aspirancie - wycodziła przez ramię niemal szeptem i szybko wspięła się na schody.

Gloters usiłował jeszcze coś powiedzieć, ale nagle poczuł, jak Kuraś łapie go mocno za ramię.

- Czego chcesz?! - warknął wściekły grubas.

- Idziemy stąd - odrzekł zdecydowanie Henio, zaskakując go tym chyba jeszcze bardziej niż przed chwilą lekarka.

- Co ty gadasz?!

- Wituś, jesteś wspaniałym glina, bardziej ode mnie doświadczonym, oblatanym i wiedzącym wszystko, co trzeba, ale to ja jestem wyższy stopniem i teraz ci mówię, że działasz pod wpływem emocji, pakując nas właśnie w gówno. - Nabrał głęboko powietrza, patrząc na kolegę z niemalym strachem. - Po pachy - uzupełnił, całościowo ukazując swoją ocenę sytuacji.

Bliski nie zdążył nawet po raz kolejny wybuchnąć złością, kiedy poczuł na szyi nieprzyjemny chłód sztyletu oraz silną, wprawną dłoń przytrzymującą mu czoło. Mimo że ułamek sekundy wcześniej dostrzegł zadziwiająco szybko i cicho poruszającą się postać, która właśnie oparła ostrze swojego noża na krtani Młodego, nie zdążył zareagować. Teraz po jego kręgosłupie rozlał się rozpierający ból. Raczej niezbyt silny, ale złowieszczy i paraliżujący. Zaskoczenie i szok odebrały mu na kilka sekund władzę nad umysłem i odruchami. Nie był w stanie poskładać myśli ani zaplanować jakiegokolwiek obrony. Tkwił w bezruchu, czekając na najgorsze.

Z cienia wyłoniła się trzecia postać w ciemnozielonym habicie z kapturem, narzuconym na głowę i zakrywającym część twarzy. Człowiek, który trzymał Młodego, wyglądał niemal identycznie, więc Bliski wywnioskował, że podobnie musi być z właścicielem sztyletu spoczywającego na jego szyi. Napastnicy wymienili kilka zdań po francusku takim tonem, jakby popijali herbatę w kawiarni, przez moment zupełnie nie zwracając uwagi na zaatakowanych policjantów. Po chwili czwarty z nich, do tej pory niewidoczny, stojący za rogiem ściany, wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi. Na klatce schodowej panował półmrok i przez kilka sekund kompletna cisza.

- Proszę o spokój - rzekł wreszcie po polsku „ten trzeci” i skupił się na Glotersie. Miał chłodne, wyważone spojrzenie, około pięćdziesięciu lat. Policjant nie był w stanie zobaczyć dokładnie jego twarzy, ale to, co widział, wystarczało, aby najzwyczajniej w świecie obleciał go strach. Nigdy nie miał nikogo takiego przez sobą. Siła bijąca ze spojrzenia tego człowieka w żaden sposób nie przystawała do gęb zwykłych rabusiów, gnoi, którzy okradają staruszki w ciemnych bramach czy nawet cyngli z Mokotowa, do których Bliski był przyzwyczajony na co dzień. Była w nim jakaś potwornie wyrachowana elegancja i nienaturalny spokój. Nieznoszący sprzeciwu sposób bycia, a co najgorsze - o tym wszystkim potrafił przekonać Glotersa w kilka sekund, które właśnie upłynęły.

- A więc co by pan chciał wiedzieć? - spytał mężczyzna.

- Nie, nic! - niemal krzyknął aspirant. - Pomyliliśmy się...

- Proszę o spokój - powtórzył mnich. - Proszę śmiało mówić. Jeśli zachowa pan rozsądek, nie zrobimy nikomu krzywdy.

- Jesteśmy rozsądni, znikniemy i nie będziemy sprawiać kłopotów.

Mężczyzna nie spuszczał wzroku z policjanta.

- Odpowiem na pańskie pytania, jeśli doktor Sambierska już nigdy nie będzie przez nikogo niepokojona. Zgadza się pan na taki układ? - ciągnął beznamiętnie. - Być może nie na wszystkie, ale ręczę honorem, że usłyszysz pan prawdę.

Gloters był tak zaskoczony, że przez moment nie potrafił wydusić słowa.

- Słucham - zachęcił mnich.

- Czy - zaczął niepewnie aspirant. - Coś... panowie wiedzą na temat morderstwa w Wilanowie. Obcięto tam... no... głowy... mieczem...

- Wiemy - odparł spokojnie mnich.

- Czy... to Krzysztof Lorent?

- Nie. Może być pan tego pewien.

- A wiedzą panowie, kto?

- Wiemy. Zawodowy morderca, kobieta, Japonka. Nie da pan rady jej złapać.

- Japonka... kobieta... - Gloters idiotycznie rozdziawił usta. - Czy jest jeszcze w Polsce?

- Widzę, że pan nie rozumie. Jeśli wejdziecie jej w drogę, czeka was śmierć. Nie miał pan nigdy z kimś takim do czynienia.

- Nie chcecie...

- My panu akurat w tym nie będziemy przeszkadzać. To pański wybór. Tylko ostrzegamy.

- A Lorent, cztery lata temu? Ten człowiek istnieje, prawda?

- Krzysztof Lorent jest niezwykłym człowiekiem, i to w sposób, który ciężko panu będzie zrozumieć. Zapewniam, że nigdy nikogo nie zamordował, choć kilka razy w życiu musiał się bronić.

- Ale cztery lata temu...

- To musi panu wystarczyć.

- Te akta są...

- Proszę zrozumieć - mnich delikatnie podniósł głos. - Lorent to w pewnym sensie pański sprzymierzeniec. Jedyny człowiek, który jest w stanie powstrzymać Japonkę. Ale jeśli zacznie pan uparcie drażnić sprawę szpitala, skrzywdzi pan wiele niewinnych osób, a celu nie osiągnie.

- Czy ta Japonka jest jeszcze w Polsce?

Mnich cicho westchnął.

- Widzę, że pana nie przekonałem. Ale jednak proszę pamiętać, że ostrzegałem. - Dał niemal niezauważalny znak pozostałym dwóm mężczyznom, którzy błyskawicznie schowali noże, po czym zniknęli w korytarzu, za rogiem ściany. On jednak został przez chwilę. Nasunął głębiej kaptur i jeszcze raz spojrzał na Glotersa.

- Niech pan pamięta - ostrzegł ponownie i szybko odszedł w tym samym kierunku, co jego towarzysze.

Gloters dopiero teraz usłyszał urywane sapanie Młodego.

- T... tam - wyjąkał Henio, wskazując palcem korytarz za rogiem. - Jest drugie wyjście?

- Nie będziemy dzisiaj tego sprawdzać - odparł Bliski pewniejszym już głosem.

Boże mój! Stwórcu wszystkiego, przyjacielu zbłąkanych... Oddaję Ci się w pokorze, proszę jednak, byś pozwolił mi zachować otwarty umysł, duszę czystą, a zmysły skupione. Pozwól mi korzystać roztropnie z daru, którym mnie kiedyś obdarzyłeś, ale pozwól też mieć wątpliwości...

Ścieżka, którą mnie prowadzisz, jest tak trudna i kręta... Na szczęście słabości każą mi wciąż być czujnym. Zachowaj w opiece moich bliskich, z którymi być może nie będzie mi już dane nigdy żyć. Obdarz ich darem zapominania, skoro mnie nigdy to nie będzie dane. Amen.

Krzysztof wolno wstał, otrząsał kurz z kolan i usiadł na łóżku. Pokój, w którym teraz mieszkał, był mały i skromny. Sprzyjał medytacji, pozwalał na spokojny odpoczynek. Szafa, stół i twarde łóżko - jedyne stojące tu meble - w tym samym, ciemnobrązowym kolorze sprawiały wrażenie już dość leciwych, choć solidnych, z twardego, dębowego drewna. Niewielkie okno nie przeszkadzało Kapłanowi. Całe miasto pełne było słonecznego światła, niech więc miejsce odpoczynku będzie chłodne i zaciemnione.

- Materiały, które mogą się przydać, czekają w skrytce numer 92. Klucz zostanie przysłany pod adresem skrytki pocztowej, którą podałeś. Powodzenia, Krzysztofie - rzekł z nadzieją w głosie Luigi Balea.

- Pamiętasz o mojej prośbie... - Krzysztof zawahał się przez chwilę i poprawił słuchawkę, którą trzymał przy uchu.

- Będę pilnował spraw, o których mówiliśmy. Nie musisz się martwić - powiedział szybko Luigi.

- Chron ją i wszystkich wokół niej.

- Nie spuszczam z niej oka. Policjanci, którzy ją niepokoili, zostali ostrzeżeni.

- Ostrzeżeni? - w głosie Lorenta zabrzmiał niepokój.

- Wszystko w porządku. Zaspokoiliśmy ich ciekawość, która stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Ostrzeżyliśmy ich przed Haiku, ale chyba nie zrezygnują ze ścigania jej.

- Zgaduję, że to przewidziałeś.

Balea wyczuł teraz z kolei pretensję w głosie Kapłana.

- To ich własny wybór - rzekł. - Nie sądzę, aby niepokoili twoich przyjaciół. To najważniejsze. Tu w razie konieczności będziemy bardziej stanowczy.

- Nie próbuj się więcej ze mną kontaktować, Luigi. Zrobię, co trzeba, i odejdę. Nie proszę cię nawet, abyś mi to obiecał. Po prostu tym razem uszanuj naszą umowę.

W słuchawce na dobrych kilka sekund zabrzmiał cichy szum, jakby przerwano połączenie. Po chwili jednak Lorent znowu usłyszał głos Luigiego.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym mieć twoje możliwości. Całe życie ci tego zazdrościłem. Ale to ciebie Bóg wybrał na Kapłana i ani ty, ani ja nic na to nie poradzimy. Gdybym tylko mógł, zapewniłbym ci spokój na całe życie, ale jesteśmy, kim jesteśmy, i spokój musimy zostawić zwykłym śmiertelnikom.

- Żegnaj, Luigi - powiedział Krzysztof zdecydowanie i dość chłodno, jakby wydawał polecenie, ale Balea wyczuł nutę smutku, może nawet żalu.

- Opiekuj się tymi, których kocham. I nie zawieź mnie - dokończył Kapłan.

ROZDZIAŁ 4

Ksiądz Adrian Czelejewski jeszcze raz pochylił się nad księgą. Poprawił okulary i podrapał się w nos. Mimo że nie miał jeszcze trzydziestu lat, wzrok posiadał zdecydowanie gorszy nawet od księdza proboszcza, człowieka co najmniej dwa razy od niego starszego. Poza tym zdrowie ciała i ducha raczej mu dopisywało, z wyjątkiem może dwóch jego zdaniem niegroźnych przypadłości - bezkrytycznej miłości do potęgi rozumu (ulubiona książka - *Imię Róży*), oraz, co pewnie miało z tym pewien związek - nieograniczonej ciekawości wszystkiego, co warte rozwikłania lub odkrycia. Metafizyka i tajemnice przeszłości, zagadnienia epistemologii, ontologii, którym poświęcił całe niemal - choć jeszcze dość krótkie - życie, niestety nie znajdowały zrozumienia u przełożonych. Zwłaszcza proboszcz, ksiądz Alojzy Demel - doświadczony, surowy duchowny - czynił szczególne wysiłki, by kierować zainteresowania młodego wikariusza na właściwe tory. Oczywiście pasje naukowe Adriana nie były niczym niewłaściwym, chodziło jednak o proporcje między czasem poświęcanym parafii a dociekaniom naukowym, choćby miały charakter mistyczny. Z ich zachowaniem młody duchowny miał spore problemy i tu czujny ksiądz Alojzy zawsze, niestety, służył pomocą. Tak też było i tym razem, kiedy niespodziewanie pojawił się w drzwiach biblioteki, znów zaskakując wikarego nad księgami. Niewiarygodne, że tak otyły człowiek może poruszać się tak cicho, choć chyba każdy by się w tym przypadku zgodził, że dużo musiał wkładać w to serca. Wysilek się opłacił - Adrian został złapany na gorącym uczynku, a dowody raziły silniej niż niegdyś latarnia aleksandryjska, o której tyle razy z zapartym tchem czytał.

- Czy to książki z naszej biblioteki? - spytał, marszcząc czoło, proboszcz.

- Większość nie - przyznał wikary.

- A skąd?

- Niestety... nie mogę powiedzieć - jęknął nie bez strachu.

- Słucham?! - ton głosu księdza Alojzego wskazywał bardziej nawet na zdziwienie niż gniew.

- Szukałem ich miesiącami! Człowiek, który mi je dał... to znaczy pożyczył, zażądał całkowitej dyskrecji. - Wzrok wikarego zza okularów zdradzał niespotykane dotąd podniecenie, co szczególnie zaniepokoiło Demela.

- Wiesz, Adrianie, co przed chwilą powiedziałeś? - spytał proboszcz na razie spokojnie.

- Tak i proszę o wybaczenie. - Poprawił w zakłopotaniu gęstą blond czuprynę.

- Obowiązuje cię posłuszeństwo wobec przełożonych.

- Tak, proszę księdza.

- Więc powiedz mi, kto dał ci te księgi i co w nich jest tak niezwykłego, że od pół godziny bezskutecznie czekam na ciebie w zakrystii!

Adrian rozejrzał się po niewielkiej bibliotece, jakby szukał pomocy.

- Pamięta ksiądz proboszcz, jak rozmawialiśmy o duchownym, o którego tyle razy tu ostatnio pytała policja?

Demel wziął głęboki oddech.

- No... tych dwóch policjantów, pamięta ksiądz? - spytał jeszcze raz dla pewności wikary.

- Prosiłem, abys zostawił tę sprawę...

- Rozumiem, rozumiem - przerwał, zachowując się jak w transie, Adrian. - Sprawy kościelne, chodziło o dyskrecję. Wiadomo, że nie byłoby wskazane, gdyby gazety napisały o duchownym, który postradał zmysły w szpitalu dla psychicznie chorych...

- Nadużywasz mojej cierpliwości, Adrianie - mruknął groźnie proboszcz.

- Ksiądz Krzysztof, którego miejsce tu kilka lat temu zająłem, nigdy nie zwariował! - niemal wykrzyczał jak na podniosłym kazaniu wikary. - I nie zniknął bez przyczyny! - Teraz dopiero odważnie zajrzał w oczy przełożonemu.

Twarz Demela stała się chłodna jak skandynawski głaz.

- Koniec tego tematu! - rzekł groźnie, tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Mówiliśmy o tym już dziesiątki razy. Miałeś przestać się tym zajmować. Miałeś poświęcać czas wiernym i parafii, a nie przykrej dla nas wszystkich przeszłości! Nie znałeś księdza Krzysztofa, nie masz pojęcia, kim był, zanim zachorował i - jak my wszyscy - nie wiesz, dlaczego zaginął. Ci policjanci to nieodpowiedzialni funkcjonariusze, którzy zrobili ci mętlik w głowie tą szpitalną historią. A prawda jest taka, że nie miała tam miejsca, jak twierdzili, żadna bitwa na miecze, tylko... tylko... - proboszcz zająknął się na chwilę, jakby załamał mu się głos. - Tylko ksiądz Lorent... po prostu któregoś dnia wyszedł ze szpitala i nie wrócił. Być może zdarzyło się jakieś nieszczęście, bo nikomu nie udało się go nigdy odnaleźć. Po co przypominasz nam wszystkim te bolesne chwile?

Adrianowi wydawało się, że proboszcz ma w oczach łzy, ale nie mógł być tego pewien. W sali panował półmrok i tylko lampka do czytania, stojąca na stole, pozwalała widzieć kontury regałów.

- Bo bardzo poważnie traktuję słowa Chrystusa, że tylko prawda może nas wyzwolić, księżę proboszczu - odparł twardo wikary i zacisnął usta, gotów przyjąć wszelkie ciosy. - Niezależnie od tego, czy zdarzyło się tam jakieś nieszczęście, czy nie, ksiądz Krzysztof musiał stamtąd uciekać i najprawdopodobniej ucieka do dziś!

Proboszcz powoli zamknął za sobą drzwi od biblioteki, zbliżył się do stolika i zerknął na księgi rozłożone na stole oraz na notatki Adriana.

- Dobrze, jeszcze ten jeden raz cię wysłucham - powiedział zaskakująco spokojnie, wyjmując chusteczkę, aby wytrzeć oczy. - Mów, co niby takiego niezwykłego jest w tych opasłych tomach, ale jeśli dałeś słowo osobie, od której je wzięłeś, i nie jesteś w stanie mi tego zdradzić, musisz je jak najszybciej zwrócić i zakończyć sprawę. To nie prośba, tylko polecenie, które musisz wypełnić, chyba że chcesz złamać śluby posłuszeństwa.

Na twarzy Adriana pojawił się promyk nadziei.

- To... to niewiarygodne - zaczął z niegasnącym podnieceniem. - Pracowałem nad tym prawie pół roku...

- Do rzeczy! - upomniał go przełożony.

- Oczywiście. - Wikary wziął kilka głębszych oddechów. - Cofnijmy się o mniej więcej 1700 lat. Mamy rok 306, Konstantyn zostaje cesarzem rzymskim. Jest poganinem, ale wie, że potęga jego kraju może załamać się pod ciężarem konfliktów religijnych. Chrześcijaństwo urosło w siłę tak ogromną, że nie sposób już jej lekceważyć. Doprowadza więc do soboru w Nikai, czyli inaczej Nicei, gdzie dokonano pierwszej próby stworzenia kanonu Nowego Testamentu...

- I aby do tego dojść, zmarnowałeś pół roku?

- Niech ksiądz słucha. Kanon zatwierdzono ostatecznie w Kartaginie w 397 roku już po śmierci Konstantyna, a spory trwały ponad 70 lat, ponieważ istniała ogromna liczba zwalczających się heretyckich ugrupowań, takich jak ludzie Ariusza czy różnego rodzaju gnostycy, którzy starali się nie dopuścić do ujednoczenia religii.

- Ja też w seminarium uczyłem się o Ariuszu i Atanazym.

- Wiem, ale już o Aureliuszu Marcelinie nie uczono żadnego z nas. A był najpotężniejszym przyjacielem i doradcą cesarza; zniknął z ksiąg historii nie tylko dlatego, że był twórcą potwornie groźnej gnostyckiej sekty, ale przede wszystkim dlatego, że stał się stroną w konflikcie i cesarz zmuszony był go zdradzić, by zwyciężył pokój. Marcelin musiał zniknąć z pamięci ludzi na zawsze!

- Co to za bajki? - mruknął niecierpliwie proboszcz.

- To nie bajki - ciągnął z pasją Adrian, pukając palcem w jedną z ksiąg. - Jego ugrupowanie głosiło, że w czasie jednej z wojen aniołów to nie Szatan został strącony do piekieł, lecz Stwórca, Bóg zdradzony przez zastępy Michała i Lucyfera; a teraz światem rządzi chybiony Bóg - Szatan, który maści umysły i tworzy całe zło świata!

- Mój Boże, Adrianie, kto ci dał te księgi?!

- Człowiek o niezwykłej wiedzy, ale nie mogę zdradzić jego tożsamości. Zresztą to nie Polak.

- Co ma z tym wszystkim wspólnego ksiądz Krzysztof?

- Zaraz do tego dojdę. Tak więc gdyby nie roztropność i stanowczość Konstantyna, na soborze zwyciężyłby MarceLin i całe dotychczasowe dzieło chrześcijaństwa ległoby w gruzach, nie mówiąc już o tym, jak wyglądałby dzisiejszy świat!

- Skoro miał zniknąć z kart historii i z wszelkich ksiąg...

- To nie jest zwykła księga! - przerwał z pasją wikary, kładąc dłoń na jednym z opasłych tomów leżącym na stole. - Tu są potężne fragmenty *Księgi wschodnich masoretów*, czyli słynnych zaginionych *Brunatnych apokryfów*

- To tylko legendy!

- Jak uczy nas historia - nie ustępował Adrian - jeśli coś próbujemy za wszelką cenę ukryć, w którymś momencie zawsze ujrzy to światło dzienne.

- Przyznaję, że zapału ci nie brak - odparł spokojnie proboszcz. - Ale cały czas nie widzę związku z tym, co tak bardzo cię niestety od wielu miesięcy frapuje.

- Aureliusz MarceLin był bajecznie bogaty. Nie szukał jednak zemsty na potężnym cesarzu, nie wszczął żadnej wojny. - Wikariusz nachylił się nad stołem i otworzył jeszcze jedną księgę. Trafiał na odpowiednią stronę i prześledził kilka linijek. - Właśnie! Korzystając ze swojego majątku, szybko zebrał zwolenników i wraz z nimi ukrył się w Galii, na terenie dzisiejszej Francji, rozwijając potajemnie potęgę bractwa, które po jego śmierci zyskało nazwę aurelitów, oczywiście od imienia założyciela.

- Nawet gdyby to była prawda, Adrianie - wtrącił, nie rezygnując z surowej miny, ksiądz Demel - miej na uwadze to, że od czasów Chrystusa powstały dziesiątki, jak nie setki tajnych stowarzyszeń, sekt, bractw - kainici, pryscylianie, marcjonici - i nie przetrwały do dzisiejszych czasów. Pozostały ich niezbyt chlubne legendy. Na tym koniec. Możemy sobie o nich opowiadać, choć za bardzo nie wiem w jakim celu, ale to wszystko.

- Nie w przypadku aurelitów. - Poruszał palcem dla dodania sobie pewności wikary. - Wszystko wskazuje na to, że oni nadal istnieją. Jest na to masa dowodów. Przez wieki uczniowie Marcelina, a później ich uczniowie, za pomocą surowych zasad i świetnej organizacji powiększali i tak już wielki majątek oraz rozszerzali wpływy.

- Wpływy? A jakie może mieć wpływy grupa szaleńców głoszących tak obrazoburcze poglądy?!

- Nie wiem. Ale myślę, że swoje poglądy zachowują dla siebie, ściśle elity bractwa. Inaczej dawno byłoby o tym głośno. Tyle tylko, że im nie zależy na rozgłosie. Być może zależy im na wpływach, władzy, pieniądzu, czyli tym, co najbardziej niskie w człowieku, choć niestety... charakterystyczne i naturalne. Działają cicho, dyskretnie, potajemnie, tak, byśmy ich nie widzieli, ale są wśród nas i z pewnością szukają środków, by osiągnąć jakieś tam swoje cele. Trudno powiedzieć.

- Po co by to mieli robić? - Wbrew oczekiwaniom młodego księdza, proboszcz nie wyśmiał go ani nawet nie próbował kpić z jego teorii. Nadal wyglądał na niewzruszonego, a wielu by pomyślało, że wręcz groźnego.

- Nie wiem. - Adrian rozłożył ręce. - Może po prostu wspierają się jak masoni, może mają jakiś odwieczny plan. I czekają.

- Czekają?

- To jest właśnie najbardziej niezwykle! - Wikariusz klasnął mocno w ręce, najpewniej nie do końca kontrolując ten odruch. - Jak na ironię, osią ich wyznania jest... wiedza. Uważają, że tylko dogłębna wiedza, często tajemna, może wyzwolić Boga z piekieł i dać mu władzę nad światem!

- Skąd mają czerpać tę wiedzę?

- I to jest właśnie sedno! - Adrian aż podskoczył z emocji. - Tu jest napisane, że tak jak Żydzi czekają na Mesjasza, oni czekają na... - Spojrzał jeszcze raz do księgi. - Tak zwaną Noc Kapłanów.

Ksiądz Demel ku zdziwieniu młodego wikarego nic nie odpowiedział. Zaciśnął tylko mocniej usta i uważnie wpatrywał się w swojego ucznia.

- Noc Kapłanów to rodzaj niezwyklego obrzędu, którego tajemnicy nie zna nikt prócz ich wielkiego mistrza - ciągnął Adrian. - To, co ma się wtedy zdarzyć, zawarte jest w księdze, której nie wolno otwierać aż do tego czasu. Ma ją tylko ten główny mistrz. Ale nie wiemy, gdzie jest, nie wiemy, kim jest...

- ...i nie wiemy, czy tak naprawdę istnieje - odezwał się wreszcie proboszcz.

- Jestem przekonany, że istnieje. Jak mówią te materiały - wikary wskazał księgi na stole - Noc Kapłanów odbyła się już kilkakrotnie, choć ma to miejsce szalenie rzadko, raz na kilkaset lat. I polega na - Adrian zerknął do notatek - hmm: „zespoleniu z Wielkim Kapłanem Ścieżki Wiedzy”, ale nie mogę znaleźć wyjaśnienia, co to może oznaczać.

- Skoro tak im zależy na tej wiedzy”, czemu nie urządzają tego obrzędu częściej? To chyba logiczne pytanie? - Demel ani na chwilę nie spuszczał wzroku z młodego księdza.

- Nie mogą - odparł hardo Adrian. - Do tego potrzebny im jest właśnie ten... Wielki Kapłan Ścieżki Wiedzy, a on pojawia się raz na kilkaset lat. - Wikary bezradnie rozłożył ręce. - Ale kim on jest, skąd się bierze i co oni z nim robią w czasie tej ceremonii, nie mam pojęcia. I teraz ta najważniejsza rzecz...

- Nie mogę się doczekać - mruknął groźnie Demel.

- Myślę, że ksiądz Krzysztof Lorent...

- No właśnie, co ksiądz Lorent?

- Był jednym z nich - wybąkał Adrian, zużywając całe pokłady odwagi. - Należał do bractwa aurelitów! W którymś momencie zbuntował się i musiał uciekać przed ich surową zemstą!

Teraz dopiero nastąpiło to, czego młody wikary spodziewał się od dawna. Tubalny, a przecież tak rzadko słyszany śmiech proboszcza wypełnił bibliotekę. Gdy Demel wreszcie skończył, spoważniał.

- Posłuchaj, chłopcze. Mam wielką prośbę. Wiem, że ciężko mi będzie powstrzymać twoje zapędy detektywistyczne, ale zobowiązuję cię do jednej rzeczy. - Proboszcz zmarszczył znacząco brwi. - Nikt oprócz nas nie może się dowiedzieć o tym, co tu robisz. Mówię śmiertelnie poważnie. Czy przyrzekasz mi to jako duchowny?

- Ale... przekonałem księdza?

- To największa głupota, jaką słyszałem w życiu. Jednak nawet takie farmazony mogą przynieść fatalne w skutkach konsekwencje i to nie tylko tobie, lecz także całej naszej parani, rozumiemy się?

- Ale to wszystko naprawdę trzyma się kupy - ku kompletnemu zaskoczeniu proboszcza wikary nie ustępował. - Aurelici to fenomenalnie wyćwiczeni w walce rycerze, których kunszt nie miał sobie równych w całej historii!

- Tracę cierpliwość...

- Dziś być może nie ma to już tak wielkiego znaczenia jak w średniowieczu czy nawet dwieście lat temu, ale wydarzenia pod szpitalem wyraźnie tego dowodzą. Świadkowie mówią, że odbyła tam się walka na śmierć i życie, a sprawność walczących była wręcz... niewiarygodna! Napastnicy, z którymi walczył Lorent, nosili ciemnozielone habity. Jak podają źródła: „...wdziewają je na czas walki i odejścia”. Pewnie chodzi im o „odejście” jako śmierć. - Adrian kilka razy głębiej odetchnął, po czym kontynuował. - Skąd u księdza Krzysztofa tak niezwykła umiejętność fechtunku, walki wręcz i tego wszystkiego, o czym opowiadali ludzie z tego szpitala? Nie widziałem, żeby ktokolwiek w naszej parafii uczył tu takich rzeczy! Dlaczego uciekał? Może tylko udawał chorobę? Może chciał zejść na dobrą drogę, może omotano go jakimiś szatańskimi wizjami i teraz dopiero mógł jakoś się temu przeciwstawić?

- Świetnie - mruknął wyraźnie zirytowany już proboszcz. - Średniowieczni rycerze w środku Warszawy, walki na miecze, krwawe pojedynki i o tym opowiada mi młody, podobno nowoczesny duchowny. A mówią, że to ja jestem konserwatywny.

- Dziś to mogą być sprawni biznesmeni, politycy, nawet naukowcy! - mówił z pasją Adrian. - A to, o czym mówimy, to tradycja, mroczne obyczaje, wielka tajemnica, jak u templariuszy czy w lożach masońskich! Oni są wśród nas! A my nie mamy o tym zielonego pojęcia!

- Tu, w Polsce?

- A czemu nie? We Francji, we Włoszech, w Polsce - jak masoni!

Demel ukrył twarz w dłoniach. Przed dłuższy czas trwała cisza, aż wreszcie proboszcz się odezwał:

- Posłuchaj, Adrianie. Powiem ci teraz kilka rzeczy, które być może pomogą w wysnuciu odpowiednich wniosków z tego, co wyczytałeś w tych magicznych księgach, ale stawiam warunek - przysięgniesz mi tu i teraz, że nie będziesz o tym z nikim rozmawiał bez mojego zezwolenia. Zgadzasz się?

- Książd coś o tej sprawie wie?

- Tak i opowiem ci, ale najpierw twoja kolej.

- Przysięgam, że bez twojego, księżę proboszczu, pozwolenia nigdy nikomu nie wyjawię tajemnicy, o której tu mówimy! - zadeklarował uroczyście i z przejęciem wikary.

- W porządku - mruknął udobruchany proboszcz. - Książd Krzysztof był moim wychowankiem. Kiedy jego rodzice zginęli w wypadku, miał dziesięć lat. Wychowałem go, jego

ojciec był moim bratem. Całe życie mu towarzyszyłem. Został duchownym. Nigdy go do tego nie namawiałem, zrobił to z własnej woli. Na moją prośbę przełożeni pozwolili mu zostać w tej parafii. Obserwowałem go całe życie. Aż do czasu kiedy zachorował, był ciągle tutaj.

- No i? - spytał niecierpliwie Adrian, licząc na jakąś rewelację.

- No i teraz pytanie. Kiedy „krwiożercze” bractwo aurelitów miało czas, by nie tylko pozyskać jego duszę, ale także mozolnie wyszkolić, aby mógł wywijać w tak niezwykle sposób mieczem w obronie szpitala psychiatrycznego numer 10 w Warszawie? Kiedy? Kiedy miał dziewięć lat? Nigdy nie wyjeżdżał na dłużej niż kilka dni. A może podejrzewasz, że ja również jestem aurelitą? Mimo że nie jestem w stanie zrobić porządnego przysiadu, w co chyba wierzysz, widząc, jak wyglądam? Hmm?

Adrian stał zmieszany, próbując wzrokiem szukać natchnienia w różnych częściach sufitu.

- Adrianie? - napomniał proboszcz.

- No... trudno to rzeczywiście wyjaśnić... ale...

- Opowieści sprzed szpitala były autorstwa chorych ludzi. Takich, którym trudno odnaleźć się w otaczającej ich rzeczywistości, nie mówiąc już o logice relacji. Żaden lekarz, pielęgniarka czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach nie potwierdził tego, o czym tak nierozważnie kilka chwil temu wspomniałeś. Czy to ci na razie wystarczy?

Adrian milczał. Zaciął usta i tępo patrzył w księgi.

- Idę teraz do siebie - powiedział już łagodniej Demel. - Zróbmy sobie przerwę i przyjdź do zakrystii powiedzmy... za pół godziny. Mamy dziś trochę obowiązków.

Ksiądz proboszcz Alojzy Demel zamknął za sobą drzwi biblioteki. Odetchnął głęboko kilka razy, potarł wolno skronie, ale niewiele to dało. Przerazenie nie pozwalało mu skupić się na myśleniu, na rozsądnym szukaniu jakiegoś ratunku, na niczym, co mogłoby pomóc. Stało się jasne, że sprawę Adriana można co najwyżej przeciągać, ale z pewnością ani on, ani nikt inny nie będzie w stanie powstrzymać dociekliwego i upartego wikarego. A więc on, doświadczony duchowny, proboszcz, oddany sługa Chrystusa - zawiódł i chyba jest już za późno, aby sprawy mogły przybrać inny bieg. Pozostało tylko pytanie - ile zostało czasu?

Zaczął pośpiesznie maszerować. Przeszedł przez korytarz, zszedł dwa piętra i szybko wkroczył do swojego pokoju, gdzie - jak liczył - będzie w stanie jakoś zebrać myśli. Jednak gdy tylko zamknął za sobą drzwi, czekała go nowa niespodzianka, i to znacznie bardziej zaskakująca niż odkrycia Adriana. Proboszcz zamarł w bezruchu, przez kilka sekund nie mogąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Natychmiast poznał, kim był człowiek stojący na tle okna, a teraz

odwracający się w jego kierunku. Demel osunął się na kolana. Dopiero po pewnym czasie dotarło do jego umysłu, że ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

Kilka godzin wcześniej

Wiśnia biegła najszybciej jak tylko potrafiła.

Jeszcze dwa zakręty... nie, lepiej przez trawnik. Sto metrów i wreszcie wydostanie się z parku. Trzeba tylko złapać oddech... głęboko, może wtedy skronie przestaną tak boleć. Wszystko stanie się wyraźniejsze, wróci do normy. Trzeba tylko wziąć jeszcze jeden głębszy oddech...

Wpadła na główną alejkę. Mrok opadający na miasto zaczął już zacierać kontury krzewów i drzew za jej plecami, gdy próbowała niezdarnie się obejrzeć. Człowiek w czarnym płaszczu do tej pory tylko szedł. Czasem szybko, czasem wolniej, ale nigdy biegiem. Gdy ona zaczęła biec, zniknął z pola widzenia, jakby nagle rozpląnął się w powietrzu. Gdyby nie idiotyczne uczucie, że za chwilę wyrośnie gdzieś tuż przed nią, być może już za kilkanaście metrów - zwolniłaby chociaż trochę. Nie szukałaby go w panice rozbieganymi oczami za jałowcami rosnącymi wzdłuż alejek, przy drzewach, w głębi trawników czy za niewielkimi pagórkami, którymi park wypełniony był, jak żaden inny w mieście. Nawet o tej porze, wieczorem, gdy park pustoszał, a latarnie akurat tutaj stanowiły rzadkość, z pewnością poznałaby go, choć do tego momentu nawet na chwilę nie ukazał jej swojej twarzy.

Był wysoki, szczupły, ubrany cały na czarno, jakby chciał zyskać pewność, że wywoła jej strach. Nie trzeba się aż tak starać, Wiśnia była absolutnie, bezapelacyjnie i kompletnie przerażona. Szedł lekko przygarbiony jak pieprzony mister Hyde, zasłaniając niemal całą twarz rondem kapelusza.

Dziewczyna minęła ławkę, na której kątem oka dostrzegła starca karmiącego gołębie. Był chyba jedynym człowiekiem, którego spotkała po drodze. Przestraszone ptaki zerwały się do lotu, ale człowiek ani drgnął. Na ułamek sekundy wpadła jej do głowy kojąca myśl, że może teraz jest szansa, aby się zatrzymać, ale szybko zrezygnowała. Nie mógł pomóc. Siedział jak trup, bez ruchu, w czerstwym prochowcu, tak jak i tamten - bez twarzy. Biegła więc dalej, ciężko dysząc, w stronę wyjścia, które było już w zasięgu wzroku. Starzec po chwili przerwy znowu ułamał kawkę chleba i zaczął rzucać okruchy na alejkę, choć była już pusta. Gołębie, spłoszone przez biegnącą dziewczynę, uniosły się w górę, by przelecieć kilkadziesiąt metrów na północ, po czym opadły

gdzieś w oddali, za porośniętym rokitnikiem wzgórzem, między drzewami. Nie wróciły już do starca. W parku znowu zapadła chłodna cisza.

Walenie do drzwi zerwało Glotersa z fotela. Podeszedł wściekły do okna, aby zobaczyć, komu trzeba dać w zęby. Przeżona twarz Wiśni do uczucia ostrego wkurwienia dołączyła niepokój. Podbiegł do drzwi, otworzył je jak najciszej i szybkim krokiem zbliżył się do furtki.

- Czy ty masz dobrze w głowie?! - warknął, odwracając się w stronę domu, czy nikt nie wygląda na zewnątrz. - Miałś tu nigdy nie przychodzić! Nie znasz mnie! Nie wiesz, gdzie mieszkam!

- Posłuchaj...

- To ty mnie posłuchaj! - przerwał, unosząc groźnie palec. - Na górze myją się moje dzieci, a żona robi kolację. Tu jest mój dom! Wiesz, co będzie, jak ktoś cię zobaczy?! Poślesz nas wszystkich do pierdła!!!

- Ktoś chce mnie załatwić!!! - jęknęła przez łyzy dziewczyna. - Śledzi mnie, ty pieprzony grubasie! Rozumiesz? Pojawia się wszędzie tam, gdzie ja. Od kilku dni chodzi za mną krok w krok, aż dzisiaj w parku... - przerwała na kilka głębszych oddechów. - Więc odwieź mnie do domu albo narobię tu takiej kaszany, że zleci się cała dzielnica!

Glotersa zatkało na chwilę, ale już po kilku sekundach odzyskał jasność myślenia.

- Zamknij się! - syknął cicho, otworzył furtkę i wyszedł na ulicę. Rozejrzał się bardzo uważnie i spojrzał w oczy dziewczynie.

- Kto cię śledzi? Ten frajer? - spytał już spokojniej, ale wciąż wyraźnie rozdrażniony. - Jak nas zobaczy razem, wiesz, jakie mogą być kłopoty?!

- To nie on! Na sto procent. Nie wiem, co to za koleś pojawił się tuż po tym, jak kazałeś mi chodzić za tą lekarką. Najpierw myślałam, że to przypadek, ale widziałam go od tej pory kilka razy, aż wreszcie dzisiaj zaczął iść za mną. Mało się nie zlałam w majtki ze strachu. Koniec z tym. Nie będę za ciebie robiła tej roboty!

- Przestań panikować i weź jakieś prochy na zwidy - rzucił szorstko gliniarz, cały czas uważnie rozglądając się dookoła. Mieszkał przy niewielkiej uliczce w cichej części miasta. Rzadko kto, prócz sąsiadów, przechodził o tej porze, ale ostrożność wpisana była w naturę Glotersa niemal tak głęboko, jak jego słynny w środowisku instynkt deptania wszelkich przeciwności, z którym chyba już się urodził.

- Koniec z tym - powtórzyła dziewczyna.

- Płacę ci dwa razy więcej niż zwykle! - zauważył aspirant, ściągając groźnie brwi.

- I co zrobię z tymi pieniędzmi? Zainwestuję w debeściacką trumnę?

- Mówiłem ci, nie panikuj. Nie mogę cię odwieźć, za duże ryzyko. Zadzwoń po taksówkę, masz tu stówę. - Wyjął z kieszeni spodni banknot. - Jutro pogadamy, sprawy się ułożą.

- Nie ma mowy. - Wiśnia otarła łzy i wydeła usta. Odzyskała pewność siebie i nie miała zamiaru ustępować.

- Jest mowa - odparł zimno Gloters. - I radzę ci nie wkurzać mnie. Jeden telefon i zestarzejesz się na Rakowieckiej.

- A ty oczywiście znajdziesz sposób, aby wyjść czysty jak łąza? - prychnęła dziewczyna.

Gliniarz zacisnął zęby.

- Daj spokój, Gloters. - Uśmiechnęła się pojednawczo.

Przyszło jej to ze sporym wysiłkiem, ale chwila była tego warta. Znowu otarła resztki łez i poklepała go po policzku. - Mam robotę. Czystą, opłacalną i pozbawioną horrorów, w które ostatnio mnie pakujesz. Zapomnijmy o tej dziwce ze szpitala, obejdiesz się bez niej. A ja przyniosę ci na tacy takiego sałatowego frajera, że znowu odzyskasz poczucie humoru i swój słynny wdzięk. Policjant głośno przełknął ślinę.

- Jaka robotę? - spytał niechętnie. - Chciałaś podobno odpocząć od tego.

- No, fakt. A ty w ramach mojego urlopu wpakowałeś mnie na pierdołonego Freddiego Krugera z ulicy Wiązów, którego miałam na plecach przez ostatnich kilka dni.

- Skąd wzięłaś gościa? My ci nagrywamy frajerów.

- Przypadek. Wyczaiałam go w kręgielni. Mieszka nad Brunswickiem w hotelu. Samotny, romantyczny i totalnie pierdołowaty.

- Skąd jest?

- Co?

- Pytam, skąd jest? Skoro mieszka w hotelu, musiał skądś przyjechać.

- Polak mieszkający w Kanadzie. Urządził sobie sentymentalną podróż na grób rodziców i załatwić jakieś tam pierdoły. Bez żony, bez dzieci, bez mózgu. Wpadł we mnie lepiej niż ten debil ostatnio. I klei się jak miś koala. Na dwóch pierwszych spotkaniach wypaplał mi tyle, że w życiu byś mi takiego nie wyczaiał.

- Daj sobie na wstrzymanie, sprawdzę go.

- Nie trzeba. Wiem, co robię.
- Jak chcesz. Ale robisz na własne ryzyko, a dzielimy się jak zwykle.
- Cwaniak z ciebie.
- Trzymanie cię z dala od kłopotów sporo kosztuje.

Wiśnia roześmiała się już bardziej naturalnie.

- Zdejmij mnie z tej lekarki, a przyniosę ci naprawdę satysfakcjonujące pocieszenie.
- Gloters chwilę mierzył ją wzrokiem, rozważając wszystkie za i przeciw.
- Oby to było tak obiecujące, jak mówisz.

Wiśnia aż podskoczyła z radości. Pocałowała swój palec i przyłożyła go do czoła Glotersa. Policjant zareagował zniecierpliwieniem.

- Jak znowu zaczniesz się pokazywać w kregielniach, ktoś cię w końcu wypatrzy. -

Pogroził palcem. - Nie tylko ja znam twoje upodobania.

- Szybko zniknę i zabiorę go ze sobą. To jeszcze większy kretyn niż Zakroczy.
- Stary?
- Właśnie nie. Niewiele starszy ode mnie. I nawet przystojny. Wiesz, chłopczyk jak

walczyk - tak mówi moja kumpela. Praca przyjemniejsza. Wolę wsadzać język w ładniejsze usta.

- Jesteś niesmaczna. - Gloters się skrzywił.
- Ouuu, jakie arystokratyczne słowo... Nie spodziewałabym się po tobie. „Niesmaczna”...

jestem pod wrażeniem!

- Spierdalaj już! Nie mam czasu - warknął zirytowany policjant.

- Według rozkazu. - Wiśnia skłoniła się. - Ale zaczekaj chwilę, aż przyjedzie taksówka.

Zabawię cię w tym czasie kilkoma anegdotami z arystokratycznych sfer kanadyjskich. Pęknieś ze śmiechu. Zapewniam.

Proboszcz Demel duszkiem wypił całą szklanekę wody, a gdy wydawało się, że nic już w niej nie ma, długo trzymał przechylone naczynie nad ustami. Wreszcie postawił je na stole i teraz dopiero wypuścił z impetem powietrze z płuc.

- Krzysztof... - zająknął się. - Ile to lat?
- Niewiele - odparł Lorent. - Cztery... może jeszcze parę miesięcy.

- Co się stało, synku? - W oczach proboszcza pojawiły się łzy, ale nie zamierzał ich ukrywać. - Po co się narażasz? Co robisz w kraju?

Kapłan założył ręce za plecami i przeszedł się po pokoju. Odkąd ostatni raz się widzieli, niewiele się zmienił na twarzy, jednak jego oczy - spokojne, lekko przymrużone, ale smutne i jakby dalekie - przeraziły starego księdza. Widział w swoim życiu wielu cierpiących, ale nikt jeszcze nie patrzył na niego takim wzrokiem jak Lorent. Większość swojego życia uczył tego chłopca wszystkiego, co tylko zdołał mu Bóg ofiarować, teraz zaś uczeń przerósł tak dalece dawnego mistrza, że mógł tylko milczeć i służyć mu mało przydatną pomocą.

- Zdarzyło się kilka nieoczekiwanych rzeczy, wujku - odezwał się cicho Kapłan. - Tak trzeba.

- Potrzebne ci schronienie?

- Nie. Potrzebne mi informacje.

Proboszcz pokręcił ze zrezygnowaniem głową. Gdy podniósł wzrok na Lorenta, biło z niego zakłopotanie i niepokój.

- Jest źle, Krzysztofie - odezwał się smutno. - W złym momencie przyjeżdżasz. Policja znowu zaczęła węszyć, twoi wrogowie mogą trafić na twój ślad.

- Nie martwiłbym się o wrogów, a bardziej o przyjaciół - odparł z troską. - Wygląda na to, że ci, których nazywasz wrogami, nie chcą już nimi być. Co prawda, znów zakłócają nasz spokój, nie dotrzymując warunków rozejmu, ale proszą w ten sposób o pomoc.

- Nie ufaj im!

- Pamiętaj, że kiedyś potrafili wznieść się ponad swoją wielowiekową tradycję i wyciągnęli do nas dłoń. Nie szukają już wojny. Nie chcą wykorzystywać mocy, która im się nie należy. Teraz proszą. W imię pokoju.

- O co?

Lorent spuścił wzrok i wolno usiadł na krześle. Przez dłuższą chwilę milczał.

- Czego od ciebie chcą? - spytał znowu Demel.

- Lepiej, abyś na razie nie wiedział.

- Ja się nie boję, synku. Wychowałem cię i to było największe dzieło mojego życia. Nikt nie jest mi już w stanie niczego zrobić. Nie boję się, choć... chyba staję się ostatnio niezdarny.

- Myślę, że wciąż jesteś w pełni sił, wujku. - Kapłan uśmiechnął się delikatnie.

- Nie, Krzysiu. Znowu robi się niebezpiecznie, a ja nie potrafię temu zapobiec. Mam młodego wikarego. Zdolnego, dobrego chłopca. Jest taki, jak ty kiedyś. Pochłania go historia, tajemnice przeszłości, jest dociekliwy. Ci policjanci, którzy o ciebie pytają, dodatkowo rozbudzili

jego ciekawość. On... idzie twoim tropem. Chce za wszelką cenę dowiedzieć się, kim byłeś, a przede wszystkim, kim się stałeś wtedy...

- Jak dużo wie? - spytał bez emocji Lorent.

- Wie o aurelitach.

Kapłan spoważniał.

- Sam sobie tego nie wymyślił, ktoś musiał mu pomóc - szepnął jakby do siebie.

- Widziałem u niego księgi.

- Oryginałów nikt by mu nie dał. Nawet profesor Link.

- Link ma do ciebie duży żal za twoje zniknięcie. Możliwe, że w ten sposób cię szuka.

- No dobrze, co jeszcze wie ten chłopak?

- Nic konkretnego. Podejrzewa cię nawet, że jesteś aurelitą!

Obaj roześmieli się niemal jednocześnie, ale z twarzy Kapłana szybko znikło rozbawienie.

- Nawet sprytnie, profesorze, choć mógłby być pan subtelniejszy.

- Co za egoista!

- Nieźle zagrał - przyznał Lorent. - Wie o mnie niemal wszystko, a dawkuje chłopakowi smakołyki pomalutku, jak wytrawny pokerzysta...

- Dzieciak staje się nałogowym hazardzistą.

- A o to przecież chodzi. Próbowalesz mu przeszkodzić?

- Oczywiście, nawet teraz siedzi w bibliotece.

- Nie rób tego.

Demel rozłożył ręce.

- To co mam robić?

- Pomagaj mu.

- Słucham?! - Proboszcz ze zdziwieniem uniósł wysoko brwi.

- Pomagaj mu - powtórzył spokojnie Kapłan.

Demel chwilę jeszcze patrzył szeroko otwartymi oczami na Krzysztofa, by wreszcie uderzyć z satysfakcją dłonią w stół i znowu się roześmiać.

- Jasne! - wybuchnął, ale po kilku sekundach znowu spochmurniał. - Nie dam rady go zbyt długo zwodzić. To może dać efekt na kilka miesięcy, później przestanie mi ufać.

- Później to ja z nim pogadam. - Kapłan się uśmiechnął. - Nie martw się. Kiedy przyjdzie czas, zajmę się tym. Teraz szybko muszę się jak najwięcej dowiedzieć o tych dwóch policjantach.

Proboszcz ciężko podniósł się z krzesła i podszedł do sekretarzyka stojącego przy ścianie.

- Wiesz już o nich? - spytał, otwierając jedną z szuflad.

- Wiem.

Demel wyjął plik notatek i dokumentów, a następnie położył je na biurku.

- Tu masz ich życiorysy, rodziny, przebieg kariery i to, co przypuszczalnie wiedzą - rzucił z nieukrywaną dumą.

- Kto to nam kiedyś powiedział, że kościół katolicki jest lepszy od FBI? - uśmiechnął się Krzysztof, biorąc do ręki materiały.

- Przesada. - Proboszcz machnął ręką. - Już nie te czasy. Do tych policjantów musiałem wynająć zaufanego człowieka z zewnątrz. Zrobiłem to na wszelki wypadek i, jak widać, miałem rację. Są niezwykle uparci.

- Ci policjanci?

- Tak. Nic nie wiedzą o twoich możliwościach i kim naprawdę jesteś, ale aż boję się pomyśleć, co się z nimi stanie, jeśli zabrną zbyt daleko.

- Postaram się do tego nie dopuścić. Jest jeszcze jedna sprawa.

- Tak?

- Ta kobieta. - Krzysztof wyjął z kieszeni koszuli zdjęcie i pokazał je Demelowi. - Od kilku dni obserwuje Olę.

- Sambierską?

- Tak. Chodzi za nią krok w krok.

- Lekarka o tym wie?

- Nie sądzę. Trzymam się z daleka, nie chcę, aby za wiele osób wiedziało, że wróciłem.

- Może to też policjantka?

- Nie, to oszustka matrymonialna. Ale ciężko dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Chciałem tylko się zorientować, czy widziałeś ją tu kiedyś, czy coś wiesz o niej, czy ona też o mnie wypytywała?

- Z pewnością nie - zapewnił proboszcz. - Dziwna sprawa. Mam się o niej czegoś dowiedzieć?

- Nie. Nią zajmę się sam. Ty opiekuj się swoim wikarym. Nie chcę, aby przeze mnie wpadł w kłopoty. Muszę już iść.

- Krzysztof... - proboszcz zawahał się, ale Lorent łagodnym uśmiechem zachęcił go, by śmiało pytał.

Demel podszedł do krzesła i wolno usiadł, dając sobie kilka sekund do namysłu.

- Nie przyjechałeś tu zajmować się tymi policjantami, prawda? - bardziej stwierdził, niż zapytał.

- Nie. Muszę załatwić coś jeszcze. Ale w tym z pewnością nikt mi nie pomoże, nawet ty.

Boston

Damien Raigh osunął się na podłogę. Umierał tak krótko, że jego umysł nie zdążył przeanalizować impulsów bólowych na tyle dokładnie, by mógł dotkliwie cierpieć. Na tyle jednak długo, by dostrzec, jak zachwycająco piękna kobieta, która właśnie pozbawiła go życia, pochyla się nad nim z szacunkiem i całuje delikatnie w czoło.

- Nie trzeba bać się śmierci - szepnęła mu do ucha. - Nie ma jej, kiedy my jesteśmy. A kiedy ona jest, nas już nie ma. Nie cierpimy, nie boimy się, nie istniejemy. Czy przeszkadzało ci, że nie istniałeś, kiedy Hunac-Ceel⁵⁰ zdobywał Chichén-Iitzá, a Piotr Abélard brał w ramiona Heloizę? Również teraz, kiedy zaśniesz, strach i obawy odpłyną w pustkę i niepamięć.

Damien nie słyszał już tych słów. Jego szeroko otwarte oczy patrzyły bez życia na przeciwległą ścianę. Haiku lekko przyłożyła palce do twarzy swojej ofiary, by je zamknąć.

Odwiedzała go kilkakrotnie, zanim polecono jej zakończyć sprawę. Czasem długo rozmawiali, wspominając przeszłe, lepsze czasy, spierali się o poglądy, dyskutowali o przeznaczeniu i religii. Damien zawsze pytał o swoją śmierć. Wiedział od początku, kim jest Haiku, dlaczego do niego przychodzi, ale nie słuchał jej ostrzeżeń. Nie chciał i nigdy nie zrobił tego, czego żądali jej pracodawcy. Dziś nie zdążył zapytać o swoją śmierć. Haiku nie chciała, aby bał się bardziej niż to konieczne. Pozbawiła go życia, nie zdradzając wcześniej swojej obecności, bardzo szybko, bez ostrzeżenia. Teraz, gdy czyściła miecz niewielkim *tenugui*, zadzwonił jej telefon.

- Podziwiam twoje wyczucie czasu, Luc - rzekła niedbale z wyczuwalną ironią w głosie.

- Rozumiem, że właśnie zakończyłaś wizytę.

- Tak.

⁵⁰ Hunac-Ceel – żyjący na przełomie XII i XIII wieku władca Mayápanu, głównego ośrodka politycznego państwa Majów w tym okresie.

- Skoro więc obcięłaś mu już głowę, mam bardzo ważną prośbę.

Luc Trantignan zwykł nazywać zlecenia „prośbami”.

- Nie obcięłam mu głowy - odparła chłodno. - Co to za prośba?

- A więc obetnij. Takie jest moje życzenie.

- Nie, Luc. Damien na to nie zasługuje. Jaka masz prośbę?

- Haiku, chyba mnie nie dosłyszałaś, więc powtarzam. Proszę, abyś pozbawiła Raigha głowy!

- Nie rozdrażniaj mnie, Luc. Koniec dyskusji na ten temat. Co to za prośba? - spytała po raz trzeci, ani na jotę nie zmieniając barwy głosu.

Odczekała chwilę, aż Trantignan przełknie upokorzenie.

- Potrzebna jest bardzo szybka interwencja w Warszawie. Byłaś tam niedawno.

- Zadzwoń z Polski - odparła bez emocji i rozłączyła się. Schowawszy miecz, jeszcze raz spojrzała na Raigha.

- Zegnaj, Damien - rzuciła cicho w jego stronę. - Będzie mi brakowało naszych spotkań.

ROZDZIAŁ 5

Warszawa

Kawiarnia przy placu Na Rozdrożu, niezbyt nastrojowa, ale lubiana przez warszawiaków, bywa wygodnym miejscem spotkań. Łatwo tu trafić, jest dość obszerna, dysponuje ogródkiem i co może dziwić... miejski hałas nie wdiera się tutaj z takim impetem, jak w podobnych miejscach w samym centrum. O tyle to zaskakujące, że leży właściwie przy skrzyżowaniu potężnej czteropasmowej Trasy Łazienkowskiej i nie mniej ruchliwych Alei Ujazdowskich. Jednak niegdysiejsi jej twórcy umieli ukryć budynek w niewielkim zagłębieniu, oddzielonym ogrodzeniem i pasem dla pieszych od biegnącej w betonowym wąwozie trasy, oraz pasmem zieleni i kilkoma drzewami od alej. Kawiarnia wnika swoim ogrodem w skwer Kisiela, po przejściu którego, mając po prawej stronie Ogród Botaniczny, trafiamy prosto na Zamek Ujazdowski.

Nie jest więc kafejka „Na Rozdrożu” romantyczną, urokliwą piwnicą towarzyską w stylu krakowskim ani ekskluzywną plotkarnią dla biznesmenów, ale idealnie pasuje na krótkie „mityngi” w drobnych interesach lub... na pierwsze spotkania dla nieśmiałych, z planami na przyszłość.

W ogródku kawiarni, przy jednym ze stolików, w samym rogu, ubrana w wiosenną, luźną sukienkę, Wiśnia spoglądała z profesjonalnym zainteresowaniem na swoją ofiarę. Sukienka upstrzona w kwiatowe wzorki była niemal przezroczysta i kończyła się oczywiście przed kolanami. Ofiara miała około trzydziestu kilku lat i odziana była w hawajską koszulę oraz szalenie niemodne, brązowe spodnie. Cała kiczowatość postaci i nieporadny sposób bycia stawały w pewnym kontraście z tym, co oprócz tego zaoferowała mu natura. Był szczupły, dość wysoki i zdaniem Wiśni ponad wszelką wątpliwość przystojny. Słowem, do jej roboty - ideał. Kretyn o miłej powierzchowności, w dodatku młody, niezaśliniony, bez obleśnych nawyków charakterystycznych dla polskich nuworyszów.

Roman Punicky, który otrzymał imię na cześć znanego w świecie rodzimego reżysera, o czym szybko powiadomił swoją nową przyjaciółkę, wyglądał na nieco zaskoczonego jej takim miłym zainteresowaniem. Nie potrafił ukryć nieśmiałości, trudno mu było także pozbyć się angielskiego akcentu i lekkiej, acz dosłyszalnej wady wymowy. Wyglądał na pasywnego, choć mimo wszystko powoli zyskiwał swego rodzaju pewność siebie. Do tej pory nie miał śmiałości

nawet jej dotknąć, nie mówiąc już o pocałunku czy czymś jeszcze bardziej zaangażowanym. Wiśnia, im dłużej była w stanie utrzymać taki stan, tym łatwiejszą na co dzień miała pracę, więc wszystko grało.

- Smakuje ci ten lód, lod... lód? - spytał z nieco idiotycznym uśmiechem.

- Smakuje, głuptasie. - Poglądziła go obiecująco po dłoni. - Szkoda, że takie chwile trwają zbyt krótko.

- A jakie chwile? - spytał dla porządku Punicky.

Wiśnia wzięła głęboki oddech, zachowując mistrzowski uśmiech, choć raczej nie było to proste.

- Chciałam po prostu powiedzieć, Romku, że moment, w którym cię poznałam, okazał się dla mnie bardzo ważny.

- Ooo. - Punicky zakrztusił się swoim ciastkiem, ale ku uldze dziewczyny szybko opanował sytuację. - Ja jestem... rozumiesz... także niezwykle zaskoczony i moved... to znaczy, poruszony. I to w kraju moich rodziców. Naprawdę piękne.

- Nie pytałam do tej pory... ale... długo jeszcze zostaniesz w kraju?

- Na pewno miesiąc, potem muszę wracać do Kanada.

- Interesy?

- No tak, mówiłem ci. Prowadzę biuro podróży, dość duże. Interesy po rodzicach, ale dobrze idzie.

- Lubisz to?

- O tak. Lubię biuro podróży moje. Lubię ta praca.

- Jest dochodowa? - spytała ryzykownie Wiśnia, ale natychmiast ozdobiła to jednym ze swoich uroczych uśmiechów.

- O tak. My jeszcze mieli spore oszczędności, majątek. Po dziadkach, co dorobili się w Kanada. Rodzice już tam urodzili się, tylko pochować się chcieli tu, w Polska.

- W Polsce załatwisz trochę interesów?

- Trochę, tak. Planujemy z polskimi partnerami tu trochę rzeczy, ale jak starczy czas... to może... Chcę zwiedzić, pojeździć po Warszawa i kraj.

- Zabierzesz mnie ze sobą?

- O, w Kanada spodoba ci się! - niemal krzyknął radośnie.

- No, wiesz... - Wiśnia zρέcznie ukryła zakłopotanie. - Nie o to pytałam. Myślałam o twojej podróży po Polsce.

- A tak! To byłoby wspaniale! Na razie jeszcze kilka dni w Warszaw.

- ...wie - pomogła dziewczyna

- W Warszawie. A potem dalej. Jedź ze mną, Kaszu!

- Kasiu. Na imię mam Katarzyna - poprawiła przynajmniej dziesiąty już raz Wiśnia z niezmienną, profesjonalną cierpliwością.

- No tak. Pojedziesz?

- Zobacę. To byłoby... moglibyśmy trochę dłużej pobyć razem. Jeśli czujesz to, co ja... to znaczy, że moglibyśmy jeszcze bardziej się polubić, jeśli tylko chcesz... moglibyśmy spróbować...

- Zaszklone oczy podczas wygłaszania tego wyznania były popisowym numerem Wiśni.

- Jestem taki szczęśliwy, Kasza. Bardzo chciałbym być tak z tobą dłużej.

Wiśnia wyjęła chusteczkę i przepisowo otarła oczy, kiwając ze wzruszeniem głową.

- A ty czym się zajmujesz? Przepraszam, że nie zapytałem o to wcześniej. - Punicky mocniej ścisnął w dłoniach talerz z ciastkiem.

- Mówisz o mojej pracy?

- O twojej pracy mówię. Tak. - Uśmiechnął się rozbrajająco.

Wiśnia odetchnęła ciężko i wyraźnie posmutniała.

- Wiesz, Roman - zaczęła niemal szeptem. - Życie w naszym kraju jest bardzo ciężkie. Trudno o pieniądze nawet dla najbardziej potrzebujących. Pracowałam w przedszkolu dla dzieci z porażeniem mózgowym, ale kilka tygodni temu zlikwidowano je, dzieci jakoś poupychano w innych placówkach, a nas zwolniono. Było niedochodowe.

- To straszne!

- Właśnie. Ale tak to już jest. Trzeba sobie radzić, nie chcę o tym mówić. Ty na pewno masz swoje kłopoty.

Punicky z zaangażowaniem i wyjątkową jak na niego odwagą ujął dłoń dziewczyny i spojrzał jej prosto w oczy.

- Damy radę, Kasza! - niemal krzyknął poruszony do głębi. - Nie pozwolę ci zostać z tym sama. Teraz będę przy tobie, jeśli tylko zechcesz!

Deklaracja była tak donośna i zdecydowana, że usłyszał ją nawet aspirant Witold Bliski oraz jego kolega komisarz Henryk Kuraś, siedzący kilka stolików dalej i kończący swoją kawę.

- Fajna ta Wiśnia - prychnął Henio, zerkając dyskretnie w jej kierunku.

- Nie przyda się już do lekarki. Kłopot będzie - mruknął cicho Gloters.

- Tu jest mistrzynią, popatrz. - Komisarz nie tracił dobrego humoru.
- Niesprawdzony koleś. Nie lubię tak.
- No przecież sprawdzamy.
- Po wierzchu, nieprofesjonalnie i o kant dupy takie sprawdzanie. Skąd ja wezmę papiery

Kanadyjczyka?!

- Daj jej działać. Nikt nie ma takiego nosa jak ona.
- Taaa - burknął pod nosem Bliski, ale widać nie był do końca przekonany. - Poza tym...

mam pomysł, jak Wiśnia mogłaby się jeszcze przydać w tamtej sprawie.

- Gdzie są moje gacie?! - wrzasnął zdecydowanie już rozdrażniony profesor Bogdan Wilecki i bezradnie usiadł na kanapie.

- Które?! - odkrzyknęła z przedpokoju doktor Aleksandra Sambierska.

- Zielone!

- To znaczy niebieskie?!

- Cholera ich wie! Ty wiesz które!

- W szufladzie przy oknie!

- Gdyby tam były, to już dawno bym je spakował!

- Muszą tam być!

- Nie ma!

Ola wściekła wpadła do pokoju.

- Musisz akurat zabierać te cholerne gacie?!

- Lubię je. Nie znoszę tych idiotycznych kąpielówek z zeszłego roku znad morza.

- To włoskie majtki! Kupiliśmy je na Sycylii!

- Wyglądam w nich jak Harold Godwinson po bitwie pod Hastings!

- Jesteś w nich seksowny! - poweselała Sambierska.

- Olu! - warknął wyraźnie nieudobruchany Wilecki. - Nie chcę tych mafijnych gaci. Znajdź mi te zielone!

- To znaczy niebieskie?

- Wiesz, do cholery, które!

Sambierska podeszła do szuflady, poszperała w niej chwilę i spokojnie wyjęła zgubę, po czym rzuciła ją na łóżko.

- Szukałem! Nie było ich tam! - jęknął osłupiały Wilecki.

- Jasne - mruknęła pod nosem Ola i wymaszerowała z pokoju.

- Złośliwość rzeczy martwych! - zawyrokował profesor i pokiwał głową nie bardzo wiadomo do kogo, zadowolony z rozwiązania problemu.

Sambierska zatrzymała się na chwilę w przedpokoju, mając dziwne wrażenie, że ktoś zapukał do drzwi. Cicho, ale jednak. Może wśród tych krzyków tylko jej się wydawało? Podeszła jednak do wizjera i wyjrzała na korytarz. Przed drzwiami ponad wszelką wątpliwość stał facet w sutannie. Ola zmarszczyła brwi i otworzyła z impetem.

- Nikt nie umarł, a błogosławieństwa też nie potrzebujemy - rzuciła na powitanie, wbijając w przybysza kąśliwe spojrzenie. Ksiądz był młody i raczej niedoświadczony, ale nawet ktoś o większym stażu mógłby mieć problem z jakąkolwiek sensowną reakcją. Stał więc biedny księżulo, sztywny jak słup soli, nie mogąc przez dłuższą chwilę wypowiedzieć choćby słowa.

- Jesteś z zakonu dla głuchoniemych? - spytała złośliwie Sambierska.

W tym czasie profesor zdążył już pojawić się przy drzwiach wejściowych.

- Przepraszam księdza za żonę - podjął uprzejmie. - Bywa chłodna w stosunku do przedstawicieli kościoła katolickiego. Czym możemy służyć?

- Profesor Bogdan Wilecki? - wybąkał gość.

- Tak.

Ksiądz nie bez strachu przeniósł wzrok na Olę.

- Doktor Aleksandra Sambierska?

- O co chodzi? - spytała podejrzliwie gospodyni.

Duchowny zebrał się w sobie, wziął głęboki oddech, rozejrzał się po klatce schodowej i już pewniejszym głosem powiedział:

- Ja w sprawie księdza Krzysztofa Lorenta.

Jeśli do tej pory Ola była choć trochę rozbawiona i skora jak zwykle do kpienia z klechów, teraz zimny pot w jednej sekundzie oblał jej kark i nakazał wyuczoną czujność.

- Kim jesteś, chłopcze? - dociekała twardo.

- Jestem ksiądz Adrian Czelejewski, wikary z byłej parafii księdza Krzysztofa - odparł odważnie, wciąż trochę zgorszony, że kobieta tak się do niego zwraca. - Mogę to udowodnić.

- Nie trzeba, niech ksiądz wejdzie - rzucił szybko profesor.

- Bogdan! - syknęła w jego stronę kompletnie zbita z tropu Sambierska.

- Spokojnie, kochanie. To nie policja ani... no, wiesz... nikt inny.

- A skąd wiesz, kto to jest?! - niemal krzyknęła płaczącym tonem, wskazując palcem niespodziewanego gościa.

- Noc Kapłanów, aurelici, Aureliusz Marcelin - włączył się zdecydowanie ksiądz. - O tym chyba nie wie policja?

Teraz zarówno Ola, jak i Wilecki stali jak zamurowani. Wreszcie profesor złapał wikarego za ramię i pośpiesznie wciągnął do mieszkania, po czym natychmiast zamknął za nim drzwi.

- Skąd ksiądz wie takie rzeczy?! - wycedził, tym razem już bez zbędnych uprzejmości.

- Od proboszcza Demela - jęknął duchowny.

- Księżulo-klamczuszek! - bardziej zaśpiewała, niż powiedziała Sambierska. - Będziesz się poniewierał w piekle - dodała sarkastycznie.

- Od pewnego profesora... zza granicy - wyjąkał Adrian. - Przepraszam, obiecałem, że nikomu nie powiem.

- To po co tu ksiądz przyszedł? - spytał spokojnie Wilecki.

- Musiałem... muszę wiedzieć, chciałem zapytać, bo...

- Drogi Adrianie - przerwała Ola. - Przede wszystkim to my chcemy zapytać: skąd o nas wiesz?

- Od tych policjantów. Wiedzą państwo, których...

- Co?! - zdumiał się oburzony profesor. - Policja dała księdzu nasze dane osobowe?!

- Niezupełnie... no, nie wszystko. Chcieli wydobyć ode mnie informacje.

- I udało im się?

- Nie! - Adrian uniósł ręce jakby oganiał się od Szatana. - Zresztą wtedy niewiele wiedziałem.

- Podali księdzu adres? - nie ustępował profesor.

- No, nie... ale pan jest... z naszej parafii.

- Nie praktykuję, a żona jest ateistką.

- No... nie szkodzi, tak czy owak...

- Macie nas w swoich komputerach - dopowiedziała wściekła Sambierska.

- Nie mam złych zamiarów - jęknął błagalnie Adrian. - Proszę tylko o chwilę rozmowy.

Wilecki włożył ręce do kieszeni i ruszył w stronę salonu.

- Proszę za mną - rzucił, nie odwracając się.

Wikary podreptał za nim, a Sambierska wciąż stała w przedpokoju, pełna najgorszych obaw.

- Niech ksiądz siada. - Profesor wskazał fotel. - Nie możemy poświęcić na to zbyt wiele czasu. Właśnie się pakujemy i wyjeżdżamy.

- Tak... na stałe? - spytał głupkowato Adrian.

- Na wakacje - odparł spokojnie profesor. - Słucham.

Ola powoli weszła do salonu i zastygła złowieszczo nad siedzącym sztywno Adrianem.

- Czy ksiądz Krzysztof....

- Nie tak - przerwał Wilecki. - Niech ksiądz mówi, a my ewentualnie się do tego odpowiednio ustosunkujemy.

- Dobrze. Więc... znam historię aurelitów, ich obrzędy, sposób, w jaki sprawują władzę i działają być może do dzisiaj.

- To tylko legendy - zapewnił profesor. - Mówię to panu jako historyk, specjalista od mitów kultur germańskich i romańskich. Wspominam o tym w mojej habilitacji. Chce pan przejrzeć?

- Wiem o księgach wschodnich masoretów.

- Jak zgaduję, powiedział o nich księdzu profesor Eberhard Link. Dał księdzu także księgi *Halem*, *Abugal* i być może *Abticus Nostrem* i stąd księdza podniecenie. Jestem w stanie udowodnić, że to zręczne falsyfikaty, a świat naukowy ich nigdy nie uznał, nie mówiąc już o Kościele, który ksiądz reprezentuje. Jakoś tak się stało, że profesor Link przyszedł z tym do księdza, a nie na przykład do radia czy prasy lub po prostu na uniwersytet.

- Nie zawsze ci, którym nikt nie wierzy, nie mają racji - zauważył hardo Adrian.

- Tak, wiem - przytaknął Wilecki. - Chrystusowi wierzyło zaledwie dwunastu facetów i to też nie bez wątpliwości, z czego jeden nawet był zdrajcą. Tyle tylko, że Linka nikt nie wyrzucił z uniwersytetu w Lozannie. Sam zniknął kilka lat temu. On nie chce popularyzować swoich teorii. Nie wydaje się to księdzu dziwne? Każdy naukowiec marzy, by jego odkrycia służyły ludzkości. Mogę o tym księdza z ręką na sercu zapewnić.

- Po co więc zadał sobie tyle trudu i znalazł mnie? - nie ustępował Adrian.

- Ma być może w tym swój prywatny cel. Manipuluje księdzem. Dziwię mu się. Przyjaźniliśmy się kiedyś.

- A ksiądz Lorent? - spytał z nadzieją wikary.

- Nigdy go nie spotkałem. Moja żona poznała go przelotnie, kiedy był leczony w jej szpitalu. Potem zniknął. Jeszcze jakieś pytania?

Ksiądz przez chwilę siedział w ciszy. Spuścił wzrok na podłogę, stukając palcami w oparcie fotela, po czym uniósł głowę i spojrzał smutno na profesora.

- Tylko jedno - rzekł cicho i jakby zrezygnowany. - Skoro to taka niegroźna, wymyślona przez sensatów historia, nie poparta faktami, a historycznie nic nie warta, to dlaczego każdy, do kogo pójde, robi wszystko, abym przestał się tym interesować? Dlaczego ludzie tak wiarygodni i poważni jak pan i mój proboszcz sięgają po kłamstwo, abym tylko nie wypowiadał nazwiska Krzysztofa Lorenta? - Ksiądz przeniósł wzrok na kamienną twarz Sambierskiej, a następnie znów na profesora. - Wiem, że doskonale znał pan Lorenta, choć nie umiem tego udowodnić.

- Dość tego, chłopcze! - usłyszał nad sobą zimny głos Sambierskiej. - Koniec tej wizyty duszpasterskiej.

Nagły huk od strony przedpokoju przerwał rozmowę. Drzwi wejściowe z impetem wypadły z zawiasów. Ksiądz i Wilecki zerwali się z foteli, Ola mimowolnie krzyknęła, ale szybko się opanowała, z przerażeniem patrząc, jak dwóch ubranych na ciemnozielono mężczyzn wbiega do salonu.

- A wystarczyło zapukać - jęknął profesor, zasłaniając swoim ciałem Olę.

- Muszą państwo natychmiast opuścić to miejsce! - wyrecytował po angielsku jeden z gości, pokazując jednocześnie swojemu koledze, aby szybko przeszukał dom. Ten, który mówił, wyglądał bardzo młodo, niemal jak dzieciak z pierwszych lat studiów, ale głos miał pewny, władczy i opanowany. Jego garnitur sprawiał wrażenie dopiero co odebranego z pralni, bez jednej plamki czy śladów niedoprasowania.

- Kim jesteście?! - krzyknął zdenerwowany Wilecki, choć miał niemal pewność, że zna odpowiedź.

- Nazywam się Giordano Coluneo, jestem tu z rozkazu wielkiego mistrza Luigiego Balei.

- Też mi referencje - burknęła rozdygotana Sambierska.

Adrian słabo znał angielski, ale i to wystarczyło, by stał zamurowany, z otwartymi ustami, jakby wymagał odczarowania czarodziejską różdżką.

- Czego od nas chcecie? - spytał już spokojniej Wilecki.

- Grozi państwu śmiertelne niebezpieczeństwo. Musimy was jak najszybciej wywieźć z miasta - zakomunikował Coluneo.

- Właśnie wyjeżdżaliśmy i pewnie już by nas nie było, gdyby nie „wpadło” do nas tylu niespodziewanych gości - mruknął zgryźliwie profesor.

- Co to za ksiądz? - spytał rzeczowo Giordano.

- Wasz fan - odparła Ola. - Bardzo chciał się zapoznać.

- To ja już pójdę - jęknął łamaną angielszczyzną Adrian. - Muszę przyznać, że wizyta daleko przekroczyła moje oczekiwania - dodał po polsku.

- Nigdzie ksiądz nie pójdzie - zdecydował Coluneo. - Wszyscy wyjedziemy z miasta.

- A jeśli nie wyjedziemy? - spytała posepnie Sambierska.

- To życzenie nie tylko Mistrza, lecz także Wielkiego Kapłana - rzucił ostro w jej stronę aurelita. - Wiecie doskonale, że czasy, kiedy ze sobą walczyliśmy, dawno minęły, więc proszę nam zaufać. Jedzie tu ktoś bardzo niebezpieczny, kogo celem jest zgładzenie was. Mamy mało czasu.

- Bierz najpotrzebniejsze rzeczy! - podsumował bez zbędnych ceregieli Wilecki. - On ma rację. Jeśli tu zostaniemy, będzie po nas.

- Boguś... - W oczach Oli pojawiły się łzy. - Znowu ten koszmar? Znowu będziemy uciekać?

Po pośpiesznych oględzinach mieszkania do salonu wrócił drugi aurelita, dając gestem do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

- Może ja jednak... - spróbował ponownie Adrian.

- Przymknij się księżulu! - warknęła w jego stronę Ola, kompletnie już wyprowadzona z równowagi. - Tak strasznie byłeś ciekawski?! To właśnie zostałeś jednym z nas. Zaręczam, szybko pożałujesz. Witaj w klubie przymusowo oświeconych!

- Ale ja tak naprawdę...

- Chcesz żyć? - spytała twardo Sambierska. - To teraz musisz trzymać się nas, ale ostrzegam: nie znoszę takich jak ty, więc z łaski swojej zamknij buzię i słuchaj poleceń. W przeciwnym razie nie dożyjesz jutra.

- Aaaa... - wydusiło gardło biednego wikarego, najprawdopodobniej bez jego świadomości.

- No właśnie - zgodziła się Ola. - Jesteśmy gotowi! - rzuciła w stronę aurelitów.

Poruszali się szybko, ale tak, by nie zwracać na siebie uwagi. Czarne volvo, w którym byli Wileccy, Adrian i dwóch aurelitów, jechało na przodzie, za nim - sportowa, czerwona mazda z pozostałą dwójką ludzi Coluneo. Pośpiech i zdenerwowanie nie sprzyjały raczej pogawędkom, ale gdy wyjechali południową szosą z miasta, Ola wreszcie się odezwała.

- Dlaczego nie wysłaliście do nas Polaków? - spytała, wciąż ciężko oddychając.

- Nie było czasu. Dowiedzieliśmy się godzinę temu, byliśmy na miejscu - odparł Giordano.

- Tutaj w Polsce? Po co?

- Nie mogę powiedzieć.

- Jasne, a jakże by inaczej. - Ola zacisnęła ze złości zęby.

- Kto tym razem nam zagraża? - podjął z kolei Wilecki.

Aurelici spojrzeli po sobie. Przez chwilę nic nie mówili, porozumiewając się tylko wzrokiem.

- Bardzo niebezpieczny zabójca - odpowiedział wreszcie Coluneo. - Kobieta, cudzoziemka. Nikt z nas jej nie widział. Wiemy tylko, że pochodzi z Japonii.

- Koniec bzdur. Gadaj prawdę! - zniecierpliwił się profesor.

Giordano z oburzeniem odwrócił się w jego stronę.

- Mówię prawdę!

- Chcesz mi powiedzieć, że czterech aurelickich rycerzy wpada w panikę na wieść o jednej kobiecie?!

- Jest bardzo niebezpieczna.

- Nawet najlepiej wyszkolona, samotna Japonka w starciu z wami nie ma szans - nie ustępował profesor. - Chyba że... - nagle urwał przerażony.

- Co?! - jęknęła Ola.

- Nie, to niemożliwe. - Pokręcił głową Wilecki. - Nie mieści mi się to w głowie.

- Giordano! - przerwał gwałtownie aurelita prowadzący samochód. - Spójrz!

Coluneo zerknął do tyłu. Dostrzegł tam zbliżający się błyskawicznie potężny, czerwony motor.

- To ona?! - spytał, ograniczający się jak na razie tylko do dygotów ze strachu, Adrian.

- Jest szybsza, nie damy rady uciec tym samochodem - rzucił w stronę Giordana prowadzący aurelita.

- Jak nas znalazła?! - wybuchnęła Ola.

- Nie szukała nas - wywnioskował Coluneo. - Spóźniliśmy się. Musiała was obserwować. Pewnie gdybyśmy przyjechali trochę później, zaatakowałyby was w mieszkaniu. Teraz czekała, aż wyjedziemy z miasta, by zrobić to bez hałasu.

- Za braćmi jedzie jeszcze jeden samochód. Śledzi nas od dłuższego czasu - wtrącił znowu kierowca.

Coluneo wyrzwał ponownie przez tylną szybę.

- Nie ukrywa się. Chce, żebyśmy go widzieli. Kto to może być?

- Policja?

- To by była najgorsza wiadomość.

- Co robimy? - spytał spokojnie kierowca.

- Jedź. Jest na motorze.

- Może do nas strzelać - zauważył profesor.

- Nie sądzę - odparł Giordano. - Tak jak my, nie używa broni palnej.

- To już coś - odetchnął Wilecki.

- Nie byłbym pewien - Coluneo powiedział to z pozoru spokojnie. W rzeczywistości jednak z przerażeniem obserwował, jak Haiku podjeżdża do mazdy, wyjmując coś ze skórzanej, czarnej kurtki i rzuca w opony. Biały samochód wpadł nagle w poślizg, obrócił się wokół własnej osi i zaczął dachować na jezdni, by po kilku sekundach wylądować w przydrożnym rowie.

- Skręcaj w stronę lasu! - rzucił natychmiast Coluneo do kierowcy. - Spróbuj ustawić wóz przodem do szosy!

- Szukam drogi!

- Jak sobie pan radzi z samochodem, profesorze?! - Coluneo spytał z kolei Wileckiego.

- Dobrze prowadzę.

- Jak tylko się zatrzymamy, siada pan za kierownicę. My spróbujemy ją zatrzymać. Powinno się udać.

- A co będzie z wami?

- Niech pan często zmienia drogi. - Coluneo zignorował pytanie. - W ten sposób ją zgubicie.

Volvo nagle skręciło. Kierowca przejechał kilka metrów, po czym chwycił z całej siły za ręczny hamulec, skręcając jednocześnie kierownicą. Samochód obrócił się wokół własnej osi o sto

osiemdziesiąt stopni i stanął. Tuż za nimi wpadła na leśną drogę Haiku, gwałtownie hamując. Tumany kurzu i ziemi uniosły się w powietrze, ale zanim opadły, dziewczyna stała już naprzeciw nich ze swoim mieczem i lekko przymrużonymi oczami. Aurelici wyskoczyli z wozu, z mieczami w rękach gotowi do walki. Natychmiast ruszyli do ataku. Błyskawiczne ciosy i pchnięcia aurelitów Japonka odbijała bez trudu, starając się jeszcze kątem oka obserwować samochód. Przed nim leżał porzucony motor, blokujący dojazd do szosy.

- Przejeżdż po motorze! - szeptał przez zęby Coluneo, czując, że niewiele im zostało czasu. Mogli przez kilkadziesiąt sekund próbować ją zatrzymać, ale szybko obaj zorientowali się, że jest gorzej, niż się spodziewali. Dziewczyna była nieprawdopodobnie szybka i precyzyjna, przerastając ich dostrzegalnie nawet dla nieszczęśliwców siedzących w samochodzie.

- O mój Boże... - jęknął Adrian, patrząc jak urzeczony na widowisko. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jak oni walczą...

- Bruce Lee wysiada, co? - mruknęła, próbując się jakoś opanować, Ola. - Staranuj do cholery ten motor! - krzyknęła do Wileckiego.

- Poczekaj! - rzucił, nie odwracając się w jej stronę. Patrzył uważnie w stronę szosy. Po chwili z drogi z impetem wyjechała biała toyota, która - jak już wcześniej zauważyli - śledziła ich od pewnego czasu.

- Wiedziałem! - Profesor klasnął w rękę.

- Krzysztof?! - wrzasnęła Ola, łapiąc za klamkę.

Lorent wysiadł z samochodu. Spokojnie wysunął zza głowy, spod kurtki miecz i podszedł do walczących.

- Nie wysiadaj! - rozkazał Wilecki. - Nie rozprasza go!

Ola wcisnęła plecy w siedzenie, wybuchając płaczem.

Krzysztof dał znak głową aurelitom, którzy natychmiast odskoczyli w kierunku samochodu. Zaskoczona Haiku natychmiast odwróciła się w jego stronę, gotowa do odparcia ataku. Kapłan gestem nakazał, aby obaj rycerze wsiedli do auta. Tamci po krótkim ukłonie szybko wykonali rozkaz.

Haiku z zainteresowaniem przyjrzała się nowemu przeciwnikowi.

- A ty kim jesteś? - w jej pytaniu wyraźnie słychać było kpinę. - W trzech może wytrzymałybyście jeszcze kilka sekund, a tak...

- Oni teraz odjadą, a my chwilę porozmawiamy - odparł spokojnie Lorent, ale aurelitom dał znak, aby jeszcze nie ruszali.

- Kpisz sobie ze mnie? Nie masz pojęcia, kim jestem! W przeciwnym razie nie obrażałbyś mnie taką propozycją. Posłuchaj uważnie, bo powiem to tylko raz; zejdz mi z drogi, a może przeżyjesz. - Zerknęła jednak z zaciekawieniem na jego broń.

- Nikt nie musi ginać. - Krzysztof zdawał się nie słyszeć tego, co mówiła Japonka.

- Masz miecz *taroku*, a aurelici słuchają cię, jakby byli twoimi niewolnikami... kim jesteś?

Odpowiadaj! - zażądała gniewnie.

- Opuść broń, to odpowiem na wszystkie pytania.

- Dość tego! - syknęła rozjuszona i ruszyła na Lorenta.

- Zły pomysł, panienko - mruknął pod nosem Wilecki, cały czas uważnie obserwując wszystko z samochodu. Wpuścił przed kierownicę Giordana i spokojnie patrzył na to, co dzieje się kilka metrów przed nimi.

Pierwsze ciosy, choć dokładne i szybkie, Haiku zadała ze zwykłą dla siebie pewnością, traktując jednak przeciwnika ze zbytnim lekceważeniem. Przyzwyczajona do ogromnej przewagi nad ofiarami, była pewna szybkiego zwycięstwa.

Krzysztof z kolei przystąpił do walki maksymalnie skoncentrowany, doskonale wiedząc, kogo ma przed sobą. Zastosował jedną z najbardziej błyskotliwych obron, opracowanych niegdyś, przed pięciuset laty, przez wielkiego szermierza katalońskiego Enrique Puestosa, już po kilku sekundach wytrącając dziewczynie miecz z dłoni. Przerażona Haiku spojrzała bezradnie na Lorenta. Nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Zimna stal *taroku* pewnie spoczywała na jej gardle, w każdej chwili gotowa do zadania ostatniego ciosu. Kapłan dał znak w stronę samochodu i z powrotem przeniósł wzrok na przeciwniczkę. Samochód powoli ruszył. Coluneo, widząc, że ma czas, ominął motor, wyjechał na szosę i pomknął na południe.

- Zanim zabijesz, uszanuj moje ostatnie życzenie i powiedz, kim jesteś - rzekła dumnie Haiku. - Być może nie zasługuję na życie, ale mam prawo wiedzieć, z czyjej ręki ginę. Nie rozumiem, jak mnie pokonałeś, ale dokonałeś tego. Nie jesteś aurelitą. Oni nie byliby w stanie nawet powtórzyć tego, co zrobiłeś przed chwilą.

- Nie jestem aurelitą, Haiku. Jestem tym, kim ty jesteś.

- Ty... jesteś... - Dziewczyna wstrzymała oddech jak rażona prądem. Odkąd pamiętała, od trzech długich lat, nigdy, nawet przez sekundę nie czuła tego, co teraz wypełniło niemal całkowicie jej umysł i ciało. Cała dotychczasowa samotność, pustka, cierpienie i jedyny cel, który utrzymywał ją przy życiu, jakby odeszły na ten być może krótki, niepowtarzalny moment. Wiedziała, że człowiek stojący przed nią mówi prawdę. A więc nie jest sama. Nie jest

wynaturzeniem, monstrum, które wzbudza strach, od którego ludzie wolą trzymać się z daleka. Skoro są inni, tacy jak ona...

- Tak. Ty i ja - powiedział wolno Lorent.

- Kapłan... Jak to możliwe?! Skąd wiesz o moim istnieniu? Dlaczego ja nie wiem nic o tobie?!

- Nie chcę odbierać ci życia, Haiku. Jesteśmy tylko ty i ja. To tak, jakbym walczył z jedyną odpowiedzią na własną naturę - Krzysztof mówił nadal spokojnie i bez emocji. - Ale oni muszą żyć. A ja muszę wiedzieć, że ty nigdy nie podniesiesz na nich ręki.

- Nie mogę. Już jest za późno.

- Nie rozumiesz. Kazali ci ich zabić, aby dotrzeć do mnie. To ja jestem twoim celem. Im tylko chodzi o mnie. - Lorent spojrzał jej głęboko w oczy. - Zaatakowali tych, których kocham, ludzi mi bliskich, abym stanął między nimi a tobą. I osiągnęli cel. Chcą, żebyśmy zniszczyli się nawzajem.

Haiku nic nie mówiła. Po policzkach spływały jej łzy, na które nie zwracała uwagi. Patrzyła na Kapłana, oddychając równo i głęboko.

- Wiesz, że mówię prawdę - drażył Krzysztof.

- Wiem - odparła głucho po długim milczeniu. - Przysięgam. Nikt z twoich bliskich nie zginie z mojej ręki, jeśli dziś pozwolisz mi żyć - dodała bez wahania.

- Wiem, że dotrzymasz słowa, ale rozważ to, co ci teraz proponuję; odejdz ze mną. - Krzysztof opuścił miecz. - Pokażę ci, jak można uciec od tego wszystkiego, co do nas nie pasuje. Od lat staram się tak żyć. To możliwe.

Haiku wolno opuściła wzrok.

- Dlaczego jesteśmy tacy? Kto nas takimi uczynił? Bóg? Wierzysz w Boga?

- Oczywiście. - Krzysztof uśmiechnął się łagodnie. - Byłem kiedyś księdzem. Ale nie potrafię ci odpowiedzieć. Ja po prostu pogodziłem się z tym. Już bardzo dawno temu. Odejdz ze mną. Odejdz od tych, którzy cię tu przysłali. Jeszcze nie jest za późno.

Haiku pokręciła głową.

- Nigdy nie skrzywdzę nikogo, o kim będę wiedziała, że jest ci bliski, ale nie mogę pójść z tobą. Muszę zrobić coś, w czym - jak sądziłam do tej pory - mogą pomóc mi tylko ci, którzy mnie

tu wysłali. Gardzę nimi, ale cel jest ważniejszy. *Shizukasa-ya, Kosui-no soko-no, kumo-no mine*⁵¹
- wyszeptła dziewczyna, cicho wykonując rytualny ukłon.

- *Natsuyama-yo, hitoashizutsu-ni, umi miyuru*⁵² - odpowiedział z delikatnym uśmiechem
Kapłan. - Odejdź ze mną, Haiku.

- Nie - odparła dziewczyna, unosząc wzrok. - Ale chcę, abyś poznał tajemnicę, której nawet ty sobie nie uświadamiasz. Chcę powiedzieć ci to, czego nie usłyszał ode mnie jeszcze żaden człowiek. Chcę, abyś wysłuchał mojej spowiedzi, mój jedyny bracie. Chcę, abyś zrozumiał.

I Haiku opowiedziała swoją tajemnicę, o której nie słyszał jeszcze żaden człowiek. A Kapłan jej słuchał. Długo, cierpliwie. Mijał czas i Krzysztof być może nie tylko zrozumiał jej zemstę, ale także poczuł, jak rodzi się w nim uspięte od wielu lat uczucie gniewu, którym teraz się dzieliła. Wszystko stało się jaśniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Możliwe, że jej dusza już nigdy nie zazna spokoju, a jej grzechy nie znajdą przebaczenia. Jednak pewne było jedno - winni będą musieli ponieść karę.

Samochód mknął na południe. Adrian przez co najmniej kilka minut trzymał twarz w dłoniach.

- O mój Boże - jęczał cicho. - Tyle czasu kłamał... mój Boże...

- Co jest? - spytał Wilecki, odwracając się od okna.

- Nic. Księżulo biadoli - mruknęła Ola siedząca między nimi.

- Co się stało, proszę księdza? - rzucił głośniejszym głosem profesor.

- Nic, nieważne... - buczał Adrian. - Ktoś, komu bardzo ufałem, zwyczajnie mnie oszukiwał...

- My też, i co z tego? Teraz ksiądz będzie oszukiwał każdego, kto będzie księdza o to wypytywał.

- A wiesz dlaczego? - wtrąciła Ola. - Bo nie narazisz życia Krzysztofa ani nikogo z nas. Może nie jesteś za bystry, ale nie wyglądasz mi na łajdaka.

- Zamilcz ty ruda, złośliwa babo!!! - wybuchnął nagle Adrian. - Potrafisz tylko dokuczać, zrzedzić i kłamać jak Demel!!! Dość mam was wszystkich, przeklinam dzień, kiedy pierwszy raz sięgnąłem po tę sprawę!

⁵¹Cisza głęboka/na dnie jeziora/tak ciężkie chmury (wiersz haiku Issa ze zbioru *Kanseikuchō*, 1792).

⁵²Wzgórze zieleni/co krok to dalej widzę/morze rozległe (wiersz haiku Issa ze zbioru *Keiwakuchō*, 1803).

W samochodzie nastąpiła absolutna cisza. Jadący na przednich siedzeniach aurelici nawet nie drgnęli, ale profesor przykleił czoło do bocznej szyby, nagle absolutnie pochłonięty mijanymi widokami. Ola przez pewien czas siedziała jak zamurowana, z szeroko otwartymi oczami, po czym kompletnie niespodziewanie wybuchła głośnym śmiechem. W tym momencie nawet Coluneo dyskretnie odwrócił głowę, ale szybko znów zainteresował się tym, co działo się za przednią szybą.

- A tobie co? - zainteresował się Wilecki.

- Jak to co? Nie słyszałeś? Ksiądz Adrian pierwszy raz odezwał się jak człowiek, nie jak arogancki „czarny”, mający się za Bóg wie kogo. Cieszę się, że w tych pięknych, choć może cokolwiek zbyt dramatycznych jak na mój gust, okolicznościach przyrody urodził nam się nowy kompan z wrażliwą duszą!

- On ma rację, przestań już! Ja też mam dość tego twojego antyklerykalizmu - rzekł zmęczonym tonem profesor. - Jesteś lekarzem, psychiatrą, nie oszołomem z Pipidowy!

- Mówię poważnie. - Ola przestała się śmiać. Odwróciła się do księdza i wyciągnęła rękę na zgodę. - Proszę przyjąć moje przeprosiny, proszę księdza, ja też ledwo żyję ze strachu, ale dajmy sobie jeszcze jedną szansę. Wygląda na to, że być może spędzimy ze sobą trochę czasu.

Adrian niepewnie podał jej rękę.

- Proszę mi mówić po imieniu - zaproponowała lekarka. - Ola!

- Adrian - zgodził się wciąż zachmurzony ksiądz. - Jeśli już musisz do mnie mówić, to mów w ten sposób - mruknął cicho.

Sambierska pokręciła głową, ale się nie zniechęciła.

- Rozumiem. Nie musisz od razu pałać do mnie entuzjazmem. Poczekam, aż minie ci szok poznawczy. Oczywiście mówię o całokształcie.

Adrian odwrócił się do okna.

- Księdza Demela też nie znosisz? - spytał złośliwie. - Jest z twojej drużyny.

- Nie jest z mojej drużyny - odparła spokojnie Ola. - I rzeczywiście niezbyt się lubimy. Ale on również chroni Krzysztofa, więc nie wchodzimy sobie w paradę.

Adrian ponownie odwrócił się w jej stronę.

- Wszyscy bronicie go, ukrywacie jego przeszłość, mnie też jest bliski jako duchowny, ale przecież to... aurelita. Teraz się dopiero okazało, że mam rację. - Znowu ukrył twarz w dłoniach.

Profesor z ulgą dziękował Bogu, że Coluneo i jego kolega nie znają polskiego.

- Skąd księdzu to przyszło do głowy? - spytał z pewnym rozbawieniem.

- To przecież oczywiste! - wybuchnął znowu Adrian. - Czytałem książki, widziałem to, co my wszyscy!

- A widział ksiądz, co on zrobił z tą zabójczynią?

- Widziałem. Jest fenomenalnie wyszkolony. Nie wiem tylko, kiedy zdążył się tego wszystkiego nauczyć. Chyba że ksiądz proboszcz też jest aurelitą.

- Trochę przesadzasz, Adrianie, z tą spiskową teorią dziejów. - Ola uśmiechnęła się łagodnie, wciąż pracując nad polepszeniem stosunków. - Ponad wszelką wątpliwość proboszcz Demel nie jest i nigdy nie był aurelitą.

- Więc kiedy...?

- Nigdy - krótko podsumowała Sambierska, po czym dyskretnie wskazała dwóch mężczyzn siedzących przed nimi. - To są aurelici. Fenomenalnie, jak to ująłeś, wyszkoleni rycerze, opierający się na ponadtysiącletniej tradycji swojego bractwa, niegdyś bazującej na akatolickiej, gnostyckiej wierze, o której pewnie czytałeś. Dziś to... po prostu potężna, tajna i cholernie skuteczna instytucja.

- A ksiądz Krzysztof? - spytał kolejny raz Adrian, jakby miał to nagrane na wiecznie gotowej do odtworzenia taśmie. - Kto i kiedy go wyszkolił?

- Nikt

- Nikt?!

- On pamięta - odpowiedział spokojnie profesor.

- Co pamięta?

- Wszystko - dodał niemal szeptem Wilecki.

- Zaraz, zaraz... - Adrian pokręcił głową. - Nic nie rozumiem. Chcecie powiedzieć, że on nie jest aurelitą?!

- Nie jest - zgodził się profesor.

- To kim jest?!

Ola zajrzała młodemu księdzu prosto w oczy.

- Oni - wskazała na Giordana i jego towarzysza - nazywają go Wielkim Kapłanem Ścieżki Wiedzy, a my - po prostu przyjacielem z nieco... rozbudowanymi zdolnościami ogólnymi.

- Kapłan...

- No, widzę, że trochę świta. - Lekarka uśmiechnęła się.

- Noc Kapłanów! Czytałem o tym w księgach!

- Spokojnie - poprosił delikatnie profesor, znowu dyskretnie wskazując wzrokiem aurelitów. - Mówmy ciszej i tak, jakbyśmy rozprawiali o pogodzie.

- No dobrze, co z tą pamięcią? Dlaczego jest tak sprawny jak aurelici? - Strach i załamanie powoli mijało. Adrian znów zamieniał się w zafascynowanego historią detektywa.

- Jak aurelici? - prychnęła Ola. - Aurelici to przy nim dzieciaki. Widziałeś, jak tych dwóch próbowało powstrzymać tę straszną kobietę?

- Tak.

- A widziałeś, jak zrobił to Krzysztof?

- Oczywiście.

- Nie dostrzegasz różnicy?

- Dostrzegam, ale ja... nie wiem, jak to w ogóle możliwe?!

- Może spróbujmy tak - wtrącił profesor. - Podobno interesuje się ksiądz historią?

- Bardzo.

- Skorzystajmy z tego. Opowiem księdzu pewną historię, która być może na pierwszy rzut oka wyda się nieprawdopodobna, ale w związku z profesją uprawianą przez księdza rozumiem, że mam do czynienia z osobą otwartą na... powiedzmy... swego rodzaju... cuda.

- Cuda? - spytał, jakby nie dosłyszawszy, Adrian.

- No, tak właściwie, niewiele ma to wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, ale jest równie rzadko spotykane.

- Słucham. - Adrian, gotów na kolejne rewelacje, rozłożył ręce.

- Żył kiedyś na Krecie około 1700 lat przed naszą erą człowiek, który nazywał się Tacjades. Był doradcą króla Malii. Zresztą ruiny pałacu, w którym urzędował, możemy podziwiać do dziś.

- Ściślejszy i bardziej lapidarny wykład proszę - zaproponowała Ola.

- Nie przeszkadzaj - rzucił w jej stronę profesor.

- Nie zgadzam się z panią doktor, jak dla mnie może pan mówić do wieczora. Nie sądzę, by znudziło mnie cokolwiek, co dotyczy tej sprawy - wyznał Adrian.

- Dziękuję. - Profesor się uśmiechnął. - Wiosną 1682 r. p.n.e. Tacjades, idąc na jedną z narad, zasnął i zamiast udać się do króla, został odniesiony do swej komnaty. Sprawa okazała się

poważniejsza, bo chory - jak się później okazało - pozostawał w łóżku kilka tygodni. Mimo troskliwej opieki medyków, stan chorego wydawał się beznadziejny. Złany potem, półprzytomny Tacjades całymi dniami wykrzykiwał o nieznanach światach i krainach, o tysiącu żyć i wizjach gorszych od śmierci.

- Skąd pan zna takie szczegóły, profesorze? - spytał Adrian. - O starożytnej Krecie historia mówi naprawdę niewiele.

- Dojdziemy do tego. Ponad dwa i pół tysiąca lat później podobną „chorobę” przeżył Devirk, Wiking z kraju Danów. Też te same objawy. Długotrwała choroba, przypominająca zapalenie mózgu, dziwne wizje z „nieznanych krain”, „tysiące żyć” i tak dalej. Kolejnych kilkaset lat później - Michał Kotwicz, szpieg króla Władysława IV - identyczna choroba, identyczne objawy. I jeszcze kilku przed nimi, za nimi i między nimi. Wreszcie współczesność. Warszawa, Polska, młody, zdolny duchowny Krzysztof Lorent tuż po mszy świętej upada na posadzkę swojego kościoła i zostaje odwieziony do szpitala. Jest leczony najpierw na oddziale neurologicznym, później na psychiatrycznym.

Profesor sięgnął po papierosa, ale Sambierska natychmiast skarciła go wzrokiem, więc potulnie szybko schował konspiracyjnego skręta z powrotem do kieszeni.

- Wszyscy ci ludzie po kilku tygodniach zaczęli odzyskiwać zdrowie, ale... - Wilecki zagadkowo zajrzał w oczy duchownemu. - Nie byli już tymi samymi ludźmi.

- Nie byli... - powtórzył głupkowato Adrian.

- No właśnie. Szybko się okazało, że z niewiadomych przyczyn posiadli niesamowitą, niewyobrażalną wiedzę, znacznie przekraczającą to, czego mogli się dowiedzieć w ciągu całego swojego życia. A przez kilka tygodni „choroby” ich umysły najpewniej „uczyły się”, jak z tym żyć.

- Aaa... skąd ta wiedza? - spytał Adrian, nieco wytrącając profesora z uporządkowanego toku myślenia.

- Od przodków - odparł prosto z mostu Wilecki. - Ci ludzie uzyskali nieprawdopodobny dar „pamiętania” tego, co przeżyły tysiące ich protoplastów, najprawdopodobniej przekazany im w genach. To, co pamiętali ci, od których pochodzili, było teraz również w ich świadomości. Ta część genów, te obszary mózgu, do których my nigdy się nie dostaniemy, bo natura tak nas zaprogramowała, dla nich jest otwarta. My możemy korzystać tylko z niewielkiego procentu naszego mózgu i nawet jeśli śpią tam ukryte tysiące informacji, które odziedziczyliśmy po

przodkach, nigdy z nich nie skorzystamy, ale tacy jak Krzysztof... jak najbardziej. Dla nich ta furka jest otwarta. Wyobraża sobie ksiądz, jakie to daje możliwości?

- Nieprawdopodobne... - wyszeptał oczarowany Adrian. - Dzięki niemu możemy dowiedzieć się... wszystkiego!

- Nie tak szybko. - Profesor uniósł uspokajająco rękę. - To nie takie proste, ale do tego też dojdziemy.

- Ale przecież wiedza, fakty...

- Wiedza i fakty to małe miki. Nasz umysł sprawnie selekcjonuje to, co w ciągu życia do niego dociera, i większość odrzuca jako niepotrzebne. Tego, co zapomnieli niegdyś poprzednicy Lorenta, on też nie pamięta. Przeciętny człowiek, biorąc pod uwagę możliwości, w ogóle niewiele pamięta, nawet z tego, czego nauczył się w szkole. Pozostaje w szarych komórkach to... co potrzebne na co dzień, by działać, pracować, wykonywać istotne czynności, no i myśleć. Naukowcy, intelektualiści są znikomą częścią populacji. Wiedza przeciętnego chłopca ze średniowiecza zwykle nie wykraczała poza jego wioskę, choć i ona dziś jest dla nas istotna, ale... Nie domyśla się ksiądz, co tu jest najważniejsze?

Adrian bezradnie pokręcił głową.

- Co jest najbardziej trwałe? - nie dawał za wygraną Wilecki. - Co najtrudniej nam zapamiętać? Co świadczy o tym, że stajemy się względem innych niepowtarzalni?

- Umiejętności...?

- Właśnie!!! Jazda na rowerze, chodzenie, bieganie - tego się nie zapomina. Więc teraz niech ksiądz sobie wyobrazi; setki rycerzy, mistrzów walki, szermierzy, szpiegów, polityków, strategów, przywódców na przestrzeni wieków i wszystkie ich umiejętności... odzyskane w jednym człowieku. Oto kim jest Wielki Kapłan Ścieżki Wiedzy!

- Nie mogę uwierzyć... - jęknął Adrian. - Taki człowiek może wiedzieć... jaki był początek! Może to pamiętać!

- Według twojego kościoła chodzi o Adama i Ewę, nie macie dylematu - wtrąciła Ola.

- Nie wierzę, żebyś była taką dyletantką, jaką udajesz - ofuknął ją hardo. - To oczywiste, że *Księga Rodzaju*, *Genesis* to wielkie symbole. Nauka także jest elementem boskiego stworzenia. Poszukiwania, wątpliwości i skłonność do grzechu leżą w naszej naturze. Osiągnięcia umysłu ludzkiego, jak teoria ewolucji, również są już uznawane zarówno przez większość postępowej inteligencji katolickiej, jak i przez Kościół. A więc, wbrew temu, co mówisz, my również nie

wiemy, jak w sensie dosłownym oddzieliliśmy się od reszty Stworzenia. Wiemy tylko, że uczynił to Bóg, ale jak, tego jeszcze nam nie zdradził. Ola machnęła ręką.

- Niech ci będzie. To wolny kraj. Można myśleć, co się chce.

- Nie pamięta - odezwał się wreszcie profesor.

- Czego? - Adrian wyrwał się z zamyślenia potrzebnego do konfrontacji z Sambierską.

- Początku. Krzysztof tego nie pamięta. Najwcześniejsze „życie”, jakie zarejestrował, dotyczy Tacjadesa z Malii, o którym mówiłem. Wyznał mi to kiedyś. Też liczyłem na to, że mnie oświeci. - Profesor się uśmiechnął. - Zresztą do jego świadomości dostał się zaledwie ułamek tego, co działo się między Kreteńczykiem a nim, ale i tak jest to wiedza porażająca. Lorent nie wie nic o przodkach Tacjadesa, ale ma świadomość, że tamten, również będąc Kapłanem, pamiętał ich dziesiątki, może setki. Każdy Kapłan, choć pojawia się raz na kilkaset lat i pamięta zaledwie pięć, może dziesięć procent „żyć” tych, którzy istnieli przed nim i byli z jego „linii”, i tak jest na tyle potężny, że nikt nie potrafi w żaden sposób mu dorównać. Wyobraża sobie ksiądz, jak straszliwa musi to być samotność? Nie mieć nadziei, że istnieje taki ktoś, przynajmniej mu równy, od kogo mógłby nauczyć się czegokolwiek sensownego, kto miałby większe horyzonty, doświadczenie. Do kogo mógłby się zwrócić po poradę? A może po miarę samego siebie? Czy nie na tym polega wiara w Boga? Czy nie w nim instynktownie odnajdujemy tak potrzebnego nam opiekuna i przyjaciela potężniejszego od nas, mądrzejszego, światlejszego, po to, aby nie być samotnym? Czy religia nie ma przypadkiem źródła w nieufności do drugiego człowieka, w paradoksalnej niewierze w ludzkie dobro i miłość? Kościół mówi przecież - „Tylko Bóg jest dobrocią i miłością”. Dlatego trwamy przy wierze. To nie tylko lęk przed śmiercią, Adrianie. Teraz już wiem, że nie tylko.

Luigi Balea szedł wolno kruzgankiem, z rękami założonymi do tyłu. Mniej więcej dwadzieścia metrów przed nim otworzyły się drzwi zwane przez służbę „północnymi” i pojawił się w nich Alain Forteil. Młody aurelita dostrzegł mistrza, więc spokojnie wyszedł i uklonił się na powitanie. Balea, zatrzymawszy się, skinął na niego, by podszedł bliżej.

- Mogę przeszkodzić? - spytał Forteil.

- Oczywiście, mów - odparł Luigi.

- Zdażyli w ostatniej chwili, ale natknęli się na Japonkę.

Balea z niepokojem spojrzał na Alaina.

- Wygląda na to, że wszystko jest pod kontrolą - uspokoił go szybko Forteil. - Kapłan pomógł.

- Wszyscy żyją?

- Tak. Ive i Jaques mieli wypadek, ale są tylko lekko ranni. Właściwie nic im nie jest.

- Co z Haiku?

- Nie wiemy. Kapłan został z nią sam. Bracia próbują wywieźć Polaków, ale na razie nie ma planu. Do naszych w Warszawie, trochę niebezpiecznie bez sprawdzenia. Nie mamy pojęcia, co tamci wiedzą.

Luigi pokręcił głową z zażenowaniem.

- Krzysztof słusznie nam nie ufał. Cały czas sam ich miał na oku. Jest mi wstyd. - Rzucił piorunujące spojrzenie na Forteila.

- Ostrzeżenie przyszło w ostatniej chwili. Nie dało się nic więcej zrobić.

Balea niespiesznie ruszył w stronę swojego sekretariatu.

- Są cały czas krok przed nami - mruknął rozdrażniony. - Mamy u tamtych za mało ludzi.

- Może Kapłanowi udało się zlikwidować Japonkę. Wtedy wszystko poszłoby łatwiej.

- O ile znam Lorenta, jeśli nie musiał, nie zabił Japonki. Jest za wcześnie. On chce doprowadzić sprawę do końca, a do tego potrzebuje jej żywej.

- A jeśli ona zabiła jego?

- Nie sądzę. Jest mniej doświadczona, poza tym nie ma pojęcia, kim jest Krzysztof. Na pewno to wykorzystał. Ale nawet jeśli pojedynek przegrała, teraz będzie już ostrożniejsza i nie popełni tych samych błędów. Jestem w stanie założyć się o duże pieniądze, że darował jej życie.

- Możemy stracić kontrolę nad wszystkim. Bez niego nie damy jej rady.

- Nie o to najbardziej się martwię. - Balea westchnął. - Jest dużo poważniejszy problem.

- Myślisz mistrzu o tym, co będzie, jak Kapłan dowie się, co ona naprawdę robi?

- Właśnie. To jest teraz nasz główny kłopot.

Aurelici przez kilka sekund cicho ze sobą rozmawiali po francusku, po czym Giordano sięgnął do schowka i wyjął mapę.

- Nie wiecie, gdzie jechać - stwierdziła bez ceregieli Ola, od pewnego czasu obserwując ich uważnie.

Kierowca i Coluneo z początku nie zareagowali, ale już po chwili Giordano odwrócił się i zawiesił na niej wzrok.

- Czy chce pani coś zasugerować? - spytał po angielsku.

- Jak daleko jesteśmy od katowickiej? - rzuciła pytanie.

- Nie rozumiem.

- Jechaliśmy drogą Warszawa - Katowice, gdzie teraz jesteśmy?

- Skręciliśmy kilka razy na wszelki wypadek, dla bezpieczeństwa, ale ogólnie jedziemy na południe.

- Pokaż mapę! - wyciągnęła dłoń po atlas Polski.

Coluneo potulnie wykonał rozkaz.

- Mniej więcej tu? - zagadnęła dla porządku, jadąc palcem po planie.

- Raczej tu - poprawił Giordano, wskazując dokładnie miejsce, przez które przejeżdżali.

- W porządku. Jedźmy tutaj. - Zapukała we fragment lasu znajdujący się kilkanaście kilometrów dalej.

Aurelici spojrzeli po sobie.

- Jest pani pewna, że tam będziecie bezpieczni?

- Przed wami, cztery lata temu, właśnie tam się ukryliśmy i do dzisiaj o tym nie wiecie. -

Uśmiechnęła się nie bez satysfakcji.

Coluneo skłonił z szacunkiem głowę.

- A więc niech tak będzie. Jedź tam! - rzucił do kierowcy.

- Zwariowałaś?! Do Bzdeta? - włączył się nagle Wilecki.

- A dlaczego nie?

- To świr.

- Ale dobry przyjaciel Krzysztofa. Na pewien czas tam będzie najbezpieczniej. Nikt o tym miejscu nie wie.

- Za to my nie wiemy nawet, kto chce naszej śmierci, a ty chcesz, żebyśmy jechali do tego punka?

- Już raz nam pomógł. I to bardzo.

Profesor rozłożył ręce.

- Jak chcesz. Z pewnością będzie zachwycony, widząc, że sprowadzamy do jego domu aurelitów!

- Jakoś to przełknie.

- Olu, panie profesorze - odezwał się stosunkowo długo już milczący Adrian. - Nie uważacie, że najwyższy czas, aby spróbować się dowiedzieć, o co tu właściwie chodzi?

Wilecki uśmiechnął się smutno.

- Trudno księdzu nie przyznać racji, trzeba ich zapytać. - Nosem wskazał aurelitów.

- Jasne! - prychnęła Ola. - Uważaj, jak ci powiedzą!

- Trzeba spróbować.

- Poczekaj jeszcze chwilę. Chcę im patrzeć w twarz, gdy będziemy o tym rozmawiali.

- Przepraszam - wtrącił znowu Adrian. - Ale skoro już jestem w to wplątany, muszę zapytać: co wy macie z nimi wspólnego? Dlaczego wam pomagają? Dlaczego jesteście w niebezpieczeństwie? I gdzie przez ostatnie lata mieszkał ksiądz Krzysztof?

Ola już otwierała usta, ale Wilecki ją powstrzymał, dając do zrozumienia, że sam to załatwi.

- Kto nas tym razem chce załatwić? - zaczął. - Nie mamy pojęcia. Gdzie był Krzysztof? Podobno mieszkał wśród Indian Kaneczua w Południowej Ameryce, ale gdzie, dokładnie nie wie nikt. A aurelici... to trochę dłuższa historia.

- Chciałbym się z nią zapoznać - zachęcił Adrian.

Wilecki wzruszył ramionami.

- Właściwie czemu nie? Teraz to i tak już wszystko jedno.

Sambierska tylko machnęła ręką.

- Od czasów Aureliusza Marcelina - rozpoczął kolejną opowieść profesor - a więc od około czwartego wieku tej ery, pojawiający się co pewien czas kolejni Kapłani cieszyli się szczególnym zainteresowaniem jego bractwa. W co, tak z grubsza, wierzyli i na czym polegał ich obrządek, pewnie ksiądz czytał w księgach profesora Linka?

- Noc Kapłanów i tak dalej...

- Właśnie. Aurelici przez wieki zbierali wiedzę, aby móc walczyć z chybionym Bogiem, czyli Szatanem. Temu miał służyć między innymi tajemniczy i niesłychanie rzadki obrządek Nocy Kapłanów. Ale całe te ich wierzenia, bla... bla... bla... i tak dalej, są mniej ważne. Dużo istotniejsze jest to, że dzięki swoim wpływom, a mieli je na każdym niemal europejskim dworze, w urzędach, w istotniejszych ośrodkach miejskich, wśród książąt oraz innej arystokracji wschodniej i zachodniej, mogli szybko zdobywać najistotniejsze informacje dotyczące tego, co ich najbardziej interesowało.

- Chodziło o Kapłanów?

- Oczywiście. Człowiekowi, który nagle spektakularnie zachorował, a później dysponował niespotykaną wiedzą i umiejętnościami, trudno było się ukryć. Prędzej czy później, dopadali go po to, aby mogła się odbyć... Noc Kapłanów. Aurelici byli nieprawdopodobnie cierpliwi. Na jedno spotkanie z kimś takim jak Lorent potrafili czekać całymi pokoleniami.

- Marcelin też był Kapłanem?

- Oczywiście. Choć nie z tej linii, co Krzysztof. Dlatego Krzysztof i jego przodkowie tak ich interesowali. Mieli wiedzę tylko Aureliusza i jego linii.

- A co na to sami Kapłani?

- Każdy świeżo oświecony Kapłan od razu wiedział o nich, bo miał przecież w sobie wiedzę poprzedników. Tak więc całe setki lat, od wczesnego średniowiecza aż do czasów dzisiejszych, były wypełnione walką Kapłanów z aurelitami, bowiem rzadko który z nich zgadzał się na współpracę. Krzysztof i obecny mistrz bractwa byli tymi, którzy kilka lat temu ów odwieczny konflikt zakończyli. Obalili starych mistrzów i wprowadzili nowy porządek. Religia i tak była obecna już tylko wśród elity, a wpływy na całym świecie utrzymywano poprzez świetnie opłacanych... nazwijmy to - szpiegów i wiernych współpracowników, nie mających pojęcia o jakimś tam Szatanie, rządzącym w Niebie po wojnie Aniołów. Wojna z Kapłanami przestała mieć sens i młode pokolenie aurelitów to rozumiało. Tradycja oczywiście pozostała, ale zaczęła służyć wyłącznie temu, co w dzisiejszych czasach najważniejsze - biznesowi. Krzysztof i Mistrz przysięgli nie wchodzić sobie w drogę i reagować tylko wtedy, gdy ktoś spróbuje obalić ten porządek. Dlatego właśnie najbardziej zasadne wydaje się nie pytanie: „Co my robimy z aurelitami?”, a nawet nie: „Kto nas goni?”, ale przede wszystkim: „Co tu robi Krzysztof i dlaczego wrócił?”. A zapewniam księdza, że skoro się pojawił, musiał mieć cholernie ważny powód. I ten powód jest odpowiedzią na wszystkie nasze problemy.

- Japonka?

- Za mało. Musi chodzić o coś więcej. Choć mówiąc szczerze, dużo bym dał, by dowiedzieć się, kim ona jest, bo to, co przychodzi mi do głowy, jest tak nieprawdopodobne, że aż boję się o tym w ogóle gadać.

ROZDZIAŁ 6

Szedł szybko, ale uważnie rozglądając się dookoła. Co pewien czas wydawało mu się, że ktoś za nim idzie, choć jak na razie wszyscy „podejrzani”, prędzej czy później, skręcali w boczne ulice, wsiadali do autobusu albo tramwaju lub wchodzili do sklepu, nie pojawiając się więcej za jego plecami.

Włożył dziś czarny garnitur, niechętnie zostawiając na plebanii sutannę, z którą bardzo rzadko się rozstawał, ale wiedział, że dzisiaj tak było trzeba. Zdecydował się nawet na lekki płaszcz, mimo że temperatura na dworze wymagała co najwyżej koszuli z krótkim rękawem. Lipiec tego roku nie należał może do najgorętszych, jednak duszny, nieprzyjemny odór miasta dodatkowo rozgrzewał ulice, czyniąc je jeszcze bardziej cuchnącymi i gorącymi. Ludzie przyzwyczajeni do tej mniej lub bardziej brzydkiej, betonowej układanki śródmiejskiej, truchtali jak co dzień chodnikami, wpleceni w cały ten moloch, w większości przybierając nic niewyrażające miny, dodatkowo podkreślające ich anonimowość, obcość, czasem po prostu samotność. Godziny szczytu jak zwykle uwydatniały brzydotę miasta, każąc ludziom jeszcze bardziej się spieszyć, jeszcze bardziej rozpychać łokciami, z większym wreszcie animuszem wpasowywać się w tępy rytm rozpedzonej maszyny.

On rzadko opuszczał teren swojej parafii, a już do wyjątków należały jego sporadyczne wizyty w centrum. Kiepsko się w nim orientował i raczej trudno mu było obyć się bez mapy.

Jednak dzisiejszy cel wizyty był duchownemu akurat dość dobrze znany. Bywał tu już wcześniej i znał ludzi, których teraz szukał.

Dochodząc do drzwi z niebieskim napisem, jeszcze raz obejrzał się za siebie, po czym wszedł do niewielkiego przedsionka komendy i zbliżył się do okienka, za którym dyżurny oficer właśnie kończył rozmowę telefoniczną. Policjant z instynktowną podejrzliwością przyglądał się gościowi przez chwilę, zanim zapytał, w czym mógłby pomóc.

- Nazywam się Alojzy Demel, szukam komisarza Michała Kępińskiego - odparł interesant.

- W jakiej sprawie?

- Wolalbym z nim o tym porozmawiać. - Demel nie lubił być w taki sposób przepytany, poza tym, tak czy owak, musiałby kłamać.

- Nie mogę wpuszczać nikogo, dopóki nie powie, o co chodzi - nie ustępował dyżurny.

- Proszę tylko do niego zadzwonić, na pewno do mnie zejdzie.

- Nie wiem, czy jest.

- Jeśli go nie będzie, proszę o kontakt z komisarz Ewą Nowicką.

Dyżurny jeszcze przez moment przyglądał się upartemu obywatelowi, wreszcie nacisnął odpowiedni numer na klawiaturze.

- Jest tu pan Alojzy Debel...

- Demel - poprawił obywatel.

- Demel. Prosi o rozmowę z komisarzem Kępińskim.

- Schodzę! - odpowiedział szybko głos w słuchawce i przerwał połączenie.

Dyżurny, nieco zdziwiony, ponownie odwrócił się do gościa.

- Proszę poczekać! - rzucił sucho, po czym zaczął notować coś w dzienniku.

Kępiński pojawił się bardzo szybko. Poleciał dyżurnemu wpuścić interesanta i dał znak Demelowi, aby szedł za nim. Wspięli się po schodach na pierwsze piętro, gdzie komisarz wskazał proboszczowi drzwi pokoju, w którym ma na niego poczekać, a sam szybkim krokiem zniknął za zakrętem korytarza.

Demel nacisnął klamkę, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Pomieszczenie wyglądało na mały pokój wstępnych przesłuchań. Prócz stolika i czterech krzeseł nie było tu żadnych mebli ani nawet telefonów. Kępiński po kilku minutach wrócił w towarzystwie Ewy Nowickiej. Oni również starannie zamknęli za sobą drzwi.

- Co ksiądz tu robi?! - spytał niepokojącym szeptem komisarz. - To nieostrożne!

- Musi mi pan wybaczyć - odparł duchowny, siadając na jednym z krzeseł. - Nie było innego wyjścia.

- Ale tu, na komendzie?! - syknęła Ewa. - Gdzie kręci się tylu ludzi?

- Bałem się zadzwonić. Wszystko teraz podsłuchiwane. Zresztą sami wiecie najlepiej, jak jest.

- Przecież nie jesteśmy politykami. - Kępiński zwiesił głowę. - Teraz nazwisko księdza jest w dzienniku. Jak dowie się o tym ten grubas z Mokotowa, będą kłopoty! Jak się z tego wytłumaczyć? Powiedziałem mu, że sprawa jest zamknięta. A teraz ojciec tu przychodzi i jakoś to trzeba będzie wyjaśnić!

- Co trzeba będzie wyjaśnić?

- O czym rozmawialiśmy i dlaczego w cztery lata po zamknięciu sprawy jeden ze świadków, w dodatku duchowny, nas odwiedza.

- Dobra, coś wymyślimy. - Ewa machnęła ręką. - O co chodzi?

- Mój wikary zginął... to znaczy zniknął.

- Kiedy?

- Kilka godzin temu.

- Kilka godzin temu?! - jęknęła Ewa. - I dlatego ksiądz tak ryzykuje, przychodząc tutaj?!

- Nie rozumie pani. Nie przyszedł na mszę, którą miał odprawiać. W normalnych warunkach to absolutnie niemożliwe. Odkąd jest księdzem, nigdy mu się to nie zdarzyło. Więc możecie przyjąć za pewnik, że coś się stało.

- Dzwonił ksiądz do niego? - spytał Kępiński.

- Tak. Nie odbiera telefonu.

- Może jednak ten z Mokotowa? - wtrąciła Ewa.

- Co ten z Mokotowa?! - mruknął rozdrażniony komisarz. - Porwał księdza? Co ty pierdolisz? Przepraszam... - Podniósł ręce do góry, licząc na wybaczenie Demela. - Trochę zaczynam się denerwować.

- Dlaczego nagle teraz miało się coś innego stać? - nie ustępowała Nowicka. - Minęło sporo czasu; tylko grubas i ten jego jełop się sprawą interesują. Zresztą prędzej czy później ktoś im wybije rzecz z głowy.

- To nie takie proste - wtrącił proboszcz.

Policjanci skierowali na niego badawczy wzrok.

- Co nie jest proste? - spytał podejrzliwie Kępiński. Demel przez chwilę się wahał.

- On wrócił - wydusił wreszcie.

- Kto wrócił? - spytała jak automat Nowicka.

- Krzysztof.

- Co?!!!

- Był u mnie.

- Po co wrócił?

- Nie wiem, nie powiedział. Ale właśnie dlatego się denerwuję o Adriana. Skoro on wrócił, musiał mieć ważny powód. Coś się dzieje, a Adrian, to znaczy mój wikary...

- Co Adrian? - przerwała Ewa.

- Skądś dowiedział się o wielu sprawach.

- A tak na przykład, to o jakich? - spytała z lekka już drżącym głosem Nowicka.

- Na przykład o aurelitach.

- Słucham?! - Kępiński przysunął sobie krzesło i usiadł blisko proboszcza. - Czy ja dobrze słyszę?! Ksiądz mówi, że wikary sam dowiedział się o potężnym, tajnym bractwie, przez które omal wszyscy nie postradaliśmy życia... I zrobił to ot tak, pstryk? - Komisarz strzelił palcami.

- Tak.

- Niech ksiądz dobrze posłucha. Oni trwają od setek lat w ukryciu i naprawdę są w tym dobrzy. Raczej ciężko będzie o nich znaleźć jakąkolwiek wzmiankę w *Historii Świata*. Nie piszą o nich w „Gazecie Wyborczej” ani w „Polityce”. Nikt nie dowiaduje się o nich ot tak, pstryk. A jak się dowiaduje, to znika. My dzięki temu, że układ jest, jaki jest - żyjemy, i niech tak zostanie. Więc bardzo teraz proszę, aby ksiądz się skupił i dokładnie wyjaśnił; jak to się stało, że ksiądz...

- Adrian.

- Właśnie, że ksiądz Adrian posiadał wiedzę o aurelitach?!

- Ktoś mu musiał pomóc - westchnął Demel.

- No, co ksiądz powie?! - warknęła z irytacją Ewa.

- I bez pani sarkazmu boję się, jak nigdy wcześniej - rzucił proboszcz z wyrzutem w jej stronę. - Nie wiem, próbowałem go powstrzymać... - Ukrył twarz w dłoniach.

- Dobra, nie ma co - zdecydował Kępiński. - Bierzemy się do roboty. Jak zdążymy, może nas tym razem nie pozabijają.

- Dokąd chcesz jechać? - spytała Nowicka.

- Najpierw do lekarki, później do reszty. W końcu na coś trafimy. Oby na Lorenta, a nie na tamtych. On dawno u księdza był?

- Krzysztof? - upewnił się Demel.

- Tak.

- Kilka dni temu.

- No, pięknie - skwitowała Ewa. - Jesteśmy po pachy w gównie. Jak nic, znowu się zaczęło - Nowicka nawet nie wysilała się z okiełznaniem słownika w towarzystwie proboszcza.

- Niech ksiądz wraca do siebie i czeka na jakiś sygnał od nas. Lepiej, żeby nikt nas razem nie widział - nakazał Kępiński. - My spróbujemy się rozejrzeć, może znajdziemy chłopaka. Tylko niech nikomu ksiądz o tym nie mówi.

- Może by wypuścić na nich grubasa? - zaproponowała Ewa.

- Nawet nie żartuj w ten sposób - skarcił ją komisarz, po czym znowu odwrócił się w stronę Demela. - Niech już ksiądz idzie. My wyjeżdżamy za dziesięć minut.

- Słucham! - usłyszała obcesowy głos Glotersa w słuchawce.

- Nie wiem, jak mogłam dać ci się znowu na coś takiego namówić, ale chyba coś mam! - wypiszcziała z satysfakcją Wiśnia do słuchawki.

- Mów!

- Czarnuch poszedł na mendownię, tę, o której mówiłeś.

- Nie zorientował się, że za nim szłaś?

- On się nawet nie zorientował, że skończył się XX wiek. Łaziłam za nim dwa dni. Jak idzie, gapi się na wszystkie strony, tylko nie tam, gdzie trzeba.

- Długo tam był?

- Ponad piętnaście minut.

Chwila ciszy w słuchawce zwiastowała nowe pomysły Glotersa, czego Wiśnia mimo wszystko wolała uniknąć.

- Dobra. Spotkał się z nimi - mruknął jakby do siebie. - Przecież nie poszedł tam na obiad. Musi być zapisany w dzienniku. Mam cię, komisarzyku! - zaśmiał się sucho w słuchawkę.

- Chcesz posłuchać, co dalej?

- Jasne, mów!

- Wyszedł, a po dziesięciu minutach wyjechała ta dwójka gliniarzy ze zdjęcia, co mi dałeś.

- Jesteś przed komendą?

- Nie, jadę teraz za nimi.

- Zuch dziewczyna! - aż krzyknął w słuchawkę zadowolony Gloters. - Ale uważaj! Kępiński jest bystry. Jedna mała skucha i cię wypatrzy.

- To chodź tu szybko.

- Właśnie zbiegam do samochodu. Podaj położenie.

Chudy jak anorektyk jegomość w wieku około trzydziestu lat, o przedziwnie jajowatym kształcie głowy, zwieńczonej zielono-żółto-czerwonymi włosami przypatrywał się wysiadającym z samochodu gościom z życzliwym zdziwieniem. Ksiądz Adrian Czelejewski, widząc go oraz chałupę, na tle której stał, miał minę bohaterską i prawie niezaskoczoną, bowiem profesor Bogdan Wilecki odpowiednio go na to spotkanie przygotował. W miarę możliwości najdokładniej przybliżył mu białoczerwonozielonoróżową kolorystykę domu, pełną absurdalnych, kompletnie nieregularnych, niczym z szalonego snu - kształtów, wymalowanych w absolutnie przypadkowych miejscach ścian i na dachu oraz samą postać ekscentrycznego właściciela, a także jego uroczej żony, będącej zresztą kobiecym odbiciem stylu małżonka.

- Proszę zapamiętać - mówił profesor, kiedy zbliżali się do celu. - Nasz przyjaciel należy do ruchu „punk”, który, cytując: „jest bezkompromisową, choć nierzadko sarkastyczną kontestacją zakłamanego, egoistycznego, pozbawionego miłości i wspólnoty duchowej układu społecznego”. Bzdet (tak także się nazywać) odrzucił swoje nadane mu przez społeczeństwo imię i nazwisko, wyrażając w ten sposób sprzeciw wobec przyporządkowania do nienaturalnego, sztucznego i katastrofalnie zindustrializowanego tworu, jaki wytworzyła współczesna populacja tego narodu.

- Aha... - odpowiedział wówczas, to znaczy kilka minut temu, Adrian, dzięki czemu teraz mógł zaprezentować opisaną wyżej postawę.

Aurelici, nie mogący poszczycić się znajomością polskiego, do zduszenia w sobie niekontrolowanych reakcji podczas wysiadania z samochodu musieli wykazać się wyjątkowym opanowaniem oraz niepospolitymi umiejętnościami powstrzymywania emocji - nabytymi przez lata treningu. Także i tym razem egzamin zdali celująco.

- Cipucha!!! - wrzasnął wesoło punk w stronę domu.

- Jego żona - wyjaśnił uprzejmie Wilecki na ucho Adrianowi.

- Co jest?!!! - odrzyknęła, wychodząc z domu, jeszcze chyba chudsza od gospodarza niewiasta, w popaćkanych farbą ogrodniczkach oraz skromnej koszulince.

- Goście są! - zakomunikował radośnie Bzdet.

Cipucha podbiegła do samochodu i pogodnie ze wszystkimi się przywitała, każdemu podając ochoczo rękę, choć zbyt wielu nieznanym - w tym jeden ksiądz na galowo oraz dwóch sztywniaków w identycznych garniturach - z lekka ją zaniepokoiło.

Gospodarz zaprosił wszystkich do domu, ale Coluneo wyjaśnił coś szybko po angielsku Wileckiemu, uklonił się wraz ze swoim kolegą uprzejmie, po czym obaj ponownie wsiedli do samochodu i odjechali.

- Kim są ci kolesie, Olu? - spytał Bzdet, odprowadzając ich wzrokiem.

- To aurelici - odparła prosto z mostu z życzliwym uśmiechem.

Punk zeszywniał.

- Co?!!! - Wbił w Wileckiego zaskoczony wzrok.

- Mówi prawdę - przyznał profesor.

Bzdet wykonał kilka ciężkich do opisanego gestów mających wyrazić ekstremalne zaniepokojenie.

- Uspokój się - zaproponowała rozsądnie Sambierska. - Oni teraz są z nami. Uratowali nam właśnie życie, a teraz będą z pewnej odległości pilnowali, aby nic nam się nie stało.

- Oj... - wymknęło się punk-gospodyni.

- Olu - zaczął cierpliwie Bzdet. - Wiesz, że kocham cię i profesorka jak rodzinę. Niejedno przeszliśmy i w różne pakowaliśmy się kłopoty, ale może właśnie dlatego trochę się dziwię, że sprowadzacie do mojego domu aurelitów, księdza, którego nie znam, a wyjaśnienia kończycie zdaniem: „...pilnują, aby nic nam się nie stało”. Przepraszam... a co miałoby nam się stać?!

- Mamy małe problemy - przyznała Ola.

Bzdet zwiesił bezradnie głowę.

- Czy wy to macie nagrane na jakąś płytę i co pewien czas przyjeżdżacie tu, by mi ją odtworzyć? A moglibyście tak wpaść kiedyś na zwykłą kawę lub skręta? Pogadać, rozumiecie?

- Brakuje tu jeszcze Krzysztofa - westchnęła rozdygotana Cipucha, której szybko udzieliła się nerwowa atmosfera.

- Jego niestety również nie zabraknie, jeśli to cię uspokoi - uzupełniła Ola.

Bzdetowi opadły już ręce.

- A nasz nowy kolega, ksiądz? - westchnął kompletnie już przygnieciony nawałem „wspaniałych” informacji. - Nic nie powie?

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! - wyrecytował wyprężony jak struna Czelejewski.

- Aha. - Punk kiwnął głową ze zrozumieniem, po czym ruszył w stronę chałupy. - No to zapraszam do środka, czym chata bogata.

Ola i profesor spojrzeli po sobie porozumiewawczo, licząc, że najgorsze mają za sobą.

- Może w międzyczasie rozwinięcie swoje (przyznacie?) dość enigmatycznie wyeksplikowane myśli - jęczał dalej żałośnie Bzdet, nie odwracając się. - Może wyjaśnicie, co jest

grane, może powiecie, jaki macie plan, może powiecie, kto tym razem chce was zabić, może nawet przeżyjemy do jutra...

Niemcy

Slazerhoff, niedaleko Bonn

Luc Trantignan wstał z fotela. Wydawało mu się, że ktoś idzie korytarzem, ale z pewnością zbyt cicho jak na któregoś z braci. Zerknął na broń leżącą w futerale na starej, brązowej szafce stojącej przy ścianie. Jego gabinet był na tyle duży, że w razie niebezpieczeństwa z pewnością by zdążył. Na wszelki wypadek ruszył w tamtym kierunku, niemal jednocześnie z otwarciem drzwi, w których pojawiła się Haiku. Uspokoił się na jej widok, ale ta błyskawicznie wyjęła miecz i po sekundzie była już przy nim. Przystawiła ostrze do jego szyi i wściekle spojrzała prosto w oczy aurelity.

- Ty podły skurwielu! - syknęła, marszcząc brwi.

Trantignan umiejętnie ukrył zaskoczenie, zachowując zimny wyraz twarzy.

- Nie rozumiem... - powiedział wolno, nie spuszczać z niej wzroku.

- Nie chodziło ci o Polaków, tylko o niego!!! - wrzasnęła na całe gardło.

Dwóch strażników dopiero teraz pojawiło się w drzwiach. Trantignan dał im szybki znak, aby wyszli.

- O kogo?

- O człowieka, który nie powinien istnieć. O Kapłana!

Tym razem aurelicie trudniej już było ukryć zaskoczenie.

- Pozwoliłeś mi stanąć naprzeciwko niego bez przygotowania, omal nie zginęłam, ty gnido! - wycodziła przez zęby dziewczyna.

- Opanuj gniew i posłuchaj - rzekł najspokojniej, jak potrafił, Trantignan. - Zastanów się, kto cię znalazł, gdy byłaś bezradna i nie wiedziałaś, co zrobić z tym wszystkim, co miałaś w głowie. Kto się tobą opiekował? Kto ci powiedział, co się wtedy naprawdę stało? Odłóż miecz, Yasuko, i spróbuj zrozumieć. To dzięki mnie wiesz, jak się zemścić. Tyle tylko, że ja też mam swoją zemstę, a niczego w życiu nie dostaje się za darmo. Rób to, o co proszę, a dostaniesz to, czego chcesz. Na pieniądze chyba nie możesz narzekać?

- Dobrze. - Haiku uśmiechnęła się złowrogo. - Jedno tylko pytanie. Jeśli odpowiesz prawidłowo, może nie poderżnę ci gardła. Wiedziałaś, że Kapłan istnieje. Czy wykorzystasteś mnie tylko do tego, by go zwabić w twoje łapy?

- Bez ciebie nie udałoby im się go sprowadzić.

- Mów!!!

- Tak, Yasuko. Wykorzystałem cię do tego. - Spojrzał prosto w jej oczy, wiedząc, że oczekuje właśnie takiej odpowiedzi.

Haiku opuściła miecz.

- Możesz go pokonać. - Trantignan niezauważalnie wypuścił z ulgą powietrze z płuc. - Tym razem będziesz przygotowana. Dorwiemy tych Polaków, a wtedy sam przyjdzie do nas. Nie może warować przy nich cały czas. W końcu będzie musiał choć na chwilę odpuścić, a my poczekamy właśnie na ten moment.

- Nie będziemy nikogo dorywać - odparła spokojnie Haiku, chowając miecz do *umuri*. - Nie licz na mnie. Dałam mu na to słowo.

- Dałaś mu słowo?! - Aurelita wyglądał, jakby osłupiał z oburzenia. - I co z tego?! Zrób, co trzeba, i będzie jak dawniej.

- Nie będzie jak dawniej, Luc. Nic nie rozumiesz. Dla takich jak on i ja słowo to świętość. On doskonale wie, że nie ruszę nikogo, o kim będę wiedziała, że jest mu bliski. To koniec. Jeśli chcesz się w to bawić, proszę bardzo, sam z nim walczyć. Ja muszę skończyć moje niedokończone sprawy i radzę nie stawać mi na drodze.

Ruszyła w stronę drzwi.

- To ty nie rozumiesz, Yasuko! - krzyknął Trantignan za nią. - On trzyma z tymi, których chcesz ukarać. Stanie po ich stronie. A mnie przecież chodzi o to samo, co tobie, tyle tylko, że Kapłan musi umrzeć. On nie pozwoli ci zrobić tego, co chcesz, jeśli go nie zgładzisz. A możesz to zrobić tylko ty.

Haiku odwróciła się, ale na jej twarzy Trantignan nie dostrzegł gniewu, a wyłącznie politowanie.

- Luc, jesteś zwykłym aurelitą, któremu Balea nadepnął na odcisk. Nienawidzisz go tylko dlatego, że potrafił być od ciebie silniejszy i skuteczniejszy. Jesteś po prostu zwykłym zdrajcą z naruszonym ego. Mnie „wielki mistrz” uczynił znacznie więcej. Nie porównuj się do mnie, bo brzmi to groteskowo.

- Mam gdzieś wasze stare rytuały, twoje słowo i cały ten cyrk! - warknął wściekły Trantignan. - I tak go załatwię, z twoją pomocą lub bez. Może sobie machać swoim mieczem, nogami i rękami. Może być szybki jak błyskawica, ale przed kulą nie ucieknie. W końcu straci czujność i ktoś go zaskoczy. Nie ma skóry z żelaza. Ma ciało zwykłego człowieka, jak ty!

Haiku z pogardą pokręciła głową.

- Jesteś jednak jeszcze większym zerem, niż myślałam, Luc - rzekła, idąc w stronę wyjścia. - Jeśli złamiesz kodeks, staną przeciwko tobie wszyscy, nawet twoi ludzie i dobrze o tym wiesz. - Zatrzymała się przed drzwiami. - Twoja próżność nie pozwala ci zachować najmniejszych resztek honoru. Nie jesteś już aurelitą, bo nawet w żartach żaden rycerz Marcelina nie potrafiłby wypowiadać takich herezji. Nie rozumiesz także tego, co się stało tam w lesie, kiedy stanęłam z nim twarzą w twarz. Zrozumiałam, że nie jestem sama, że mam prawo normalnie żyć i nie muszę zabijać takich ludzi, jak Damien, dla takich potworów, jak ty. Koniec. To prawda, kiedyś pomogłeś mi i dlatego jeszcze żyjesz, ale teraz odchodzę i lepiej dla ciebie, abyśmy więcej się nie spotkali. Bo wtedy mogę być mniej wyrozumiała.

- Odchodzisz? - Trantignan znieruchomiał. - Nie możesz odejść! A nasza sprawa?! My przecież... razem... prawie dwa lata...

- Nie ma naszej sprawy - odparła Haiku. - Jest twoja sprawa i moja sprawa. Swoją od dziś załatwiasz sam. Dopóki zabijałam na twój rozkaz ludzi Balei, nasza droga była wspólna, ale teraz stałeś się zwykłym rzeźnikiem.

- I kto to mówi! - Trantignan roześmiał się szyderczo. - Jesteś płatną zabójczynią. Nie pytając o nic, zabijałaś za pieniądze!

- Nie rozdrażniaj mnie, Luc. - Haiku powoli uniosła palec i wymierzyła nim w aurelitę.

- Nie wiesz wszystkiego, Yasuko! - krzyknął, łapiąc się ostatniej deski ratunku, Trantignan. - Jestem ci potrzebny!

- Jeszcze wczoraj tak myślałam. Myślałam tak, nawet gdy patrzyłam w oczy Kapłanowi. Ale dziś wiem, że to tylko złudzenie. Bushidō podpowiada nam, że wojownik poniża się, wybierając najłatwiejszą drogę. Choć bywa, że staje się głupcem, wybierając najtrudniejszą. Tyle tylko, że ja wolę już być głupcem niż kimś takim jak ty. Żegnaj, Luc. Na twoim miejscu modliłabym się o to, żeby Bóg nie istniał. Bo jeśli istnieje, istnieje też piekło. A dla ciebie to byłaby bardzo zła wiadomość.

- Chyba nie kumam - przyznał wciąż zszokowany Bzdet. - Goni was jakaś laska, która spuściła manto aurelitom, ale pilnował was Krzysiek, więc udało się wam uciec?

Siedzieli przy dużym stole na parterze i tylko Cipucha krzątała się w kuchni, nalewając jednym wino, innym - zawsze przygotowaną na nerwowe sytuacje, niemal pięćdziesięcioprocentową palinkę.

- Mniej więcej tak - potwierdził Wilecki.

- I zostawiliście go tam z nią w tym lesie samego?!

- Ty! Rusz czasem tym jajowatym łbem! - warknęła rozeźlona Sambierska. - A co mieliśmy zrobić?! Porzucać w nią szyszkami?! Dwoch aurelitów nie dało jej rady!

- Jezu! - pisnęła płaczliwie Cipucha. - Ta dziwka może zrobić krzywdę Krzyškowi!

- Kiedy odjeżdżaliśmy, sytuacja była opanowana - uspokoił ją profesor.

- Załatwił ją?

- Chyba nie chciał jej zabić - włączył się niespodziewanie Adrian.

- Już zapomniałam, jak brzmi twój głos - prychnęła śmiechem Ola.

- Cały on - zaopiniował spokojnie Wilecki, nie zwracając uwagi na Sambierską. - Pewnie powciskał jej te swoje szlachetne dyrdymały i padli sobie w objęcia.

- To niebezpieczne. - Bzdet pokręcił głową z niepokojem. - Jeśli nie wiemy, kim ona jest, a on ją wspaniałomyślnie puści, wszyscy będziemy jak zające na polowaniu.

- On po coś wrócił - zaproponował profesor. - A więc być może wie, kim ona jest. Nie mieliśmy szans z nim porozmawiać, ale z pewnością miał ją na oku. Nie wyskoczył przecież nagle w lesie spod ziemi. Jechał za nami.

- No dobra, co robimy? - zapytał praktycznie Bzdet.

- Po prostu poczekajmy - zaproponował Wilecki. - Pilnuje nas dwóch aurelitów, a pewnie niedługo dołączy następnych dwóch. Nie wierzę, żeby Krzysztof puścił tę Chinę czy Japonkę, gdyby nadal stanowiła dla nas zagrożenie.

- Mogę już włączyć swoją komórkę? - wtrącił Adrian.

- A możesz na chwilę się przymknąć? - poprosiła cierpliwie Ola.

- Zaraz! - przerwał im profesor, wyraźnie wpadając tym samym na istotny pomysł. -

Ksiądz naprowadził mnie na najprostsze na świecie rozwiązanie.

Wszystkie oczy, także i Cipuchy, która wyłoniła się właśnie z kuchni, spoczęły na Wileckim.

- On ma plan. - Profesor się roześmiał. - Nic nie musimy robić. Wiedział doskonale, że pojedziemy do Bzdeta, bo po pierwsze, to blisko, po drugie, jesteśmy na odludziu, gdzie nikt nas nie znajdzie, po trzecie, to jedyne miejsce, o którym wiemy wszyscy. On tu przyjedzie albo... zadzwoni.

Ksiądz i Ola wyjęli komórki.

- Nie! - krzyknął Wilecki. - Nie włączajcie! Za duże ryzyko. Ale założę się, że o Bzdecie nikt nic nie wie. Nawet w czasie tej hecy cztery lata temu Bzdet i Cipucha pozostali w ukryciu. Aurelici nigdy ich nie wysłedzili.

- Do dzisiaj - mruknął zgryźliwie punk.

- Dzisiaj to już nie ma znaczenia. Grają z nami w jednej drużynie, mówiłem ci przecież. Choć być może... po wszystkim będziecie musieli się przenieść.

- Wspaniale - jęknęła. - A tak ładnie zaczął się ten dzień...

- Gdzie masz swój telefon? - Ola szturchnęła łokciem punka.

- Na górze, nie wiem, czy dziś włączyłem.

- A ty? - spytała Cipuchę.

- Coś ty! Od roku nie mam komórki. Pecha mi przynosiła.

Wszyscy na chwilę zamilkli.

- No, drałuj, jełopie! - ryknęła wreszcie Sambierska.

Bzdet zerwał się z miejsca i pobiegł na górę. Po kilku chwilach pojawił się z telefonem w dłoni.

- No i?! - usłyszał zgodny chór z dołu.

- Poczekajcie, włącza się. - Długo wpatrywał się w ekran, po czym zaczął naciskać kolejne klawisze. Na koniec roześmiał się radośnie jak dziecko i uniósł kciuk do góry.

- Profesorku! Jesteś geniuszem! - zakomunikował przez balustradę z piętra. - Zostawił wiadomość!

- To bez sensu! - warknęła ze złością Ewa, siadając obok Michała Kępińskiego na ławce w parku. - Po co tu, do cholery, przyszliśmy?

- Żeby się zastanowić - uciął krótko komisarz.

- Nad czym? I tak jest przejebane.

- Może nie. Jesteś pewna, że to on? - spytał jeszcze raz dla pewności.

- A kto? Przecież nie aurelici. Byliśmy u lekarki, w szpitalu, na dawnej mecie i cały czas mamy ogon. Sam widziałeś. To grubas, na sto procent! Nie możemy się teraz wymigać. Za późno się zorientowaliśmy.

- Tu nie było nic do orientowania. Szli za księdzem. Zresztą teraz to bez znaczenia. - Michał machnął ręką. - Lepiej doradź, co robić, bo jak wyjdziemy z parku, będzie za późno na myślenie.

- Zaciągnijmy ich do aurelitów i zniknijmy. Niech mają.

- Puknij się w czoło kretynko! - skarcił ją gniewnie Kępiński. - A co będzie, jak ich załatwią?! Chcesz zabić policjantów?!

- Nie załatwią ich. Co najwyżej postraszą, jak nas kiedyś - odparła spokojniej Nowicka. - Nie mówię, żeby pchać grubasa i tego jego przymuła w ich łapy na chama. Mówię, że trzeba się dogadać.

Michał spojrzał na nią z uwagą. Rozważał przez pewien czas to, co powiedziała, po czym znowu utkwiał wzrok w pobliskich krzewach.

- Jak to rozegramy? - odezwał się wreszcie.

- Szybko. Najlepiej teraz. Jeśli zaczną gadać na prawo i lewo, to leżymy.

- Nie zaczną. Gdyby chcieli, dawno by zaczęli. Poza tym nic nie mają.

- A ja bym się wolała o tym osobiście przekonać. Jak nas sfotografowali z Demelem i całą tę wycieczkę po mieście, mogą już kogoś zainteresować.

- Nadal to brzmi jak bajka z mchu i paproci. - Skrzywił się.

- Chcesz ryzykować? Oni już tak w to wdepnęli, że mają, jak nic, aurelitów na karku. Zrobisz dobry uczynek, jeśli ich ostrzeżesz.

- Co im powiemy?

- Minimum. I tak będą im się japy cieszyć, jakby wygrali w totka. Damy im zadanie i niech kombinują.

- Aurelici nas za to nie pogłaszczą.

- Jak to dobrze rozegramy, to jeszcze dadzą nam medal. Pewnie już wiedzą, że sprawa odżyła i coś z tym trzeba zrobić. Być może nawet już z nimi gadali, a ja jestem ciekawa, czy mam rację. Ściągaj ich tu.

- Chyba śnisz - prychnął Michał. - Gdyby z nimi gadali, już dawno nie mielibyśmy problemu.

- Masz! - Ewa podała mu mały kartonik, jakby nie zwracała uwagi na słowa komisarza.

- Co to?

- Wizytówka grubasa. Dzwoni!

Michał zastanawiał się jeszcze przez chwilę, wreszcie wyjął telefon i wykręcił numer Glotersa.

- Aspirant Bliski, słucham! - usłyszał w słuchawce.

- Daleko jesteś? - spytał bez ceregieli Kępiński.

- Nie rozumiem, komisarzu - odparł oficjalnie Gloters.

- Nie pierdol, tylko bierz tego swojego jełopa pod pachę i chodźcie tu, dogadamy sprawę. -

Michał rozłączył się i spojrzał na Ewę, jakby chciał zobaczyć w jej spojrzeniu jeszcze jedno potwierdzenie.

- Dobrze. - Nowicka wzruszyła ramionami. - Jeśli tylko nie są kretynami, może się uda. Ja już jestem zmęczona. Muszę odpocząć. Czas na zmianę warty. Chcą się bawić, dajmy im zabawki.

Gloters i Henio zjawili się zaledwie po kilku minutach. Bez słowa usiedli po obu stronach Ewy i Michała.

- Co wiecie? - spytał prosto z mostu Kępiński.

Gloters podrapał się po głowie.

- Nie kombinuj, Michał - odezwał się szorstko. - Ksiądz, lekarka, szpital, nagle tak bez powodu strasznie się nimi zainteresowaliście.

- Nie o to pytałem - uciął komisarz.

- Chcemy się dogadać - odpowiedziała łagodnie Ewa.

- My wam teraz powiemy, co zrobicie, a nie na odwrót. Wyśpiewacie całą prawdę, to może nie wpakujemy was do mamra za ukrywanie morderstwa - wyrecytował chłodno Gloters. - Dostycie robiliście z nas wałów!

- To jednak kretyni, Michał - westchnęła Ewa i wstała z ławki. - Idziemy!

- Gdzie?! - burknął zaskoczony aspirant.

- Gównu cię to obchodzi - rzucił z irytacją Kępiński. - Podajemy wam rękę, a wy rzucacie się z zębami, no to pierdolimy was. Drałujcie teraz i wsadzajcie nas do mamra, ciekawe, kto was wysłucha. - Wstał i ruszył za Ewą.

Gloters zacisnął zęby i gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Nie znosił trafić na kogoś, kogo nie potrafił skutecznie zastraszyć. Choć ciężko było to przyznać, musiał iść z nimi na układ.

Za mało wiedział, a wspomnienie spotkania z mnichami w bloku lekarki przypomniało mu o ostrożności. Henio siedział, nie odzywając się słowem i czekając na rozwój wypadków.

- Poczekajcie! - krzyknął aspirant za dwójką odchodzących policjantów, rozglądając się jednocześnie uważnie dookoła. - Nie musicie się od razu tak rzucać...

Ewa i Michał odwrócili się, jakby od niechcienia, i ponownie zbliżyli się do ławki. Usiedli i spojrzeli pytająco na Glotersa i na Henia.

- Wiemy, co się stało w szpitalu - zaczął Bliski.

- Czyżby? - Michał uniósł z niedowierzaniem brwi.

- Przycisnęliśmy byłego pacjenta. Wszystko widział.

- Ale mi dowód - prychnęła Ewa.

- Nie rozumiecie - odezwał się wreszcie Henio. - Dzisiaj to radny, polityk, ktoś, kto miał chwilowe kłopoty z nerwami, a teraz jest we wpływowej partii. To cwaniak. Jest kryty. Jak nie będziecie mieli na niego papierów jak my, wyrucha was jak licealistki.

Bliski poczuł dumę z partnera. Młody dobrze zagrał, a nauki jego - Glotersa - nie poszły na marne.

- Co jeszcze? - spytał spokojnie Michał.

- Spotkaliśmy jakichś mnichów. Chcieli nas powstrzymać. - Aspirant wiedział, że bez tego nie będzie o czym gadać z Kepińskim.

- No dobra, zesraliście się ze strachu i co dalej? - spytała beznamiętnie Ewa.

- Nie bądź taka cwana - odparł cierpko Gloters. - Teraz wasza kolej. Co to za goście?

- Grupa świetnie wyszkolonych i doskonale zorganizowanych ludzi - odpowiedział dość ponuro Michał. - Nie mamy do nich startu. Postaraj się od razu w to uwierzyć, bo jeśli dalej będziesz chojrakował, skończysz w worku.

- To tylko ludzie. - Bliski wzruszył ramionami. - Ale niech wam będzie. Czego chcą?

- Aby się od nich odpierdolić - skwitowała beznamiętnie Ewa.

- Mafia? - dopytał Henio.

- Niezupełnie. To coś w rodzaju bardzo wiekowego... bractwa. Nie oni zabili tych na Mokotowie - zaryzykował Michał. - Nie ich styl. Oni nie zostawiają takich śladów.

- Powiedzieli nam, że to jakaś wynajęta kobieta. Zawodowiec. Chcieli, żebyśmy odpuścili Lorenta.

- Mieli rację z Lorentem. Dają głowę, że to nie on. O kobiecie nie słyszeliśmy.

- A szpital cztery lata temu? - spróbował Bliski.

Komisarz rozejrzał się uważnie dookoła. W pobliżu nie było nikogo. Zerknął jeszcze na Ewę, która niemal niezauważalnie, ale wyraźnie kiwnęła głową.

- Krzysztof Lorent trafił tam z objawami zapalenia mózgu - zaczął, zniżając głos. - Ale to nie było zwykłe zapalenie mózgu. Po dwóch tygodniach na oddziale neurologicznym przeniesiono go do psychiatryka. Tam poznał Aleksandrę Sambierską. Była jego lekarzem prowadzącym. Ogólny stan Lorenta z dnia na dzień poprawiał się, ale opowiadał takie idiotyzmy, że podjęto decyzję o zatrzymaniu go w szpitalu na czas nieokreślony.

- Co mówił? - spytał Henio.

- Mówił, że przyjdą po niego bardzo niebezpieczni ludzie, że mogą zginąć niewinni pacjenci, żeby się ratować i dla dobra wszystkich natychmiast go wypuścić.

- Nikt mu nie wierzył - dopowiedział Gloters.

- Tak, nawet Sambierską. Ale któregoś dnia pojawili się tam tacy mnisi jak ci, których spotkaliście w domu lekarki. Byli szybcy, profesjonalni, bezwzględni. Dokładnie tak jak ostrzegał. Obezwładnili wszystkich, którzy stali im na drodze. Zachowywali się, jakby urwali się z bajek o ninja. Dlatego tak łatwo to było później wyciszyć. Wyobraź sobie zeznania lekarzy: jacyś mnisi z mieczami, kung-fu, a paranoik bohatercko broni lekarkę, którą zaatakowali, bo stała się mimowolnym świadkiem! I jeszcze miejsce - szpital psychiatryczny! Kto poważny by na to poszedł?

- Ale po co to wszystko? - Gloters rozłożył ręce. - Po co atakowali szpital i tak ryzykowali?

- O to właśnie chodzi. Lorent potrzebny był im do jakichś rytuałów. Wierzyli, że był kimś w rodzaju wybrańca czy jakieś podobne bzdury. Ta jego choroba zmieniła go według nich właśnie w kogoś takiego. No i dopiero wtedy, gdy korytarze pełne były nieprzytomnych strażników, ochroniarzy i lekarzy, Sambierska mu uwierzyła i przestała traktować jak świra. Zresztą nie dziwię się jej. Ja nawet gdybym to zobaczył, to chyba też bym nie dowierzał własnym oczom.

- I co zrobiła? - Gloters usiłował przyspieszyć opowieść Michała.

- Chciała mu pomóc w ucieczce i dlatego próbowali ją zabić. To, co wy nazywacie morderstwem pod szpitalem, było próbą ratowania jej życia. Zresztą skuteczną. Tyle wiemy.

- Zabił ich?

- Nie mam pojęcia. Kiedy przyjechaliśmy, nie było żadnych śladów. Lorent i lekarka zniknęli. Nikt nie zgłosił żadnego zabójstwa. Nikt z pacjentów, lekarzy czy strażników nie odniósł

żadnych obrażeń. Po prostu obudzili się na podłodze, gdy było już po wszystkim. Mieli podobno tylko powbijane jakieś igły w szyję, jak przy akupunkturze. Nie wiedzieliśmy, co napisać w raporcie. Niedługo później odwiedzili nas mnisi. A jaki mają dar przekonywania, chyba wiecie. I nie zrobili tego na ulicy, ale u mnie w domu, gdzie mieszkam z córkami. Nie zgrywałem bohatera. Lekarka po pewnym czasie wróciła, nie było o co kruszyć kopii. Lekarze zdecydowali się milczeć, a pacjentom nikt nie wierzył. Wszyscy chcieli wyciszenia sprawy, dopóki nie pojawiliście się wy.

- Dorwali tego Lorenta? - spytał Henio.

- I tu tak naprawdę zaczyna się cała zabawa. Lorentowi po tej chorobie rzeczywiście coś się poprzestawiało w głowie. Podobno zyskał jakieś niezwykle zdolności, zaczął robić zdumiewające rzeczy, aż wreszcie zniknął i nikt do dzisiaj nie wie, gdzie jest.

- Noo, tak bywa - stwierdził filozoficznie Henio. - Widziałem to w jakimś filmie.

- Czasem kontaktowałem się z proboszczem, który dzisiaj był na komendzie - kontynuował Michał. - Ale nawet on nie wie, gdzie jest Krzysztof Lorent. Cały cud polega na tym, że jakoś - nie wiem jak - dogadał się z tym bractwem mnichów i do dzisiaj umie ich trzymać z dala od nas. Nie wiem, czy potrafi chodzić po wodzie ani czy stał się drugim Davidem Copperfieldem, ale wiem jedno - jeśli się pojawia, to zawsze po to, aby chronić życie, a nie by zabijać. Jest naszym sprzymierzeńcem, Witek, więc zanim zaczniesz pakować wszystkich w kłopoty, zastanów się chwilę.

- Nie podoba nam się, że nie możemy tego ruszać - przyznał spokojnie Henio.

- Posłuchajcie - odezwała się wreszcie Ewa. - To bardzo niebezpieczni ludzie. Nie ruszą nas, jeśli nie wejdziemy im w drogę, ale jak zacniemy się stawiać, przejadą po nas jak walcem. Nie warto.

- Chcemy dorwać mordercę z Mokotowa - podjął Gloters.

- Znajdźcie kobietę, o której mówili mnisi.

- A skąd mamy wiedzieć, że nie kłamią i nie wpuszczają nas w maliny?

- Bo nie muszą - włączył się Michał. - To goście, którzy nie pytają o zdanie takich jak my.

A skoro powiedzieli wam o kobiecie, to znaczy, że im ona też zawadza.

- Choć skoro im zawadza - zaczęła się zastanawiać Nowicka - dlaczego sami się nią nie zajęli? Nie mówili wam nic więcej o niej?

- Nie - skłamał Bliski. - Ale śledztwo ma trwać.

- Żaden polski obywatel przy tym nie ucierpiał - tłumaczył cierpliwie komisarz. - Jeśli zaczniesz w tym grzebać, wpakujesz się w ich sprawy, a wtedy przyjdą do was i tym razem już nie

będą żartować, a my wam nie będziemy w stanie pomóc. Zrozumcie, tu trzeba zajarzyć, co jest ważne. My chronimy osoby, które wtedy znalazły się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Utrzymujemy status quo. Jeśli się wpierdolicie i zaczniecie wymachiwać legitymacjami, skrzywdzicie wielu ludzi.

- Ale nam pomogliście! - Gloters pokręcił głową ze zrezygnowaniem.

- A kto wam każe siedzieć z założonymi rękami? Złapcie zabójcę! Tylko wy, zamiast tępić gryzonia, który robi szkody, włazicie do gawry niedźwiedzia. I nie można wam, kurwa, przetłumaczyć, że narażacie ludzi, a w dodatku sami siebie i własne rodziny. Czasem tak jest, że trzeba wybierać mniejsze zło. Nie jesteście królami świata, tylko policjantami. Znajdźcie tę kobietę i zakończcie sprawę.

- Dobra - zgodził się Bliski. - Jeśli przekonamy się, że sprawa spod szpitala nie ma nic wspólnego z jatką na Mokotowie, odpuścimy tamto, ale namówcie lekarkę, żeby z nami pogadała.

- A niby jak? - Michał rozłożył ręce. - Właśnie zniknęła, i to najpewniej przez was.

- Kiedyś się znajdzie.

- Wtedy pogadamy.

- Potrzebujemy czegoś teraz!

- Masz tu nazwisko faceta, który może was naprowadzić, oraz kilka miejsc, w których często bywa. - Kępiński wręczył aspirantowi kartkę.

- Kto to?

- Ktoś blisko związany z tymi, o których ciągle pytasz. Tyle tylko, że teraz przyjdziecie i grzecznie spytacie, mając serce na dłoni, a nie scyzoryk w kieszeni. Jeśli sprawy układały się, jak opowiadaliście, powinien wam pomóc. Jak widzicie to Polak. To taki... łącznik do spraw nagłych.

- A skąd są tamci?

- Zewsząd. I potrafią być wszędzie. Są jak mafia. Dlatego tak bardzo namawiam was do ostrożności.

Gloters wstał i dał znak Heniowi.

- Widzę, że na dzisiaj koniec współpracy, ale zadzwonimy jeszcze - ostrzegł i wraz z partnerem szybko odszedł.

- Dobrze zrobiliśmy? - spytał po chwili, cały czas niezbyt pewny całego przedsięwzięcia, Michał.

- Dobrze. Więcej nie można im było powiedzieć - przytaknęła Ewa. - Wracajmy do siebie.

Może właśnie zdjęliśmy sobie kamień z szyi.

- Uwierzę, jak zobaczę. Ale masz rację, wracajmy.

ROZDZIAŁ 7

Adrian z założonymi do tyłu rękami wolno spacerował dookoła domu. Bzdet i Ola od pewnego czasu przypatrywali mu się z niepokojem.

- Może z nim pogadaj? - zaproponował niepewnie punk. - Łazi już tak od czterech godzin. Wczoraj smęcił do wieczora.

Sambierska głęboko wciągnęła powietrze do płuc. Nie odpowiadając Bzdetowi, odmaszerowała w stronę drzwi, nacisnęła klamkę, wyszła na zewnątrz i szybko podeszła do Czelejewskiego.

- Jak jest? - spytała cicho.

- Trochę ciężko - odparł ksiądz, nie przerywając spaceru. Miał zaciśnięte dłonie, a nieobecny wzrok błędził gdzieś w okolicach skraju lasu. Z tego miejsca nie widać było żadnego innego domostwa. Chata Cipuchy i Bzdetą stała na kompletnym odludziu. Z trzech stron otaczał ją las, a z czwartej - od drogi, która przecinała wiśniowe sady - dochodził zapach wilgotnej trawy i owoców oraz ledwie słyszalny pomruk tańczących nad polem pszczół.

- Daj spokój, Adrian. To minie. - Uśmiechnęła się łagodnie. - My już to przerabialiśmy. Być może taki nasz los. Co kilka lat trzeba trochę pouciekać, trochę się poukrywać. - Roześmiała się głośniejsz z własnego żartu.

- Ja tylko wyszedłem na chwilę z domu, a siedzę tu od tygodnia i nie wiem, co dalej - odrzekł cicho, na pozór spokojnie, ale łatwo było wyczuć pełen buntu smutek. - Miałem za kilka godzin wrócić na plebanie, potem odprawić mszę świętą, potem...

- Posłuchaj! - przerwała mu, kładąc dłoń na ramieniu. - Zostaw to i daj się dziać sprawom. Reagujesz szokiem, to normalne. Następnym etapem jest bunt, później załamanie, rezygnacja, wreszcie dostosowanie się do sytuacji. Zwykła reakcja na tego typu deprivację.

- Deprivację, powiadasz. - Czelejewski zatrzymał się dość raptownie i spojrzał lekarce w oczy. - Pani psychiatra, w dodatku ateistka, proponuje kurację duchownemu - zachnął się, kręcąc z niedowierzaniem głową. - W sprawach... duchowych. Cóż za ironia!

- Nie dziw się. Mam trochę doświadczenia w tym biznesie, możesz mi wierzyć - nie rezygnowała z uśmiechu lekarka.

- Lorent - zgadł bez trudu ksiądz.

- Lorent - spoważniała Ola, spuszczać głowę. - Krzysztof Lorent. Chyba mało kto miał takiego pacjenta. Powinnam być dumna.

- Coś mi mówi, że jego, w przeciwieństwie do innych klechów, trochę lubiłaś.

- Tak - szepnęła tak cicho, że Adrian ledwo dosłyszał. - Trochę go lubiłam...

Teraz ona odwróciła się i zaczęła iść w stronę domu. Nagle ogarnęło ją przekonanie, że to chyba nie najlepszy moment na terapię.

- Poczekaj! - zawołał. Podbiegł i zastąpił jej drogę.

- Nie chcę o tym mówić - uprzedziła Ola.

- Kochałaś go, prawda? - spytał bezczelnie prosto z mostu Adrian.

- Czyś ty zgłupiał! To ksiądz!

- Były ksiądz. Kochałaś go. A on po prostu odszedł. Zostawił wszystkich na lodzie!

Ton Czelejewskiego zaskoczył Olę. Był zdecydowany, odważny, a rozemocjonowane spojrzenie dodatkowo zbulwersowało lekarkę.

- Nigdzie nikogo nie zostawił! - wybuchnęła ze złością. - Zrobił, co było trzeba zrobić! A ja kocham swojego męża, nie liczę na żadną sensację. Był moim pacjentem. Ostrzegał mnie, kim jest i jakie będą konsekwencje, jeśli go nie posłucham. Nie wierzyłam mu i teraz od kilku lat ponoszę konsekwencje. Zaraz się spytasz, czy pomogłam mu w ucieczce ze szpitala? Nie, to on mi pomógł, bo ci, którzy go ścigali, zabiliby mnie bez mrugnięcia okiem. Byłam niepotrzebnym świadkiem. Potem wyjechał. Gdyby tego nie zrobił, kłopoty tylko by się mnożyły, więc skazał się na samotność, zrzucił habit i zniknął. Przedtem załatwił wszystkie sprawy tak, aby nas chronić. Teraz ktoś coś spieprzył, więc znowu wrócił i znowu wszystko naprawi, a potem znowu wyjedzie. W pigułce to właściwie wszystko.

- Wiesz, gdzie żyje, gdzie mieszka, co robi?

- Nikt tego nie wie. Podobno żyje wśród Indian Kaneczua, ale nikt tam nigdy nie dotarł. Jeśli to prawda, jest jedynym białym, któremu pozwolili się do siebie zbliżyć. To mądry facet, Adrianie. Skoro zdecydował, że mamy tu czekać, to znaczy, że tak trzeba.

- Słyszałem o twojej siostrze - Adrian zmienił nagle temat. - Profesor mi powiedział. Rozumiem, dlaczego możesz nie lubić nas, to znaczy takich jak ja. Ale widzisz... są różni duchowni. Wśród księży i zakonnic są niegodziwcy tacy, jacy skrzywdzili twoją siostrę, i są ludzie wspaniali, twórcy, wielcy, może nawet święci. Nie muszę ci chyba podawać przykładów.

- Też mi odkrycie. - Ola wzruszyła ramionami. - Nie chodzi o takich jak ty. I nie wciskaj mi teraz całej idiotycznej propagandy, bo się porzygam.

Przez chwilę żałowała, że w ogóle do niego wyszła.

Patrzyła jednak jeszcze przez kilka sekund na jego zbuntowaną twarz, jakby nie wiedziała, co zrobić, wreszcie postanowiła w dobrze pojętym interesie ogółu choć trochę wypogodnieć.

- Nie rozumiesz, Adrianie - powiedziała już łagodniej. - Nawet ja tego nie rozumiem. Lepiej zdejmij habit i włóż jakieś normalne ciuchy. Bzdet na pewno coś ci pożyczę. Co prawda, będzie to dość spektakularny kontrast, ale chyba na tym właśnie polega kamuflaż, czyż nie?

- Czego nie rozumiem? - Czelejewski całkowicie zignorował uwagę o ubraniu.

Sambierska spuściła ze zrezygnowaniem głowę.

- Rozmowa na ten temat nic nie da. Chciałam tylko, abyś się lepiej poczuł. Pogadajmy o tym, co czujesz, być może łatwiej ci będzie w ten sposób wrócić do równowagi. A rozmowę o religii zostawimy na lepsze czasy.

- Jak to się dzieje, że można tak myśleć, jak ty? - Adrian był uparty. - Odpowiedz, wtedy może lepiej się poczuję.

- Nie będziesz chciał słuchać, a już na pewno nie zmienisz postawy. Po co ci to?

- Wysłucham.

- No trudno, sam tego chciałeś. - Ola rozłożyła ręce. - Ale jeśli w czasie rozmowy zaczniesz do mnie mówić per „siostrę” czy „córko”, wznosić ramiona ku niebiosom albo zsyłać na moją duszę światłość Jezusa, przywalę ci piąchą prosto w nos.

- Zgoda. - Ksiądz uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

Sambierska pokiwała z powątpiewaniem głową.

- Widzisz, Adrian - zaczęła wolno. - Dla mnie religia, wszystko, co wiąże się z jej społecznym i historycznym znaczeniem, jest złem. Idiotyzmy, w które przez całe wieki kazano wierzyć ludziom, były przyczyną większości wojen, najbardziej spektakularnych przykładów okrucieństwa, przemocy, nietolerancji i nienawiści. System wymyślony przez żądnych władzy, starożytnych psychotechników, bazujących na ludzkich lękach, frustracjach i kompleksach, miał na celu wyłącznie podsycanie strachu przed nieznanym i zmuszanie do posłuszeństwa. A ponieważ odkąd człowiek pojawił się na Ziemi, większość własnej energii zużywał na walkę ze strachem przed śmiercią, mieli świetne pole do popisu. Wymyślenie Boga było, być może, pomysłem genialnym, ale jednak mimo wszystko najbardziej cynicznym i - jak się okazało - tragicznym w skutkach. Przyznaję, że pewnie taka była prawidłowość rozwoju ludzkości. Może nie dało się inaczej. Przecież różnego rodzaju bogowie i bożki pojawiali się na przestrzeni całej historii, wszędzie, gdzie tylko istniała jakakolwiek kultura; niekiedy niezależnie od siebie. Chyba potrzeba odpowiedzi na podstawowe, egzystencjalne pytania była tak silna, że wówczas żaden

racjonalizm nie był w stanie temu podołać. Ale nic nie zmienia faktu, że to fałsz, ma utylitarne pochodzenie, cały czas trzyma nas etycznie w czasach, gdy lataliśmy w prześcieradłach i na widok zaćmienia słońca wszyscy srali ze strachu w gacie. Nakazy, zapisane w pismach tych, którzy pilnowali, aby to się nigdy nie zmieniło, do dzisiaj produkują - choć mamy wiek XXI - facetów takich jak bin Laden i jego kumple, więc nie widzę powodu, dlaczego ma mi się to podobać!

Na twarzy Adriana pojawił się szeroki uśmiech. Patrzył z rozbawieniem na Ołę, aż wreszcie, trochę w stylu Bzdeta, powiedział z uznaniem:

- Ale pojechałaś...

- Ja „pojechałam”? - Mimo wszystko trochę ją rozbroił. - Żyję w kraju pamiętającym nie tak dawne czasy, kiedy poprzez swoją rozgłośnię radiową rządził fanatyczny szaleniec, tylko dlatego że umiał szantażować premiera i prezydenta dwoma miliona jego wyznawców w berecikach z moheru. W środku Europy! Żyję w kraju, gdzie wciąż każdy niekatolik to odmieniec, podczas gdy w Skandynawii ateizm deklaruje 95%, w Czechach 80%, a w Niemczech i Francji nasza bitwa o wartości katolickie w preambule Konstytucji Unii Europejskiej wywołuje salwy śmiechu. Nie sądzisz, że cały ten kraj „pojechał”?! Czego się śmiejesz, klecho?! - wybuchnęła wreszcie, nieco zbita z tropu jego kpiarskim wyrazem twarzy.

- Poczytaj trochę Pismo Święte, Olu - odparł, prawie poważniejąc.

- Jasne! A co innego mógł mi powiedzieć nawet w miarę nowoczesny „czarnuch”? - Sambierska uniosła ręce ku niebu. - Poczytaj Biblię! Moja siostra skończyła jak ofiara zwykłej sekty, a była tylko katolicką zakonnicą.

- Czy ja ci mówię, jak leczyć chorych? - spytał, już zupełnie poważnie, ksiądz.

- A co to ma do rzeczy?

- Przykro mi z powodu twojej siostry, ale nie masz pojęcia o teologii, a ja studiowałem ją dobrych kilka lat, więc jeśli chcesz dyskutować, to przynajmniej poczytaj Biblię.

- I czego się z niej dowiem? Że twój Bóg stworzył człowieka, któremu pozwala na niehumanitarne cierpienie, wieczną niepewność, życie w niewiedzy i strachu przed karą za wymyślone grzechy? Bóg w trzech osobach (do dzisiaj cholera wie, co to oznacza) zszedł w jednej ze swych Osób na Ziemię i mimo swojej nieśmiertelności przybrał ludzką postać i popełnił samobójstwo (którego zabrania wiernym), dając się zakatować na krzyżu. A wszystko po to, aby złożyć ofiarę z siebie... dla siebie, aby siebie przebłagać za ludzkie grzechy, które sam stworzył! Niezły numer! To jeszcze nic. Kiedy pytasz bogobojnego chrześcijanina o bzdury typu Adam i Ewa, wąż, raj oraz okrutne, starotestamentowe opisy boskich wybuchów gniewu czy okrucieństw wobec tych,

których w końcu sam stworzył, odpowie ci z dobroduszną wyższością i rozczeniem wobec twojej naiwności, że *Księga Rodzaju* to tylko metafora! Że wszystko trzeba tylko dobrze rozumieć, a najlepiej nie grzeszyć, słuchać, co mówi ksiądz proboszcz, bo on wszystko najlepiej wytłumaczy. Niech tłumaczy, tylko mam jeszcze małe pytanko: jak to jest, że nadprzyrodzony, wszechmogący Bóg, jedyna istota bez grzechu w Biblii, którą napisał „rękami swoich owieczek”, widnieje jako byt osobowy, myślący typowo według ludzkich kategorii? Ma wolę, preferencje, jest małostkowy, unosi się gniewem, jest próżny, potrzebuje uwielbienia, czci i oddania, słowem skrojony jest po prostu na ludzką miarę. Dlaczego? Odpowiedź jest tylko jedna - bo to nie on ludzi, tylko ludzie stworzyli jego i do dzisiaj nie potrafią się całego tego urojania pozbyć. I co teraz powiesz?

Adrian od kilku sekund z narastającym strachem patrzył na lekarkę.

- No, co teraz powiesz?! - powtórzyła Sambierska.

- Powiem, że dość szybkim krokiem idzie tu dwóch facetów; ubrani są jak aurelici i raczej nie wyglądają na takich, którzy chcą się przyłączyć do dyskusji - jęknął, cały czas udając, że nie widzi tego, co dzieje się za plecami Oli.

Lekarka szybko się odwróciła.

- O kurwa! - szepnęła cicho, spoglądając w kierunku drzwi, gdzie już pojawili się profesor i Bzdet.

Aurelici spieszyli się. Kiedy weszli na podwórko, wszyscy byli już na zewnątrz. Adrian wyjął spod habitu okulary, założył je i dopiero teraz poznał Giordana Coluneo i jego towarzysza.

- Musimy was stąd zabrać - walnął prosto z mostu Coluneo. - Ktoś jeszcze wie, że tu jesteście.

- Niemożliwe. - Profesor rozłożył ręce. - Od lat ukrywamy się tu, gdy są kłopoty.

- Od kilku dni podejrzewaliśmy, ale teraz jesteśmy pewni, że ktoś tu jest. Dobrze się kryją. Nie możemy wdawać się z nimi w walkę, nie wiemy, kim są, a wykonujemy rozkazy mistrza.

- Chyba że będą zagrażać nam? - upewniła się Ola.

- Tak - odparł Giordano.

- Coś tu nie gra. - Wilecki pokręcił głową. - Japonka zaatakowała nas od razu, brutalnie, szybko, profesjonalnie, a ci co? Czekają, aż się lepiej ukryjemy?

- Nie możemy ryzykować - uciął głosem nieznoszącym sprzeciwu aurelita. - Wyjeżdżamy.

- Zastanówcie się - nie ustępował profesor. - Może oni czegoś chcą, może są po naszej stronie, może chcą nam coś przekazać, sam nie wiem co?

- Chyba nie rozumiesz, drogi mężu, co kolega aurelita chciał wyrazić w swoich ostatnich słowach - rzekła niecierpliwie Ola. - Mamy spierdalać najszybciej jak się da! Więc ładuj dupę do samochodu i już nas nie ma!

- Jedźcie, ja zostaję - mruknął spokojnie. - Jestem niemal pewien, że kimkolwiek są, nie mają złych zamiarów.

- W takim razie muszę zostać z panem, profesorze - zdecydował drugi z aurelitów.

- Pieprzony egoisto! - natarła na męża Sambierska. - Będziesz narażał życie swoje i innych, aby jeszcze bardziej nadać swoje ego?!

- Ja też zostaję - wtrącił niespodziewanie Adrian. - Wierzę profesorowi. Koniec uciekania. Panowie, jak widziałem, świetnie znają się na ochronie. - Wskazał aurelitów. - Jeśli przekonamy ich, że tu mamy większe szanse niż na nieznanym terenie, zostaną i w razie czego nie pozwolą nas skrzywdzić.

- Jaka generalska strategia! - prychnęła szyderczo Ola. - Gdzie cię takich zdanek nauczyli? W seminarium?

- Nie - odparł nieco zmieszany. - Na filmie jednym takim sensacyjnym widziałem...

W tym momencie nawet Cipucha ukryła twarz w dłoniach, nie wierząc w to, co słyszy.

- Poczekajcie! - profesor przerwał rodzący się harmider. - Chyba mam plan. Nie musimy ryzykować, to znaczy - nie aż tak. Wysłuchajcie mnie, powinienem was przekonać. Zrobimy tak...

Wyglądało na to, że Gloters na kilka dni odpuścił. Wiśnia mogła ten czas poświęcić Punickiemu, co było znacznie przyjemniejsze niż wymysły aspiranta, dotyczące śledzenia dziwnych ludzi czy dostarczania informacji, i to takich, od których - jak bez problemu wyczuła - należało się trzymać z dala. Dziewczyna zauważyła, że Kanadyjczyk, choć nadal robił wrażenie dużego dziecka, miał w sobie pewien urok. Jego naiwność graniczyła rzeczywiście z głupotą, a serce, które bez przerwy trzymał na dłoni, było szczere do bólu. Dostrzegła jednak w sobie dziwną i obcą do tej pory potrzebę odpoczynku od ludzi takich jak Gloters, a to zapewniał jej zadziwiająco skutecznie Roman Punicky. Z pewnym zaskoczeniem skonstatowała, że będąc w jego towarzystwie, zwyczajnie odpoczywa, a praca (bądź co bądź, to jednak wciąż było urabianie frajera) stała się nawet dość... miła. Punicky nie robił problemów. Nie przyklejał się obleśnie jak większość frajerów, nie próbował jej obmacywać, całować, chodzić za rączkę jak dzieciaki w parku. Był po prostu przyjazny, a jego spojrzenie, cokolwiek gapowate i czasem śmieszne,

wyrażało coraz silniejsze uczucie. Na szczęście - platoniczne, za co Wiśnia była mu w duchu wdzięczna. Nie brzydziła się go, a już na pewno nie gardziła nim, jak na przykład Zakrocznym, ale ich dystans dawał poczucie bezpieczeństwa i komfort pracy. Pozwoliła sobie nawet na niebezpieczną myśl, że trochę go polubiła. Przez cały ostatni tydzień widywali się właściwie codziennie, jeżdżąc do parku lub pod miasto na krótkie pikniki. Krótkie, bo obowiązki kazały codziennie poświęcać sobie sporo czasu, a nimi Roman nie chciał zanudzać „narzeczonej”. Aby nie wzbudzać podejrzeń, nie naciskała. Umiała wyciągnąć później wszystkie potrzebne informacje w znacznie przyjemniejszej i mniej oficjalnej atmosferze.

Wiedziała o nim właściwie wszystko, co było potrzebne - wystarczyło tylko ułożyć plan. Pieniądze na inwestycje same miały przyjechać do Polski, a Gloters musiał tylko dostać odpowiednie dane. Tym razem było trudniej niż z Zakrocznym, który forszę Wiśni po prostu dał, nie interesując się niczym innym niż jej tyłek. Tu pieniądze, a przynajmniej ich część, trzeba było dyskretnie wyzyskać, a na to pomysłu jeszcze nie miała. Z telefonem do Glotersa z kolei jakoś się nie śpieszyła. Przyjdzie na to czas. W końcu obiecał jej urlop. Punicky był tylko bonusem z przypadku.

Czekała na niego teraz przed Multikinem, z biletami w garści, wyrażając przez to „szacunek” dla jego pracy i tego, że jest zajęty. Chciał oczywiście wszystko sam załatwić, ale usłużnie się zaofiarowała, sama wybierając kino, seans, mając w głowie kilka recenzji. Oczywiście sama kupiła bilety. Tak było trzeba. Profesjonalnie. Ułożyła sobie plan rozmowy na dzisiaj. Kilka muśnięć dłonią o jego policzki, kilka niesfornych, „przypadkowych”, ale miłych dla ucha uwag - wszystko zgodnie z „procedurą”. Zerknęła na zegarek. Jeszcze kilka minut. Jest czas, aby sobie powtórzyć dzisiejsze powitanie. Miało wyrażać już ustalone, niemal familiarne stosunki, „zrećźnie skrywane”, ale rosnące uczucie, żal, że tak krótko się dziś widzimy, i radość z wspólnej wyprawy do kina. Telefon, który dał właśnie znać o sobie z niewielkiej torebki zwisającej przez ramię, rozdrażnił Wiśnię, mącąc skupienie. Numer był zastrzeżony, więc nietrudno było się domyślić, kto dzwoni.

- Czego chcesz?! - warknęła do słuchawki, trochę jednak ryzykując, że rozdrażnienie wyładuje na kimś kompletnie niewinnym. Słyszac odpowiedź, ze smutkiem zrozumiała, że jednak się nie pomyliła.

- Pracuję! - mówiła dalej cicho, ale nie rezygnując ze zgryźliwego tonu.

Chwilę słuchała, po czym na kilka sekund wstrzymała oddech, nie mogąc uwierzyć w to, co do niej właśnie powiedziano.

- Odwaliło ci?! - niemal krzyknęła w odpowiedzi. - Mam pakować w te sprawy frajera?! Czy ci na mózg padło?! Nawet nie chcę o tym słyszeć! Pieprzę forszę! Nie mam zamiaru dłużej się dla was narażać!

Rozłączyła się. Była wściekła. Nie tylko na Glotersa i Henia. Ilekroć mówiła im, że pieprzę forszę, miała świadomość, że zawsze wyczuwali kłamstwo. Wiedzieli, na co ją złapać. Zawsze doskonale umieli ją podejść i zawsze im się to udawało. Była wściekła na siebie. Teraz potrzebnych było kilka głębokich oddechów. Po dłuższej chwili rozejrzała się dookoła uważnie, czy przypadkiem Punicky się nie zbliża, i wybrała na swoim telefonie „oddzwanianie”.

- Żebyście zdechli! - warknęła cicho pod nosem, zanim zdążyła się połączyć.

- I to ma być ten twój genialny pomysł?! - jęknęła Ola, łapiąc się za głowę.

- Nie mogę się na to zgodzić - powiedział Giordano Coluneo. - Mam rozkaz chronić pana. Nie może pan się w ten sposób narażać. Ta propozycja jest zbyt ryzykowna.

- Nie sądzę, abyśmy mieli wyjście - odparł zaskakująco spokojnie profesor Wilecki. - Jeśli tutaj nas znalezione, nigdzie się nie ukryjemy. Albo popełniliśmy jakiś błąd, albo... ktoś nas zdradził - dodał odważnie.

Coluneo zmarszczył brwi. Nie dał się jednak wyprowadzić z równowagi Polakowi.

- Masz pomysł, kim mogą być ci ludzie? - Sambierska zwróciła się do aurelity.

Giordano zawahał się. Wreszcie potwierdził potakująco głową.

- Damy im radę, jeśli będą chcieli zaatakować? - spytała rzeczowo.

- Możliwe, to zależy. Gdyby czuli się pewnie, dawno by już tu byli. Coś ich powstrzymuje, więc albo czekają na dogodniejszy moment, albo...

- Albo to nie ci, o których myślisz - wtrącił Wilecki. - A myślisz o tych, którzy wysłali Japonkę, kimkolwiek są, prawda? Nie uda się jej, może uda się komu innemu!

- Możliwe - odparł niechętnie Giordano. - Jednak nie mogę pozwolić, byśmy się rozdzielali.

- Ja chcę tylko upozorować ucieczkę - nie ustępował profesor. - Chcę, aby to tylko tak wyglądało. Wyciągniemy ich wtedy z lasu i będzie łatwiej.

- A ty masz być przynętą? - mruknęła sceptycznie Ola.

- Albo ty, albo ja. O nas tu głównie chodzi. Im nic nie grozi. - Wskazał na punków. - Księdzu pewnie też nie.

- Chyba sam w to nie wierzysz, profesorku - odezwał się wreszcie Bzdet. - Pamiętam, jak to było ostatnim razem. Żaden wiarygodny świadek nie ma prawa przeżyć.

Wszyscy siedzieli przy stole w jadalni i tylko towarzysz Giordano tkwił na zewnątrz. Pozostali dwaj aurelici, którzy właściwie nigdy nie pojawiali się w pobliżu domu, krążyli po okolicy. Cipucha krzątała się nerwowo po kuchni i nie brała udziału w rozmowie. Pomijając, że nie znała angielskiego, i tak nie byłaby w stanie spokojnie usiedzieć.

Bzdet wstał, wsadził ręce do kieszeni i zaczął chodzić dookoła stołu.

- Dziwi mnie, że do tej pory nikt z obecnych nie zadał jeszcze panu aurelicie bezpośrednich pytań: „Jak zdemaskował tych ludzi?”, „Co o nich wie?”, bo przecież wie, prawda, panie Coluneo?

- Przestań! - nie wytrzymała Ola. - Przecież nic ci nie powie! Są jacy są, ale teraz przynajmniej nas chronią!

- Czyżby?! - Bzdet nagle zaczął mówić po polsku. - A może to pułapka? Może wcale nie jest tak jak wszyscy myślimy! Kazali wam znaleźć ustronne miejsce, zwabili was tu, uspili czujność Krzysztofa i teraz spokojnie możemy odejść do historii! Przecież chodzi o atak na Lorenta, a my robimy tylko za robaki na haczyku!

Coluneo nawet nie drgnął. Siedział wyprostowany, a jego chłodny wzrok cały czas spoczywał na stojącej przed nim szklance wody. Słyszał podniesiony głos gospodarza, być może nawet domyślał się, o czym mówi, ale nie reagował.

- Przecież to wszystko brzmi jak idiotyzm! - ciągnął punk. - Siedzimy tu wszyscy razem tydzień, nic nie robimy, nie ma żadnego planu i nagle wpada on i mówi, że ktoś nas obserwuje!

- Nie ma czasu - przerwał wreszcie Giordano. - Wiem, że chciał pan dobrze, profesorze, ale nie możemy dłużej dyskutować. Musimy opuścić to miejsce.

- Jasne! - Bzdet walnął dłonią w ścianę. - Dajcie się zawieźć do lasu.

- Nie wiem, o co panu chodzi - rzucił chłodno Giordano w stronę punka. - Ale naraża pan życie swoje i tych ludzi. Mamy was chronić. Nie zna się pan na tym. My jesteśmy w tym dobrzy. Jednak nawet cudotwórca nic tu nie wskóra, jeśli nie będziecie współpracować.

- Nie wierzę ci, aurelito! - rzucił przez zęby punk.

- Nic na to nie poradzę. Ale nie pozwolę ci narażać innych. - Giordano wstał.

- Co pan robi?! - spytał z niemałym strachem w głosie milczący do tej pory Adrian.

- Wszyscy idziemy do samochodów! - rozkazał ostrym tonem Coluneo. - Dyskusja skończona!

- A jak nie?! - warknął ostentacyjnie Bzdet.

- Nie radzę się przeciwstawiać - aurelita powiedział to tak lodowatym tonem, że nawet Sambierska nie odezwała się ani słowem.

Nastała krótka cisza. Na szczęście dla niektórych przerwał ją po chwili towarzysz Giordana, który właśnie wszedł do środka. Szybko rzucił kilka słów po włosku do Coluneo.

- Co on mówi? - spytał natychmiast profesor.

- Jak wygląda?! - wtrącił, nie czekając na tłumaczenie aurelity, Adrian.

- Kto jak wygląda? - Ola się skrzywiła.

- Carlo mówi, że idzie tutaj jakiś człowiek - wyjaśnił Giordano. - Jest sam. Idzie prosto do tego domu.

- Jak wygląda? - powtórzył Adrian.

- Starszy mężczyzna - odparł aurelita, po czym odwrócił się w stronę Wileckiego. - Panie profesorze, jeśli go tu wpuszczymy, nie będzie mógł odejść, dopóki nie dostaniemy odpowiednich rozkazów. Pana decyzja.

Wilecki wstał i podszedł do okna. Bzdet sięgnął za siebie po lornetkę leżącą na półce i podszedł do profesora, aby mu ją podać.

Jakieś dwieście metrów od nich kroczył drogą, którą tu przyjechali, niewysoki staruszek z siwą, niewielką brodą, do złudzenia przypominający Richarda Attenborough z roli profesora w *Parku Jurajskim*.

Wilecki opuścił lornetkę i wybuchnął śmiechem.

- Wiem, kim są nasi „prześladowcy”. - Na chwilę powstrzymał się od rechotania.

- Zna pan tego człowieka? - spytał poważnie Coluneo.

- Oczywiście. To profesor Eberhard Link.

Roman Punicky pchnął szklane drzwi. Dziewczyna wyszła na zewnątrz i wystawiła dłonie.

- Chyba zaczyna padać. - Uśmiechnęła się, chwytając niepostrzeżenie dłoń mężczyzny, gdy wydreptał z kina tuż za nią.

Kanadyjczyk uśmiechnął się nieśmiało i zajął jej w oczy z nadzieją.

- Może kolacja? - spytał cicho.

- Czemu nie? Gdzie? - Wiśnia przymrużyła lekko oczy i wydeła przeuroczo usta, demonstrując jeden z jej najskuteczniejszych numerów, który kiedyś nawet zapisała sobie w pamiętniku jako „*body language* nr 4, faza trzecia”.

Punicky wyglądał na zachwyconego.

- Może sushi? - zaproponował.

- Wspaniale! - Wiśnia konsekwentnie emitowała wszelkie możliwe sygnały, które mogły dać szansę na chociażby najskromniejsze podniesienie poziomu męskich hormonów.

- Akashia! - Roman głośno przełknął ślinę. - Doskonała restauracja. Byłem tam z kolegami z biznes.

- No to jedziemy! - zdecydowała rezolutnie, wciąż nie puszczając dłoni Kanadyjczyka. Punicky, być może z nieśmiałości, starał się delikatnie swoją rękę uwolnić, ale wreszcie ustąpił. Doszli w ten sposób do jego imponującego czarnego volvo.

Ruszyli w stronę Żoliborza. Dziewczyna wydusiła z siebie jeszcze kilka uroczych uśmiechów i zalotnych min, ale szło jej coraz gorzej. Nie Punicky był tym razem przyczyną, a rozkaz Glotersa. Dwukrotnie zgodziła się na wmanewrowanie jej w to ciemne - jak uważała - śledztwo grubasa i dwa razy najadła się strachu. Teraz, kiedy miała wciągnąć nieśmiałego i naiwnego jak dziecko Kanadyjczyka, który znał się tylko na biurach podróży, w to bagno, w którym sama tkwiła chcąc nie chcąc, od kilku już lat, poczuła dziwny chłód. Spłynął na nią dość nagle, może nawet nieoczekiwanie, zaraz po rozmowie telefonicznej przed seansem i nie opuścił jej do tej chwili. Bagno... dobre słowo. Przynajmniej wiedziała, czym to pachnie. Punicky, jeśli cokolwiek poszłoby nie tak, utonie w nim jak bazaltowy kamień, a ona będzie musiała na to patrzeć. Mało tego - frajer zrobi to dla niej. Będzie umiała poprosić go w taki sposób, aby się nie wahał. Będzie potrafiła przedstawić sprawę tak, że nie wzbudzi w nim podejrzeń. Będą wpięprzali to sushi w restauracji Akashia, a ona wsączy mu truciznę do ucha. A kiedy już zrobi wszystko, czego chce Gloters, ułożą plan - okradną go na ile się da i porzucą. Znikną, a Roman Punicky odbędzie co prawda dość kosztowną, ale w końcu pożyteczną lekcję życia i pewnie wyjdzie z niej jako człowiek znacznie mniej naiwny niż dotychczas. Trochę szkoda. Do twarzy mu z tą całą jego nieporadnością, śmiesznie ukrywaną nieśmiałością, wreszcie - kompletnie nienowoczesną delikatnością. Jego szczerość, głupawa i chyba przesadna otwartość zamiast cieszyć, teraz niepokoiły Wiśnię. Mistrzynię uwodzenia frajerów, zgarniania łatwej forsy chciwych na jej wdzięki samców. Choć ciężko było zaakceptować tę myśl, Punicky nie był „chciwy”. Był chyba po prostu sobą. Zachowywał się, jakby niczego nie chciał, choć wyczuwała, że jest inaczej. Mówił do niej, czasem nawet ją bawił, często zmuszał do wręcz szczerego śmiechu. Od dawna była zmęczona, a przy nim - co może wydać się niewiarygodne - odpoczywała. Tym bardziej to dziwne, że praca była przecież wszystkim, co miała, a teraz jej pracą był on. Z okien samochodu

widać już było restaurację, kiedy zdała sobie sprawę, że ogarnia ją lęk na myśl, iż ten etap jej pracy, z tym pechowym frajerem, właśnie radykalnie się kończy.

- Jest pan pewien, że to on?! - spytał podniecony Adrian.

- Niech ksiądz nie udaje, że go nie zna. - Wilecki uniósł do góry brwi, świdrując wzrokiem Czelejewskiego.

- Nigdy go nie widziałem. - Adrian wzruszył ramionami. - Porozumiewał się ze mną najpierw internetowo, a później przez pewnego człowieka, który zresztą dość kiepsko mówił po polsku. To on dał mi książki... to znaczy pożyczył.

Ksiądz zmrużył oczy, poprawił okulary i próbował dostrzec na drodze idącego w ich stronę Linka.

- To rzeczywiście najlepszy specjalista od aurelitów na świecie? - spytał po chwili, nie odwracając się od okna.

- No, skoro ma te książki... - Wilecki zrobił pocieszoną minę, która trochę zirytowała Adriana.

- Pytam poważnie - zaznaczył twardo.

- Sam ksiądz zobaczy, ale nie byłbym zbyt szczery, jeśli o to chodzi, przy naszych gościach zza granicy - odparł już poważniej profesor. - Co prawda kilka lat temu oddał istotną przysługę ich szefowi, ale zalecałbym ostrożność.

- Mogę wiedzieć, jaką przysługę?

Profesor zastanowił się chwilę, jaki przybrać ton głosu, aby nie ściągnąć na siebie uwagi aurelity. Odszedł od okna i przeszedł kilka kroków w stronę kuchni. Tu oparł się o framugę drzwi i zaczął czekać, aż ksiądz podejdzie bliżej.

- Nasz gość był kiedyś wybitnym etnografem i ekspertem od historii religii i mitów kultury. Wykładał na uniwersytecie w Lozannie - wyjaśnił szybko, wiedząc, że ma na to nie więcej niż minutę. - Był największym ekspertem od aurelitów, choć oczywiście świat naukowy zawsze traktował ich jako legendę lub co najwyżej dawno nieistniejące bractwo. Ale nasz szwajcarski kolega był innego zdania. Kilka lat temu nagle zniknął. Uważano nawet, że postradał zmysły, że ma manię prześladowczą, że wciąż twierdzi, iż ktoś czyha na jego życie. Oczywiście, nikt mu nie wierzył, a po kilku latach prawie wszyscy o nim zapomnieli. Wszyscy z wyjątkiem... - Profesor znowu uniósł zagadkowo brwi.

Giordano Coluneo wciąż uważnie spoglądał przez okno, ale ku zaskoczeniu Wileckiego nie pytał o Linka. Swoim towarzyszom, którzy właśnie pojawili się w okolicach domu, kilkoma ledwie zauważalnymi gestami wydał rozkazy, aby nie zatrzymywali gościa.

Profesor był przekonany, że aurelita nigdy nie został wtajemniczony przez Luigiego Baleę w sprawy związane z Eberhardem Linkiem, dlatego na wszelki wypadek dla niego również przygotował sobie w myślach ewentualną odpowiedź, jaka byłaby do zaakceptowania przez Coluneo.

- No dobra. - Wilecki klasnął w ręce. - Chodźmy przywitać naszego gościa!

Eberhard Link wkroczył na teren „posesji” Bzdeta z charakterystycznym dla siebie uśmiechem na ustach. Widząc znajome twarze, rozłożył ręce i już z daleka słał wyrazy radości z niezwykłego spotkania, niestety w języku... niemieckim.

- Po angielsku, przyjacielu, prosimy - rzekł również uradowany Wilecki, a gdy tylko go dopadł, wykonał przepisowego w takich przypadkach „misia”.

- Wybaczcie, drodzy przyjaciele, te podchody - usprawiedliwił się natychmiast Link. - To ostrożność wymuszona przez moich współpracowników. Jak wiecie, oni znają się na tych wszystkich wojskowych duperelach. - Zachichotał i puścił oczko do wszystkich, którzy wyszli przed dom. - Oni po prostu musieli być pewni, że towarzyszący wam panowie to ludzie Luigiego Balei, a nie Luca Trantignana.

- Luca Trantignana?! - zdziwił się Wilecki. - A kto to taki?

Coluneo na dźwięk tego nazwiska lekko drgnął.

- Człowiek, przed którym się ukrywacie - odparł Szwajcar. - Jeśli pozwolicie mi wejść do środka i dacie trochę dobrego winka... wszystko wyjaśnię. Także to, dlaczego tu jestem, bo chyba to was dziwi najbardziej?

Nikt jakoś nie zaprzeczył.

Telefon zadzwonił nagle. Wiśnia podskoczyła na krześle, dopiero dobrą chwilę później próbując naprawić to miną.

Punicky przywitał to zdziwieniem, ale i pewnym niepokojem.

- Coś się stało, Kasza? To tylko telefon.

- Przepraszam. - Natychmiast się roześmiała najbardziej naturalnie, jak tylko to było w tej sytuacji możliwe. - Po prostu się zamyśliłam.

Szybciutko porwała z miseczki najbliższe *sashimi* i nawet nie mocząc go w *shoyu*, umieściła w ustach, aby choć na chwilę móc się zatkać i nie odpowiadać na pytania.

- Nie odbierzesz? - spytał spokojnie Roman.

- Przepraszam - rzuciła, gdy tylko udało jej się przełknąć, porwała ze stolika telefon i torebkę, po czym pobiegła do łazienki.

Punicky przestał jeść. Odłożył na stół serwetkę, którą trzymał na kolanach, dyskretnie rozejrzał się dookoła i spokojnie czekał. Jeśli nawet czegoś się obawiał, teraz nie dawał tego po sobie poznać. Wziął z tacki ręczniczek do nawilżania rąk i spokojnie przetrął nim dłonie.

- Co ty robisz, Gloters?! - „krzyczała” szeptem Wiśnia do słuchawki w (na szczęście) pustej toalecie. - Przecież siedzę tu teraz z Punickim i od pół godziny, kurwa, kombinuję, jak mu to powiedzieć! A ty teraz, nie wiem po chuja, dzwonisz!

- Gdzie jesteś? - Bliski spytał spokojnie, ale dziewczyna wyczuła niecodzienne i z pewnością zupełnie niecharakterystyczne dla aspiranta zdenerwowanie. Nie krzyczał, nie kłócił się, nie wyzywał Wiśni od najgorszych. Mówił cicho, jakby smutno, co chwila łapiąc głęboko oddech. Nie było wątpliwości - coś cholernie niedobrego musiało się stać.

- W knajpie *sushi*, w Akashii. Co jest grane?

- Posłuchaj uważnie. Jak najszybciej wyjdź z knajpy i wyjedź z miasta. Od razu. Nie zahaczaj o dom, o koleżankę czy innych. Spław frajera i znikaj.

- Jezu, Gloters... co jest grane?! Na Boga, gadaj!

- Po prostu zrób, o co proszę, jeśli nie jest za późno.

- Na co ma być za późno?! Przecież kazałeś mi wysłać Punickiego do tego faceta, co nadał go wam Kępiński! Miał mu zanieść jakąś wiadomość i coś od niego wziąć?! Nic nie rozumiem!!! Właśnie wymyślam bajer, żeby go do tego przekonać!

- Niczego ci nie kazałem! Co ty gadasz?!

Wiśnia otworzyła szeroko usta i wolno osunęła się po wykafelkowanej ścianie, o którą była oparta.

- Henio Kuraś dzwonił trzy godziny temu, że tak mi kazałeś!

Po drugiej stronie usłyszała głębokie westchnienie.

- Od rana nie mam kontaktu z Młodym - odparł cicho Gloters. - Nie przyszedł na spotkanie, nie pojawił się w firmie, nie odbiera telefonów. Kiedy do ciebie dzwonił?

- No mówię, trzy godziny temu. Mniej więcej. Gloters, mów, kurwa, co się dzieje, bo zeszczam się tu zaraz ze strachu!

- Przecież ci mówię, z Młodym nie ma kontaktu, moja żona i dzieci zniknęły... Nie ma ich w domu... - głos mu się na chwilę załamał. - Porwali ich... zostawili list: „czekaj na kontakt”, nie zadzwonili, czego chcą...

- Kto porwał?!! Gloters, w co ty nas wpakowałeś?!

- Nie wiem, kurwa, kto! Może ci ludzie w habitach, może kto inny... Moje dzieciaki porwali, rozumiesz?!

- „Ludzie w habitach”? Jacy ludzie w habitach?! Kiedy miałeś zamiar mi to powiedzieć?! - Wiśnia otarła szybko dłonią łzy z policzków. - Jakiś świr goni mnie nocą po parku, jacyś ludzie mnie śledzą, a ty każesz mi obserwować swoich podejrzanych, bo sam ze strachu trzęsłeś portkami, ty skurwysynu!!! - Kopnęła z wściekłością drzwi do kabiny.

- Wiśnia, wyjaśnię ci wszystko, ale teraz spierdalaj stamtąd, bo jeśli nas dorwali, ciebie też dorwą! Zjeżdżaj stamtąd, na miłość boską!

- Dokąd mam spierdalać? Do Czechosłowacji?! Jestem w środku Warszawy w kiece i szpilkach! Przy stoliku czeka na mnie frajer, któremu nie wiem nawet, jaki zapodać bałach. Siedzę na podłodze w łazience, ledwo żyję ze strachu i mózg mi się lasuje, grubasie pieprzony!!!

- Dobrze, OK! Już dobrze, spokojnie... - Gloters wciąż nie podnosił głosu. - Spotkajmy się tam, gdzie zwykle, kiedy jest kocioł, pamiętasz?

- Pamiętam. Kiedy?

- Zaraz. Coś poradzimy. Wyjdziemy z tego. Tylko skutecznie spław frajera, nie chcę go w to wciągać. Nie wsiadaj do jego samochodu, złap przypadkową taksówkę, nie dojeżdżaj do końca. Jak wysiądziesz, najpierw pójdz w odwrotną stronę, a dopiero później zawróć. Zrozumiałaś?

- Tak, zaraz tam będę. Góra dwadzieścia minut.

- Rozłączyła się. Z trudem wstała i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nie było aż tak źle; trochę rozmazane oczy. Szminka, puder i może iść. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej listek xanaxu, wsadziła do ust dwie tabletki i popiła wodą z kranu. Szybko doprowadziła się do stanu „używalności”, wzięła głębokie trzy oddechy i wyszła z łazienki.

Kanadyjczyk siedział spokojnie przy stoliku, jakby nigdy nic. Popijał zieloną herbatę i dopóki dziewczyna nie podeszła do stolika, nie zwracał uwagi na to, co dzieje się na sali.

- Roman - rzekła cicho i uwodzicielsko Wiśnia, podchodząc do stolika. - Dostałam ważną wiadomość, muszę niestety iść. Zdzwonimy się jutro.

Pogłaskała go czule po ramieniu, mając nadzieję, że zapobiegnie dzięki temu zadawaniu szczegółowych pytań. Nie myliła się. Punicky po swoim uśmiechnął się dość głupkowato i potwierdził, że rozumiał.

- Bardzo żałują. Tak miło była do teraz. Czy trzeba pomóc Kasza w czymś tobie teraz?

- Nie, nie! - zaproponowała natychmiast. - Wszystko dobrze, tylko muszę uciekać, pa. -
Pocałowała go w czoło, co chyba zdarzyło jej się pierwszy raz.

- Kiedy zadzwonić?

- Ja zadzwonię. To sprawy rodzinne, wiesz, delikatne. Jak załatwię, od razu dam znać.

Uważaj na siebie! - wyrwało jej się nagle.

Kanadyjczyk uniósł śmiesznie brwi.

- Zawsze uważam na siebie. Ale miło, że mówisz.

- Naprawdę muszę lecieć. - Wiśnia pobiegła w stronę wyjścia.

Punicky spokojnie poprosił o rachunek, wyjął z portfela kilka banknotów i wręczył je kelnerowi, po czym niemal natychmiast również wyszedł. Kiedy pojawił się w drzwiach wyjściowych, Wiśnia wsiadała właśnie do taksówki.

ROZDZIAŁ 8

Profesor Eberhard Link wziął pod rękę Giordana Coluneo i odszedł na bok.

- Chwilkę pospacerujemy! - rzucił do pozostałych, trzeba przyznać dość zdziwionych osób, zgromadzonych na podwórku przed domem Bzdeta. - I zaraz do was wrócę!

Punk, wzruszywszy ramionami, gestem zaprosił wszystkich ponownie do środka. Trzej aurelici, zgodnie ze swym zwyczajem, rozplynęli się jak we mgle, tak że nikt nie zauważył nawet, w którą stronę poszli.

- Kim tak naprawdę jest ten pan? - spytał po cichu Wileckiego Adrian, wchodząc za wszystkimi do domu.

- Profesor historii, badacz mitów kultury, mówiłem księdzu. Kiedyś tak było. Teraz to cała instytucja.

- Nie rozumiem.

- Link był najwybitniejszym specjalistą od aurelitów. Całe życie badał ich historię tak dogłębnie, że wreszcie zwrócił na siebie uwagę bractwa. Do tej pory funkcjonowali wyłącznie jako barwna legenda, a on zaczął podejrzewać, że istnieją naprawdę. Nie spodobało im się to. Znalazł się w niebezpieczeństwie. Nie pomogło nawet, że wyjechał z Lozanny i zniknął. Kilka lat temu stara rada wydała na niego wyrok. Ale jak ksiądz widzi, staruszek - żyje do dzisiaj. Dlaczego? Powód stary jak świat. Byli tacy, którym konserwatywna polityka starszyny się nie podobała. I tak właśnie grupa młodych aurelitów, z niejakim Luigim Baleą na czele, przeprowadziła przy tej okazji dawno przygotowywane w tajemnicy zmiany i obaliła radę, przejmując w bractwie władzę. Ochronili profesora, a on - dzięki swojej wiedzy - pomógł im w przewrocie, umiejętnie przekonując do udziału w nim Lorenta. Jak pewnie ksiądz się domyśla, nie trzeba go było długo prosić, Krzysztof był przez nich prześladowany, Balea zaś obiecał mu spokój i wolność. I stało się, Lorent wyjechał, a my żyliśmy do tej pory we względnym bezpieczeństwie. Aż do dziś. Pewnie zaraz się dowiemy, co się stało.

- Mówił pan, że profesor to „instytucja”?

- Link pochodzi z bogatej szwajcarskiej rodziny bankierów. Po ucieczce zgromadził wokół siebie grupę oddanych mu ludzi, którzy z czasem stali się taką jego... małą armią. - Wilecki uśmiechnął się. - Kiedyś to byli zwykli ochroniarze, teraz ma wokół siebie zawodowców. Stać go na jeżdżenie po całym świecie, skupowanie bezcennych ksiąg, a nawet szpiegowanie. Ciekawy profesorek, jakby to powiedział Bzdet, nie uważa ksiądz?

Adrian pokręcił głową z niedowierzaniem i - trzeba przyznać - z zażenowaniem.

- Możemy się z tej jego paranoi śmiać, ale teraz bardzo nam się ona przyda - zauważył poważnie Wilecki.

- Chyba ma pan rację - odparł, ale przyciszonym głosem, Czelejewski, bo profesor wszedł do środka, już sam.

- Gdzie ten aurelita? - spytała bez ceregieli Ola.

- Umówiliśmy się, że nie będzie nam przeszkadzał, a mamy trochę do omówienia - odpowiedział z uśmiechem, jakby nigdy nic, profesor.

Wszyscy usiedli, a Cipucha, jak zawsze w takich momentach, szybko wyposażyła każdego z gości w odpowiedni napitek. Profesor dostał, oczywiście, zgodnie z prośbą - wino, ale mina wskazywała, że raczej mu nie smakowało.

Jego uwagę przykuł teraz Adrian.

- Rozumiem, że ksiądz Czelejewski? - spytał uprzejmie.

- Tak, profesorze. Dobrze, że możemy się poznać... bardziej bezpośrednio.

- Szanuję księdza zaangażowanie. - Link się skłonił.

- Eberhardzie - przerwał nagle Wilecki. - Cieszę się, że cię widzę, przyjacielu, po latach, ale chciałbym, abyśmy porozmawiali poważnie.

- Oczywiście, Bogdanie. - Rozłożył ręce, jakby się poddawał.

- Co tu robisz? Link spoważniał.

- To dłuższa historia.

- Mamy chyba trochę czasu - zachęciła Ola.

- Jak pewnie wiecie, aurelici są podzieleni - zaczął profesor.

- Nie wiemy - sprostował Wilecki.

- Po tamtym konflikcie pewna mniejszość zgrupowała się wokół Luca Trantignana, bliskiego współpracownika dawnego mistrza Aureila. Nie uznawali nowych porządków, chcieli starych przywilejów, a przede wszystkim pragnęli zemścić się na Balei. Odłączyli się i teraz rywalizują z Chatillon. Rezydują w różnych miejscach, obecnie w Niemczech. Oczywiście z potęgą Balei do tej pory nie mieli szans, ale pojawił się ktoś, kto spadł im jak manna z nieba.

- Ktoś taki jak Krzysztof? - spytał Wilecki, próbując udowodnić sam teorię, którą stworzył na własny użytek przez ostatnich kilka dni.

- Gratuluje, Bogdanie, jednak Japonka to nie tylko drugi Kapłan, ale także ktoś, kto ma powód do nienawiści wobec Balei, na tyle mocnej, aby związać się z kimś równie marnym, co Trantignan.

Wilecki pokręcił głową.

- Od razu coś podejrzewałem. Nikt w tym wieku nie może być tak sprawny, chociaż... Krzysztof dał jej radę.

- Jest starszy, bardziej doświadczony, no i jest mężczyzną, a kiedy szanse są wyrównane, to może mieć znaczenie.

- Ale nie musi - warknęła złośliwie Ola, choć od razu podniosła ręce do góry. - Spokojnie, wszyscy jesteśmy po jednej stronie.

- Przede wszystkim jednak - ciągnął Link, nie zwracając na nią uwagi - szczególnie tam w lesie, po prostu ją zaskoczył. Trantignan ukrywał przed nią istnienie drugiego Kapłana, nie wiedziała, z kim walczy.

- A my? - wtrąciła Ola.

- No właśnie - przytaknął Link. - Wy jesteście tylko przynętą. Kiedy Haiku zaczęła zabijać w całej Europie ludzi Balei, wiedziałem, że mistrz musi ściągnąć Krzysztofa do Europy. Ale, jak wiemy, Luigi ma swoje wady i zalety. Byłem pewien, że nie powie Kapłanowi całej prawdy, a w Polsce czekało na niego masę pułapek z powodu bałaganu, który wywołała ta kobieta. Między innymi dwaj policjanci, którzy prowadzili śledztwo w sprawie jednego z jej zleceń. Byli przekonani, że Lorent jest mordercą. Chciałem więc jak najszybciej dotrzeć do niego. Nie poszło dokładnie według mojego planu, ale nie jest źle.

- Eberhardzie. - Wilecki zmierzył go krytycznym wzrokiem. - Wszyscy znamy twoje metody i wiemy, że dla wiedzy zrobisz wszystko. Masz żal do Lorenta, że wtedy wyjechał i nie zaspokoił twojej ciekawości. Ale teraz ja mam żal do ciebie, że tak ryzykowałeś, wciągając we wszystko księdza Adriana, by szybciej dotrzeć do Krzysztofa, zamiast natychmiast nas ostrzec.

- Dopóki Krzysztof nie wrócił, byliście bezpieczni. Zamachy na was są tylko próbą zwabienia go w pułapkę.

- A wy czekaliście na Krzysztofa...

- To nie tylko chęć zdobycia wiedzy od Lorenta, jak widzicie, choć... nie przeczę, że to było i jest kuszące. Są jednak rzeczy ważniejsze, a ja musiałem zyskać pewność, że on wróci i uporządkuje sprawy, które się pogmatwały.

- No dobrze. - Ola machnęła ręką. - To teraz mniej ważne, profesorze. Istotne jest, czy nadal grozi nam niebezpieczeństwo?

- Moi ludzie jeździli za naszym drogim księdzem. Zgubiliśmy go na chwilę, kiedy przyszedł do was. - Wskazał na Wileckiego i Sambierską. - Bo na tyle sprytnie was wyprowadzono, że udało się zmylić moich ludzi, ale... nie Lorenta.

- Bo on też nas obserwował - jęknęła Ola. - Czy ktoś nas, do cholery, nie obserwował?! Japonka, aurelici, Krzysztof, pan, profesorze?!

- Takie życie. - Link rozłożył ręce. - A wracając do pani pytania - myślę, że na pewien czas jesteście bezpieczni. Japonka was nie zaatakuję.

- Skąd pan wie? - spytał Czelejewski.

- A więc jednak nie zabił jej... - stwierdził nie bez żalu Bzdet.

- Nie zabił - potwierdził Szwajcar. - Tak mi doniesiono. Ale wiem, że przynajmniej ona nic wam nie zrobi.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym nagle Wilecki tubalnie się roześmiał i klasnął w dłonie.

- Eberhardzie! - oświadczył uradowany. - Chyba jestem w stanie wybaczyć ci większość grzechów. Masz człowieka u Trantignana?

Link triumfalnie uniósł głowę.

- Oczywiście. I to od samego początku.

- Baley o tym wie?

- On myśli, że to jego człowiek. To znaczy... tylko jego. - Profesor się uśmiechnął. - Gdyby wiedział, że ja również kupuję od niego informacje, nie byłby zadowolony.

- Dlaczego? - spytał, być może naiwnie, Adrian.

Link spojrzał na niego tajemniczo.

- Bo dzięki temu wiem coś, co on skrzętnie ukrywa przed Krzysztofem.

- Chodzi o to, co tak naprawdę kombinują aurelici z Chatillon?

- Nie. Chodzi o to, co naprawdę kombinuje Haiku. A przede wszystkim, dlaczego tak bardzo pragnie zemsty.

Stary, duży magazyn po hurtowni zabawek nie miał dachu. Pożar zniszczył tu kilka lat temu także część ścian, a osmalona podłoga z popękanego betonu przypominała o dawnej - do

dziś pamiętanej w okolicy - tragedii właściciela, który w pożarze stracił nie tylko majątek, ale także i brata. Kilka tygodni po wypadku sam popełnił samobójstwo, a duże tereny stanowiące jedną z niewielu, niezbyt może pięknych - ale jednak - pamiątek po starej Woli, niszczały, nie zyskując zainteresowania właściwie nikogo.

Magazyn był wygodnym miejscem spotkań Glotersa z Wiśnią, gdy wymagała tego sytuacja. Zdarzało się to rzadko i zwykle chodziło wyłącznie o środki ostrożności. Gloters unikał spotkań z Wiśnią w miejscach publicznych, o swoim domu nie wspominając.

Aspirant pojawił się wcześniej. Stał niemal nieruchomo pod ścianą, gdy dziewczyna wbiegła do środka. Widząc go, podeszła ostrożnie. Bała się widoku jego twarzy po tym, co usłyszała przez telefon. Bliski miał zmęczony, ciężki wzrok, podkrążone oczy, jakby nie spał co najmniej od tygodnia, a zaciśnięte usta mimowolnie mu drżały, jakby stał na mrozie. Było pochmurne, ale bezdeszczowe popołudnie. Wiśnia na chwilę spojrzała w niebo. Stalowe chmury i zaraz później przerażający widok Glotersa spowodowały niekontrolowany, nagły ścisk w żołądku.

- Co robimy? - spytała, wycierając łzy. Płakała niemal cały czas, jadąc na miejsce spotkania.

- Czekamy - odparł głucho policjant.

- Na co?

- Na Młodego. Dzwonił przed chwilą. Powiedział, że wszystko wie i zaraz tu będzie.

- A potem uciekniemy jakoś? - spytała głupio, ale strach paraliżował ją do tego stopnia, że nie była w stanie rozsądnie myśleć.

- Nie sądzę. Myślę, że to pułapka.

- Jaka pułapka?!

- Mają go. Przyjadą z nim, wtedy zobaczymy, co będzie dalej.

Ponury ton jego głosu dodatkowo ją przerażał. Mówił cicho, spokojnie, beznamiętnie.

- I będziesz tak tu czekał?!!!

- Nie widzę innego wyjścia. Mają moją rodzinę, ale ty rób, co chcesz. Przygotowałem dla ciebie trochę kasy. Jest tam, gdzie zwykle. Weź ją i uciekaj.

- W tej chwili to nienajlepszy pomysł! - usłyszeli nagle znajomy głos dobiegający od strony wejścia.

Roman Punicky szedł do nich, niosąc coś, co przypominało przedłużony futerał na gitarę elektryczną. Dziwne, że nie usłyszeli go do momentu, aż się odezwał, ale w tej sytuacji raczej nie

to było najbardziej zaskakujące. Wiśnia najpierw spojrzała przestraszona na Glotersa, a następnie szybko podbiegła do Kanadyjczyka.

- Co ty tu robisz?! Po co mnie śledziłeś?! - wrzasnęła histerycznie. - Uciekaj stąd! Nie masz pojęcia, co się dzieje! Nie jest tak, jak myślisz... proszę, jutro do ciebie zadzwonię i wszystko wyjaśnię, tylko uciekaj stąd!

Pogłaskała go czule po policzku. Punicky patrzył na nią ze zrozumieniem, spokojnie, ale w jego spojrzeniu nie było dotychczasowej zabawnej bezradności i naiwności. Rozejrzył się po hali jak muzyk, który zaraz ma zagrać koncert, i postawił futerał na podłodze.

- Masz jakąś broń? - spytał, jakby nigdy nic. Mówił bezbłędną polszczyzną.

- Co?! Roman, jeśli mnie naprawdę kochasz, zaufaj mi i uciekaj. To nie zabawa. Wiem, że być może chcesz pomóc, ale...

Tubalny, głośny śmiech Glotersa przerwał słowa Wiśni.

Było w tym coś makabrycznego, a jednocześnie niepokojąco smutnego.

Dziewczyna odwróciła się z szeroko otwartymi oczami.

- O co ci chodzi, pomyśleńcu?! - wrzasnęła dziko.

- O nic. - Bliski nie przestawał się śmiać. - Po prostu nie co dzień ma się okazję zobaczyć, jak oszust jest oszukiwany!

- Zamknij się! Czego ty chcesz?!

- Niczego. Wydymał cię na szaro. Mnie i Młodego zresztą też.

Punicky nie zwracał uwagi na ich rozmowę. Nachylił się nad futerałem, aby go otworzyć.

- Nie nazywa się pan żaden Punicky, prawda? - Gloters nieprzerwanie rechotał. - Trzymał pan ją przy sobie, aby mieć mnie pod kontrolą, aby nic nie wyszło na jaw, aby tajemnica cały czas była tajemnicą, i pilnował pan, żebym robił z siebie kretyna...

- Kim ty jesteś? - zniżyła nagle głos Wiśnia, cofając się o kilka kroków.

Mężczyzna zwinął zamki i uchylił górną część futerału. W środku błysnął złożony na czerwonym suknie miecz. Ku przerażeniu dziewczyny wyjął go i umieścił na plecach, powoli wsuwając w *umuć*, ukrytym pod marynarką.

- Wie pan, co to za ludzie? - spytał nagle, urywając śmiech Gloters.

- Tak. To gorsza wersja tych, których spotkał pan u doktor Sambierskiej. - Mężczyzna wciąż rozglądał się uważnie dookoła, jakby analizował każdy przedmiot leżący na ziemi, każdy kółek wystający ze ściany.

- O czym wy mówicie?!!! - wybuchnęła teraz już niepoohamowanym płaczem dziewczyna.

- Lorent! - rzucił policjant do mężczyzny, nie zwracając uwagi na Wiśnię. - Umie pan ich powstrzymać?

- Tak. Ale bez pana pomocy nie dam rady uratować pana kolegi.

Policjant spojrział na Wiśnię.

- Masz broń?! - powtórzył pytanie Kapłana.

Dziewczyna nie odpowiadała.

- Wiśnia! - krzyknął, próbując przywołać ją do porządku.

- Mam! Noszę od tego wypadku w parku!

- Stań tam i nic nie rób, chyba że o to poproszę - rozkazał Lorent, pokazując miejsce pod ścianą. - Nie ruszaj się stamtąd, muszę cały czas dokładnie wiedzieć, gdzie jesteś.

Dziewczyna szybko wykonała polecenie. Gloters wyjął i odbezpieczył swój pistolet.

- Kiedy przyjadą, pewnie każą panu oddać broń. - Kapłan nie przerywał oględzin magazynu. - Niech pan się nie sprzeciwia. Liczę, że to odciągnie trochę ich uwagę ode mnie. Nie spodziewają się mnie tu, nie znają mojej twarzy, nie wiedzą, kim jestem.

- Mają moją rodzinę!

- Nie mają.

- Słucham?!

- Zaopiekowali się nią ludzie, którym ufam. Udało się zdążyć na czas. W wypadku pana kolegi, było już za późno.

Gloters stał przez chwilę jak zamurowany, ale nawet Wiśnia była w stanie zauważyć, jak z sekundy na sekundę rosła w nim dawna siła.

- Dziękuję - mruknął zdawkowo. - Skąd pan wie... zresztą nieważne. Ilu ich będzie?

- Najprawdopodobniej czterech, z czego jeden to tak zwany strażnik, tylko obserwator.

- Czego będą chcieli ode mnie?

- Podejrzewam, że będą chcieli pana zabić, a także wszystkich świadków, czyli nas. Odkąd zabójczym, której pan szuka, odłączyła się od nich, wpadli w panikę i zacierają wszelkie ślady. Ich zdaniem wiecie zbyt wiele, a dla nich to ryzyko.

- Trudno się w tym wszystkim połapać. - Gloters schował broń. - Rozumiem, że nie tylko nie wytłumaczy mi pan wszystkiego, ale jeszcze zobowiąże do milczenia, jeśli przeżyję.

Kapłan lekko skinął głową.

- Niewiele się różnicie - skostatował posepnie policjant. - Stosuje pan tylko inne metody. Dziwię się panu. Oni są przynajmniej skuteczni. Mają pewność, że w przyszłości nie będzie kłopotów. A pan z tego, co widzę, przez swoje skrupuły co chwila potyka się o jakieś problemy. Nie łatwiej byłoby nas wszystkich wykończyć?

- Byłoby łatwiej - odparł bez emocji Lorent. - Niech pan się przygotowuje, będą tu najdalej za pięć minut.

Profesor Eberhard Link delikatnie umoczył usta w winie. Miał zwyczaj spożywania trunków bardzo wolno, spokojnie, niemal z namaszczeniem. Propozycja punków, w dodatku własnej roboty (!), raniła nieco podniebienie Szwajcara, ale nie dawał tego po sobie poznać. Rozkoszował się miłą chwilą karmienia swojej próżności, skupiając na sobie głodne wiedzy spojrzenia pięciu par oczu, bo nawet Cipucha zażądała od Bzdeta tłumaczenia. Punk szeptał jej więc na ucho co tylko się dało, mimo że samemu było mu z minuty na minutę coraz trudniej uwierzyć w to, co słyszy.

- Jest 11 września 2001 roku - mówił Link - Nowy Jork, około ósmej rano. Pan Toshiro Kimura, samotnie wychowujący dwójkę dzieci biznesmen, od tygodnia bawi w Stanach Zjednoczonych. Kończy ważne dla jego przedsiębiorstwa rozmowy. Po południu ma wylecieć do Tokio. Około wpół do dziewiątej wraz z rodziną wchodzi do północnej wieży WTC, aby na 82. piętrze spotkać się z Grahamem Whitakerem, przyjacielem i partnerem w interesach. Ponieważ Whitaker wie, że gość z Japonii za kilka godzin ma opuścić USA, proponuje, aby na pożegnalną wizytę w biurze Kimura przybył wraz z dziećmi, co szczególnie raduje dziesięcioletniego Ame. Siedemnastoletnia Yasuko tego dnia źle się czuje. Boli ją głowa i ma nudności, ale nie chce zawieść ojca. Ponieważ jednak podczas spotkania jej samopoczucie się nie poprawia, Whitaker proponuje, aby dziewczyna w towarzystwie jego sekretarki zjechała na dół i zaczerpnęła świeżego powietrza. Za kilkanaście minut powinny wrócić z powrotem. Sekretarka i Yasuko Kimura zjeżdżają windą szesnaście pięter niżej, gdzie w biurze George'a Binnera sekretarka ma zostawić ważne dokumenty od Whitakera. Potem obie mają zjechać na sam dół. Kiedy idą w stronę windy, ogłusza je potężny wybuch i rozpoczyna się pandemonium. Yasuko, odzyskawszy przytomność, widzi szalejącą wokół panikę. Słyszy krzyki, obserwuje bezładną bieganinę. Sufit i ściana za nią stoją w ogniu. Ktoś ją chwyta za ramiona i pomaga dojść do schodów. Ludzie w strażackich strojach pomagają przerażonym pracownikom przedostać się schodami w dół. Yasuko wydostaje się w końcu na zewnątrz. Tu jednak ponownie traci przytomność. Budzi się dopiero w szpitalu...

Nie wie, że jej rodzina nie żyje, podobnie jak prawie wszyscy, których spotkała tego dnia w WTC. Ale najgorsze jest to, że po przebudzeniu niczego nie pamięta. Nie wie, jak się nazywa, jak trafiła do szpitala, nie potrafi wypowiedzieć ani jednego słowa.

Nikt nie wie, kim dziewczyna jest, wiadomo tylko, że jest jedną z ocalałych spod World Trade Center. Po rehabilitacji zostaje umieszczona w domu opieki, z którego ucieka po kilku tygodniach. Od tej pory nawet ona sama nie pamięta, co się z nią działo. Najprawdopodobniej błąkała się po całych Stanach, żyjąc z dorywczych zajęć. Mniej więcej trzy lata temu obudziła się na jakimś polu, na południu. Nie wiedziała, jak tam się znalazła, znowu nic nie pamiętała, nawet okresu między wypadkiem w WTC a tamtym momentem. Była zdezorientowana, ale kiedy zaatakowało ją dwóch przypadkowych włóczęgów, zabiła ich z wyjątkową sprawnością. Bardzo powoli zaczęła zdawać sobie sprawę ze swoich nowych możliwości. Jakimś cudem, którego nie potrafiła zrozumieć, nagle w jej pamięci pojawiła się ogromna liczba faktów, choć wiedziała, że nie pochodziły z jej życia. Poczwała w sobie możliwości, o których nawet nie wiedziała, że stanowiły dla niej całkowitą nowość. Zaczęła rodzić się Haiku...

Pojawiała się w Chicago, Filadelfii, San Francisco. Przez pewien czas pracowała dla Ala Prinero z Los Angeles jako „mechanik” do czyszczenia kłopotów. Zdumiewała umiejętnościami i profesjonalizmem. Oczywiście ściągnęła na siebie uwagę grupy Luca Trantignana. Luigi Balea zrobił chyba największy błąd w życiu. Pozwolił swojemu konkurentowi ściągnąć dziewczynę i uczynić ją narzędziem przeciwko sobie. Balea nie był w stanie uwierzyć, że mógłby pojawić się drugi Kapłan i to... kobieta. Kiedy zrozumiał swój błąd, było już za późno.

Trantignan był odpowiedzią na wszystkie jej pytania. On jako jedyny wiedział, kim dziewczyna naprawdę jest i jak wielkie są jej możliwości, o czym Prinero nie miał zielonego pojęcia. Żmudnie odtwarzał jej historię. Jego ludzie dotarli do szpitala, w którym ją leczono, do domu opieki, wreszcie do ocalałej na jednym z serwerów - listy gości WTC z 11 września, na której widniała jako jedyna Japonka w tym wieku, która weszła tego poranka do budynku. Znalazł także ocalałą sekretarkę, do tej pory pewną, że dziewczynka zginęła. Mimo że Yasuko cierpiała na powracające zaniki pamięci, na skutek silnych impulsów związanych ze wspomnieniami pojawiły się pierwsze obrazy, pierwsze wspomnienia...

- Powracające? - Bzdet oderwał się na chwilę od ucha Cipuchy, aby sprawę doprecyzować.

- W praktyce wygląda to tak, że niektóre uszkodzenia mózgu mogą powodować wtórne zaniki - przyszła z pomocą Ola. - To znaczy po pierwszym zaniku, którego doznałeś na przykład w wyniku uderzenia w głowę, wylewu lub poważnego niedotlenienia, zbierasz nowe doświadczenia, zaczynasz je pamiętać, a po pewnym - bywa, że długim - czasie, na skutek szoku

bądź z innej przyczyny ponownie pojawia się u ciebie całkowita lub częściowa amnezja. I musisz zaczynać od początku.

- Tak właśnie było - przyznał Link. - Ostatni nawrót miała najprawdopodobniej dzięki „chorobie” Kapłanów, która zaskoczyła ją gdzieś na południu. Haiku sporo już dziś pamięta. To, co była w stanie odtworzyć i opowiedzieć aurelitom, wiemy dzięki mojemu człowiekowi. Reszta to tylko domysły.

- Wszystko jasne. - Wilecki klasnął w dłonie. - Aurelici są podzieleni, po jednej stronie stanęła Japonka, po drugiej Krzysztof. Wzruszyła mnie nawet jej historia z 11 września i późniejsze lata cierpienia, ale wciąż nie rozumiem, na czym ma polegać jej zemsta? Jakoś nie usłyszałem, aby tropiła Al Kaidę, bin Ladeną czy Aymana az-Zawahiriego?

- Bo ona nie uważa ich za sprawców zamachów. Być może nawet myśli, że Al Kaida wręcz nie brała w nich udziału!

- I kto jej zrobił taką wodę z mózgu? Ten Trantignan? - spytał Bzdet. - A poza tym, skoro nie Al Kaida, to kto?

Eberhard Link rozparł się na krześle i ponownie umoczył usta w kieliszku cipuchowego wina.

- Gdyby się bliżej przyjrzeć... z tym przekonaniem jej... nie było tak trudno. Znać raport Jimmy'ego Waltera na temat ataku na WTC? Albo tak zwany film Dylana Avery'ego - *Loose change?*

- Skąd?! - wzruszyła ramionami Ola.

- Ja nie mam pojęcia - przyznał Adrian.

- To sprawy Amerykanów - stwierdził Bzdet. - Po co mielibyśmy się w to wtrącać?

- Macie jeszcze chwilę? - spytał Link.

- Dopóki Krzysztof nie zadzwoni, mamy tu siedzieć. - Wilecki uśmiechnął się smutno. - A skoro tak, zamieniamy się w słuch.

- Matko Boska, znowu jakaś spiskowa teoria dziejów? - jęknęła Ola.

- Może chociaż ty, kochanie, nie mów o Matce Boskiej... - poprosił Wilecki.

- W porządku. - Link wciągnął głęboko powietrze do płuc, aby za chwilę spokojnie je wypuścić i wreszcie zaczął znowu mówić.

- Pamięta pani doktor naszą rozmowę kilka lat temu o religii dawnych aurelitów?

- Oczywiście.

- Zabawmy się w ten sposób jeszcze raz. Obiecuję, że posłużymy się wyłącznie faktami.

Bez półprawd, domysłów czy gdybania, zgoda?

- Zgoda.

- A więc wracamy do 11 września 2001 roku. Dwa samoloty wbijają się w bliźniacze wieże, trzeci niszczy część Pentagonu, czwarty, nie dolatując do Białego Domu, rozbija się na polach Pensylwanii. Północna i południowa wieża ulegają całkowitemu zniszczeniu, kilka godzin później, około godziny 17, zawala się budynek WTC-7. W sumie giną 2752 osoby. Ameryka i cały cywilizowany świat są w szoku. Całkowite zaskoczenie. Tylko czy rzeczywiście dla wszystkich?

Na tym tle przynajmniej kilka faktów wygląda bardzo dziwnie. 24 lipca 2001, na sześć tygodni przed atakiem, niejaki Larry Silverstein podpisuje umowę na wynajem kompleksu WTC z polisą wartą 3,5 mld dolarów, uwzględniającą atak terrorystyczny. Zgadnijcie, co zrobił po atakach? Zażądał odszkodowania 7,2 miliarda dolarów, bo uznał, że każdy samolot należy traktować jako osobny atak terrorystyczny. W dniu 6 września zostaje zgłoszonych 3 150 000 opcji sprzedaży akcji United Airlines, co było gwarancją spadku wartości akcji. To cztery razy więcej niż dzienna średnia! W dniu 7 września zostają zgłoszone 27 294 opcje sprzedaży akcji Boeinga, pięć razy więcej niż dzienna średnia. W dniu 10 września - 4516 opcji sprzedaży akcji American Airlines, jedenaście razy więcej niż normalnie! A to na razie tylko pieniądze. Co się dzieje dalej? Burmistrz San Francisco, Willie Brown, 10 września odbiera telefon od Condoleezy Rice z prośbą, aby nie wsiadał do samolotu następnego dnia, a kilku najwyższych rangą pracowników Pentagonu odwołuje swoje loty na następny ranek. John Ashcroft - prokurator generalny - na miesiąc przed atakami zaczął latać wyłącznie czarterami. Czy to wygląda na spokojny zwykły okres najpotężniejszego kraju świata? Link znowu sięgnął po kieliszek wina.

- A co się dzieje z bin Ladenem? - ciągnął profesor. - Na dwa miesiące przed atakami spokojnie wypoczywa w szpitalu w Dubaju, gdzie odwiedza go zresztą lokalny szef CIA (dla waszej wiadomości powiem, że był to człowiek aurelitów), mimo że od 1998 roku bin Laden jest poszukiwany międzynarodowym listem gończym! Po zamachach ten buńczuczny terrorysta jest kompletnie zaskoczony i wydaje oświadczenie, w którym mówi: „Nie planowałem tych ataków, które wydają się skutkiem osobistych planów pewnych osób. Obecny lider nie pozwoliłby mi na takie operacje”. Widzieliście kiedykolwiek, aby potężny terrorysta nie przyznał się do ataku, jeśli tylko choć trochę maczałby w nim palce?!

- Chwileczkę - wtrącił Bzdet. - O ile wiem, bin Laden w końcu przyznał się do ataków.

- Czyżby? - Profesor uniósł zagadkowo brwi. - Po trzech miesiącach zamieszania, kiedy nikt nie był w stanie z całą pewnością stwierdzić, kto jest odpowiedzialny za zamachy, CIA pokazuje fatalnej zresztą jakości kasety, na której jakoby bin Laden przyznaje się w końcu do ataków. Widział pan tę kasety? A ja tak. Oglądałem ją bardzo dokładnie. Pomijając, że facet ledwie przypominał posturą bin Ladena, to jeszcze pisał prawą ręką (bin Laden jest leworęczny), a na palcu miał złoty pierścień, czego surowo zabrania prawo islamskie. Poza tym, jeśli to był domniemany szef Al Kaidy, to możecie mi wierzyć - po wielu operacjach plastycznych. Mogę ręczyć, że na pewno nie był to ten Saudyjczyk, o którego wszystkim chodziło. Wiecie, kiedy stwierdzono, że to organizacja bin Ladena?

- Chyba szybko - wygrzebał z pamięci Wilecki.

- Szybko to mało powiedziane. Jeszcze ostatni samolot nie spadł na ziemię, a już pojawiały się pierwsze sugestie, że to on i jego organizacja. Telewizja amerykańska, a za nią chyba wszystkie inne zaczęły zamieszczać jego portret, życiorys, „osiągnięcia” terrorystyczne, słowem - już w kilka godzin po zamachach ulepiono kozła ofiarnego. Jak z Kennedym i Oswaldem. Komuś tak bardzo zależało, że w niewiarygodnym tempie wszyscy się nawet dowiedzieli, jak wyglądali bezpośredni porywacze samolotów, a ich zdjęcia pokazano we wszystkich chyba światowych telewizjach. Tyle tylko, że cała ta misterna konstrukcja, zbyt szybko poukładana, zaczęła trzeszczeć, i to u podstaw. Do dziś ponad wszelką wątpliwość udowodniono, że co najmniej dziewięciu z „porywaczy” żyje i ma się dobrze! W końcu CIA nie miała wyjścia, przyznała, że właściwie nie wiadomo dokładnie, kim byli ludzie, którzy samoloty tak naprawdę porwali, choć bin Laden pozostał wrogiem numer jeden.

- Przepraszam, ale na czarnych skrzynkach są chyba rozmowy tych ludzi. Przy dzisiejszej technice znalezienie ich nie powinno być aż tak skomplikowane - zauważył Bzdet.

- Podobno nie jest to proste, ale trochę ma pan racji, tyle tylko, że czarne skrzynki... wyparowały! Oficjalnie uznano, że uległy zniszczeniu, choć najstarsi piloci nie pamiętają takiego przypadku, aby czarna skrzynka była po katastrofie kompletnie nie do użytku. Na razie zostawmy tę sprawę, nie ona jest najdziwniejsza. Najbardziej niezrozumiałą rzeczą jest sam fakt zawalenia się wszystkich trzech budynków. Dlaczego? Bo z technicznego, naukowego punktu widzenia to właściwie niemożliwe.

Jeszcze nigdy żaden wieżowiec pod wpływem pożaru - nawet wielogodzinny - nie zawalił się w taki sposób. A przykładów jest wiele: drapacz chmur w Los Angeles płonął trzy godziny - nie zawalił się, wieżowiec z Filadelfii płonął przez 19 godzin! Jaki wynik? Także się nie zawalił, Wenezuela - to samo, 17 godzin, Madryt - 20 godzin pożaru, a spłonęło kilkanaście pięter

i też nic prócz pożaru nie miało miejsca. Wreszcie najbardziej spektakularny przykład - Empire State Building. Zagubiony we mgle transportowiec wbił się w budynek i spowodował niemal te same efekty, co samoloty z 11 września, ale... tylko do pewnego momentu. Wielki pożar, jednak wieżowiec stoi do dziś! Jeśli dalej uważacie, że to, co mówię, jest naciągane, obejrzyjcie ten film.

- Link sięgnął tym razem do bocznej, dość wypchanej kieszeni marynarki i wyjął niewielkie pudełko na płyty CD. Wysunął jedną z nich i wręczył Bzdetowi. - Może pan to puścić?

- Na górze mam mały telewizor z odtwarzaczem, zaraz przyniosę.

Punk zniknął na piętrze, a przy stole nastąpiła niezbyt przyjemna cisza. Jak zwykle w takich momentach, najbardziej pomocny okazał się Adrian.

- Te wszystkie płyty są dowodami? - spytał poważnie.

- W większości walce Straussa i trochę muzyki celtyckiej, ale tę jedną płytę akurat zawsze wożę przy sobie, odkąd wiem to, co wam teraz opowiadam.

- Skąd pan ma ten film? - zacięła się Ola.

- Z telewizji. Nagrałem sobie.

- Jakiej telewizji?!

- Duńskiej. Publicznej. Powtarzali kilka razy ten program.

- No, to rzeczywiście musi być cholernie tajna taśma. - Sambierska pokręciła głową.

- Nie o to chodzi. - Profesor uśmiechnął się, obserwując, jak Bzdet zszedł ze sprzętem, sprawnie go podłączył i wsadził płytę do odtwarzacza DVD.

- Co tu zobaczymy? - spytał na wszelki wypadek punk.

- Zawalenie się obu wież WTC - stwierdził, jakby nigdy nic, Link.

- Wszyscy to widzieliśmy już wielokrotnie.

- Wiem, ale teraz proszę o zmierzenie czasu. Bogdanie, mógłbyś?

- Oczywiście. - Wilecki nastawił sekundnik.

- Niech pan puszcza. - Link machnął ręką, jakby oznajmiał start biegaczy. Na ekranie po raz tysięczny wieże World Trade Center zawałyły się wśród ognia, pyłu i krzyków świadków.

- Ile? - spytał Link.

- Około dziesięciu sekund - stwierdził Wilecki.

- Właśnie. Dzięki prawu Galileusza wiemy, jak szybko obiekt może swobodnie spadać i w jakim czasie osiągnąć ziemię. Pozwoliłem sobie obliczyć, ile by ta wartość wynosiła dla wież WTC. Otóż około dziewięciu sekund. Tak więc obie wieże nie dość, że jako pierwsze w historii

zawaliły się od pożaru, to jeszcze stało się to w czasie zbliżonym do swobodnego spadania. Jakby po drodze dach nie napotykał na przeszkody. Jakby nie istniały miliony ton żelastwa, z którego wykonano bliźniaki.

- O czym to świadczy? - Ola rozłożyła ręce.

- O tym, że musiał być inny powód zawalenia się budynków, a pożar czy nawet uderzenie samolotu niewiele miały z tym wspólnego. Obie wieże posiadały tak zwany atest ASTM E119, czyli stal, z którego były zbudowane, przeszła tysiące prób wytrzymałości w temperaturze przekraczającej 1600°C, a kerosen, czyli paliwo samolotowe, może osiągnąć najwyższą temperaturę spalania 1120°C. Dalej wierzyć w to, że dwugodzinny pożar złożył jak domek z kart drugie co do wielkości wieżowce świata? W dodatku pierwsza zawaliła się wieża południowa, a więc ta, w którą uderzył... drugi samolot!

- Nawet jeśli ktoś dokonałby sabotażu, Eberhardzie, nie osiągnąłby takiego efektu - mruknął powątpiewająco Wilecki. - Nie jestem, co prawda, inżynierem, ale...

- Sabotaż to mało powiedziane. - Szwajcar uśmiechnął się smutno. - Wieżowce WTC zburzono według starannie zaplanowanego planu i doskonale przeprowadzonej akcji! A samoloty były tylko przykrywką dla widzów i opinii publicznej.

- Rozumiem, że próbuje pan żartować - jęknęła, z lekka krzywiąc się, Sambierska. - Choć przyznaję, że zaczyna mieć to trochę makabryczny charakter...

- Tym razem nie żartuję, pani doktor - odparł śmiertelnie poważnie Link. - Proszę puścić jeszcze raz film - poprosił gospodarza. - Jeśli się da, na zwolnionych obrotach.

- Bez problemu. - Bzdet odpowiednio ustawił odtwarzacz.

Szwajcar podszedł do telewizora, wyjął długopis i kiedy ruszył film, zaczął pokazywać na monitorze odpowiednie punkty.

- Widzą państwo te pojawiające się co pewien czas dziwne rozbłyski, zawsze kilkanaście pięter poniżej fali opadania?

Adrian aż wstał, by przyjrzeć się dokładniej.

- Rzeczywiście - potwierdził. - Co to dokładnie jest? Wybuchy gazu?

- Nie, proszę księdza - zaprzeczył Link. - Tam miały zastosowanie bardzo surowe przepisy dotyczące gazu. Tego rodzaju regularne wybuchy nie byłyby w żaden sposób możliwe. To ładunki wybuchowe, idealnie dokładnie odpalone tak, by wieżowiec złożył się niczym budynek przeznaczony do rozbiórki. Tylko kilkadziesiąt profesjonalnie rozmieszczonych materiałów przeznaczonych do implozji mogło wywołać taki efekt.

- Matko Boska, to przecież nie do wiary! - krzyknęła Sambierska. - Jak tam niby te bomby umieszczono? Jak wielka armia ludzi musiałaby być w to zamieszana? Musiałyby o tym wiedzieć służby specjalne, rząd i Bóg wie kto jeszcze!

- Kochanie, prosiłem cię... - przypomniał Wilecki.

- A ja tam w to wierzę - rzucił śmiało Bzdet. - Korporacyjne, zindustrializowane, konsumpcyjne społeczeństwo jest ślepe.

- A pan w to wierzy? - spytał spokojnie Linka Adrian.

- Ważne, w co wierzy Haiku. I kogo obwinia za śmierć setek ludzi, w tym swojej rodziny - odparł niewzruszony Szwajcar.

- Komu mogłoby na tym zależeć?! - spytała znów trochę zbyt głośno Ola.

- Komu?! - Link zdawał się być poważnie zdziwiony. - Teoretycznie niemal wszystkim! Wszystkim, którzy dzisiaj czerpią z tego całymi garściami! CIA, FBI, przemysł zbrojeniowy, Iran, Kuwejt, Saudyjczycy, rządy co najmniej kilku państw, wreszcie... organizacje aurelickie, mające niemal we wszystkich tych miejscach swoje wpływy.

- No jasne... - Bzdet opadł zrezygnowany na krzesło. - A któżby inny...

- Rozumiem, że to wersja, którą ten cały Trantignan wcisnął Yasuko Kimurze? - dociekał Wilecki.

- To wersja, którą poddaje pod publiczną dyskusję bardzo wiele znanych osób, takich jak na przykład Dylan Avery czy Jimmy Walter. Ja mówię wam to tylko dlatego, abyście zrozumieli, z czym walczymy. A wersja Trantignana - skoro już o tym wspomniałeś Bogdanie - stawia włosy na głowie nawet najbardziej twardym słuchaczom, więc dobrze usiądźcie, zanim wam ją przedstawię.

Link przebiegł wzrokiem po wszystkich obecnych i wziął głęboki oddech.

- Przyjrzyjmy się światu sprzed września 2001 roku - zaczął ponownie. - W Iraku rządzi Saddam Husajn, terroryzując własny naród, Kuwejtczyków i psując interesy amerykańskie. W Afganistanie szaleją talibowie, bin Laden jest mało znanym poza USA terrorystą, choć poszukiwanym listem gończym od 1998 roku. Jednak prawdziwa ponura sława, zarówno jego, jak i Al Kaidy dopiero go czeka. W Stanach Zjednoczonych rządzi wybrany osiem miesięcy wcześniej prezydent, który wygrał wybory tak minimalnie, że o ich wynik musiał walczyć w sądzie. Wszyscy wiedzą, że głosowało na niego mniej osób niż na Gore'a, a wygrał tylko dzięki większej liczbie głosów elektorskich i wysoce dyskusyjnym wynikom na Florydzie, gdzie gubernatorem był wówczas Jeb Bush, blokujący ponowne przeliczanie głosów. Ameryka jest

rozprężona, podzielona, a prezydent coraz mniej popularny. Jego ekipa wie, że potrzebny jest spektakularny zwrot. Niezbędne jest coś, co nie tylko zjednoczy Amerykanów wokół George'a Busha przeciw wspólnemu wrogowi, ale także rozwiąże kłopoty niezadowolonej grupy możnych biznesmenów, polityków i cichych, ale potwornie wpływowych organizacji, takich jak aurelici. Potrzebne są ogromne pieniądze, potrzebna jest wojna i potrzebna jest władza.

A więc po kolei: mamy ściśle współpracującego z Aureilem z Chatillon Larry'ego Silversteina, który kupuje WTC i ubezpiecza je na ogromną sumę. Wynajęta przez aurelitów, zaufana od lat grupa biznesmenów odpowiednio steruje akcjami Boeinga i American Airlines. W podziemiach WTC znajduje się jeden z największych na świecie składów złota, należący w większości do grupy najbogatszych Saudyjczyków, oczywiście odpowiednio ubezpieczony. W podziemiach WTC-7, który - przypomnę - zawali się 11 września, sześć godzin po bliźniaczych wieżach, znajduje się archiwum tajnych służb, organizacji SIC oraz... bunkier Rudiego Giulianiego. Zawalenie się wież można jeszcze próbować jakoś logicznie wyjaśniać, ale dlaczego legł w gruzach leżący 90 metrów od nich WTC-7, do dzisiaj pozostaje tajemnicą, nawet dla wrogów teorii spiskowych. Oficjalne wytłumaczenie - pożar spowodowany opadającymi odłamkami... z północnej i południowej wieży. Jakoś żaden ze stojących dookoła budynków nawet nie drgnął, a biedny WTC-7 runął, choć samoloty go nie drasnęły! Tysiące dokumentów dotyczących nieprawidłowości oraz dochodzeń w sprawach przestępstw finansowych, na przykład na Wall Street, zostały wygodnie zniszczone.

Sytuacja jest idealna. Nadszedł odpowiedni czas. Grupa - jak to mówi się także i u was - „trzymająca władzę” jest gotowa. Odpowiedni ludzie ze służb specjalnych, generalicji wojskowej, CIA, FBI, sieci aurelickiej, a nawet Białego Domu, wspierani przez potwornie wpływowych biznesmenów amerykańskich, arabskich, a nawet europejskich, dochodzą do porozumienia. Zostają uruchomieni terroryści, ale oczywiście nie ci, na których później będzie się wskazywało palcem, choć oni również zostaną tylko wykorzystani, jak niegdyś Oswald czy Ruby przy zamachu na prezydenta Kennedy'ego. Mają wszędzie zielone światło. Wszystkie drzwi przed nimi stają otworem. Zadbano, aby w samolotach było jak najmniej ludzi oraz aby terroryści mieli swobodny dostęp do wszystkiego, co trzeba, a przede wszystkim by bez problemu weszli na pokład. Na kilkadziesiąt godzin przed atakiem zostają tajemniczym rozkazem usunięte z WTC wszystkie psy wyszkolone do tropienia ładunków wybuchowych, co potwierdza kilkudziesięciu świadków. Zorganizowano serię dziwnych szkoleń, w czasie których ewakuowano znaczną część pracowników obu wież. Ładunki są gotowe. Dobrze ukryte, zamaskowane, uzbrojone. Noc z 10 na 11 września poświęcono na zajmowanie posterunków. Wreszcie pandemonium z 11 września.

Zamieszanie, panika, szok. Amerykanie są na to kompletnie nieprzygotowani. Z całego amerykańskiego nieba wszystkie samoloty zostają sprowadzone na ziemię. Nikt nie ma prawa lądować ani startować. Takiego rozkazu nie wydano od dziesiątków lat. Ludzie boją się wyjść z domów, część próbuje uciekać z miasta. Kompletnie zaskoczony bin Laden, którego niemal natychmiast wskazuje się jako głównego winowajcę, wydaje owo dziwne oświadczenie, w którym widać jego bezradność. Z czasem do wejścia w rolę zostanie zmuszony przez swoich kolegów z Al Kaidy, ale na razie nie jest przygotowany do walki z tak potężnym wrogiem, jak koalicja z USA na czele. Nawet prezydent nie ma o tym, co naprawdę się stało, zielonego pojęcia. Zostaje zaskoczony atakami w przedszkolu, podczas czytania dzieciakom bajki. Szybko jednak on także idealnie wchodzi w rolę. I robi wszystko, czego oczekują prawdziwi zamachowcy. Kwestią miesięcy, tygodni, dni są: ataki na talibów afgańskich, Saddama Husajna w Iraku, wojna z terroryzmem, która w rzeczywistości daje mu wielokrotnie większą władzę nie tylko nad własnymi obywatelami. Daje mu także moralne prawo do rozdawania kart na całym świecie, gdzie organizowana jest koalicja przeciwko terroryzmowi. Wchodzą w to niemal wszyscy. Są pieniądze, jest wojna, jest nowy podział wpływów na Bliskim Wschodzie, słowem: interes kręci się jak nigdy.

Eberhard Link zamilkł. Nastąpiła cisza. Przez kilka sekund nikt nic nie mówił.

- Kto naprawdę miał w ręku terrorystów, którzy siedzieli w samolotach? - spytał wreszcie Bzdet.

- Trantignan twierdzi, że Ayman az-Zawahiri oraz grupa tak zwanych „pięciu cieni”, czyli ci, którzy naprawdę kierują sprawami na Wschodzie. Bin Laden to tylko wypchnięta do kamer tarcza strzelnicza, na której rozwścieczeni Amerykanie mieli skupić uwagę.

- A aurelici? - odezwał się nieśmiało Adrian.

- No właśnie. - Szwajcar wolno wypuścił powietrze z płuc. - Tu dochodzimy do sedna tego, co Trantignan zrobił z Haiku. To co ja opowiedziałem w dużym skrócie, nasz główny przeciwnik udowodniał mścicielce przez kilka lat, i to przede wszystkim przez pryzmat „mózgu” operacji ze strony aurelitów, o międzynarodowym kryptonimie Rycerz. To on zaplanował, załatwił, zorganizował, wreszcie dał rozkaz wykonania. A Rycerzem był... - jak się pewnie już domyślacie - wysłany do tej akcji ulubieniec Aureila, a później jego następca i w pewnym sensie naśladowca... Luigi Balea. I choć winnych jest wielu, Luc Trantignan potrafił skupić nienawiść Haiku na tych, bez których skuteczny atak byłby niemożliwy i którzy zarobili na tym niesamowite pieniądze, a co za tym idzie i władzę. Trantignan posunął się nawet do zdrady dawnych towarzyszy. Ujawnił Japonce aurelickich tajnych agentów w służbach specjalnych, CIA, FBI, MI6

i innych, o których wiedział z dawnych czasów. Pomagał jej w likwidacji wielu z nich, dzieląc z nią radość z cierpienia Balei, który musiał patrzeć, jak giną jego najlepsi ludzie. Na deser pani Yasuko Kimura zostawi sobie jego. Przyjdzie cicho, niezauważona, by skończyć swoje dzieło.

- Czy wszystko, o czym pan mówił, te okropności, ci ludzie „trzymający władzę”, ten spisek, to w ogóle może być prawda?! - spytał wyraźnie roztrzęsionym głosem Adrian. - Czy to tylko wymysł chorego z nienawiści człowieka, zarażającego swoją chorobą innych, podatnych na to nieszczęśliwców, którzy mieli pecha być w złym miejscu o złym czasie?

- Nie wiem. - Profesor Link rozłożył ręce. - Ja tylko starałem się wejść na chwilę w ich rolę, abyście mogli zrozumieć. Teraz, kiedy Krzysztof stanął między nią a wami, jesteście na krótko bezpieczni. Miejmy nadzieję, że cokolwiek on planuje, zrobi to szybko. Bo obawiam się, że czas nam wszystkim się kończy.

ROZDZIAŁ 9

Samochód przyjechał szybko. Zatrzymał się przed halą i przez chwilę nic się nie działo. Nikt niczego nie robił, ale nie wyłączono silnika. Dopiero po kilku sekundach wysiadła trójka młodych mężczyzn w ciemnozielonych garniturach, a za nimi w lekko podartej koszuli Henryk Kuraś. Miał rozbitą wargę i ślady krwi pod nosem, ale poza tym był - zważywszy na okoliczności - chyba w dość dobrej formie. Mężczyźni rozbiegli się, sprawdzając teren. Z pewnością zrobili to już wcześniej, obserwując otoczenie hali z oddali, a w tym momencie dopełnili tylko formalności. Teraz dopiero wysiadł kierowca. Stał obok samochodu i nie ruszał się. Reszta powoli weszła do hali, popychając przed sobą policjanta. Pośrodku starego magazynu stało dwóch mężczyzn, przy ścianie tkwiła przestraszona kobieta. Najwyższy z przybyłych spokojnie wyjął duży nóż i przystawił go do gardła Kurasia, po czym po angielsku rozkazał, aby obaj mężczyźni oddali broń. Gloters rozłożył bezradnie ręce.

- Ten też nie zna angielskiego ani pewnie żadnego innego - rzucił cicho stojący obok wysokiego, pozbawiony zupełnie włosów aurelita. Wyglądał jak albinos. Nawet niewidoczne z daleka białe rzęsy ginęły na tle skóry.

- To tylko prostacy polscy policjanci - odpowiedział wysoki.

- Poderżnij mu gardło, może szybciej zrozumieją.

- Dzwon po rozkaz! - rzucił wysoki do trzeciego aurelity, stojącego najbliżej wyjścia.

- Ja znam angielski - odezwał się nagle Krzysztof. - Oddaj im broń - szepnął do Glotersa.

- Teraz? Kiedy są zdezorientowani?! - zdziwił się policjant. - Mógłbym ich łatwo powystrzelać!

- Nie zdążysz - odparł spokojnie Krzysztof. - Nawet jeśli uda ci się zranić jednego, nie zorientujesz się, gdy pozostali naszpikują cię rozgwiazdami i nożami, a twój partner z pewnością zginie. Nie masz pojęcia, jacy są szybcy.

- Powiedz mu, aby oddał broń, wyjmij też swój pistolet! - rozkazał albinos.

- Nie mam pistoletu, a kolega już wyjmuje broń. - Krzysztof uniósł ręce do góry.

Gloters wyciągnął zza paska spluwę i rzucił ją na podłogę.

- Kim ty jesteś? - spytał wysoki, zdejmując ostrze z gardła Henia. Krótkim gestem rozkazał albinosowi pilnować więźnia, po czym pchnął komisarza pod ścianę. Nie schował jednak noża i ruszył w stronę Lorenta.

- Jestem znajomym tej kobiety - odpowiedział spokojnie Krzysztof. Chciał, aby aurelita choć na krótką chwilę skupił się na dziewczynie.

- Ty kretynie! - wybuchnęła nagle Wiśnia w stronę Kurasia. - Sprzedałeś nas za swoje życie?! Pokazałeś im naszą kryjówkę i liczyłeś, że cię wypuszczą?!

„Wiśnia dobrze zagrała” - pomyślał Bliski. Spojrzał tylko, jak daleko pozostało wysokiemu do Lorenta i jak na jej krzyki reagują pozostali.

- Rozkaz?! - krzyknął, nie odwracając się, aurelita idący w stronę Krzysztofa.

- Potwierdzony! - odparł stojący przy wejściu, chowając do kieszeni telefon komórkowy.

Aurelita uniósł sztylet. Lorent błyskawicznym ruchem doskoczył do niego, chwycił za nadgarstek i dźwignią odwrócił przeciwnika tyłem do siebie. Łatwo zabrał mu nóż i precyzyjnie rzucił w stojącego przy wyjściu. Tamten, trafiony w szyję, osunął się na ziemię. Wysoki próbował się jeszcze bronić, ale Krzysztof chwycił jego czoło i krótkim ruchem skrzył mu kark.

Bliski chciał sięgnąć po leżący na podłodze pistolet, ale Lorent powstrzymał go zdecydowanym gestem. Sam wolno wyjął zza pleców miecz i zaczął iść w stronę przerażonego albinosa.

- Kapłan - wyszeptał aurelita.

- Tak - usłyszał spokojną odpowiedź.

- A więc to już koniec...

- Możesz odejść.

Aurelita chwilę się wahał. Wreszcie zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

- Nie mogę... - Również wyjął miecz.

- To tylko rozkaz szaleńca.

- Ale rozkaz. - Ruszył na Lorenta. Kapłan odbił jego dwa ciosy, a następnie ciął przez klatkę piersiową i zakończył sztych na szyi. Wszystko trwało nie więcej niż dwie sekundy. Usłyszał tylko urwany krzyk dziewczyny za plecami. Uklęknął przy umierającym i przeżegnał jego czoło. Głowa opadła mu na piersi, powoli odłożył miecz na podłogę i ukrył w skupieniu twarz w dłoniach.

Przy wejściu pojawił się czwarty aurelita - „strażnik”. Kuraś chwycił pistolet leżący na podłodze i dwukrotnie wystrzelił w stronę przybyłego. „Strażnik” nie próbował się bronić. Osunął się na kolana, wreszcie - po jeszcze jednym strzale - runął martwy na betonową posadzkę.

- Co robisz?! - krzyknął wyrwany z modlitwy Krzysztof. - On nic by nam nie zrobił!

Kuraś, upewniwszy się, że aurelita nie żyje, skierował broń w stronę Kapłana.

- Młody!!! - wrzasnął Gloters. - Odłóż broń!

Krzysztof podniósł się z kolan, patrząc prosto w oczy komisarzowi.

- Co ty wyprawiasz?!!! - krzyknęła przerażona dziewczyna.

- Jeszcze on został - syknął zimno Kuraś.

- On nam właśnie uratował życie! - wybuchnął Gloters.

- Cały czas trzymał nas w szachu! Wie o nas wszystko! Wykiwał Wiśnię i teraz nas! Pomyślcie! Załatwimy go i koniec sprawy! Nikt się nigdy nie dowie. Zgłosimy się po medale, a później dalej możemy robić interesy! Tylko on nam stoi na drodze.

- Zostaw go!!! - Dziewczyna wybuchnęła niepokonanym płaczem.

- Zamknij się kretynko! - wrzasnął Kuraś. - Teraz beczysz, a za kilka dni będziesz mi dziękowała. Nie udawaj świętej. Ani ty! - Na chwilę rzucił rozgorączkowanym wzrokiem w stronę Glotersa. - Wiesz, że trzeba go zabić!

- Jestem policjantem, nie mordercą, Młody. Wszystko ci się w tym łbie popierdoliło!

- Inaczej mówiłeś, jak ustawialiśmy boki!

- Boki to co innego. Teraz chcesz zabić niewinnego człowieka! Opamiętaj się!

- Będzie nas szantażował całe życie! Jak tamtych. Za milczenie! Będziemy go cały czas mieli na głowie!

- Odłóż broń! - rozkazał ostro Gloters.

- Nie!!! Nie odłożę broni! I przestań mi mówić, co mam robić! To ja jestem komisarzem, nie ty! Zamknij się! Ty też się zamknij, dziwko!!!

- Zadzwoń do Wiśni i kazałeś jej wysłać Punickiego do aurelity, mówiąc, że ja tak powiedziałem. Nie wiedziałeś, że to Lorent. Frajera też chciałeś się pozbyć? Zabroniłem ci tego robić! Miałeś czekać!

- Oni mi kazali! I co z tego?! Gównu mnie obchodzi, co myślisz! Sam bym do wszystkiego doszedł, gdyby nie ci! - Splunął w stronę martwego aurelity

- Narazając cywilów?! I tak w to szambo pchaliśmy Wiśnię... Nie wystarczyło ci?!

- Zamknij się, Gloters!!! Dość!!! Dość mam ciebie i jej! Sam potrafię myśleć! I należy mi się szacunek!

- Odłóż broń! - poprosił łagodniej Bliski.

- Nie! - odpowiedział głucho Kuraś.

Huk wystrzału odbił się echem po hali i zabrzmiał jakby głośniejszy niż te, które powaliły „strażnika”. Odgłos upadającego ciała wydał się nieco przytłumiony. Potem nastąpiła cisza. Z tego miejsca nie było słyhać zwykłego pomruku Warszawy, jadących samochodów ani ludzi drepczących po chodnikach. Pośrodku starego, opuszczonego terenu wielkich hurtowni niszcząca hala była enklawą, dla wielu zdumiewającą w tak ruchliwym mieście. Być może nawet nie tylko dla policjantów stanowiła wygodną kryjówkę. Nikt przecież tego nie pilnował, nie pracował tu żaden strażnik, a tutejszy dzielnicowy rzadko na teren hurtowni wpadał. Nie było to - trzeba przyznać - zbyt romantyczne miejsce, ale być może nawet zabłąkane pary zakochanych mogły tu się pojawiać, uciekając od niedyskretnego miasta w poszukiwaniu spokoju. Ale nie dziś. Dzisiaj nie było tu żadnych zakochanych.

Bliski podszedł wolno do Wiśni i ostrożnie wyjął z jej dłoni pistolet, którego wciąż nie opuszczała. Kuraś nie ruszał się. Kula weszła przez plecy i najprawdopodobniej dosięgając serca, zatrzymała się na którymś z żeber. Kapłan zamknął oczy. Stał nieruchomo. Dziewczyna spojrzała teraz na niego, próbując cokolwiek odczytać z wyrazu twarzy Lorenta. Jego smutek był niemy i nieruchomy. Usta miał zaciśnięte w bezsilnym żalu, a może nawet w złości. Niezależnie od tego, czy godził się właśnie z porażką, czy tłumił w sobie duszny i chłodny lęk przed modlitwą, dziewczyna nie umiała tego zrozumieć.

* * *

Luigi Balea wolno spacerował po ogrodzie. Miał na sobie odświętny strój mistrza - białą szatę sięgającą od ramion do stóp, ściągniętą brązowym pasem oraz ciemnozieloną, długą, ciężką pelerynę zwieńczoną wielkim kapturem opuszczonym na plecy. Był spokojny. Odprawił ochronę i służbę do zamku, zabraniając im interweniować bez wyraźnego rozkazu. Czekał. Rzadko znajdował czas na spacerowanie labiryntami ścieżek wielkiego ogrodu Chatillon. Dużo częściej tu bywał dawniej, jako chłopiec, gdy przyprowadzany był przez wielkiego mistrza Aureila. Ojciec uczył go, że miejsca takie jak to uczą pokory. Są symbolem trudnej, zawilej drogi życia - pełnej zakrętów i niespodziewanych zwrotów. Poprzez swoją formę skłaniają do refleksji egzystencjalnej, nie tylko na temat sensu życia, człowieczeństwa i walki, ale także wielkiej sztuki rozmowy ze Stwórcą. Labirynt w Chatillon służył do błędzenia i znajdowania ścieżek. Był magiczną granicą między żelaznym, upadłym światem a azylem myśli, zagadek i medytacji. Ponaddwumetrowe żywopłoty stanowiły ostrzeżenie przed zbyt łatwymi rozwiązaniami, a liczne małe fontanny na rondach symbolizowały nadzieję i naturę życia. Luigi ze wstydem przyznał się

przed sobą, że już dawno zarzucił filozoficzne nauki ojca na rzecz twardej praktyki i niezbędnej skutecznej polityki. Nie miał tak wielkiej łatwości oddzielania tych dziedzin życia, jak Aureil. Potrzeba kontaktu z Bogiem wyszła w nim na przestrzeni lat, a instynkt zamienił go w konsekwentnego i przebiegłego przywódcę potężnej organizacji, opartej na szacunku do tradycji, ale pozbawionej otoczki religijnej i niepotrzebnego, sekciarskiego - jak zwykł o tym myśleć - fanatyzmu. Wiara, która stała u źródeł wielkości bractwa aurelitów, odeszła wraz z upadkiem pokolenia Aureila na rzecz solidarności, lojalności, honoru, ale i biznesu. Pokolenie Aureila i Trantignana musiało wreszcie odejść; dziś nadszedł dzień ostatecznego rozliczenia.

Luigi skinął na Pierre'a Pereirę, swojego sekretarza, któremu jako jedynemu jeszcze przez chwilę pozwolił ze sobą pozostać. Pereira wreszcie uzyskał połączenie, na które czekał Baëa, podał telefon mistrzowi i zniknął na zakrętem labiryntu.

- Dziękuję ci za to spotkanie, Krzysztofie - powiedział aurelita do słuchawki ściszym, ale pewnym głosem. - Szkoda, że ty nie zdecydowałeś się wziąć w nim udziału.

- Nasze drogi znów się rozchodzą, Luigi - odparł Kapłan. - Obyś tym razem nie mijał się z prawdą. Tym razem... dosłownie potraktuj maksymę, że prawda cię wyzwoli.

- Nie chciałem ukrywać przed tobą prawdy. Wiedziałem, że i tak, jak zwykle, będziesz górą.

- Udam, że wierzę w to, co mówisz. Jestem tylko byłym polskim księdzem. Łatwo mnie podejść, może nawet oszukać. Jestem łatwowierny i chyba trochę zbyt idealistyczny jak na ten świat. Ale ona jest inna i szybko się o tym przekonasz.

- To prawda, szybko... - Baëa wyczuł ją za sobą. Nie usłyszał nawet jednego kroku, ale wiedział, że stoi nie więcej niż pięć metrów za nim. - Jeszcze raz dziękuję - rzucił do słuchawki, rozłączył się, podszedł kilka kroków do pobliskiego ronda i położył telefon na barierce fontanny. Dopiero teraz się odwrócił. Była ubrana cała na białą, w obcisły kombinezon.

- Witaj, Haiku. - Luigi skłonił się. - Czy przyszłaś dzisiaj po moje życie?

- Witaj, aurelito. Wiesz doskonale, iż dałam Kapłanowi słowo, że dzisiaj włos ci z głowy nie spadnie.

- Bywa, że ludzie zmieniają zdanie...

- Nie kuś. Mam duże kłopoty z pamięcią.

- Szczęściara.

- Tym razem chyba nie trafiłeś w sedno. Ale skoro już przy tym jesteśmy, to oświadczenie, że dziś nie umrzesz, nie mówi, co stanie się na przykład jutro.

- To prawda. Choć może będę w stanie wpłynąć na twoje plany.

- Nie sądzę. Ale próbuj, to ty prosiłeś o spotkanie.

Balea oparł się o barierkę fontanny.

- Zabiłeś wielu moich ludzi. - Opuścił głowę, jakby składał im hołd. - Niewinnych ludzi.

- Jeśli byli twoimi ludźmi, nie byli niewinni.

- Bo ten morderca Trantignan ci tak powiedział?

- I kto to mówi!

- Robiłem wiele rzeczy w życiu, które zwykli ludzie nazwaliby złem koniecznym. Być może nawet żyłem w hipokryzji, by chronić jedyną rodzinę, jaką mam. Ale nigdy nie zabiłem nikogo, kto by na to nie zasłużył lub kto nie chciał być moim wrogiem. Nie mówiąc już o tysiącach cywilów w dalekim kraju.

- Chyba tracę tu czas, aurelito. - Wbiła w niego swój wzrok. - Obiecałam Kapłanowi to spotkanie przez szacunek do niego, ale nie oczekuj, że mnie powstrzymasz. Dziś chroni cię jego słowo, ale twoje życie i tak dobiega końca.

- Zrobiłem, jak zażądałaś. - Balea jakby nie zwrócił uwagi na jej słowa. - W promieniu kilometra nie ma nikogo prócz mojego sekretarza.

- Wiem. Masz pięć minut.

- Nie wybijesz wszystkich aurelitów na świecie. Nie dasz rady nawet nadszarpnąć jedności bractwa. Nie starczy ci życia, sił lub po prostu któregoś dnia możesz zwyczajnie zginąć. To, że masz moc Kapłana, nie oznacza, że jesteś nieśmiertelna.

- Teraz z kolei ty tracisz czas - odparła chłodno, ale spokojnie. - A masz go niewiele.

- Dobrze więc. Trantignan pomógł ci odtworzyć część faktów. Ile z tego pamiętasz?

- Wystarczy, Rycerzu! Jedenasty września, przytułek, łąta tułaczki, nędzy, pustki, bo twój Aureil i ty chcieliście pomnożyć władzę, pieniądze i wpływy. Ty byłeś ulubieńcem tego mordercy i ciebie wyznaczył do wykonania tej zbiorowej zbrodni. Widziałam setki dowodów na to, jak czerpiesz korzyści z tego, co wtedy się stało. Nowe interesy, konta, całe banki, wpływy w tajnych służbach... zaprzecz!

Balea zaczął spacerować wokół fontanny.

- Twój kraj założył wielki Jimmu, jak mówi legenda potomek bogini słońca, Ninigi. Moją rodzinę założył Aureliusz Marcelin. Historie tych dwóch wielkich ludzi można opisać tak, że będą brzmiały jak cudowne legendy, które ojcowie opowiadają swoim synom, ale można też

przypomnieć sobie prawdę o ich walce o życie, władzę i potęgę, a wtedy piękno ich legendy zszarzeje, aż wreszcie pokryje się czernią. Kiedy cesarz Go-Daigo przy pomocy rodu Ashikaga mordował rody Kamamurów i Hōjō, zagarniając ich bogactwa oraz wpływy, jego syn Go-Murakami, choć buntował się przeciwko temu, gdy został cesarzem, był zmuszony rządzić środkami i spadkiem, który pozostawił mu ojciec. Kiedy masz władzę, Yasuko, czasem po prostu musisz chronić tych, nad którymi opiekę ci powierzono.

- Chcesz powiedzieć, że nie miałaś wyjścia, przyjmując rozkaz Aureila?!

- Nie. Chcę dzisiaj dać ci prawdę.

- Nie rozumiem. - Haiku zmarszczyła brwi.

- Mój sekretarz zaprowadzi cię do miejsca, w którym zobaczysz i usłyszysz to, czego szukasz. Będziesz tam bezpieczna, zgodnie z twoim życzeniem nikogo oprócz was tam nie będzie. Ja zaczekam tutaj. Jeśli nadal będziesz chciała mnie zabić, nie ucieknę. Stanę naprzeciw ciebie i zakończymy sprawę.

Za plecami Haiku pojawił się Pereira. Dziewczyna przez chwilę bacznie przyglądała się Balei, próbując wyczytać z jego twarzy podstęp. Nie wyczuła jednak strachu ani zwątpienia. Mistrz stał dumnie, nie spuszczał z niej wzroku.

Haiku podniosła palec i wymierzyła nim w Luigiego.

- Jeszcze z tobą nie skończyłam, aurelito - rzekła cicho, ale ostentacyjnie. Następnie odwróciła się i poszła za Pereirą.

Obrazy przestały się poruszać. Zamarły. Zlały się w jedno. Dziwne uczucie. Jakby świat przestał się kręcić. Na filmie jakieś osoby siedziały przy stole, czasem chodziły, czasem dyskutowały, ale dla Haiku po kilkudziesięciu minutach oglądania i przesłuchiwania taśm zmienianych co pewien czas przez Pereirę obraz stanął. Był całością. Z początkiem i końcem w tym samym miejscu. Tyle miesięcy minęło, kiedy ostatni raz płakała. Wydawało jej się, że nie pamięta łez, a jednak teraz spływały po policzkach jedna za drugą. Dziwna chwila. Ani oczyszczenie, ani satysfakcja. Nic prócz bezgranicznego gniewu. Odrętwienie ciała, niema rozmowa z własnym umysłem i pytanie, co jest prawdziwą, nieokłamaną przez tę coraz gęstszą mgłę przed oczami, świadomością. Dziwny czas. Wolniejszy, nienaturalny, oszukany. Prawda nie wyzwala, lecz nakazuje, krępuje i wywołuje lęk. Już starczy... Yasuko zerwała się z fotela i wybiegła z sali. Pereira wyłączył projektor.

Jakies pół godziny później, zmuszony przez niepokojące przeczucie, Kapłan zadzwonił do Luigiego Balei.

- Wybiegła i opuściła nas bez pożegnania - powiedział spokojnie mistrz. Cały czas błądził alejkami labiryntu w ogrodzie Chatillon.

- Co jej powiedziałaś?!

- Prawdę. Niemal wszystkie komnaty zamku, a już szczególnie te, w których odbywały się ważne narady, od wielu lat były zaopatrzone w sprzęt nagrywający. Nikt o tym nie wiedział, oczywiście z wyjątkiem mistrza Aureila i zaufanych członków ochrony. Nie wiedział także o tym Luc Trantignan, kiedy opowiadał Yasuko Kimurze o Rycerzu i przekonując ją o roli, jaką odegrał w jej nieszczęściu. Także i ja nic o tym nie wiedziałem, choć powinienem się w którymś momencie domyślić. Archiwum znalazłem po śmierci ojca. Pozwoliłem mojemu gościowi obejrzeć część ogromnej zresztą dokumentacji z przygotowań do 11 września.

- Boże... - w głosie Kapłana Balea chyba po raz pierwszy, odkąd pamiętał, wyczuł przerażenie.

Nie byłem na żadnej z tych narad - ciągnął mistrz. - Aureil znał mnie i nie pozwoliłby mi w czymś takim uczestniczyć. Większość tamtego czasu spędziłem w Niemczech, u mistrza Adera Rode. Ojciec o tym wiedział, choć, jak pewnie podejrzewasz, nie miał pojęcia, czemu poświęciliśmy ten wspólny czas. Ader Rode również nie wiedział przygotowywaniu zamachów, a po nich jego dramat stał się jeszcze głębszy niż do tej pory. Zrobiliśmy to, w czym i ty przecież uczestniczyłeś cztery lata temu.

- Kiedy Trantignan się odłączył, od początku nie miał z tobą szans. W każdej chwili mogłeś go zniszczyć. Po śmierci Aureila był bezradny.

- Nie był groźny. Odłączył się, jak to nazwałeś, od rodziny, a wiesz, że ja nie jestem mściwy.

- Tyle tylko, że nie przewidziałeś pojawienia się Yasuko...

- Przyznaj, iż niełatwo było przewidzieć pojawienie się drugiego Kapłana - rodzą się średnio raz na trzysta - czterysta lat.

- Jeśli powiem, że wykorzystałeś nie tylko mnie, ale także i ją, bardzo się pomylę?

- Nie miałem innego wyjścia. Ona chciała prawdy, a kłamstwa Trantignana zagrażały rodzinie. Co prawda, gardziła nim, ale nie wiedziała, że to on był Rycerzem, a bez dowodów nie uwierzyłaby mi. Sprytny Luc umiał tak zinterpretować fakty, wiedzę zaś miał o nich niemałą, że wszystko świadczyło przeciwko mnie.

- Luigi... - głos Kapłana wyraźnie drżał. - Wiesz, co teraz będzie?! Wszystko spłynie krwią! Dlaczego nie ostrzegłeś mnie wcześniej?! Potrafiłbym temu zaradzić! Dlaczego mi nie powiedziałeś...

- Wybacz mi, Krzysztofie - głos Luigiego był zdecydowany i chłodny. - Bez ciebie nie mógłbym podejść do niej tak blisko, a do dziś nie mam pojęcia, gdzie jest Trantignan i jego ludzie. Ale jak sądzę, ty to wiesz. Tylko ty mogłeś stanąć jej na drodze, odkręcić sprawy w Warszawie i pomóc zakończyć konflikt. Teraz jednak czas pozostawić sprawy ich biegowi. To już rzecz między Rycerzem a Haiku.

- Luigi... - Kapłan urwał. W słuchawce zapanowała cisza.

- Ach, ten twój idealizm, Krzysztofie - Balea zmienił ton na cieplejszy. - Ciągłe chcesz ratować sprawy nie do uratowania.

- Życie zawsze jest do uratowania, a kara nie zawsze musi oznaczać śmierć, nawet jeśli ktoś tak mocno zgrzeszył!

- Żegnaj, Krzysztofie, oby twoje sny były spokojniejsze, a dusza znalazła ukojenie, mój bracie. - Mistrz rozłączył się. - Tym razem nie zdążysz, Kapłanie, i obaj o tym wiemy - dodał cicho do siebie. - Nie da się naprawić tego świata po twojemu. Nawet ty nie potrafisz tego uczynić.

ROZDZIAŁ 10

Na schodach prowadzących do wielkiej posiadłości Slazerhoff, malowniczo położonej na łagodnym wzgórzu pokrytym zielenią, starannie zaplanowanymi skalniakami i kępami rozrostłych krzewów, leżały trzy ciała. Zginęli szybko, zgładzeni bez niepotrzebnego zadawania cierpienia. Należeli do piętnastoosobowej ochrony posiadłości i odpowiadali za porządek przy froncie. Schody były długie i szerokie. Pretensjonalnością i snobizmem przypominały nieco wejście do paryskiego La Grande Arche, choć oczywiście w innej skali. Zastygłe na stopniach smużki krwi już kilka godzin temu stały się matowe i poczerniały. Kapłanowi dziwne się wydało, że strażnicy czekali na przeciwnika właśnie tu, na odkrytej przestrzeni, nie próbując choćby się ukryć w pobliskim ogrodzie. Jeśli wiedzieli, że wszyscy towarzysze już nie żyli, gdy Haiku zmierzała w ich stronę, powinni to zrobić. Chyba że perfekcja zabójczyni nie pozwoliła im zorientować się na czas w sytuacji, choć to chyba mało prawdopodobne. Cisza, jaka panowała wokół, nie dawała nadziei, że ktokolwiek przeżył. Slazerhoff leżał trzy kilometry od najbliższej wsi Bnich i ponad dwadzieścia kilometrów od Bonn. Luc Trantignan zadbał o to, by w tym odosobnieniu on i jego ludzie mogli uciec od ciekawości sąsiadów lub wrogów. Do dzisiaj. Atak nadszedł niespodziewanie, błyskawicznie. Rankiem. W jaśniejącym wschodem słońca ogrodzie, w obejściu, przy stajniach, w garażach, jeden po drugim ginęli aurelici wierni Lucowi. W ciszy.

Dom był otwarty, jakby czekał na przybycie Kapłana. Wierny służący Marc Roseau leżał pod ścianą niedaleko wejścia. Oczy wciąż miał otwarte, choć od kilku godzin zastygłe, pokryte białawą mgłą. Zginął od pchnięcia w serce, w przeciwieństwie do większości ofiar, ciętych przez szyję lub głowę.

Krzysztof usłyszał lekki szmer. Wszedł powoli po schodach na pierwsze piętro. W ogromnej, przynajmniej stumetrowej sali, pośrodku, na posadzce z ciemnego dębu klęczała Haiku z długim nożem w dłoni, skierowanym w jej serce. Była niemal cała we krwi. Obok leżał zabrudzony po walce miecz. Wyczuła obecność Kapłana, ale nie odwróciła się do niego.

- Umierał długo, w cierpieniach - powiedziała spokojnie, lekko zachrypniętym głosem. -
Leży w sali obok. Nie sądzę, byś chciał go teraz zobaczyć.

Krzysztof osunął się na kolana. Głowa opadła mu bezradnie na piersi.

- Winnych jest tak wielu... - mówiła dalej Yasuko, ale coraz ciszej i wolniej. - Trzeba by świat utopić we krwi... Nigdy nie będzie końca... Tylu ich jest... Pomóż mi umrzeć, Kapłanie, jeśli dzisiaj tego nie skończę, nie skończę już nigdy...

Krzysztof gwałtownie podniósł głowę.

- Chodź ze mną, Yasuko! - krzyknął, oddychając ciężko. - Odejdź ze mną, tak jak ci wtedy mówiłem.

Wolno odwróciła głowę w jego stronę. Łzy opadały na jej zakrwawione policzki.

- Chcesz zabrać ze sobą morderczynię? Czy wiesz, ile zadałam w swoim życiu śmierci? Czy wiesz, jak wiele jest we mnie nienawiści?

- Wiem. I chcę, abyś ze mną odeszła.

- Nie jesteśmy tacy jak inni. - Haiku ponownie odwróciła głowę, aby spojrzeć przed siebie, wciąż trzymała nóż skierowany w serce. - Nie pasujemy do tego świata. Ty, co prawda, jesteś silniejszy ode mnie i potrafisz się ukryć. Potrafisz nie karać winnych. Potrafisz dusić nienawiść. Ale żyjesz w ułudzie. Odsuwasz prawdę. Ja straciłam siły już dawno. Klęczę tu od sześciu godzin i rozmawiam ze śmiercią. A teraz ty chcesz, abym żyła dalej.

- Chcę tylko, abyś dała życiu... małą... szansę. Nigdy... nigdy nie jest za późno. Nawet cień dobra wart jest całego życia. Powiedz, że teraz rozważysz to, co mówię, i odłóżysz nóż...

- *Sakazuki-ya, yamaji-no Kiku-to, kore-o hosu*⁵³. - Dziewczyna wciąż patrzyła przed siebie. Obrazy z filmu wypełzły na ścianę i zlały się w jedno.

Świat znowu przestał gnać do przodu i zamarł na chwilę.

Samochód odjechał, a Ola, profesor i Adrian zostali przed domem Wileckich.

- Wpadniesz na herbatę? - spytała Sambierska księdza. - Skoro nie chciałeś, żeby podwieźli cię na plebanie, przynajmniej napij się dobrego wywaru z zielonych liści.

- Chyba potrzebuję długiego spaceru.

- Dzwoniłeś do proboszcza? - zagadnął Wilecki.

- Nie. Jeszcze nie. Lepiej, jak porozmawiamy twarzą w twarz.

- Masz żal do Krzysztofa, że się nie spotkał z nami. - Profesor się uśmiechnął.

- Nie...

- Masz. Na pocieszenie powiem ci, że Eberhardowi Linkowi zrobił tak już drugi raz. Widziałeś, jaki był wkurzony? Tyle wysiłku, a Kapłan Ścieżki Wiedzy znowu mu zwał. - Zachichotał, przytulając się do żony.

53., „Na górskiej ścieżce/wysuszyłam ten kielich/z chryzantemą” - haiku *Bashō* ze zbioru *Bandō Tarō*, 1671r.

- Nie ma co się o niego martwić. - Ola machnęła ręką. - On nigdy nie zrezygnuje. Będzie do śmierci tropił aurelitów i ich wszystkie występki.

- Niepotrzebnie tak ryzykuje. - Profesor spowaźniał. - Dużo szczęścia miał ten jego szpieg, że akurat nie było go wtedy w posesji Trantignana. Zginąłby jak wszyscy.

- Co będzie z resztą jego ludzi? - spytał Adrian.

- Trantignana?

- Tak.

- Część ukryje się na pewien czas, a potem pewnie będą chcieli rozpocząć zwyczajne życie. Część może wróci do Chatillon. Ale to z pewnością koniec całej tej schizmy. Balesa ich nie skrzywdzi. Już dawno z łatwością mógł zniszczyć Trantignana, gdyby tylko chciał. I rzecz jasna by to zrobił, jeśliby przewidział, co się stanie. Nie jest mściwy, ale jest praktyczny.

- Jak ojciec chrzestny - mruknęła z przekąsem Ola.

Profesor zignorował uwagę żony. Wyciągnął rękę do Adriana.

- Niech ksiądz uważa na siebie.

- Miło było państwa poznać - odparł Adrian. - I choć może nasze spotkanie się trochę przedłużyło, chyba nie żałuję. - Uśmiechnął się nieznacznie.

- Pamiętaj, Adrianie - przypomniała Ola. - Nigdy o tym nikomu nie opowiadaj.

- Oczywiście. Kto by uwierzył? - Adrian wzruszył ramionami. - Kiedyś sam sobie to opowiem, ale spokojnie - i tak nie uwierzę.

Popołudnie w podwarszawskim Zalesiu było ciepłe, bezwietrzne i głośne krzykiem dzieci biegających po placu zabaw. Witold Bliski spokojnie patrzył, jak jego synowie zmagają się z „przeprawą Indiany Jonesa” w parku linowym pomiędzy drzewami, za którą to frajdę zapłacił przed chwilą siedem dych.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział do Michała Kępińskiego, gestem proponując, aby się przeszli. - Tu jest za głośno, a chłopakom zajmie to przynajmniej godzinę.

Zeszli w dół w stronę lasu, przez kilka chwil milcząc.

- Słyszałem, że odszedłeś z policji - odezwał się wreszcie Kępiński

- Tak było trzeba - mruknął, marszcząc brwi, Gloters.

Michał nie próbował dociec, co to miało dokładnie oznaczać, więc tylko pokiwał głową.

- Pewnie dziwisz się, dlaczego poprosiłem cię o spotkanie? - spytał Bliski.

- No cóż, gliniarze byli czy obecni muszą się wspierać - odparł zbity nieco z tropu Kępiński. Smutny, a może raczej ponury ton, jakim cicho zwracał się były aspirant, krępował go.

- Nawet, jak coś ostro spieprzą, nie? - Gloters zacisnął mocno usta i zatrzymał się na chwilę.

- Wszystko OK? - komisarz starał się mówić jak najcieplejszym głosem.

Bliski znowu zaczął iść.

- Wiesz może... jak układają się sprawy państwa... Wileckich?

- Wrócili normalnie do pracy. Podobnie jak ksiądz Czelejewski. Odkąd Japonka wyjechała z Polski, wszystko się uspokoiło.

- Ktoś ją złapał?

Kępiński pokręcił głową.

- Próbowałem się czegoś dowiedzieć, ale nie mam nic konkretnego. Podobno była jakaś jatka w Niemczech, w której brała udział. Tamtejsi gliniarze nabierają wody w usta. Skądś to znamy. - Próbował się roześmiać, ale widząc minę Glotersa, ponownie spoważniał. - Ktoś mi mówił, że zginęła w tej jatce, ale słyszałem też, że przeżyła i wyjechała z Europy. Słuchaj, Witek... - zmienił nagle temat. - Chcę powiedzieć, że cholernie mi przykro z powodu twojego partnera... Bliski skinął głową.

- Zginął w czasie akcji. Tak się zdarza. Był dobrym kolegą.

- Tak, wiem. Zabili go ci porywacze.

- Miał pecha.

- Słyszałem też, że spotkałeś Lorenta.

Gloters ponownie skinął głową.

- Tak. Miałeś co do niego rację. Jest w porządku. Przez chwilę szli w milczeniu. Wreszcie Bliski zatrzymał się i spojrzał uważnie na Kępińskiego.

- Wiesz, Michał... poprosiłem cię o spotkanie, bo mam prośbę...

- Jasne, mów.

- Mam te dokumenty. Pamiętasz? Mówiłem ci. Dotyczą zeznań różnych osób w sprawie wypadków w szpitalu cztery lata temu.

- Oczywiście.

- To są nowe zeznania, które zebraliśmy z Heniem... - Bliski przerwał na kilka sekund. - Ale... wiedzieliśmy o nich tylko my.

- Rozumiem.

- Chcę ci je dać, jeśli oczywiście się zgodzisz. Nie jestem już policjantem, a ty będziesz najlepiej wiedział, co z nimi zrobić.

Michał pokiwał głową.

- Dziękuję.

Znowu ruszyli przed siebie.

- A tak ogólnie... to jak jest? - spytał Kępiński, gdy doszli do drogi na Kabaty.

- Przejdziemy się po lesie?

- Jasne.

- Trochę ciężko, ale takie życie też ma swój urok. Żona się cieszy.

- To dobrze.

- Michał wyczuwał, że Głoters ma jeszcze co najmniej jedną prośbę, więc cierpliwie czekał, aż będzie gotowy o tym mówić.

- Pamiętasz... była z nami taka dziewczyna. Bardzo ładna... - zaczął niepewnie były aspirant.

- Czy ona...?

- Ona... - szybko podjął Bliski. - Ona... bardzo dobrze się spisala.

Kępiński przez dłuższą chwilę uważnie przyglądał się Głotersowi, rozważając w myślach, czy tym razem nie przycisnąć grubasa.

- Nie mogę zapewnić jej... - komisarz przerwał, biorąc głęboki oddech. - Witek... gdzie ona jest?

- Wyjechała. Nie wiem dokąd, przysięgam, że nie wiem. Być może wyjechała na zawsze. A ja chcę tylko, by... miała szansę.

- Wszyscy chcą mieć szansę... - mruknął jakby do siebie komisarz. - A nie zawsze to jest takie proste. Wiesz dobrze.

Bliski spuścił głowę, jakby szukał czegoś na ziemi.

- Wiem - odparł po chwili.

KONIEC